



WALKA O WŁADZĘ
I MORDERSTWA
W RODZINIE
CESARZA AUGUSTA

KLAUDIUSZ I MESSALINA

ROBERT GRAVES

Antiquaria

Robert Graves

Klaudiusz i Messalina

Claudius the god

Przekład Stefan Essmanowski

Data wydania oryginalnego - 1934

Rozdział I

41 r. n.e.

Dwa lata mijają od chwili, kiedy ukończyłem swą długą opowieść o tym, w jaki sposób ja, Tyberiusz Klaudiusz Druzus Neron Germanik, kuternoga, jąkała, rodzinny głupek, którego żaden z moich krwi i władzy żądnych krewnych nie zadał sobie trudu skazać na śmierć, otruć, zmusić do samobójstwa, zamorzyć głodem - jednym słowem: pozbyć się praktykowanym w naszej rodzinie zwyczajem; w jaki sposób, powtarzam, przeżyłem ich wszystkich, nawet mego szalonego bratanka Kaligulę, i pewnego dnia, całkiem niespodzianie, zostałem przez kaprali i sierżantów gwardii pałacowej obwołany cesarzem.

Na tym dramatycznym momencie zakończyłem swoją opowieść; zakończyłem, przyznaję, w sposób, jak na historiografa, wielce niestosowny. Historiografia bowiem nie uznaje efektownej manieri przerywania dzieła w momencie największego napięcia. Wedle przepisów powinienem był uwzględnić przynajmniej jeszcze jedno stadium w rozwoju zdarzeń. Powinienem był opowiedzieć o stanowisku, jakie zajęła reszta armii wobec samowoli gwardii pałacowej; o tym, co myślał i czuł senat, gdy mu przyszło przyjąć władzę tak nieświeżego rokującego nadzieje; o tym, czy doszło do rozlewu krwi i jakie były dalsze losy oficerów gwardii: Kasjusza Cherei, Akwili, Tygrysa, męża mej bratanicy, Winicjusza, i pozostałych morderców Kaliguli. Zamiast tego zwierzyłem się w zakończeniu z chaotycznych myśli, które przebiegały mi przez głowę, gdy siedzącego niewygodnie na ramionach dwu kaprali gwardii, przystrojonego złotym wieńcem Kaliguli, krzywo wsadzonym na głowę, obnoszono mnie triumfalnie naokoło dziedzińca.

Jeżeli nie kontynuowałem dzieła, to dlatego, iż uważałem je raczej za rodzaj apologii niż pracą ściśle historyczną. Chciałem w ja kiś sposób usprawiedliwić swoją zgodę na przyjęcie władzy cesarskiej. Prawdopodobnie

bowiem przypominacie sobie, że zarówno mój dziadek, jak i ojciec byli republikanami z krwi i kości i że w spadku po nich przejąłem republikańskie przekonania. Rządy Tyberiusza i Kaliguli utwierdziły mnie jeszcze w niechęci do monarchii. Cesarzem obwołano mnie w pięćdziesiątym roku życia; w tym wieku trudno już zmienić polityczną barwę. Chodziło mi więc o to, żeby przekonać czytelnika, jak obcą mi była wszelka żądza władzy i że tylko nieuchronna konieczność kazała mi ulec kapryswi żołnierzy. Odmawiając, wydałbym wyrok śmierci nie tylko na siebie, ale i na Messalinę, którą gorąco kochałem, i na swe nie narodzone jeszcze dzieci. (Ciekawa rzecz, skąd biorą się tak silne uczucia do nie narodzonego jeszcze dziecka.) Nie chciałem, żeby potomność widziała we mnie chytrego oportunistę, który robi z siebie półgłówka i przyczaiwszy się czeka cierpliwie, kiedy go zaleci od strony pałacu wiatr spisku przeciw cesarzowi, aby w pomyślnym momencie zgłosić się śmiało po sukcesję. Podejmując obecnie dalszy ciąg autobiografii pragnę przede wszystkim wytłumaczyć, dlaczego linia mego postępowania w ciągu trzynastoletnich rządów wykazuje tyle załamań. Mam nadzieję, że uda mi się usprawiedliwić pozorny brak konsekwencji w mych poczynaniach z różnych okresów panowania, gdy wykażę ich zależność od przekonań, którym nigdy, przysięgam, dobrowolnie się nie sprzeniewierzyłem. A jeśli nie potrafię usprawiedliwić swych czynów, to może przynajmniej wykażę, w jak niezwykle trudnej znajdowałem się sytuacji, pozostawiając czytelnikom rozstrzygnięcie, jak powinienem był postępować.

Powróćmy więc do chwili, w której przerwałem swoje opowiadanie. Wpierw jednak pozwólcie mi podkreślić, że sprawy byłyby wzięły znacznie gorszy dla Rzymu obrót, gdyby właśnie w tym czasie nie bawił w stolicy król żydowski Herod Agryppa. On jeden w krytycznej chwili po zamordowaniu Kaliguli nie stracił głowy i ocalił życie tłumom zebranym w teatrze pałatyńskim. Gdyby nie on, niemiecka straż przyboczna sprawiłaby wśród widzów niebywałą masakrę. Dziwne może się wydać moim czytelnikom, że aż do ostatniej strony

tej historii nie spotkali się z najmniejszą wzmianką dotyczącą zdumiewających losów Heroda Agryppy, choć drogi naszego życia tyle razy się krzyżowały. Wynikło to stąd, że przygody Heroda tworzyły same przez się całość; chcąc je potraktować tak, jak na to zasługiwały, musiałbym ich bohatera uczynić pierwszoplanową postacią mojej opowieści, której punkt ciężkości miał przecież leżeć gdzie indziej, a której i tak już groziło nieustannie przeładowanie materiałem wątpliwej wartości. Dlatego też rad jestem, że pominąłem dotychczas Heroda. Ponieważ w wypadkach, na które teraz przychodzi kolej, odegrał on poważną rolę, mogę, nie obawiając się niewskazanej dygresji, opowiedzieć historię jego życia aż do śmierci Kaliguli i ciągnąć ją równoległe ze swoją własną aż do chwili śmierci samego Heroda. W ten sposób nie nadwerzę dramaturgicznej jedności, co byłoby nastąpiło, gdybym historię Heroda rozbił między obydwie tomy. Nie chcę przez to jednak powiedzieć, że należę do historyków dramatyzujących swe dzieła. Jak mogliście zauważyć, jestem raczej ostrożny w stosowaniu jakichś określonych form literackich. Faktem jednak jest, że nie można pisać o Herodzie nie zaprawiając opowiadania pewną dozą teatralności. Życie jego bowiem przypominało teatralną sztukę; on sam grał w niej główną rolę, a reszta zespołu dzielnie mu sekundowała. Nie była to jednak tragedia w czystym stylu klasycznym; ten charakter posiadało tylko zakończenie z konwencjonalną karą bogów za konwencjonalny grzech pychy. Poza tym zbyt wiele było w sztuce elementów niehelleńskich. Tak na przykład bóg, który wymierzył karę, nie należał do wytwornego towarzystwa olimpijczyków. Przeciwnie, był to chyba najdziwaczniejszy z bogów, jacy znajdują się na obszarze moich rozległych dominiów i poza ich granicami: bóg, którego wizerunek nigdzie nie istnieje, którego imienia nie wolno wymawiać pobożnym wyznawcom (choć ku czci jego obrzezują napletki, i dokonywają wielu innych dziwnych i barbarzyńskich obrządków), Bóg ten podobno przebywa samotny w Jerozolimie, w antycznej cedrowej skrzyni obitej borsuczyni, na niebiesko farbowanymi skórą; nie chce mieć nic do czynienia z innymi

bóstwami tego świata i nawet nie przyjmuje do wiadomości ich istnienia. Zresztą historia Heroda obok elementów tragicznych zawiera zbyt wiele farsowych, aby mogła się stać tematem dla dramaturga złotego wieku Hellady. Wyobraźcie sobie tylko dostojnego Sofoklesa, który w górnolotnym, poetyckim stylu ma mówić o długach Heroda.

Obecnie, jak już nadmieniałem, chcę szczegółowo opowiedzieć wszystko, co pominąłem poprzednio, i wydaje mi się, że będzie najlepiej, jeśli skończę wprzód starą historię, a dopiero potem przejdę do nowej.

Tak więc w tym miejscu rozpoczyna się wreszcie

HISTORIA HERODA AGRYPPIY

Przede wszystkim trzeba pamiętać, że Herod Agryppa nie był ani krewnym, ani powinowatym wielkiego Marka Wipsanusza Agryppy, Augustowskiego generała, który ożenił się z jedyną córką cesarza, Julią, i został w ten sposób dziadkiem mojego bratanka Gajusza Kaliguli i mej bratanicy Agryppinilli. Nie był też wyzwolencem Agryppy, jak moglibyście przypuszczać ze względu na to, że w Rzymie wyzwoleni niewolnicy mają zwyczaj w dowód wdzięczności przyjmować imiona swoich poprzednich panów. Nie, nic podobnego. Został on tak nazwany przez swego dziadka Heroda Wielkiego, króla żydowskiego, na cześć wspomnianego Agryppy, który właśnie w tym czasie umarł. Przecież Herod Wielki, ten nieprzeciętny i groźny starzec, tron swój zawdzięczał nie mniej stosunkom z Agryppą, jak poparciu Augusta, który widział w nim pożytecznego sprzymierzeńca na Bliskim Wschodzie.

Rodzina Heroda wywodziła się z Edom, górzystej krainy leżącej między Arabią a południową Judeą, i nie była pochodzenia żydowskiego. Herod Wielki, urodzony z matki Arabki, otrzymał od Juliusza Cezara zarząd Galilei w tym czasie, kiedy ojciec jego dostał zarząd Judei. Miał wtedy zaledwie piętnaście lat. Od razu popadł w ciężkie tarapaty, gdyż tępiąc w swoim okręgu bandytyzm, skazał na śmierć bez sądu kilku obywateli żydowskich, za co pozwano go przed

najwyższy sąd żydowski, sanhedryn. Na wezwanie to zareagował w sposób wysoce prowokacyjny, zjawiając się przed sędziami w purpurowym płaszczu, otoczony zbrojnymi żołnierzami. Ostatecznie jednak, nie czekając na wyrok, potajemnie opuścił Jerozolimę. Rzymski namiestnik Syrii, do którego się zwrócił z prośbą o poparcie, oddał mu zarząd nad innym okręgiem w tej samej prowincji, niedaleko Libanu. Nie chcąc się dłużej rozpisywać powiem krótko, że Herod Wielki, którego ojciec tymczasem umarł otruty, został mocą wspólnej ustawy mego dziadka Antoniusza i stryjecznego dziadka Augusta (wówczas zwanego Oktawianem) królem żydowskim. Przez trzydzieści lat z wielką surowością i chwałą sprawował rządy nad krajami, których granice szczodroblivość Augusta wciąż rozszerzała. Pojął aż dziesięć żon, w tym dwie własne siostrzenice, i po wielu nieudanych zamachach samobójczych umarł wreszcie na najstraszniejszą i najohydniejszą może chorobę, jaką zna medycyna. Zwie się ona chorobą Heroda. Innej jej nazwy nie znam, jak również nigdy nie słyszałem, żeby ktoś przedtem na nią zapadł. Charakterystyczne objawy to wilczy głód, wymioty, gnicie żołądka, robaki toczące członek i nieustanna biegunka. Przypadłości te stały się dla Heroda przyczyną niewypowiedzianych katuszy i doprowadziły do zupełnego szału tego już z samej natury niepohamowanego człowieka. Żydzi widzieli w nich karę bożą za dwa kazirodcze małżeństwa. W pierwszej żonie Mariamnie, która pochodziła ze słynnej żydowskiej rodziny Machabeuszów, Herod był nieprzytomnie zakochany. Pewnego razu, wybierając się do syryjskiej Laodycei na spotkanie z mym dziadkiem Antoniuszem, wydał swemu szambelanowi poufny rozkaz, aby w razie gdyby padł ofiarą intryg swoich wrogów, Mariamna została bezzwłocznie zabita. Nie chciał bowiem dopuścić, by stała się łupem Antoniusza. Podobnie postąpił wyjeżdżając na Rodos, gdzie miał się spotkać z Augustem. Wszak obydwaj moi dziadkowie słynęli jako wielcy kobieciarze. Kiedy Mariamna dowiedziała się o tym rozkazie, poczuła słuszny żal do męża i powiedziała w obecności matki i siostry Heroda kilka słów, których było

rozsądniej nie wypowiedzieć. Obydwie kobiety, zazdrosne o wpływ, jaki miała na ich syna i brata, powtórzyły mu słowa Mariamny zaraz po przyjeździe, dodając, że z zemsty dopuściła się ona cudzołóstwa z tym samym szambelanem, który otrzymał ów warunkowy rozkaz jej zgładzenia. Herod kazał stracić oboje. Ogarnęła go jednak później straszna rozpacz i wyrzuty sumienia, a wreszcie dostał gorączki i cudem udało się go ocalić. Kiedy wrócił do zdrowia, stał się tak ponury i podejrzliwy, że przy najbliższej poszlacie skazywał na śmierć swoich najlepszych przyjaciół i najbliższych krewnych. Jedną z jego ofiar był najstarszy syn Mariamny: oskarżony o spiskowanie przeciw ojcu, został on wraz z bratem zgładzony. Autorem oskarżenia był ich przyrodni brat, którego Herod później też kazał stracić. Przy tej to właśnie sposobności August zrobił ową dowcipną uwagę: „Zaiste, wolałbym być świnią Heroda niż jego synem.” I rzeczywiście, świnię Heroda mogły spokojnie doczekać sędziwego wieku, gdyż przepisy religijne zakazywały Żydom spożywać wieprzowinę. Właśnie ów nieszczęśliwy książę, najstarszy syn Mariamny, był ojcem mego przyjaciela Heroda Agryppy, którego Herod Wielki uczyniwszy sierotą, wysłał bezzwłocznie jako czteroletniego chłopca na dwór Augusta.

Herod i ja byliśmy rówieśnikami, a dzięki temu, że mieliśmy wspólnego przyjaciela - Postuma, do którego Herod poczuł specjalną sympatię - przebywaliśmy zawsze razem. Herod był ładnym chłopcem i należał do ulubieńców Augusta, który zaglądał czasami na boisko szkolne, aby zabawić się z chłopcami w ciągnięcie liny, skakankę lub wojsko. Z Heroda urwis był nie lada. August miał ulubionego psa z gatunku wielkich puszystowłosych brytanów hodowanych w Adranas koło Etny. Pies ten słuchał tylko cesarza, chyba że mu August wyraźnie powiedział: „Dopóki cię nie zawołam, masz być posłuszny temu a temu człowiekowi.” Bydlę, rade nierade, spełniało rozkaz, lecz trzeba było zobaczyć ten nieszczęśliwy wzrok, jakim patrzyło za odchodzącym panem. Herodowi udało się w jakiś sposób przywabić psa, a korzystając z tego, że zwierzęciu chciało się właśnie pić, dał mu miskę tęgiego wina. Pies urznął się

jak stary żołnierz, którego zwolniono z wojska. Wtedy Herod zawiesił mu na szyi dzwonek, ogon pomalował na żółto, a łapy i pysk na szkarłatne; do nóg przywiązał świńskie pęcherze, do grzbietu gęsie skrzydła i tak przystrojonego puścił na pałacowy dziedziniec. W pewnym momencie August przypomniał sobie swego ulubieńca. „Tyfon! Tyfon! - zaczął wołać. - Gdzie jesteś?” Patrzy, aż tu jakiś dziwaczny potwór zatacza się od strony bramy. Był to jeden z najkomiczniejszych momentów tak zwanego Złotego Wieku. Ponieważ jednak zdarzyło się to podczas świąt Saturna, August wziął żart za dobrą monetę. Herod miał oblaskawionego węża, którego nauczył chwycić myszy. Nosił go zazwyczaj pod ubraniem i podczas lekcji, kiedy nauczyciel obrócił się do tablicy, wypuszczał ku wielkiej uciechu kolegów. W ogóle Herod tak absorbował uwagę klasy, że wreszcie odebrano go ze szkoły. Miał się uczyć razem ze mną pod kierunkiem Atenodora, mego białobrodego opiekuna z Tarsu. Początkowo usiłował płatać figle i Atenodorowi, ale skoro spostrzegł, że ten traktuje jego wybryki z pobłażliwym uśmiechem, a ja, będąc bardzo przywiązany do mego nauczyciela, nie zachęcam do nich, ustatkował się wkrótce. Herod posiadał bystry umysł, niezwykłą pamięć i szczególne zdolności do języków.

- Mam takie przeczucie, Herodzie - powiedział mu kiedyś Atenodor - że przyjdzie dzień, w którym zostaniesz powołany do objęcia najwyższej godności w swym ojczystym kraju. Powinieneś każdą godzinę młodości obrócić na przygotowanie się do tego zadania. Przy twoich zdolnościach możesz stać się równie potężnym monarchą jak twój dziadek Herod.

- Bardzo to piękne, Atenodorze - odrzekł Herod - ale cóż, kiedy ja mam tak liczną i tak przewrotną rodzinę. Nawet nie wyobrażasz sobie, co to za banda opryszków. Możesz rok podróżować po świecie i nie spotkasz gorszych drabów. Od czasu śmierci mojego dziadka, to jest od ośmiu lat, nie poprawili się, o ile mi wiadomo, ani trochę. Gdybym musiał powrócić do kraju, nie wiem, czy przeżyłbym pół roku. To samo mówił mój biedny ojciec, kiedy bawił w Rzymie

wychowując się w domu Azyniusza Polliona. I to samo powtarzał mój stryj Aleksander, który chował się razem z nim; obaj mieli rację. Stryj, który obecnie panuje w Judei, jest nieodrodnym potomkiem starego Heroda. Lecz gdy tamten wykazywał w swoich występkach pewną wielkość, ten jest tylko nikczemny. A moi stryjowie, Filip i Antypas, to para chytrych lisów.

- Jedynie cnota oprze się wielu zdrożnościom - odrzekł Atenodor. - Pamiętaj, że Żydzi są bardziej fanatycznie przywiązani do cnoty niż jakikolwiek inny naród. Jeżeli okażesz się cnotliwy, staną za tobą jak jeden mąż.

- Cnota żydowska jest inna niż greckorzymska, którą głosisz. Ale serdeczne dzięki za przepowiednię. Możesz liczyć na mnie, jeśli zostanę królem. Lecz dopóki nie zasiądę na tronie, nie mogę być bardziej cnotliwy niż reszta mojej rodziny.

Chcielibyście pewno, żebym wam jeszcze powiedział coś o charakterze Heroda. Na podstawie doświadczenia twierdzę, że ludzie przeważnie nie są ani cnotliwi, ani źli. Trochę tacy, trochę tacy - na ogół mierność bez znaczenia. Niewielu tylko posiada zdecydowanie krańcowy charakter. Ci zostawiają po sobie niezatarty ślad w dziejach. Podzieliłbym ich na cztery grupy. Do pierwszej zaliczyłbym czarne charaktery o kamiennych sercach. Ten typ doskonale reprezentuje Makron, komendant gwardii za Tyberiusza i Kaliguli. Następnie idą cnotliwi ludzie, również o kamiennych sercach; za przykład posłużyć może postrach mojego dzieciństwa, Katon Cenzor. Do trzeciej grupy należą ludzie cnotliwi o złotych sercach, jak stary Atenodor i mój biedny zamordowany brat Germanik. Ostatnią grupę stanowią bardzo rzadko spotykane okazy nicponiów o złotych sercach. Najdoskonalszym przedstawicielem tego typu był właśnie Herod Agryppa. Te nicponie o złotych sercach, te „antykatony”, okazują się w chwilach potrzeby najlepszymi przyjaciółmi. Człowiek nic dobrego się po nich nie spodziewa. Nie posiadają, jak sami przyznają, żadnych zasad i dbają tylko o własną korzyść. Lecz kiedy znalazłszy się w rozpaczliwym położeniu pójdziesz do takiego nicponia i powiesz mu: „Na litość boską, zrób dla mnie to a to”, zrobi

to bez najmniejszej wątpliwości. I nie poczyta tego za przyjacielską przysługę. Powie, że wyświadczył ci tę przysługę tylko dlatego, że dogadzało to jego własnym krętaskim planom. Nawet nie wolno mu wobec tego dziękować. Antykatony lubią uprawiać gry hazardowe i szastać pieniędzmi; lecz ostatecznie lepiej być kosterą i rozrzutnikiem niż żebrakiem. Przebywają ustawicznie w towarzystwie pijaków, morderców, filutów i oszustów, lecz rzadko upijają się sami, a jeśli zaaranżują jakieś skrytobójstwo, to można być pewnym, że zabitego nikt nie będzie bardzo żałował. Ofiarą ich oszustw padają raczej bogaci oszuści niż niewinna biedota; nie biorą też nigdy kobiety wbrew jej woli. Herod upierał się zawsze przy tym, że jest urodzonym szelmą.

- Mylisz się - twierdziłem ku jego irytacji. - Jesteś z gruntu uczciwym człowiekiem, który tylko udaje szelmę.

Na miesiąc czy dwa przed śmiercią Kaliguli rozmawialiśmy znowu na ten temat.

- Czy chcesz, żebym ci powiedział, kim jesteś? - zapytał.

- Zbyteczne - odrzekłem. - Jestem oficjalnym błaznem pałacowym.

- Są błazny, które usiłują robić wrażenie mądrych ludzi, i mądrzy ludzie usiłujący robić wrażenie błaznów, ale po raz pierwszy widzę błazna, który utrzymuje, że jest błaznem. Co do mnie, drogi przyjacielu, przyjdzie dzień, kiedy zobaczysz, jaki ze mnie będzie cnotliwy Żyd.

Po wygnaniu Postuma Herod zaprzyjaźnił się z synem Tyberiusza, Kastorem. Obaj młodzieńcy zasłynęli wkrótce jako najwięksi awanturnicy i hulaki w całym Rzymie. Prawie nie przestawali pić, a większą część nocy spędzali, jeśli wierzyć famie, na włożeniu i wyłożeniu przez okna i bójkach z nocną strażą tudzież z zazdrosnymi mężami i ojcami czcigodnych rodzin. Herod po dziadku, który odumarł go w siódmym roku życia, odziedziczył pokaźny majątek. Zaledwie jednak dostał pieniądze do rąk, przepuścił je i musiał zaciągać pożyczki. Najpierw pożyczał od swoich arystokratycznych przyjaciół - między innymi i ode mnie - a czynił to niby tak przypadkowo, że trudno było

później domagać się zwrotu. Kiedy już wyczerpał kredyt w tych kołach, zaczął pożyczać od bogatych rycerzy, którzy radzi byli, że mogą się przysłużyć zażyłemu przyjacielowi cesarskiego jedynaka. Po pewnym czasie jednak i ci zaczęli się niepokoić o zwrot swoich pieniędzy; wtedy Herod zwrócił się do wyzwolenców cesarskich kierujących finansami państwa, którzy, przekupieni, okazali gotowość udzielenia mu pożyczki ze skarbu. Herod zawsze umiał wytrząść jak z rękawa jakąś historię o bajecznych widokach, które go czekają w najbliższej przyszłości: raz miał przyrzeczone takie czy inne państwo na Wschodzie, kiedy indziej znów jakiś stary senator miał mu na łożu śmierci zapisać krocie tysięcy. Wreszcie wszystkie tak pomysłowo odkrywane źródła zaczęły wysychać. W tym właśnie czasie - Herod miał wtedy trzydzieści trzy lata - umarł Kastor, jak się później okazało, otruty przez swoją żonę, a moją siostrę Liwillę, i Herod musiał czmychać z Rzymu przed wierzycielami. Byłby się może osobiście zwrócił o pomoc do Tyberiusza, ale ten oświadczył publicznie, że nie życzy sobie widzieć żadnego z przyjaciół zmarłego syna; widok taki bowiem mógłby „odnowić ojcowską boleść”. W rzeczywistości Tyberiusz podejrzewał przyjaciół Kastora o należenie do spisku na jego życie. Spisek ten istniał oczywiście tylko w fantazji Sejana, który też wmówił w cesarza, że inicjatorem sprzysiężenia był Kastor.

Herod uciekł więc do Edom, ziemi swych przodków, i zamieszkał w jakiejś zrujnowanej twierdzy na pustyni. Była to jego pierwsza od czasów dzieciństwa bytność na Wschodzie. W tym czasie stryj jego Antypas był wielkorządcą, czyli, jak brzmiał właściwy tytuł, tetrarchą Galilei i Gilead. Państwo Heroda Wielkiego zostało bowiem podzielone pomiędzy jego trzech pozostałych przy życiu synów, a mianowicie: Antypasa, Archelaosa, którzy otrzymał Judeę z Samarią, i Filipa, tetrarchę Basanu, kraju leżącego za Jordanem, na wschód od Galilei. Wkrótce do twierdzy na pustyni przybyła żona Heroda, ubóstwiająca męża ponad wszystko księżna Cypros, i Herod zaczął nalegać, aby zwróciła się o pomoc do Antypasa, który był nie tylko jego

stryjem, lecz równocześnie szwagrem, ożenił się bowiem z siostrą Heroda, Herodiadą, rozwiedzioną z poprzednim mężem, również własnym stryjem. Antypas całkowicie ulegał Herodiadzie i chcąc coś od niego uzyskać, trzeba było przede wszystkim zwrócić się do niej. Ale na to właśnie Cypros nie chciała się zgodzić. Niedawno podczas pobytu Herodiady w Rzymie obydwie niewiasty posprzeczały się z sobą i Cypros przysięgła, że więcej słowem nie odezwie się do stryjenki. Zaklinała się więc teraz, że woli pędzić życie na pustyni, wśród barbarzyńskiego, lecz gościnnego ludu, niż upokorzyć się przed Herodiadą. Herod zaczął wtedy grozić, że popełni samobójstwo rzucając się z fortecznej wieży w przepaść. Osobiście jestem najgłębiej przekonany, że na całym świecie nie ma człowieka, któremu samobójcze zamiary byłyby bardziej obce niż Herodowi, Cypros jednak w końcu uwierzyła w szczerą pogroźkę, napisała do Herodiady list i przyznała się, że podczas ostatniej sprzeczki nie miała słuszności.

Herodiada, której dumę mile pogłaskała skrucza przeciwniczki, skłoniła męża, żeby zaprosił bratanka wraz z żoną do Galilei, gdzie Herod został urzędnikiem w Tyberiadzie, stołecznym mieście wzniesionym przez Antypasa ku czci Tyberiusza. Wkrótce jednak pokłócił się ze stryjem, człowiekiem dbałym o własne wygody, a skąpym, który, wyznaczwszy bratankowi skromny urząd i szczupłą pensyjkę, w przykry sposób wypominał wciąż swoje dobrodziejstwa. Pewnego razu w Tyrze, dokąd wyjechali razem na wywczasy, Antypas zaprosił Heroda z Cypros na biesiadę. Podczas dyskusji, która wywiązała się przy stole na temat prawa rzymskiego, Herod pozwolił sobie być odmiennego zdania niż stryj.

- Dziwię ci się, bratanku - oburzył się Antypas - że śmiesz spierać się ze mną, któremu zawdzięczasz, że masz co do ust włożyć!

- To oczywiście jest argument, jakiego można się po tobie spodziewać, stryju Antypasie - odparł Herod.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał rozgniewany tetrarcha.

- Tylko to, że jesteś ograniczonym gburem, równie źle wychowanym, jak nie mającym pojęcia o zasadach prawa panującego w cesarstwie, i równie nie mającym pojęcia o prawie, jak wstrętnym sknerą.

- Upiłeś się chyba! - wykrztusił purpurowy z gniewu Antypas.

- Tym gatunkiem wina, które ty podajesz, na pewno się nie upiłem. Zbyt dbam o własne nerki. Skądżeś, u licha, wy dostał taką lurę? Musiałeś sobie dobrze nałamać głowę, zanim wynalazłeś coś podobnego. Czy to wino nie pochodzi przypadkiem z tego okrętu, który, dość dawno temu zatonął w porcie i dopiero wczoraj został wydobyty? A może kazałeś popłukać wodą opróżnione amfory, zagotować te pomyje z wielbłądzim łajnem i rozlać do swych pięknych złotych czar?

Po tej rozmowie nie pozostawało oczywiście Herodowi nic innego, jak pognać z Cypros i dziećmi do portu i wskoczyć na pierwszy odchodzący statek. Statek płynął przypadkiem na północ, do Antiochii, gdzie namiestnik rzymski Flakkus ze względu na moją matkę Antonię przyjął Heroda bardzo uprzejmie. Ze zdziwieniem bowiem pewnie de dowiecie, że matka moja, ta cnotliwa matrona, która we własnym domu nie pobłażała żadnym zbytkom ani wybrykom, miała szczególną słabość do tego niepoprawnego urwisa. Miała jakby pewien rodzaj perwersyjnego podziwu dla jego awanturniczego życia, a Herod często przychodził zasięgać jej rady i ze szczerą skruchą spowiadał się z popełnionych szaleństw. Matka robiła zawsze zgorszona minę, lecz w gruncie rzeczy chętnie słuchała tych spowiedzi i pochlebiał jej szacunek okazywany przez Heroda. Choć nigdy nie starał się naciągać jej na pożyczki, ona sama pożyczala mu od czasu do czasu pokaźniejsze sumy pod warunkiem, że będzie żył statecznie. Trzeba przyznać, że część tych długów nawet zwrócił. Były to właściwie moje pieniądze, o czym Herod wiedział, i za każdym razem przychodził mi serdecznie podziękować, jakbym to ja mu dawał. Kiedyś zwróciłem matce uwagę, że może jest zbyt szczodrobliva dla Heroda. Odparła z gniewem, że jeśli pieniądze mają iść na marne, to niech je raczej z wytwornym

gestem przepuści Herod, niżbym ja miał je przegrywać w kości do swych podejrzanych przyjaciół w trzeciorzędnych knajpach. Była to aluzja do wielkiej sumy, którą rzekomo przegrałem, w rzeczywistości zaś pożyczyłem w tajemnicy Germanikowi, kiedy potrzebował pieniędzy na uśmierzenie buntu w armii nadreńskiej. Pewnego razu rozmawiając z Herodem wyraziłem zdziwienie, że tak cierpliwie słucha długich wywodów mojej matki na temat rzymskiej cnoty.

- Mam wielki szacunek dla twojej matki, Klaudiuszu - odparł. - I pamiętaj, że w głębi duszy jestem wciąż jeszcze nieucywilizowanym Edomitą; wielki zatem to dla mnie zaszczyt słuchać nauk rzymskiej matrony, której żywot jest równie nienaganny, jak pochodzenie znakomite. A poza tym mało kto w Rzymie mówi tak czystą łaciną jak ona. Jeżeli chodzi o właściwy szyk zdań podrzędnych i należyty dobór przymiotników, to z jednego kazania twojej matki odnoszę większą korzyść niż z wysłuchania całego kursu wykładów zawodowego gramatyka.

Namiestnik Syrii Flakkus służył swego czasu pod moim ojcem, znał przeto matkę, która towarzyszyła mężowi we wszystkich kampaniach, i miał dla niej wielki szacunek. Po śmierci ojca oświadczył się nawet o jej rękę, lecz matka odparła, że chociaż ma i zawsze mieć będzie dlań wiele sympatii i uważa go za swego najlepszego przyjaciela, nie wyjdzie powtórnie za mąż, chce bowiem pozostać wierną pamięci swego wielkiego małżonka. Poza tym Flakkus, tłumaczyła, jest od niej znacznie młodszy i ich małżeństwo wywołałoby niemiłe plotki. Flakkus musiał więc ze swych zamiarów zrezygnować. Korespondowali jednak ze sobą przez długie lata, aż do śmierci Flakkusa, który umarł cztery lata przed śmiercią matki. Herod, wiedząc o tym stosunku, często z uznaniem podnosił szlachetność, piękność i dobroć Antonii i w ten sposób pozyskał sobie przychylną syryjskiego namiestnika, który zresztą sam nie mógł uchodzić za wzór cnót. Sławny był w Rzymie jego zakład z Tyberiuszem o to, kto więcej wypije. Flakkus pił dzień i dwie noce, nie omijając żadnej kolejki. Wreszcie o świcie drugiego dnia ze względów kurtuazji uchylił się od ostatniego kubka i w

ten sposób pozwolił cesarzowi wygrać zakład. Tyberiusz jednak, jak opowiadają świadkowie tych zawodów, był już zupełnie wyczerpany, podczas gdy Flakkus mógł pić jeszcze przynajmniej przez parę godzin. Nic dziwnego, że teraz dobrze się czuł w towarzystwie Heroda. Nieszczęśliwy traf chciał jednak, że w Syrii bawił młodszy brat Heroda, Arystobul, a stosunki między braćmi nie były zgoła przyjacielskie. Herod obiecał kiedyś Arystobulowi udział w pewnej imprezie handlowej z Indiami i otrzymał odeń na ten cel odpowiednią sumę pieniędzy. Po pewnym czasie zawiadomił brata, że kapitał jego niestety przypadł, gdyż okręty wiozące towar zatoniły. Okazało się tymczasem, że okręty nie tylko nie zatoniły, lecz w ogóle nie wypływały z portu. Arystobul oskarżył teraz Heroda przed Flakkusem o oszustwo. Namiestnik o niczym nie chciał słyszeć. Jego zdaniem, oświadczył, Arystobul na pewno się myli posądzając brata o nieuczciwość, a on, Flakkus, nie życzy sobie nie tylko występować w tej sprawie jako sędziego, lecz w ogóle nadawać jej urzędowego biegu. Arystobul dał za wygraną, postanowił jednak mieć brata na oku; spostrzegł bowiem, że Herod gwałtownie potrzebuje pieniędzy, i podejrzewał, że spróbuje je zdobyć w jakiś mniej lub bardziej nieuczciwy sposób. Wtedy zamierzał uciec się do szantażu i zmusić Heroda do zwrotu wyłudzonej sumy.

W jakiś rok później Flakkusowi wypadło rozstrzygnąć spór graniczny pomiędzy Damaszkiem i Sydonem. Wiedziano powszechnie, że w tego rodzaju sprawach namiestnik polega na zdaniu Heroda, który posiadał nie tylko doskonałą znajomość wielu języków, ale i odziedziczoną po dziadku umiejętność orientowania się w gmatwaninie sprzecznych zeznań, jakie zazwyczaj składają przed sądem mieszkańcy Wschodu. Toteż damasceńczycy wysłali po kryjomu do Heroda deputację, która zaproponowała mu okazałą sumę pieniędzy w zamian za uzyskanie u Flakkusa pomyślnego dla Damaszku wyroku. Dowiedział się o tym Arystobul i kiedy spór rozstrzygnięto na korzyść popieranych przez Heroda damasceńczyków, udał się do brata i oświadczywszy mu, że wie o całej sprawie, zażądał zwrotu sumy wpłaconej ongiś jako udział

handlowy. Herod wpadł w taką wściekłość, że Arystobul ledwie umknął z życiem. Widząc, że groźbą szantażu nie wymusi od brata ani grosza, poszedł do Flakkusa, opowiedział całą historię i dodał, że lada dzień mają nadejść dla Heroda worki złota z Damaszku. Flakkus przejął cenną przesyłkę u bram miasta i posłał po Heroda. W tych warunkach Herod nie mógł zaprzeczyć, że pieniądze były istotnie przeznaczone dla niego jako wynagrodzenie za pomoc w sporze o granicę. Nie tracąc jednak rezonu prosił Flakkusa, aby łaskawie nie uważał tej sumy za łapówkę. Opinia, jaką wypowiedział w sądzie, była zgodna z prawdą: słusność mieli za sobą damasceńczycy. Dodał też, że również sydończycy wysłali doń deputację; oświadczył im jednak, że nie mają racji, nic więc nie może im pomóc.

- Prawdopodobnie Sydon ofiarował ci mniej niż Damaszek - zaśmiał się urągliwie Flakkus.

- Bądź łaskaw nie znieważać mnie - odparł Herod z miną skrzywdzonej cnoty.

- Protestuję przeciwko kupczeniu sprawiedliwością w sądzie rzymskim! - krzyknął wzburzony do głębi Flakkus.

- Sam sędziłeś tę sprawę, dostojny namiestniku.

- A ty mnie wystrychnąłeś na dudka w moim własnym trybunale! - pienił się Flakkus. - Między nami wszystko skończone. Ruszaj do stu diabłów, i to najkrótszą drogą!

- Obawiam się, że będzie to droga taenaryjska. Nie mam bowiem nawet obola, żeby opłacić Charona. - (Taenarum jest najbardziej na południe wysuniętym cyplem Peloponezu. Można się stamtąd dostać do podziemi drogą na przełaj, omijając Styks. Tamtędy to właśnie wyciągnął Herkules na ziemię Cerbera. Sprytni tubylcy grzebiąc swoich zmarłych nie wkładają im do ust tradycyjnej monety; wiedzą bowiem, że nie będą musieli opłacać przewozu.) - Zupełnie niepotrzebnie gniewasz się na mnie, Flakkusie - ciągnął dalej Herod. - Wiesz chyba dobrze, jak się sprawa istotnie przedstawia. Na myśl mi nie

przyszło, że źle postępuję. Pochodzę ze Wschodu i choć prawie trzydzieści lat spędziłem w Rzymie, trudno mi zrozumieć wasze szlachetne rzymskie skrupuły, gdy chodzi o tego rodzaju sprawę. Dla mnie przedstawia się ona całkiem prosto: damasceńczycy zaangażowali mnie w charakterze adwokata, a adwokaci biorą w Rzymie ogromne honoraria i nie przestrzegają tak sumiennie prawdy jak ja w tym wypadku. Wyświetliwszy należycie sprawę, tym samym dobrze wywiązałem się z zadania, jakim mnie obarczyli damasceńczycy. Cóż więc może komu szkodzić, jeśli przyjmę ofiarowane mi dobrowolnie pieniądze? Bynajmniej też nie opowiadałem o tym, jakobym miał wpływ na ciebie. O tej możliwości wspominali sami damasceńczycy; pochlebiło mi to i zdumiało zarazem. A jak często podkreślała Antonia, ta niezwykle mądra i piękna kobieta...

Lecz na próżno Herod powoływał się na moją matkę. Flakkus dał mu dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie miasta, zapowiadając, że jeśli po tym terminie Herod nie będzie już w drodze ku granicy syryjskiej, pociągnie go do odpowiedzialności karnej.

Rozdział II

- No i dokąd teraz ruszymy? - zwrócił się Herod do Cypros.

- Wszystko mi jedno dokąd - odparła żałośnie - bylebym tylko nie musiała zebrać w skrusze o czyjąś łaskę; wolę umrzeć niż pisać podobne listy jak ostatnio. Jak myślisz, czy Indie są położone dość daleko, żebyśmy tam nie spotkali naszych wierzycieli?

- Cypros, królowo moja! - zawołał Herod. - Wybrnęliśmy cało z tyłu przygód, wybrniemy i z tej również i dożyjemy sędziwego wieku w szczęściu i dostatkach. Obiecuję ci też solennie, że zatriumfujesz nad Herodiadą, zanim rozprawię się ostatecznie z nią i z jej mężem.

- Och, ta wstrętna nierządnicą! - zawołała Cypros z iście żydowskim oburzeniem. Nie można się dziwić temu oburzeniu, jeśli się pamięta, że Herodiada nie tylko popełniła kazirodztwo wychodząc za mąż za swego stryja, lecz rozwiodła się z nim, by poślubić drugiego, bogatszego i potężniejszego. Biorąc jednak pod uwagę, że małżeństwa stryjów z bratanicami były dość rozpowszechnione w królewskich rodach orientalnych - szczególnie partyjskich i armeńskich - a rodzina Herodów była pochodzenia nieżydowskiego, Żydzi byliby skłonni okazać dla tego kazirodczego związku pewną wyrozumiałość. Cięższym natomiast kamieniem obrazy był dla nich (jak ongiś dla Rzymian) rozwód. Rozwód poczytywano za ujmę zarówno dla mężczyzny, jak dla kobiety, i nikt, kogo przykre okoliczności zmusiły do tego kroku, nie uważał rozwodu za umożliwienie powtórnego małżeństwa. Herodiada jednak dość długo przebywała w Rzymie i podobne skrupuły wydawały jej się śmieszne. W Rzymie prędzej czy później każdy się rozwodzi. Trudno na przykład mnie nazwać rozpustnikiem, a przecież już trzykrotnie się rozwiodłem i może uczynię to po raz czwarty. U Żydów panują poglądy zupełnie odmienne; dlatego też Herodiada była w Galilei osobistością wielce niepopularną.

Arystobul tymczasem udał się do Flakkusa.

- Czy nie zechciałbyś - spytał - w uznaniu przysługi, którą ci oddałem, ofiarować mi wspaniałomyślnie skonfiskowanej Herodowi sumy? Pokryje ona wyłudzone przez niego swego czasu pieniądze.

- Nie oddałeś mi żadnej przysługi - odparł Flakkus. - Przeciwnie, poróżniłeś mnie z moim najzdolniejszym doradcą, którego brak odczuwam bardziej, niżby to się mogło na pierwszy rzut oka wydawać. Dla podtrzymania powagi urzędu musiałem Heroda oddalić; ambicja nie pozwalała mi się cofnąć; lecz gdybyś nie był odkrył tej łapówki, nikomu nie stałoby się nic złego, a ja miałbym pod ręką człowieka, którego rady mógłbym zasięgać w tutejszych sprawach. Są one bowiem tak diabelnie pogmatwane, że prostolinijnie myślący Europejczyk, jak ja, nie potrafi się w nich zorientować. Herod ma tę orientację już we krwi; w tych wypadkach, w których mnie się zaledwie niewyraźnie majaczy, jak należy postąpić, on instynktownie natrafia na właściwą drogę, choć krócej ode mnie przebywał na Wschodzie.

- A czy ja nie potrafiłbym zastąpić Heroda? - spytał Arystobul.

- Ty, mały człowieczku? - wzgardliwie skrzywił się Flakkus. - Nie. Ty nie masz tego wyczucia co Herod. A co ważniejsze, nigdy go nie będziesz miał. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- A co będzie z pieniędzmi?

- Nie dostanie ich Herod, a tym bardziej ty. Żeby jednak nie było między nami żadnego kamienia obrazy, odeślę je z powrotem do Damaszku. - Flakkus rzeczywiście uczynił, jak zapowiedział, wywołując w damasceńczykach przekonanie, że namiestnik syryjski niechybnie oszalał.

Arystobul pobyl jeszcze miesiąc w Antiochii, a widząc, że całkiem stracił łaski, postanowił przesiedlić się do Galilei, gdzie posiadał majątek leżący o jakiś dzień drogi od Jerozolimy. Obiecywał więc sobie, że będzie odwiedzał stolicę podczas wszystkich ważniejszych świąt żydowskich; przewyższał bowiem religijnością pozostałych członków rodziny. Nie chciał jednak zabrać z sobą

wszystkich pieniędzy w obawie, że gdyby się przypadkiem poróżnił z Antypasem i musiał uciekać z Galilei, cały majątek przypadłby stryjowi. Za pośrednictwem antiochijskiej firmy bankowej przekazał więc mnie, jako zaufanemu przyjacielowi rodziny, większą część gotówki i prosił, żebym przy odpowiedniej sposobności ulokował tę sumę w jakiejś posiadłości ziemskiej.

Herod nie mógł wrócić do Galilei ani udać się do Basanu, gdyż pokłócił się z tamtejszym tetrarchą, swoim stryjem Filipem, który przywłaszczył sobie bezprawnie część jego dziedzictwa po ojcu. Nie było też mowy o Judei i Samarii. Kraje te przypadły w udziale najstarszemu ze stryjów Heroda. Okazał się on jednak tak złym władcą, że został złożony z urzędu, a państwo zamieniono w prowincję rzymską. Władzę namiestnika sprawował tam Poncjusz Piłat, jeden z wierzycieli Heroda. Pozostać w Edom Herod nie miał najmniejszej ochoty - nie był zupełnie amatorem pustyń. Nie mógł też liczyć na serdeczne przyjęcie ze strony żydowskiej kolonii w Aleksandrii. Żydzi aleksandryjscy byli bodaj jeszcze bardziej ortodoksyjni niż ich rodacy w Jerozolimie, a Herod skutkiem długiego pobytu w Rzymie nabrał bardziej liberalnych zwyczajów, a zwłaszcza w dziedzinie gastronomicznej. Stare prawo Mojżesza zakazywało Żydom - ze względów, jak przypuszczam, higienicznych - spożywania wielu całkiem zwykłych potraw. Nie zezwalano nie tylko na wieprzowinę, co by się może łatwiej dało usprawiedliwić, ale również na zające i króliki, które dostarczają przecież mięsa całkiem zdrowego. Poza tym zwierzęta przeznaczone do jedzenia należy uśmiercać w specjalny sposób. Nie wolno więc spożywać Żydom dzikiej kaczki zabitej z procy; kapłona, któremu ukręcono głowę, ani żadnej zwierzyny ustrzelonej z łuku. Zwierzę przeznaczone na stół żydowski musi mieć przeciętą gardziel i skonać z upływu krwi. Z innych zwyczajów wspomnieć jeszcze muszę o święceniu każdego siódmego dnia, który jest dniem zupełnego odpoczynku. Nie wolno wtedy wykonać najlżejszej nawet pracy; nie wolno ugotować posiłku ani napalić w piecu. Mają też Żydzi dni narodowej żałoby, które przypadają na rocznice dawnych klęsk, a często zbiegają się z

rzymskimi świętami. Dopóki Herod przebywał w Rzymie, nie mógł być równocześnie ortodoksyjnym Żydem i cieszyć się popularnością w wyższych sferach towarzyskich. Wolał więc z dwojga złego narazić się na wzgardę swych ziomków niż Rzymian. Dlatego też obecnie postanowił nie próbować szczęścia w Aleksandrii ani nie mitrzyć dłużej na Bliskim Wschodzie, gdzie wszystkie drzwi były przed nim zamknięte. Raczej już gotów był schronić się w Partii lub wrócić do Rzymu. W pierwszej byłby mile widzianym gościem, partyjski król bowiem chętnie by się nim posłużył w swoich planach skierowanych przeciw naszej prowincji syryjskiej. W Rzymie mógłby szukać protekcji u mojej matki i przy jej pomocy załagodzić nieporozumienie z Flakkusem.

Plan udania się do Partii Herod po pewnym namyśle odrzucił. Byłoby to zupełne zerwanie z dotychczasowym życiem, czego sobie bynajmniej nie życzył, więcej miał bowiem zaufania do potęgi Rzymu niż Partii; zresztą brakowało mu pieniędzy na łapówki dla straży granicznej, która miała rozkaz zatrzymywania wszystkich zbiegów politycznych. W tych warunkach wszelka próba przedostania się za Eufrat byłaby krokiem bardzo nierozważnym. Tak więc ostatecznie Herod zdecydował się na Rzym. Zaraz się dowiecie, po jakich przygodach tam się dostał.

Herod prowadził w Antiochii życie na wysokiej stopie - i na kredyt. Kiedy mu przyszło opuścić Syrię, nie miał nawet czym zapłacić miejsca na statku. Wprawdzie Arystobul ofiarował się z pożyczką, która by wystarczyła na kosztą podróży do Rodos, zbyt poniżające jednak było skorzystanie z tej propozycji. Zresztą Herod nie chciał ryzykować podróży statkiem w dół Orontesu z obawy, że w porcie aresztują go wierzycciele. Nagle przypomniał sobie, że przecież istnieje człowiek, od którego można by pożyczyć niewielką sumę pieniędzy. Człowiekiem tym był dawniejszy niewolnik matki Heroda. Zapisała go ona w testamencie mojej matce, przez którą wyzwolony osiedlił się w Akrze, nadbrzeżnym mieście położonym na południe od Tybru. Pośredniczył tam w handlu zbożem i wiodło mu się wcale dobrze, a procent od zysków

sumiennie przesyłał mojej matce. Niestety, droga do Akry prowadziła przez terytorium Sydonu, a ponieważ Herod przyjął podarunki zarówno od damasceńczyków, jak od sydończyków, nie miał najmniejszej ochoty wpaść w ręce tych ostatnich. Wysłał tedy do Akry zaufanego wyzwolenca, a sam w przebraniu umknął z Antiochii w kierunku wschodnim, tym właśnie, o którego obranie nikt go nie podejrzewał. Podróż odbył na skradzionym wielbłądzie, a wydostawszy się raz na Pustynię Syryjską zatoczył wielki łuk i omijając zarówno Ba sań, należący do jego stryja, tetrarchy Filipa, jak Petrę, czyli Gilead, gdzie rządził Antypas, dostał się wreszcie do Edom. Tu, serdecznie powitany przez swoich półdzikich rodaków, zamieszkał znowu w tej samej zrujnowanej twierdzy i oczekiwał pieniędzy. Wyzwolencowi udało się uzyskać pożyczkę w wysokości dwudziestu tysięcy drachm attyckich, czyli ponad dziewięć tysięcy naszych aureusów. To znaczy, na tą sumę opiewał wystawiony przez Heroda i wręczony akryjskiemu faktorowi rewers. Wyzwoleniec otrzymał jednak tylko sześć tysięcy pięćset aureusów. Okazało się bowiem, że Herod kiedyś naciągnął eks-niewolnika swojej matki na półtrzecia tysiąca i ten teraz potrafił tę sumę z pożyczki. Wyzwoleniec miał pewne obawy, jak Herod będzie się zapatrywał na tego rodzaju transakcję, lecz ten się tylko roześmiał.

- Półtrzecia tysiąca już z góry uwzględniłem w rachunku rzekł. - Gdyby ten sknera nie uważał, że postąpił niezmiernie sprytnie, pokrywając rewersem dawną należność, nigdy by mu nie przyszło do głowy pożyczyć mi pieniędzy; wie bowiem niewątpliwie, w jakich znajduję się opałach.

Herod, wydawszy pożegnalną ucztę dla całego plemienia, wyruszył z zachowaniem wszelkich środków ostrożności do Antedonu - portu leżącego opodal filistyńskiej Gazy, w miejscu gdzie wybrzeże wygina się na zachód ku Egiptowi. Tutaj na pokładzie handlowego stateczku, który zabrał ich z Antiochii, czekała Cypros z dziećmi. Wedle umowy kapitan miał drogą na Egipt i Sycylię zawieźć ich dalej aż do Italii. Zaledwie jednak tak szczęśliwie znowu połączona rodzina zdołała się sobą nacieszyć, ukazała się łódź wioząca sierżanta

i dwu rzymskich żołnierzy. Wszedłszy na pokład sierżant pokazał rozkaz uwięzienia Heroda, podpisany przez tamtejszego komendanta. Jako przyczynę aresztowania wymieniono w dokumencie niezapłacenie długu w wysokości dwunastu tysięcy aureusów, które Herod pożyczył swego czasu z prywatnej szkatuły cesarskiej.

- Biorę to za dobrą wróżbę - rzekł Herod do Cypros, przeczytawszy dokument. - Skarbnik zmniejszył mi dług z sumy czterdziestu tysięcy do dwunastu. Musimy po przyjeździe do Rzymu wydać na jego cześć wielką ucztę. Wprawdzie podczas pobytu na Wschodzie oddałem mu wiele przysług, ale dwadzieścia osiem tysięcy to doprawdy wspaniały rewanż.

- Wasza wysokość wybaczy - wtrącił sierżant - ale nie pora mówić o ucztach w Rzymie przed spotkaniem z namiestnikiem. Otrzymał on rozkaz niewypuszczania waszej wysokości przed zapłaceniem długu.

- Ależ oczywiście! Zapłacę - uspokoił go Herod. - To drobnostka, która mi całkiem wypadła z pamięci. Teraz ruszaj z powrotem i oświadczyć jego ekscelencji panu namiestnikowi, że jestem w zupełności na jego usługi. Niestety, jego uprzejme przypomnienie o pożyczce przyszło trochę nie w porę. Dopiero co, po sześciotygodniowej rozłące spotkaliśmy się z moją kochaną małżonką, księżną Cypros. Czy jesteś żonaty, sierżancie? No to rozumiesz, jak wielką mamy ochotę pozostać teraz trochę sam na sam. Jeżeli nam nie dowierzasz, zostaw na pokładzie swoich dwu żołnierzy. Za trzy, cztery godziny możesz powrócić, a wtedy chętnie będziemy ci towarzyszyć. A teraz pozwól sobie wyrazić moją wdzięczność - i Herod wsunął sierżantowi do ręki sto drachm. Sierżant, nie czyniąc już dłużej żadnych wstrętów, zostawił swoich żołnierzy, a sam wsiadłszy do łodzi powiosłował w kierunku brzegu. Herod odczekał jeszcze godzinę czy dwie, aż do zmierzchu; następnie przeciął liny kotwiczne i statek wypłynął na pełne morze. Najpierw Herod zamierzał popłynąć na północ do Azji Mniejszej, ale wnet zmienił plan i skierował statek na południowy zachód. Postanowił spróbować, czy mu się nie poszczęści u

Żydów aleksandryjskich.

Obydwaj żołnierze za zachętą majtków siedli do gry w kości i ani się spostrzegli, jak w pewnym momencie schwycono ich, związano i zakneblowano im usta. Kiedy niebezpieczeństwo pościgu przestało już grozić, Herod kazał ich uwolnić i obiecał, że jeśli zachowają się rozsądnie, wysadzi żywych i całych na ląd w Aleksandrii. Żądał tylko, żeby przez dzień czy dwa po przybyciu towarzyszyli mu w charakterze eskorty wojskowej; w zamian przyrzekł zapłacić kosztą podróży powrotnej do Antedonu. Żołnierze czym prędzej wyrazili zgodę, przerażeni, że w razie odmowy zostaną wrzuceni do morza.

Powinienem wspomnieć, że w ucieczce z Antiochii pomógł Cypros i dzieciom niejaki Silas, Samarytanin, oddany Herodowi duszą i ciałem. Był to człek w średnim wieku, o posępnym wejrzeniu, atletycznej budowie i olbrzymiej, czarnej, kwadratowo przyciętej brodzie. Swego czasu służył jako oficer w jeździe tubylczej, brał udział w wyprawie przeciw Partom i posiadał z tego okresu dwa orderzy wojskowe. Herod kilkakrotnie podejmował się wyrobić mu obywatelstwo rzymskie, Silas jednak uparcie odmawiał twierdząc, że zostawszy Rzymianinem musiałby na rzymską modłę ogolić brodę, a na to nie chciał przystać za żadną cenę. Silas miał zawsze w pogotowiu dobre rady, z których Herod nigdy nie korzystał. Toteż ilekroć ten ostatni popadał w tarapaty, Silas miał zwyczaj mówić:

- A co? Nie przepowiadałem ci tego? Trzeba było mnie słuchać.

Silas chełpił się bezwzględnością i pod względem taktu pozostawiał wiele do życzenia. Herod znosił go jednak, gdyż wiedział, że czy będzie na wozie, czy pod wozem, Silas go nigdy nie opuści. Silas był mu jedynym towarzyszem podczas pierwszej ucieczki do Edom i gdyby nie on, rodzina Heroda nigdy nie zbiegłaby z Tyru w dniu, kiedy Herod znieważył Antypasa. On to Herodowi, uciekającemu z Antiochii przed wierzycielami, dostarczył ubrania; on też później zaopiekował się Cypros i dziećmi i wynalazł dla nich statek. Kiedy sytuacja stawała się rozpaczliwa, Silas wpadał w

doskonały humor. Wiedział, że będzie potrzebny Herodowi i znajdzie sposobność do powiedzenia:

- Jestem całkowicie na twoje rozkazy, drogi przyjacielu, jeśli wolno mi cię tak nazwać, lecz nigdy by do tego nie doszło, gdybyś był słuchał rad moich.

W czasach pomyślności Silas posepniał z dnia na dzień i zdawało się, że z zalem wspomina dawne złe dni biedy i kłopotów. Jakby chcąc je przywołać, przestrzegał wciąż Heroda, że „na tej drodze” (bez względu na to, co to była za droga) dojdzie na pewno do ruiny. Ponieważ obecnie sytuacja była dość kiepska, Silas promieniał radością. Przekomarzał się z załogą i zabawiał dzieci opowiadaniem o długich i zawikłanych przygodach swego żołnierskiego żywota. Księżnie Cypros, która normalnie nie znosiła towarzystwa Silasa, obecnie wstyd było, że kiedykolwiek mogła być szorstka wobec tego zacnego, dobrodusznego przyjaciela.

- Żydzi mają wiele uprzedzeń do Samarytan - powiedziała pewnego dnia na statku - i ja wychowałam się w atmosferze tej niechęci. Musisz mi wybaczyć, Silasie, że trzeba było lat, żebym ją wreszcie teraz przezwyciężyła.

- Muszę cię przeprosić, księżno - odparł Silas. - Przeprosić z góry za swoją otwartość. Zechciej ją wybaczyć. Taki jestem z natury. Pozwolisz więc powiedzieć sobie, że gdyby twoi żydowscy przyjaciele i krewni na ogół mniej zadzierali nosa, a posiadali więcej miłości bliźniego, miałbym dla nich więcej sympatii. Pewien mój krewny wybrał się kiedyś w interesach handlowych z Jerozolimy do Jerycha. W drodze napotkał jakiegoś biednego Żyda, którego bandyci, obrabowawszy i poraniwszy, pozostawili półżywego na gościńcu. Nagi, zakrwawiony leżał w żarze słonecznych promieni. Mój krewniak obmył mu rany, obandażował, jak potrafił, wsadził na swego podjezdka i dowiózł do najbliższej oberży. Tam, ponieważ gospodarz domagał się zapłaty z góry, opłacił za rannego kilkudniowy pobyt, a w powrotnej drodze z Jerycha wstąpił po biedaka i pomógł mu dostać się do domu. Nie było zresztą w tym postępku nic nadzwyczajnego. My, Samarytanie, już tacy jesteśmy. Dziwniejszym jednak

musi się wydać, że o kilka minut wcześniej tą samą drogą jechało trzech czy czterech zamożnych Żydów, wśród nich jeden kapłan. Widzieli oni człowieka leżącego w kałuży krwi i wołającego żałośnie o pomoc, ponieważ jednak był to nieznajomy, przejechali mimo, pozostawiając rannego jego własnemu losowi. Oberżysta, który również był Żydem, wytłumaczył memu krewnemu postępowanie swoich rodaków: nie chcieli - mówił - opatrzyć rannego w obawie, aby nie skonał im na rękach. Przez dotknięcie trupa bowiem strefniliby się, czyli stali się nieczyści w znaczeniu religijnym, a to pociągnęłoby za sobą wiele kłopotów dla nich i dla ich rodzin. Zwłaszcza kapłan, dodał oberżysta, który prawdopodobnie udawał się do Jerozolimy, żeby złożyć ofiarę w świątyni, nie mógł zaryzykować strefnienia się. Chwała Bogu - zakończył Silas swą opowieść - jestem Samarytaninem; u mnie co w sercu, to i na języku. Ja...

- No cóż, moja droga? - przerwał mu Herod. - Czyż to nie wysoce pouczająca historia? Pomyśleć tylko, że gdyby ten biedak był Samarytaninem, byłby uniknął niebezpiecznej przygody. Zbójcom nie opłaciłoby się napadać na człowieka dla paru groszy.

Przybywszy do Aleksandrii Herod w towarzystwie Cypros, dzieci i dwu żołnierzy złożył wizytę naczelnikowi gminy żydowskiej, niejakiemu Alabarchowi, który był urzędnikiem odpowiedzialnym wobec namiestnika za lojalne zachowanie się swoich współwyznawców, przestrzegał regularnego opłacania przez nich podatków i pilnował, aby nie wszczynali burd ulicznych z Grekami lub w inny sposób nie naruszali spokoju publicznego. Herod, przywitawszy Alabarcha z wyszukaną uprzejmością, poprosił go o pożyczkę w wysokości ośmiu tysięcy aureusów, a w zamian przyrzekł użyć swoich wpływów na dworze cesarskim dla obrony interesów Żydów aleksandryjskich. W Edom, opowiadał, gdzie bawił ostatnio z wizytą u swoich krewnych, otrzymał list od cesarza Tyberiusza. Cesarz domaga się, aby natychmiast przybył do Rzymu, chce bowiem zasięgnąć jego rady w sprawach Wschodu. Chcąc uczynić zadość cesarskiemu życzeniu, wyruszył w drogę tak pośpiesznie,

że nie zdołał zabrać z sobą dostatecznej ilości pieniędzy. Fakt, że podróżował pod eskortą żołnierzy rzymskich, zdawał się poświadczać prawdę opowiadania i Alabarch zdecydował, że dobrze byłoby mieć w Rzymie wpływowego przyjaciela. Ostatnio znowu wydarzyły się w mieście zamieszki, wywołane przez Żydów, i Grecy ponieśli poważne straty materialne. Tyberiusz mógł się więc okazać skłonny do ograniczenia dość znacznych przywilejów, którymi cieszyli się Żydzi.

Aleksander Alabarch był starym przyjacielem naszej rodziny. Administrował nieruchomościami, które matka moja odziedziczyła w Aleksandrii po dziadku, Marku Antoniuszu. August, choć przeważną część zapisów Antoniusza unieważnił, ten ze względu na moją babkę Oktawie zatwierdził. Nieruchomości aleksandryjskie stanowiły posag mojej matki, a następnie siostry Liwilli, kiedy wychodziła za mąż za syna Tyberiusza, Kastora. Liwilla jednak, która prowadząc życie na bardzo wysokiej stopie wciąż potrzebowała pieniędzy, sprzedała wkrótce spadek po dziadku. Alabarch przestał więc być naszym administratorem i korespondencja pomiędzy nim a moją matką stopniowo się urwała. A chociaż obecne swe stanowisko zawdzięczał poparciu mojej matki i mógł stąd wnioskować o jej życzliwości, nie był przecież pewien, do jakiego stopnia może liczyć na protekcję Antonii w razie politycznych kłopotów. Wiedział natomiast dobrze, że Herod był swego czasu w zażyłych stosunkach z naszą rodziną, i chętnie by służył mu pożyczką, gdyby miał pewność, że zażyłość ta istnieje w dalszym ciągu. Tego właśnie nie wiedział. Zaczął więc wypytywać gościa o moją matkę, a Herod, który z góry przewidział całą sytuację i przezornie nie wspomniał ani słowem o swojej protektorce, odparł, że wnosząc z ostatnich wiadomości, jakie od niej otrzymał, Antonia cieszy się najlepszym zdrowiem. Ma nawet przypadkiem z sobą, mówił, jeden z jej listów, pisany tuż przed jego wyjazdem z Antiochii. List ten, utrzymany w serdecznym tonie i zawierający wiele nowinek rodzinnych, pokazał Alabarchowi, a pismo mojej matki wywarło większe wrażenie niż

eskorta wojskowa. List jednak kończyła Antonia słowami nadziei, że Herod może wreszcie się ustatkuje i zacznie pożytecznie pracować jako doradca polityczny jej wielce poważanego przyjaciela Flakkusa. Tymczasem Alabarch, który miał od swych antiochijskich przyjaciół wiadomości, że Herod poróżnił się z Flakkusem, nie był pewien, czy rzeczywiście Tyberiusz listownie zapraszał księcia. Kiedy wreszcie po pewnym wahaniu zdecydował się pożyczyć pieniędzy, jeden z porwanych żołnierzy, rozumiejący nieco po hebrajsku, odezwał się:

- Daj mi tylko osiem aureusów, Alabarchu, a zaoszczędzisz osiem tysięcy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Alabarch.

- To, że ten człowiek jest oszustem zbiegłym przed sprawiedliwością. Nie jesteśmy jego eskortą, porwał nas przemocą. Istnieje rozkaz cesarski, aby uwięzić go za wielkie długi, których narobił w Rzymie.

Sytuację ocaliła Cypros, z płaczem padając Alabarchowi do nóg.

- Zaklinam cię na dawną przyjaźń z moim ojcem Fazaelem! - błagała. - Miej litość nade mną i nad moimi dziećmi! Nie skazuj nas na ostateczną nędzę! Mój mąż nie popełnił żadnego oszustwa. Wszystko, co opowiedział, jest w gruncie rzeczy prawdą, może tylko w szczegółach trochę ubarwioną. Udajemy się rzeczywiście do Rzymu i w związku z ostatnimi zmianami politycznymi jesteśmy pełni najlepszych nadziei. Pożycz nam tyle pieniędzy, żebyśmy mogli wyostać się z chwilowych trudności, a Bóg naszych ojców wynagrodzi ci tysiąckrotnie. Dług, z powodu którego Herod miał zostać aresztowany, to pozostałość z czasów jego młodzieńczej lekkomyślności. Kiedy tylko staniemy w Rzymie, znajdziemy uczciwe środki, aby uiścić tę należność. Lecz jeśli dostaniemy się w ręce nieprzyjaciół, których Herod posiada w rządzie Syrii, przepadniemy nieodwołalnie i my, i dzieci.

Wierność, z jaką Cypros dzieliła niedolę swego małżonka, wzruszyła Alabarcha do łez; zwrócił się do księżnej i uprzejmie, choć podejrzliwie zapytał:

- A czy małżonek twój przestrzega praw Mojżeszowych?

Herod, spostrzegłszy wahanie żony, sam zabrał głos:

- Chciej pamiętać, że w żyłach moich płynie krew edomicka. Trudno stawiać takie same wymagania Edomicie jak Żydowi. Edomici i Żydzi są braćmi po wspólnym przodku Izaaku, ale niech każdy Żyd, chępiący się szczególną łaską Boga dla wybranego narodu, wspomni wpierw, jak Jakub, przodek Żydów, podstępnie wyłudził od Ezawa, przodka Edomitów, prawo pierworodztwa i błogosławieństwo ojcowskie. Nie bądź zbyt bezwzględny, Alabarchu. Okaż więcej współczucia znękanemu i biednemu Edomicie niż swego czasu Jakub, bo - na Boga ojców moich! - pierwsza łyżka czerwonej soczewicy, którą weźmiesz do ust, napełni cię odrazą. Straciliśmy prawo pierworodztwa, a wraz z nim szczególniejszą łaskę bożą. Chciejcie nam w zamian okazać tyle wspaniałomyślności, na jaką nas zawsze było stać. Wspomnij wielkoduszność Ezawa, który nie zabił Jakuba spotkanego przypadkiem w Penial.

- Lecz czy przestrzegasz praw Mojżeszowych? - nalegał Alabarch, choć płomienna wymowa Heroda wywarła na nim wrażenie, a na historyczne argumenty nie miał żadnej odpowiedzi.

- Jestem obrzezany i takó¿ obrzezane są moje dzieci. A Księgi Praw, objawionej waszemu przodkowi Mojżeszowi, przestrzegałem wraz z całym moim domem tak pilnie, jak tylko mogliśmy to czynić, będąc w trudnej sytuacji obywateli rzymskich i mając niedoskonałe sumienia Edomitów.

- Nie ma dwu dróg dla sprawiedliwego - odrzekł sucho Alabarch. - Albo się przestrzega praw Księgi, albo je się łamie.

- Czytałem, że Pan pozwolił kiedyś nawróconemu Syryjczykowi Naamanowi towarzyszyć królowi swemu w składaniu ofiar w świątyni pogan. I Naaman okazał się wiernym przyjacielem Żydów. Czyż nie tak?

- A jeśli pożyczę ci żadaną sumę - spytał Alabarch - czy przysięgniesz mi na imię Pana, któremu niech będzie chwała wieczysta, że wedle możliwości swojej będziesz przestrzegał praw jego i kochał lud jego, i ani czynem żadnym, ani zaniedbaniem uczynku nie zgrzeszysz przeciw jego majestatowi?

- Przysięgam ci na najświętsze imię jego - rzekł Herod - i biorę żonę swą Cypros i dziatki swe na świadków, że od dnia dzisiejszego będę czcił Pana z całej duszy i ze wszystkich sił moich; że będę niezmiennie kochał i osłaniał lud jego. A jeśli kiedykolwiek świadomie, w zatwardziałości serca mego złamię przysięgę, niechaj robaki, które stoczyły mego dziadka Heroda, stoczą mnie za życia.

Tak więc Herod dostał pieniądze. Opowiadając mi później o tej przygodzie, zauważył:

- Znajdowałem się w takiej opresji, że byłbym przysięgł zrobić wszystko, czego ode mnie zażądają, byleby tylko dostać pieniądze.

Alabarch jednak postawił dwa warunki. Po pierwsze, Herod miał otrzymać teraz tylko połowę żądanej sumy, a właściwie jej równoważnik w srebrze. Drugie cztery tysiące zostaną mu wypłacone po przybyciu do Italii. Pomimo wszystko bowiem Alabarch nie całkiem dowierzał Herodowi i obawiał się, aby ten dostawszy pieniądze nie czmychnął do Maroka lub Arabii. Po drugie, Cypros miała zabrać dzieci do Jerozolimy, aby wyrosły tam na dobrych Żydów pod opieką samego arcykapłana, szwagra Alabarcha. Na ten ostatni warunek Herod z Cypros zgodzili się tym chętniej, iż wiedzieli, jakie niebezpieczeństwa grożą w Rzymie ładnym chłopcom i dziewczynkom z dobrych rodzin ze strony rozpustnego zwyrodnialca Tyberiusza. Stało więc na tym, że Cypros, odwiózłszy dzieci do Jerozolimy, miała przyjechać do męża do Rzymu.

Herod postanowił udać się do Aleksandrii i pożyczyć pieniądze od Alabarcha na wiadomość o upadku Sejana, którą przywiózł wyzwoleniec wysłany do Akry. Wiadomość ta znalazła w Aleksandrii potwierdzenie. Sejan, który był najbardziej zaufanym ministrem Tyberiusza, spiskował, jak się okazało, z moją siostrą Liwillą. Zamierzali oni zgładzić cesarza i zagarnąć władzę w swoje ręce. Spisek odkryła moja matka i uprzedziła Tyberiusza, a ten przy pomocy mego bratanka Kaliguli i wyzutego z wszelkich uczuć nędznika

Makrona szybko uporał się z Sejanem. Przy tej sposobności odkryto, że Liwillą otruła przed siedmiu laty swego męża Kastora i że Kastor nigdy nie spiskował przeciw ojcu, lecz został niewinnie oczerniany przez Sejana. Wobec tego Tyberiusz cofnął zakaz dopuszczania do siebie przyjaciół Kastora, a protekcja mojej matki stała się bardziej cenna niż kiedykolwiek. Gdyby nie te okoliczności, Herod nie byłby tracił czasu na upokarzające pertraktacje z Alabarchem. Żydzi potrafią być wprawdzie wspaniałomyślni, lecz są bardzo przezorni. Pożyczają swym współplemieńcom, kiedy ci nie z własnej winy wpadną w nieszczęście, i pożyczają bez procentu, gdyż zakazują im tego prawa Mojżeszowe. Jediną nagrodą bywa dla nich w tych wypadkach zadowolenie moralne. Nie pożyczą jednak ani grosza nie-Żydowi, choćby ten konał z głodu, a tym bardziej Żydowi, który przyjąwszy na obczyźnie cudzoziemskie zwyczaje sam się postawił, jak mówią, „poza nawiasem społeczności żydowskiej”. Chyba że mają pełną gwarancję, iż szlachetność sownie im się opłaci.

Rozdział III

Ani matka, ani ja nie wiedzieliśmy nic o powrocie Heroda do Italii, aż pewnego dnia otrzymaliśmy odeń w pośpiechu nakreślony list, w którym uprzedzał, że ma zamiar odwiedzić nas, i niejasno zaznaczał, że liczy na naszą pomoc; znajduje się bowiem w bardzo krytycznym położeniu finansowym.

- Jeśli mu chodzi o pożyczkę - zauważyłem - to odpowiedź usłyszysz dość krótką, bo nam samym brak pieniędzy.

Jak wspomniałem w poprzedniej swej książce, nie mieliśmy istotnie w tym czasie pieniędzy do wyrzucenia. Lecz matka się oburzyła:

- To bardzo nieładnie, mój Klaudiuszu, stawiać sprawę w ten sposób. Zawsze byłeś gburem. Jeżeli Herod znalazł się w ciężkim położeniu i potrzebuje pieniędzy, musimy je dla niego w jakiś sposób zdobyć. Jestem winna to pamięci jego matki, kochanej Bereniki. Pomimo swych cudzoziemskich obyczajów i wierzeń Berenika była moją najlepszą przyjaciółką. A jaką świetną gospodynią!

Matka nie widziała Heroda od siedmiu lat i całkiem wyraźnie odczuwała brak jego towarzystwa. Utrzymywali jednak ze sobą korespondencję i Herod bardzo sumiennie donosił matce o wszystkich swoich kolejnych kłopotach. A opisywał je w tak dowcipny sposób, że czytało się jego listy jak jakiś najbardziej zajmujący grecki romans awanturniczy. Najweselszy z tych listów był może ten, który napisał z Edom, wkrótce po opuszczeniu Rzymu; opowiadał w nim, jak to jego słodka, kochana, naiwna Cypros starała się go odwieść od samobójczego zamiaru zeskoczenia z murów fortecy... I miała zupełną rację - kończył - wieża była rzeczywiście wysoka.” Jeden z ostatnich listów, pisany również z Edom, kiedy czekał na pieniądze z Akry, utrzymany był w tym samym żartobliwym tonie. Herod opowiadał, jak pewnemu perskiemu kupcowi ukradł wielbłąda. Początkowo - pisał - myślał, że tak nisko upadł moralnie, napełniała go niezmiernym wstydem. Wkrótce jednak wstyd ustąpił miejsca błogiemu uczuciu

zadowolenia z oddanej bliźniemu przysługi. Wielbłąd bowiem okazał się siedliskiem siedmiu czartów, z których jeden gorszy był od drugiego. Co za ulgę musiał poczuć ów kupiec, kiedy obudziwszy się pewnego ranka stwierdził, że jego opętany wielbłąd zniknął razem z siodłem i uzdą. Podróż przez Pustynię Syryjską miał Herod tak koszmarną, jak tylko można sobie wyobrazić. Wielbłąd robił wszystkie wysiłki, aby nowy właściciel skrzył kark, skrupulatnie wykorzystywał w tym celu każde przejście przez wyschnięte koryto rzeki, każdy wąski górski przesmyk, a w nocy chciał śpiącego Heroda zdradziecko zatratować na śmierć. W liście z Aleksandrii Herod donosił, że wreszcie w Edom pozbył się wielbłąda, puszczając go po prostu luzem. Kiedy jednak wyruszył w dalszą drogę, bestia szła za nim ślad w ślad, aż do wybrzeża, a w ślepiach miała wyraz szczególnej złośliwości.

„Przysięgam ci, dostojna i czcigodna Antonio, przyjaciółko ma najdawniejsza i najszlachetniejsza dobrodziejko moja, że owego figla w Antedonie spłatałem namiestnikowi nie tyle z obawy przed wierzycielami, co ogarnięty panicznym lękiem przed wielbłądem. Gdybym się był dał zaaresztować, ten potwór usiłowałby na pewno się znaleźć w jednej ze mną celi.”

W liście znajdował się dopisek: „Moi edomiccy kuzyni są niepomiernie gościnni, lecz nie należy skąd wnioskować, iżby wszelkie pomiarkowanie było im obce. Oszczędność swoją posuwają do tego stopnia, że tylko w trzech wypadkach wkładają na siebie czystą szatę - kiedy biorą ślub, kiedy umierają i kiedy złupiwszy jakąś karawanę mogą się bezpłatnie zaopatrzyć w czyste płótno. Pranie jest wynalazkiem nie znanym w Edom.” Zajście z Flakkusem Herod przedstawił w jak najkorzystniejszym dla siebie świetle: cała sprawa, pisał, polegała tylko na nieporozumieniu. Oskarżał siebie o brak zastanowienia, a wychwalał Flakkusa jako człowieka obdarzonego wysokim poczuciem honoru, nadmiernym może nawet, jeśli godzi się użyć tego określenia - lud bowiem, nad którym sprawuje władzę, nie potrafi go należycie ocenić i uważa

raczej za dziwaka.

Pominięte w liście szczegóły opowiedział nam Herod osobiście, me lub prawie nic nie ukrywając. Wiedział bowiem, że otwarte przyznanie się do wszystkiego to najlepszy sposób postępowania z moją matką. Szczególnie ubawił ją - choć oczywiście udawała wielce zgorszona - historią o porwaniu żołnierzy i wykorzystaniu tej eskorty dla zamydlenia oczu Alabarchowi. Opowiedział nam też, jak w powrotnej drodze z Aleksandrii zaskoczyła statek straszna burza i jak wszystkich, z wyjątkiem jego i kapitana, choroba morska powaliła na pięć dni i pięć nocy. Przez cały ten czas kapitan tylko płakał i modlił się, pozostawiając kierowanie statkiem w rękach jednego, jedyne Heroda.

- Kiedy wreszcie - ciągnął dalej - statek nasz zaprzestał podskoków i podrygów, a ja, puszczając mimo uszu podziękowania i pochwały wracającej do zdrowia załogi, ujrzałem z przedniego pomostu skrzącą się w słońcu Zatokę Neapolitańską, oslepiającą biel cudnych świątyń i will na wybrzeżu i górującego nad tym wszystkim potężnego Wezuwiusza, którego szczyt dymił dobrotliwie niby domowe ognisko, to wyznam szczerze, że się rozplakałem. Zrozumiałem, że wracam do domu, do mojej pierwszej i najumiłowańszej ojczyzny. Przyszli mi na myśl wszyscy moi drodzy przyjaciele w Rzymie, z którymi dawno się rozstałem, a szczególnie ty, czcigodna, urocza i szlachetna Antonio. I oczywiście także ty, Klaudiuszu. Z jakąż radością, myślałem, będziemy się witać. Przede wszystkim jednak, rzecz prosta, musiałem się sam jakoś przyzwoicie urządzić. Nie wypadało mi przecież zjawić się u waszych drzwi niby żebrak lub ubogi klient proszący o wsparcie. Zaraz więc po wylądowaniu i zrealizowaniu przekazu, wystawionego przez Alabarcha na jeden z banków neapolitańskich, napisałem na Capri do cesarza prosząc, aby zaszczycił mnie audiencją. Udzielił jej łaskawie, oświadczając, że z radością się dowiedział o moim powrocie, i następnego dnia miałem z nim rozmowę, która nappełniła mnie wielką otuchą. Cesarz był początkowo w kwaśnym humorze, więc czułem się - ze wstydem wyznam - w obowiązku zabawienia go kilkoma azjatyckimi

dykteryjkami, których ze względu na waszą skromność pozwolę sobie tutaj nie powtarzać. Znacie przecież cesarza: człowiek o liberalnych poglądach, wolny od przesądów. Kiedy opowiedziałem mu jedną anegdotę, specjalnie w jego guście, rzekł: „Lubię takich jak ty, Herodzie. Chętnie powierzyłbym ci pewne bardzo odpowiedzialne stanowisko. Czy podjąłbyś się wychowywać mego jedyne go wnuka Tyberiusza Gemellusa, który bawi tu razem ze mną? Jako bliski przyjaciel jego ojca, na pewno mi nie odmówisz, a i chłopiec, jestem pewien, poczuje do ciebie sympatię. Jest to, muszę z przykrością stwierdzić, młodzieniec trochę posepny i melancholijny; przydałby mu się starszy, pełen życia, o otwartym usposobieniu towarzysz, z którego mógłby brać przykład.” Przenocowałem na Capri, a rano byliśmy z cesarzem w najdoskonalszej komitywie. Nie bacząc na przestrogi lekarzy pił ze mną całą noc. Myślałem już, że dawne szczęście powróciło na dobre, kiedy nagle ów włos, na którym tak długo nad moją biedną głową wisiał miecz Damoklesa, pękł. Z Antedonu nadszedł list, w którym ten idiota namiestnik donosił, że wydał rozkaz aresztowania mnie za niezapłacenie długu w wysokości dwunastu tysięcy, zaciągniętego w prywatnej szkatule cesarskiej. Pisał dalej, że „przez podstęp” uniknąłem aresztowania i umknąłem, porywając dwóch żołnierzy, którzy dotychczas jeszcze nie powrócili, a prawdopodobnie zostali zamordowani. Zapewniłem cesarza, że żołnierze są żywi; że bez mojej wiedzy zakradli się na statek, by odbyć podróż na gapę, i że nie pokazano mi żadnego rozkazu aresztowania mnie. Możliwe, mówiłem, że żołnierzy w tym celu wysłano, woleli jednak urządzić sobie wycieczkę do Egiptu. W połowie drogi do Aleksandrii znalazłem ich ukrytych pod pokładem. Z Aleksandrii odesłałem zbiegów bezzwłocznie do Antedonu, aby ponieśli zasłużoną karę.

- Herodzie Agryppo - odezwała się poważnym tonem matka. - Opowiadając to, popełniłeś świadome kłamstwo. Wstydzę się za ciebie bardzo.

- Nie tak bardzo jak ja sam - rzekł Herod. - Wiele razy powtarzałaś mi, że uczciwość to najlepsza polityka. Ale na Wschodzie wszyscy kłamią i każdy

odlicza na kłamstwo dziewięć dziesiątych tego, co słyszy. Na moment zdarzyło mi się zapomnieć, że wróciłem do kraju, gdzie odstępianie od prawdy na włos jest poczytywane za nieuczciwość.

- Czy cesarz ci uwierzył? - spytałem.

- Spodziewam się z całego serca, że tak. Bo zapytał mnie tylko: „A jak sprawa z długiem?” Wy tłumaczyłem, że była to całkiem formalna pożyczka, na którą dałem dobre zabezpieczenie, udzielona mi z prywatnej szkatuły. I tylko temu zdrajcy Sejanowi zawdzięczam, że z tego powodu wydano rozkaz aresztowania mnie. Pomówię, rzekłem, bezzwłocznie ze skarbnikiem i załatwię tę sprawę. Ale cesarz nie zadowolił się tym zapewnieniem. „Herodzie - rzekł - jeżeli długu tego nie uregulujesz w ciągu tygodnia, nie zostaniesz wychowawcą mojego wnuka.” Otóż wiecie, jak cesarz jest skrupulatny na punkcie długów zaciągniętych w prywatnej szkatule. Tak niedbałym tonem, na jaki tylko mogłem się zdobyć, zapewniłem, że dług będzie uregulowany w ciągu trzech dni. Ale jakby mi kto kamień położył na sercu. Od razu też napisałem do ciebie, moja droga dobrodziejko, myśląc, że może...

- To było bardzo brzydko z twojej strony, żeś okłamał cesarza - przerwała matka.

- Racja, zupełna racja - rzekł Herod udając głęboką skruchę. - Ty na moim miejscu byłabyś niewątpliwie powiedziała prawdę. Mnie, niestety, zabrakło odwagi. A do tego tych siedem lat na Wschodzie, spędzonych z dala od ciebie, mocno doprawdy nadwerżyło moje moralne zasady.

Matka nagle powzięła decyzję.

- Klaudiuszu - rzekła. - W jaki sposób możemy dostać bezzwłocznie dwanaście tysięcy? Co powiesz o liście, który dziś rano otrzymałeś od Arystobula?

Szczęśliwym dla Heroda zbiegiem okoliczności właśnie tego rana otrzymałem od Arystobula list, w którym prosił mnie, abym korzystając ze spadku cen ziemi, wywołanego brakiem gotówki, zakupił w jego imieniu jakąś

posiadłość wiejską. Równocześnie załączał przekaz bankowy na dziesięć tysięcy.

- Arystobul kupuje majątek? - zawołał ze zdumieniem Herod, kiedy mu matka opowiedziała treść listu. - A jakimże cudem doszedł on do dziesięciu tysięcy? Ten pozbawiony wszelkich zasad gałgan musiał najwidoczniej wykorzystać wpływ, jaki miał na Flakkusa, i obłowił się łapówkami dawanymi mu przez tubylców.

- W tym wypadku - rzekła moja matka - uważam, iż postąpił szkaradnie w stosunku do ciebie, donosząc memu przyjacielowi Flakkusowi o prezencie, który ci przysłali damasceńczycy za dzielną obronę ich sprawy. Miałam doprawdy lepsze wyobrażenie o Arystobulu. Toteż jedynie sprawiedliwym zadośćuczynieniem będzie, jeżeli tych dziesięć tysięcy, które otrzymasz jako chwilową pożyczkę - chwilową, Herodzie, pamiętaj - pomoże ci stanąć o własnych siłach. Z wydostaniem pozostałych dwu chyba nie będzie trudności, jak sądzisz, Klaudiuszu?

- Zapominasz, matko, że Herod ma jeszcze osiem tysięcy otrzymanych od Alabarcha. O ile już ich nie wydał. Jeśli pożyczymy mu pieniądze Arystobula, będzie miał więcej od nas.

Uprzedziłem Heroda, że jeśli w ciągu trzech miesięcy nie zwróci pieniędzy, będę uważał to za nadużycie zaufania. Cała sprawa zupełnie nie przypadła mi do gustu; wolałem ją jednak załatwić w ten sposób niż zastawić nasz dom na Palatynie. Inaczej zaś nie można było uzyskać pieniędzy. Wszystko jednak przyjęło niespodziewanie dobry obrót. Herod nie tylko zwrócił pożyczkę zaciągniętą w prywatnej szkatule, ale oddał też pieniądze Arystobula, i to na dwa dni przed terminem; a co więcej, pięć tysięcy pożyczone jeszcze dawniej, których nigdy nie spodziewaliśmy się już oglądać.

Herod jako wychowawca Gemellusa przebywał teraz często w towarzystwie Kaliguli, którego siedemdziesięciopięcioletni Tyberiusz niedawno zaadoptował i który uchodził za następcę starego cesarza. Dzięki wytwornym

uczciom wydawanym na cześć Kaliguli i pięknym prezentom w krótkim czasie pozyskał sobie zaufanie młodzieńca, a że Tyberiusz przybranemu synowi skąpił pieniędzy, więc Herod stał się pełnomocnym agentem do naciągania na znaczniejsze pożyczki ludzi, którzy chcieli zaskarbić sobie względy przyszłego cesarza. Tyberiuszowi bowiem nie rokowano już długiego życia. Kiedy w ten sposób stosunek Kaliguli do Heroda zyskał trwalsze podstawy i wieść o tym dotarła do ogółu, mój przyjaciel nie miał już żadnych trudności z zaciąganiem pożyczek, równie dobrze we własnym imieniu, jak na rachunek swego dostojnego protektora. Większość długów datujących się sprzed siedmiu lat została umorzona przez śmierć wierzycieli. Za Sejana bowiem, a w dalszym ciągu za jego następcy Makrona, procesy o zdradę stanu przerzedziły mocno szeregi rzymskich bogaczy. O pozostałe długi Herod nie bardzo się troszczył. Któż by śmiał prześladować człowieka, który cieszył się na dworze tak wielkimi łaskami? Na spłacenie mnie Herod obrócił część pożyczki, którą w wysokości czterdziestu tysięcy zaciągnął u jednego z wyzwoleńców Tyberiusza. Wyzwoleniec ów jeszcze jako niewolnik był jednym z dozorców więziennych starszego brata Kaliguli, Druzusa, który został zamorzony głodem w podziemiach pałacu. Otrzymawszy wolność eks-dozorca zajął się handlem niewolnikami. Kupował tanio chorych niewolników z wyższymi kwalifikacjami, leczył ich w szpitalu, którym sam zarządzał, i sprzedawał z dobrym zarobkiem. Zgromadził w ten sposób olbrzymi majątek, ale bał się, że Kaligula zostawszy cesarzem zechce pomścić jego okrutne obchodzenie się z Druzusem. Herod tedy podjął się ułagodzić Kaligulę.

Coraz większe szczęście dopisywało Herodowi. Na Wschodzie załatwił pomyślnie wiele spraw. Każdy bowiem, do kogo się zwrócił, uważał za wielki zaszczyt okazać mu w czymkolwiek pomoc. Tak na przykład napisał do kilku swych przyjaciół w Edom i Judei z prośbą, aby mu dostarczyli dowodów złej gospodarki namiestnika, który swego czasu chciał go aresztować w Antedonie. Zebrał w ten sposób pokaźny materiał obciążający, który załączył do listu,

jakoby pochodzącego od wybitnych obywateli Antedonu, i wszystko razem przesłał na Capri. Namiestnik utracił swoje stanowisko. Pośrednikowi zbożowemu w Akrze Herod odesłał otrzymaną w drachmach pożyczkę; potrącił z niej jednak dwukrotnie sumę, którą mu odciągnął wierzyciel. Tych pięć tysięcy drachm, wyjaśnił w liście, zatrzymuje jako równowartość pożyczki, którą jego wierzyciel zaciągnął przed kilku laty u księżnej Cypros i dotąd nie zwrócił. Tylko na Flakkusie Herod ze względu na moją matkę nie szukał odwetu. Zresztą Flakkus wkrótce umarł. Arystobulowi postanowił wspaniałomyślnie przebaczyć, wiedział bowiem, że ten nie tylko wstydzi się swego postępu, lecz trapi się bardzo, że tak nieopatrznie naraził sobie potężnego brata. Ta nauczka, sądził, była dla Arystobula zupełnie wystarczająca, a moralnie skarcony mógł oddać jeszcze cenne przysługi na Wschodzie. Zemścił się też Herod na Poncjuszu Piłacie, z którego polecenia został wydany rozkaz aresztowania Heroda w Antedonie. Zachęcił mianowicie kilku swoich przyjaciół w Samarii, aby u nowego namiestnika Syrii, mojego przyjaciela Witeliusza, zaprotestowali przeciw zbyt brutalnemu uśmierzeniu przez Piłata miejscowych rozruchów i oskarżyli go o branie łapówek. Skutek był taki, że Piłat otrzymał rozkaz stawienia się w Rzymie i oczyszczenia z zarzutów przed Tyberiuszem.

Pewnego pięknego wiosennego dnia Kaligula z Herodem wyjechali w otwartym powozie na spacer poza Rzym.

- Najwyższy to już czas - zauważył beztrósco podczas przejażdżki Herod - ofiarować temu staremu rębaczowi drewniany miecz. - Mówiąc to miał na myśli Tyberiusza i robił aluzję do zwyczaju ofiarowywania na arenie wysłużonym gladiatorom drewnianego miecza. Był to symbol honorowego przeniesienia na emeryturę. - I wybacz mi, mój drogi - dodał - bo wygląda to na pochlebstwo, ale jestem święcie przekonany, że na igrzyskach popiszesz się lepiej niż on kiedykolwiek.

Kaligulę mile pogłaskały te słowa po sercu, ale na nieszczęście usłyszał je

woźnica. Zrozumiał ich sens i skrzętnie przechował je w pamięci. Świadomość, że może w każdej chwili doprowadzić swego pana do ruiny, przewróciła mu w niezbyt mocnej łepetynie do reszty i zaczął pozwalać sobie na wiele impertynencji, na które początkowo Herod nie zwracał specjalnej uwagi. Wreszcie strzeliło mu coś do głowy i sprzedał kilka pięknie haftowanych derek innemu woźnicy, którego pan mieszkał daleko od Rzymu. Herodowi doniósł, że derki są całkiem niezdatne do użytku, poplamiono je bowiem smołą, która z nieszczęsnej beczki wyciekła na podłogę stajni, i plam tych nie da się usunąć. Herod uwierzył w wykręt, ale pewnego dnia wyjechawszy na spacer z panem owego woźnicy, który kupił derki, zobaczył, że jedną z nich ma otulone nogi. Tak kradzież wyszła na jaw. Woźnica jednak zdołał uprzedzić swego kolegę i złodziej w porę uciekł przed karą. Pierwotnie zamierzał, o ile kradzież zostanie wykryta, stanąć przed Herodem i zagrozić opowiedzeniem cesarzowi słów, które usłyszał, ale w ostatnim momencie zabrakło mu odwagi; zdał sobie sprawę, że Herod zagrożony szantażem gotów go zabić i dostarczyć później świadków, że uczynił to w samoobronie. Woźnica należał do ludzi, których głupota przyczynia wiele kłopotu innym, ale najwięcej im samym.

Herod, który domyślał się, gdzie przypuszczalnie mógł przebywać w Rzymie zbieg, a nie przeczuwał zgoła, co się kryje na dnie sprawy, zażądał od władz aresztowania złodzieja. Sprowadzony przed sąd woźnica skorzystał z przysługującego mu jako wyzwolencowi prawa i odwołał się do sądu cesarskiego.

- Mam coś powiedzieć cesarzowi - dodał. - Coś, co dotyczy jego osobistego bezpieczeństwa. Chcę powtórzyć pewne słowa, które usłyszałem jadąc z panem na spacer w stronę Kapui.

Urzednikowi, który rozpatrywał sprawę, nie pozostawało nic innego, jak odesłać oskarżonego pod eskortą na Capri.

Z tego, co już opowiedziałem o charakterze stryja Tyberiusza, łatwo możecie się domyślić, jak zareagował na raport urzednika. Zgadywał, że

woźnica najprawdopodobniej usłyszał jakieś niezbyt prawomyślne zdanie z ust Heroda, nie chciał jednak na razie badać dokładniej, o co chodzi. Herod nie należał do ludzi, którzy by pozwalali sobie na niebezpieczne rozmowy w obecności służby. Kazał więc woźnicę bez przesłuchania zatrzymać w więzieniu, a dziesięcioletniemu wówczas Gemellusowi polecił, aby bacznie obserwował swojego wychowawcę i donosił o każdym jego słowie czy czynie, który by wydał mu się podejrzany. Herod widząc, że Tyberiusz zwleka z przesłuchaniem woźnicy, zaniepokoił się i omówił całą sprawę z Kaligulą. Obaj doszli do przekonania, że powiedzenie, do którego czyni aluzje woźnica, nie zawiera w sobie nic takiego, czego by nie można wyjaśnić, nadając słowom sens zupełnie niewinny. A im bardziej Herod będzie nalegał na zbadanie woźnicy, tym łatwiej Tyberiusz uwierzy w dosłowne znaczenie „drewnianego miecza”. Herod po prostu wyjaśni, że rozmawiali o niejakim Żółtonogim, sławnym gladiatorze, który niedługo potem wycofał się z areny i przy tej sposobności gratulował Kaliguli jego szermierczych zdolności.

Herod zauważył, że Gemellus zachowuje się w sposób wysoce podejrzany; podsłuchuje pod drzwiami i kręci się koło jego apartamentów o zgoła dziwnych porach. Było jasne, że działał z polecenia Tyberiusza. Herod więc udał się znowu do swojej matki, przedstawił jej całą sprawę i prosił, aby zechciała wpłynąć na przyspieszenie śledztwa. Pragnie, wyjaśnił, żeby złodziej poniósł wreszcie karę, a zasłużył sobie na nią tym bardziej, że czarną niewdzięcznością odpłacił panu, który go dobrowolnie zaledwie przed rokiem wyzwolił. o zeznaniach, które woźnica obiecywał poczynić, nie było mowy i matka, przychyliwszy się do prośby swego ulubieńca, napisała do Tyberiusza list. Cesarz, jak zwykle, odpisał dopiero po pewnym czasie. Odpowiedź tę posiadam w swoich zbiorach, tak że mogę ją tu przytoczyć dosłownie. Tyberiusz tym razem przechodził do meritum sprawy bez żadnych wstępów.

„Jeśli woźnica - pisał - chce oskarżyć Heroda o jakieś nieprawomyślne słowa w tym celu, aby osłonić własne przestępstwo, to głupotę swą dostatecznie

odpokutował dłuższym pobytem w moim niezbyt gościnnym więzieniu mizeńskim. Właśnie zamierzałem go wypuścić z przestrożą, aby w przyszłości nie apelował do mnie od wyroku niższej instancji w tak pospolitej sprawie jak kradzież. Jestem za stary i za dużo mam zajęć, żeby mi zabierano czas podobnymi głupstwami. Jeśli jednak domagasz się, abym zbadał sprawę, a okaże się, że istotnie wypowiedziano słowa posiadające znamiona przestępstwa, Herod pożałuje natarczywości, z jaką nalega na wszczęcie procesu. Jego chęć ściągnięcia surowej kary na woźnicę może na niego samego ściągnąć jeszcze surowszą.”

List ten wywarł taki skutek, że Herod jeszcze bardziej zapragnął, aby przesłuchano więźnia, i to w jego obecności. Silas, który przybył do Rzymu, odradzał mu, cytując przysłowie: „Lepiej nie ruszać Kamaryny.” (Niedaleko miasta Kamaryny na Sycylii znajdowały się malaryczne moczary, które mieszkańcy osuszyli ze względów zdrowotnych. Skutkiem tego miasto, straciwszy swoją naturalną obronę, zostało zdobyte i zburzone.) Herod jednak nie chciał słuchać Silasa, który w ciągu pięciu lat niezamąconej pomyślności stał się zbyt męczącym towarzyszem. A właśnie przysłała wiadomość, że Tyberiusz wydał rozkaz, aby na jego przybycie przygotowano wielką willę, którą posiadał w Mizenum (tę samą, w której później umarł). Herod bezzwłocznie więc przygotował się do drogi. Postanowił jechać razem z Gemellusem i zamieszkać w sąsiedztwie jako gość Kaliguli, który posiadał willę pod Bauli. Towarzyszyć mu miała moja matka, która, jak pamiętacie pewnie, była babką Kaliguli i Gemellusa. Bauli leży na północnym wybrzeżu Zatoki Neapolitańskiej, niedaleko Mizenum, całkiem więc naturalne, że po przyjeździe Tyberiusza do Mizenum całe towarzystwo z Bauli złożyło mu wizytę. Tyberiusz zaprosił ich na następny dzień na obiad. Ponieważ więzienie, w którym ów woźnica pędził marny żywot, znajdowało się opodal, Herod namówił moją matkę, aby w obecności wszystkich poprosiła Tyberiusza o naznaczenie przesłuchania na to samo jeszcze popołudnie.

Do Bauli byłem wprawdzie i ja zaproszony, lecz ponieważ ani stryj Tyberiusz, ani matka nie przepadali za moim towarzystwem, wymówiłem się od przybycia. O tym jednak, co się stało owego dnia w Mizenum, mam dokładne wiadomości od całego szeregu naocznych świadków. Obiad był bardzo wytworny i zarzucić mu można było tylko zbyt skąpą ilość wina. Tyberiusz, idąc za radą lekarzy, nie pił teraz zupełnie, a goście, wychyliwszy po pucharu z kurtuazji i przez ostrożność, nie kazali sobie nalać powtórnie; służba też nie kwapiła się z napełnianiem opróżnionych kielichów. Tyberiusz był w kiepskim humorze jak zwykle, kiedy nie mógł pić; matka mimo to śmiało przypomniwała sprawę z woźnicą i dopiero kiedy Tyberiusz przerwał jej jakby mimowolnie i poruszył jakiś inny temat, na razie dała mu spokój. Po obiedzie całe towarzystwo postanowiło przejść się cienistą aleją, która otaczała miejscowy tor wyścigowy. Tyberiusz kazał nieść się w lektyce, a matka, która na starość stała się dziwnie żwawa, szła obok pieszo.

- Tyberiuszu - rzekła w pewnym momencie - czy mogę z tobą pomówić o sprawie tego woźnicy? Już najwyższy czas ją załatwić. Mam wrażenie, że wszyscy odetchniemy swobodniej, jeżeli zechcesz dziś jeszcze ostatecznie ją zlikwidować. Więzienie znajduje się o parę kroków i wszystko potrwa kilka minut.

- Dałem ci już raz do zrozumienia, Antonio - odparł Tyberiusz - że byłoby lepiej, gdybyś pozostawiła tę historię w spokoju. Ale skoro nalegasz, dobrze, spełnię twoją prośbę. - Przywoławszy zaś Heroda, który szedł z tyłu w towarzystwie Kaliguli i Gemellusa, oświadczył: - Na prośbę mej bratowej przesłucham obecnie twego woźnicę, Herodzie Agryppo, ale wzywam bogów na świadków, że czynię to wbrew własnym chęciom, pod przymusem.

Herod gorąco podziękował cesarzowi za łaskę, a ten przyzwał Makrona i polecił mu bezzwłocznie przysłać woźnicę na przesłuchanie. Przypuszczalnie poprzedniego wieczora Tyberiusz miał z wnukiem krótką rozmowę w cztery oczy. (W rok czy dwa później Kaligula zmusił Gemellusa, żeby mu zdradził

treść tej rozmowy.) Na zapytanie dziadka, czy ma coś do doniesienia na swego wychowawcę, Gemellus odparł, że nie słyszał ani nie zauważył nic podejrzanego. Tyle tylko może powiedzieć, że w ostatnich dniach Herod każe mu samemu czytać różne książki, a nie odbywa lekcji osobiście, gdyż cały czas spędza w towarzystwie Kaliguli.

- A czy w twojej obecności nie rozmawiali czasem o pożyczkach? - dopytywał się Tyberiusz.

Gemellus zastanowił się chwilę i przypomniał sobie, iż istotnie pewnego razu Kaligula spytał Heroda o pożyczkę P.O.T., na co Herod odpowiedział:

- Później ci powiem o tym; małe smyki mają długie uszy.

Tyberiusz od razu się domyślił, że owe trzy litery oznaczały pożyczkę, która miała być płatna post obitum Tiberii, tzn. po śmierci Tyberiusza. Pozwolił więc Gemellusowi odejść oświadczywszy, że sprawa pożyczki P.O.T. jest bez znaczenia i że w dalszym ciągu ma do Heroda pełne zaufanie. Bezzwłocznie jednak wysłał do więzienia zaufanego wyzwolenca, który w imieniu cesarza kazał woźnicy powtórzyć zasłyszane słowa. Woźnica uczynił zadość żądaniu, a wyzwoleniec doniósł o wszystkim Tyberiuszowi, który po głębszym namyśle powtórnie wysłał go, aby nauczył woźnicę, co ma mówić podczas badania. Kiedy więzień wykuł wreszcie na pamięć, co kazano, wyzwoleniec dał mu do zrozumienia, że jeśli zezna, jak należy, nie tylko odzyska wolność, lecz dostanie jeszcze nagrodę pieniężną.

Przesłuchanie odbyło się na polu wyścigowym. Woźnica, zapytany przez Tyberiusza, czy przyznaje się do kradzieży derki, zaprzeczył. Nie poczuwa się do żadnej winy, oświadczył, Herod bowiem podarował mu te derki i dopiero później pożałował swej hojności. Herod, oburzony niewdzięcznością i kłamstwem, chciał przerwać zeznania, ale cesarz przyzwał go do porządku i pytał oskarżonego dalej:

- Co jeszcze masz do powiedzenia na swoją obronę?

- A gdybym był nawet ukradł te derki, czego nie uczyniłem - podjął

woźnica - to mimo to nie zasługiwałbym na potępienie, bo mój pan jest zdrajcą. Na krótko przed aresztowaniem mnie powiozłem księcia Kaligulę i mego pana, Heroda Agryppę, na spacer w stronę Kapui. W czasie drogi mój pan powiedział: „Ach, żeby wreszcie nadszedł dzień, kiedy ten rębacz skona, a ty jako następca obejmiesz władzę! Młody Gemellus nie będzie dla ciebie przeszkodą. Bez trudu będzie można go się pozbyć ku ogólnemu, a zwłaszcza mojemu zadowoleniu.”

Te słowa całkiem wytrąciły Heroda z równowagi. Przez chwilę nie wiedział, co ma powiedzieć poza stwierdzeniem, że opowiadanie woźnicy jest wierutnym łgarstwem. Tyberiusz zwrócił się do Kaliguli. Kaligula, który był wielkim tchórzem, rzucał przerażone spojrzenia w stronę Heroda w nadziei, że ten mu da jakiś znak, co ma mówić. Ponieważ Herod nie reagował, zapewnił pośpiesznie, że może takie słowa zostały wypowiedziane, lecz on ich nie słyszał. W przeciwnym razie na pewno nie puściłby płazem zuchwalstwa, lecz natychmiast doniósł o tym cesarzowi. Przypomina sobie, że dzień był wtedy bardzo wietrzny. Kaligula, kiedy chodziło o jego życie, zdradzał najlepszych przyjaciół bez cienia skrupułu, a tak baczył na każde słowo Tyberiusza, iż mówiono, że nigdy gorszy pan nie miał lepszego niewolnika. Herod bronił się odważnie.

- Gdy chodzi o usłyszenie tego, co ktoś gdzieś powie przeciw tobie - rzekł - to chyba nikt nie posiada lepszego słuchu niż twój syn. Jeżeli więc on, który siedział obok, nie słyszał słów, o które mnie oskarżają, nie mógł ich na pewno słyszeć woźnica obrócony do mnie plecami.

Lecz Tyberiusz powziął już decyzję. Zwrócił się do Makrona i rzucił krótki rozkaz:

- Zakuć tego człowieka! - a potem do tragarzy: - Naprzód! - Tragarze posłusznie ruszyli, a Herod, Antonia, Makron, Kaligula, Gemellus i reszta towarzystwa została patrząc na siebie w osłupieniu. Kiedy Tyberiusz, okrążywszy cały tor, zbliżył się znowu do miejsca, gdzie niedawno odbył się sąd, Makron, który dotychczas nie był pewien, kogo kazano mu zakuć, podszedł

do lektyki i spytał:

- Wybacz, Cezarze, ale kogo mam uwięzić?

- Tego człowieka - rzekł Tyberiusz wskazując na Heroda. Makron, który wielce poważał Heroda, postanowił udać, że nie rozumie rozkazu. Miał nadzieję, iż w ten sposób może zdoła skłonić cesarza do zmiany decyzji.

- Przecież nie myślisz, Cezarze, o Herodzie Agryppie?! - zawołał ze zdumieniem.

- Właśnie o nim - odburknął Tyberiusz.

Herod podskoczył do lektyki i wprawdzie nie upadł na ziemię, wiedział bowiem, że Tyberiusz nie lubi, aby go traktowano jak wschodniego monarchę, ale wyciągnął błagalnym gestem ręce i zaklinał się, że jest najwierniejszym sługą cesarza, że to zupełnie niemożliwe, aby dopuścił do siebie choćby najłżejszą nielojalną myśl, a cóż dopiero głośno ją wypowiedział. Zaczął wymownie opowiadać o swej przyjaźni ze zmarłym synem Tyberiusza, Kastorem, podobnie jak on ofiarą fałszywego oskarżenia, i o wielkim zaszczycie, jakim było mianowanie go wychowawcą cesarskiego wnuka. Tyberiusz spojrział na mówiącego swoim zimnym, złośliwym wzrokiem i przerwał drwiąco:

- Zachowaj tę mowę, mój szlachetny Sokratesie, na dzień procesu - a następnie zwracając się do Makrona, rozkazał: - Zabrać go natychmiast do więzienia. Może skorzystać z łańcucha, który zostawia mu jego uczciwy woźnica.

Herod nie odpowiedział już na to ani słowa, podziękował tylko swojej matce za jej szlachetną, choć bezskuteczną pomoc i ze skrzepowanymi na plecach rękoma pomaszerował do więzienia. W więzieniu tym, w ciasnych, niezdrowych celach, pozbawieni łóżek i skąpo odżywiani, siedzieli obywatele rzymscy, którym przyszedł do głowy fatalny pomysł apelowania od wyroków niższych instancji do cesarza. Niektórzy z nich siedzieli tam już wiele lat, czekając, aż Tyberiusz znajdzie czas, żeby rozpatrzeć ich sprawę.

Rozdział IV

Przed bramą więzienia Herod spostrzegł greckiego niewolnika Kaliguli. Chłopak biegł widać prędko, gdyż był całkiem bez tchu. W ręku trzymał dzbanek na wodę. Herod domyślił się, że Kaligula chce dać mu w ten sposób do zrozumienia, iż jest nadal jego przyjacielem, choć z obawy przed Tyberiuszem nie mógł tego otwarcie potwierdzić.

- Taumaście! Na litość boską, daj mi łyk wody! - zawołał Herod. Dzień był jak na wrzesień wyjątkowo upalny, a przy obiedzie, jak już wspomniałem, zaledwie skosztowano wina. Niewolnik, jak gdyby tylko czekał na wezwanie, podbiegł czym prędzej. Potwierdziło to przypuszczenie Heroda i napełniło go wielką otuchą. Wziąwszy z rąk niewolnika dzbanek, który, jak się okazało, zawierał nie wodę, lecz wino, wysuszył go prawie do dna. - Pozyskałeś sobie, chłopcze, wdzięczność spragnionego więźnia - rzekł oddając puste naczynie. - Gdy tylko znajdę się na wolności, przyrzekam hojnie ci odpłacić za ten łyk. Dołożę starań, żeby twój pan, który widać nie należy do tych, co opuszczają przyjaciół w biedzie, uzyskawszy dla mnie wolność, dał ją tobie. A wtedy zajmiesz w moim domu odpowiedzialne stanowisko. - Herod rzeczywiście dotrzymał później tej obietnicy i Taumast został jego marszałkiem dworu. Żyje po dziś dzień, przeszedłszy po śmierci Heroda na służbę do jego syna.

Herod wkroczył w obręb więziennych murów w tej właśnie porze, kiedy - więźniowie zażywali ruchu na dziedzińcu. Podzieleni byli na grupy po pięciu; każda piątka pozostawała pod opieką dozorcę śledzącego bacznie najlżejszy ruch swoich pupilów. Surowy regulamin zabraniał więźniom rozmawiać między sobą, chyba za wyraźnym pozwoleniem dozorcę. Pojawienie się Heroda wywołało wśród gromady znękanych i zubożniałych już ludzi niemałe wrażenie. Po raz pierwszy zobaczyli wschodniego księcia odzianego w płaszcz z autentycznej tyryjskiej purpury. Herod jednak, nie skinąwszy nawet głową na

powitanie, stanął i zapatrzył się w widoczny z dala dach Tyberiuszowej willi, jakby na nim mógł odczytać przyszły swój los. Wśród więźniów znajdował się pewien niemiecki wódz, człek już niemłody, który, w czasie gdy prowincje rzymskie sięgały za Ren, służył jako oficer wojsk posiłkowych pod Warusem i za zasługi na polu bitwy otrzymał był obywatelstwo rzymskie. Kiedy Herman, wciągnąwszy w zasadzkę Warusa, wyrzwał w pień całą jego armię, Niemiec ów, chociaż nie walczył w szeregach Hermana ani nie udzielił mu żadnej pomocy (przynajmniej sam tak twierdził), nie postarał się po bitwie niczym podkreślić własnej lojalności względem Rzymu, lecz został naczelnikiem w swej plemiennej wsi. Podczas wojny prowadzonej przez Germanika opuścił razem z rodziną wioskę i skrył się w głębi kraju. Dopiero gdy brata mego odwołano do Rzymu i minęło niebezpieczeństwo, odważył się powrócić do dawnej sadyby. Jakoż niedługo potem wojska rzymskie podjęły jedną z tych niespodziewanych wypraw, które urządzamy od czasu do czasu, aby utrzymać ludzi w gotowości bojowej, a Niemcom uprzytomnić, że wcześniej czy później musimy odzyskać utraconą prowincję. Nieszczęśliwy traf chciał, że ów naczelnik dostał się w czasie tej wyprawy do niewoli. Rzymski generał chciał początkowo potraktować jeńca jako dezertera i kazał go zasmagać na śmierć. Niemiec jednak zaczął się zaklinać, że nigdy nie dopuścił się żadnego przewinienia względem Rzymu, i korzystając z przysługującego mu jako obywatelowi rzymskiemu prawa, odwołał się do wyroku cesarza. Nawiasem mówiąc, zapomniał już był do reszty swojej obozowej łaciny. Teraz, zaintrygowany wyglądem Heroda, spytał strażnika, rozumiejącego trochę po niemiecku, kim jest ten smutny, piękny młodzieniec stojący pod drzewem. Dowiedziawszy się, że to pewien Żyd zajmujący w swej ojczyźnie wysokie stanowisko, poprosił, aby mu wolno było z nim pomówić. Nigdy bowiem dotychczas nie spotkał człowieka tej narodowości, a słyszał, że Żydzi pod względem inteligencji i odwagi nie ustępują podobno nawet samym Niemcom i można się od nich wielu rzeczy nauczyć. On też, dodał, w swojej ojczyźnie zajmował wysokie stanowisko.

- No, to będziemy mieć tu cały uniwersytet - roześmiał się dozorca. - Jeżeli, moi cudzoziemscy panowie, macie ochotę pogawędzić we dwójkę o filozofii, służę wam za tłumacza. Ale nie liczcie zbyt na moją niemczyznę.

Tymczasem zdarzył się dziwny wypadek. Herod, jak powiedzieliśmy, stał pod drzewem, a nie chcąc, żeby przyglądający mu się z zaciekawieniem dozorca i więźniowie zauważyli, że płacze, zasłonił głowę płaszczem. Nagle na gałęzi drzewa usiadła sowa i za chwilę kawałek łąjna upadł na płaszcz Heroda. Chociaż pojawienie się sowy w dzień należy do rzadkości, nikt z wyjątkiem Niemca nie zwrócił uwagi na ten wypadek, gdyż wszyscy byli zajęci Herodem.

Niemiec za pośrednictwem dozorca pozdrowił Heroda, zaznaczając przy tym, że ma mu coś ważnego do zakomunikowania. Kiedy dozorca się zbliżył, Herod odsłonił twarz i cały zamienił się w słuch, oczekiwał bowiem ciągle wiadomości od Kaliguli i dopiero po chwili się zorientował, że dozorca występuje tylko jako tłumacz jednego z więźniów.

- Wybacz mi, panie - ciągnął dozorca - ale ten oto Niemiec chce wiedzieć, czy zwróciłeś uwagę, że sowa poplamiała ci płaszcz. A pyta dlatego za moim pośrednictwem, że łacina jego, jakkolwiek jest obywatelem rzymskim, trochę zardzewiała w wilgotnym klimacie Niemiec.

Herod mimo zawodu, który go spotkał, roześmiał się szeroko. Wiedział, że więźniowie z braku zajęcia znaczną część czasu spędzają na wzajemnym płataniu sobie figłów, a nie mniej od nich znudzeni dozorca pomagają czasem w tej zabawie. Nie chcąc więc, by go wzięto na kawał, nie spojrział na drzewo ani na płaszcz, lecz odpowiedział z humorem:

- Dziwne doprawdy rzeczy spotykają mnie, mój przyjacielu. Niedawno do mojej sypialni wleciał przez okno flaming i złożony jajko w moim trzewiku wyleciał z powrotem... Żona nie mogła się uspokoić z tego powodu. Gdyby to był wróbel, no, powiedzmy nawet sowa, nie wzbudziłby ten fakt podejrzeń. Ale flaming...

Niemiec jednak, który nie znał słowa flaming, nie zrozumiał dowcipu i

zapytał znowu:

- Czy wiesz, co to znaczy, jeśli ptak upuści komu łajno na głowę lub ramię? W mojej ojczyźnie wypadek taki uchodzi za bardzo dobrą wróżbę; zwłaszcza, jeśli uczyni to jakiś święty ptak, jak na przykład sowa, i nie wyda przy tym zupełnie głosu. Głos sowy bowiem nie jest pomyślną wróżbą, lecz gdy sowa ukaże się nie wydając głosu, zwiastuje bardzo radosne zdarzenia. My, Chaukowie, wiemy wszystko o sowach, sowa bowiem jest naszym totemem i od niej bierze nazwę cały naród. Gdybyś był Chaukiem, powiedziałbym, że to bóg Mannus wysłał tego ptaka na znak, że pobyt twój w więzieniu nie potrwa długo, a wypuszczony na wolność, osiągniesz najwyższą godność w swej ojczyźnie. Ale jak słyszałem, jesteś Żydem. Czy możesz mi powiedzieć imię boga czczonego w twym kraju?

Herod, który wciąż jeszcze nie był pewien, czy Niemiec żartuje zeń, czy mówi poważnie, odparł dobrodusznie:

- Imię naszego boga jest zbyt święte, żeby je wymawiać. My, Żydzi, mówiąc o naszym bogu musimy posługiwać się omówieniem, a nawet omówieniem omówienia.

Niemiec sądząc, że Herod pokpiwa sobie z niego, odrzekł:

- Nie myśl, proszę, że za swoje słowa oczekiwałem jakiejś nagrody; zobaczywszy sowę czułem się po prostu w obowiązku powinszować ci tak dobrej wróżby. Chcę ci coś jeszcze powiedzieć. Dowiedz się jednak wprzód, że jako wróżbita cieszę się w swoim kraju niemałym poważaniem. Otóż jeżeli znowu kiedy ten sam ptak siądzie blisko ciebie i zacznie hukać, pamiętaj, że choćbyś znajdował się u szczytu potęgi, chwile twego szczęścia są policzone, a dni życia pozostaje ci tyle tylko, ile razy odezwie się sowa.

Herod, który tymczasem całkiem już przyszedł do siebie, odrzekł:

- Zdaje mi się, że bzdurzysz, mój stary, ale piękniejszych bzdur nie słyszałem od czasu powrotu do Italii. Dziękuję ci serdecznie za chęć pocieszenia mnie. Jeśli kiedy odzyskam wolność, postaram się i ciebie stąd wydostać. A jeśli

okażesz się równie dobrym kompanem bez kajdan, jak w kajdanach, niejeden wesoły wieczór spędzimy przy pucharze, opowiadając sobie ucieszne historie.

Niemiec odszedł urażony.

Tymczasem Tyberiusz rozkazał nagle swej służbie pakować rzeczy i jeszcze tego samego wieczoru odpłynął na Capri. Jak przypuszczam, bał się, żeby moja matka nie usiłowała nakłonić go do uwolnienia Heroda, a trudno byłoby mu odmówić jej ze względu na przysługę, jaką oddała wykrywając spisek Sejana i Liwilli. Matka widząc, że nie może obecnie nic zrobić dla Heroda, co najwyżej wystarać się o możliwie najlepsze warunki w więzieniu, zwróciła się do Makrona dodając, że będzie mu bardzo zobowiązana, jeżeli zechce spełnić jej prośbę i zapewnić Herodowi jakie takie wygody. Makron wahał się z obawy przed Tyberiuszem, ale matka nalegała:

- Proszę cię jednak bardzo, zrób dlań wszystko, co możesz, z wyjątkiem, oczywiście, ułatwienia ucieczki. Jeśli Tyberiusz dowie się i będzie niezadowolony, przyrzekam ci ponieść wszystkie skutki jego niezadowolenia.

Muszę zaznaczyć, że matka z dużą niechęcią zdecydowała się prosić o przysługę Makrona, którego ojciec był jednym z naszych niewolników, lecz miała wielką osobistą sympatię dla Heroda i byłaby uczyniła wszystko, co leżało w jej mocy, byleby tylko ulżyć jego doli. Makron, któremu pochlebiły prośby matki, przyrzekł wybrać dla Heroda dozorcę, który by możliwie względnie traktował więźnia, a naczelnikiem więzienia mianował pewnego osobiście znanego matce kapitana. Co więcej, postarał się o to, żeby Herod jadał wraz z naczelnikiem i mógł codziennie pod eskortą udawać się do miejscowej łaźni. Pozwolił też, by wyzwoleńcy Heroda dostarczali swemu panu prowiantów i ciepłej pościeli (właśnie zbliżała się zima), pod tym jednak warunkiem, że odźwiernemu powiedzą zawsze, iż rzeczy te są przeznaczone dla samego naczelnika. Tak więc więzienne doświadczenie nie było zbyt bolesne, chociaż podczas nieobecności dozorczy przykuwano Heroda do ściany ciężkim żelaznym łańcuchem. Więcej dokuczała mu nieświadomość tego, co się dzieje z Cypros i

dziećmi; żadnych bowiem wieści ze świata nie dopuszczano do więźniów. Silas, chociaż ominęła go satysfakcja udowodnienia Herodowi, że powinien był posłuchać jego rady i dać spokój kamaryńskim moczarom, pilnował, by wyzwoleńcy w porę i dyskretnie dostarczali więźniowi prowiantów i innych potrzebnych rzeczy. Wreszcie, kiedy usiłował przemycić list do więzienia, został sam uwięziony, lecz wkrótce zwolniony za kaucją.

Z początkiem następnego roku Tyberiusz postanowił przenieść się z Capri do Rzymu i polecił Makronowi wysłać do stolicy wszystkich więźniów. Zamierzał bowiem po przybyciu rozpatrzyć ich sprawy. Herod przeto i jego współtowarzysze niedoli zostali etapami wysłani do Rzymu i tam osadzeni w aresztanckich barakach obozu gwardii, poza miastem. Przypominacie sobie pewnie, że Tyberiusz przerażony śmiercią swego ulubionego jaszczura, którą wziął za zły omen, zawrócił pośpiesznie prawie spod samych murów Rzymu, a zaziębienie, którego nabawił się w drodze, zatrzymało go w Mizenum. Przypominacie sobie też pewnie, że rozeszła się przedwczesna pogłoska o śmierci cesarza i Kaligula puszył się już w atrium i błyskał cesarskim sygnetem w oczy nadskakującej gromadzie dworzan, kiedy rzekomy nieboszczyk nagle ocknął się z omdlenia i mocnym głosem zażądał jedzenia. Ale tymczasem kurierzy zdążyli już wyruszyć do Rzymu z nowinami o śmierci Tyberiusza i objęciu rządów przez Kaligulę. Wyzwoleniec Heroda, ten sam, który mu swego czasu przyniósł pieniądze z Akry, znajdował się właśnie koło rogatki miejskiej, kiedy jeden z kurierów minął go galopem, wykrzykując po drodze nowinę o śmierci cesarza. Wyzwoleniec popędził do obozu, wpadł do aresztu i biegnąc do Heroda zawołał w podnieceniu po hebrajsku:

- Lew nie żyje.

Herod zadał mu szybko kilka pytań w tym samym języku, a z otrzymanych odpowiedzi taką okazywał radość, że naczelnik więzienia, któremu doniesiono o tym, przyszedł się dowiedzieć, jakie nowiny przyniósł wyzwoleniec. Zaznaczył przy tym, że otrzymywanie przez więźniów

wiadomości z zewnątrz bez jego wiedzy jest sprzeczne z regulaminem. Podobne wypadki nie mogą się na przyszłość powtarzać.

- Nie stało się nic takiego ważnego - wyjaśnił Herod. - Jeden z moich krewnych z Edom zawiadamia mnie o przyjściu na świat męskiego potomka. - Kiedy jednak naczelnik nie dał wiary tym słowom i domagał się wyjawienia całej prawdy, Herod oświadczył wreszcie: - Cesarz nie żyje.

Naczelnik, który zdążył się już do pewnego stopnia zaprzyjaźnić z Herodem, spytał wyzwolenca, czy jest pewien, że wiadomość ta jest prawdziwa. Wyzwoleniec wyjaśnił, że usłyszał ją bezpośrednio od cesarskiego kuriera. Naczelnik zdjął wtedy własnoręcznie Herodowi kajdany i rzekł:

- Taką okazję musimy, mój przyjacielu, oblać najlepszym winem, jakie się znajdzie w obozie.

Siedzieli właśnie przy stole, obaj w najdoskonalszych humorach, a Herod, dziękując za tyle okazanych mu względów, rozpływał się nad dobrocią naczelnika i rozwodził nad szczęśliwymi czasami, jakie nastaną za rządów Kaliguli, kiedy nadeszła wiadomość, że Tyberiusz bynajmniej nie umarł. Naczelnik, przestraszony nie na żarty, doszedł do przekonania, że Herod umyślnie, chcąc go nabawić kłopotów, zaaranżował scenę z wyzwolenцем.

- Marsz natychmiast z powrotem na łańcuch - krzyknął wściekły. - I nie myśl, że ci kiedykolwiek jeszcze uwierzę. - Herod musiał wstać od stołu i w smętnym nastroju powędrować do celi. Ale, jak sobie przypominacie, Makron nie pozwolił Tyberiuszowi zbyt długo cieszyć się odzyskanym życiem. Pośpieszył do sypialni cesarskiej i udusił Tyberiusza poduszką. Znowu więc przyszły wieści o śmierci cesarza, tym razem prawdziwe. Naczelnik wołał jednak nie ryzykować i Herod całą noc spędził na łańcuchu.

Kaligula chciał od razu wypuścić Heroda, ale - ciekawa rzecz - sprzeciwiła się temu moja matka, która bawiła wtedy w Bajach, niedaleko Mizenum. Wy tłumaczyła ona Kaliguli, że nie wypada przed pogrzebem Tyberiusza uwalniać więźnia oskarżonego o obrazę nieboszczyka. Godziła się

na powrót Heroda do Rzymu, uważała jednak za wskazane, żeby przez pewien czas pozostawał w areszcie domowym. Tak więc Herod wrócił do domu, lecz musiał chodzić w ubraniu więziennym i stale był pilnowany przez swego dozorcę. Dopiero kiedy skończyła się oficjalna żałoba, Herod otrzymał od Kaliguli polecenie, aby się ogolił, należycie przyodział i zjawił następnego dnia w pałacu na obiad. Tak, zdawało się, skończyły się ciężkie dni mojego przyjaciela.

O ile dobrze pamiętam, nie wspomniałem dotychczas o śmierci stryja Herodowego, Filipa, który umarł trzy lata przed wyżej opisanymi wypadkami. Pozostała po nim wdowa, córka Herodiady, Salome, która słynęła jako najpiękniejsza kobieta Wschodu. Gdy wieści o śmierci Filipa nadeszły do Rzymu, Herod czym prędzej porozumiał się z wyzwolencem, który był zaufanym doradcą Tyberiusza w sprawach Wschodu, i poprosił go o pewną przysługę. Chodziło mianowicie o przypomnienie Tyberiuszowi, że Filip nie pozostawił po sobie dzieci, i podsuniecie mu myśli, żeby nie powierzał tetrarchii Basanu żadnemu z członków rodziny Heroda, lecz ze względów administracyjnych włączył ją do prowincji syryjskiej. Pod żadnym warunkiem natomiast nie należało przypominać Tyberiuszowi o królewskich dochodach tetrarchy, wynoszących sto sześćdziesiąt tysięcy rocznie. Jeżeli Tyberiusz zgodził się na podsunięty mu projekt i polecił zawiadomić namiestnika Syrii o przejściu tetrarchii pod jego zarząd, rzeczą wyzwolenca będzie przemycić w piśmie urzędowym uwagę, że dochody z tetrarchii mają być tezauryzowane aż do chwili, kiedy na miejsce Filipa zostanie mianowany następca. W ten sposób Herod chciał Basan i płynące z tego kraju dochody zarezerwować dla siebie. Teraz podczas obiadu Kaligula, aby wynagrodzić Herodowi wszystko, co przecierpiał, ofiarował mu całą tetrarchię wraz z dochodami i królewskim tytułem. To od razu postawiło Heroda na nogi. Kaligula kazał też skopiować w złocie łańcuch, którym Herod był przykuty w więzieniu, i kopię tę ofiarował mu w prezencie. W kilka dni później przyjaciel mój, który nie zapomniał

postarać się ani o uwolnienie starego Niemca, ani o skazanie woźnicy za krzywoprzysięstwo (odebrano mu wolność i prawie na śmierć obatożono), odpłynął rad i wesół na Wschód, by objąć w posiadanie nowe królestwo. Towarzyszyła mu Cypros, jeszcze bardziej uradowana niż mąż. W czasie pobytu Heroda w więzieniu mieszkała ona w domu młodszego brata męża, Heroda Polliona, i budziła powszechną litość swoim mizernym wyglądem. Była bowiem wyjątkowo przywiązana do męża i nawet do ust wziąć nie chciała lepszej stawy niż ta, którą podawano Herodowi w Mizenum.

Płynąc na Wschód w towarzystwie nieodstępного Silasa, szczęśliwi małżonkowie, których przychylny los znowu zjednoczył, postanowili zatrzymać się w Egipcie. Wylądowali w Aleksandrii i odwiedzili Alabarcha. Herod zamierzał dostać się do miasta możliwie niepostrzeżenie, nie chciał bowiem, żeby z jego przyczyny doszło do jakichś awantur między Grekami a Żydami. Żydzi jednak, rozentuzjzmowani przybyciem żydowskiego króla, cieszącego się szczególną łaską cesarza, wyszli na jego spotkanie do przystani. Kilkutysięczny tłum, odświętnie odziany, odprowadził Heroda do żydowskiej dzielnicy Delta, wznosząc po drodze okrzyki: „Hosanna! Hosanna!”, i śpiewając radosne pieśni. Herod robił, co mógł, żeby ostudzić entuzjazm, ale Cypros była tak zachwycona kontrastem między obecnym a poprzednim ich przybyciem do Aleksandrii, że dla zrobienia przyjemności żonie pozwolił swym rodakom w niejednym przebrać miarę. Z gniewem i zawiścią patrzyli na tę manifestację Grecy. Żył zaś wtedy w Aleksandrii niejaki Baba, popularna w całym mieście postać, matolek, a właściwie tylko udający matoleka. Zebrał on na głównych placach miasta, a dzięki błazeństwom, które rozśmieszały ludzi, zbierał sporo miedziaków. Tego Babę Grecy przebrali w strój będący karykaturą szat królewskich, dodali mu straż przyboczną uzbrojoną równie groteskowo w miecze z kiełbasy, tarcze z polci słoniny i hełmy ze świńskimi ryjami i całemu temu orszakowi kazali przemaszerować przez Deltę. Tłum krzychał: „Marin! Marin!”, co znaczy „Król! Król!” Przed domami Alabarcha i jego brata Filona

blazeński orszak urządził demonstrację. Herod odwiedził dwu przywódców ludności greckiej i zaprotestował przeciw tej demonstracji.

- Nie zapomnę - rzekł - o dzisiejszym widowisku. Mam wrażenie, że kiedyś go pożałujecie.

Z Aleksandrii Herod z Cypros udali się w dalszą drogę do Jaffy, a stamtąd do Jerozolimy, gdzie odwiedzili dzieci. Zamieszkali w obrębie murów świątyni jako goście arcykapłana, z którym porozumienie się było dla Heroda rzeczą pierwszej wagi. Bardzo dobre wrażenie wywarło na Żydach ofiarowanie przez Heroda jako wotum kajdan, którymi był przykuty w więzieniu. Zawieszono je na ścianie skarbcza świątyni. Następnie królewska para ruszyła przez Samarię i pogranicze Galilei do swojej nowej siedziby Cezarei Filippi, uroczej stolicy Filipa, wzniesionej przezeń na południowych stokach Hermonu. W Cezarei podjęli zaległe dochody gromadzone od śmierci tetrarchy. Wdowa po Filipie, Salome, starała się usidlić Heroda, ale cały jej uwodzicielski kunszt nie odniósł żadnego rezultatu.

- Jesteś niewątpliwie piękna, urocza i inteligentna - oświadczył jej Herod - ale pamiętaj o przysłowiu: „Wchodząc do nowego domu, zabierz ogień ze starego ogniska.” Jedyłą kobietą, która będzie królową Basanu, jest moja ukochana Cypros.

Łatwo sobie wyobrazić, jak dziką zawiścią musiała zapalać Herodiada na wiadomość o wywyższeniu, które spotkało Heroda. Cypros została królową, podczas gdy ona sama była żoną zwykłego tetrarchy. Próbowwała obudzić w Antypasie te same dręczące uczucia, nie poszło to jej jednak tak łatwo. Stary, gnuśny, wygodny nad wszystko przekładający Antypas czuł się zupełnie dobrze na swym stanowisku; wprawdzie był tylko tetrarchą, ale posiadał ogromne bogactwa i nie przywiązywał wielkiej wagi do tego, jak się go tytułuje. Herodiada nie dawała mężowi spokoju: nazywała go starym niedołęgą, godnym co najwyżej pożałowania, który nie może się spodziewać szacunku z jej strony.

- Spójrz tylko na mego brata Heroda Agryppę - mówiła. - Niedawno

przybył tu jako zbieg bez grosza przy duszy i każdy kęs chleba, który włożył do ust, zawdzięczał tylko twemu miłosierdziu. Odplaciwszy ci się grubiańską obelgą, uciekł do Syrii, skąd wypędzony za branie łapówek, ledwie umknął aresztowania w Antedonie. Przybywa wreszcie do Rzymu i tu zostaje uwięziony za zdradę stanu. I pomyśl tylko, że taki człowiek, taki rozpustnik, który wszędzie zostawił za sobą całe stosy nie popłaconych rachunków, ma teraz zostać królem i będzie mógł natrzęsać się z nas. To jest nie do zniesienia! Żądam stanowczo, abyś wyruszył do Rzymu i zmusił nowego cesarza, by cię obdarzył przynajmniej tymi samymi zaszczytami co Heroda.

- Mówisz bez zastanowienia, moja droga. Wiesz przecie sama, że powodzi się nam tu doskonale, a jeśli zechcemy polepszyć nasz los, łatwo możemy uczynić go gorszym. Rzym od czasu śmierci Augusta nie jest bezpiecznym miejscem.

- Nie odezwę się do ciebie słowem ani nie będę dzieliła z tobą łoża, dopóki mi solennie nie przyrzekniesz udać się do Rzymu - zawołała Herodiada.

Herod dowiedział się o tej scenie od jednego z agentów, których miał na dworze Antypasa. A kiedy potem Antypas wybrał się w podróż do Rzymu, wysłał pośpiesznym statkiem list do Kaliguli. Kapitan, któremu obiecał bardzo wysoką nagrodę, jeżeli przybędzie do Rzymu przed tetrarchą, ruszył, ryzykując całość żagli - i uczciwie zarobił na przyrzeczone pieniądze. Kiedy Antypas stanął przed Kaligulą, ten miał już w ręku list Heroda. Herod donosił, że podczas pobytu w Jerozolimie słyszał poważne zarzuty przeciw swemu stryjowi Antypasowi. Początkowo nie chciał dać wiary oskarżeniom, ale dokładniejsze zbadanie sprawy potwierdziło słusność pogłosek. Okazało się, że Antypas nie tylko listownie porozumiewał się z Sejanem, kiedy ten z Liwillą przygotowywali zamach stanu - bo to są stare dzieje - ale niedawno korespondował z królem Fartów, który przy pomocy tetrarchy zamierzał doprowadzić na Wschodzie do wielkiej rewolucji przeciw Rzymianom. Król partyjski w zamian za zdradę Rzymu obiecywał Antypasowi Samarię, Judeę i

obecne królestwo Heroda, Basan. Na poparcie oskarżenia Herod przytaczał okoliczność, że Antypas ma w swym arsenale siedemdziesiąt tysięcy kompletów zbroi. Jakież inny sens mogłyby mieć te potajemne przygotowania do wojny? Stała armia jego stryja wynosi zaledwie paruset ludzi stanowiących gwardię honorową. Chyba te zbroje nie miały okryć rzymskich żołnierzy?

Herod był bardzo przebiegły. Wiedział doskonale, że Antypas nie ma żadnych wojowniczych zamiarów i że to przesadne zapychanie zbrojowni ma swoje źródło w skłonności stryja do popisywania się bogactwem. Dochody z Galilei były bardzo znaczne, a Antypas, o ile skąpym był gospodarzem, o tyle lubił wydawać pieniądze na kosztowne przedmioty. Kolekcjonował zbroje, jak rzymscy bogacze kolekcjonowali posągi, obrazy czy inkrustowane meble. Ale Herod wiedział, że takie wytłumaczenie nigdy nie przyjdzie Kaliguli do głowy; opowiadał mu przecie nieraz o sknerstwie Antypasa. Tak więc, kiedy tetrarcha zjawił się w pałacu i powinszował cesarzowi objęcia władzy, ten chłodno odpowiedział na powitanie i spytał od razu:

- Czy to prawda, tetrarcho, że w swojej zbrojowni w pałacu posiadasz siedemdziesiąt tysięcy kompletnych zbroi?

Antypas, zaskoczony, nie mógł zaprzeczyć, zwłaszcza że Herod przezornie podał dokładną liczbę. Zaczął więc bąkać coś o tym, że zbiera te zbroje tylko z amatorstwa, ale Kaligulą przerwał mu krótko.

- Posłuchanie skończone - rzekł. - Możesz sobie zaoszczędzić niezręcznych wyjaśnień. Jutro się zastanowię, jak mam z tobą postąpić. - Antypas zawstydzony, z trwogą w sercu odszedł. Tegoż wieczora Kaligula spytał mnie przy obiedzie:

- Jak się nazywa miejscowość, w której przyszedłeś na świat, stryju?

- Lyon - odrzekłem.

- To, zdaje się, niezdrowa miejscowość, nieprawdaż? - pytał dalej, obracając w palcach złoty puchar.

- O tak - przytaknąłem. - Ma opinię jednej z najniezdrowszych

miejsowości na całym obszarze twojego państwa. Moim zdaniem, klimat lyoński ponosi winę, że pędzę dziś beużyteczne i beczynne życie.

- Tak. Zdaje mi się, że już kiedyś o tym wspominałeś. Mamy zamiar wysłać tam Antypasa. Zmiana klimatu może mu dobrze zrobić. W Galilei jest zbyt wiele słońca jak dla człowieka o tak gwałtownym charakterze.

Nazajutrz Kaligula oświadczył Antypasowi, że został złożony z urzędu tetrarchy i że w Ostii czeka już statek, który go zabierze do Lyonu. Antypas przyjął wyrok z filozoficznym spokojem. „Wygnanie lepsze niż śmierć” - pomyślał sobie. Muszę też na jego pochwałę powiedzieć, że o ile mi wiadomo, nie czynił żadnych wymówek Herodiadzie towarzyszącej mu do Rzymu. Kaligula listownie podziękował Herodowi za nadesłaną w porę przestrożę i w dowód uznania ofiarował mu tetrarchię wraz z jej dochodami. Herodiadzie zaś oświadczył, że ze względu na brata pozwala jej zatrzymać osobisty majątek, a jeśli ma ochotę, może wrócić do Galilei i żyć pod opieką Heroda. Herodiada, zbyt dumna, aby przyjąć tę propozycję, odrzekła, że Antypas był dla niej zawsze dobrym mężem i nie porzuci go w godzinie nieszczęścia. Gotowała się już do dłuższego przemówienia licząc, że może uda się jej zmiękczyć serce Kaliguli, ale ten nie chciał nawet słuchać. Następnego ranka Antypas i Herodiada odплыnęli do Lyonu, skąd już nigdy nie powrócili do Palestyny.

Herod napisał do Kaliguli w tonie bezgranicznej wdzięczności. List ten Kaligula mi pokazywał.

„Co za człowiek! - pisał Herod. - Siedemdziesiąt tysięcy zbroi, i to wszystko z amatorstwa! Mógł przez blisko sto lat dwa razy dziennie zmieniać zbroję i za każdym razem mieć nową. Czyż nie szkoda, żeby taki człowiek marnował się gdzieś w Lyonie? Trzeba go było wysłać na podbój Niemiec, niechby je w pojedynkę zdobywał. Twój ojciec mawiał zawsze, że jedyny sposób na Niemców to wytracić ich co do nogi. I oto miałeś właśnie do dyspozycji takiego srogiego wojownika, tak niesytego walki, że zmagazynował u siebie siedemdziesiąt tysięcy kompletów zbroi! Wszystkie na miarę.”

Uśmieliśmy się serdecznie czytając ten list, w którym na końcu Herod zapowiadał swe rychłe przybycie do Rzymu; pragnie bowiem osobiście podziękować Kaliguli, gdyż pióro nie jest zdolne wyrazić jego uczuć dla cesarza. Na czas pobytu w Rzymie zamierza rządy Galilei i Gilead powierzyć swemu bratu Arystobulowi, nad którym czujną opiekę roztoczy Silas; regentem Basanu zaś mianuje młodszego brata, Heroda Polliona.

Jakoż rzeczywiście wkrótce przybył do Rzymu wraz z Cypros. Po przybyciu spłacił wszystkich swych wierzycieli co do grosza i ogłosił, że nie zamierza zaciągać nowych długów. Pierwszy rok rządów Kaliguli upłynął dla Heroda bez żadnych poważniejszych kłopotów. Nawet kiedy Kaligula poróżniwszy się z swoją matką z powodu zamordowania Gemellusa - od którego to kroku Herod bynajmniej nie odwodził cesarza - zmusił ją, jak pisałem w poprzednim tomie, do popełnienia samobójstwa, Herod był tak pewien zaufania Kaliguli, że jeden jedyny spośród przyjaciół matki przywdział żałobę i wziął udział w pogrzebie. Wierzę, że śmierć jej odczuł istotnie boleśnie, ale postępek swój wyjaśnił Kaliguli w sposób niezbyt godny.

- Byłbym niewdzięcznikiem i łajdakiem - rzekł - gdybym nie spełnił swego obowiązku wobec cieni mojej dobrodziejki. Antonia po babczynemu wtrącała się do sprawy, która jej nie powinna była obchodzić. Niezadowolenie, jakie z tego powodu okazałeś, musiało ją głęboko zmartwić i zawstydzić. Gdybym przez podobne postępowanie zasłużył na twój gniew - oczywiście, sama myśl o tym jest niedorzecznością. - niewątpliwie wyciągnąłbym te same co ona konsekwencje. Przywdziana przeze mnie żałoba jest hołdem złożonym odwadze, z jaką Antonia opuściła współczesny świat, w którym matrony staroświeckiego pokroju stały się przeżytkiem.

Kaligula przyjął dość łaskawie to wyjaśnienie i odparł:

- Postąpiłeś całkiem słusznie. Antonia skrzywdziła mnie, nie ciebie.

Kiedy jednak Kaligula, dostawszy skutkiem choroby pomieszania zmysłów, ogłosił się bogiem i zaczął posągom bóstw przyprawiać swoją własną

rzeźbioną głowę, Herod zaniepokoił się nie na żarty. Władca wielotysięcznego narodu żydowskiego przewidywał, jaką to może rozpętać burzę. Pierwsze jej oznaki zdarzyły się w Aleksandrii, gdzie Grecy nalegali na namiestnika, aby kazał zarówno w greckich świątyniach, jak i synagogach żydowskich ustawić posągi cesarza, i domagali się, żeby w sądach zarówno Grecy, jak Żydzi przysięgali na boskie imię Kaliguli. Namiestnik, będąc przeciwnikiem Agryppiny, a zwolennikiem Tyberiusza Gemellusa, postanowił skorzystać z okazji do zadokumentowania swej lojalności i rozciągnął na Żydów edykt cesarski, który pierwotnie miał dotyczyć tylko Greków. Kiedy Żydzi wzbraniли się przysięgać na Kaligulę i nie chcieli ustawić w synagogach jego posągów, ogłosił ich intruzami w mieście. Ten krok, powitany z radością przez aleksandryjczyków, dał hasło do pogromu. Bogatych Żydów, mieszkających w innych dzielnicach miasta obok Greków i Rzymian, wyrzucono do ciasno zabudowanej dzielnicy Delta, a przy tej sposobności splądrowano około czterystu sklepów żydowskich, często mordując lub kalecząc właścicieli. Pozostali przy życiu padli ofiarą niezliczonych obelg. Straty, które Żydzi ponieśli w ludziach i dobytku, były tak wielkie, że Grecy postanowili wysłać do Rzymu delegację, żeby usprawiedliwić swoje postępowanie. Winę zwalili na Żydów, których opór w oddawaniu czci boskiemu majestatowi cesarza miał tak oburzyć młodszych i mniej karnych obywateli greckiego pochodzenia, iż postanowili na własną rękę ukarać zuchwalców. Równocześnie i Żydzi wysłali ze swej strony delegację, na której czele stał brat Alabarcha, Filon, Żyd bardzo poważny, cieszący się sławą najwybitniejszego filozofa Egiptu. Przybywszy do Rzymu Filon udał się przede wszystkim do Heroda, obecnie swojego powinowatego. Herod bowiem, spłaciwszy Alabarchowi pożyczkę wraz z dziesięcioma procentami za dwa lata - czym bardzo zakłopotał swego wierzyciela, ponieważ jako Żydowi nie wolno mu było brać procentów od Żyda - zaręczył swoją najstarszą córkę Berenikę z najstarszym synem Alabarcha. Filon prosił Heroda, aby interweniował u Kaliguli w sprawie aleksandryjskiej.

Herod jednak wolał nie łączyć się z delegacją. Jeżeli - mówił - sprawa przyjmie obrót niepomysłny, wtedy spróbuje ułagodzić gniew cesarza, który prawdopodobnie przyjmie ich bardzo surowo. To wszystko, co na razie może przyrzec.

Kaligula łaskawie przyjął delegację Greków, a Żydom, jak przewidywał Herod, nie szczędził wymówek i pogróżek. O przyrzeczonej im przez Augusta tolerancji nie chciał nawet słyszeć.

- August - krzyczał - już od dawna nie żyje, edykty jego uległy przedawnieniu, a w ogóle nie mają sensu! Ja teraz jestem waszym bogiem i nie będziecie mieć innych bogów poza mną.

Filon zwrócił się do towarzyszy po aramejsku:

- Jestem rad, żeśmy przybyli do Rzymu. Słowa, które słyszeliśmy, są świadomym wyzwaniem Boga żywego i możemy być pewni, że głupiec, który je wypowiedział, zginie marnie. - Na szczęście nikt z dworzan nie rozumiał po aramejsku.

Kaligula zawiadomił namiestnika Egiptu, że Grecy protestując, przeciw nieprawomyślności Żydów spełnili tylko swój obowiązek; jeśli zaś Żydzi będą dalej stawiać krnąbrny opór, on sam wyruszy na czele armii i rozprawi się z nimi ostatecznie. Tymczasem rozkazuje uwięzić Alabarcha i innych dostojników gminy żydowskiej. Tylko wzgląd na pokrewieństwo z Herodem, zaznaczał, powstrzymał go od skazania Alabarcha i jego brata Filona na śmierć. Jedyną satysfakcją, jaką udało się Herodowi uzyskać dla Żydów Aleksandryjskich, było usunięcie namiestnika Egiptu. Należał on, jak wspominałem, do przeciwników matki Kaliguli, Agryppiny, i na tej podstawie Kaligula z namowy Heroda kazał go teraz uwięzić i skazał na osiedlenie się na jednej z mniejszych wysep greckich.

W tym czasie zaczęło Kaliguli brakować pieniędzy. Herod zaproponował, że wybierze się do Palestyny; zobaczy, czy tam nie uda mu się znaleźć kwot, które by zapełniły prywatną szkatułę cesarza.

- Mój brat Arystobul - oświadczył - donosi, że ten liczykrupa Antypas był bogatszy, niż przypuszczaliśmy. Teraz, kiedy wybierasz się na podbój Brytanii i Niemiec - nawiasem mówiąc, jak będziesz przejeżdżał przez Lyon, serdecznie pozdrów ode mnie, proszę, Antypasa i Herodiadę - w Rzymie będzie bardzo smutno po twoim odjeździe, więc skorzystam ze sposobności i odwiedzę swoje królestwo. A kiedy tylko dojdzie mnie wieść, że wyruszasz z powrotem do Rzymu, czym prędzej pójdę za twoim przykładem i mam nadzieję, że będziesz zadowolony z rezultatów, które ci przywiozę.

W rzeczywistości na wyjazd Heroda z Rzymu wpłynęły bardzo niepokojące wieści, które otrzymał z Palestyny. W tym samym dniu, w którym Kaligula miał wyruszyć na swoją bezsensowną wyprawę, Herod odpłynął na Wschód. Lecz minął jeszcze blisko rok, zanim Kaligula naprawdę wyruszył.

Kaligula polecił, aby posąg jego umieszczono w świątyni jerozolimskiej w miejscu świętym świętych, to jest w wewnętrznym, ukrytym przybytku, gdzie w cedrowej skrzyni miał przebywać bóg żydowski i dokąd wolno było wejść raz na rok arcykapłanowi. Cesarz polecał, żeby w czasie uroczystych świąt posąg jego wnoszono na zewnętrzny dziedziniec świątyni, gdzie Żydzi czy nie-Żydzi mieli mu oddawać cześć. Kiedy rozkaz cesarski został ogłoszony przez namiestnika Judei, następcę Poncjusza Piłata (który po przybyciu do Rzymu popełnił samobójstwo), powstało w mieście takie wzburzenie, że namiestnik musiał się schronić w obozie, położonym za bramami miasta, i tam przetrzymać coś w rodzaju oblężenia. Wieści o tych zajściach doszły Kaligulę w Lyonie. Cesarz wpadł we wściekłość i wysłał list do nowego namiestnika Syrii, który objął ten urząd po mym przyjacielu Witeliuszu, polecając mu, aby powoławszy pod broń znaczniejsze siły syryjskie, na czele oddziałów posiłkowych i dwu pułków rzymskich, które miał pod swoim dowództwem, wyruszył do Judei i tam mieczem wyegzekwował wypełnienie edyktu. Namiestnik ów, nazwiskiem Publiusz Petroniusz, był to żołnierz rzymski dawnego pokroju. Nie tracąc czasu na długie przygotowania ruszył do Akry. Stąd napisał list do arcykapłana i

znamienitszych Żydów, donosząc o cesarskim rozkazie i o swojej gotowości wykonania go. Tymczasem Herod, trzymając się o ile możliwości jak najbardziej w cieniu, ujął całą sprawę we własne ręce i skrycie udzielił wskazówek arcykapłanowi. Za jego radą namiestnika Judei wraz z garnizonem posłano pod eskortą gwarantującą im bezpieczeństwo do Akry, do Petroniusza. Za nimi udała się delegacja żydowska w liczbie dziesięciu tysięcy, by zaprotestować przeciw zamierzonemu zbezczeszczeniu świątyni. Przybysze oświadczyli Petroniuszowi, że nie mają wojowniczych zamiarów, lecz wolą raczej zginąć niż dopuścić do czynu, który by ściągnął na ziemię ich przodków najstraszniejszą klątwę. Pod względem politycznym uznają zwierzchnictwo Rzymu i nie można im zarzucić ani braku lojalności, ani ociągania się z płaceniem podatków. Przede wszystkim jednak uznają zwierzchnictwo Boga swych ojców, który otaczał ich opieką w przeszłości i wyraźnie zabronił oddawać cześć innym bóstwom.

- Nie posiadam kwalifikacji do dyskusowania na temat problemów religijnych - rzekł Petroniusz. - Może macie rację, może jej nie macie. Przysięga, którą złożyłem na wierność cesarzowi, nie rozróżnia spraw polityki i religii. Przysięgałem bez żadnych zastrzeżeń. Jestem sługą cesarskim i spełnię rozkaz cesarza bez względu na konsekwencje.

- A my jesteśmy wiernymi sługami naszego Pana i Boga i spełnimy jego rozkazy bez względu na konsekwencje - odparli Żydzi.

Sprawa więc utknęła w martwym punkcie. Za radą Heroda nie przedsięwzięto żadnych zaczepnych kroków w stosunku do Rzymian, ale choć nadchodziła pora jesiennych siewów, zostawiono pola nie zorane, a cała ludność przywdziała żałobne szaty i posypała głowy popiołem. Zamarł handel i stanęły warsztaty. Nowa delegacja, z bratem Heroda Arystobulem na czele, wyszła na spotkanie Petroniusza do Cezarei Samaryjskiej. Żydzi powtórnie zapewnili namiestnika o swoich pokojowych zamiarach, zaznaczyli jednak, że jeśli będzie nastawał na wykonanie cesarskiego rozkazu, życie straci wartość dla każdego bogobojnego Żyda i cały kraj doprowadzony zostanie do ruiny. Petroniusz

znalazł się w kłopotliwym położeniu. Chętnie by się zwrócił o pomoc i radę do Heroda, ale Herod czując niepewność własnej sytuacji odpłynął już do Rzymu. Petroniusz, stary wojak, który, czy w otwartym polu, czy napadnięty podstępnie, umiał odważnie stawić czoło najsroższemu nieprzyjacielowi, nie wiedział, co począć, kiedy czcigodni starcy wyciągając szyje mówili:

- Nie stawiamy oporu, uczciwie płacimy Rzymowi haracz, ale w sprawach religijnych winni jesteśmy posłuszeństwo Bogu naszych przodków; w tych przekonaniach chowaliśmy się od maleńkości. Zabij nas, jeśli taka twoja wola. Nie chcemy patrzeć żywi na znieważanie naszego Boga.

Petroniusz odpowiedział im szczerze i uczciwie. Jego obowiązkiem, tłumaczył, jako Rzymianina jest dotrzymać przysięgi złożonej cesarzowi i rozkazy cesarskie spełnić z całą dokładnością, a sami mogą ocenić, że przy pomocy armii, jaką rozporządza, potrafi się doskonale wywiązać z poleconego mu zadania. Niemniej jednak musi z uznaniem podkreślić ich stałość i fakt, że powstrzymali się od wszelkich aktów gwałtu. Chociaż więc, ciągnął, jako namiestnik Syrii doskonale sobie zdaje sprawę z tego, co jest jego powinnością, to jako rozsądny i kierujący się ludzkimi uczuciami człowiek doszedł do wniosku, że wykonanie rozkazów jest prostą niemożliwością. Rzymianie nie przywykli zabijać bezbronnych starców tylko dlatego, że ci upierają się w dalszym ciągu czcić swego narodowego boga. Postanowił więc napisać powtórnie do Kaliguli i przedstawić mu sprawę Żydów w możliwie najlepszym dla nich świetle. Jest bardzo prawdopodobne, że krok ten przypłaci życiem, ale chętnie złoży je w ofierze, jeśli za tę cenę ocali życie tysięcy pracowitych, spokojnych mieszkańców prowincji. Niech więc nabiorą otuchy i jaśniej patrzą w przyszłość. Z chwilą kiedy list do cesarza zostanie napisany, a to nastąpi jeszcze tego samego dnia przed południem, niech przystąpią do uprawy pól. W przeciwnym razie bowiem zapanuje głód, a za nim przyjdą rozboje i zaraza; sytuacja stanie się jeszcze gorsza, niż jest w tej chwili. W czasie tej przemowy nadciągnęły chmury od zachodu i lunął nagle rzęsisty deszcz. Ponieważ

dotychczas nie było jeszcze jesiennych deszczów i okres ich właściwie minął, ulewę wzięto za szczególnie pomyślną wróżbę i tłum Żydów rozproszył się śpiewając radosne hymny. Deszcz padał w dalszym ciągu i wkrótce cały kraj odżył na nowo.

Petroniusz dotrzymał słowa. Doniósł Kaliguli o oporze Żydów i prosił, aby rozporządzenie poddać ponownej rozwadze. Żydzi, pisał, okazują pełną cześć dla cesarza, ale twierdzą, że straszliwa klątwa spadnie na kraj, jeżeli czykolwiek posąg stanie w świątyni. Rozwiódł się obszerniej nad tym, że mieszkańcy z rozpaczy zaniechali uprawy ziemi, i oświadczył, iż widzi tylko dwie możliwości: albo ustawić posąg i skazać kraj na zagładę, a tym samym pozbawić cesarstwo olbrzymich dochodów, albo zmienić decyzję i pozyskać sobie w zamian bezgraniczną wdzięczność szlachetnego narodu. W końcu prosił, aby odłożyć oddawanie czci posągowi przynajmniej do końca żniw.

Zanim jednak list ten dotarł do Rzymu, już Herod Agryppa zabrał się do dzieła w obronie żydowskiego boga. Po tak długiej rozłące Kaligula powitał Heroda niezwykle serdecznie, zwłaszcza że ten ostatni przywiózł z sobą wielkie skrzynie pełne złota, drogich kamieni i różnych cennych przedmiotów. Niektóre z tych kosztowności pochodziły z jego własnego skarbcza, inne były własnością Antypasa, reszta, sędzę, została ofiarowana przez Żydów Aleksandryjskich. Herod zaprosił Kaligulę na najwspanialszą ucztę, jaką kiedykolwiek wydano w Rzymie. Na stole zjawiły się nie oglądane dotąd smakołyki, między innymi pięć olbrzymich pasztetów ze słowiczych języków, niezrównanej delikatności ryby, przywiezione w basenach aż z dalekich Indii, i pieczone ze zwierzęcia przypominającego kształtem młodego słonia, lecz pokrytego długim włosiem. Ten okaz nieznanego zupełnie gatunku został znaleziony w lodzie zamrożonego jeziora gdzieś na Kaukazie i w śniegu przesłany drogą na Armenię, Antiochię, Rodos. Kaligula był zdumiony wystawnością uczy i przyznał, że gdyby nawet starczyło mu środków na podobny zbytek, nigdy by się nie zdobył na tak wielką pomysłowość. Napoje smakiem nie ustępowały

potrawom i przy pucharach cesarz wpadł w tak dobry humor, że uznając wszystkie swoje dotychczas wyświadczone Herodowi dobrodziejstwa za niegodne pamięci, obiecał spełnić każde jego żądanie, o ile to tylko leżałoby w jego mocy.

- Żądaj, czego chcesz, drogi Herodzie, a będziesz miał. Wszystko, wszystko - powtarzał - zrobię dla ciebie. Przysięgam na własne bóstwo, że zrobię.

Herod zaklinał się, że ucztę wydał bynajmniej nie w tym celu, żeby uzyskać dla siebie cokolwiek. Kaligula zrobił dlań więcej, niż jakikolwiek władca uczynił dla swego poddanego czy sprzymierzeńca w ciągu dziejów całego świata, od legendarnych czasów począwszy. Wszystkie jego pragnienia zostały sownie zaspokojone; jeżeli pragnie czegoś, to tylko tego, aby mógł w jakiś sposób okazać swą wdzięczność. Kaligula jednak, nalewając sobie w dalszym ciągu wina z kryształowej karafki, nalegał:

- Czyż doprawdy nie ma nic, czego Herod by pragnął? Może jakieś nowe królestwo na Wschodzie? Na przykład Chalcyda lub Iturea. Wystarczy jedno słowo...

- Nie, najłaskawszy, najwspanialszy, boski Cezarze - rzekł Herod. - Nie pragnę dla siebie niczego. Wszystko, czego bym mógł się spodziewać, to przywilej służenia ci. Ale ty, Cezarze, czytasz w myślach. Nic nie uchodzi twemu zdumiewająco bystremu i badawczemu wzrokowi. Istnieje rzeczywiście coś, o co chciałbym cię prosić, lecz dar ten bezpośrednią korzyść przyniesie tobie. Dla mnie pośrednią nagrodą będzie chwała z udzielenia ci rady.

Te słowa wzbudziły tym większą ciekawość Kaliguli.

- Żądaj śmiało, Herodzie - zawołał. - Czyż nie przysięgłem spełnić twej prośby i czyż słowo moje nie jest słowem boga?

- A więc pragnę tylko tego - rzekł Herod - abyś zaniechał myśli ustawienia swego posągu w świątyni jerozolimskiej.

Głuche milczenie zaległo salę. Uczestniczyłem w tej historycznej uczcie i

nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek czuł się tak nieswojo i był równocześnie tak podniecony jak wtedy, oczekując na wynik tej śmiałości Heroda. Co zrobi Kaligula? W obecności wielu świadków zaprzysiął na własne bóstwo spełnić każde żądanie, lecz czyż mógł zaniechać zamiaru upokorzenia tego żydowskiego boga, który jeden ze wszystkich bóstw świata trwał w oporze przeciw jego woli?

Wreszcie Kaligula przemówił. Odezwał się łagodnym, omal błagalnym tonem, jakby licząc, że Herod pomoże mu wybrnąć z trudnego położenia.

- Nie rozumiem cię, kochany Herodzie. Dlaczego sądzisz, że spełnienie tej prośby przyniesie mi korzyść?

Herod, który zanim zasiadł do stołu, przemyślał całą sprawę w najdrobniejszych szczegółach, odparł teraz z udaną powagą:

- Dlatego, Cezarze, że umieszczenie twego świętego posągu w świątyni jerozolimskiej nie przysporzy ci zgoła chwały. Och, całkiem przeciwnie. Czy znasz posąg obecnie przechowywany w najgłębszym przybytku tej świątyni? Czy znane ci są obrzędy, których dokonuje się w dni świąt? Nie? No to posłuchaj, a zrozumiesz, że to, co ci się wydawało szkaradnym uporem ze strony mych współwyznawców, jest tylko lojalną chęcią nieurazenia twego majestatu. Bóg Żydów, Cezarze, to bardzo oryginalna postać. Określono go jako antyboga. Ma on silnie zakorzeniony wstręt do posągów, a zwłaszcza posągów o majestatycznym wyglądzie i artystycznej wartości, jak posągi bóstw greckich. Aby dać symboliczny wyraz swojej nienawiści do innych bogów, kazał w wewnętrznym przybytku świątyni ustawić swój posąg w postaci wielkiego, niezgrabnego, karykaturalnego osła o długich uszach, potężnym uzębieniu i przesadnie wielkich genitaliach. W czasie każdego święta kapłani, śpiewając nieprzystojne hymny, obrzucają ten posąg najobrzydliwszymi ekskrementami i odpadkami, a następnie obwożą go naokoło wewnętrznego dziedzińca, na którym wszyscy zebrani wierni bezczeszczą go w podobny sposób, tak że cała świątynia cuchnie potem jak Wielki Kanał. Obrzęd ten jest utrzymywany w

tajemnicy.. Nie-Żydów nie dopuszcza się do udziału w nim, a Żydom nie wolno mówić o nim pod karą klątwy. Zresztą sami wstydzą się tej ceremonii. Teraz rozumiesz wszystko, nieprawdaż? Przywódcy żydowscy boją się, że ustawienie twego posągu w świątyni stanie się powodem poważnych nieporozumień: sfanatyzowane pospólstwo będzie go bezcześcić w niesłychany sposób w przekonaniu, że gorliwością swą okazuje ci cześć. Ale jak zaznaczam, względy delikatności i święty obowiązek milczenia powstrzymały ich od wyjaśnienia naszemu przyjacielowi Petroniuszowi, dlaczego wolą raczej umrzeć niż wykonać twoje rozkazy. Na szczęście ja mogę powiedzieć ci to, czego oni nie śmieją. Żydem jestem tylko ze strony matki; może to uchroni mnie od klątwy. Ale w każdym razie ze względu na ciebie postanowiłem zaryzykować odkrycie tajemnicy.

Kaligula przyjął całe opowiadanie za dobrą monetę, a nawet ja na pół uwierzyłem Herodowi, tak poważnym mówił tonem.

- Gdyby ci głupcy byli równie szczerzy ze mną jak ty, drogi Herodzie - odezwał się Kaligula - byłiby nam oszczędzili wiele kłopotu. Czy myślisz, że Petroniusz nie wykonał jeszcze mojego rozkazu?

- Mam nadzieję, że nie.

Kaligula więc napisał do Petroniusza krótki list: „Jeżeli ustawiłeś już mój posąg w świątyni, jak rozkazałem, zostaw go tam, lecz bacz, aby wszelkich obrzędów dokonywano pod ścisłym nadzorem rzymskiej siły zbrojnej. W przeciwnym razie odeślij nowo zaciężnych do domu i zapomnij o całej sprawie. Rozważywszy to, co mi mówił król Herod Agryppa, doszedłem do przekonania, że świątynia jerozolimska jest całkowicie niewłaściwym miejscem dla ustawienia mego świętego posągu.”

Pismo cesarskie rozminęło się w drodze z listem Petroniusza. Kaligula wściekły, że Petroniusz śmiał ze względów czysto humanitarnych proponować mu zmianę decyzji, odpisał: „Z chwilą, kiedy żydowskie łapówki stawiasz wyżej od mojej cesarskiej woli, nie pozostaje ci, moim zdaniem, nic innego, jak

szybko i bezboleśnie zejść z tego świata. Nie czekaj, aż karę twoją uczynię odstrasżającym przykładem dla wszystkich przyszłych wieków.”

Na szczęście statek, którym Kaligula wysłał ten drugi list, stracił gdzieś pomiędzy Rodos a Cyprzem główny maszt i przez wiele dni stał niezdatny do żeglugi - przez ten czas przysły do Cezarei wieści o śmierci Kaliguli. Petroniusz z wielkiej radości omal nie przeszedł na judaizm.

Na tym się kończy pierwsza część historii Heroda Agryppy; dalszy jej ciąg poznacie, w miarę jak będę opowiadał o swoich własnych dziejach.

Rozdział V

Wracamy więc znów do tej chwili, kiedy dwu kaprali gwardii obnosiło mnie naokoło wielkiego dziedzińca, a Niemcy z batalionu straży pałacowej tłoczyli się jeden przez drugiego ofiarowując mi swoje dziryty. Wreszcie skłoniłem kaprali, żeby mnie postawili na ziemi, a czterem Niemcom poleciłem przynieść lektykę. Kiedy wdrapałem się do niej, postanowiono mnie przenieść na drugą stronę miasta, do obozu gwardii, gdzie straż chroniłaby mnie przed ewentualnym zamachem na moje życie. Zacząłem i tym razem protestować, gdy nagle zwróciła moją uwagę kolorowa plama migająca w głębi poza tłumem. Czyjaś ręka w purpurowym rękawie dawała mi znaki kreśląc koła w charakterystyczny sposób, który przywiódł mi na pamięć szkolne lata.

- Zdaje się, że to król Herod - rzekłem do żołnierzy. - Jeżeli ma mi coś do powiedzenia, przepuście go czym prędzej.

W chwili zamachu na Kaligulę Herod był niedaleko od miejsca mordu. Wyszedł razem z nami z teatru, lecz został odciągnięty na bok przez jednego ze spiskowców, który niby to chciał go prosić o protekcję u Kaliguli. Herod więc nie był świadkiem zabójstwa. Znając go dobrze, przypuszczam, że za pomocą jakiegoś fortelu usiłowałby niechybnie ocalić Kaliguli życie. W każdym razie, kiedy w chwilę później natknął się na zwłoki, w niedwuznaczny sposób dał wyraz uczuciom wdzięczności za dobrodziejstwa, których doznał od Kaliguli. Podjął skrwawione ciało, troskliwie zaniósł je na rękach do pałacu i tam złożył na cesarskim łożu. Posłał nawet po chirurgów, jak gdyby istniała jeszcze jakaś możliwość przywrócenia trupowi życia. Następnie drugim wyjściem opuścił pałac i szybko pobiegł okólną drogą do teatru. Tam nakłonił Mnesterę do wygłoszenia owej sławnej mowy, która uspokoiła wzburzonych Niemców i powstrzymała od wzięcia na widzach krwawego odwetu za śmierć ich pana. Po powrocie do pałacu Herod, usłyszawszy o tym, co tutaj się stało, śmiało

pośpieszył na dziedziniec, aby zobaczyć, czy nie będzie mi mógł w czym pomóc. Muszę przyznać, że już sam szelmowski, krzywy uśmiech Heroda pokrzepił mnie mocno.

- Gratuluję, Cezarze - zawołał. - Obyś jak najdłużej cieszył się zaszczytem, który ci dzielni żołnierze złożyli na twoje barki, a moją chlubą niech będzie, że pierwszy pośpieszył ofiarować ci przymierze.

Radosne wiwaty żołnierzy były odpowiedzią na te słowa. Herod tymczasem, stanąwszy tuż obok mnie i trzymając moją dłoń w swojej, zaczął mówić już całkiem poważnie. Nie chcąc zaś, żeby go rozumieli żołnierze, posłużył się językiem fenickim, który, jak wiedział, znałem dzięki swoim studiom nad historią Kartaginy. Mówił szybko, nie dopuszczając mnie do słowa.

- Słuchaj, Klaudiuszu. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co czujesz. Wiem, że wcale nie pragniesz zostać cesarzem, ale nie bądź szalony. Ze względu na nas wszystkich, ze względu na własne życie bierz, co ci bogowie dobrowolnie dają. Domyślam się twoich planów. Ubrdałeś sobie, że jak tylko żołnierze odejdą, oddasz władzę senatowi. To szaleństwo! Dasz w ten sposób hasło do nowej wojny domowej. Senat jest stadem baranów, ale wśród nich znajdują się trzy czy cztery wilki. Z chwilą kiedy złożysz władzę, wilki zaczną się o nią zreć między sobą. Pierwszy Azjatyk, nie mówiąc już o Winicjuszu. Obydwaj brali udział w spisku, więc obawa przed karą może ich pchnąć do rozpaczliwych kroków. Winicjusz, żonaty z twą brataneką Lesbią, uważa się już za Cezara. Odwołał żonę z wygnania i we dwoje będą stanowili pokaźną siłę. Ale jeśli nie Azjatyk i nie Winicjusz, to znajdzie się ktoś inny, może Winicjan. Ty jeden jesteś cesarzem, jakiego potrzebuje Rzym, i masz za sobą poparcie armii. Wzdragając się ze względu na bezsensowne przesady przed przyjęciem tej odpowiedzialności, ściągniesz nieszczęście na całe państwo. To wszystko, co miałem ci do powiedzenia. Rozważ sobie moje słowa i głowa do góry! - Następnie zwracając się do żołnierzy zawołał: - I wam winszuję, Rzymianie! Nie mogliście zrobić lepszego wyboru. Wasz nowy cesarz jest odważny,

szlachetny, uczony i sprawiedliwy. Możecie mu zaufać tak, jak ufaliście jego sławnemu bratu Germanikowi. Nie pozwólcie się tumanić senatowi ani żadnemu z waszych pułkowników. Bądźcie z cesarzem Klaudiuszem, a cesarz będzie z wami. Najbezpieczniejszym dlań miejscem jest w tej chwili wasz obóz. Radziłem właśnie cesarzowi, żeby odplacił wam godnie za waszą lojalność.

Z tymi słowy Herod zniknął, a my tęgim klusem ruszyliśmy w stronę obozu. Kiedy tylko któryś z dźwigających lektykę okazywał zmęczenie, zastępował go inny. Przodem biegli z wielką wrzawą Niemcy. Siedziałem odrętwiały. Odzyskałem już wprawdzie panowanie nad sobą, lecz nigdy w życiu nie czułem się tak nieszczęśliwy. Ledwie Herod zniknął mi z oczu, znów ogarnęło mnie poczucie beznadziejności. Kiedy dotarliśmy na ulicę Świętą, u podnóża Palatynu, nadbiegli wysłannicy senatu, aby nas powstrzymać i zaprotestować przeciw nieprawnemu objęciu władzy cesarskiej. Wysłannikami tymi byli dwaj trybuni ludu. Urząd ten, datujący się z czasów republikańskich i mający za zadanie bronić praw ludu przeciw tyrańskim roszczeniom możnowładztwa, obecnie stał się przeżytkiem. Osoby trybunów były nietykalne i chociaż nie posiadali oni władzy ustawodawczej, wymusili na nobilach prawo weta, dzięki któremu mogli powstrzymać każdą nie dogadzającą im uchwałę senatu. August i dwaj jego następcy przyjęli między innymi tytuły trybunów wraz z wszystkimi prerogatywami, tak że rzeczywiści trybunowie, choć wybierano ich w dalszym ciągu i pod kierownictwem cesarskim pełnili pewne funkcje, stracili swoje pierwotne znaczenie. Wysyłając tych właśnie urzędników do mnie, senat nie tylko chciał dać do zrozumienia, że ma za sobą cały Rzym, ale liczy też, że osobista nietykalność zabezpieczy wysłanników przed nieprzyjaznym wystąpieniem moich żołnierzy.

Trybuni, których zresztą nie znałem osobiście, nie zdawali się wcale owiani duchem bohaterstwa. Nie odważyli się nawet powtórzyć mi tego, co im, jak się później dowiedziałem, polecono powiedzieć. Tytułowali mnie Cezarem, do czego nie będąc członkiem rodziny Julijskiej nie miałem prawa, i

przemawiali nader pokornie.

- Zechciej nam wybaczyć, Cezarze - mówili - ale senatorowie byliby ci bardzo zobowiązani, gdybyś raczył bezzwłocznie ukazać się na ich zgromadzeniu, pragną bowiem poznać twoje zamiary.

Miałem ochotę uczynić zadość wezwaniu, ale gwardziści nie chcieli się zgodzić. Dla senatu mieli oni jedynie pogardę, a teraz, kiedy na własną rękę wybrali sobie cesarza, za żadną cenę nie chcieli go wypuścić i byli zdecydowani odeprzeć wszelkie próby senatu, czy to przywrócenia republiki, czy mianowania drugiego cesarza. Wnet też posypały się mało zachęcające okrzyki.

- Szorujcie stąd czym prędzej! Słyszycie? Powiedzcie senatowi, żeby się troszczył o swoje sprawy, a my o swoje sami się zatroszczymy. Nie chcemy, żeby nam znów zamordowano cesarza.

Wychyliłem się przez okno lektyki.

- Prześlijcie, proszę, ode mnie senatowi wyrazy głębokiego poważania i oświadczenie, że w tej chwili nie mogę przyjąć miłego zaproszenia. Poprzednio już bowiem zaproszono mnie do obozu gwardii pałacowej. Tam właśnie niosą mnie, jak widzicie, sierżanci, kaprale i szeregowcy, z których gościnności zamierzam skorzystać. Obrazić tych oddanych mi żołnierzy nie chciałbym za cenę życia. Tak więc ruszyliśmy w dalszą drogę.

- A to cwaniak z naszego nowego cesarza - śmiali się żołnierze.

W obozie przywitano mnie z nie spotykanym dotychczas entuzjazmem. Dywizja gwardii składała się z dwunastu tysięcy piechoty, nie licząc oddziałów jazdy. Teraz już nie tylko kaprale i sierżanci, lecz kapitanowie i pułkownicy okrzyknęli mnie cesarzem. Staralem się ochłodzić ich zapał; dziękując za okazane mi uczucia podkreśliłem, że nie przyjmę ofiarowanej mi władzy bez zgody senatu, do którego należy wybór cesarza. Ruszyłem następnie, wciąż w towarzystwie eskorty, do komendantury, gdzie przyjęto mnie z honorami, do jakich całkiem nie przywykłem; mimo to jednak czułem się jak w więzieniu.

Mordercy uporawszy się z Kaligulą i umknąwszy Niemcom, za którymi

nadbiegli z krzykiem tragarze i liktorzy, wpadli do domu Winicjusza opodal Rynku. Tutaj postanowili czekać na pułkowników trzech batalionów miejskich, które wraz z policją i gwardią cesarską stanowiły w stolicy jedyne regularne wojsko. Pułkownicy batalionów miejskich nie wzięli czynnego udziału w spisku, ale obiecali, że z chwilą kiedy zginie Kaligulą, a Rzeczpospolita zostanie przywrócona, oddadzą swe wojska pod rozkazy senatu. Kasjusz nalegał, żeby ktoś bezzwłocznie udał się do pałacu i zabił Cezonię i mnie; oboje byliśmy zbyt ściśle związani z Kaligulą, aby nam pozwolono go przeżyć. Jeden z pułkowników, niejaki Lupus, szwagier komendanta gwardii, zgłosił się na ochotnika. Udał się do pałacu i z mieczem w ręku przebiegłszy szereg pustych komnat, wpadł wreszcie do sypialni cesarskiej, gdzie leżał okrwawiony i przeraźliwie zmasakrowany trup Kaliguli, tak jak go Herod tam pozostawił. Obok siedziała ze spuszczoną głową Cezonia, a do jej kolan tuliła się córeczka Druzylla. Kiedy Lupus wszedł do komnaty, Cezonia szlochając przemawiała do trupa:

- O mężu, mężu! Czemuś nie słuchał moich rad? - Kiedy zobaczyła miecz w ręku Lupusa, podniosła głowę i z bolesnym niepokojem spojrzała w oczy mordercy; zrozumiała, że zbliża się jej ostatnia chwila, i wyciągnęła szyję. Tchórzem nie była: - Tnij, a dobrze! - zawołała. - Nie spartacz, jak ci mordercy. - Lupus ciął i głowa odpadła. Dzieciaka, który rzucił się na niego drapiąc i gryząc, chwycił za nogi i wyrznął głowę o marmurową kolumnę, aż mózg się rozbryznął. Przykro jest słuchać o mordowaniu dzieci, lecz gdyby ktoś z was znał Druzyllę, faworytkę swego ojca, postąpiłby z największą ochotą tak właśnie jak Lupus. Możecie mi wierzyć.

Słowa Cezonii zwrócone do trupa mogły mieć rozmaity sens i rzeczywiście rozmaicie je sobie tłumaczono. Jedni twierdzili, że podejrzewając Kasjusza doradzała mężowi zabicie go i że tej rady tyczyły się jej wymówki. Tego zdania byli przede wszystkim ci, którzy czynili Cezonię odpowiedzialną za szaleństwo Kaliguli, twierdząc, że dostał on pomieszania zmysłów po

wypiciu miłosnego napoju, który mu podała; tym też miała tłumaczyć się jego tak silna miłość do żony. Wedle innych, do których zdania i ja się przychyliam, Cezonia nakłaniała męża do złagodzenia owej jego ulubionej „niewzruszonej surowości”, a kierowania się bardziej ludzkimi uczuciami - i te właśnie rady miała na myśli.

Lupus, chcąc całkowicie spełnić swoje zadanie, wybrał się na poszukiwanie mojej osoby. Lecz właśnie w tym czasie rozległy się okrzyki: „Niech żyje cesarz Klaudiusz!” Zatrzymał się więc na progu dziedzińca, a widząc, jaką popularnością się cieszę, stchórzył i chyłkiem wrócił do swych towarzyszy.

Podniecony tłum zebrał się na Rynku i nie wiedział, co robić: czy zdzierać sobie gardła wiwatując na cześć zabójców, czy aż do ochrypnięcia wołać o ich krew. Nagle rozeszła się pogłoska, że Kaliguli wcale nie zamordowano; że wszystko było komedią zainscenizowaną przez samego cesarza, który tylko czeka na objawy radości z powodu jego śmierci, aby dać hasło do ogólnej rzezi. Przypominano sobie, że obiecywał wystawić tego wieczoru całkiem nową sztukę pod tytułem Śmierć, zniszczenie i misteria piekielne, i doszukiwano się w tym tytule aluzji do zamierzonej rzezi. Ostrożność przeważyła szalę i tłum zaczął wiernopoddańczo wyć: „Szukajcie morderców! Pomścijcie śmierć naszego sławnego Cezara!” W tym momencie Azjatyk, były konsul, człowiek imponującej postawy, pozostający w bliskich stosunkach z Kaligulą, wyszedł na mównicę i zawołał:

- Szukacie morderców? Ja też ich szukam. Chcę im bowiem pogratulować. I żałuję tylko, że to nie ja wymierzyłem ów cios. Kaligula był to nikczemnik i szlachetnie postąpili ci, którzy go zabili. Obywatele Rzymu, nie bądźcie gromadą głupców! Nienawidziliście wszyscy Kaliguli; teraz, gdy nie żyje, możecie znów odetchnąć swobodnie. Rozejdźcie się do domów, usiądźcie przy pucharach, śpiewajcie pieśni i radujcie się śmiercią tyrana.

Koło mównicy ustawiły się tymczasem trzy czy cztery kompanie

miejskiego batalionu. Azjatyk zwrócił się do żołnierzy.

- Żołnierze! - zawołał - liczymy na was, że utrzymacie spokój. Senat znowu objął najwyższą władzę. Znowu żyjemy w republice. Słuchajcie rozkazów senatu, a solennie wam obiecuję, że z chwilą kiedy ureguluje się wszystkie sprawy, każdy z was zarobi pokaźną sumę. Żadnych zamieszek, żadnego plądrowania. Każde targnięcie się na czyjeś życie lub mienie będzie karane śmiercią.

Wobec takiego postawienia sprawy nastrój tłumu nagle się zmienił; zaczęto wiwatować na cześć morderców, senatu, Azjatyka.

Konsulowie pośpiesznie zwołali posiedzenie senatu i ci z senatorów, którzy wraz z innymi należącymi do spisku schronili się w domu Winicjusza, zaczęli wybierać się do kurii. W tym właśnie czasie nadbiegł od strony Palatynu Lupus z wiadomością, że gwardia obwołała mnie cesarzem i zabrała do swego obozu. Zebrani postanowili się uciec do pogrózek i wysłali dwóch trybunów ludu, którzy mieli mi napędzić strachu. Kazano im dosiąść kawaleryjskich koni i dopędzić mnie. Mieli oni sprawę przedstawić w ten sposób, jakoby delegowało ich plenum senatu. Kiedy jednak doszło do powtórzenia grózb, wysłannicy, jak wspomniałem, spuścili bardzo z tonu. Tymczasem reszta spiskowców, a mianowicie oficerowie gwardii pod wodzą Kasjusza, zajęła twierdzę na Wzgórzu Kapitołińskim i obsadziła ją batalionem wojsk miejskich.

Żałuję, że nie mogłem być świadkiem owego historycznego posiedzenia senatu, na które stawili się nie tylko wszyscy senatorzy, ale wielka liczba rycerstwa i osób nie mających w kurii zupełnie nic do czynienia. Skoro rozeszła się wiadomość o zajęciu twierdzy, zebrani przenieśli się do świątyni Jowisza Kapitołińskiego. Uczyniono to w rzeczywistości ze względów bezpieczeństwa, upozorowano jednak tym, że ponieważ kuria nosi nazwę julijskiej, nie godzi się wolnym mężom odbywać posiedzenia w gmachu poświęconym dynastii, spod której tyrańskich rządów dopiero co szczęśliwie się wydostali. Kiedy już rozgościli się w nowym przybytku, zaczęli przemawiać wszyscy naraz.

Niektórzy z senatorów wykrzykiwali, że trzeba zatrzeć wszelki ślad panowania Cezarów, że posągi ich należy rozbić, a świątynie zburzyć. Wreszcie konsulowie powstali i zaczęli nawoływać do porządku.

- Tylko po kolei! - wołali. - Zabierać głos po kolei.

Jako mówcę powołano niejakiego Sentiusza, który był znany z tego, że potrafił wygłaszać mowy bez przygotowania, a posiadał donośny głos i dar przekonywania słuchaczy. Konsulowie spodziewali się, że jeśli zamiast krzyków, wzajemnych gratulacji i kłócenia się z sąsiadami ktoś wreszcie zacznie formalnie przemawiać, senat będzie mógł przystąpić do załatwienia istotnych spraw.

- Wysoki senacie! - rozpoczął Sentiusz. - Stała się rzecz wielka, rzecz nie do uwierzenia! Czy zdajecie sobie sprawę, że wreszcie jesteśmy ludźmi wolnymi, że nie jesteśmy już niewolnikami obłąkanego tyrana? Wierzę, że serca wasze biją w tej chwili poczuciem tej samej siły i dumy co moje. Lecz jak długo potrwa szczęśliwa sytuacja? Któż ma odwagę to przewidzieć? W każdym razie, póki nam wolno, cieszymy się, radujmy się, póki można. Po raz pierwszy od blisko stu lat możemy w tym starożytnym i sławnym mieście powiedzieć: „Jesteśmy wolni!”, nic więc dziwnego, że ani ja, ani wy nie pamiętacie, jakie uczucia budziły ongiś te wspaniałe słowa. Wymawiając je czuję jednak, że dusza ma pławi się w rozkoszy. Jakżeż szczęśliwi są ci starszacy, którzy dziś, u kresu swego długiego, w niewoli spędzonego życia mogą, wydając ostatnie tchnienie, wymówić słodkie słowa: „Jesteśmy wolni!”, a jakżeż kształcąca jest to dla młodzieży, dla której wolność jest tylko czczym słowem. Słyszając radosny okrzyk: „Jesteśmy wolni!”, zacznie ona pojmować sens tego słowa. Musimy jednak pamiętać, że podstawą wolności jest cnota obywatelska. Tyrania wyrządza największą szkodę tym, że odwodzi ludzi od cnoty. Tyrania uczy pochlebstwa i nikczemnej bojaźni. Pod rządami tyrana jesteśmy jako trzcina gnąca się pod podmuchem wiatru. Pierwszym naszym tyranem był Juliusz Cezar. Od czasu jego panowania doznaliśmy wszelkich nieszczęść.

Cesarze bowiem, którzy po Juliuszu panowali nad nami, posiadali coraz więcej wad. Każdy z nich mianował swym następcą człowieka gorszego od siebie. Cesarze ci z całego serca nienawidzili cnoty. Najgorszym z nich był ostatni, Gajusz Kaligula, którego dusza oby wieczne cierpiała męczarnie! Był on nieprzyjacielem ludzi i bogów. Jeżeli tyran skrzywdzi kogoś, podejrzewa go później o niechęć do siebie, choćby nie miał do tego najmniejszych powodów. Wytacza mu proces o zbrodnię i skazuje na śmierć, nie ma nawet nadziei odwołania wyroku. Tak stało się z moim szwagrem, zacnym, wartościowym człowiekiem. Lecz teraz, powtarzam, jesteśmy wolni. Teraz jesteśmy odpowiedzialni tylko przed samymi sobą. Oto znowu w tym zgromadzeniu zakwitnąć może wolność słowa i wolność przekonań. Przyznajmy otwarcie, że byliśmy tchórzami; że żyliśmy na kształt niewolników; że w milczeniu znosiliśmy niesłychane potwarze rzucane na naszych braci, dopóki potwarz nie spadła na nas samych. Senatorowie, proponuję uchwalić najwyższe, w granicach naszej władzy, odznaczenie dla tyranobójców, a w szczególności dla Kasjusza Cherei, który był inicjatorem tego bohaterskiego przedsięwzięcia. Imię jego powinna opromienić sława większa niż ta, która przypadła w udziale Brutusowi, zabójcy Juliusza Cezara, lub Kasjuszowi, wiernemu druhowi Brutusa. Brutus i Kasjusz bowiem czynem swoim rozpętali wojnę domową, która pogrążyła ojczyznę naszą w otchłań nieszczęść. Czyn Kasjusza Cherei w żadnym wypadku nie pociągnie za sobą podobnej niedoli. Jak przystało na prawego Rzymianina, oddał się on do dyspozycji senatu, przynosząc nam najcenniejszy dar - wolność, której długo, ech, jak bardzo długo nam odmawiano.

To dziecinne przemówienie spotkało się z burzą oklasków. Dziwnym trafem nikt sobie nie przypomniał, że Sentiusz był jednym z najbardziej osławionych pochlebców Kaliguli i zyskał nawet z tego powodu przydomek „pokojowego pieska”. Nagle siedzący obok senator zauważył na placu Sentiusza pierścień z olbrzymią kameą z kolorowego szkła, przedstawiającą głowę Kaliguli. Senator ów również należał do sfory dworskich piesków, lecz chcąc

teraz zabłysnąć republikańską cnotą, ściągnął Sentiuszowi pierścień z palca i rzucił na ziemię. Zerwali się na to inni senatorowie i rozdeptali klejnot na drobny pył. Gwałtowną scenę przerwało pojawienie się Kasjusza Cherei, który wszedł w towarzystwie Akwili, Tygrysa i Lupusa. Kasjusz nie rzucił nawet okiem na zatłoczone ławy wiwatujących na jego cześć senatorów i szlachty, lecz szedł prosto w stronę konsulów, a pozdrowiwszy ich zapytał:

- Jakie jest hasło na dzisiaj?

Huczący radosną wrzawą senat poczuł, że oto przeżywa najwznioślejszą chwilę swego życia. Za czasów rzeczypospolitej, o ile nie mianowano dyktatora, naczelnymi wodzami byli obaj konsulowie. Teraz po raz pierwszy od osiemdziesięciu z górą lat mieli dać hasło. Starszy z konsulów, który również należał do sfory pałacowych piesków, nadął się i rzekł:

- Hasło na dzisiaj, pułkowniku, brzmi: Wolność!

Co najmniej dziesięć minut upłynęło, zanim radosna wrzawa na tyle przycichła, że znów można było usłyszeć głos konsula. Z pewnym zdenerwowaniem ogłosił, że powrócili trybunowie wysłani w imieniu senatu do Tyberiusza Klaudiusza. Z udzielonej im odpowiedzi wynika, że Tyberiusza Klaudiusza siłą uprowadzono do obozu gwardii, wobec czego nie może się podporządkować wezwaniu senatu. Wiadomość ta spowodowała wśród ław senatorskich niepokój i zamieszanie. Wywiązała się bezładna dyskusja, w której wyniku mój przyjaciel Witeliusz zaproponował, aby posłać po króla Heroda. Herod Agryppa, mówił, jest wprawdzie cudzoziemcem, lecz stoi bardzo blisko politycznego życia stolicy i cieszy się wielkim poważaniem na zachodzie i wschodzie imperium, może więc będzie mógł udzielić jakiejś pożytecznej rady. Ktoś poparł wniosek dodając, że wszyscy wiedzą, jak duży wpływ ma Herod na mnie i jakim poważaniem cieszy się wśród gwardii; wiadomo równocześnie, że był zawsze życzliwie usposobiony do senatu, między członkami którego posiada wielu osobistych przyjaciół. Wysłano więc delegata do Heroda prosząc, aby czym prędzej się zjawił. Nie jestem wprawdzie tego pewien, przypuszczam

jednak, że Herod sam postarał się o to zaproszenie. W każdym razie nie okazał w tej sprawie ani zbytniej gorliwości, ani opieszałości. Kiedy wysłannik senatu przybył do Heroda, ten przebywał właśnie w sypialni położonej na piętrze. Przez niewolnika zawiadomił przybyłego, że nie może się w tej chwili pojawić, jest bowiem nie ubrany; niebawem jednak będzie gotowy. Jakoż wkrótce zszedł woniejąc mocno pewnym wschodnim pachnidłem, zwanym paczulą. Używał stale tych perfum, co dawało powód do nieustannych żartów w kołach dworskich. Twierdzono, że zapach paczuli wywiera nieodparty wpływ na żonę Heroda, Cypros. Kaligula, ilekroć poczuł paczulę, pociągał nosem i mówił: „O Herodzie, ty stary żonkosiu, potrafisz dobrze reklamować tajemnice swej małżeńskiej alkowy.” Herod, jak się domyślacie, nie chciał, żeby wiedziano, iż tyle czasu spędził na Palatynie; zachwiałyby to bowiem wiarę w jego bezstronność. W rzeczywistości opuścił pałac w przebraniu służącego, zmieszał się z tłumem na Rynku i przybył do domu tuż przed delegacją. Paczulą miała mu posłużyć za alibi i, jak się zdaje, spełniła swoją rolę. Po przybyciu króla do świątyni konsul wyjaśnił mu sytuację. Herod dowiedziawszy się, że obrano mnie cesarzem, udał zdumienie i rozwiódł się obszernie nad swym bezwzględnie neutralnym stanowiskiem. Jest, twierdził, sojusznikiem i najwierniejszym przyjacielem Rzymu i pragnie za zgodą senatu wytrwać w tym charakterze bez względu na formę rządu.

- Jeżeli jednak potrzebujecie mojej rady, jestem gotów otwarcie powiedzieć, co myślę. Republikańska forma rządu wydaje mi się w pewnych warunkach godną najwyższego uznania. To samo powiedziałbym o dobrej monarchii. Nikt, moim zdaniem, nie może na ślepo twierdzić, że jedna forma rządów jest zasadniczo i bezwzględnie lepsza od innej. Wartość każdej z nich zależy od temperamentu narodu, zdolności władzy czy władców, geograficznego rozmiaru państwa, i tak dalej. Przyjąć można tylko jedną ogólną regułę: bez względu na to, czy rząd jest demokratyczny, plutokratyczny, arystokratyczny czy autokratyczny, żaden rozsądny człowiek nie da zań nawet

ot tyle - tu strzelił wzgardliwie palcami - jeśli rząd ten nie będzie mógł liczyć na poparcie sił zbrojnych swojego państwa. Dlatego też - ciągnął dalej - zanim będę mógł dać jakąś praktyczną radę, muszę zapytać: Czy macie za sobą armię?

Na to pierwszy Winicjusz zerwał się z miejsca.

- Królu Herodzie - zawołał. - Bataliony miejskie są nam oddane do ostatniego człowieka. Widzisz wśród nas ich trzech pułkowników. Mamy ponadto wielkie zapasy broni i potężne środki finansowe, wystarczające na żołd dla oddziałów, które możemy zwerbować. Wielu z nas może wystawić podwójną kompanię z samej tylko służby domowej i z radością wyzwoli tych, którzy chwycą za oręż w obronie rzeczypospolitej.

Herod ostentacyjnie zakrył sobie usta, tak żeby widziano, że usiłuje powstrzymać uśmiech.

- Kochany senatorze! - zawołał. - Radzę ci: nie próbujcie tego! Ależ to będzie widowisko, kiedy twoi odźwierni, piekarze i łaźiebnicy staną wobec gwardii, najlepszych wojsk cesarstwa! Mówię o gwardii dlatego, że gdyby stała po waszej stronie, byłbyś prawdopodobnie już o tym wspomniał. Wyobrażasz sobie, że jeśli przywiążesz niewolnikowi pancerz, wetkniesz mu oszczep do ręki, przypasziesz miecz i powiesz: „A teraz walcz, mój chłopcze!” - to tym samym już uczynisz zeń żołnierza? A więc powtarzam: Nie próbujcie tego! - Następnie zwrócił się do całego senatu. - Senatorowie - rzekł - dowiedziałem się od was, że gwardia nie pytając o waszą zgodę obwołała cesarzem mojego przyjaciela, byłego konsula Tyberiusza Klaudiusza Druzusa Nerona Germanika. Domyślam się, że gwardia miała pewne wątpliwości, czy pozwolić mu, aby stanął na wezwanie senatu. Ale domyślam się też, że wezwanie to wyszło nie od was jako całości, ale od nieoficjalnego konwentyklu dwóch czy trzech senatorów, i że tylko nieliczna gromadka podnieconych żołnierzy, wśród których nie znalazł się żaden oficer, była obecna, kiedy zakomunikowano to wezwanie Tyberiuszowi Klaudiuszowi. Możliwe, że jeśliście teraz wysłali delegację z prawomocnymi instrukcjami, oficerowie znajdujący się w obozie

gwardii poradziliby Klaudiuszowi potraktować ją z należytymi względami i przykróciłiby zbyt frywolnie nastrojonych żołnierzy. Proponowałbym, aby wysłano powtórnie tych samych dwóch trybunów, a jeśli sobie życzyacie, jestem gotów udać się wraz z nimi i dorzucić kilka słów od siebie. Przypuszczam, że posiadam pewien wpływ na mego przyjaciela Tyberiusza Klaudiusza, którego znam od dziecka; chowaliśmy się bowiem pod kierunkiem tego samego czcigodnego pedagoga. Mam też pewne znajomości wśród oficerów gwardii, w których kantynie częstym jestem gościem. I niech mi będzie wolno was o tym zapewnić, że tak bardzo zależy mi na waszej dobrej opinii, iż potrafię załatwić tę sprawę ku ogólnemu zadowoleniu wszystkich stron.

Tak więc koło czwartej po południu, kiedy w towarzystwie oficerów, w milczeniu i bacznie, choć z pełnym szacunkiem, śledzących każdy mój ruch, jadłem przy pułkownikowskim stole mocno spóźniony posiłek, wszedł kapitan i zameldował, że przybyła delegacja senatu, a towarzyszący jej król Herod Agryppa pragnie uprzednio pomówić ze mną na osobności.

- Wprowadź króla Heroda - zawołał najstarszy z pułkowników. - To nasz przyjaciel.

Chwilę później zjawił się Herod. Pozdrowił każdego z pułkowników po imieniu, jednego czy dwóch klepnął po ramieniu, wreszcie podszedł do mnie i wygłosił powitanie ściśle wedle przepisów etykiety.

- Czy mogę mówić z tobą na osobności, Cezarze? - rzekł z filuternym uśmiechem.

Zmieszał mnie tytuł Cezara i prosiłem, aby zechciał używać mego właściwego imienia.

- Dobrze - zgodził się - ale jeśli ty nie jesteś Cezarem, to nie wiem doprawdy, kto nim jest - i roześmiał się, a zebrani zawtórowali. - Dziękuję wam, moi dzielni przyjaciele - rzekł Herod obracając się wkoło. - Lecz żałujcie, że nie byliście na dzisiejszym popołudniowym posiedzeniu senatu, tam dopiero usłyszelibyście rzeczy warte śmiechu. Takiego tłumu rozentuzjasmowanych

baranów nie widziałem, jak żyją. Czy wiecie, co zamierzają? Zamierzają rozpocząć wojnę domową i wyzwąć was, pułki gwardyjskie, do regularnej bitwy, mając po swojej stronie bataliony miejskie, paru policjantów i własną służbę. Poprzebieraną jak na maskaradę w żołnierskie kostiumy, wyślą ją pod komendą szermierzy z amfiteatru. Dobry kawał, co? Prawdę mówiąc, to, co miałem do zakomunikowania cesarzowi, mogę powiedzieć wobec was wszystkich. Wysłali teraz w delegacji trybunów ludu, gdyż nikt z nich samych nie miał odwagi przyjść. Delegacja ma zażądać od cesarza, aby podporządkował się władzy senatu. Lecz jak go do tego zmuszą, jeśli nie zechce? Jak myślicie? Przyrzekłem im, że udzielę cesarzowi bezstronnej rady, dlatego przybyłem razem z delegatami. Czas wywiązać się z przyrzeczenia! - Tu znowu gwałtownym ruchem obrócił się wkoło i rzekł: - Cezarze, rada moja brzmi: ostro z nimi! Przydeptać robactwo i patrzeć, jak się wije pod butem.

- Drogi przyjacielu - rzekłem chłodno - zapominasz, że jestem Rzymianinem i że nawet władza cesarza zależy wedle konstytucji od woli senatu. Jeżeli na wezwanie senatu mogę odpowiedzieć uprzejmie i z szacunkiem, nie omieszkam tego uczynić.

- Rób, jak chcesz. - Herod wzruszył ramionami. - Ale mylisz się sądząc, że dlatego będą cię lepiej traktować. Wedle konstytucji, co? Oczywiście, chylę głowę przed twoją znajomością starożytności, lecz czy słowo konstytucja ma dziś jeszcze jakieś praktyczne znaczenie?

Wpuszczono obu trybunów. Powtórzyli, co im senat kazał powiedzieć, mechanicznie i nieprzekonywająco. Senat domaga się, żebym zaniechał użycia siły i nie ociągając się dłużej podporządkował jego władzy. Przypomniano mi niebezpieczeństwo, na jakie wspólnie z nim byłem narażony za rządów ostatniego cesarza, i proszono, żebym nie uczynił jakiegoś kroku, który mógłby pociągnąć za sobą nowe nieszczęścia dla całego narodu.

O tych nieszczęściach, na które wspólnie byliśmy narażeni za rządów Kaliguli, usłyszałem aż trzy razy. Najpierw jeden z mówców pomylił się, potem

drugi przyszedł mu z pomocą, a następnie pierwszy znowu powtórzył to samo.

- Tak - odrzekłem dość cierpko - ten wiersz, zdaje się, już raz słyszałem - i zacytowałem Homeryckie powiedzenie, często spotykane w Odysei:

*Tak umknęliśmy śmierci szczęśliwym zdarzeniem,
Gdy towarzyszą nam gorzej się powiodło.*

Herod był zachwycony. Z komicznym patosem powtórzył: „Gdy towarzyszą nam gorzej się powiodło”, a następnie szepnął do pułkowników:

- W tym sęk! W rzeczywistości nie chodzi im o nic innego jak o ich własną marną skórę.

Trybuni zaczerwienili się i wydukali resztę poselstwa niby para żaków. Jeżeli bym, zapewniali, zrezygnował z najwyższej władzy, którą otrzymałem wbrew konstytucji, senat przyrzeka uchwalić mi najwyższe zaszczyty, jakie wolny naród może komukolwiek przyznać. Muszę jednak wpieryw bez żadnych zastrzeżeń oddać się w ręce senatu. W przeciwnym razie, to jest gdybym w nierozsądny sposób upierał się i nie chciał stanąć przed zgromadzeniem, wysła przeciwko mnie oddziały miejskie. Pojmamy, nie mogę liczyć na względy.

Pułkownicy skupili się wokoło trybunów, a w ich spojrzeniach i półgębkiem rzucanych słowach kryło się tyle groźby, że obaj wysłannicy czym prędzej pośpieszyli z wyjaśnieniem, iż powtarzają tylko to, co im polecił Senat, natomiast osobiście chcieliby mnie zapewnić, że, ich zdaniem, jestem jedynym człowiekiem, który powinien objąć rządy. Prosili, aby pamiętać, że jako posłowie senatu i trybunowie ludu są podwójnie nietykalni, nie powinna więc ich spotkać żadna zniewaga.

- A konsulowie - dorzucili - dali nam prywatnie drugie zlecenie, na wypadek gdyby pierwsze nie zostało przyjęte przychylnie.

Zapytałem, jak brzmi to drugie zlecenie.

- Cezarze - odpowiedzieli - kazano nam oświadczyć, że jeśli rzeczywiście życzysz sobie władzy cesarskiej, to musisz przyjąć ją z rąk senatu, a nie gwardii.

Wybuchnąłem na to serdecznym śmiechem. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy od czasu zamordowania Kaliguli.

- Czy to wszystko? - spytałem. - Czy macie trzecie zlecenie, na wypadek gdyby drugie nie przypadło mi do gustu?

- Nie. To już wszystko - odpowiedzieli pokornie.

- A więc - odrzekłem wciąż jeszcze rozbawiony - powiedzcie senatowi, że nie mam mu za złe, iż nie pragnie nowego cesarza. Ostatni rzeczywiście nie miał daru pozyskiwania sobie ludzkich serc. Z drugiej jednak strony gwardia nalega, żebym został cesarzem, a oficerowie złożyli mi już przysięgę na wierność i zmusili do jej przyjęcia. Cóż więc mam robić? Zanieście senatowi pełne szacunku pozdrowienia i powiedzcie, że nie zamierzam czynić nic wbrew konstytucji i - tu spojrzałem wyzywająco w stronę Heroda - może mi wierzyć, że go nie oszukam. Uznaję autorytet senatu, lecz muszę zwrócić uwagę, że nie mani możliwości przeciwstawić się żądaniom mych wojskowych doradców.

Na tym audiencja się skończyła i trybunowie pożegnali mnie, radzi, że wracają żywi i zdrowi.

- Wszystko w porządku - rzekł Herod - ale byłoby lepiej, gdybyś był ich potraktował bardziej stanowczo. W ten sposób tylko przewlekasz sprawę.

Po odejściu Heroda pułkownicy zakomunikowali mi, że spodziewają się, iż dla uczczenia objęcia rządów wypłacę każdemu z gwardzistów po sto pięćdziesiąt, a kapitanom po pięćset aureusów. Co do sumy, jaka przypadnie pułkownikom, będę łaskaw sam rozstrzygnąć.

- Po dziesięć tysięcy na głowę wystarczy? - zażartowałem.

Ostatecznie zgodziliśmy się na dwa tysiące, a następnie poprosili mnie, abym w miejsce dawnego komendanta, który brał udział w spisku i uczestniczył teraz prawdopodobnie w zebraniu senatu, mianował nowego.

- Wybierzcie sobie sami - odrzekłem.

Wybrali więc najstarszego wiekiem pułkownika, Rufriusza Poliusza. Następnie musiałem wyjść na majdan, obwieścić z mównicy o przyznanym wynagrodzeniu i przyjąć kolejno od każdej kompanii przysięgę na wierność. Zażądano też, abym tej samej wysokości sumy wypłacił pułkom znajdującym się nad Renem, na Półwyspie Bałkańskim, w Syrii, w Afryce i we wszystkich częściach cesarstwa. Uczyniłem to nader chętnie, gdyż wiedziałem, że poza wojskami nadreńskimi, które Kaligula opłacał ze zrabowanych we Francji pieniędzy, wszędzie zalegano z żołdem. Odbieranie przysięgi zajęło wiele godzin, gdyż każdy z żołnierzy musiał powtórzyć rotę, a było dwanaście tysięcy ludzi; ponadto stawiła się w obozie gwardia miejska, która też chciała przysięgać, i marynarze z floty cesarskiej, którzy tłumnie nadciągali z Ostii. Ceremonia zdawała się nie mieć końca.

Kiedy senat otrzymał moją odpowiedź, odroczył posiedzenie do północy. Wniosek o odroczenie postawił Sentiusz, a poparł senator, który zerwał mu pierścień z palca. Skoro tylko uchwała zapadła, obydwaj pobiegli czym prędzej do domu, spakowali co potrzebniejsze rzeczy i wyjechali z miasta do swoich wiejskich posiadłości. W mieście nie czuli się dość bezpiecznie. Senat zebrał się o północy. Lecz jakże nieliczne było to zebranie! Stawiło się zaledwie stu członków; wszyscy zdjęci panicznym strachem. Stawili się też oficerowie wojsk niemieckich, którzy, zaledwie otwarto posiedzenie, zażądali bezczelnie, ażeby senat obwołał cesarza. To jedyna nadzieja ocalenia stolicy, twierdzili.

Herod miał racje;. Pierwszym człowiekiem, który sam ofiarował się objąć władzę cesarską, był Winicjusz. Miał kilku popleczników, między innymi swego kuzyna Winicjana, podobnego do szczura; ostatecznie jednak była to tylko garstka i konsulowie odrzucili kandydaturę, nie oddając nawet wniosku pod głosowanie. Następnie, co również przewidział Herod, wysunął swoją kandydaturę Azjatyk. Wtedy jednak wstał Winicjusz i zapytał, czy ktoś z obecnych bierze tę ofertę na serio. Zakotłowało się w senacie, pięści poszły w ruch. Winicjuszowi rozbito nos; musiał się położyć i przeczekać, aż ustanie

krwotok. Konsulowie z trudem przywrócili porządek. Wtem nadeszły wiadomości, że strażnicy i marynarze przyłączyli się do gwardzistów, a za ich przykładem poszli też gladiatorzy (o tych ostatnich zapomniałem dotychczas wspomnieć). Winicjusz i Azjatyk wycofali swoje kandydatury i nikt więcej się już nie zgłosił. Zgromadzenie podzieliło się na małe grupki, które lęklonie szeptały między sobą. O świcie zjawił się Kasjusz Cherea, Akwila, Lupus i Tygrys. Kasjusz usiłował przemawiać. Nawiązał do wspaniałego czynu, jakim było wskrzeszenie Rzeczypospolitej. Na to oficerowie wojsk miejskich zaczęli krzyczeć:

- Wyperswaduj sobie Rzeczpospolitą, Kasjuszu. Postanowiliśmy mieć cesarza, a jeśli konsulowie nie dadzą nam go prędko, a dobrego, więcej nas tu nie zobaczycie. Pójdziemy do obozu i połączymy się z Klaudiuszem.

Jeden z konsulów, wzrokiem prosząc Kasjusza o poparcie, odrzekł zdenerwowanym głosem.

- Nic podobnego. Wcale jeszcze nie zgodziliśmy się na wybór cesarza. Nasza ostatnia uchwała, jednomyślnie przyjęta, głosi wskrzeszenie Rzeczypospolitej. Kasjusz nie zabił Kaliguli tylko dlatego, żeby zmienić się cesarz, lecz by przywrócić nam nasze dawne swobody, nieprawdaż, Kasjuszu?

Kasjusz podskoczył i blady z pasji zawołał:

- Rzymianie! Nie ścierpię nigdy żadnego cesarza! Jeżeli go wybierze, nie zawaham się postąpić tak, jak postąpiłem z Gajuszem Kaligulą.

- Nie gadaj bredni! - wołali oficerowie wojsk miejskich. - Dobry cesarz to nic złego. Za Augusta wszystkim nam dobrze się wiodło.

- Dam wam dobrego cesarza - zawołał Kasjusz. - Ale przyrzeknijcie, że przyniesiecie mi od niego hasło. Dam wam Eutychesa! - Przypominacie sobie pewnie, że Eutyches, jeden z „wywiadowców” Kaliguli, był najlepszym woźnicą w Rzymie i uczestniczył w wyścigach w barwach Zielonych. Kaligulą zmuszał wojska miejskie do wykonywania całego szeregu prac dla swego faworyta; musiały budować stajnie dla koni wyścigowych Eutychesa i czyścić je

pod jego osobistym dozorem, przy czym nie szczędził im łajañ i upokorzeń. To właśnie chciał Kasjusz przypomnieć teraz ofiarom. - Przypuszczam - szydził - że z radością będziecie na klęczkach zeszkrobywać gnój ze stajennych podłóg na rozkaz ulubionego woźnicy cesarza.

- Wiele pyskujesz, a w rzeczywistości boisz się Klaudiusza - rąbnął któryś z oficerów. - Przyznaj się.

- Ja boję się Klaudiusza? - ryknął Kasjusz. - Jeżeli senat rozkaże mi pójść do obozu i przynieść jego głowę, z radością to uczynię. Nie mogę was zrozumieć, ludzie. Nie mogę wyjść z osłupienia słysząc, że po czterech latach rządów sprawowanych przez szaleńca chcecie powierzać je teraz idiotcie.

Kasjusz nie zdołał jednak przekonać oficerów. Nie tracąc więcej słów opuścili senat, zebrali swych ludzi na Rynku i ruszyli, każda kompania ze swym orłem, do obozu, aby złożyć mi przysięgę na wierność. Senat, czy raczej tę resztę, która wytrwała na stanowisku, pozostawiono własnemu losowi. Senatorzy, jak mi później opowiadano, zaczęli jedni drugim robić wyrzuty i nikt nawet nie usiłował demonstrować swojej sympatii dla upadającej sprawy republikańskiej. Gdyby choć jeden okazał trochę odwagi! Przynajmniej nie musiałbym się tak wstydzić za swych rodaków. Od dawna już miałem podejrzenia co do prawdziwości heroicznych legend starożytnego Rzymu, opowiadanych przez Liwiusza, a teraz słysząc o zachowaniu się senatu zacząłem powątpiewać o wiarogodności mego ulubionego ustępu, w którym opisane jest męskie zachowanie się dawnych senatorów po klęsce nad Alią, kiedy Celtowie maszerowali na stolicę i nie było żadnej nadziei obrony murów. Liwiusz opowiada, jak zdolni do boju mężczyźni, zaopatrzywszy się w broń i żywność, schronili się wraz z żonami i dziećmi do twierdzy, zdecydowani walczyć do ostatka. Starcy zaś, którzy mogli być tylko ciężarem dla oblężonych, pozostali w mieście i oczekiwali śmierci. Odziani w senatorskie szaty, krzepko dzierżąc w dłoniach laski z kości słoniowej - odznaki swej godności - zasiedli na kurulnych stołkach w portykach domów. Za chłopięcych czasów Atenodor kazał mi się

nauczyć na pamięć tego ustępu. Nigdy go nie zapomnę:

„...Wobec tego, że domy ludu były zamknięte, a domy dostojników stały otworem, bardziej wahali się wejść do domów otwartych niż do zamkniętych. Bo właściwie tylko z podziwem patrzyli na mężów siedzących w przedsionkach domów, zupełnie podobnych do bogów przez swój strój, przez wygląd dostojniejszy od ludzkiego, a także i przez majestat widoczny w rysach twarzy i powadze oblicza. Wpatrzyli się w nich jakby w posągi i tak stali. Według opowiadań jeden z nich, Marek Papiriusz, laską z kości słoniowej uderzył w głowę Gala, który zaczął gładzić jego brodę (wszyscy wtedy nosili długie brody), i przez to wzbudził w nich gniew; jego też pierwszego zamordowano, a następnie wybito innych na ich krzesłach. Po wymordowaniu dostojników nie oszczędzano już nikogo z ludzi, złupiono domy, a po złupieniu podłożono pod nie ogień.”

Liwiusz był niewątpliwie doskonałym stylistą, a chcąc zachęcić ludzi do cnoty, natchnąć ideą wielkości Rzymu, nie wahał się korzystać z niehistorycznych legend. Muszę jednak stwierdzić, że trud jego nie był zbyt owocny.

Nawet Kasjusz, Lupus i Tygrys spierali się teraz z sobą. Tygrys przysięgał, że raczej się zabije, niż zgodzi powitać mnie jako cesarza i stać się świadkiem powrotu niewoli.

- Sam nie wierzysz w to, co mówisz - przerwał mu Kasjusz. - Zresztą nie pora teraz na frazesy.

- Co? - krzyknął z wściekłością Tygrys. - Ty też, Kasjuszu? Ty też chcesz nas opuścić? Widzę, że jesteś nazbyt przywiązany do życia. Chętnie się, żeś ułożył cały plan zamachu, ale kto zadał pierwszy cios, ty czy ja? Co?

- Ja - odparł bez namysłu Kasjusz. - A uderzyłem z przodu, nie z tyłu. A czy jestem przywiązany do życia? Tylko szalenciec nie jest doń przywiązany. I na pewno bez potrzeby nie wyrzeknę się go. Gdybym owego pamiętnego dnia w Teutoburskim Lesie, przed trzydziestu z górą laty, popełnił za przykładem

Warusa samobójstwo tylko dlatego, że sytuacja zdawała się beznadziejna, to kto, pytam, wyprowadziłby osiemdziesięciu niedobitków i powstrzymał Niemców do chwili nadciągnięcia posiłków z Tyberiuszem na czele? Nie. Ja kochałem wtedy życie. A i teraz pomimo wszystko nie tracę nadziei, że Klaudiusz zrezygnuje z władzy cesarskiej. Po jego odpowiedzi możemy się tego spodziewać. To idiota pod każdym względem i nerwowo jak kot. Dopóki nie zyskam absolutnej pewności, że nie zamierza rezygnować, będę żył.

Tymczasem rozwiązano posiedzenie senatu, a Kasjusz, Lupus i Tygrys samotnie dyskutowali w pustym przedsionku. Kiedy Kasjusz spojrzawszy dokoła zauważył, że prócz nich trzech nie ma nikogo, wybuchnął śmiechem.

- Co za idiotyzm, żebyśmy my jedni tylko kłócili się z sobą - rzekł. - Chodźmy na śniadanie, Tygrysie. A ty też, Lupusie, chodź z nami.

Zaledwie godzinkę przespałem się w spokoju i też właśnie zasiadałem do śniadania, gdy doniesiono, że konsulowie i ci z senatorów, zagorzałych republikanów, którzy brali udział w nocnym posiedzeniu, czekają, aby oddać mi hołd i złożyć życzenia.

- Za wcześnie przyszli - pokpiwali z zadowoleniem pułkownicy. - Niech poczekają. - Bezsenna noc sprawiła, że byłem w nastroju bardzo zgryźliwym. Kazałem oświadczyć przybyłym, że nie mam najmniejszej chęci ich oglądać; nie lubię ludzi, którym brak odwagi przekonań. I chcąc jak najrychlej zapomnieć o czekających, zabrałem się do śniadania. Tymczasem Herod, który w ciągu tych dwóch dni zdawał się obecny wszędzie równocześnie, ocalił senatorom życie. Niemcy bowiem, pijani i skłonni do bójki, chwycili już za dziryty i chcieli wymordować błagających na klęczkach o życie senatorów. Gwardziści nie zdradzali najmniejszej ochoty do interwencji i dopiero Herod powołując się na mnie zdołał przyprowadzić Niemców do porządku. Umieściwszy ocalonych w bezpiecznym miejscu, pośpieszył do jadalni.

- Wybacz, Cezarze - odezwał się z żartobliwą powagą - ale nie przypuszczałem, że tak na serio weźmiesz moją radę zdeptania senatu.

Powinieneś trochę uprzejmiej traktować tych biedaków. Jeżeli zdarzy im się jakieś nieszczęście, niełatwo ci będzie zebrać tak niezrównanie służalczą gromadę.

Wytrwanie przy republikańskich zasadach stawało się dla mnie coraz trudniejsze. Co za farsowa sytuacja! Ja, jedyny prawdziwy antymonarchista, zmuszony jestem występować w roli monarchy. Za radą Heroda poleciłem senatorom stawić się w pałacu, Oficerowie nie czynili mi żadnych trudności w opuszczeniu obozu.

Wyruszyłem eskortowany przez całą dywizję gwardii. Dziewięć batalionów maszerowało przodem, trzy za mną; za nimi reszta wojska, awangardę stanowiła straż pałacowa. W czasie drogi zdarzył się mocno kłopotliwy wypadek. Kasjusz, Lupus i Tygrys, skończywszy śniadanie, przyłączyli się do pochodu i stanęli na czele straży pałacowej. Nie wiedziałem nic o tym, gdyż czoło kolumny było zbyt daleko, aby można było je dojrzeć z lektyki. Żołnierze straży, przywykli widzieć w Kasjuszu i Tygrysie swoich przełożonych, przypuszczali, że działają oni w myśl rozkazów nowego komendanta gwardii, Rufriusza, który, nawiasem mówiąc, zdążył już zawiadomić obydwu, że pozbawiono ich stanowisk. Widzowie, w pierwszej chwili zdezorientowani, zrozumiałwszy, że obaj oficerowie działają na własną rękę, byli w najwyższym stopniu zgorszeni tą samowolą. Jeden z trybunów przybiegł zawiadomić mnie o tym, co się stało. Nie wiedziałem, jak zareagować. W każdym razie nie mogłem puścić tej brawury płazem; było to natrząsanie się z rozkazów Rufriusza, a również i z mojego autorytetu.

Kiedy stanęliśmy w pałacu, poprosiłem Heroda, Witeliusza, Rufriusza i Messalinę (która przywitała mnie z niezwykłą uciechą), żeby naradzili się wspólnie ze mną, co począć. Żołnierzy rozlokowano poza pałacem - razem z nimi przebywali ciągle jeszcze Kasjusz, Lupus i Tygrys. Wszyscy trzej rozmawiali głośno, pewnym siebie tonem, nie zwracając uwagi na zgorszone spojrzenia reszty oficerów. Na wstępie naszej narady zaznaczyłem, że choć

Kaligula był moim bratankiem i choć przyrzekłem jego ojcu, a memu kochanemu bratu Germanikowi, że zawsze będę się opiekował jego synem, to jednak nie mogę potępić Kasjusza. Kaligula prowokował to morderstwo na tysiączne sposoby. Dodałem, że jeśli chodzi o stan służby, żaden z oficerów armii nie może się równać z Kasjuszem. Gdybym był pewien, że kierowały nim równie wzniosłe motywy, jak na przykład drugim Brutusem, byłbym mu gotów przebaczyć. Lecz jakież były w rzeczywistości te motywy?

Pierwszy przemówił Rufriusz:

- Kasjusz twierdzi obecnie, że zamordował Kaligulę w obronie wolności. W rzeczywistości podżegała go do tego czynu własna urażona godność, ciągle naigrawanie się cesarza, który mu dawał komiczne i nieprzyzwoite hasła.

- Czyn jego byłby wybaczalny - odezwał się Witeliusz - gdyby wynikał z nagłego, przemożnego afektu; tymczasem spisek przygotowywano przez wiele dni, a nawet miesięcy. Morderstwa dokonano z zimną krwią.

Zabrała głos Messalina:

- Zapominasz też, że nie było to zwykłe morderstwo, lecz złamanie najuroczystszej przysięgi na bezwarunkową wierność swojemu cesarzowi. Za to samo powinien być skazany na śmierć. Gdyby był uczciwym człowiekiem, przebiłby się własnym mieczem.

- I pamiętaj też - dorzucił Herod - że Kasjusz wysłał Lupusa, aby zamordował ciebie i cesarzową Messalinę. Jeżeli go ułaskawisz, ludzie dojdą do wniosku, że go się boisz.

Posłałem po Kasjusza, a kiedy się zjawił, rzekłem:

- Kasjuszu Chereo, jesteś człowiekiem przywykłym do spełniania rozkazów. Jestem obecnie twoim naczelnym wodzem; mniejsza z tym, czy mi to dogadza, czy nie dogadza. Musisz więc słuchać moich rozkazów też bez względu na to, czy ci one dogadzają, czy nie dogadzają. Oto jaką powziąłem decyzję. Gdybyś postąpił jak Brutus zabijający tyrana, którego osobiście kochał, lecz uważał za szkodliwego dla dobra ogółu, byłbym miał szacunek dla twego

czynu, choćbym uważał, że złamawszy uroczystą przysięgę powinienem sam sobie odebrać życie. Ale ty planowałeś zamach (i wykonałeś go nie bacząc, że inni się cofają), popychany uczuciem osobistego rozgoryczenia. Takie motywy, moim zdaniem, nie zasługują na uznanie. Co więcej, jak się dowiedziałem, wysłałeś na własną odpowiedzialność, przez nikogo nie upoważniony, Lupusa, żeby zamordował cesarzową Cezonię, moją żonę Messalinę i mnie samego. Z tego powodu nie zasługujesz na łaskę śmierci z własnej ręki. Powiniennem kazać cię stracić jak pospolitego złoczyńcę. Wierz mi, że sam nad tym boleję. Nazwałeś mnie niedawno wobec senatu idiotą i przyjaciołom swoim powiedziałeś, że nie zasługuję na żadną litość. Możliwe, że masz rację. Ale, głupi czy niegłupi, pragnę jeszcze oddać należną pamięć twym wielkim zasługom w przeszłości. Ty byłeś tym, który po klęsce Warusa uratował most na Renie, a mój szlachetny brat w jednym ze swoich listów polecił mi ciebie jako najdzielniejszego z żołnierzy walczących pod jego komendą. Pragnąłbym, żeby ta sprawa mogła mieć szczęśliwszy epilog. To wszystko. Żegnaj!

Kasjusz zasalutował bez jednego słowa i ruszył na śmierć. Rozkazałem też stracić Lupusa. Dzień był porządnie chłodny, więc Lupus, który zdjął płaszcz, aby go nie poplamiała krew, zaczął dygotać i narzekać na zimo. Kasjuszowi zrobiło się wstyd za towarzysza.

- Wilk nigdy nie powinien się skarżyć na zimno - rzekł tonem wymówki.
- (Lupus oznacza po łacinie wilka.) Lupus jednak jęczał w dalszym ciągu i zdawał się nie słyszeć tych słów. Kasjusz zapytał żołnierza, któremu polecono wykonać egzekucję, czy ma już jakieś doświadczenie w tym zawodzie.

- Nie - odparł zapytany - ale w cywilu byłem rzeźnikiem.

Kasjusz się roześmiał.

- To doskonale. Mam jeszcze do ciebie jedną prośbę: zetnij mnie moim własnym mieczem, tym, którym zabiłem Kaligulę.

Ściął go jednym ciosem. Lupusowi szczęście mniej dopisało. Kiedy kazano mu wyciągnąć szyję, uczynił to bojaźliwie i cofnął głowę przed ciosem,

tak że miecz zranił go w czoło. Dopiero po kilku próbach kat się z nim uporał.

W stosunku do Tygrysa, Akwili, Winicjusza i reszty morderców zrezygnowałem z odwetu. Skorzystali z amnestii, którą ogłosiłem zaraz po przybyciu senatu do pałacu. Na mocy tej amnestii zostały darowane wszystkie występki popełnione słowem lub czynem w ciągu dwu ostatnich dni. Akwilę i Tygrysa zamierzałem zostawić na dawnych stanowiskach, oczywiście po uprzednim złożeniu mi przysięgi na wierność. Tylko dawnemu kementantowi gwardii wyznaczyłem inne funkcje, gdyż Rufriusz okazał się zbyt cennym nabytkiem, aby go się pozbywać. Muszę też jeszcze oddać sprawiedliwość Tygrysowi; był to człowiek, który potrafił dotrzymywać słowa. Przysiągł Kasjuszowi i Lupusowi, że raczej umrze, niż powita mnie jako cesarza, i uważał, że po straceniu obu spiskowców powinien wobec ich cieni dotrzymać honorowego zobowiązania. Tuż przed zapaleniem pogrzebowego stosu straconych, odważnie pozbawił się życia, a ciało jego spalono razem z ciałami towarzyszy.

Rozdział VI

Po czterech latach samowolnych, bezplanowych rządów Kaligulą pozostawił sprawy państwa w stanie zupełnego bałaganu. Chcąc zaprowadzić jaki taki ład, musiałem tylu rzeczy naraz się chwycić, że kiedy dziś sobie o tym przypomnę, dostaję zawrotu głowy. Pierwotnie miałem zamiar zrezygnować z władzy cesarskiej, z chwilą gdy tylko uspokoi się wzburzenie wywołane śmiercią Kaliguli. Zaniechanie tego zamiaru usprawiedliwia właśnie okoliczność, że ów bałagan był aż takim bałaganem. Nie widziałem w Rzymie poza sobą nikogo, kto by miał dość cierpliwości (nie mówię już autorytetu), żeby podjąć się ciężkiego i niewdzięcznego trudu uporządkowania spraw państwa. Nie mogłem z czystym sumieniem przerzucić odpowiedzialności na barki konsulów. Najlepsi bowiem konsulowie nie potrafią opracować planu stopniowej odbudowy, obliczonego na okres pięciu czy dziesięciu lat. Nie umieją wybiegać myślą poza okres dwunastomiesięcznego swego urzędowania. Celem ich jest zawsze osiągnięcie bezpośrednich, efektywnych wyników i albo dążą do tego z forsownym pośpiechem, albo w ogóle nic nie robią. Obecna sytuacja wymagała dyktatora mianowanego na wiele lat. Ale gdyby nawet znalazł się na to stanowisko człowiek posiadający odpowiednie kwalifikacje, jakąż byłaby rękojmia, że chcąc wzmocnić swój autorytet nie przyjąłby tytułu cesarza i nie stał się despotą.

Z głuchą zawiścią przypominałem sobie wzorowy ład, jaki zastał Kaligulą obejmując rządy: skarb państwa i prywatna szkatuła cesarska pełne; zdolni i godni zaufania doradcy; przychylność całego narodu. Stosunkowo najmniejszym złem było zatrzymać władzę chociaż na pewien czas w swoich rękach i pocieszać się nadzieją, że będzie ją można rychło złożyć. Do siebie mogłem mieć więcej zaufania niż do kogo innego. Zanim, myślałem, będę mógł udowodnić, że moje republikańskie przekonania są istotnymi przekonaniem, a

nie czczą gadaniną, jak u Sentiusza i jemu podobnych, postaram, się wyteżyć wszystkie siły, żeby doprowadzić sprawy państwa do jakiego takiego porządku. Tymczasem chciałem postępować możliwie nie po cesarsku. Od razu jednak wyłonił się problem: które z tytułów proponowanych mi przez senat mam przyjąć? Bez tytułów bowiem, które dają potrzebny do działania autorytet, nie zajdzie się daleko. Postanowiłem przyjąć tylko istotnie potrzebne. Musiałem też poszukać sobie współpracowników, liczyłem, że prawdopodobnie znajdę ich więcej wśród oficjalistów Greków i przedsiębiorczych kupców niż wśród członków senatu. Istnieje dobre łacińskie przysłowie: *Olera olla legit*, co znaczy: jaka potrawa, taka przyprawa. Jakoś sobie, myślałem, poradzę.

Senat pragnąc okazać, jak głęboko żałuje swych republikańskich zapalów, chciał uchwalić przyznanie mi wszystkich tytułów, które nosili moi poprzednicy. Odmówiłem przyjęcia tylu, ilu tylko mogłem. Przyjąłem imię Cezara, do którego miałem poniekąd prawo: przecież po babce Oktawii, siostrze Augusta, płynęła we mnie krew Cezarów; zresztą nie żył już żaden prawdziwy potomek tego rodu. Pamiętałem też, jak wielkim poważaniem cieszy się to imię u obcych ludów, Armeńczyków, Partów, Niemców, Marokańczyków. Gdybym wystąpił jako samozwańczy założyciel nowej dynastii, dodałoby im to śmiałości do wszczęcia ruchawek na pograniczu. Przyjąłem też tytuł trybuna ludu, co czyniło moją osobę nietykalną i dawało mi prawo weta w stosunku do uchwał senatu. Nietykalność osobista miała dla mnie specjalne znaczenie, gdyż zamierzałem unieważnić wszystkie prawa i edykty ustanawiające kary za zbrodnię obrazy majestatu, a w takim razie nie posiadając godności trybuna, nie byłbym w godziwy sposób zabezpieczony nawet przed zamachem na życie. Odmówiłem jednak przyjęcia tytułu Ojca Ojczyzny i tytułu Augusta. Wyśmiałem też propozycję uchwalenia mi czci boskiej, a nawet oświadczyłem senatowi, że nie życzę sobie tytułu imperatora. Tytuł ten ongiś, jak zaznaczyłem, nie oznaczał tylko naczelnego wodza; trzeba było go zdobyć zaszczytną służbą w polu. Augusta obwołano imperatorem po zwycięstwie pod

Akcjum. Memu stryjowi Tyberiuszowi mało który z wodzów w całych naszych dziejach może dorównać liczbą wygranych bitew. Mego poprzednika Kaligulę młodzieńcza ambicja skłoniła do przyjęcia tytułu imperatora. Nawet jednak i on czuł się w obowiązku uczynić zadość tradycji i imperatorem ogłosił się dopiero po wyprawie za Ren i ataku na wody Kanału La Manche. Jego wojenne działania, choć bezkrwawe, w symboliczny sposób świadczyły, że rozumie odpowiedzialność, jaką nakłada tytuł imperatora. „Może przyjdzie dzień - pisałem do senatu - w którym uznam za konieczne wyruszyć w pole na czele swojej armii. Jeżeli wtedy z pomocą bogów zdobędę sobie tytuł imperatora, będę nosił go z dumą. Do tego czasu proszę, abyście ze względu na wielkich wodzów przeszłości, którzy naprawdę zasłużyli na miano imperatorów, nie tytułowali mnie w ten sposób.”

Ten list tak się spodobał, że uchwalono wystawienie mi złotego posągu, a właściwie trzech złotych posągów. I temu wnioskowi się sprzeciwiłem, a to z dwu przyczyn. Po pierwsze: nie zrobiłem nic, co by usprawiedliwiało ten zaszczyt; po drugie: przeciwny byłem marnotrawieniu pieniędzy. Zgodziłem się wprawdzie, żeby na trzech najznacniejszych placach stolicy stanęły moje posągi, lecz najkosztowniejszy z nich miał być ze srebra, i to nie lity, ale w środku napełniony potłuczonym gipsem. Co do dwu pozostałych, jeden miał być z brązu, drugi z marmuru. Ostatecznie Rzym był pełen najrozmaitszych posągów i dwa czy trzy więcej nie odgrywały żadnej roli, a osobiście miałem ochotę pozować jakiemuś dobremu rzeźbiarzowi teraz, kiedy najlepsi rzeźbiarze świata byli na moje usługi.

Senat postanowił też zbeczczyć pamięć Kaliguli wszelkimi sposobami. Uchwalono, że dzień jego śmierci ma być obchodzony jako dziękczynne święto narodowe. I przeciwko temu wnioskowi zaprotestowałem. Prócz unieważnienia edyktów ustanawiających cześć boską dla Kaliguli i bogini Pantei, którym to imieniem nazwał zamordowaną przez siebie moją biedną bratanek Druzyllę, nie uchybiłem niczym pamięci mego poprzednika. Pozostawienie go w spokoju

uważałem za najlepszą politykę, zwłaszcza gdy Herod przypominał mi, że Kaligula nie zbezcześcił pamięci Tyberiusza, choć miał słuszne powody do nienawiści; zaniechał tylko deifikacji stryja i uchwalony na jego cześć łuk pamiątkowy pozostawił w stanie nie wykończonym.

- Ale co mam zrobić z posągami Kaliguli? - spytałem Heroda.

- Bardzo prostą rzecz. Kazesz policji zebrać je jutro z rana o drugiej godzinie, kiedy wszyscy śpią jeszcze, i przynieść do pałacu. Rzym po przebudzeniu się zastanie nisze i piedestały puste albo zajęte przez posągi, które stały tam pierwotnie, zanim je usunięto, aby zrobić miejsce dla podobizn Kaliguli.

Poszedłem za radą Heroda. Posągi, które miano usunąć, były dwojakiego rodzaju: jedne przedstawiały cudzoziemskich bogów, których głowy Kaligula kazał zamienić na podobiznę swej własnej; drugie samego Kaligula. Jedne i drugie odlane były z kosztownych metali. Pierwsze starałem się, o ile to było możliwe, przywrócić do pierwotnego stanu; drugie kazałem pokruszyć, przetopić i z uzyskanego kruszcu biłem pieniądze. Wielka statua, którą Kaligula umieścił w swej świątyni, dała mi prawie milion aureusów. Zdaje mi się, że nie wspomniałem dotychczas o tym posągu, który kapłani - ze wstydem wyznam, że byłem jednym z nich - ubierali codziennie w taką szatę, jaką miał na sobie tego dnia cesarz. Ubieraliśmy więc posąg nie tylko w zwykły strój cywilny lub wojskowy ze specjalnymi odznakami imperatora, lecz, jeśli przypadkiem Kaliguli któregoś dnia wydało się, że jest Wenerą, Minerwą, Jowiszem albo Dobrą Boginią, musieliśmy się postarać o odpowiednie szaty z właściwymi dla każdego z tych bóstw odznakami.

Jeśli mej próżności pochlebiał widok własnej głowy na monetach, to nie należy mnie jeszcze za to potępiać; przecież i za czasów rzeczypospolitej wybitni obywatele cieszyli się podobnym zaszczytem. Z drugiej jednak strony człowiek oglądając swą podobiznę na monecie, doznaje zawsze rozczarowania. Portret bowiem wykonuje się z profilu, a nikt nie jest oswojony z własnym

profilem i widząc na portrecie, jak właściwie przedstawia się stojącym obok bliźnim, jest w pierwszej chwili zaskoczony. Do swego en face, do którego przyzwyczajają nas lustro, odnosimy się z wyrozumiałością, a nawet z pewną sympatią. Gdy jednak pierwszy raz zobaczyłem aureusa wybitego dla mnie na próbę, spytałem z gniewem, czy to ma być karykatura. Obcą mi była ta mała główka o pomarszczonej twarzy, nasadzona na długą szyję, z której grdyka sterczała niby druga broda. Messalina jednak zapewniła mnie, że rzeczywiście tak wyglądam.

- Uważam nawet, że portret jest raczej pochlebny - dodała.

- A czy możesz kochać podobnego mężczyznę? - spytałem. Przysięgła, że niczyja twarz nie jest jej miłsza nad moją. Usiłowałem więc przyzwyczaić się do oblicza na monecie.

Dowód rozrzutności Kaliguli stanowiły nie tylko posągi, lecz srebrne i złote przedmioty, których pełno było w pałacu i gdzie indziej, a które można było zebrać i przetopić. Tak na przykład złote gałki u drzwi, ramy okienne, złote i srebrne ozdoby w świątyni cesarza. W sypialni Kaliguli znalazłem należącą ongiś do Liwii szkatułkę z truciznami. Kaligula robił z niej często użytek, czy to posyłając zatrute smakołyki ludziom, którzy uczynili na jego korzyść zapis w testamencie, czy też dolewając trucizny do potraw zaproszonym na obiad gościom, podczas gdy ci byli zajęci jakąś rozrywką umyślnie przygotowaną w celu odwrócenia uwagi. Przyznawał się, że sprawia mu niezmiernie dużo przyjemności widok ludzi, którzy konają otruci arszenikiem. Pierwszego pogodnego wiosennego dnia zabrałem z sobą szkatułkę do Ostii. Tu wsiadłem na jedną z galer Kaliguli i doczekawszy się odpływu, kazałem odbić od brzegu. Kiedy upłynęliśmy jakąś milę, wrzuciłem szkatułkę do wody. W minutę czy dwie później tysiące martwych ryb wypłynęło na powierzchnię. Ponieważ zataiłem przed marynarzami zawartość szkatułki, kilku z nich zaczęło łowić unoszące się na falach ryby, aby je po powrocie spożyć w domu. Zakazałem im połowu pod karą śmierci.

Pod poduszką Kaliguli znalazłem dwie jego osławione księgi. Na jednej był wymalowany okrwawiony miecz, na drugiej takiż sztylet. Jeżeli Kaligula usłyszał o kimś coś, co mu się nie podobało, zwracał się do wyzwolenca, który zawsze nosił za nim te księgi. „Protogenesie - mawiał - zapisz no nazwisko tego a tego pod sztyletem” (albo: „zapisz je pod mieczem”). Miecz oznaczał tych, którzy mieli być straceni, sztylet tych, którzy otrzymywali nakaz popełnienia samobójstwa. W księdze ze sztyletem zapisał na ostatnim miejscu: Winicjusza, Azjatyka, Kasjusza Chereę i - Tyberiusza Klaudiusza, czyli mnie. Książki te własnoręcznie spaliłem; Protogenesa skazałem na śmierć. I to nie tylko dlatego, że nie cierpiałem widoku tej ohydnej, krwiożerczej kreatury, traktującej mnie zawsze z bezczelnością nie do zniesienia, lecz również i dlatego, że Protogenes groził senatorom i rycerzom umieszczeniem ich nazwisk w którejś z ksiąg, jeśli mu nie zapłacą okazałej sumy. Pamięć Kaliguli była już w tym czasie tak osłabiona, że wyzwoleniec mógł łatwo wmówić w Cezara, iż nazwiska wciągnął z jego polecenia.

Podczas przesłuchania Protogenes twierdził uparcie, że nigdy nikogo nie szantażował i nazwiska wpisywał tylko na zlecenie cesarza. W związku z tym wyłonił się problem prawomocnego wyroku śmierci. Jak łatwo bowiem mógł któryś z moich pułkowników oszukać mnie i zameldować pewnego rana: „Takiego to a takiego dziś o świcie stracono zgodnie z rozkazem jego cesarskiej mości z dnia poprzedniego.” W takim wypadku przeciw jego słowu świadczyłoby tylko moje, a jestem skłonny przyznać się, że pamięć mi nie dopisuje. Dlatego też przywróciłem wprowadzony przez Augusta i Liwie zwyczaj wydawania wszelkich decyzji i poleceń na piśmie. Jeżeli podwładny nie mógł mi pokazać podpisanego przeze mnie rozkazu wykonania jakiegoś surowszego wyroku, załatwienia poważniejszej sprawy pieniężnej lub wprowadzenia zasadniczej innowacji w procedurze, a ja odmówiłem uznania jego zarządzeń, musiał sam za nie ponieść odpowiedzialność. Zwyczaj ten następnie przyjęli moi ministrowie w stosunku do podwładnych im urzędników i

tak się rozpowszechnił, że w urzędach podczas godzin pracy rzadko słyszało się jakieś słowa; chyba podczas obrad kierowników departamentów lub podczas wizyt urzędników miejskich. Cała służba pałacowa nosiła z sobą woskowe tabliczki, aby w razie potrzeby mogli rozkaz otrzymać na piśmie. Petenci, którzy zjawiali się w pałacu z prośbą o jakąś posadę, koncesję, przywilej czy odroczenie kary, byli obowiązani przedstawić swoją sprawę na piśmie. Tylko w wyjątkowych wypadkach pozwalano im ustnie poprzeć i uzasadnić prośbę. Ministrowie moi zyskiwali w ten sposób wiele czasu, ale też i niezasłużoną opinię arogantów.

Opowiem wam teraz o tych ministrach. Podczas panowania Tyberiusza i Kaliguli właściwe kierownictwo spraw przechodziło coraz bardziej w ręce wyzwolenców, wyćwiczonych w kancelaryjnej służbie pod okiem mojej babki Liwii. Konsulowie i urzędnicy miejscy, choć niezależni i odpowiedzialni za sprawowanie swego urzędu tylko przed senatem, niejednokrotnie musieli się stosować do wskazówek udzielanych im w imieniu cesarza przez jego sekretarzy, zwłaszcza kiedy chodziło o skomplikowane sprawy prawne i finansowe. Pokazywano im wtedy, gdzie na przygotowanych już dla nich dokumentach mają przybić pieczęć lub złożyć podpis, a rzadko zadawano sobie trud zaznajomienia ich z treścią tego, co podpisywali i pieczętowali. Zresztą w większości wypadków podpis był tylko częścią formalnością, a ponadto w porównaniu z sekretarzami urzędnicy miejscy nie mieli zielonego pojęcia o przepisach administracyjnych. Poza tym sekretarze udoskonaliли nowy rodzaj pisma, skrótów i znaków, dzięki któremu pisali bardzo szybko, lecz całkiem nieczytelnie dla ogółu. Wiedziałem, że nie ma najmniejszej nadziei, aby ten stosunek kancelarii do reszty świata uległ zmianie, i dlatego na razie raczej zwiększyłem jej uprawnienia, zatwierdzając nominację tych spośród wyzwolenców Kaliguli, którzy byli właściwymi ludźmi na właściwych miejscach. Tak zatrzymałem Kalista, który sprawował urząd sekretarza prywatnej szkatuły i skarbu państwa (Kaligula nie robił różnicy między oboma

skarabami). Kalist wiedział o spisku przeciw Kaliguli, ale nie wziął w nim czynnego udziału. Opowiedział mi kiedyś obszernie, jak poprzedni cesarz polecił mu otruć mnie i jak on szlachetnie odmówił wykonania rozkazu. Nie uwierzyłem w tę historię. Po pierwsze, Kaligula nigdy by mu nie wydał podobnego polecenia, lecz swoim zwyczajem własnoręcznie domieszałby mi truciznę do jedzenia; po drugie, gdyby Kalist rzeczywiście otrzymał podobny rozkaz, nigdy by nie śmiał mu się sprzeciwić. Pomimo to pozostawiłem go na stanowisku, gdyż najwyraźniej zależało mu na dalszym spełnianiu swych obowiązków, a był jedynym człowiekiem, który orientował się w aktualnych dochodach i rozchodach skarbu. Chcąc go zachęcić wspomniałem, że dokonał niemałego dzieła, skoro tak długo mógł zaopatrywać Kaligulę w pieniądze; licząc, powiedziałem, że użyje swoich złotodajnych darów dla zbawienia Rzymu równie skutecznie, jak ich używał na jego szkodę. Do kompetencji ministerstwa skarbu należało też prowadzenie śledztwa we wszystkich sprawach, gdzie w grę wchodziły pieniądze państwa. Na stanowisku sekretarza sprawiedliwości zatrzymałem Myrona, a jako skarbnika wojskowego Posidesa. Harpokrasowi powierzyłem sprawy igrzysk i rozrywek, Amfareusowi zaś listy obywateli. Do obowiązków Myrona należało też towarzyszenie mi przy wszelkich występach publicznych i przeglądanie korespondencji, abym ze stosu bzdurnych sprawozdań i natrętnych prośb dostał od razu to, co było istotnie ważne. Poza wyżej wymienionymi ministrami wspomnieć jeszcze trzeba: Pallasa, któremu oddałem zarząd prywatnej szkatuły; jego brata Feliksa, który pełnił obowiązki sekretarza stanu; dyrektora aprowizacji Kalona i jego syna Narcyza, ministra spraw wewnętrznych, a równocześnie mojego prywatnego sekretarza. Sprawy religijne - byłem też najwyższym kapłanem - powierzyłem Polibiuszowi, który miał mi pomagać również w pracach historycznych, gdyby się udało znaleźć dla nich trochę czasu. Pięciu ostatnio wymienionych ministrów było moimi własnymi wyzwoleńcami. Kiedy swego czasu straciwszy majątek nie mogłem ich dłużej zatrudniać” znaleźli z łatwością zajęcie w pałacu, gdzie

wtajemniczono ich w arkana kancelaryjnego kunsztu, i nawet nauczyli się nieczytelnie pisać. Wszystkim ministrom wyznaczyłem mieszkania w pałacu, usuwając stamtąd zgraję szermierzy, woźniców, chłopców stajennych, aktorów, zonglerów i tym podobne tałatajstwo czepiające się pańskiej klamki. Pałac miał służyć teraz przede wszystkim celom administracji państwowej. Sam zamieszkałem w Starym Pałacu, gdzie za przykładem Augusta żyłem na bardzo skromnej stopie. Tylko w czasie wielkich przyjęć i wizyt obcych władców korzystałem z apartamentów Kaliguli w Nowym Pałacu. W jednym z jego skrzydeł mieściły się też pokoje Messaliny.

Rozdzieliwszy urzędy między swoich ministrów wyjaśniłem im, że pragnę, aby rozwinęli możliwie najwięcej własnej inicjatywy. Niech się nie spodziewają ode mnie wskazówek we wszystkich sprawach, nawet gdybym miał w jakiejś większe od nich doświadczenie. Nie znajduję się w tej sytuacji co August, który obejmując ster nawy państwowej nie tylko był młodym i pełnym energii człowiekiem, ale posiadał na swoje zawołanie całe zastępy wybitnych i zasłużonych doradców, jak Mecenasa, Agryppę, Polliona, że wymienię tylko tych trzech. Moi ministrowie muszą sobie sami radzić, jak potrafią, a jeśli napotkają jakąś trudność, niech zajrzą do *Romanae Transactiones Divi Augusti*, wielkiego dokumentarnego dzieła opublikowanego przez Liwie za rządów Tyberiusza, i niech postąpią w ten sam dokładnie sposób, w jaki postąpił w analogicznym wypadku August. Jeżeli w tym nieocenionym zbiorze wspomnień nie znajdą precedensu, niech wtedy zasięgną mej rady; mam jednak nadzieję, że zechcą mi możliwie często oszczędzać niepotrzebnego zajęcia.

- Bądźcie śmiali w decyzjach, byle nie za śmiali - zakończyłem.

Messalinie, która pomagała mi w nominacjach ministrów, zwierzyłem się, że mój republikański zapal nieco ostygł. Z każdym dniem czułem coraz więcej sympatii i szacunku dla Augusta. Budził się też we mnie, i to mimo osobistej niechęci, szacunek dla babki Liwii. Podziwiałem przede wszystkim jej niezwykle metodyczny umysł. Gdybym do czasu wskrzeszenia rzeczypospolitej

dokonał tego, że system administracyjny działałby przynajmniej w połowie tak sprawnie jak za Augusta i Liwii, byłbym najzupełniej z siebie zadowolony. Messalina śmiejąc się proponowała, że jeśli podejmę się roli Augusta, ona zostanie drugą Liwią.

- *Absit omen!* [*Na psa urok] - zawołałem i splunąłem dla odczynienia uroku.

- Żart na stronę - odpowiedziała - ale wierz mi, posiadam coś z jej zdolności poznawania się na ludziach i decydowania, na jakie stanowiska się nadają. Gdybyś mi pozwolił, pomagałabym ci w zakresie spraw obyczajowych. Pozbyłbyś się w ten sposób zajęć związanych z tym stanowiskiem cenzora moralności publicznej. - Musicie wiedzieć, że byłem wtedy po uszy zakochany w Messalinie, a trzeba przyznać, że przy wyborze ministrów wykazała istotnie niemałą bystrość w ocenie ludzi. Wahąłem się jednak, czy mogę powierzyć jej tak odpowiedzialne funkcje jak nadzór nad moralnością.

- Pozwól mi dać jakiś bardziej przekonujący dowód moich uzdolnień - prosiła i zaproponowała, żebyśmy wspólnie przejrzyli listę senatorów, a ona mi powie, które nazwiska, jej zdaniem, powinny pozostać, a które należy skreślić. Kazałem przynieść listę i zaczęliśmy ją we dwójkę przeglądać. Muszę przyznać, że Messalina zaskoczyła mnie dokładną znajomością uzdolnień, charakteru, prywatnego i publicznego życia dwudziestu pierwszych senatorów wymienionych na liście. O ile mogłem sprawdzić, wiadomości te były tak dokładne, że chętnie zadośćuczyniłem jej prośbom. Tylko w kilku wątpliwych wypadkach, w których nie zależało jej specjalnie na pozostawieniu czy skreśleniu nazwiska, kierowałem się osobistym upodobaniem. Zasięgnąwszy przez Kalista wiadomości o finansowym stanie niektórych senatorów i ustaliwszy opinię o ich intelektualnych i moralnych kwalifikacjach, skreśliliśmy około jednej trzeciej nazwisk, a powstałe w ten sposób wakanse uzupełniliśmy powołując najbardziej na to zasługujących rycerzy i dawnych senatorów usuniętych z senatu przez kaprys Kaliguli. Jednym ze skreślonych na specjalne

moje życzenie był Sentiusz. Pragnąłem pozbyć się tego człowieka nie tylko ze względu na jego idiotyczną mowę w senacie i tchórzostwo, które następnie okazał, lecz i na to, że jak pamiętałem, Sentiusz był jednym z dwu senatorów, którzy w czasie zamordowania Kaliguli towarzyszyli mi do pałacu, a następnie znieścacka zostawili samego. Drugim z tej pary był, mówiąc nawiasem, Witeliusz, lecz ten zapewnił mnie obecnie, że oddalił się pospiesznie tylko w tym celu, żeby znaleźć Messalinę i ukryć ją w bezpiecznym miejscu. Sentiusz miał zostać i zaopiekować się mną. Przebaczyłem więc Witeliuszowi i uczyniłem go swym zastępcą, na wypadek gdybym zachorował lub gdyby zdarzyło mi się coś jeszcze gorszego. Sentiusza jednak się pozbyłem. Za przyczynę posłużyła mi jego nieusprawiedliwiona nieobecność na posiedzeniu senatu, które zwołałem w pałacu; Sentiusz bowiem nie zawiadamiając konsulów, że ma zamiar opuścić Rzym, uciekł na wieś i przez dłuższy czas nie wracał do stolicy, tak że nie objęła go amnestia. Drugim z czołowych senatorów, którego usunąłem, był koń Kaliguli, Incitatus, który za trzy lata miał zostać konsulem. Napisałem do senatu, że wprawdzie nie wysuwam żadnych zarzutów przeciw obyczajom tego senatora ani nie kwestionuję kwalifikacji do piastowania przeznaczonego mu urzędu, lecz nie posiada on przepisanego prawem majątku. Przyznał mu bowiem przez Kaligulę pensję obciążoną do dziennej racji kawalerskiego konia, zwolniłem wszystkich jego stajennych, a samego Incitata umieściłem w zwykłej stajni, w której stał żłób nie z kości słoniowej, lecz z drewna, ścian zaś nie pokryto freskami, lecz tylko pobielono. Nie rozdzieliłem go jednak z żoną Penelopą - to byłoby zbyt niesprawiedliwe.

Herod przestrzegał mnie stale przed możliwością zamachu, wskazując na to, że rewizja listy senatorów i przedsięwzięta potem rewizja list stanu rycerskiego narobiła mi wielu wrogów. Udzielenie amnestii, twierdził, to bardzo dobry pomysł, lecz szlachetność nie powinna być zbyt jednostronna. Jeśli wierzyć słowom Heroda, Winicjusz i Azjatyk z góry cynicznie przepowiadali, że zawsze są miłe złego początki. Kaligula i Tyberiusz, przypominali oni, w

podobny sposób zaczynali swoje panowanie od udawania dobroci i sprawiedliwości; przypuszczalnie w końcu okażą się jeszcze większym szaleńcem i despotą niż oni. Herod radził mi przez jakiś czas w ogóle się nie zjawiać w senacie, a później - tylko po zarządzeniu wszystkich środków ostrożności przeciw zamachom. Ta rada mnie zaniepokoiła. Trudno było rozstrzygnąć, jakie środki bezpieczeństwa można uznać za wystarczające. Wobec tego przez cały miesiąc nie pojawiłem się w senacie, obmyślając, w jaki sposób mogę zabezpieczyć swoją osobę. Na moje żądanie senat zgodził się, żeby na posiedzeniach towarzyszyła mi zbrojna eskorta złożona z czterech pułkowników gwardii i naczelnego komendanta, Rufriusza. Tego ostatniego, chociaż nie posiadał wymaganego ustawą majątku, wciągnąłem na listę senatorów, a senat za moim poparciem udzielił mu prawa przemawiania i głosowania, ilekroć przybywał w moim towarzystwie. Następnie za radą Messaliny kazałem rewidować wszystkich, którzy w pałacu lub gdzie indziej mieli być dopuszczeni do mnie, czy przypadkiem nie posiadają ukrytej broni. Kontrola ta rozciągała się nawet na kobiety i dzieci. Niechętnie przyjąłem pomysł rewidowania kobiet, ale na nalegania Messaliny ostatecznie ustąpiłem pod warunkiem, że rewizję będą przeprowadzać jej wyzwoleniec, a nie żołnierze. Messalina też wymogła, że podczas uczt pełnili straż zbrojni żołnierze. Za czasów Augusta podobny zwyczaj byłby uważany za wyraz skrajnego despotyzmu i wstyd mnie ogarniał, ilekroć spojrzałem na rozstawione pod ścianą szeregi gwardzistów; nie chciałem jednak ryzykować życia.

Usiłowałem przywrócić senatowi poczucie własnej godności. Przy wyborze nowych członków zwracaliśmy z Messalina baczną uwagę nie tylko na osobiste przymioty kandydatów, lecz i na ich genealogię. Pozornie na prośbę seniorów stanu senatorskiego - pomysł bowiem w rzeczywistości wyszedł ode mnie - przyrzekłem nie wybierać nikogo, kto by nie mógł wykazać, że ród jego po mieczu posiada od czterech pokoleń obywatelstwo rzymskie. Obietnicy tej dotrzymałem. Jedyne wyjątek zrobiłem dla Feliksa, mojego ministra spraw

zagranicznych, któremu w kilka lat później przy pewnej sposobności nadałem godność senatorską. Feliks był młodszym bratem mojego wyzwolenca Pallasa i urodził się już po wyzwoleniu ich ojca; nigdy więc nie był niewolnikiem jak Pallas. Lecz i w tym wypadku nie złamałem przyrzeczenia danego senatowi. Poprosiłem jednego z klientów klaudyjskiego rodu, którego przodkowie pochodzący z Kampanii wywędrowali do Rzymu, gdzie otrzymali obywatelstwo rzymskie i rodowe nazwisko Klaudiuszów, aby adoptował Feliksa. Mój sekretarz stanu więc przynajmniej teoretycznie mógł się wykazać owymi czterema przodkami. Mimo to przecież, kiedy wprowadziłem go do senatu, podniosły się pomruki zawiści.

- Cezarze - odezwał się ktoś - tego nie bywało za czasów naszych przodków.

- Wydaje mi się, senatorze - odparłem zirytowany - że nie masz prawa przemawiać w ten sposób. Ród twój wcale nie jest tak znakomity. Słyszałem, że za czasów mego prapradziadka przodkowie twoi sprzedawali drzewo na ulicach, i słyszałem też, że mieli zwyczaj nie dowozić.

- To kłamstwo! - zaperzył się zaatakowany. - Moi przodkowie byli uczciwymi oberżystami.

Senatorowie wybuchnęli śmiechem i skonfundowany oponent usiadł. Czuję jednak, że wypada mi powiedzieć nieco więcej.

- Kiedy mój przodek, Klaudiusz Ślepy - rzekłem - zwycięzca Etrusków i Samnitów, pierwszy znamienitszy pisarz rzymski, został z górą trzysta lat temu mianowany cenzorem, dopuścił do senatu podobnie jak ja synów wyzwolenców. Wielu spośród dzisiejszych senatorów zawdzięcza tej innowacji swoją obecność pośród nas. Czyżby może mieli zamiar zrezygnować ze swej godności?

Senat przywitał Feliksa z oznakami sympatii.

Wśród szlachty, jak zresztą już za czasów Augusta, było wielu bogatych darmożjadów. Nie poszedłem jednak za przykładem mego dziadka i nie pozwoliłem im próżnować. Zapowiedziałem, że ktokolwiek uchylałby się od

pełnienia zaproponowanego mu urzędu, usunę go ze stanu szlacheckiego. W trzech czy czterech wypadkach dotrzymałem słowa.

Wśród papierów, które znalazłem w prywatnym skarbczyku Kaliguli, znajdowały się dokumenty dotyczące procesu i śmierci moich bratanków, Druzusa i Nerona, i ich matki Agryppiny. Kaligula miał rzekomo na dowód wspaniałomyślności spalić ten cały zbiór jeszcze w początkach swego panowania, nie uczynił tego jednak, świadkowie, którzy zeznawali przeciw moim bratankom i bratowej, i senatorowie, którzy głosowali za ich śmiercią, żyli w nieustannej trwodze przed zemstą. Przejrzałem dokładnie te papiery i wszystkich żyjących jeszcze zamieszanych w ten mord sądowy wezwałem do siebie. Każdemu z nich po przeczytaniu w mojej obecności dotyczących go dokumentów wręczono je z poleceniem natychmiastowego spalania. Znalazłem też kartoteki szyfrowanych raportów na temat prywatnego życia wybitnych obywateli; po śmierci Augusta Tyberiusz zabrał je Liwii, nie potrafił ich jednak odczytać. Później udało mi się je odcyfrować. Przedawnione jednak sprawy interesowały mnie bardziej ze stanowiska historycznego niż politycznego.

Dwa najważniejsze zadania, które mnie obecnie czekały, dotyczyły stopniowej reorganizacji finansów państwa i unieważnienia najszkodliwszych dekretów Kaliguli. Ani jednego, ani drugiego nie można było załatwić od ręki. W sprawie finansów odbyłem długą konferencję z Kalistem i Pallasem zaraz po ich mianowaniu. W obradach wziął również udział Herod, prawdopodobnie bowiem nie znalazłoby się na ziemi drugiego człowieka, który by posiadał większe doświadczenie w zaciąganiu pożyczek i regulowaniu należności. Najpierw wyłoniła się sprawa, skąd wziąć gotówkę na bieżące wydatki. Postanowiliśmy, jak już wspomniałem, uzyskać ją z przetopienia złotych posągów, zastawy, ozdób znajdujących się w pałacu i złotych sprzętów ze świątyni Kaliguli. Ponadto Herod wysunął projekt, żebym w imieniu Jowisza Kapitolńskiego zaciągnął pożyczkę u innych bogów. W różnych świątyniach bowiem w ciągu ostatniego stulecia zgromadziły się wspaniałe dary wotywnie ze

złota, srebra i brązu, które stały całkiem bezużytecznie, zajmując tylko miejsce. Składali je przeważnie ludzie, którzy chcieli w ten sposób zwrócić uwagę na swoje finansowe czy polityczne talenty; pobożność nie odgrywała w tym zazwyczaj żadnej roli. Tak na przykład kupiec po pomyślnej podróży handlowej na Wschód ofiarowywał Merkuremu złotą tarczę; prawnik po wygranym procesie składał Apollovi złoty trójnog. Oczywiście Apollo nie używał tych dwustu czy trzystu złotych i srebrnych trójnogów i z przyjemnością gotów był pożyczyć kilka sztuk ojcu Jowiszowi, który znalazł się w kłopotcie. Przetopilem na monetę tyle z tych wotywnych darów, ile tylko mogłem zabrać, nie obrażając rodzin ofiarodawców i nie niszcząc przedmiotów o historycznej lub artystycznej wartości. Pożyczka dla Jowisza była oczywiście pożyczką dla skarbu państwa. Postanowiliśmy też zaciągnąć pożyczki w bankach, ofiarowując w zamian dość wysoką stopę procentową. Herod twierdził, że najważniejszą sprawą jest przywrócenie zaufania i jeżeli uda się nam je pozyskać, wpłyną sumy złożone w skarbie przez zbyt lękliwych kapitalistów. Podkreślał przy tym, że choć polityka finansowa powinna pójść po linii oszczędności, nie należy w oszczędzaniu przesadzać i wywoływać wrażenia sknerstwa.

- Ilekroć - mówił - w moim życiu przychodziły ciężkie chwile i zaczynało braknąć pieniędzy, zawsze pamiętałem o tym, żeby poświęcić resztkę na osobiste stroje; na pierścienie, ubranie i piękne nowe trzewiki. To podnosiło mój kredyt i pozwalało pożyczać na nowo. Radzę wam, trzymajcie się tej samej zasady. Niewielką na przykład ilością pozłótki można pokryć znaczną powierzchnię. Proponuję, aby wysłać kilku złotników, którzy by pozłócili słupki mety w cyrku. Zrobi to wrażenie, że w państwie panuje dobrobyt, a nie będzie kosztowało więcej niż pięćdziesiąt czy sto aureusów. Inna myśl przyszła mi do głowy dziś z rana, kiedy zobaczyłem, jak dźwigają na wzgórze olbrzymie płyty sycylijskiego marmuru, którym miało być wyłożone wnętrze świątyni Kaliguli. Przypuszczam, że nie będziesz jej kończył, nieprawdaż? Cóż byś powiedział na to, żeby pokryć marmurem piaskowcową balustradę w cyrku? Marmur jest

piękny i powinien wzbudzić ogólny zachwyt.

Herod miał zawsze pełno doskonałych pomysłów. Chciałem zatrzymać go na stałe przy sobie, ale powiedział, że nie może dłużej zostać; ma przecież królestwo, którym musi rządzić. Przyrzekłem mu, że jeśli zostanie w Rzymie jeszcze tylko kilka miesięcy, uczynię królestwo jego tak wielkim, jak było za czasów Heroda Wielkiego.

Wracajmy jednak do naszej konferencji. Zapadła decyzja, żeby zaciągnąć pożyczki, a z podatków nałożonych przez Kaligulę znieść na początek tylko najbardziej niezwykle, jak podatek od burdeli, od ulicznego handlu i od publicznych nocników - wielkich garnków stojących na rogach ulic. Garnki te, gdy płyn w nich osiągnął pewnej wysokości, zabierali folusznicy, którzy zużytkowywali mocz do bielienia sukna. W dekreście, w którym znosiłem te podatki, zaznaczałem, że zniosę i inne, gdy tylko pieniądze napłyną w dostatecznej ilości.

Rozdział VII

Wkrótce pozyskałem sobie sympatię ogółu. Wśród odwołanych przeze mnie edyktów Kaliguli część dotyczyła religijnego kultu jego osoby, obrazy majestatu i zawieszenia pewnych przywilejów senatu i ludu. Ogłosiłem, że „obraza majestatu” jest odtąd zwrotem bez znaczenia. Nie tylko pisma, ale nawet publiczne wystąpienia noszące znamiona takiej obrazy przestają być uważane za występki. Pod tym względem okazałem się liberalniejszy nawet od Augusta. Dekret mój otworzył bramy więzień dla setek obywateli z różnych sfer. Jednak za radą Messaliny znajdowali się oni pod dozorem gwardii, dopóki nie stwierdziłem, że pod zarzutem obrazy majestatu nie kryła się inna pospolita zbrodnia. Oskarżenie o obrazę majestatu było bowiem często tylko formalnością umożliwiającą aresztowanie człowieka, który w rzeczywistości mógł popełnić morderstwo, fałszerstwo czy jakiś inny występki. Rozstrzygnięcia w tego rodzaju sprawach nie mogłem powierzyć zwykłym urzędnikom. Czułem się w obowiązku przeprowadzać śledztwa osobiście. Codziennie więc udawałem się na Rynek, gdzie całe rano urzędowałem naprzeciw świątyni Herkulesa, rozpatrując sprawy wspólnie z ławnikami powołanymi z grona senatorów. Od wielu lat, od czasu wyjazdu Tyberiusza na Capri, żaden z cesarzy zasiadając osobiście na trybunale nie powoływał ławników. Zjawiałem się też niespodzianie w innych sądach i zajmowałem miejsce wśród asesorów dodanych przewodniczącemu. Moja znajomość procedury prawnej była bardzo mętna. Nigdy nie przechodziłem przez kolejne szczeble kariery urzędniczej rzymskiego nobila, który zaczynał od urzędnika trzeciej kategorii i piął się stopniowo coraz wyżej aż do konsulatu, a w przerwach odbywał służbę wojskową. Z wyjątkiem trzech ostatnich lat żyłem przeważnie poza Rzymem i byłem rzadkim gościem w urzędach sądowych. Musiałem więc polegać bardziej na wrodzonym mi zdrowym rozsądku niż na znajomości procedury i porać się

wciąż z kruczkami adwokatów, którzy licząc na moją ignorancję usiłowali uwikłać mnie w sidła prawniczych wywodów.

Codziennie zdążając z pałacu na Rynek mijalem ozdobiony sztukateriami dom, na którego fasadzie widniał w olbrzymich literach napis:

INSTYTUT
ZAŁOŻONY I KIEROWANY PRZEZ WIELCE
UCZONEGO I WYMOWNEGO ORATORA I
JURYSTĘ TELEGONIUSZA MAKARIUSZA,
OBYWATELA STOLICY I STOŁECZNEGO
MIASTA ATEN

Pod spodem znajdowała się wielka kwadratowa tablica, a na niej następujące wyjaśnienie:

„Telegoniusz udziela wyjaśnień i porad wszystkim, którzy w sprawach finansowych lub personalnych muszą stawić się przed sądem cywilnym lub karnym. Posiada encyklopedyczną znajomość wszystkich rzymskich edyktów, ustaw, dekretów, rozporządzeń i orzeczeń sądowych przeszłych i obecnych, będących i nie będących w użyciu, mających moc prawną i wygasłych. W pół godziny po zawiadomieniu uczony i wymowny Telegoniusz dostarcza swym klientom dokładnej i pod względem prawniczym nie dającej się obalić opinii w każdej możliwej sprawie sądowej, którą przedstawi się jemu i jego wyćwiczonemu personelowi. Telegoniusz ma w małym palcu nie tylko prawo rzymskie, lecz także greckie, egipskie, żydowskie, armeńskie, marokańskie, partyjskie. Nieporównany Telegoniusz dostarcza nie tylko surowego materiału prawniczego, lecz również całkowitych, pięknie opracowanych przemówień sądowych wraz ze wskazówkami dotyczącymi odpowiedniego tonu i gestu, jakich należy użyć przy wygłaszaniu. Specjalność: apelowanie ad personam do

poszczególnych sędziów. Do nabycia podręcznik wspaniałych figur retorycznych i metafor. Żaden z klientów naszych nie poniósł dotychczas porażki w żadnym sądzie, chyba że przeciwnik jego miał sposobność zaczerpnąć ożywczej wody z tego samego źródła wiedzy i krasomówstwa. Ceny umiarkowane. Uprzejma obsługa. Kilka wolnych miejsc dla uczniów.”

Język jest potężniejszy od miecza

Eurypides

Oglądając codziennie tę tablicę, po pewnym czasie treść jej umiałem na pamięć. Ilekroć teraz adwokat lub prokurator zwracał się do mnie z tego rodzaju zdaniem jak: „Niewątpliwie, Cezarze, przypominasz sobie piętnasty ustęp czwartego artykułu ustawy Marka Porcjusza Katona przeciw zbyt kom ogłoszonej w roku... za konsulatu...”, albo: „Zgodzisz się ze mną, Cezarze, że na wyspie Andros, skąd pochodzi mój klient, okazują wielką pobłażliwość fałszerzom, jeśli ci zdołają udowodnić, że działali nie w nadziei osobistego zysku, lecz kierowani chęcią dopomożenia swym sędziwym rodzicom?” - odpowiadałem z uśmiechem: „Mylisz się, czcigodny obrońco (czy prokuratorze), zupełnie sobie tego nie przypominam. Nie jestem wielce wymownym i uczonym Telegoniuszem, który może dostarczyć dokładnej i prawnie nie dającej się obalić opinii we wszystkich możliwych sprawach. Jestem tylko sędzią tego trybunału. Mów dalej i nie zabieraj mi czasu.” Jeżeli usiłowano w dalszym ciągu zawracać mi głowę, mówiłem: „Szkoda czasu. Po pierwsze, nie chcę odpowiedzieć i nie odpowiem. Nie możesz mnie do tego zmusić. Jestem wolnym człowiekiem. Może zaprzeczysz? Jednym z najbardziej wolnych w Rzymie. Po drugie, gdybym teraz ci odpowiedział, to, na bogów, wołałbyś tej odpowiedzi nie słyszeć!”

Nawiasem mówiąc, Telegoniusz miał, zdaje się, wielu klientów i jego działalność obmierzała mi do cna. Nie cierpię sądowego krasomówstwa. Jeżeli

człowiek nie potrafi przedstawić swej sprawy krótko a jasno i przyprowadzić potrzebnych świadków, ale w nieznośny sposób gada o znakomitości swych przodków, liczbie zubożałych krewnych będących na jego utrzymaniu, miłosierdziu i mądrości sędziego, dokuczliwych figlach losu, zmienności ludzkiego szczęścia i tym podobnych bredniach, zasługuje na najwyższą karę, jaką prawo przewiduje za niesumienność, fałszywe roszczenia i marnowanie czasu publicznego. Z mego polecenia Polibiusz kupił zachwalany podręcznik Telegoniusza; przestudiowałem go pilnie. W kilka dni później przysłuchiwałem się rozprawie w jednym z niższych sądów. Kiedy adwokat zaczął sędzić wspaniałymi retorycznymi figurami zalecanymi przez Telegoniusza, poprosiłem sędziego, żeby pozwolił mi zabrać głos. Otrzymawszy pozwolenie, przerwałem mówcy:

- Zatrzymaj się - zawołałem - to nie tak. Pomyliłeś się. U Telegoniusza brzmi to inaczej. Poczekaj. Zaraz zobaczymy - i wyciągnąłem podręcznik. - Aha, już mam: Obrona oskarżonego o kradzież. „Słyszając o stracie mego sąsiada, pełen gorącego dłań współczucia, zacząłem szukać zgubionej owcy (albo krowy, konia, muła itd.). Jakiegoż lasu, jakiej doliny nie przeszukałem w tych wietrznych i niegościnnych górach? Jakich mokradeł nie przetrząsnąłem, do jakiejż jaskini nie zajrzałem? Aż wreszcie, wierzyć się nie chce, wracam do domu zmęczony, z poranionymi stopami, zrezygnowany, i patrzę (tu przyłożyć rękę do oczu i spojrzeć z osłupiałą miną), a zguba stoi w mojej własnej owczarni (oborze, stajni, chlewie), dokąd się podczas mojej nieobecności w przewrotny sposób zabłąkała.” Otóż - rzekłem skończywszy czytać - zamiast „dolina” powiedziałaś „gaj”, opuściłaś „poranione stopy” i tak wymowny przysłówek: „przewrotnie”. Przy słowie „patrzę” spojrzaleś nie z miną osłupiałą, ale głupią. Przegrałeś sprawę. Winę musisz przypisać sobie, nie Telegoniuszowi.

Ponieważ mym obowiązkom sądowym oddawałem się codziennie przez wiele godzin, jak również w dni świąteczne, a nawet skasowałem wakacje sądowe, tak żeby wymiar sprawiedliwości odbywał się bez przerwy i żaden z

oskarżonych nie spędził w więzieniu bez wyroku więcej niż kilka dni, spodziewałem się, że adwokaci, urzędnicy i świadkowie zechcą bardziej liczyć się ze mną. Niestety, zawiodłem się srodze. Zapowiedziałem więc po prostu, że niezjawienie się lub opóźnienie jednej ze stron będę przy wyroku brał pod uwagę na korzyść przeciwnika. Usiłowałem załatwić się z przewodem jak najszybciej i zyskałem (całkiem niesłusznie) reputację sędziego, który skazuje uwięzionych nie dając im sposobności do obrony. Jeżeli ktoś był oskarżony o zbrodnię, pytałem go po prostu: „Czy oskarżenie to jest zasadniczo prawdziwe?” Kiedy zaczynał bąkać coś w rodzaju: „Pozwól sobie wytłumaczyć, Cezarze, właściwie to ja nie jestem winien, lecz...”, przerywałem z miejsca i wydawałem wyrok: „Tysiąc aureusów grzywny”, albo: „Wygnany na Sycylię”, albo jeszcze krócej: „Śmierć”. Po czym polecałem woźnemu: „Następna sprawa.” Naturalnie podsądny i jego adwokat czuli się głęboko dotknięci, że nie pozwoliłem się oczarować „okolicznościami łagodzącymi”. Gdy w jednej sprawie pozwany, który rościł sobie prawo do obywatelstwa rzymskiego, zjawił się w todzie, adwokat powoda zaprotestował twierdząc, że przeciwnik jego klienta, jako cudzoziemiec, powinien nosić zwykły płaszcz. Ponieważ w sprawie tej kwestia obywatelstwa nie odgrywała żadnej roli, odebrałem głos adwokatowi i zadecydowałem, że podczas przemówień strony skarżącej pozwany ma mieć na sobie zwykły płaszcz, a podczas przemówień obrony - togę. Nic dziwnego, że nie cieszyłem się sympatią prawników. Skarżyli się między sobą, że ośmieszani wymiar sprawiedliwości, i na ogół odnosili się do mnie z wyraźną niechęcią. Jeżeli przypadkiem któregoś dnia, kiedy pora obiadowa już dawno minęła, a ja, nie mogąc się uporać z wyznaczonymi sprawami, odkładałem resztę na dzień następny, wybuchała istna awantura. W całkiem bezceremonialny sposób domagano się, żebym pozostał, a nie kazał uczciwym obywatelom czekać na wymiar sprawiedliwości. Chwytano mnie nawet za togę, czepiano się nóg, jakby chcąc siłą zatrzymać.

Tolerowałem poufałości, o ile nie miały obraźliwych intencji, i

stwierdziłem, że swojska atmosfera w sądzie dodaje odwagi świadkom. Nigdy też nie obrażałem się, jeżeli na jakieś niezręczne powiedzenie przeciwnik odciął mi się dowcipnie. Pewnego razu obrońca wyjaśnił, że jego sześćdziesięcioletni klient niedawno się ożenił; okazało się, że żona jego, która występowała w sprawie jako świadek, była jeszcze całkiem młodą kobietą. Zwróciłem uwagę, że małżeństwo zawarli bezprawnie. Zgodnie bowiem z ustawą Papijsko-Poppejską[* Ustawa Papijsko-Poppejska z 9 r. n.e. wymierzona przeciw bezzennym i bezdzietnym.] (przypadkowo mi znaną) mężczyźni powyżej sześćdziesiątki nie wolno żenić się z kobietą poniżej lat pięćdziesięciu. Ustawa ta opierała się na przypuszczeniu, że sześćdziesięcioletni mężczyzna nie może już zostać ojcem. Zacytowałem przy tej sposobności grecki epigram:

*Gdy staruch wbrew naturze młodą bierze żonę,
Nosi rogi lub dzieci płodzi niezdarzone.*

Adwokat zastanowił się chwilę i wygłosił:

*Głupi starcze, co bajesz całkiem nie do rzeczy,
Mieniąc prawem natury, co naturze przeczy.
Z krzepkiego starca krzepcy synowie się rodzą,
A młodzi niedołądzy niedołągów płodzą.*

Było to i słuszne, i dowcipne, więc wybaczyłem prawnikowi-poecie, że mnie nazwał głupim, a na najbliższym posiedzeniu senatu wniosłem odpowiednią poprawkę do ustawy Papijsko-Poppejskiej. Największy powód do gniewu w czasie rozprawy dał mi, o ile sobie przypominam, pewien urzędnik, do którego obowiązków należało wzywanie świadków i dopilnowywanie ich punktualnego przybycia. Rozpatrywałem kwestię pewnego sprzeniewierzenia, musiałem ją jednak z braku dowodów odroczyć, gdyż główny świadek, bojąc

się, że może być oskarżony o współudział w przestępstwie, uciekł do Afryki. Kiedy sprawa w drugim terminie wróciła na wokandę, a wywołany świadek się nie zjawiał, zapytałem urzędnika, czy wezwanie na pewno doręczono.

- Tak jest, Cezarze.

- Dlaczegoż więc świadek się nie stawił?

- Zaszły pewne okoliczności, które uniemożliwiły mu stawienie się.

- Nieobecność świadka usprawiedliwić może tylko choroba, i to tak poważna, że przyniesienie świadka do sądu na łożu zagrażałoby jego życiu.

- Tak jest, Cezarze. Świadek jednak nie jest teraz chory. O ile wiem, był bardzo poważnie chory. Ale to już należy do przeszłości.

- Cóż mu takiego było?

- Pokąsał go lew, z czego później wywiązała się gangrena.

- To cud, że wyzdrowiał - zdziwiłem się.

- Nie wyzdrowiał - zarechotał bałwan. - Umarł. Myślę, że śmierć jest przyczyną usprawiedliwiającą niestawienie się.

Obecni wybuchnęli śmiechem. Byłem tak wściekły, że cisnąłem w dowcipnisią tabliczką do pisania; odebrałem mu następnie obywatelstwo rzymskie i zesłałem do Afryki.

- Ruszaj polować na lwy - ryczałem. - Mam nadzieję, że cię solidnie pogryzą i dostaniesz gangreny. - Ostatecznie po sześciu miesiącach przebaczyłem zesłanemu i przywołałem go na dawne stanowisko. Nie próbował już więcej stroić ze mnie żartów.

Wypada mi też w tym miejscu wspomnieć o gwałtownym wybuchu gniewu, jakiego padłem ofiarą w czasie rozprawy. Młodego nobila oskarżono o dopuszczanie się na kobietach czynów przeciwnych naturze. Istotnym oskarżycielem był cech prostytutek, nieoficjalna, ale dobrze zorganizowana instytucja, skutecznie chroniąca swe członkinie przed wyzyskiem i brutalnością klientów. Ponieważ prostytutki nie posiadały prawa wnoszenia skargi przeciw nobilowi, udały się do człowieka, który mając z oskarżonym na pieńku czyhał

na sposobność do zemsty (prostyutki wiedzą o wszystkim), i ofiarowały się dostarczyć mu świadków (prawo uznawało zeznania prostytutek) Przed procesem napisałem do mojej przyjaciółki Kalpurnii, pięknej i młodej prostytutki, z którą żyłem przed ślubem z Messaliną, a która w ciężkich dniach okazała mi wiele serca i lojalności. Poprosiłem ją, żeby wybadała kobiety mające zeznawać i dowiedziała się, czy ów nobil rzeczywiście popełnił zarzucane mu przestępstwo, czy też oskarżyciel przekupił prostytutki. W parę dni później dostałem od Kalpurnii wiadomość, że ów nobil rzeczywiście postępował w brutalny i ohydny sposób, a kobiety, które zniosły do cechu skargę, cieszyły się opinią uczciwych dziewcząt i kilka z nich było osobistymi przyjaciółkami Kalpurnii.

Nadszedł dzień procesu. Zacząłem przesłuchiwać świadków. Kobiety zeznawały pod przysięgą, a pisarz sądowy protokołował zeznania. Zarzut obrony, że przysięga prostytutki zarówno przysłowiowo, jak w rzeczywistości nic nie jest warta, pozostawiłem bez rozpoznania. Kiedy jedna z dziewcząt powtórzyła kilka sprośnych i wulgarnych wyrażen, których użył w stosunku do niej oskarżony, pisarz zawahał się.

- Czy mam to zanotować, Cezarze? - spytał.

- Dlaczegoż by nie? - odparłem.

Młodego nobila ogarnął taki gniew, że postąpił w ten sam sposób co ja, kiedy ów urzędnik rozsyłający wezwania zaczął sobie stroić żarty - cisnął mi mianowicie tabliczką w głowę. Tym razem jednak pocisk nie chybił celu. Ostry róg tabliczki rozorał mi policzek i trysnęła krew. Nie dałem się jednak wytrącić z równowagi i zauważyłem tylko:

- Widzę, że pozostała w tobie jeszcze jakaś resztką wstydu. Bardzo się z tego cieszę.

Winę oskarżonego uznałem za udowodnioną i na liście nobilów Przy jego nazwisku postawiłem czarną kreskę. Odbierała mu ona możliwość starania się o urząd publiczny. Azjatyk jednak, który był powinowatym owego możnego,

prosił mnie w kilka miesięcy później, abym zmazał ów hańbiący znak, gdyż winowajca od tego czasu się poprawił.

- Mogę to dla ciebie zrobić - rzekłem - ale przecież znak pozostanie.

Azjatyk powtórzył później tę odpowiedź swoim przyjaciółom jako dowód mego braku inteligencji. Nie mógł widać zrozumieć, że jak mówiła moja matka, opinia jest podobna do glinianej misy. Misa może pęknąć - opinia ponieść uszczerbek przez wyrok sądowy. Pękniętą misę można zadrutować, wtedy jest znowu „jakby nowa”; opinię naprawia oficjalne przebaczenie. Naprawiona miska albo naprawiona opinia są lepsze niż pęknięta miska albo nadwerężona opinia. Ale miska, która nigdy nie pękła, i opinia, która nigdy nie poniosła żadnego uszczerbku, są jeszcze lepsze.

Nauczyciel zawsze uchodzi wśród swoich uczniów za oryginała. Chwytają oni w lot pewne jego stałe wyrażenia i chichoczą, ilekroć zdarzy mu się ich użyć. Każdy człowiek posiada takie swoje stałe wyrażenia albo właściwości wymowy, jeśli jednak nie zajmuje jakiegoś stanowiska, dającego mu władzę nad innymi, jeśli nie jest przypadkiem nauczycielem, oficerem, sędzią, nikt nie zwraca na te drobiazgi specjalnej uwagi. Nikt też nie zwracał na nie uwagi u mnie, dopóki nie zostałem cesarzem. Wtedy oczywiście zrobiły się słynne na cały świat. Wystarczało, żebym w sądzie powiedział: „Ani niechęć, ani względy”, albo streściwszy krótko sprawę, spytał swego ministra sprawiedliwości: „To byłoby wszystko, nieprawdaż?”, lub oświadczył: „Kiedy raz coś zadecyduję, to murowane”; żebym zacytował stare przysłowie:

Nosił wilk razy kilka,

Ponieśli i wilka,

czy użył rodzinnego przekleństwa: „Do stu tysięcy furii i padalców”, a wnet rozlegał się wokoło śmiech, jakbym popełnił jakiś najbardziej idiotyczny błąd językowy lub ułożył najdowcipniejszy pod słońcem epigram.

W pierwszym roku swojej sądowej praktyki musiałem oczywiście popełniać setki śmiesznych pomyłek. Doprowadzałem jednak sprawy do końca i niekiedy byłem sam zaskoczony własną pomysłowością. Raz, pamiętam, pewna kobieta, świadek obrony, wypierała się wszelkiego pokrewieństwa z oskarżonym, który, zdaniem prokuratora, miał być jej synem. Oświadczyłem, że jestem skłonny uwierzyć zeznającej, postanowiłem jednak jako najwyższy kapłan dać jej niezwłocznie ślub z oskarżonym. Kobieta przerażona, że mogę ją w ten sposób zmusić do popełnienia kazirodztwa, przyznała się do krzywoprzysięstwa. Zataiła pokrewieństwo, chcąc uchodzić za bezstronnego świadka. Wypadek ten podniósł niezmiernie mój prestiż sędziowski. Utraciłem go jednak od razu w innej sprawie, rzekomo o zdradę, w istocie o fałszerstwo. Podsądny, wyzwoleniec jednego z wyzwoleńców Kaliguli, nie mógł się powołać na żadne okoliczności łagodzące. Sfałszował testament swego pana tuż przed jego śmiercią - czy był również winien jego śmierci, przewód nie wykazał - a panią swoją wraz z dziećmi zostawił zupełnie bez środków do życia. W miarę jak poznawałem szczegóły tej historii, rosło we mnie oburzenie na nikczemnika i postanowiłem wymierzyć mu najwyższą karę. Obrona była bardzo słaba - żadnego zaprzeczenia, tylko potok Telegoniuszowych bredni. Siedziałem już sześć bitych godzin i pora obiadowa dawno minęła. W nozdrza łechtał mnie rozkoszny zapach potraw dolatujący z pobliskiej jadalni kapłanów Marsa. Kuchnia ich jest smaczniejsza niż jakiegokolwiek innego kolegium kapłańskiego; Marsowi nigdy nie brak ofiarnych zwierząt. Mdło mi się robiło z głodu. Zwróciłem się do najstarszego z towarzyszących mi urzędników:

- Bądź łaskaw zastąpić mnie w tej sprawie - poprosiłem - i orzeknij najwyższy wymiar kary. Chyba że obrona dostarczy silniejszych argumentów niż dotychczas.

- Czy rzeczywiście masz na myśli najwyższy wymiar kary, Cezarze?

- Tak, oczywiście... Najwyższy wskazany ustawą. Ten człowiek nie zasługuje na litość.

- Rozkaz twój będzie spełniony - brzmiała odpowiedź.

Przyniesiono mi lektykę i wkrótce zasiadłem do stołu z kapłanami Marsa. Kiedy wróciłem po południu, stwierdziłem, że winowajcy obcięto ręce i zawiązano mu je na szyi. Była to kara ustanowiona przez Kaligulę za fałszerstwo i dotychczas nie usunięto jej z kodeksu. Każdy uważał, że postąpiłem nader okrutnie; sędzia bowiem oświadczył, że wyrok pochodzi ode mnie, nie od niego. Myślę, że nie była to wyłącznie moja wina.

Za zgodą senatu przywołałem z wygnania wszystkich przestępców skazanych za obrazę cesarza. Wśród powracających znajdowały się dwie moje bratanice, Agryppinilla i Lesbia, zesłane na wyspę leżącą niedaleko wybrzeży afrykańskich. Gdyby chodziło tylko o mnie, nie zostawiłbym ich w dotychczasowym miejscu pobytu, niewątpliwie jednak nie zapraszałbym z powrotem do Rzymu. Obydwie traktowały mnie zawsze z niezwykłą arogancją i obydwie popełniły kazirodztwo z Kaligulą - czy dobrowolnie, czy nie, tego nie wiem - a ich inne cudzołożne stosunki były przedmiotem ogólnego zgorszenia. Messalina jednak wstawiła się za nimi. Dzisiaj rozumiem, że uczyniła to dla rozkoszowania się własną mocą. Agryppinilla i Lesbia traktowały ją zawsze z góry; teraz, kiedy się dowiedzą, że powrót do Rzymu zawdzięczają jej szlachetności, będą się musiały ukorzyć. Wówczas jednak myślałem, że tylko dobroć serca każe jej się wstawić za moimi bratanicami. Tak więc obydwie powróciły i mogłem stwierdzić, że wygnanie nie złamało ich dawnej pychy, choć afrykańskie słońce spaliło na brąz delikatną skórę. Na rozkaz Kaliguli bowiem, żeby zarabiać na życie, musiały trudnić się poławianiem gąbek. O tym okresie swego życia niechętnie wspominały i tylko raz Agryppinilla zrobiła doń aluzję, twierdząc, że nie marnowała czasu na wygnaniu.

- Jestem pływaczką pierwszej klasy - oświadczyła. - Jeżeli ktoś zamierza mnie zabić, niech lepiej wybierze inny rodzaj śmierci niż przez utopienie.

Zamiast wstydzić się szpetnie opalonych, niby u wiejskich dziewczuch, twarzy, karków i ramion, wprowadziły w kole swoich arystokratycznych

przyjaciółek modę na opaleniznę. Woda orzechowa stała się ulubionym środkiem kosmetycznym. Tylko przyjaciółki Messaliny pozostały wierne naturalnej, białoróżowej karnacji ciała i opalone towarzystwo zwały pogardliwie „poławiaczkami gąbek”. Lesbia podziękowała Messalinie jakby od niechcenia, a mnie zaledwie bąknęła parę słów. Zachowywała się bardzo niesympatycznie.

- Kazaleś nam czekać dziesięć dni dłużej, niż było potrzeba - rzekła tonem pretensji - a na okręcie, który po nas wysłałeś, roiło się od szczurów.

Agryppinilla okazała więcej rozsądku; w pięknie dobranych słowach wyraziła nam obojgu swą wdzięczność.

Heroda zatwierdziłem na stanowisku króla Basanu, Galilei i Gilead, a ponadto dałem mu królestwo Judei, Samarii i Edomy, toteż panował teraz nad nie mniejszym obszarem ziemi niż jego dziadek. Od północy zaokrągliłem jego posiadłości po Abilene, stanowiącą część Syrii. Obydwaj zaprzysięgliśmy sobie przymierze. Uroczystość ta, przy której sposobności wskrzesiłem starożytny ceremoniał ofiary z prosiaka, odbyła się na Rynku w obecności niezliczonego tłumu. Obdarzyłem też swego sprzymierzeńca godnością honorowego konsula rzymskiego. Podobny zaszczyt nie spotkał dotychczas nigdy człowieka jego rasy. Odznaczenie to miało przypominać, że w czasie niedawnego przesilenia senat, nie znajdując rodowitego Rzymianina, który by zdobył się na jasny i bezstronny sąd, prosił o radę obcego króla. Na prośbę Heroda małe królestwo Chalcydy, położone na wschód od Orastenu, niedaleko Antiochii, oddałem jego młodszemu bratu, Herodowi Pollionowi. Nie prosił o nic dla Arystobula, więc Arystobul nic nie dostał. Chętnie uwolniłem też Aleksandra Alabarcha i brata jego Filona, pozostających dotąd w więzieniu. Chcę tu też jeszcze nadmienić, że kiedy umarł syn Alabarcha, za którego Herod wydał swoją córkę Berenikę, Berenika wyszła za mąż za swego stryja Heroda Polliona. Zatwierdziłem Petroniusza na stanowisku namiestnika Syrii i napisałem do niego własnoręcznie list winszując mu rozsądnego postępowania w sprawie posągu.

Marmurowe płyty przeznaczone do wyłożenia wnętrza świątyni Kaliguli

zużytkowałem zgodnie z radą Heroda. Doskonale wyglądały naokoło areny. Musiałem też rozstrzygnąć, co począć z samą świątynią, która nawet odarta z cennych ozdób przedstawiała się wcale pięknie. Przyszło mi do głowy, że proste poczucie sprawiedliwości nakazuje oddać ją bliźniaczym bogom, Kastorowi i Polluksowi. Będzie to godne wynagrodzenie krzywdy wyrządzonej im przez Kaligulę, który świątynię Bliźniaków zamienił na przedsionek swojej własnej. Kazał bowiem z tyłu za posągami bogów wybić ścianę, otwierając wejście do swojej świątyni, a Kastor i Polluks wyglądali teraz niby dwaj odźwierni stojący na straży. Sprofanowany w ten sposób przybytek bóstw trzeba było obecnie przede wszystkim z powrotem poświęcić. Wybrałem na uroczystość pomyślny dzień, a wróżby zapewniły mnie o zgodzie bogów. Muszę w tym miejscu zaznaczyć, że poświęcenia nie można dokonać samowolnie. Wprawdzie zależne jest od ludzkiej woli, lecz wprzód trzeba zapytać bóstwo, czy życzy sobie, aby mu dany przedmiot poświęcono. Uroczystość miała się odbyć piętnastego lipca. W dzień ten co roku rycerze rzymscy urządzają wspaniałą pokaz na cześć Bliźniaków. Uwieńczeni gałązkami oliwnymi wyruszają do świątyni Marsa, przejeżdżają przez mniejsze ulice i okrężną drogą docierają do świątyni Bliźniaków, gdzie składają ofiarę. Uroczystość tę ustanowiono na pamiątkę zwycięstwa nad Jeziorem Regilskim, odniesionego tegoż dnia przed trzystu laty z górą. Kastor i Polluks we własnych osobach przyjechali wtedy na pomoc armii rzymskiej, która na brzegu jeziora stawiała rozpaczliwy opór przeważającym siłom Latynów. Od tego czasu Bliźniacy uchodzą za szczególnych patronów stanu rycerskiego.

Auspicje odbyłem w przewidzianej do tego celu małej świątyni na szczycie Kapitolu. Wezwałem bogów i oznaczyłem część nieba, w której należało oczekiwać wróżb. Wybrałem mianowicie tę stronę, gdzie leży konstelacja Bliźniąt. Zaledwie to uczyniłem, gdy doleciał mnie z góry niewyraźny skrzek i oczekiwany znak się pojawił. Była to para łabędzi nadlatujących z oznaczonego przeze mnie kierunku; łopot ich skrzydeł stawał

się coraz wyraźniejszy. Byłem pewny, że to Kastor i Polluks nadlatują w ptasim przebraniu. Wiedziałem, że obaj wraz z siostrą Heleną wykluli się z łabędziego jajka o trzech żółtkach. Jajko to złożyła Leda, którą uwiódł Jowisz pod postacią łabędzia. Ptaki przeleciały prosto nad świątynią i zginęły w oddali.

Wyprzedzając trochę bieg wypadków, opiszę samą uroczystość. Zaczęła się od ofiary oczyszczalnej. W asyście kapłanów i ich pomocników okrążyłem w uroczystej procesji świątynię, którą skropiliśmy Woda święconą. Za kropidła służyły nam wawrzynowe gałęzie. Po Wodę, nie żałując trudu, posłałem aż do Jeziora Regilskiego, gdzie również znajduje się świątynia Kastora i Polluksa. O pochodzeniu Wody wspomniałem w inwokacji. Aby powstrzymać złe duchy, spaliliśmy siarkę i aromatyczne zioła, a muzyka fletów zagłuszała złowróżbne słowa, jakie komuś mogły się przypadkiem wymknąć. Po ukończeniu tej ceremonii wszystko wewnątrz okrążonego przez nas miejsca, a więc pierwotna świątynia i nowy, przyległy do niej gmach, stawało się świętym. Następnie замуrowaliśmy wyłom w ścianie - własnoręcznie położyłem pierwszy kamień - i złożyliśmy ofiarę. Wybrałem kombinację zwierząt, o której wiedziałem, że spodoba się bogom. Każdy z nich otrzymał po wole, owcy i świni - wszystko bliźniacze pary, bez najmniejszej skazy. Kastor i Polluks nie należą do bóstw najwyższych; są półbogami i ze względu na mieszanych rodziców spędzają na przemian dzień w niebie i dzień w podziemiach. Otóż składając ofiarę duchom herosów, schyla się głowę zwierzęcia ofiarnego w dół, natomiast przy ofiarach składanych bogom, podnosi się ją do góry. W tym wypadku poszedłem za dawnym, od szeregu lat zaniechanym już zwyczajem: kazałem na przemian u jednego z bydła podnosić głowę, a u drugiego schylać. Nigdy nie widziałem tak dobrze wróżących trzewi.

Na tę uroczystość senat uchwalił dla mnie prawo przywdziania stroju triumfalnego. Powodu dostarczyła niewielka wojna, dzięki której wrócił spokój w Maroku, gdzie po zamordowaniu na rozkaz Kaliguli mego kuzyna, króla Ptolemeusza, wybuchły zamieszki. W wojnie tej nie odegrałem żadnej roli i

gdyby nie specjalne okoliczności, nie byłbym przyjął ofiarowanego mi zaszczytu. Wprawdzie weszło już w zwyczaj, że po zakończeniu kampanii senat uchwalał dla naczelnego wodza, chociażby ten nawet w ogóle nie opuścił stolicy, strój triumfalny, zasadniczo jednak byłem przeciwny temu zwyczajowi. Ustąpiłem tylko ze względu na to, że mogłoby się wydawać dziwnym, gdyby naczelną wodzą poświęcając świątynię jedyną z greckich półbogów, którzy walczyli za Rzym, zjawił się w szacie świadczącej, że w istocie nigdy nie dowodził żadną armią. Wieniec i togę triumfatora przywdziałem jednak tylko na czas samej uroczystości; przez resztę pięciodniowych świąt występowałem w zwykłej tozde senatorskiej obramowanej purpurą.

Pierwsze trzy dni świąt zajęły głównie przedstawienia teatralne w Teatrze Pompejusza, który ponownie poświęciłem. Scena i część widowni spłonęły za czasów Tyberiusza, który gmach odbudował i znowu poświęcił Pompejuszowi. Kaliguli jednak nie podobał się tytuł Pompejusza: „Wielki”, widniejący na napisie, nadał tedy teatrowi własne imię. Obecnie przywróciłem mu miano Pompejuszowego, umieściłem jednak nad sceną napis czczący zasługę Tyberiusza, który odbudował teatr po pożarze, i moją jako tego, kto go poświęcił ponownie Pompejuszowi. Jest to jedyny publiczny budynek, na którym zgodziłem się umieścić swoje imię.

Drażnił mnie zawsze zgoła nierzymski zwyczaj z ostatnich lat panowania Augusta, pozwalający mężczyznom i kobietom z wyższych sfer występować na scenie i popisować się błazeńskimi i tanecznymi talentami. Nie rozumiem, dlaczego August nie wystąpił surowiej przeciwko tym gorszycielom. Jedyne wytłumaczenie jego pobłażliwości widzę w braku prawa, które by zabraniało tego zwyczaju, i tolerancji, z jaką traktował wszelkie greckie nowinki. Jego następca Tyberiusz nie cierpiał teatru. Bez względu na to, kim byli występujący aktorzy, nazywał przedstawienia marnowaniem czasu i uważał, że sztuki teatralne zachęcają do występku i szaleństw. Kaligula jednak nie tylko ściągnął do stolicy wszystkich wygnanych przez Tyberiusza aktorów, ale usilnie zachęcał

do występowania amatorów i sam się często pojawiał na scenie. Zwyczaj amatorskich przedstawień uważam za niewłaściwy głównie z tego względu, że możnowładztwo nasze grzeszy zupełnym brakiem aktorskich zdolności. Rzymianie nie są, jak Grecy, aktorami z urodzenia. W Grecji jest rzeczą zupełnie naturalną, że mężczyźni i kobiety z wyższych sfer biorą udział w przedstawieniach i wywiązują się doskonale ze swego zadania. Nie widziałem jednak nigdy Rzymianina, który by jako amator potrafił znośnie zagrać. Rzym wydał tylko jednego wielkiego aktora, Roscjusza, ale i ten wysoką klasę swej gry zawdzięcza jedynie niezwykle usilnej pracy. Najmniejszy gest, najmniejszy ruch, który miał wykonać na scenie, ćwiczył w domu tak długo, powtarzał po tyle razy, aż wreszcie nadawał mu pozór zupełnej naturalności. Oprócz niego żaden Rzymianin nie miał dość cierpliwości, żeby przekształcić siebie w Greka. Kiedy więc zbliżała się owa uroczystość, rozesłałem do wszystkich nobilów i ich niewiast, występujących na scenie za czasów Kaliguli, list, w którym pod groźbą mej niełaski nakazywałem im zagrać w dwóch sztukach i jednym interludium, specjalnie przeze mnie w tym celu wybranych. Zabroniłem im jednak korzystać z pomocy aktorów. Równocześnie Harpokrasowi, memu ministrowi igrzysk, poleciłem, aby zebrał najlepszych aktorów, jakich będzie mógł znaleźć w Rzymie, i spróbował w drugim dniu świąt pokazać, jak powinna wyglądać prawdziwa gra. Pozostało tajemnicą, że obydwie zespoły miały wystąpić w tych samych sztukach. Ta mała lekcja poglądowa odniosła doskonały skutek. Przedstawienie pierwszego dnia sprawiło bardzo żałosne wrażenie. Gestykulowano sztywno, wchodzono i wychodzono niezgrabnie, kwestie mrużano pod nosem, słów nie dopowiadano. Momenty tragiczne nie miały wzniosłości, komiczne humoru. Na widowni wkrótce zapanowała nuda; ludzie kasłali, wychodzili, rozmawiali. Następnego dnia zawodowy zespół zagrał tak świetnie, że od tej pory żaden mężczyzna ani żadna kobieta z towarzystwa nie miała odwagi pokazać się publicznie na scenie.

Punktem kulminacyjnym trzeciego dnia był pirryjski taniec z mieczami,

narodowy taniec Greków małoazjatyckich. Wykonali go synowie znakomitych obywateli miast greckich w Azji Mniejszej. Kaligula kazał sobie przysłać tych chłopców pod pozorem, że chce zobaczyć ich przedstawienie, w rzeczywistości chciał ich zatrzymać jako zakładników, jako rękojmię lojalnego zachowania się ich ojców. Wybierał się bowiem do Azji, gdzie zamierzał zwykłymi sobie metodami zdobyć pieniądze. Kiedy otrzymał wiadomość o przybyciu chłopców, pośpieszył do pałacu na próbę hymnu, który mieli śpiewać na jego cześć. Wtedy właśnie podszedł Kasjusz Cherea i zapytał o hasło; to było sygnałem dla spiskowców. Chłopcy wiedząc, jakiego losu uniknęli, z tym większą werwą i radością wykonali swój taniec, a następnie z uczuciem prawdziwej wdzięczności odśpiewali mi swój hymn. W nagrodę nadałem wszystkim obywatelstwo rzymskie i hojnie obdarzywszy odesłałem do domu.

Czwartego i piątego dnia odbyły się widowiska w amfiteatrach i w cyrku, któremu pozłocona meta i balustrada nadawały bardzo wytworny wygląd. Mieliśmy dwanaście wyścigów rydwanów i gonitwy wielbłądów. Ta ostatnia nowość wzbudziła dużo wesołości. W amfiteatrach zabito trzysta niedźwiedzi, tyleż lwów i rozegrano wielki turniej szermierczy. Niedźwiedzie i lwy kazał Kaligula jeszcze przed swoją śmiercią sprowadzić z Afryki i dopiero co przybyły. Przy tej sposobności oświadczyłem ludziom otwarcie:

- To są na dłuższy czas ostatnie wielkie igrzyska z dzikimi zwierzętami, jakie oglądacie. Z urządzeniem następnych zaczekam, aż ceny spadną. Handlarze afrykańscy wyśrubowali je do absurdalnej wysokości. Jeżeli nie mogą ich obniżyć, niech sobie poszukają innego rynku zbytu, ale mam wrażenie, że nałamią sobie dobrze głowy, zanim go znajdą.

Te słowa przemówiły do handlowego zmysłu widzów i wystąpienie przyjęto oklaskami. Tak zakończyły się święta. Nazajutrz wydałem jeszcze wielką ucztę w pałacu dla możnych, ich żon i zaproszonych przedstawicieli ludu. Razem wzięło w niej udział z górą dwa tysiące osób. Nie podano wprawdzie wyszukanych smakołyków, lecz dobór potraw był starannie

obmyślony, wino porządne, a pieczone doskonałe. Nie słyszałem też, żeby się skarżono na brak pasztetów ze słowiczych języków, antylopińskich nóżek w galarecie lub omletów ze strusich jaj.

Rozdział VIII

Problem walk gladiatorских i igrzysk z dzikimi zwierzętami rozstrzygnąłem w krótkim czasie. Opowiem najpierw o igrzyskach. Dowiedziałem się przypadkiem, że w Tesalii kwitnie sport, który ma dwie zalety: dostarcza widzom emocji, a nie wymaga wielkich kosztów. Wprowadziłem go więc do Rzymu równorzędnie z przyjętymi już igrzyskami, z udziałem panter i lwów. Zamiast nich występowały młode, dzikie byczki. Takiego byka, zamkniętego w zagrodzie, Tesalczycy wypuszczali na arenę i rozdrażniali wbijając mu w skórę małe groty, co rozjuszało zwierzę, a nie mogło wyrzucić mu większej krzywdy. Byk, rozdrażniony, zaczynał atakować napastników, zręcznie uskakujących na bok. Napastnicy nie posiadali żadnej broni. Niekiedy zwodzili zwierzę, trzymając przed sobą kolorową chustę. Potrafili w ostatnim momencie, kiedy byk atakował, nie ruszając się z miejsca przesunąć chustę, a zwierzę zawsze szło za tym ruchem. Innym znów razem na natarcie odpowiadali skokiem w przód i albo przesadzali zwierzę jednym susem, albo wskakiwali mu na grzbiet i następnie zsuwali się na ziemię. W miarę jak zwierzę traciło siły, pozwalali sobie na coraz śmielsze sztuczki. W trupie Tesalczyków znajdował się człowiek, który szeroko rozkraczywszy nogi stawał pochylony tyłem do byka, a kiedy zwierzę miało już, już nań uderzyć, wywijał w powietrzu koziołka i opadał obiema nogami prosto na grzbiet byka. Do całkiem zwykłych sztuczek należała jazda w postawie stojącej na grzbiecie zwierzęcia biegnącego dookoła areny. Jeżeli byk nieprędko się nużył, galopowano na nim jak na koniu, trzymając się lewą ręką za róg, a prawą ciągnąc za ogon. Kiedy zwierzę było dostatecznie zziębnięte, występował główny zapaśnik. Trzymając byka za rogi zmuszał go powoli do położenia się na ziemi. Czasami, żeby sobie ułatwić zadanie, chwycił go jeszcze zębami za ucho. Ten rodzaj sportu był niezmiernie interesujący, a zdarzało się niekiedy, że byk

chwycił na rogi i uśmiercił napastnika, który sobie z nim zanadto poufale poczynał. Widowisko takie nie kosztowało wiele, gdyż Tesalczycy, prości wieśniacy, mieli bardzo umiarkowane wymagania, a byk nie tracąc życia mógł służyć do następnych przedstawień. Sprytne byki, które dzięki doświadczeniu potrafiły unikać podstępów przeciwnika i nie dawały się pokonać, stały się wkrótce ulubieńcami publiczności. Taki na przykład Rudy był na swój sposób równie sławny jak koń Incitatus. W okresie różnych świąt zabił dziesięciu swoich prześladowców. Doszło do tego, że lud zaczął przekładać walki byków nad wszystkie inne widowiska, z wyjątkiem turniejów szermierczych.

Przejdźmy teraz do tych ostatnich. Szeregi gladiatorów postanowiłem zapełniać przede wszystkim niewolnikami, którzy w procesach o zdradę za czasów Kaliguli i Tyberiusza świadczyli przeciwko swym panom i w ten sposób stawali się przyczyną ich śmierci. Ze wszystkich zbrodni najohydniejsze są dla mnie ojcobójstwo i zdrada. Przywróciłem też dawne prawo o ojcobójcach, kładące winnych chłostać do krwi, a następnie zaszytych w worek razem z kogutem, psem i żmiją, symbolizującymi lubieżność, bezwstyd i niewdzięczność, wrzucać do głębokiej wody. Zdradę niewolników w stosunku do panów uważam też za rodzaj ojcobójstwa, dlatego winnym kazałem walczyć, dopóki jeden z przeciwników nie padł lub nie został ciężko ranny. Żadnego nie ułaskawiałem. Jeśli wyszedł z walki cało, musiał występować w czasie najbliższych igrzysk, póki nie zginął lub zupełnie go nie okaleczono. Parę razy zdarzyło się, że któryś z nich, choć ledwie draśnięty, udawał śmiertelnie rannego i wił się na piasku, symulując niezdolność do dalszej walki. W takich wypadkach kazałem symulantów dobijać.

Przypuszczam, że pospólstwo o wiele lepiej bawiło się na igrzyskach urządzanych przeze mnie niż przez Kaligulę. Choćby dlatego, że były teraz znacznie rzadsze. Kaligula tak namiętnie lubił wyścigi i igrzyska, że zawsze znalazł pretekst, aby omal co drugi dzień zrobić świętem. Sto pięćdziesiąt nowych świąt ustanowionych przez Kaligulę skreśliłem z kalendarza.

Uregulowałem też sprawę powtarzania święta. Był zwyczaj, że jeśli w ceremoniale świątecznym popełniono choćby najmniejszą omyłkę i choćby zdarzyło się to ostatniego dnia, trzeba było wszystko zaczynać od początku. Za rządów Kaliguli te powtórzenia stały się zupełną farsą. Moźni, których zmuszał do urządzania igrzysk na swoją cześć, a na ich koszt, wiedzieli, że nigdy nie uda się im wyjść cało za pierwszym razem. Kiedy już było po wszystkim, Kaligula niechybnie znajdował jakąś niedokładność w ceremoniale i kazał powtarzać igrzyska po raz drugi, trzeci, czwarty, piąty, a nawet dziesiąty. Chcąc udobruchać cesarza, umyślnie popełniali jakąś omyłkę ostatniego dnia; zyskiwali w ten sposób względy Kaliguli i kończyło się na jednym powtórzeniu. Wydałem edykt, mocą którego, w razie konieczności powtórzenia ceremoniału, uroczystość można było przedłużyć tylko o jeden dzień, a jeśli wtedy znów zaszła jakaś omyłka, nie pociągała już za sobą żadnych konsekwencji. W rezultacie, widząc, że nie zachęcam do omyłek, przestano je zupełnie popełniać. Zakazałem też oficjalnego obchodzenia moich urodzin i urządzania walk gladiatorów za moją pomyślność. Nie godzi się, oświadczyłem, poświęcać życia ludzkiego, chociażby gladiatorów, w celu zjednania łaski podziemnych bogów dla żywego człowieka.

Nie chciałem jednak narazić się na zarzut pozbawiania mieszkańców stolicy rozrywek, od czasu do czasu więc oświadczałem niespodzianie, że po południu w szrankach na Polu Marsowym odbędą się igrzyska. Ponieważ zaś - dodawałem - nie ma specjalnej przyczyny urządzania igrzysk, pomijając okoliczność, że dzień się do takiej imprezy nadaje, nie poczyniłem żadnych przygotowań: będzie to zatem coś w rodzaju „kosza szczęścia”. Nazwałem je Sportula albo „igrzyska na chybił trafił”. Trwały tylko przez jedno popołudnie.

Wspomniałem już, że nie cierpię niewolników zdradzających swych panów. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że trudno wymagać od niewolnika synowskich uczuć względem pana, jeżeli ten ostatni nie postępuje po ojcowsku. Ostatecznie, niewolnicy też są ludźmi. Toteż zapewniłem im ochronę prawną

przez specjalne ustawy, których dam tu przykład. Pewien bogaty wyzwolenc, od którego Herod pożyczył pieniądze, aby spłacić moją matkę i mnie, posiadał na wyspie Eskulapa na Tybrze wielki szpital dla chorych niewolników. Ogłaszał, że skupuje niewolników bez względu na stan zdrowia, o ile tylko istnieją widoki wyleczenia, z tym, że właściciel ma prawo odkupu za cenę nie wyższą niż potrójna suma, którą otrzymał. Metody lekarskie na wyspie Eskulapa były bardzo rygorystyczne, żeby nie powiedzieć nieludzkie. Chorych niewolników traktowano jak szczenięta. Interes szedł doskonale. Większość panów nie chciała kłopotać się o chorego niewolnika, który zajmował czas innym, a jeśli dostał w nocy boleści, budził swymi jękami cały dom. Lepiej było go sprzedać jak najprędzej, gdy tylko stawało się pewnym, że choroba będzie przewlekła albo przykra dla otoczenia. Panowie, postępując w ten sposób, szli za ekonomicznymi wskazówkami Katona Cenzora. Położyłem kres tym praktykom. Wydałem edykt, mocą którego niewolnik sprzedany do szpitala miał po wyzdrowieniu otrzymać wolność i nie wracał już do swego pana, który był obowiązany zwrócić otrzymane pieniądze właścicielowi szpitala. Jeżeli niewolnik zachorował, pan musiał go albo leczyć w domu, albo płacić za jego kurację w szpitalu. W ostatnim wypadku pacjent po wyzdrowieniu stawał się wolnym podobnie jak niewolnik sprzedany i również miał obowiązek zapłacić na rzecz szpitala sumę równą połowie swych zarobków w ciągu trzech najbliższych lat. Pana, który by zabił niewolnika zamiast leczyć go w domu lub odesłać do szpitala, sąd winien był uznać za winnego morderstwa. Szpital na wyspie zwiedziłem osobiście i dałem kierownikowi wskazówki dotyczące koniecznych wygód, diety i higieny.

Chociaż, jak wspomniałem, skreśliłem z kalendarza sto pięćdziesiąt świąt ustanowionych przez Kaligulę, wprowadziłem jednak sam trzy nowe, każde po trzy dni. Dwa ustanowiłem ku czci swoich rodziców. Miały być obchodzone w dni ich urodzin i z tego powodu musiałem przełożyć daty dwóch innych, mniejszych świąt wypadających w tym samym terminie. Podczas tych nowych

świąt poleciłem śpiewać pieśni sławiące pamięć moich rodziców i urządziłem na własny koszt stypę. Wprawdzie zwycięstwom ojca w Niemczech oddano już należny hołd przez wybudowanie łuku triumfalnego na Drodze Appijskiej i nadanie dziedzicznego przydomka Germanika, który stanowi moją największą dumę, uważałem jednak, że raz na rok należy przypomnieć ojcowskie zasługi. Matkę moją obdarzył Kaligula wielkimi zaszczytami, między innymi tytułem Augusty. Później jednak, kiedy poróżniła się z nim i wskutek tego zmuszona była popełnić samobójstwo, Kaligula w niegodny sposób pozbawił ją po śmierci wszystkich zaszczytów, a dla wytłumaczenia tego czynu napisał do senatu list oskarżający Antonię o dopuszczenie się zdrady przeciwko niemu, o bezbożność w stosunku do innych bogów i nieposłuszeństwo wobec prawa; zarzucił jej mianowicie, że miała utrzymywać w swym domu wróżbitów i astrologów. Tak więc przed przywróceniem matce tytułu Augusty musiałem udowodnić przed senatem, że zarzuty Kaliguli nie miały podstaw; że matka, choć rzeczowa, była bardzo pobożna; że żyła wprawdzie bardzo oszczędnie, odznaczała się jednak przy tym niezwykłą wspaniałomyślnością; do nikogo nie żywiła nienawiści i przez całe swoje życie nie zasięgała rad u wróżbitów ani astrologów. Przedstawiłem na to wszystko potrzebnych świadków. Wśród nich znajdowała się i Bryzeida, garderobiana matki, później moja niewolnica, którą na starość obdarzyłem wolnością. Dotrzymując danej jej przed kilku laty obietnicy przedstawiłem Bryzeidę senatowi w następujący sposób.

- Ta stara kobieta, senatorzy - rzekłem - była moją wierną niewolnicą. Służyła najpierw jako pokojówka u mojej babki Liwii, a następnie u mojej matki Antonii, i do obowiązków jej należało trefienie włosów swej pani. Wynagradzając tyloletnią służbę i przywiązanie do naszej rodziny, obdarzyłem niedawno Bryzeidę wolnością. Pewne osoby, nawet spomiędzy moich domowników, dają wyraz przypuszczeniom, jakoby Bryzeida była właściwie niewolnicą mojej matki. Korzystam ze sposobności, aby przypuszczenia takie napiętnować mianem wierutnego kłamstwa. Bryzeida urodziła się jako

niewolnica mojego ojca, kiedy był jeszcze dzieckiem; po jego śmierci odziedziczył ją mój brat, a następnie stała się moją własnością. Nigdy nie miała innych panów ani pań. Świadectwu temu możecie w zupełności zaufać. - Wzruszenie, z jakim mówiłem te słowa, zaskoczyło senatorów, bili jednak brawo chcąc mi zrobić przyjemność, i rzeczywiście mi ją zrobili. Cieszyłem się jednak przede wszystkim ze względu na starą Bryzeidę, dla której chwila ta była najwznioślejszym momentem całego życia, zwłaszcza że oklaski mogły odnosić się w równej mierze do mnie, jak do niej. Starowinka rozplakała się i ledwie ją było słyhać, kiedy bełkocąc ze wzruszenia mówiła z najwyższym uznaniem o charakterze mojej matki. W kilka dni później umarła w pałacu, gdzie zajmowała piękny pokój. Sprawilem jej okazały pogrzeb.

Senat przywrócił matce nieprawnie odebrane tytuły, a podczas wielkich igrzysk cyrkowych wóz jej, podobnie jak wóz mojej biednej bratowej Agryppiny, brał udział w procesji. Trzecie święto ustanowiłem na cześć mego dziadka Marka Antoniusza. Był to jeden z najświetniejszych wodzów rzymskich i odniósł na Wschodzie niejedno znaczne zwycięstwo. Popęłił jedyny tylko błąd: poróżnił się ze swym długoletnim sprzymierzeńcem Augustem i przegrał bitwę pod Akcjum. Nie widziałem powodu, dla którego by zwycięstwo mego ciotecznego dziadka miało być ciągle obchodzone kosztem rodzzonego dziadka. Nie posunąłem się wprawdzie do deifikacji Antoniusza, gdyż wiele słabostek dyskwalifikowało jego olimpijską kandydaturę, ale ustanowienie święta było tylko słusznym hołdem złożonym żołnierskim zaletom i wywołało zadowolenie u potomków tych żołnierzy rzymskich, którzy mieli nieszczęście wybrać stronę przegrywającą.

Nie zapomniałem też o moim bracie Germaniku. Nie ustanowiłem jednak święta na jego cześć, gdyż czułem, że nie byłby z tego zadowolony. Na swoim stanowisku i przy swoich zdolnościach Germanik był najskromniejszym i najbardziej usuwającym się w cień człowiekiem, jakiego znałem. Dlatego też postanowiłem uczcić jego pamięć w inny sposób, który, jestem pewien, sprawił

mu prawdziwą przyjemność. W Neapolu, mieście założonym przez Greków, odbywa się co pięć lat uroczystość połączona z konkursem na najlepszą grecką komedię. Otóż postanowiłem wystawić w czasie tego święta komedię napisaną przez Germanika, a znalezioną przeze mnie po śmierci brata w jego papierach. Nosiła tytuł *Ambasadorzy*. Posiadała dużo wdzięku i dowcipu w stylu Arystofanesa. Oto jej treść: Dwaj bracia, Grecy, z których jeden jest dowódcą armii państwa walczącego z Persją, a drugi oficerem na żołdzie perskim, przybywają równocześnie w charakterze ambasadorów na dwór neutralnego królestwa; każdy stara się uzyskać militarną pomoc króla. Dopatrzyłem się w tym komicznych podobieństw do tego, jak dwaj wodzowie Cherusków, Flawiusz i Herman, obwiniali się niegdyś nawzajem. Byli oni braćmi i walczyli w przeciwnych obozach w czasie wojny niemieckiej, która wybuchła po śmierci Augusta. W pełnym humoru zakończeniu król, skończony bałwan, daje się przekonać obu braciom: Persom wysyła na pomoc piechotę, Grekom jazdę. Sędziowie jednogłośnie przyznali komedii nagrodę. Można by podejrzewać, że na decyzję wpłynęły specjalne motywy i że sztuka ta była może faworyzowana. Pomijając olbrzymią popularność, jaką cieszył się Germanik za życia wśród wszystkich, którzy mieli z nim jakąkolwiek styczność, wiadomo było, że komedię wystawia sam cesarz. Podejrzenie takie byłoby niesłuszne. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że komedia mego brata stała o niebo wyżej od reszty nadesłanych sztuk; oklaskiwano ją też gorąco w czasie przedstawienia. Pamiętając, że Germanik w czasie swego pobytu w Atenach, Aleksandrii i innych sławnych miastach greckich nosił strój grecki, poszedłem tym razem za jego przykładem. Na produkcjach muzycznych i teatralnych zjawiałem się w himationie i wysokich butach; na zawodach atletycznych miałem purpurową chlamidę i złoty wieniec. Jako nagrodę Germanik otrzymał brązowy trójnóg. Sędziowie w dowód wyjątkowego uznania chcieli uchwalić mu złoty, zaprotestowałem jednak przeciwko takiej, jak powiedziałem, rozrzutności. Trójnogi ofiarowywane na nagrody były z reguły brązowe. Nagrodę Germanika,

trójnóg, złożyłem jako wotum w miejscowej świątyni Apolla.

Pozostawało teraz jeszcze dotrzymać obietnicy, którą dałem babce Liwii. Zobowiązałem się słowem honoru, że użyję wszystkich swych wpływów, aby uzyskać zgodę senatu na jej deifikację. Nie zmieniłem wprawdzie przekonania o bezwzględności metod i nieprzebieraniu w środkach, przy pomocy których zdobyła i przez sześćdziesiąt pięć lat utrzymała w swych rękach ster rządów cesarstwa, lecz, jak wspomniałem niedawno, mój podziw dla jej organizacyjnych zdolności wzrastał z każdym dniem. Wniosek o deifikację nie spotkał się w senacie ze sprzeciwem. Jeden tylko Winicjan, kuzyn Winicjusza, pokusił się przy tej sposobności o odegranie tej samej roli co Gallus przed dwudziestu siedmiu laty, kiedy Tyberiusz zaproponował deifikację Augusta. Winicjan wstał i poprosił o dokładne umotywowanie tego nie mającego precedensu wniosku. Jakież to, pytał, znaki niebieskie wskazują, że bogowie są skłonni powitać w Liwii Auguście swą stałą towarzyszkę? Odpowiedź miałem przygotowaną. Opowiedziałem, jak na krótko przed swoją śmiercią babka moja, niewątpliwie natchniona boskim duchem, przyzwała oddzielnie najpierw mojego bratanka Kaligulę, a następnie mnie, i każdemu z nas w tajemnicy zakomunikowała, że pewnego dnia zostanie cesarzem. W zamian za tę przepowiednię kazała nam przysiąc, że po objęciu władzy uczynimy wszystko, co w naszej mocy, aby ją deifikować. Podkreśliłem przy tym, że w wielkim dziele, które podjęła wraz z mężem, dziele odnowienia państwa po wojnach domowych, odegrała rolę nie mniej ważną niż August. niesprawiedliwością byłoby więc, gdyby tylko on miał się cieszyć wieczną szczęśliwością niebiańskiego żywota, a ona miała zstąpić do mrocznych podziemi piekieł, stawać przed sądem Eaka i zagubić się na wieki wśród niezliczonej czerni mizery, pozbawionych głosu cieni. Kaligula - mówiłem - kiedy składał babce to przyrzeczenie, był jeszcze nedorostkiem, mającym podówczas dwóch starszych braci. Czyż nie jest więc godnym uwagi, że Liwia już wtedy wiedziała, iż to nie oni, lecz on zostanie cesarzem? Od starszych bowiem braci

nie wymagała takiej obietnicy. Kaligula jako cesarz nie dotrzymał przyrzeczenia. Jeżeli Winicjan koniecznie chce wiedzieć, jak do sprawy deifikacji ustosunkowali się bogowie, znajdzie wymowną odpowiedź w krwawym końcu Kaliguli.

Zwracając się następnie do całego zgromadzenia prawilem dalej:

- Nie do mnie, czcigodni ojcowie, należy decydować, czy babka moja Liwia zasługuje na to, abyście uznali ją za narodowe bóstwo. Mogę tylko powtórzyć, że przysiągłem na własną głowę, iż jeśli zostanę cesarzem - który to fakt, aczkolwiek ówczasie nieprawdopodobny i absurdalny, uważała za pewny - dołożę wszelkich starań, aby nakłonić was do umieszczenia Liwii w niebie, gdzie by mogła stanąć znów u boku swego męża, obecnie po Jowiszu najbardziej czczony z naszych bogów. Jeżeli odmówicie mej dzisiejszej prośbie, będę ją powtarzał co roku o tej samej porze, dopóki nie zyskam waszej zgody; będę ją powtarzał, póki starczy życia, póki los pozwoli mi z tego zaszczytnego miejsca do was przemawiać.

Na tym miałem zakończyć przygotowane uprzednio przemówienie. Porwany jednak natchnieniem w dalszym ciągu już improwizowałem:

- Mam też, czcigodni ojcowie, głębokie przekonanie, że w sprawie tej należy wziąć pod uwagę uczucia Augusta. Przez pięćdziesiąt lat dzień w dzień pracował on ręką w rękę z Liwia. W nielicznych zaledwie wypadkach działał bez jej wiedzy i rady, a nie można powiedzieć, żeby kroki jego z własnej inicjatywy przedsięwzięte były zawsze mądre lub zawsze uwieńczone powodzeniem. Ilekroć napotykał problem wymagający szczególnej rozwagi, zawsze zwracał się o pomoc do Liwii. Nie chcę posunąć się tak daleko, by twierdzić, że babka moja obok wielkich zalet nie posiadała żadnych wad. Przeciwnie, zdaję sobie z tych ostatnich sprawę prawdopodobnie lepiej niż ktokolwiek inny. Nie miała ona przede wszystkim ani odrobiny serca. Brak serca u człowieka jest wielką i niewybaczalną wadą, jeśli towarzyszy mu rozrzutność, samolubstwo, lenistwo, niechlujstwo, nabiera jednak zupełnie

innego charakteru, jeśli występuje w parze z niezmożoną energią, umiłowaniem porządku i dobrych obyczajów. Wtedy staje się zaletą bogów. A niewielu z nich nawet posiada tę zaletę w tak wysokim stopniu jak moja babka. Odznaczała się ona też nieugiętą, iście olimpijską wolą. A jeśli nie okazała nigdy pobłażliwości żadnemu z członków własnej rodziny, który lekceważąc swe obowiązki zawiódł jej oczekiwania lub przez rozwiązłe życie spowodował publiczny skandal, to pamiętajmy, że nie była również pobłażliwą dla siebie samej. Przypomnijmy sobie, jak pracowała! Zajęta dniem i nocą, z sześćdziesięciu pięciu lat rządów uczyniła sto trzydzieści. W krótkim czasie potrafiła wolę swą zidentyfikować z wolą Rzymu i dlatego uważała za zdrajcę każdego, kto się jej przeciwstawił, choćby był nim sam August. A August, ulegający od czasu do czasu osobistym skłonnościom i kaprysom, rozumiał i oceniał słuszność tej identyfikacji. I chociaż Liwia oficjalnie była tylko nieoficjalnym doradcą cesarza, w prywatnych listach, które do niej pisywał, stwierdzał raz po raz, że postępowanie swe całkowicie uzależnia od jej boskiej mądrości. Tak, Winicjanie - boskiej. Tego słowa używał August. Uważam, że ta okoliczność powinna być decydująca. A ci z was, którzy pamięcią mogą sięgnąć w owe czasy, przypomną sobie pewnie, że August, ilekroć mu wypadło rozłączyć się na pewien czas z żoną, stawał się zupełnie innym człowiekiem. Można śmiało twierdzić, że dziś, kiedy mu z wyżyn niebieskich przyszło czuwać nad szczęściem narodu rzymskiego, dotkliwie w tym trudnym zadaniu odczuwa brak dawnej współpracownicy. Od śmierci Augusta Rzym już nigdy nie przeżywał tak szczęśliwych chwil jak pod jego rządami, wyjąwszy te lata, kiedy babka moja Liwia rządziła przy pomocy swego syna Tyberiusza. A czy przyszło wam na myśl, czcigodni ojcowie, że August jest w niebie jedynym bóstwem nie posiadającym małżonki? Kiedy Herkulesa wzięto do nieba, zaręczono go od razu z boginią Hebe.

- A jak z Apollem? - przerwał Winicjan. - Nie słyszałem nigdy, żeby był żonaty. Ostatni argument, moim zdaniem, mocno utyka.

Konsul przywołał Winicjana do porządku. Było jasnym, że słowo „utyka” zawiera w sobie złośliwą aluzję. Przyzwyczajony jednak do przytyków, odpowiedziałem spokojnie:

- Zawsze byłem zdania, że Apollo dlatego tylko pozostaje w bezzennym stanie, że albo nie potrafi się zdecydować, którą z dziewięciu muz wybrać, albo boi się, że wybierając jedną obrazi osiem pozostałych. Poza tym zarówno Apollo, jak i muzy cieszą się wieczną młodością, może więc bezpiecznie odkładać wybór w nieskończoność, zwłaszcza że wszystkie - jak mówi jakiś poeta - w nim się kochają. Możliwe jednak, że August skłoni go wreszcie do spełnienia obowiązku i Apollo zawarłszy z jedną z dziewięciu formalny ślub założy liczną rodzinę - „tak szybko jak gotuje się szparag”.

Ostatnie zdanie wywołało wybuch śmiechu, który nie pozwolił Winicjanowi dojść do słowa. „Szybko jak gotuje się szparag” - było ulubionym wyrażeniem Augusta. Miał takich kilka: „Łatwo jak psu kucać”, albo: „Kto chce psa uderzyć, kij znajdzie”; „Każdy sobie rzepeką skrobie”; „Postaram się, żeby było gotowe na greckie kalendy” (to znaczy - nigdy) lub „Bliższe kolano niż goleń” (czyli: własne sprawy przede wszystkim). Jeżeli ktoś usiłował spierać się z nim o jakąś kwestię literacką, zwykł mówić: „Rzodkiew nie umie po grecku, ale ja umiem.” Chcąc zachęcić kogoś do cierpliwego przetrwania przykrew sytuacji mawiał: „Spróbujmy być zadowoleni z tego Katona.” Z tego, co opowiedziałem o owym cnotliwym mężu, łatwo zrozumieć, co miał na myśli. Zauważyłem, że ostatnio sam często używam Augustowskich zwrotów. Wynika to, jak przypuszczam, stąd, że postanowiłem przyjąć jego imię i stanowisko. Najbardziej przydawało mi się powiedzenie, którego używał, kiedy wygłaszając mowę zaplątał się w jakimś zdaniu, co u mnie jest na porządku dziennym. Wygłaszając bez przygotowania przemówienie lub pisząc jakieś studium historyczne, o ile nie uważam bacznie, zaraz wikłam się w długie, na efekt obliczone zdania. I właśnie, jak widzicie, znów mi się to zdarzyło. Otóż August w podobnych wypadkach, niby drugi Aleksander, przecinał po prostu gordyjski

węzeł zdań oświadczając: „Brak mi w tym miejscu słów, czcigodni ojcowie. Wszystko, co mógłbym powiedzieć, nie jest w stanie odmalować głębi moich uczuć.” Nauczyłem się tego zdania na pamięć i używałem go stale jako deski ratunku. Podnoszę ręce, zamykam oczy i mówię: „Brak mi w tym miejscu słów, czcigodni ojcowie. Wszystko, co mógłbym powiedzieć, nie jest w stanie odmalować głębi moich uczuć.” Następnie czynię parosekundową pauzę i przez ten czas odnajduję przewodnią nić wywodów.

Bez dalszych przeszkód deifikowaliśmy Liwie i uchwaliliśmy ustawić jej posąg w świątyni Augusta, obok posągu cesarza. W czasie obrzędu deifikacyjnego młodzież z możliwych rodów urządziła turnieje zwane igrzyskami trojańskimi. Uchwaliliśmy też, że w procesji, od której rozpoczynały się igrzyska cyrkowe, będzie jechał rydwan Liwii, zaprzężony w słońce; zaszczyt ten dotychczas przyznano tylko Augustowi. Ponadto polecono westalkom, aby w swoim przybytku składały nowej bogini ofiary. A jak oficjalna rota przysięgi składanej przez Rzymian wymieniała imię Augusta, tak w formule obowiązującej kobiety wstawiono teraz imię Liwii. Dotrzymałem swojej obietnicy.

W Rzymie panował obecnie względny spokój. Pieniądze napływały obficie i mogłem znowu znieść pewne podatki. Moi sekretarze zawiadywali swoimi departamentami ku memu całkowitemu zadowoleniu. Messalina była zajęta sprawdzaniem list obywateli. Stwierdziła, że pewna liczba wyzwoleńców występowała w charakterze obywateli rzymskich i uzurpowała sobie przywileje, do których nie miała prawa. Postanowiliśmy ukarać takich uzurpatorów z całą surowością; majątki ich skonfiskowano, a im samym odebrano wolność i z powrotem musieli pracować jako zamiatacze ulic lub przy naprawie szos. Miałem tak pełne zaufanie do Messaliny, że we wszystkich sprawach, w których mi pomagała, pozwoliłem jej używać duplikatu mojej pieczęci. Ażeby zapewnić jeszcze większy spokój na ulicach Rzymu, rozwiązałem kluby. Stróże nocni nie mogli sobie dać rady z licznymi bandami młodych hulaków, którzy,

zorganizowani obecnie na wzór Kaligulowych „wywiadowców”, urządzali po nocach skandale i nie dawali zmrużyć oka porządnym obywatelom. Kluby te - grecki nabytek - istniały w Rzymie od stu przynajmniej lat. W Atenach, Koryncie i innych miastach greckich do klubów należeli młodzieńcy z dobrych rodzin. Podobnie było i w Rzymie aż do czasów Kaliguli, który wprowadził zwyczaj przyjmowania do nich aktorów, zawodowych szermierzy, woźniców, muzykantów i tym podobnego tałatajstwa. Skutkiem tego rozmnożyły się burdy i bezceństwa; niszczo cudzą własność, zdarzało się czasem nawet, że podochocona kompania podpałała całe domostwa; turbowano Bogu ducha winnych obywateli, którzy spiesząc po lekarza czy akuszerkę, czy z jakiej innej ważnej przyczyny, znaleźli się przypadkiem późną nocą na ulicy. Ogłosiłem rozporządzenie rozwiązujące kluby. Wiedząc jednak, że to nie wystarczy, aby położyć kres nieporządkom, zdecydowałem się na radykalny, ale jedynie skuteczny środek: zabroniłem używania jakiegokolwiek budynku na lokal klubowy tudzież sprzedawania ciepłych dań i gotowych potraw do spożycia na miejscu. Zakaz ten rozciągnąłem również na trunki. Po zachodzie słońca nie wolno było w żadnych jadłodajniach podawać trunków do stołu. Za przekroczenie tego rozporządzenia groziła grzywna tak wysoka, że winowajca po zapłaceniu jej był zrujnowany finansowo. W ten sposób podcinałem zło od korzenia. Klubowe zebrania kończyły się bowiem z reguły w ten sposób, że młodzi ludzie, podjadłszy, podpiwszy i nabrawszy animuszu, ruszali w różowych humorach przejść się i odetchnąć świeżym nocnym powietrzem; po drodze śpiewali pijackie piosenki, zaczepiali przechodniów, prowokowali stróżów bezpieczeństwa do bójek i dzikich gonitw. Do tego wszystkiego nie dochodziłoby, gdyby młodzież była zmuszona jadać kolacje w domu. Edykt prohibicyjny okazał się skuteczny i zyskał sobie uznanie szerokich warstw społeczeństwa. Gdziekolwiek teraz się pokazałem, witano mnie z entuzjazmem. Tak serdecznie obywatele nigdy nie witali Tyberiusza, a Kaligulę chyba tylko w pierwszych miesiącach rządów, gdy był jeszcze uosobieniem

wspaniałomyślności i dobroci. Nie zdawałem sobie nawet sprawy z tego, jak wielką cieszę, się sympatią i jak Rzymowi zależy na całości mojej osoby. Przekonałem się o tym dopiero pewnego dnia, kiedy rozeszła się wieść, że na drodze do Ostii pewna klika senacka urządziła na mnie przy pomocy niewolników zasadzkę, i że zostałem zamordowany. W stolicy powstał lament nie do opisania; ludzie, wyległszy przed domy, z płaczem i jękiem załamywali ręce; inni, u których oburzenie wzięło górę nad smutkiem, biegli na Rynek wymyślając gwardzistom od zdrajców, a senatowi od bandy ojcobójców. Wygrażano, pomstowano, a dały się nawet słyszeć głosy, żeby podpalić budynek senatu. Cały ten tumult był zupełnie bezpodstawny. Prawdą było tylko to, że tego dnia po południu udałem się do Ostii, aby zbadać, czy wyładowywanie zboża odbywa się bez przeszkód. (Dowiedziawszy się bowiem, że w czasie niepogody wielka ilość zboża marnuje się przy przenoszeniu z okrętów na ląd, chciałem przekonać się osobiście, czy nie można temu zaradzić. Na nielicznych tylko wielkich miastach ciąży przekleństwo równie niedogodnego portu jak Ostia. Przy silnym wietrze zachodnim i dużej fali przyptywu zalewającej plażę okręty ze zbożem muszą tygodniami stać na kotwicy i nie ma mowy o wyładowaniu transportu.) Nie mam wprawdzie na to dowodów, ale przypuszczam, że plotkę o zamachu rozpuścili bankierzy, którzy chcieli stworzyć sztuczne zapotrzebowanie na gotówkę. Powszechnie mówiono, że gdybym był zginął, doszłoby do rozruchów i krwawych starć ulicznych między stronnikami rywalizujących z sobą kandydatów do cesarskiej purpury. Bankierzy przewidywali, że z chwilą gdy tylko rozejdzie się wieść o mojej śmierci, właściciele majątności w obawie, aby ich nie ogarnęła fala rozruchów, zaczną szybko opuszczać Rzym, a ponieważ będą potrzebować gotówki, pośpieszą masowo do banków i zaofiarują na sprzedaż place i domy poniżej istotnej wartości. Tak też się stało. Lecz jeszcze raz Herod uratował sytuację. Udał się do Messaliny i nalegał, aby bezzwłocznie wydała w moim imieniu rozkaz zamknięcia banków aż do odwołania. Messalina zastosowała się do tego

życzenia. Panika trwała jednak w dalszym ciągu. Dopiero kiedy otrzymałem w Ostii wiadomość o tym, co się stało w stolicy, wysłałem ze świty czterech czy pięciu poważnych obywateli, mężów cieszących się zaufaniem, którzy czym prędzej udali się na Rynek i tam z mównicy zapewnili, że cała wiadomość jest sfabrykowana i puszczona w obieg przez jakiegoś wroga państwa dla własnej szalbierskiej korzyści.

Stwierdziłem, że wyładowywanie zboża odbywa się w Ostii w warunkach bardzo niedogodnych. Prawdę mówiąc, zagadnienie zbożowe należało do najtrudniejszych. Kaligula pozostawił spichrze równie puste jak skarb państwa. Tylko dzięki temu, że skłoniłem przedsiębiorców zbożowych do ryzykownego wysyłania transportów w czasie niepogody, udało mi się przetrzymać kiepski okres. Musiałem oczywiście sownie wynagrodzić straty, które ponieśli w statkach, ludziach i zbożu. Postanowiłem raz na zawsze skończyć z podobnym stanem rzeczy i uczynić Ostię nawet podczas najgorszej niepogody bezpiecznym portem. Sprowadziłem więc inżynierów i kazałem im, po rozpatrzeniu się w terenie, wykonać projekty.

W prowincjach pierwsze poważne zamieszki wybuchły w Egipcie. Kaligula milcząco pozwolił Aleksandryjskim Grekom dokuczać Żydom, ile dusza zapragnie, Żydzi bowiem wzbranieli się oddawać mu cześć boską. Grecy, choć nie wolno im było pokazywać się w mieście z bronią - był to przywilej Rzymian - dopuszczali się gwałtów bez liku. Żydzi, z których wielu pełniło funkcje celników, byli bardzo niepopularni w sferach uboższych i mniej zapobiegliwych obywateli greckich i stąd narażeni codziennie na upokorzenia i niebezpieczeństwa. Mniej liczni od Greków, nie mogli stawić odpowiedniego oporu, zwłaszcza że ich przywódcy znajdowali się w więzieniu. Rozesłali więc pisma do rodaków w Palestynie, Syrii, a nawet Partii i przedstawiając swe nieszczęsne położenie prosili o potajemną pomoc w ludziach, pieniądzach i sprzęcie wojennym. Cała ich nadzieja, mówili, to tylko zbrojne powstanie. Pomoc napływała obficie i termin wybuchu powstania wyznaczono na dzień, w

którym miał przybyć do Egiptu Kaligula. Wiedziano, że ludność grecka, odświętnie ubrana, wylegnie tłumnie na przystań, aby powitać cesarza, a cały rzymski garnizon, któremu wypadnie pełnić w porcie straż honorową, wymaszeruje pozostawiając miasto bez ochrony. Wiadomość o śmierci Kaliguli wywołała przedwczesny, połowiczny i bezskuteczny wybuch powstania. W każdym razie zaniepokojony namiestnik Egiptu bezzwłocznie zażądał ode mnie posiłków, bo w Aleksandrii było mało wojska. Na drugi już jednak dzień otrzymał mój list sprzed dwu tygodni, w którym go powiadamiałem o objęciu władzy. Równocześnie polecałem wypuścić z więzienia starszyznę żydowską z Alabarchem na czele i zawieszałem religijne dekrety Kaliguli i jego dokuczliwe dla Żydów zarządzenia do czasu absolutnego zniesienia tych ustaw. Wśród Żydów wybuchła wielka radość i nawet ci spośród nich, którzy dotychczas nie brali żadnego udziału w powstaniu, uważali, że skoro cieszą się moimi cesarskimi względami, mogą bezkarnie wziąć odwet na Grekach. Zabili też wcale pokaźną liczbę co zaciętszych żydożerców. Tymczasem odpisałem namiestnikowi Egiptu, polecając położyć kres zamieszkom i w razie potrzeby użyć do tego celu nawet siły zbrojnej. Wyraziłem jednak równocześnie nadzieję, że wykonanie zarządzeń zawartych w poprzednim moim piśmie, które powinien już być otrzymać, wpłynie dodatnio na uspokojenie umysłów; toteż przysłanie posiłków nie wydaje mi się potrzebne. Prawdopodobnie - pisałem - Żydów musiano bardzo ostro sprowokować, spodziewam się wszelako, że jako ludzie rozsądni przestaną walczyć, z chwilą kiedy się dowiedzą, że krzywda ich ma być naprawiona.

Rozporządzenie moje rzeczywiście położyło koniec rozruchom, a w parę dni później, po naradzie z senatem, ostatecznie unieważniłem dekrety Kaliguli i przywróciłem Żydom wszystkie przywileje, które posiadali za Augusta. U wielu jednak młodszych Żydów pozostała pamięć doznanej krzywdy. Urządzali oni pochody, w czasie których niesiono transparenty z napisami: „Teraz nasi prześladowcy muszą utracić prawa obywatelskie” - co było nonsensem - lub:

„Równouprawienie dla Żydów całego cesarstwa!” - co nie było już nonsensem. Wydałem edykt, który brzmiał następująco:

„Tyberiusz Klaudiusz Cezar August Germanik, Arcykapłan, Trybun Ludu, Konsul po raz wtóry, ogłasza następujący dekret:

Przychylając się całym sercem do próśb króla Agryppy i brata jego, króla Heroda, mężów, dla których mam najwyższy szacunek, udzielam niniejszym wszystkim Żydom zamieszkałym na obszarach cesarstwa rzymskiego tych samych praw i przywilejów, które nadałem, a raczej przywróciłem Żydom z Aleksandrii. Łaskę tę wyświadczam nie tylko ze względu na wyżej wymienionych królewskich orędowników, lecz w przekonaniu, że obdarowani istotnie zasługują na te prawa i przywileje, okazywali się bowiem zawsze wiernymi sprzymierzeńcami narodu rzymskiego. Nie uważam natomiast za słuszne - wbrew fałszywym pogłoskom - pozbawianie jakiegokolwiek miasta greckiego nadanych mu przez cesarza, a obecnie boga Augusta przywilejów, tak jak uważam za niesłuszne odebranie przez mego poprzednika praw i przywilejów żydowskiej kolonii w Aleksandrii. Co jest sprawiedliwe dla Żydów, jest sprawiedliwe dla Greków, i na odwrót. Postanowiłem przeto wszystkim Żydom na obszarze mego cesarstwa pozwolić na zachowywanie bez żadnych przeszkód ojczystych zwyczajów, o ile tylko nie stoją one w sprzeczności z interesami cesarstwa. Równocześnie przestrzegam, że łaskawość, którą niniejszym okazuję Żydom, nie może ich upoważniać do okazywania wzgardy religijnym wierzeniom albo praktykom innych ludów. Niech będą zadowoleni, że wolno im żyć podług praw własnego Zakonu. Następnie wolą moją jest, aby naczelne władze wszystkich królestw, wolnych miast, kolonii i gmin w Italii i poza jej obszarem - zarówno urzędnicy rzymscy, jak sprzymierzeni władcy kazali niniejszy dekret wyryć na kamiennych tablicach. Tablice te winny być przez miesiąc wystawione na widok publiczny w jakimś widocznym, uczęszczanym miejscu na takiej wysokości, aby napis można było z łatwością z ziemi odczytać.”

Pewnego wieczoru w prywatnej rozmowie z Herodem oświadczyłem:

- Cały sęk w tym, że psychika grecka i żydowska są z gruntu odmienne; dlatego musi przyjść między nimi zawsze do starcia. Żydzi zbyt uparcie trzymają się tradycji, Grecy bezustannie uganiają się za nowością; Żydzi są zbyt samowystarczalni, Grecy zbyt łatwo potrafią się przystosować. Lecz chociaż zaryzykowałbym twierdzenie, że my, Rzymianie, rozumiemy Greków, to znaczy znamy granice ich możliwości i potrafimy uczynić z nich pożyteczne usługi nasze, nie mógłbym nigdy powiedzieć tego samego o Żydach. Podbiliśmy ich dzięki naszej przewadze militarnej, lecz nigdy nie zostaliśmy ich panami. Widzimy, że zachowali oni dawne cnoty swej rasy, której historia starsza jest od naszej, podczas gdy my straciliśmy nasze dawne cnoty. W rezultacie czujemy wobec nich coś w rodzaju wstydu.

- Czy znasz żydowską wersję o potopie i Deukalionie? - zapytał Herod. - Żydowski Deukalion nazywał się Noe. Miał trzech żonatych synów, którzy po ustąpieniu wód zaludnili ziemię. Najstarszy Sem, średni Cham, a najmłodszy Jafet. Cham wyśmiewał się pewnego razu z ojca, że przypadkiem upiwszy się zdjął z siebie ubranie. Za karę musiał służyć dwóm swoim braciom, którzy zachowali się z większą przystojnością. Cham jest przodkiem wszystkich ludów afrykańskich, Jafet Greków i Italczyków, a Sem Żydów, Syryjczyków, Fenicjan, Arabów, Edomitów, Chaldejczyków, Asyryjczyków itd. Istnieje stare proroctwo, które głosi, że ilekroć Sem i Jafet zamieszkają z sobą pod wspólnym dachem, będą się bez końca kłócić - przy ognisku, przy stole i w alkierzu. Proroctwo to dotychczas zawsze się sprawdzało. Doskonałym przykładem jest Aleksandria. Byłoby o wiele łatwiej rządzić Palestyną, gdyby oczyścić ją z Greków, którzy są tam elementem napływowym. To samo można powiedzieć o Syrii.

- Łatwiej, ale nie dla rzymskiego namiestnika - odrzekłem z uśmiechem. - Rzymianie nie należą do rodu Sema i liczą na poparcie Greków. Musielibyście się pozbyć także nas, Rzymian. Zgadzam się jednak z tobą pod jednym

względem: wolałbym, żeby Rzym nie był podbijał Wschodu. Postąpiłby znacznie mądrzej ograniczając się do rządów nad związkami potomków Jafeta. Odpowiedzialność za to w dużej mierze ponoszą Aleksander i Pompejusz. Obaj zyskali tytuł „wielkich” za podboje na Wschodzie, nie widzę jednak, żeby któryś z nich oddał przez to swemu krajowi jakąś istotną przysługę.

- Nadejdzie dzień, Cezarze, w którym wszystko się ułoży - odparł w zamyśleniu Herod. - Miejmy tylko cierpliwość.

Zwierzyłem się Herodowi, że chcę zaręczyć swoją córkę Antonię, która była już w wieku odpowiednim do małżeństwa, z młodym Pompejuszem, potomkiem Pompejusza Wielkiego. Kaligula odebrał młodzieńcowi ten przydomek, twierdząc, że jest zbyt wspaniały, aby go mógł nosić tak młody chłopiec, a zresztą na świecie istnieje tylko jeden „wielki”. Obecnie młody Pompejusz znów pisał się „wielki”, przywróciłem bowiem wszystkie przydomki i godła (jak łańcuch Torkwatów lub pukiel Cyncynatów), które Kaligula odebrał mojemu rodowi. Herod jednak nie wyraził żadnej opinii w sprawie małżeństwa mej córki. Nie zdawałem sobie sprawy, że przyszłe polityczne stosunki między Semem a Jafetem tak zaprzętają ostatnio jego myśl, iż nie zostawiają czasu na inne zagadnienia.

Rozdział IX

Kiedy Herod umocnił moją władzę i wskazał mi, w jakim kierunku powinienem iść - czyli kiedy stworzył sytuację dogodną dla samego siebie, a w zamian otrzymał liczne dowody mej wdzięczności - oświadczył, że musi się już pożegnać, chyba że mam coś istotnie ważnego, czego tylko on potrafiłby się podjąć. Ponieważ nie mogłem już wymyślić żadnej wymówki, by go zatrzymać, a byłbym się czuł w obowiązku wynagrodzić mu terytorialnie każdy miesiąc pobytu, urządziłem wspaniałą ucztę pożegnalną, po której pozwoliłem przyjacielowi wyruszyć. Obydwaj byliśmy tego wieczora pijani i muszę wyznać, że rzęsiстыми łzami skrapiałem rozstanie. Przypomnieliśmy sobie nasze szkolne czasy, a kiedy nikt nas nie słuchał, przechyliwszy się do Heroda zawołałem go jego dawnym przezwiskiem.

- Słuchaj, Zbóju - rzekłem półgłosem - zawsze spodziewałem się, że będziesz królem, ale gdyby mi ktoś powiedział, że będę twoim cesarzem, nazwałbym go szalonym.

- Małpeczko - odpowiedział w tym samym tonie - zawsze ci mówiłem, że jesteś wariat. Ale masz też wariackie szczęście. Takie szczęście trzyma się człowieka. Zobaczysz, będziesz jeszcze olimpijskim bogiem, a ja po śmierci tylko herosem. Tak. Nie potrzebujesz się czerwienić; tak właśnie być musi. Oczywiście zupełnie inna rzecz, który z nas dwu jest więcej wart.

Przyjemnie mi było, że Herod przemawia znów dawnym tonem. Przez okres ostatnich trzech miesięcy zwracał się do mnie w sposób bardzo etykietalny, nie zapominał nigdy nazwać mnie Cezarem Augustem i zawsze wyrażał największy podziw dla mojego zdania, co nie przeszkadzało, że często był niestety zmuszony z nim się nie zgadzać. „Małpeczka” (Kerkopithekion) było to pieszczotliwe przezwisko, które nadał mi Atenodor.

Prosiłem Heroda, żeby do oficjalnych listów, które będzie mi przysyłał z

Palestyny, listów podpisanych jego wszystkimi nowymi tytułami, dołączył jeszcze zawsze nieoficjalny, podpisany „Zbój”, a zawierający prywatne wiadomości. Zgodził się na to pod warunkiem, że będę mu odpisywał w tym samym tonie jako Kerkopithekion. Kiedyśmy dla potwierdzenia tej umowy podali sobie ręce, spojrział mi prosto w oczy i rzekł:

- Czy chcesz, Małpeczko, jeszcze jednej rady ze skarbcza mej szelmowskiej mądrości? Tym razem udzielę ci jej bezinteresownie.

- Ależ proszę bardzo, drogi Zbój.

- A więc słuchaj: Nie wierz nigdy nikomu. Nie wierz nigdy żadnemu najwdzięczniejszemu wyzwoleńcowi, najzażyłszemu przyjacielowi, najdroższemu dziecku, umiłowanej kobiecie, sprzymierzeńcowi związanemu najświętszą przysięgą. Wierz tylko samemu sobie. A jeśli nie możesz z czystym sumieniem wierzyć samemu sobie, wierz przynajmniej swemu wariackiemu szczęściu.

Powaga tych słów przeniknęła przez rozkoszne opary wina do mojego mózgu i zastanowiła mnie.

- Dlaczego tak mówisz? - zapytałem gwałtownie. - Czyż nie wierzysz swojej żonie Cypros? Czy nie wierzysz swemu przyjacielowi Silasowi? Czy nie wierzysz swemu synowi, młodemu Agryppie? Czy nie wierzysz Taumastowi i swemu wyzwoleńcowi Marsjaszowi, którzy ci w Akrze przynieśli pieniądze i dostarczyli jedzenia, kiedy siedziałeś w więzieniu? Czy nie wierzysz mnie, twemu sprzymierzeńcowi? Dlaczego to wszystko mówisz, przed kim chcesz mnie ostrzec?

Herod roześmiał się głupkowato.

- Nie zwracaj uwagi na moje słowa, Małpeczko. Jestem urażony jak bela. Kiedy się urżnę, wygaduję niestworzone rzeczy. Autor przysłowia: „W winie prawda”, musiał mieć dobrze w czubie, kiedy je wymyślił. Pewnego razu podczas uczyty powiedziałem do mego marszałka: „Uważaj, Taumaście, i zapamiętaj. Nie życzę sobie, aby na moim stole pojawiło się pieczone prosię

nadzewane truflami i kasztanami. Zrozumiałeś?” „Tak jest, wasza królewska mość” - odparł. A tymczasem jeżeli istnieje jakaś potrawa, którą przekładam nad wszystkie inne, to właśnie proszę pieczone z nadzieniem z truflి i kasztanów. Co ja ci teraz powiedziałem? Żebyś nie wierzył twoim sprzymierzeńcom? Dobry kawał, co? Zapomniałem na chwilę, że ty i ja jesteśmy sprzymierzeńcami.

Nie nalegałem na razie dłużej, ale nazajutrz, kiedy stojąc przy oknie przypatrywałem się, jak konie unoszą Heroda w stronę Brundizjum, przysłała mi na pamięć ta ostatnia nasza rozmowa. Zastanawiałem się, co właściwie Herod chciał powiedzieć, i zrobiło mi się jakoś nieswojo.

Herod nie był jedynym królem na tej pożegnalnej uczcie. Brał w niej udział także brat jego, Herod Poili on z Chalcydy; Antioch, którego przywróciłem na tron Komageny, leżącej na północno-wschodnich rubieżach Syrii, a zabranej mu przez Kaligulę; Mitrydat, którego uczyniłem obecnie królem Krymu; a prócz tego król Armenii Mniejszej i król Osroeny. Obydwaj czepiali się w Rzymie dworskiej klamki, bezpieczniej bowiem czuli się tutaj niż w swoich własnych królestwach, gdzie by Kaligula mógł ich posądzić o spiskowanie przeciw niemu. Wszystkich ich odesłałem z powrotem.

Wydaje mi się wskazane opowiedzieć wam jeszcze trochę o Herodzie i przedstawić dalszy rozwój wypadków w Aleksandrii aż do bardziej decydującego momentu, a dopiero potem powrócić do spraw rzymskich i wspomnieć krótko o tym, co się stało w tym czasie nad Renem, w Maroku i na pozostałych kresach. Herod powrócił do Palestyny z wielką okazałością i chwałą. Przybywszy do Jerozolimy zabrał ze świątyni żelazny łańcuch, który ofiarował na pamiątkę szczęśliwego odzyskania wolności, a na jego miejsce złożył złoty, подарowany mu przez Kaligulę. Po śmierci cesarza mógł to już bezpiecznie uczynić. Arcykapłan powitał Heroda z wielkim szacunkiem, ale po wstępnych uprzejmościach zaczął mu przyganiać, że najstarszą swą córkę wydał za swego brata. Nic dobrego nie może wyjść z takiego związku, twierdził.

Herod jednak nie należał do ludzi, którzy by pozwolili narzucić sobie cudzą wolę. Zapytał więc Jonatana - tak zwał się arcykapłan - czy nie sądzi, że on, król Agryppa, który odradził Kaliguli zbezczeszczenia świątyni, a mnie nakłonił do zatwierdzenia religijnych przywilejów Żydów aleksandryjskich i obdarzenia podobnymi przywilejami ich współwyznawców, rozproszonych po całym świecie, okazał się dobrym sługą żydowskiego Boga. Kiedy zaś Jonatan przyznał, że czyny te istotnie zasługują na pochwałę, Herod opowiedział następującą przypowieść: „Pewnego dnia bogacz spotkał przy drodze żebraka, który powołując się na łączące ich pokrewieństwo, prosił o jałmużnę. «Współczuję ci, biedny człowieku - rzekł bogacz. - A skoro jesteś moim krewnym, postaram się zrobić dla ciebie wszystko, co będzie w mojej mocy. Przyjdź jutro do mego banku, tam czeka na ciebie dziesięć sakiewek, w każdej znajdziesz dwa tysiące aureusów w obiegowej monecie.» «Jeżeli mówisz prawdę, Bóg ci wynagrodzi stokrotnie» - odrzekł żebrak. Następnego dnia udał się do banku, gdzie rzeczywiście wręczono mu dziesięć sakiewek złota. Można sobie wyobrazić, jak był uradowany i wdzięczny! A miał ów żebrak rodzionego brata, kapłana, od którego do tej pory nigdy nie otrzymał żadnego wsparcia. Nazajutrz po wypłaceniu ubogiemu pieniędzy zjawia się kapłan u bogacza i mówi z oburzeniem: «Ładne żarty sobie stroisz! Przyrzekłeś twemu biednemu krewniakowi dać dwadzieścia tysięcy aureusów w obiegowej monecie. I oszukałeś go. Pomagałem mu liczyć pieniądze i zaraz w pierwszej sakiewce zamiast rzetelnego aureusa znalazłem złotą monetę partyjską. Może zechcesz udawać, żeś nie wiedział, że moneta partyjska nie jest u nas w obiegu? Czy to uczciwie stroić takie żarty z biedaka?»,,

Przypowieść jednak nie przekonała Jonatana. Odpowiedział, że bogacz postąpił nierozsądnie, jeśli umyślnie zmniejszył wartość swego daru przez włączenie doń partyjskiej monety. Herod nie powinien zapominać, że najpotężniejsi władcy są tylko narzędziami w ręku Boga, który nagradza ich stosownie do gorliwości, z jaką mu służą.

- A jak wynagradza swoich arcykapłanów? - spytał Herod.

- Jego arcykapłani, do których obowiązków między innymi należy karcenie każdego Żyda postępującego nie według Zakonu, są dostatecznie wynagradzani za swą wierną służbę: wolno im przywdziewać święte szaty i raz do roku wejść do cudownego świętego przybytku, w którym w niezmierzonej chwale i potędze przebywa On.

- Doskonale - odrzekł Herod. - Skoro jestem narzędziem w ręku Boga, jak mówisz, to mocą tej władzy składam cię z urzędu. Kto inny będzie nosił święte szaty podczas tegorocznego święta Kuczek. Znajdzie się ktoś, kto lepiej będzie się orientował, kiedy jest chwila odpowiednia do udzielania nagany.

Tak więc Jonatana złożono z urzędu. Jednakże mianowany na jego miejsce następcą naraził się po pewnym czasie Herodowi, twierdząc, że nie godzi się, aby urząd wielkiego koniuszego pełnił Samarytanin. Żydowski król powinien tylko żydowskich mieć urzędników. Samarytanie nie pochodzą z nasienia Abrahama, lecz są intruzami Owym koniuszym, o którego chodziło, był nasz znajomy Silas. Herod wystąpił w obronie swego sługi i złożył znowu arcykapłana z urzędu. Kiedy jednak chciał powtórnie obdarzyć tym zaszczytem Jonatana, ten z pozorną wdzięcznością odmówił. Wystarcza mu, twierdził, że raz w życiu nosił święte szaty; powtórna konsekracja na arcykapłana nie miałyby już tego znaczenia co pierwsza. Skoro Bóg dał Herodowi moc pozbawienia go urzędu, to widać chciał ukarać w ten sposób jego, Jonatana, dumę. Jeżeli teraz Bóg jest skłonny przebaczyć ten grzech, to wprawdzie on raduje się bardzo, ale nie chce ryzykować możliwości powtórnego obrażenia Boga. Gdyby mu jednak wolno było wyrazić swoje zdanie, zaproponowałby, aby urząd wielkiego kapłana oddać jego bratu Mateuszowi. Jest to najświętobliwszy i najbogobojniejszy człowiek w całej Jerozolimie. Herod zgodził się na tę kandydaturę.

Na rezydencję królewską Herod wybrał Jerozolimę i zamieszkał w dzielnicy zwanej Bezetha, czyli Nowe Miasto. Ta decyzja zdziwiła mnie bardzo.

W państwie jego było obecnie wiele miast zbudowanych w stylu grecko-rzymskim i obfitujących we wszystkie udogodnienia, każde z nich mógł więc uczynić swoją stolicą. Odwiedzał je od czasu do czasu z zachowaniem wszystkich przepisów etykiety, do mieszkańców odnosił się zawsze życzliwie i uprzejmie, twierdził jednak, że jedynym miastem, w którym może mieszkać i rządzić król żydowski, jest Jerozolima. Wśród mieszkańców stolicy zyskał sobie wkrótce niezwykłą popularność, nie tylko bowiem składał hojne dary dla świątyni i nie żałował kosztów na upiększenie miasta, lecz zniósł także podymne, zmniejszając w ten sposób swe dochody o sto tysięcy aureusów rocznie. Mimo to jednak wynosiły one koło pół miliona aureusów. Jeszcze bardziej zdumiewał mnie fakt, że Herod obecnie co dzień odprawiał modły w świątyni i gorliwie przestrzegał praw Zakonu. Pamiętałem przecież, z jakim lekceważeniem nazywał swego nabożnego brata Arystobula „świętym psalmopiejem”, a prywatne listy, które dołączał do oficjalnej korespondencji, nie zdradzały żadnej zmiany religijnych przekonań.

Jeden z tych listów był poświęcony w całości Silasowi. Zamieszczam go poniżej:

„Kochana moja Małpeczko! Muszę Ci opowiedzieć bardzo przykrą, a równocześnie komiczną historię, którą niedawno przeżyłem. Bohaterem jej jest Silas, «wierny Achates» Twego przyjaciela - «Zbója», Heroda Agryppy. Czy nie mógłbyś mi, kochana Małpeczko, ze skarbca Twej, tym razem nie ściśle historycznej wiedzy udzielić wiadomości, czy Twój przodek Eneasza był kiedykolwiek tak dręczony przez wiernego Achatesa jak ostatnio ja przez Silasa? Czy komentatorzy Wergilego mówią coś na ten temat? Fakt faktem, że postąpiłem niemądrze mianując Silasa swym koniuszem, o której to nominacji, zdaje się, swego czasu Ci donosiłem. Arcykapłan zaprotestował przeciw niej, Silas bowiem jest Samarytaninem, a Samarytanie dali się we znaki tym z Żydów, którzy wrócili do Jerozolimy z niewoli babilońskiej. Co nocy burzyli

mury, które ci wystawili za dnia. Do tej pory Żydzi nie mogą im tego zapomnieć. Tak więc z powodu Silasa musiałem arcykapłana złożyć z urzędu. Miałem z tym dość kłopotu. Silas już poprzednio zrobił się bardzo zadufany w sobie i składał codziennie nowe dowody swojej osławionej otwartości i umiejętności rąbania prawdy prosto z mostu. Od czasu usunięcia arcykapłana przewróciło mu się całkiem w głowie. Słowo Ci daję, że czasem ktoś z przybywających na dwór nie mógł się zorientować, który z nas jest królem, a który tylko wielkim koniuszym. Jeżeli dawałem Silasowi do zrozumienia, że licząc na przyjaźń zbyt wiele sobie pozwala, obrażał się, a moja kochana Cypros czyniła mi zaraz wymówki, że jestem zbyt szorstki, i przypominała wszystko, co dla nas uczynił. Musiałem więc znów robić się uprzejmy i prawie przepraszać go za swą niewdzięczność.

Do najgorszych przywar Silasa należy ciągle powracanie do wspomnień mej burzliwej przeszłości - bez względu na towarzystwo, w którym się znajduję - wywlekanie kłopotliwie dokładnych szczegółów, w jaki sposób wybawił mnie z takiego a takiego niebezpieczeństwa; jakie mi składał dowody swej wierności; jak wiele jego doskonałych rad zlekceważyłem i jak nigdy, w szczęściu czy nieszczęściu, nie oglądał się na żadną nagrodę, zadowolając się moją przyjaźnią. Taki bowiem jest już jego samarytański charakter. Wreszcie tego gadania było mi za dużo. Ostatnio w czasie pobytu nad Jeziorem Galilejskim w Tyberiadzie, gdzie za panowania Antypasa byłem urzędnikiem, wydałem ucztę na cześć sydońskich dygnitarzy.

Przypominasz sobie może, że w okresie kiedy byłem doradcą Flakkusa w Antiochii, wytworzyła się pomiędzy sydończykami a mną pewna rozbieżność poglądów. Podczas uczyty posiadającej tak niezwykłą doniosłość polityczną Silas oczywiście zachowywał się jak najfatalniej. Z miejsca zwrócił się do Hazdrubala, komendanta portu w Sydonie, najbardziej wpływowego człowieka w całej Fenicji. «Twarz twoja jest mi znana - rzekł. - Nazywasz się Hazdrubal, nieprawdaż? No tak! Wchodziłeś przecie w skład delegacji, która przed jakimiś

dziewięciu laty przybyła do króla Heroda, prosząc go, aby użył swego wpływu na Flakkusa i poparł Sydon w sporze granicznym z Damaszkiem. Przypominam sobie, że doradziłem Herodowi, aby odmówił przyjęcia podarków, które mu ofiarowywaliście. Wykazałem mu całe niebezpieczeństwo brania łapówek od obu stron; z tego zawsze muszą wyniknąć kłopoty. Ale on wyśmiał mnie tylko. Jak zwykle.»

Hazdrubal, człowiek delikatny, odparł, że nie przypomina sobie tego wypadku. Niewątpliwie zachodzi pomyłka, mówił. Ale spróbuj zatrzymać Silasa!

«Chyba nie masz aż tak kiepskiej pamięci - upierał się. - Przecież z tego powodu Herod musiał czmychać z Antiochii przebrany za poganacza wielbłądów - sam mu tego przebrania dostarczyłem. Żonę i dzieci, które zostawił w mieście, musiałem potem przemycić na okręt. Nadłożył wtedy kawał drogi, jechał bowiem do Edomy przez Pustynię Syryjską. Odbił tę podróż na skradzionym wielbłądzie. Chcesz może wiedzieć, kto ukradł wielbłąda? Nie, nie ja. Sam król Herod Agryppa.»

Zrobiło mi się gorąco. Zaprzeczać zasadniczym faktom tej historii było bezcelowe. Mogłem jedynie upiększyć je wymyśloną naprędce bajeczką. Opowiedziałem więc, jak to pewnego dnia moja pustynna krew wzburzyła się we mnie i mając dość rzymskiego życia w Antiochii, uległem przemożnej chęci wyruszenia na pustynię i odwiedzenia swych współrodaków w Edomie. Wiedząc jednak, że Flakkus, który uzależniał swe posunięcia polityczne od moich wskazówek, usiłowałby mnie zatrzymać, odjechałem w tajemnicy i umówiłem się z Silasem, że rodzina połączy się ze mną u kresu tej wyprawy, w Antedonie. Wycieczka okazała się bardzo miła. W Antedonie spotkałem kuriera cesarskiego, który nie zastał mnie w Antiochii. Przywiózł list od Tyberiusza, cesarz zapraszał mnie do Rzymu w charakterze swego doradcy, uważając, że szkoda, aby zdolności moje marnowały się na prowincji.

Hazdrubal, który równie dobrze znał całą historię jak Silas, słuchał z

grzecznym zainteresowaniem i podziwiał w duchu moje kłamstwa.

«Czy to była pierwsza wizyta waszej królewskiej mości w Edomie, jeśli można wiedzieć? - zapytał. - Słyszałem, że sydończycy to lud bardzo szlachetny, gościnnie i odważny; pogardzają wszelkim zbytkiem i swawolą, a hołdują pierwotnym surowym zasadom życia. Przyznam, że łatwiej mi te cnoty podziwiać, niż naśladować.»

W tym miejscu ten idiota Silas musiał znowu wtrącić swoje trzy grosze: «Nie, Hazdrubalu, była to już jego druga bytność w Edomie. Za pierwszym razem towarzyszyłem mu tylko ja jeden, nie licząc królowej Cypros i dwojga starszych dzieci. Było to w tym roku, kiedy został zamordowany syn Tyberiusza. Król Herod musiał w związku z tym wypadkiem uciekać z Rzymu przed swymi wierzycielami i Edom był jedynym miejscem, dokąd mógł się bezpiecznie schronić. Narobił olbrzymich długów. I to pomimo moich nieustannych przestróg. Ciągle go ostrzegałem, że przyjdzie wreszcie dzień porachunku. Prawdę mówiąc, nie cierpiał Edom i zamierzał popełnić samobójstwo. Ocaliła go królowa Cypros. Przełamawszy dumę napisała bardzo pokorny list do swej szwagierki Herodiady, choć się z nią na krótko przedtem poróżniła. Król Antypas zaprosił wtedy króla Heroda do Galilei i zrobił go sędzią niższego trybunału właśnie w Tyberiadzie. Roczny dochód króla Heroda wynosił zaledwie siedemset aureusów...»

Hazdrubal otworzył usta, aby wyrazić swoje zdumienie i niedowierzanie, kiedy nagle Cypros przysłała mi z pomocą. Dopóki Silas opowiadał o mnie, nie zwracała na jego bajanie większej uwagi, zareagowała jednak od razu, gdy poruszył starą sprawę listu do Herodiady.

«Silasie - rzekła - gadasz za dużo, a w większości wypadków przekręcasz fakty i opowiadasz bzdury. Będę ci bardzo obowiązana, jeżeli zechcesz trzymać język za zębami.»

Silas poczerwieniał i zwrócił się znowu do Hazdrubala:

«To leży w mojej samarytańskiej naturze, że mówię otwarcie prawdę,

choćby nieprzyjemną. Tak, król Herod przeszedł różne koleje, zanim zasiadł na swym obecnym tronie. Niektórych swoich przeżyć zdaje się całkiem nie wstydzić. Tak na przykład zawiesił niedawno w skarbcu świątyni jerozolimskiej żelazny łańcuch, w który go niegdyś kazał zakuć cesarz Tyberiusz; Herod, jak wiecie, dostał się do więzienia za obrazę majestatu. Ostrzegałem go kilkakrotnie, żeby nie szeptali z Kaligulą w zasięgu uszu woźnicy, ale jak zazwyczaj zlekceważył sobie przestrozę. Później Gajusz Kaligulą dał mu złoty łańcuch, będący kopią żelaznego. Ostatnio zaś Herod zawiesił ten złoty łańcuch w skarbcu, a zabrał żelazny. Uważał, jak przypuszczam, że żelazo nie dość się świeci.»

Wymieniwszy z Cypros porozumiewawcze spojrzenie, poleciłem Taumastowi, żeby udał się do mojej sypialni i przyniósł żelazny łańcuch, który wisiał nad łóżkiem. Kiedy Taumast wrócił, podałem kajdany biesiadnikom, żeby je kolejno obejrzeni jako osobliwość. Uczynili to ze źle skrywanym zmieszaniem. Następnie zwołałem do siebie Silasa.

«Silasie - rzekłem - chcę ci nadać odznakę honorową. W uznaniu wszystkich zasług, które położyłeś dla mnie i dla mojej rodziny, jak również w uznaniu twojej szlachetnej otwartości, której nigdy nie omieszkałeś mi okazać nawet w obecności dostojnych gości, nadaję ci order Żelaznego Łańcucha. Obyś go mógł długo nosić. Ty i ja jesteśmy jedynymi kawalerami tego orderu i czuję się szczęśliwy, że mogę ci wręczyć ten jedyny egzemplarz. Taumaście, każ zakuć tego człowieka i odprowadź go do więzienia.»

Silas był zbyt zaskoczony, aby wykrztusić jakieś słowo. Odprowadzono go jak jagnię do rzeźni. Śmiać mi się chciało na myśl, że gdyby swego czasu w Rzymie nie był tak uparcie odmawiał przyjęcia obywatelstwa, które mu się podjąłem wyrobić, nie byłbym w możności spłatać mu tego figla. Byłby zaapelował do Ciebie, a Ty, z Twoim miękkim serduszkim, byłbyś go niewątpliwie ułaskawił. Nie mogłem inaczej postąpić, nie chcąc tracić autorytetu w oczach sydończyków. Reakcja moja wywarła, zdaje się, na nich

bardzo dobre wrażenie i polityczna biesiada skończyła się moim pełnym sukcesem. Wypadek ten miał miejsce przed kilku miesiącami, a ponieważ Cypros nie wstawiała się za Silasem, trzymałem go do tej pory w więzieniu. Niech ma nauczkę, myślałem. Zamierzałem jednak zwrócić mu wolność na swoje urodziny, to znaczy wczoraj. Posłałem Taumasta do Tyberiady, aby odwiedził Silasa w celi. Miał mu powiedzieć w ten sposób: «Byłem kiedyś zwiastunem dobrej nowiny dla naszego Pana i Króla, Heroda Agryppy, kiedy wkraczał w bramy więzienia w Mizenum. Teraz jestem dla ciebie, Silasie, zwiastunem pocieszenia. Oto masz w darze dzban wina. Nasz najmiłościwszy władca zaprasza cię od dziś za trzy dni na ucztę do Jerozolimy i pozwala, jeśli masz ochotę, zjawić się bez odznak orderu, który ci nadał. A teraz bierz i napij się. Osobiście zaś, przyjacielu Silasie, poradzę ci, żebyś nie przypominał ludziom usług, które im oddałeś. Jeżeli bowiem masz do czynienia z wdzięcznymi i uczciwymi, przypominanie jest zbyteczne, a jeśli z niewdzięcznymi, na nic się nie zda.» Silas, który od miesiący przeżuwał swoje nieszczęście i pragnął uzalić się przed kimś poza strażnikami więziennymi, wybuchnął teraz: «A więc tyle ma mi do powiedzenia król Herod? I przypuszcza, że będę mu wdzięczny, nieprawdaż? Jakimże to nowym zaszczytem chce mnie odznaczyć? Może orderem Bata. Czy kiedykolwiek uczciwy człowiek został w podobny sposób potraktowany przez przyjaciela, jak ja przez króla Heroda? Czy przypuszcza, że męki samotności w odosobnionej celi nauczą mnie trzymać język za zębami, gdy wewnętrzny jakiś mus rozkaże mi mówić prawdę i zawstydzają kłamliwych doradców - pochlebców i dworzan! Powiedz królowi, że nie zdołał złamać we mnie ducha; wypuszczony na wolność, będę korzystał z każdej sposobności, aby otwarcie i bez ogródek mówić, co myślę. Opowiem całemu narodowi, jak wiele niebezpieczeństw i nieszczęść Herod i ja przeżyliśmy razem i jak zawsze w końcu ratowałem go, kiedy nie chcąc nigdy w porę zważać na moje przestrogi doprowadzał nas prawie do zguby. O, opowiem, jak wspaniałomyślnie odplacił się za wszystko,

każąc mnie zakuć w ciężkie kajdany i wtrącić do ciemnego lochu. Nie! Nigdy nie zapomnę, że tak się ze mną obszedł. Po śmierci dusza moja będzie pamiętać o tej krzywdzie i o wszystkich chlubnych czynach, których dla niego dokonałem.» «Napij się» - nalegał Taumast. Ale Silas nie chciał pić. Taumast usiłował przemówić szaleńcowi do rozsądku, ten jednak z uporem powtarzał, że chce, by mi przekazano jego słowa, i wzdragał się skosztować wina. Tak więc Silas siedzi w dalszym ciągu w więzieniu i nie widzę możliwości wypuszczenia go na wolność. Cypros podziela moje zdanie.

Zajściem w Dorydzie szczerze się ubawiłem. Pamiętasz, jak podczas pożegnalnej uczyty, kiedy obaj byliśmy już nieźle podpici i po samarytańsku otwarci, powiedziałem: «Będziesz bogiem, Małpeczko, choćbyś nie wiem co czynił, żeby tego uniknąć. Temu nie można przeszkodzić.» A co się tyczy prosiaka nadziewanego truflami i kasztanami, to jednak wiedziałem, co mówię. Jestem teraz tak dobrym Żydem, że nigdy, przy żadnej sposobności kęs nieczystej strawy nie przejdzie mi przez usta. A jeśli nawet się to zdarzy, to nie wie o tym nikt z wyjątkiem mego arabskiego kucharza i jedyne go towarzysza samotnej uczyty - księżycy. Nawet gdy bawię u sąsiadów Fenicjan lub gdy biesiaduję w towarzystwie swych greckich poddanych, poskramiam grzeszne chęci. Pisząc do mnie, donieś, proszę, co słyhać z tym starym chytrusem Witeliuszem i tymi zawsze coś knującymi łajdakami: Azjatykiem, Winicjuszem i Winicjanem. Wyrazy szacunku i uwielbienia dla Twojej uroczej Messaliny przesyłam w liście oficjalnym. Na razie bywaj zdrów i myśl życzliwie (choć może na to nie zasługuje) o swym dawnym towarzyszu zabaw Zbóju.”

Muszę wyjaśnić teraz, co to było za „zajście w Dorydzie”. Otóż pomimo mojego edyktu kilku młodych Greków w syryjskiej miejscowości Doryda włamało się do żydowskiej synagogi i w południowej stronie świątyni ustawiło mój posąg jakby po to, by temu posągowi oddawano cześć. Żydzi udali się od razu do Heroda, jako swego naturalnego opiekuna, a ten osobiście zgłosił protest

w Antiochii u Petroniusza. Petroniusz napisał w surowym tonie list do magistratu w Dorydzie, nakazując aresztowanie i bezzwłoczne odesłanie mu winnych, których zamierza przykładowo ukarać. Popełnili oni bowiem podwójny występki - nie tylko uniemożliwili Żydom korzystanie ze sprofanowanej synagogi, ale w bezczelny sposób znieważyli mój edykt tolerancyjny. Zaznaczał także, że właściwym miejscem dla moich posągów są nie synagogi żydowskie, ale moje własne świątynie.) Przypuszczał widać, że musiałem już ulec prośbom senatu i że antycypowanie mojej deifikacji będzie pociąganiem bardzo dyplomatycznym. Ja zaś uporczywie sprzeciwiałem się obwołaniu mnie bogiem.

Łatwo sobie można wyobrazić, że Grecy aleksandryjscy czynili teraz wszystko, żeby pozyskać sobie moje względy. Wysłali deputację, która złożyła mi życzenia z powodu objęcia władzy i wyraziła chęć wybudowania mi na koszt miasta świątyni, a w razie gdybym się temu sprzeciwiał, przynajmniej wybudowania i urządzenia Biblioteki Studiów Łacińskich mojego imienia, jako najwybitniejszego z żyjących historyków. Prosili o pozwolenie, aby co roku w dzień moich urodzin mogli urządzać publiczne zebrania, na których by odczytywano Historię Kartaginy i Historię Etrurii. Każde dzieło miano odczytywać w całości. Zaangażowano by w tym celu najlepszych lektorów. Lektura Historii Kartaginy odbywałaby się w starej bibliotece, Historii Etrurii w nowej. Wiedzieli dobrze, że taką propozycją niechybnie połączą moją próżność. Przyjmując ten hołd czułem się jak rodzice, kiedy spostrzegą, że zimne ciała bliźniąt, co pozornie martwe przyszły na świat, złożone przed pogrzebem gdzieś w kącie, w jakimś koszu, zaczynają nagle nabierać kolorów, kichać i wreszcie krzyczeć unisono. Przecież z górą dwadzieścia najlepszych lat mojego życia spędziłem nad tymi książkami i zadałem sobie nie byle jaki trud, żeby opanować różne języki, których znajomość potrzebna była przy zbieraniu materiałów i segregowaniu faktów; a dotychczas, o ile mi wiadomo, nie znalazł się nikt, kto by zechciał je przeczytać. Mówiąc nikt, muszę zrobić dwa wyjątki. Herod czytał Historię Kartaginy - etruska go nie interesowała - i mówił mi, że

bardzo wiele się z niej dowiedział o charakterze Fenicjan; nie sądził jednak, żeby wielu ludzi miało równe jak on pod tym względem zainteresowania. „Za dużo mięsa w tym sosie, a za mało korzeni i czosnku” - oświadczył. To znaczy, że zbyt wiele było materiału informacyjnego, a styl był mało wytworny. Mówił mi to w tym okresie, kiedy nie piastowałem jeszcze żadnych publicznych urzędów, a więc na pewno mi nie schlebiał. Z wyjątkiem moich archiwariuszy i zbieraczy materiałów jedyną osobą, która czytała obydwie książki, była Kalpurnia. Mawiała ona, że przekłada dobrą książkę nad złą sztukę, moje zaś książki nad całkiem dobre sztuki, które widziała, a historię etruską nad kartagińską, gdyż opowiada o znanych jej miejscowościach. Kiedy zostałem cesarzem, kupiłem Kalpurnii śliczną willę pod Ostią i komplet wykwalifikowanych niewolników. Nigdy jednak Kalpurnia nie odwiedzała mnie w pałacu ani ja jej. Obawiałem się, że Messalina może być zazdrosna. Kalpurnia mieszkała z serdeczną swą przyjaciółką, Kleopatram, aleksandryjką z pochodzenia, a prostytutką z zawodu. Teraz jednak, kiedy pierwsza z nich miała dość pieniędzy i mogła nawet trochę odłożyć, obydwie dziewczyny zaniechały zarobkowania i żyły w spokoju.

Jak już powiedziałem, byłem istotnie dumny z propozycji aleksandryjczyków. Aleksandria jest przecież mimo wszystko kulturalną stolicą świata, a jej czołowi obywatele zwrócili się do mnie jako do najwybitniejszego historyka. Żałowałem, że nie mogę znaleźć czasu, aby udać się do Aleksandrii i być obecnym podczas lektury dzieł. W dniu, w którym przybyło poselstwo, posłałem po zawodowego lektora i kazałem przeczytać sobie prywatnie po kilka rozdziałów z każdej książki. Uczynił to z niemałą ekspresją i z tak piękną dykcją, że zapominając na chwilę, iż sam jestem autorem, zacząłem głośno klaskać.

Rozdział X

Ze spraw pozaitalskich zaprzętał mnie przede wszystkim problem kresów nadreńskich. Pod koniec panowania Tyberiusza Niemcy północni, rozzuchwaleni wiadomościami o bierności cesarza, zaczęli zapuszczać zagony poza Ren, w kraj zwany Prowincją Dolną. Nocami niewielkie oddziały przepływały rzekę w miejscach nie strzeżonych, napadały na samotne domy lub wioski, mordowały mieszkańców i zabrawszy z sobą złoto i kosztowności, które znalazły, przepływały rzekę z powrotem. Gdyby nawet nasi ludzie - o czym przynajmniej na północy nie było mowy - nieustannie czuwali, nie sposób było zmusić wroga do zaniechania tych praktyk. Ren jest niebywale długą i trudną do upilnowania rzeką. Jedyne skutecznym środkiem mogły być tylko wyprawy odwetowe, ale Tyberiusz nie chciał słyszeć o żadnej ekspedycji karnej na większą skalę. „Jeżeli gnębią was szerszenie - pisał - spalcie ich gniazda, ale jeśli tylko komary, nie zwracajcie na nie uwagi.” Co się tyczy Prowincji Górnej, to wypada przypomnieć, że podczas wyprawy do Francji Kaligula przyzwał Getulika, komendanta czterech pułków nad górnym Renem, i kazał go ściąć na podstawie nie udowodnionego oskarżenia o spisek. Następnie przekroczył Ren na czele olbrzymiej armii i posunął się parę mil w kraj nieprzyjacielski, lecz zaniepokojony brakiem oporu ze strony Niemców wycofał się szybko. Następcą Getulika mianowano komendanta posiłkowych oddziałów francuskich stojących w Lyonie. Nowy dowódca zwał się Galba [* Galba został cesarzem po Klaudiuszu A.D. 69 (przyp. autora).] i był jednym z protegowanych Liwii. Ona przeznaczyła go do awansu, kiedy był jeszcze młodzieńcem. Galba w zupełności zasługiwał na to, aby darzyć go zaufaniem. Był to dzielny żołnierz, roztropny urzędnik, solidny pracownik, a w życiu prywatnym mógł innym świecić przykładem. Przed sześciu laty został konsulem. Liwia umierając obdarzyła go specjalnym legatem w wysokości pięciuset tysięcy aureusów. Tyberiusz jednak,

jako wykonawca testamentu, oświadczył, że musiała zajść pomyłka. Wobec tego, że sumę wypisano cyframi, a nie słownie, uznał, iż testatorka mogła myśleć najwyżej o pięćdziesięciu tysiącach. Było to wtedy bez znaczenia, gdyż Tyberiusz i tak nie wypłacał żadnego z zapisów Liwii. Niestety, kiedy Kaligula zostawszy cesarzem jął skrupulatnie wypełniać wolę babki, nie zwrócił uwagi na dokonane przez Tyberiusza fałszerstwo. Galba jednak nie nalegał na wypłacenie mu pełnej sumy pięciuset tysięcy aureusów. I może rozsądnie postąpił, gdyż w przeciwnym razie Kaligula, kiedy zaczęło mu brakować pieniędzy, przypomniałby sobie natrętnego spadkobiercę i zamiast powierzyć mu wysokie stanowisko komendanta sił nadreńskich, byłby go prawdopodobnie oskarżył o wzięcie udziału w spisku Getulika.

Wyboru Galby dokonał Kaligula w szczególnych okolicznościach. Pewnego dnia w Lyonie zarządził wielką paradę, a następnie kazał się stawić oficerom biorącym w niej udział i wygłosił wykład o konieczności utrzymania się w dobrej formie.

- Żołnierz rzymski - mówił - powinien być wytrzymały jak rzemień, a twardy jak żelazo. Ciekaw jestem, ilu z was wytrzyma prostą próbę, na jaką mam zamiar was wystawić. Chodźcie, przyjaciele, urządzimy małe wyścigi w kierunku Autun.

Usiadł w wozie zaprzęgniętym w parę tęgich francuskich mierzynków. Woźnica strzelił z bicia, konie ruszyły. Oficerowie, już spoceni po paradzie, w ciężkim rynsztunku, pokłusowali za pojazdem. Kaligula trzymał się wciąż na przodzie w takiej odległości, żeby nie stracić biegnących z oczu, lecz nie pozwalał koniom ani na chwilę przejść w stępa, bojąc się, że oficerowie pójdą za ich przykładem. Wkrótce biegnący rozciągnęli się w długą linię. Wielu z nich po drodze zemdlało, a jeden padł trupem. Dopiero przy dwudziestym kamieniu milowym Kaligula zatrzymał konie. Tylko jeden człowiek wytrzymał próbę. Był nim Galba.

- Czy wolisz, generale, biec z powrotem, czy sięść koło mnie? - zapytał

Kaligula.

Galbie starczyło jeszcze oddechu na odpowiedź, że żołnierz nie ma wyboru, jego obowiązkiem jest tylko spełniać rozkazy. Kaligula więc pozwolił mu wrócić piechotą, na drugi dzień jednak Galba otrzymał nominację.

Agryppinilla podczas pobytu w Lyonie zainteresowała się Galbą i chciała wyjść za niego za męża, choć miał już żonę z rodu Lepidów. W małżeństwie tym czuł się zupełnie dobrze i w stosunku do Agryppinilli okazywał tyle chłodnej rezerwy, na ile tylko mógł sobie pozwolić wobec siostry cesarza. Agryppinilla nie przestawała okazywać mu względów i wreszcie pewnego dnia doszło do wielkiego skandalu; nie zaproszona zjawiała się na przyjęciu urządzonej przez teściową Galby. Gospodyni wyprosiła ją w obecności całego wytwornego towarzystwa, nawymyślała od bezwstydnie i rozpustnic, a wreszcie uderzyła w twarz. Sprawa wzięłaby kiepski obrót dla Galby, gdyby nazajutrz Kaligula nie doszedł do przekonania, że Agryppinilla należała do spisku na jego życie, wobec czego skazał ją, jak już o tym pisałem, na wygnanie.

Kiedy Kaligula, przerażony wiadomością o wypadzie Niemców za Ren (plotkę tę dla kawału rozpuścili jego żołnierze), uciekał do Rzymu, cała armia była skoncentrowana na jednym miejscu. Wielkie odcinki rzeki były pozbawione straży. Wiadomość o tym, jak również o potajemnej ucieczce Kaliguli, wnet dotarła do Niemców. Korzystając ze sposobności znacznie ich siły przekroczyły Ren i osiedliły się na naszym terytorium, gdzie wyrządziły niemało szkód. Najeźdźcy ci należeli do plemienia Chattów, czyli „Górskich Kotów”; kot bowiem był ich godłem. Mieli obronne grodziszczą w górzystej okolicy między Renem a górną Wezerą. Brat mój Germanik wyrażał się o nich z uznaniem jako o najlepszych wojownikach niemieckich. W bitwie zachowywali szyk, słuchali dowódców całkiem jak Rzymianie, na noc zwykli się okopywać i wystawiać straże - rzadki u plemion niemieckich dowód przezorności. Dopiero po kilkumiesięcznych bojach, poniosłszy dotkliwie straty w ludziach, zdołał ich Galba wyprzeć i przepędzić z powrotem za Ren.

Galba był zwolennikiem surowej dyscypliny. Pod tym względem Getulik, choć zdolny dowódca, grzeszył zbytnią pobłażliwością. Tego dnia, kiedy Galba przyjechał do Moguncji, żeby objąć komendę, żołnierze byli na igrzyskach ku czci Kaliguli. Jeden z szchwaczy dał dowody niemałej zręczności, kładąc trupem panterę, i wszyscy żołnierze zaczęli z całych sił klaskać.

- Zachować spokój! - zawołał Galba, zaledwie wszedł do łoży generalskiej. - Od dziś obejmuję komendę i nie pozwolę na żadne wykroczenia przeciw dyscyplinie.

Istotnie dotrzymał tej obietnicy, a jak na surowego dowódcę zyskał sobie niezwykłą popularność. Osobiści nieprzyjaciele nazywali go liczykrupą, niesłusznie jednak. Był tylko z natury bardzo powściągliwy. Liczył się z pieniędzmi, tępił rozrzutność w korpusie oficerskim i wymagał od swych podwładnych dokładnego rozliczania się z wydatków. Kiedy przyszła wiadomość o zamordowaniu Kaliguli, przyjaciele nalegali, aby na czele korpusu ruszył na Rzym; jest przecież jedynym człowiekiem zdolnym do pokierowania sprawami państwa.

- Ruszyć na Rzym i pozostawić Ren bez opieki? - zdziwił się Galba. - Za kogóż mnie macie? A zresztą - dodał - z tego, co słyszę, ten Klaudiusz jest pracowitym i skromnym człowiekiem. Wprawdzie niektórzy z was uważają go za głupca, lecz co do mnie, nigdy bym się nie odważył nazwać głupcem członka rodziny cesarskiej, któremu szczęśliwie udało się przeżyć panowanie Augusta, Tyberiusza i Kaliguli. Sądzę, że w dzisiejszych warunkach wybór ten jest trafny, i z radością złożę Klaudiuszowi przysięgę na wierność. Powiadacie, że nie jest żołnierzem. Tym lepiej. Znajomość wojennego kunsztu czasem wcale nie bywa błogosławieństwem dla naczelnego wodza. Boski August, którego wspominam z największą czcią, na stare lata miał skłonność nękać swoich generałów zbyt szczegółowymi instrukcjami i wskazówkami. Wojna bałkańska nie przewlekłaby się tak długo, gdyby siedząc daleko na tyłach nie był się uparł, aby staczano bitwy w tych samych warunkach, w jakich on je stoczył przed

czterdziestu laty, kiedy osobiście wyruszył na czele armii. Przypuszczam, że Klaudiusz w tym wieku nie zechce wyruszyć w pole ani zmieniać decyzji generałów w sprawach, na których się nie zna. Posiada jednak wykształcenie historyczne, a w ogólnych zasadach strategii orientuje się na tyle, że niejeden naczelnny wódz, posiadający bieżące doświadczenie bojowe, mógłby mu pozazdrościć.

O tych uwagach Galby opowiadał mi później jeden z jego oficerów. Własnoręcznym pismem podziękowałem generałowi za dobrą o mnie opinię. Może liczyć na to - zaznaczyłem - że pozostawię swym generałom wolną rękę w kampaniach prowadzonych z mego upoważnienia lub rozkazu. Pozostawiam sobie tylko decyzję, czy wyprawa ma mieć charakter podboju, czy ekspedycji karnej. W pierwszym wypadku siła ma być łagodzona przez ludzkość: należy o ile możliwości oszczędzać zdobyte miasta, wioski, zboże, unikać bezczeszczenia miejscowych bóstw, nie pozwalać na wyrzucanie w pień nieprzyjaciela pokonanego w bitwie. Podczas ekspedycji karnej zbyteczna jest wszelka litość. Zbiory, wioski, miasta, świątynie należy jak najdokładniej niszczyć; mieszkańców, których nie opłaci się brać w niewolę, mordować. Zastrzegłem też sobie prawo oznaczania maksymalnej liczby rezerw, które mogą być powołane, i największej dopuszczalnej liczby strat w obywatelach rzymskich. W porozumieniu z głównodowodzącym miałem z góry dokładnie oznaczać, przeciw jakim obiektom zwróci się atak, a głównodowodzący obowiązany był mi określić, ilu dni czy miesięcy potrzebuje na ich zdobycie. We wszelkich strategicznych i taktycznych zarządzeniach pozostawiłem Galbie zupełną swobodę; tylko w wypadku, gdyby odnośnych obiektów nie zajęto we wskazanym czasie lub straty rzymskie przekroczyły ustaloną liczbę, zastrzegłem sobie prawo osobistego poprowadzenia kampanii i ściągnięcia posiłków, jakie uznam za stosowne.

Pisząc ten list planowałem wyprawę Galby przeciw Chattom. Miała to być wyprawa karna, gdyż nie życzyłem sobie powiększenia obszaru cesarstwa

przez podboje terenów za naturalną i oczywistą granicą Renu. Z chwilą jednak, kiedy Chattowie i północny szczepek Istewonów pozwalał sobie na lekceważenie tej granicy, trzeba było dać im dobrą nauczkę dla utrzymania prestiżu Rzymu. Mój brat Germanik twierdził, że szacunek Niemców można zyskać tylko brutalnym traktowaniem ich i że są jedynym na świecie ludem, do którego można tę metodę skutecznie stosować. Hiszpanów, na przykład, zdobywca może pozyskać sobie dwornością, Francuzów bogactwem, Greków okazywaniem poszanowania dla dzieł sztuki, Żydów nieskazitelnością charakteru, Afrykańczyków spokojem, autorytatywnym postępowaniem. Na Niemcach jednak żadna z tych taktyk nie wywiera wrażenia, Niemców trzeba stłuc na miazgę, a gdy się dźwigają, znowu stłuc, i tłuc, kiedy leżą jęcząc. „Dopóki bowiem dolegają im rany, dopóty czczą rękę, która je zadała.”

W tym czasie, kiedy Galba gotował się do wymarszu, musiałem zarządzić drugą karną wyprawę przeciw Istewonom; na czele jej miał stanąć komendant czterech pułków nadreńskich, Gabiniusz. Wyprawa ta w większym stopniu zaprzętała moją myśl niż pierwsza, nie miała bowiem charakteru wyłącznie karnej ekspedycji. Zanim wydałem rozkazy Gabiniuszowi, złożyłem ofiary w świątyni Augusta i prywatnie zawiadomiłem boga, że mam zamiar do końca doprowadzić dzieło, którego nie było danym spełnić memu bratu Germanikowi. Wiem dobrze, mówiłem, że sprawa ta jemu, Augustowi, bardzo leży na sercu. Chodzi bowiem o odebranie trzeciego i ostatniego z trzech orłów straconych przez Warusa. Orzeł ten od trzydziestu lat wciąż jeszcze znajdował się w rękach niemieckich. Germanik, przypomniałem bogu, jednego orła odzyskał w rok po jego deifikacji, a drugiego w następnym okresie kampanii. Tyberiusz jednak odwołał mego brata, zanim w ostatniej bitwie zdołał rozbić w pył siły niemieckie, pomścić klęskę Warusa i odzyskać brakującego orła. Tym razem, prosiłem boga, niech zechce sprzyjać memu orężowi i uratuje honor imienia rzymskiego. Kiedy z ołtarza wzbił się w górę dym, wydawało mi się, że posąg Augusta wyciągnął rękę jakby do błogosławieństwa i skinął mi głową. Możliwe,

że było to tylko złudzenie wywołane dymem, ale wziąłem je za dobrą wróżbę.

Co najważniejsze, wiedziałem, a przynajmniej byłem przekonany, że wiem, gdzie Niemcy ukryli orła. Dumą napęłniał mnie sposób, w jaki zdobyłem tę wiadomość. Moi poprzednicy wpadliby na ten sam pomysł, gdyby się byli choć trochę zastanowili, ale stało się inaczej. Sprawiało mi zawsze rzetelną przyjemność, ilekroć mogłem się przekonać, że wcale nie jestem taki głupi, za jakiego mnie uważano, i że w niektórych sprawach potrafię sobie lepiej dać radę niż oni. Przyszło mi mianowicie do głowy, że w batalionie straży pałacowej, złożonej z jeńców niemieckich pochodzących prawie ze wszystkich stron Niemiec, musi znajdować się jakieś pół tuzina ludzi, którzy wiedzą, gdzie ukryto orła. Wprawdzie już Kaligula pewnego razu podczas przeglądu wojsk poruszył tę sprawę, ofiarowując wolność i wielką sumę pieniędzy w zamian za informację, ale na twarzach żołnierzy od razu odmalowało się zmieszanie i żaden z nich zdawał się nic nie wiedzieć. Postanowiłem więc spróbować na innej drodze nakłonić ich do wyjawienia tajemnicy. Urządziłem pewnego dnia przegląd całego batalionu i przemówiłem do żołnierzy szczególnie serdecznie. Oświadczyłem, że w nagrodę za wierną służbę chcę im dać nie znany dotychczas dowód mojej przychylności. Wszystkich żołnierzy, którzy wysłużyli dwadzieścia pięć lat, odeślę do Niemiec, do ich drogiej, kochanej ojczyzny, o której po nocach zawodzą smętne pieśni. Chętnie, ciągnąłem, obdarzyłbym ich na drogę złotem, bronią, końmi i różnymi innymi podarunkami. Niestety, nie mogę tego uczynić. Nie mogę nawet pozwolić, aby zabrali z sobą za Ren cokolwiek z tego, czego się tu dorobili. Na przeszkodzie stoi utrata orła. Ambicja rzymska nie może pogodzić się z myślą, że świętego godła nie zwrócono, i wywarłoby na ludności stolicy bardzo złe wrażenie, gdybym ludzi, którzy wzięli udział w pogromie armii Warusa, nie tylko uwolnił, ale jeszcze ponadto obdarował. Lecz przecież tym, którzy naprawdę kochają ojczyznę, wolność jest milsza od złota; jestem więc pewien, że przyjmą mój dar z równie wdzięcznym sercem, z jakim go ofiarowuję. Nie żądam, dodałem, aby odkryli

mi miejsce, gdzie schowano orła. Jest to niewątpliwie tajemnicą i prawdopodobnie przysięgli na swoich bogów, że nikomu jej nie zdradzą. Nie chcą nikogo przekupstwem nakłaniać do wiarołomstwa, jak mój poprzednik. W ciągu dwóch dni, zakończyłem, wszystkich żołnierzy mających dwadzieścia pięć lat służby odeśle z powrotem za Ren pod eskortą, która zapewni im zupełne bezpieczeństwo.

Na tym przegląd się skończył. Dalszy rozwój wypadków nastąpił zgodnie z moimi przewidywaniami. Weterani niemieccy mieli tyleż ochoty powrócić do Niemiec, co Rzymianie, wzięci do niewoli przez Fartów po bitwie pod Karre, do Rzymu. Dopiero bowiem po trzydziestu latach Marek Wipsaniusz Agryppa zawarł z królem partyjskim układ o wymianie jeńców, którzy przez ten czas zadomowili się w Partii, pożenili z tamtejszymi kobietami, założyli rodziny, wzbogacili się i prawie zapomnieli o przeszłości. Żołnierzom niemieckim, choć byli właściwie niewolnikami, życie upływało w Rzymie wygodnie i beztrosko, a ich tęsknota za ojczyzną płynęła nie tyle z prawdziwego uczucia, ile z pijackiego rozrzewnienia. Stawili się przede mną wszyscy, jak jeden mąż, i prosili o pozostawienie ich w służbie. Wielu z nich, żyjąc z niewolnicami zatrudnionymi w pałacu, doczekało się już dzieci i wnuków, a wszyscy dzięki szczodroblewości Kaliguli urządzili się całkiem wygodnie. Przyjąłem ich z udanym gniewem. Skoro, mówiłem, odmawiają przyjęcia tak bezcennego daru jak wolność, nie są niczym innym, jak niewdzięcznymi nikczemnikami, których usług nie potrzebuję dłużej. Zaczęli przeproszać i prosić, żebym przynajmniej pozwolił im zabrać ze sobą rodziny. Odmówiłem wspominając znów o orle. Wtedy jeden z nich, jakiś Cherusk, zawołał:

- Wszystko to wina tych przeklętych Chauków! Dlatego że oni przysięgli dotrzymać tajemnicy, my, reszta niewinnych Niemców, musimy cierpieć!

Na to właśnie czekałem. Kazałem odejść wszystkim, zatrzymując tylko przedstawicieli Wielkich i Małych Chauków. (Chaukowie żyją na północnym wybrzeżu pomiędzy jeziorami holenderskimi a Łabą; byli sprzymierzeńcami

Hermana.)

- Nie mam zamiaru pytać was - rzekłem - gdzie znajduje się orzeł, lecz jeśli który nie złożył przysięgi, proszę, niech mi od razu powie.

Chaukowie Wielcy, która to nazwa obejmuje część plemienia mieszkającego na zachodzie, oświadczyli, że nie składali takiej przysięgi. Uwierzyłem im, gdyż drugi z odzyskanych przez Germanika orłów znajdował się właśnie w ich świątyni. Nieprawdopodobne, żeby jednemu z plemion przy rozdziale łupów przypadły aż dwa orły.

Zwróciłem się wtedy do przywódcy Małych Chauków:

- Nie żądam, żebyś mi powiedział, gdzie znajduje się orzeł ani na jakiego boga złożyłeś przysięgę, lecz może zechcesz mi wyjawić, w jakim mieście czy w jakiej wsi przysięgałeś. Jeżeli mi to powiesz, cofnę swój rozkaz odesłania was do ojczyzny.

- Nawet to byłoby złamaniem przysięgi, Cezarze.

Użyłem wtedy starego fortelu, o którym czytałem w jakimś dziele historycznym. Pewien sędzia fenicki, przyjechawszy na sesję do jakiejś wioski, chciał się dowiedzieć, gdzie ukryto skradziony złoty kubek. Oświadczył, że uwalnia oskarżonego o ten czyn mieszkańca, nie uważa go bowiem za zdolnego do kradzieży, a następnie zwrócił się doń z prośbą, żeby mu pokazał wieś. Obeszli wszystkie ulice z wyjątkiem jednej. Wtedy sędzia ponownie przeprowadził śledztwo i dowiedział się, że na tej ulicy mieszka kochanka oskarżonego. W jej domu pod strzechą znaleziono ukryty kubek. Przypomniawszy sobie tę historię rzekłem:

- Nie będę więc dłużej nalegał - i zwracając się do innego z Chauków, którego zmieszany wyraz twarzy i spode łba rzucane spojrzenia wskazywały, że również zna tajemnicę, odezwałem się w tonie towarzyskiej rozmowy: - Może zechcesz mi powiedzieć, w jakich miastach czy wioskach waszego kraju znajdują się świątynie niemieckiego Herkulesa. - Przypuszczałem bowiem, że orła ofiarowano temu właśnie bogu. Zapytany wymienił siedem nazw, które

zanotowałem. - Czy to wszystko? - spytałem.

- Więcej nie pamiętam.

Zwróciłem się do Wielkich Chauków:

- Chyba na tak obszernym terytorium, jak Mała Chaucja, między Wezerą a Łabą istnieje więcej niż siedem świątyń Herkulesa?

- O tak, Cezarze - odpowiedzieli. - On nie wspomniał o najsłynniejszej, która znajduje się w Bremie, na wschodnim wybrzeżu Wezery.

Dzięki temu mogłem napisać do Gabiniusza:

„Przypuszczam, że znajdziesz orła schowanego w świątyni niemieckiego Herkulesa w Bremie, na lewym brzegu Wezery. Nie trać czasu na rozprawę z Istewonami, lecz w zwartym szyku przemaszeruj prosto przez ich terytorium, a następnie przez kraj Anzibarów. Odzyskaj orła, a w drodze powrotnej niszcź ogniem i mieczem i plądruj, co tylko napotkasz na drodze.”

Póki pamiętam, chcę wam przy sposobności opowiedzieć inną historię o złotym kubku. Zaprosiłem pewną liczbę prowincjonalnego rycerstwa na wieczerzę. I - czy mi uwierzycie? - jeden z tych drabów zabrał z sobą złoty, cyzelowany kubek, który stał przed nim na stole. Nie powiedziałem ani słowa, zaprosiłem go tylko następnego dnia znowu na wieczerzę i kazałem postawić przed nim kamienny kubek. Napędziło mu to widać strachu, gdyż nazajutrz odesłał kubek i napisał uniżony list. Przepraszał mnie pokornie i wyjaśniał, że ośmielił się pożyczyć kubek tylko na okres dwu dni w tym celu, aby złotnik mógł wykonać dokładną kopię, chciał bowiem mieć pamiątkę, która by mu codziennie, do końca życia, przypominała o niezwykłym zaszczycie, jakiego doznał zasiadając ze mną przy jednym stole. W odpowiedzi posłałem mu kamienny kubek, prosząc o złotą kopię na pamiątkę tego miłego nieporozumienia.

Termin wymarszu Galby i Gabiniusza wyznaczyłem na maj; we Francji i w Italii przeprowadziłem pobór rekruta i stan każdej z obu armii powiększyłem do liczby sześciu pułków, z czego dwa miały pozostać na straży górnego Renu,

dwa - dolnego. Ustaliłem następnie maksimum strat - dwa tysiące żołnierzy na każdą wyprawę - i zdecydowałem, że operacje wojenne należy ukończyć do lipca, a po tym terminie wojska winny znaleźć się w drodze powrotnej. Armia Galby miała dojść do linii trzech miast: Nauasium, Gravinarium, Melcovaus, wzniesionych jeszcze za rządów rzymskich, a leżących równolegle do Renu, w odległości jakichś stu mil od Moguncji.

Nie mogąc wdawać się w szczegóły zaznaczę tylko, że obydwie kampanie zostały zakończone pełnym sukcesem. Galba zburzył sto pięćdziesiąt obronnych wsi, zniszczył zbiory na przestrzeni tysięcy mórg, zabił wielką ilość zbrojnych i bezbronnych mieszkańców i złupił trzy miasta. Wszystko to do połowy czerwca. Wziął około dwu tysięcy jeńców obojga płci, w czym wielu mężczyzn i kobiet ze znakomitych rodów, którzy mieli nam służyć jako rękojmia lojalnego zachowania się Chattów w przyszłości. Stracił tysiąc ludzi, licząc w tym zabitych i niezdolnych do noszenia broni; w tym czterystu Rzymian. Gabiniusz miał trudniejsze zadanie i wykonał je straciwszy zaledwie ośmiuset ludzi. Zrealizował plan, który przyszedł mi na myśl w ostatniej dopiero chwili. Zamiast pomaszerować wprost na Bremę wkroczył na terytorium Angrywarów, mieszkających na południe od Małych Chauków, i stamtąd wysłał lotny oddział kawalerii w kierunku Bremy licząc, że uda mu się zająć miasto, zanim Chaukowie uznają za właściwe przenieść orła do bezpieczniejszej kryjówki. Plan udał się całkowicie. Gabiniusz, który osobiście dowodził konnicą, znalazł orła we wskazanym przeze mnie miejscu. Uradowany powodzeniem ściągnął resztę sił i ruszył prosto przez całą Chaucję Małą. Po odrodzę puścił z dymem wszystkie, aż do ostatniej, drewniane kapliczki Herkulesa. Wprawdzie nie spustoszył wsi i nie zniszczył zbiorów tak metodycznie jak Galba, ale dał porządną nauczkę Istewonom i wziął dwa tysiące jeńców.

Nowiny o odzyskaniu orła przysły do Rzymu równocześnie z wiadomością o złupionych przez Galbę miastach i senat bezzwłocznie nadał mi tytuł imperatora, który tym razem przyjąłem. Doszedłem do przekonania, że

zasłużyłem nań: oznaczyłem przecież miejsce, w którym znajdował się orzeł; wpadłem na pomysł długodystansowego rajdu kawaleryjskiego i dołożyłem starań, aby obydwie wyprawy zaskoczyły nieprzyjaciół całkiem niespodziewanie. Nikt o niczym nie wiedział, aż do chwili kiedy podpisałem rozkaz, który powoływał pod broń francuskie i italskie zaciągi i kazał im wyruszyć w ciągu trzech dni nad Ren. Galba i Gabiniusz otrzymali odznaki triumfalne. Gdyby nie to, że wyprawy miały charakter karny, byłbym obu wodzom nadał prawo do uroczystego wjazdu do miasta. Nakłoniłem jednak senat, aby odznaczył Gabiniusza na pamiątkę jego czynów dziedzicznym przydomkiem „Chaucyjskiego”. Orła przeniesiono w uroczystej procesji do świątyni Augusta, któremu złożyłem dziękczynne ofiary za okazaną pomoc; ponadto ofiarowałem jako wotum drewniane wrota świątyni, w której znaleziono orła. Gabiniusz przysłał mi je w podarunku. Samego orła nie mogłem ofiarować Augustowi, gdyż miał już przygotowany postument w świątyni Marsa Mściciela, między dwoma poprzednio odzyskanymi orłami. Duma rozsadzała mi piersi, kiedy później tam go umieszczałem.

Żołnierze układali obozowe pieśni opiewające odzyskanie orła, ale tym razem nie wzorowali się na oryginalnej pieśni o Trzech zgryzotach cesarza Augusta, lecz ułożyli całkiem nową pod tytułem Klaudiusz i orzeł. Nie można powiedzieć, żebym w utworze tym był przedstawiony szczególnie pochlebnie, ale kilka wierszy sprawiło mi przyjemność. W pieśni opisywano mnie jako zupełnego idiotę, który popełnia na każdym kroku szereg śmiesznych dziwactw: miesza zupę nogą, goli się grzebieniem, w łaźni pije oliwę służącą do nacierania ciała, a naciera się winem, które ma wypić. Posiadałem za to zdumiewającą wiedzę: znałem nazwy wszystkich gwiazd na niebie, mogłem recytować z pamięci wszystkie poezje, jakie kiedykolwiek ktokolwiek napisał, i przeczytałem wszystkie książki wszystkich bibliotek całego świata. Dzięki tej wiedzy tylko ja mogłem wskazać Rzymianom, gdzie ukryto orła, którego przez trzydzieści lat daremnie szukano. Pierwsza część pieśni w dramatyczny sposób

opisywała, jak gwardia pałacowa obwołała mnie cesarzem. Chcąc czytelnikom dać pewne wyobrażenie o tym utworze, zamieszczam poniżej trzy strofy:

*Klaudiusz z lękiem skrył się za kotarą,
Gratus go stamtąd wywleka.
„Rządź nam i przewodź! - rzecze dzielny Gratus -
Wojsko rozkazów twych czeka.*

*Rządź nam i przewodź, uczony Klaudiuszu,
do dzieła przystępuj śmiało.
Musim odzyskać dla Augusta orła
i nową okryć się chwałą.”*

*Uczony Klaudiusz poczuł pragnienie,
łyknął inkaustu i pyta:
„O sowę chodzi czy też o orła?
Dam wam oboje, i kwita.”*

Z początkiem kwietnia, w dwadzieścia dni po nadaniu mi przez senat tytułu imperatora, Messalina powiła syna. Po raz pierwszy w życiu odczułem ojcowską dumę. Dla mego syna Druzylla, który umarł przed dwudziestu laty jako jedenastoletni chłopiec, nie miałem w ogóle żadnego cieplejszego uczucia, a bardzo niewiele dla mojej córki Antonii, choć była bardzo dobrym dzieckiem. Wpływało to stąd, że zarówno małżeństwo z matką Druzylla, Urgulanillą, jak i matką Antonii, Elią, zawierałem pod przymusem, toteż z obiema się rozwiodłem, skoro tylko sytuacja polityczna mi na to pozwoliła. Messalinę natomiast kochałem z całego serca i rzadko chyba ktoś tak naprzykrzał się Lucinie, rzymskiej patronce porodów, modlitwami i ofiarami, jak ja w ciągu ostatnich dwu miesięcy ciąży Messaliny. Dziecko przyszło na świat

zdrowiuteńkie i otrzymało, jako jedyny syn, zgodnie ze zwyczajem wszystkie moje imiona. Ogłosiłem jednak, że używać będzie na co dzień tylko dwu: Druzus Germanik.

Wiedziałem, że wywrze to dobre wrażenie w Niemczech. Pierwszym Druzusem Germanikiem, który - przed pięćdziesięciu z górą laty - sprawił, że na dźwięk imienia rzymskiego drżały ludy zareńskie, był mój ojciec; drugim - w dwadzieścia pięć lat później - mój brat. Ja też byłem Druzusem Germanikiem. I czyż niedawno nie odzyskałem straconego orła? W następnym ćwierćwieczu historia niewątpliwie się powtórzy i mój mały Germanik znów wyrznie z parędziesiąt tysięcy niemieckiego plugastwa. Niemcy bowiem, niby krzaki głogu na skraju pola, mnożą się szybko; trzeba ich tępić ogniem i mieczem, aby zbyt się nie rozkrzewili. Kiedy syn mój miał kilka miesięcy i mogłem go już bez ryzyka brać na ręce, obnosiłem malca po terenach pałacowych i pokazywałem żołnierzom; byli doń równie przywiązani jak ja. Przypominałem, że to pierwszy od czasów wielkiego Juliusza potomek Cezarów, który urodził się dziedzicem tego imienia. Wszyscy inni bowiem - August, Marcel, Gajusz, Lucjusz, Postum, Tyberiusz, Kastor, Neron, Druzus, Kaligula - zyskali je tylko przez adopcję. Uniesiony dumą, popełniłem jednak przy tym małą pomyłkę. Kaligula mianowicie urodził się w dwa czy trzy lata po adopcji jego ojca, a mego brata Germanika, przez Augusta (Cezara, dzięki adopcji przez Juliusza), czyli przyszedł na świat już jako Cezar, które to imię nie przysługiwało od urodzenia jego starszym braciom, Neronowi i Druzusowi. Pomyłka wynikła stąd, że Kaligulę adoptował Tyberiusz (Cezar, dzięki adopcji przez Augusta) dopiero w dwudziestym trzecim roku swego życia.

Pomimo mego życzenia Messalina nie chciała własną piersią karmić naszego małego Germanika, lecz poszukała dlań mamki. Mówiła, że ma zbyt wiele zajęć, aby mogła karmić dziecko. Zapomniała jednak, że karmienie zabezpiecza przed zajściem w ciążę, a ciąża w większym stopniu zagraża zdrowiu kobiety i bardziej przeszkadza jej w pracy niż karmienie. I rzeczywiście

tak się fatalnie złożyło, że w jedenaście zaledwie miesięcy po urodzeniu Germanika Messalina wydała na świat Oktawie.

Zbiory nie dopisały w tym roku, a w spichrzach były tak szczupłe zapasy, że zaniepokojony zmniejszyłem znacznie codzienne racje zboża, co ubożsi obywatele uważali za naruszenie ich najświętszego prawa. I tę jednak wysokość racji utrzymałem tylko dzięki temu, że poleciłem zakupywać zboże ze wszystkich możliwych źródeł. Do serca ludu droga wiedzie przez żołądek: w środku zimy, zanim zaczęły nadpływać transporty z Afryki i Egiptu (gdzie, na szczęście, zwykły urodzaj dopisał), w uboższych dzielnicach stolicy dochodziło często do rozruchów i wiele gadano o rewolucji.

Rozdział XI

W tym czasie inżynierowie, którym poleciłem zbadać, czy istnieje możliwość uczynienia Ostii bezpiecznym portem, przedstawili mi swoje sprawozdanie. Na pierwszy rzut oka nie wyglądało ono zachęcająco: dziesięć milionów aureusów i dziesięć lat pracy! Przypomniałem sobie jednak, że dokonawszy tego wysiłku będziemy mieli raz na zawsze bezpieczny port i nigdy więcej, a przynajmniej dopóki Egipt i Afryka będą w naszych rękach, nie powtórzy się klęska głodu. Oto dzieło godne wielkości i dostojności Rzymu - pomyślałem.

Przede wszystkim trzeba było spory szmat lądu zmienić w głęboki basen i z obu jego stron zbudować dwie silne tamy z solidnego materiału; dopiero potem można by było do tego basenu wpuścić morze. W ten sposób tworzyłby się wewnętrzny port; po obu stronach wejścia musiał być zabezpieczony dwoma wielkimi molami, zbudowanymi w głębokiej wodzie; w środku miała się znajdować wysepka, na której załamywałyby się fale w czasie wiatru zachodniego, pędzącego wielkie masy wód wprost ku ujściu Tybru. Projekt przewidywał ustawienie na wysepce latarni morskiej, na wzór aleksandryjskiej, która by nawet w ciemną i burzliwą noc wskazywała żeglarzom bezpieczną drogę. Wyspa i mola miały tworzyć zewnętrzny port.

- Spełniliśmy twój rozkaz, Cezarze - rzekli inżynierowie przedstawiając mi plany. - Ale ze względu na koszt przedsięwzięcie wydaje nam się nierealne.

- Prosiłem was o plan i o kosztorys - rzekłem ostro. - I bardzo jestem wdzięczny za dostarczenie obu. Nie mam jednak zamiaru powoływać was na doradców finansowych i byłbym bardzo zobowiązany, gdybyście zechcieli tego stanowiska sobie nie usurpować.

- Lecz przecież wielki skarbnik, Kalist... - zaczął jeden z nich.

- Oczywiście, Kalist już rozmawiał z wami - przerwałem. - Jest on bardzo

przezorny, jeśli chodzi o pieniądze publiczne. Zupełnie słusznie. Ale oszczędności nie można jednak posuwać zbyt daleko. Budowa portu jest zagadnieniem niezwykle doniosłym. Zresztą nie zdziwiłbym się, gdyby mi powiedziano, że namówili was do złożenia tak mało zachęcającego sprawozdania agenci zbożowi. Im skąpiej zboża, tym więcej oni zgarniają pieniędzy. Modlą się o niepogodę i tuczą nieszczęściem biedoty.

- Och, Cezarze! - zawołali chóralnie tonem skrzywdzonej cnoty. - Jak możesz podejrzewać nas o braniu łapówek od pośredników zbożowych?

Widziałem, że pocisk nie chybił celu.

- Powiedziałem „namówili”, a nie „przekupili”. Nie oskarżajcie się bez potrzeby. A teraz posłuchajcie i wbijcie to sobie do głów: jestem zdecydowany zrealizować ten plan bez względu na koszt. I zapewniam was, że wykonanie go nie będzie nawet w przybliżeniu kosztowało tyle pieniędzy i tyle czasu. Za trzy dni rozważymy całą sprawę dokładnie.

Idąc za radą mego sekretarza Polibiusza poszperałem w archiwum pałacowym i bez trudu znalazłem dokładne plany tego samego przedsięwzięcia, wykonane przed dziewięćdziesięciu laty przez inżynierów Juliusza Cezara. Były one identyczne jak dostarczone obecnie, lecz, co z przyjemnością stwierdziłem, oceniały koszty budowy na cztery miliony, a czas na cztery lata. Przyjmując lekką zwyżkę w cenach budulca i robocizny doszedłem do przekonania, że można wykonać projekt za połowę przewidywanej przez mych inżynierów sumy i w ciągu czterech lat, nie dziesięciu. W pewnych szczegółach stary plan (zaniechany jako zbyt kosztowny) był bliźniaczo podobny do nowego; brakowało tylko wyspy. Przystudiowałem dokładnie obydwa plany, porównałem różnice, a następnie w towarzystwie Witeliusza, który znał się doskonale na robotach inżynierskich, udałem się do Ostii, aby zbadać na miejscu, czy od czasów Juliusza nie zaszły jakieś poważniejsze zmiany w terenie. Na konferencję przyszedłem tak obładowany wiadomościami, że nie sposób było oszukiwać mnie dłużej; inżynierowie nie mogli już bezkarnie zmniejszać liczb,

na przykład furgonów ziemi, którą stu ludzi w ciągu jednego dnia może przesyłać z jednego miejsca na drugie, czy twierdzić, że basen będzie wymagał wycięcia tyłu a tyłu stóp kwadratowych litej skały. Orientowałem się teraz równie dobrze jak oni. Nie przyznałem się jednak ani słowem, w jaki sposób zdobyłem tę wiedzę. Pozwoliłem się domyślać, że inżynierii poduczyłem się w czasie moich historycznych studiów, a parę wizyt w Ostii wystarczyło, żebym opanował cały problem i wyciągnął własne wnioski. Wykorzystując wielkie wrażenie, jakie wywarła na inżynierach moja wiedza, zapowiedziałem, że jeśli spróbują przewlec roboty lub będą zdradzać brak entuzjazmu, wyślę wszystkich do podziemi; niech tam Charonowi zbudują nowy bulwar nad Styksem. Prace portowe należy rozpocząć bezzwłocznie. Ludzi dostaną tyłu, ilu potrzebują - w granicach do trzydziestu tysięcy - a ponadto tysiąc majstrów z oddziałów wojskowych, wszystkie materiały, narzędzia i środki transportowe. Muszą jednak zaczynać od razu.

Następnie zawołałem Kalista i zawiadomiłem go o mej decyzji. Podniósł ręce do góry i przewrócił oczami z wyrazem rozpacz. Prosiłem go, żeby zaprzestał komedii.

- Ależ, Cezarze, skąd weźmiemy pieniędzy? - zabeczał żałośnie jak owca.

- Od agentów zbożowych, głupcze. Podaj mi nazwiska głównych członków giełdy zbożowej, a ja postaram się, żebyśmy dostali więcej, niż potrzeba.

Po godzinie sześciu najbogatszych pośredników stołecznych stało przede mną. Na początek napędziłem im strachu.

- Moi inżynierowie - rzekłem - donieśli mi, że ofiarowywaliście im łapówkę w zamian za ujemne zreferowanie sprawy budowy portu w Ostii. Na tego rodzaju przestępstwo nie mogę patrzeć przez palce. Muszę was potraktować jako spiskowców zagrażających życiu współobywateli. Zasługujecie na to, aby was rzucić na pożarcie dzikim zwierzętom.

Ze łzami w oczach przysięgali, że zarzut jest nieprawdziwy, i błagali,

abym wskazał, w jaki sposób mogą dowieść swojej lojalności.

- Bardzo prosty - odrzekłem. - Wystarczy, jeśli bezzwłocznie pożyczycie mi milion aureusów na budowę portu. Sumę tę spłacę, jak tylko ogólna sytuacja finansowa mi na to pozwoli.

Usiłowali mnie przekonać, że ich cały majątek razem nie wynosi połowy tej sumy. Pod tym względem miałem jednak dokładniejsze wiadomości. Dałem im miesiąc czasu na zebranie pieniędzy i ostrzegłem, że jeżeli mi ich w tym terminie nie dostarczą, wygnam ich nad Morze Czarne albo jeszcze dalej.

- I pamiętajcie - dodałem - że ten port będzie moim portem. Jeżeli zechcecie zeń korzystać, będziecie musieli prosić mnie o pozwolenie. Radzę wam więc żyć ze mną w zgodzie.

Pieniądze wypłacono w ciągu pięciu dni. Od razu też przystąpiliśmy do robót. Stanęły baraki dla robotników i rozdzielono między ludzi pracę. Muszę przyznać, że w takich momentach miło jest być władcą: móc dokonywać wielkich czynów i jednym słowem zamykać usta głupiej opozycji. Ciągle jednak pamiętałem, żeby władzę sprawować w ten sposób, aby nie opóźnić ewentualnego wskrzeszenia Rzeczypospolitej. Starłem się zachęcić ludzi do swobodnego wypowiedzenia poglądów i do odwagi politycznych przekonań, a unikałem traktowania mych zachcianek jako prawa, któremu musi ulegać cały Rzym. Było to bardzo trudne zadanie. W rezultacie wytworzyła się komiczna sytuacja: wolność słowa, odwaga przekonań, republikański idealizm stały się czymś narzuconym przez mój kaprys.

Chcąc uniknąć pozorów monarszej wyniosłości, dążyłem początkowo do tego, żeby każdy mógł mieć do mnie dostęp, i w rozmowach z współobywatelami używałem tonu swobodnego, przyjacielskiego. Już wkrótce jednak byłem zmuszony zachowywać między sobą a rozmówcami pewien dystans. I nie tylko dlatego, że mi brakło czasu na miłe pogawędki z każdym, kto przybywał do pałacu; raczej zmusili mnie do tego sami obywatele, którzy prócz nielicznych wyjątków bezczelnie nadużywali dobroci, z jaką się do nich

odnosiłem. Na moją serdeczną poufałość odpowiadali albo wyniosłą, ugrzecznioną ironią, jakby chcieli powiedzieć: „Nie nabierzesz nas”, albo beczelnym uśmiechem, zdającym się pytać: „Dlaczego nie postępujesz jak prawdziwy cesarz?”, albo udawali poufałość, a z oczu można im było wyczytać: „Jeśli jego cesarskiej mości podoba się lekceważyć etykietę i pragnie, żebyśmy i my stosownie do jego humoru ją lekceważyli, to proszę spojrzeć, jak sumiennie stosujemy się do jego woli. Lecz jeśli raczy się zmarszczyć, od razu gotowiśmy paść plackiem.”

W związku z budową portu Witeliusz powiedział kiedyś:

- Rzeczpospolita nigdy nie potrafi przeprowadzić robót publicznych na tak wielką skalę jak monarcha. Największe budowle świata, jak mury i wiszące ogrody Babilonu, mauzoleum w Halikarnasie, piramidy, wzniesli królowie lub królowe. Nie byłeś nigdy w Egipcie, nieprawdaż? Odbywałem tam w młodości służbę wojskową. Bogowie! Te piramidy!... Trudno wyrazić w słowach przygniatające wrażenie, jakie wywiera na człowieka ich majestat. Słyszymy o nich najpierw w dzieciństwie i pytamy się: „Cóż to są te piramidy?” „Olbrzymie kamienne groby egipskie o trójkątnym kształcie, bez żadnych ozdób, zwyczajnie pobielone gipsem” - brzmi odpowiedź. Pozornie nic nadzwyczajnego. Człowiek słyszy: „olbrzymie” groby, ale nie wyobraża sobie nic większego od dobrze mu znanych dużych budynków, jak - powiedzmy - świątynia Augusta, tam, po drugiej stronie, czy bazylika julijska. Potem przybywa do Egiptu i widzi z wielkiej odległości, hen w pustyni małe, białe plamki, niby namioty. „Doprawdy - dziwi się - tyle hałasu o nic.” Ale kiedy w kilka godzin później stanie z bliska i spojrzy ku górze: Nieba! Mówię ci, Cezarze, te piramidy są niewiarygodnie, wprost niemożliwie olbrzymie. Kiedy człowiek pomyśli, że to wszystko zbudowały ludzkie ręce, ogarnia go poczucie zupełnej bezsilności. Pierwszy widok Alp jest niczym w porównaniu z tym. Tak białe, tak gładkie, tak bezlitośnie nieśmiertelne... Taki przeraźliwy pomnik ludzkiego wzlotu...

- I głupoty, i okrucieństwa, i tyranii - przerwałem. - Król Cheops, który

zbudował największą piramidę, zrujnował swój bogaty kraj, wytoczył z niego wszystką krew, pozbawił ostatniego tchu - po to, żeby zadowolić swoją bezsensowną próżność, by móc zaimponować bogom swoją nadludzką mocą. I jakież był użytek z tej piramidy? Miała skryć w sobie zwłoki Cheopsa na całą wieczność. Tymczasem, jak czytałem, ten bezsensownie imponujący kurhan stał długi czas pustką. Królowie Hyksosów, którzy najechali kraj, odkryli tajne wejście, zrabowali wewnętrzną komnatę, a mumię dumnego Cheopsa podpalili.

Witeliusz się uśmiechnął.

- Nie widziałeś Wielkiej Piramidy, Cezarze, w przeciwnym razie nie mówiłbyś w ten sposób. Pustka dodaje jej majestatu. A jeśli chodzi o użyteczność, to oddaje ona niemałe usługi. Szczyt jej służy jako znak orientacyjny: wskazuje egipskim wieśniakom, że wody Nilu opadają i czas wyznaczyć na nowo granice pól w bezmiarze żyznego mułu.

- Wysoki słup oddałby te same usługi. A dwa wysokie słupy, postawione na każdym brzegu Nilu, okazałyby się jeszcze praktyczniejsze, a kosztowałyby niewiele. Cheops był szalony, podobnie jak Kaligula, lecz w szaleństwie bwym był bardziej konsekwentny. Kaligula natomiast, jak gwałtownie zapalał się do jakiegoś pomysłu, tak nagle gasł. Gdyby żył nawet sto lat, budowa miasta, które chciał wznieść nad wielką przełęczą w Alpach, niewiele postąpiłaby naprzód.

- Kaligula był bałwanem - zgodził się Witeliusz. - Z jego dzieł najbardziej jeszcze przypomina piramidy ów potężny okręt, na którym przewiózł skradziony aleksandryjczykom czerwony obelisk. To był bałwan i małpa w jednej osobie.

- O ile sobie przypominam, oddawaliście temu małpobałwanowi cześć boską.

- A o ile ja sobie przypominam, rada i przykład wyszły od ciebie, za co serdeczna należy ci się wdzięczność.

- Niech nam obu bogi przebaczą - mruknąłem. Rozmowę tę prowadziliśmy przed świątynią Jowisza Kapitońskiego, dopiero co bowiem ukończyliśmy obrzęd liturgicznego jej oczyszczenia. Niedawno na dachu

świątyni usiadła sowa z gatunku tak zwanych płomykówek, wróżących pożar budynku, na którym się zatrzymują, i trzeba było zły omen zażegnać.

- Czy widzisz? - spytałem wskazując palcem na drugą stronę doliny. - Oto część największego dzieła, jakie kiedykolwiek zbudowano. A chociaż władcy, jak August i Tyberiusz, przyłożyli do niego ręki i dbali o jego naprawę, to początek swój zawdzięcza wolnemu narodowi. Przetrwą niewątpliwie równie długo jak piramidy, oddając wszystkim nieskończenie więcej korzyści.

- Nie wiem, co masz na myśli? Wskazujesz, zdaje się, na pałac?

- Wskazuję na Drogę Appijską - odrzekłem uroczystym tonem. - Początek jej przypada na czasy cenzury mojego wielkiego przodka Appiusza Klaudiusza Ślepego. Gościniec rzymski jest największym pomnikiem, jaki szlachetny i wspaniałomyślny naród zbudował na użytek wolności ludzkiej. Biegnie przez góry, błota i rzeki. Jest szeroki, mocny i pewny. Łączy miasto z miastem, a naród z narodem. Ciągnie się tysiącami mil, a roi się na nim od wdzięcznych podróżnych. A kiedy Wielka Piramida, na paręset stóp wysoka i szeroka, nakazuje patrzącemu na nią milczenie - chociaż jest tylko grobowcem obrabowanym z nikczemnych zwłok i pomnikiem ucisku i nędzy, tak że patrząc na nią można jeszcze słyszeć trzask bicia dozorców i jęki lub westchnienia biedaków usiłujących ustawić na właściwym miejscu olbrzymie kamienne bloki... - W nagłym porywie elokwencji zapomniałem początku zdania. Przerwałem zmieszany, a Witeliusz pospieszył mi z pomocą. Podniósł dłonie do góry, przymknął oczy i zadeklamował: - Słów mi braknie, senatorowie. Nic nie jest w stanie wyrazić głębi moich uczuć. - Roześmieliśmy się obydwaj. Witeliusz był jednym z nielicznych moich przyjaciół, którzy odnosili się do mnie w sposób odpowiednio poufały. Nie wiem, czy ta jego swoboda w obcowaniu ze mną była naturalna, czy sztuczna; a jeśli sztuczna, to była tak świetną imitacją, że przyjmowałem ją za dobrą monetę. Nigdy bym nawet nie podejrzewał go o grę, gdyby poprzednio nie udawał tak doskonale uwielbienia dla Kaliguli i gdyby nie wypadek z pantoflem Messaliny. Oto jak się

przedstawiała ta historia.

Pewnego letniego dnia Messalina, Witeliusz i ja znajdowaliśmy się na schodach pałacowych, kiedy żona moja nagle zawołała:

- Zatrzymajcie się chwilę. Zgubiłam pantofel. - Witeliusz szybko zawrócił, podniósł zgubę i oddał Messalinie z głębokim ukłonem. Była oczarowana tą uprzejmością. - Klaudiuszu - rzekła z uśmiechem - nie będziesz chyba zazdrosny, jeżeli temu dzielnemu żołnierzowi, naszemu drogiemu przyjacielowi Witeliuszowi, który okazał tyle galanterii i uprzejmości, nadam Order Pantofla?

- Ale czy ty sama nie potrzebujesz pantofla, kochanie?

- Och, nie. W taki dzień jak dzisiaj przyjemniej jest chodzić boso. A przecież mam mnóstwo innych pantofelków.

Witeliusz pocałowawszy podany mu pantofel schował go w fałdach togi i stale nosił ze sobą. Pewnego razu, kiedy w serdecznej pogawędce ze mną zaczął się rozwodzić nad pięknnością, rozumem i hojnością Messaliny i moim niezwykłym szczęściem jako jej męża, wyjął pantofel i znowu go pocałował. Ilekroć ktoś w mojej obecności wychwalał Messalinę, jakieś miłe ciepło rozlewało mi się w piersiach, a czasami nawet łzy nabiegały do oczu. Nie mogłem wyjść z podziwu, skąd miała tyle uczucia dla starego, ułomnego i jękającego się nudziarza. A przecież przysięgała że je ma. Przecież nikt, przekonywałem sam siebie, nie może utrzymywać, że wyszła za mnie z wyrachowania. Kiedyśmy bowiem brali ślub, byłem bankrutem, a możliwość zostania cesarzową na pewno nigdy nie przyszła jej do głowy.

Port w Ostii nie był jedynym przedsięwzięciem, jakiego dokonałem w zakresie budowli publicznych. Sybilla kumejska, którą w przebraniu odwiedziłem jakieś dziesięć lat przed przywdzianiem purpury cesarskiej, przepowiedziała, że „dam Rzymowi wodę i pokarm w zimie” „Pokarm w zimie” to był port ostyjski; „woda” oznaczała dwa wielkie akwedukty, które zbudowałem. Ciekawa to rzecz z przepowiedniami. Człowiek może na przykład

usłyszeć przepowiednię jako młody chłopiec i przywiązuje do niej wielką wagę. Z czasem przysłania ją mgła niepamięci; zapomina się całkiem o przepowiedni, a nagle pewnego dnia mgła znika i widzimy, że przepowiednia się spełnia. Tak o wierszach Sybilli przypomniałem sobie dopiero wtedy, kiedy akwedukty były skończone i poświęcone i port w Ostii gotów. Przypuszczam jednak, że przez cały ten czas przepowiednia musiała tkwić gdzieś w głębi mojej duszy i była owym głosem bożym, który mi szeptał, abym podjął się tych wielkich dzieł.

Zbudowanie nowych akweduktów było palącą koniecznością; dotychczas stolica, choć zaopatrzona w wodę obficie niż jakiegokolwiek inne miasto, odczuwała w stosunku do swego zapotrzebowania brak wodociągów. My, Rzymianie, lubimy świeżą wodę, a Rzym jest miastem basenów, sadzawek i wodotrysków. Chociaż więc zaopatrywało nas nie mniej niż siedem akweduktów, bogatsi mieszkańcy, uzyskawszy pozwolenie połączenia swych zbiorników z głównymi rezerwuarami, potrafili większą część przeznaczoną na ogólne potrzeby wody zużyć dla siebie. Ich baseny kąpielowe musiano codziennie świeżo napełniać, a wielkie ogrody obficie skraplać. Wskutek tego w okresie letnim uboższym obywatelom nie pozostawało nic innego, jak używać do picia i gotowania szkodliwej dla zdrowia wody z Tybru. Kokcejusz Nerwa, ów nieskazitelny starzec, którego Tyberiusz trzymał przy sobie niby swego dobrego ducha, a który wreszcie popełnił samobójstwo, kiedy został inspektorem akweduktów, doradził cesarzowi, aby w dowód swej wspaniałomyślności zaopatrzył Rzym należycie w wodę. Przypomniał Tyberiuszowi, że przodek jego Appiusz Klaudiusz Ślepy zyskał nieśmiertelną chwałę budując pierwszy akwedukt i sprowadzając do Rzymu z odległości ośmiu mil appijską wodę. Tyberiusz przyrzekł zastosować się do rady Nerwy, lecz swoim zwyczajem wciąż odkładał wykonanie projektu. Wreszcie Nerwa umarł. Cesarz poczuł wtedy wyrzuty sumienia i polecił inżynierom, aby zgodnie z prawami ustalonymi przez słynnego Witruwiusza poszukali odpowiednich źródeł. Źródła takie muszą bez względu na porą roku dostarczać obficie wody

czystej, smacznej, nie zamulającej przewodów i powinny znajdować się na wzniesieniu, które by umożliwiło nadanie głównemu kanałowi akweduktu właściwego spadku. Trzeba bowiem pamiętać, że zbiorniki w Rzymie musiały być dostatecznie wysokie, żeby wodę można było rozprowadzać przewodami do najwyższych domów. Dwa obfite, o doskonałej wodzie źródła, jedno zwane Modrym, a drugie Kurcjańskim, wytryskały niedaleko od trzydziestego ósmego kamienia milowego przy drodze Sublaceńskiej. Wodę z nich można było sprowadzić w jedno łożysko. Ponadto około czterdziestej drugiej mili przy tej samej drodze, lecz po przeciwnej stronie, płynął potok Nowy Anion, z którego można było drugim akweduktem sprowadzić wodę i równocześnie wykorzystać po drodze jeszcze strumień Herkulaneę, wypływający naprzeciw Modrego Źródła. Inżynierowie oświadczyli, że woda z tych wszystkich miejsc odpowiada koniecznym warunkom i że bliżej nie znajdują się żadne inne odpowiednie źródła. Tyberiusz nakreślił plany obu akweduktów i polecił wykonać kosztorys. Nagle zdecydował, że nie sprosta kosztom przedsięwzięcia; wkrótce potem umarł.

Kaligula chcąc zaraz po objęciu władzy wykazać, że szczodropliwością i dbałością o dobro ogółu góruje nad Tyberiuszem, polecił rozpocząć prace wedle starych, jak się okazało, doskonałych i szczegółowych planów. Z początku wszystko szło jak najlepiej, kiedy jednak w skarbcu zabrakło pieniędzy, Kaligula nie mogąc sobie dać rady, przerwał prace w trudniejszych miejscach, gdzie trzeba było przez doliny i spadki terenu prowadzić parokondygnacyjne arkady, i przerzucił ludzi na łatwiejsze odcinki, gdzie akwedukt biegł wokół pagórków albo wprost przez równinę. Mógł się dzięki temu wciąż jeszcze chełpić szybkim postępem robót, liczonych na mile, a koszta były nieznaczne. Wiele łuków, od których budowy odstąpił, musiało mieć po sto stóp z górą. Pierwszy akwedukt, zwany później Klaudyjskim, miał się ciągnąć czterdzieści sześć mil, z czego dziesięć na arkadach. Drugi, zwany Nowym Anionem, miał blisko pięćdziesiąt dziewięć mil, z czego około piętnastu na arkadach.

Demonstracje ludu w amfiteatrze, które napędziły Kaliguli takiego strachu, że uciekł z Rzymu, posłużyły mu następnie za pretekst do zupełnego zawieszenia prac nad akweduktem i okazania w ten sposób swojej niełaski ludowi. Dla robotników znalazł inne zajęcia; pracowali później przy budowie jego świątyni i przy trzebieniu lasów w okolicy Ancjum, jego rodzinnego miasta, gdzie miała powstać nowa stolica.

Tak więc budowę akweduktów, którą uważałem za rzecz pierwszorzędnej wagi, wypadło mi podjąć w tym stadium, w jakim zaniechał jej Kaligula. Znaczyło to, że cały wysiłek trzeba było skierować na najtrudniejsze odcinki. Ponieważ komuś z czytelników może się wydać dziwnym, dlaczego Nowego Anionu, choć spotyka się z Herkulaneą tuż u początku akweduktu Klaudyjskiego, nie skierowano na te same arkady, lecz zbudowano wielkim łukiem, muszą wyjaśnić, że Nowy Anion bierze początek na znacznie wyższym poziomie i strumień jego ma zbyt wielką szybkość, aby można go od razu skierować do akweduktu Klaudyjskiego. Witruwiusz poleca pół stopy nachylenia na każde trzydzieści sążni biegu; wysokość, na jakiej znajduje się Anion, nie pozwala połączyć go z akweduktem Klaudyjskim, aż dopiero niedaleko miasta, i to na górnej kondygnacji arkad. Wydłuża to jego bieg o trzynaście mil. Aby woda nie uległa zanieczyszczeniu, kanał, którym płynie, jest zakryty; otwory zaś poumieszczane w pewnych odstępach w pokrywie kanału zabezpieczają go przed pęknięciem. Po drodze woda przechodzi przez wielkie zbiorniki, w których pozostawia swój osad. Zbiorniki te służą też do nawadniania okolicy i opłacają się sownie, umożliwiając właścicielom sąsiednich gruntów zamienienie w uprawną ziemię terenów, które w przeciwnym razie leżałyby odłogiem.

Prace nad akweduktem trwały dziewięć lat, mimo że wszystko przebiegało jak należy i ukończona budowla stała się jednym z cudów Rzymu. Obydwa akwedukty, z góry Nowy Anion, z dołu Klaudyjski, wchodziły do miasta bramą Prenestyńską, gdzie nad dwoma głównymi gościńcami trzeba było

wznieść olbrzymi podwójny łuk. Następnie woda dostawała się do wielkiej wieży, a stamtąd rozprowadzano ją do dziewięćdziesięciu dwu mniejszych. Takich mniejszych wież było już w Rzymie sto sześćdziesiąt, lecz dzięki moim akweduktom zaopatrzenie stolicy w wodę wzrosło w dwójnasób. Inspektor wodociągów obliczył, że strumień wody wpływający do Rzymu równa się obecnie potokowi o trzydziestu stopach szerokości, a sześciu głębokości, płynącemu z szybkością dwudziestu mil na godzinę. Znaczący i laicy twierdzili zgodnie, że mój akwedukt dostarcza wody lepszej od innych, z wyjątkiem tylko Marcjańskiego, najważniejszego z dotychczas zbudowanych, który ma pięćdziesiąt cztery wieże i istnieje od stu siedemdziesięciu lat.

Wydałem surowe zarządzenie mające zapobiec kradzieży wody przez niesumienne osobniki. Zanim Agryppa - który sam zbudował dwa nowe akwedukty (jeden, na lewym brzegu Tybru, biegł większą część drogi pod ziemią) - otóż zanim Agryppa dokonał inspekcji całej sieci wodociągowej, wodę kradziono przeważnie w ten sposób, że wywiercano w przewodach otwory, które miały robić wrażenie przypadkowych uszkodzeń. Czasami czynili to nawet, znęceni łapówką, sami dozorczy wodociągowi. Istniało bowiem prawo pozwalające ludności korzystać z wody wyciekającej przypadkowo powstałymi szparami. Ostatnio zaczęły się znowu zdarzać wypadki tego rodzaju kradzieży wody. Przeprowadziłem więc reorganizację obsługi wodociągów i poleciłem bezzwłocznie naprawić wszystkie uszkodzenia sieci. Zdarzały się jeszcze kradzieże innego rodzaju. Istniały w Rzymie prywatne wieże ciśnienia, zbudowane wspólnym kosztem kilku zamożnych rodzin lub klanów. Wieże te były połączone z głównym przewodem ołowianymi rurami o określonej koncesji średnicy, tak że przy normalnym położeniu rur tylko pewna ilość wody mogła spłynąć do wież. Ilość tę jednak łatwo można było znacznie powiększyć. Korzystając z miękkości ołowiu poszerzano rury za pomocą tłoka, a następnie nadawano im położenie bardziej pochyle. Niekiedy nawet zuchwalsze lub potężniejsze rodziny wymieniały rury przepisowe na swoje własne, dowolnej

średnicy. Postanowiłem położyć kres tym praktykom. Zarządziłem, że rury mają być z brązu, urzędowo stemplowane i tak przytwierdzone do głównych przewodów, żeby bez odłamania rury nie można było zmienić jej położenia. Inspektorom wodociągowym poleciłem dokonywać regularnych oględzin wieży ciśnień w celu stwierdzenia, czy nie dzieją się żadne nadużycia.

Mogę jeszcze wspomnieć o ostatnim z trzech moich wielkich przedsięwzięć budowlanych - o osuszeniu Jeziora Fucyńskiego. Jezioro to leży otoczone moczarami o jakieś sześćdziesiąt mil od Rzymu w kierunku wschodnim. Ma dwadzieścia mil długości, dziesięć szerokości i niezbyt wielką głębokość. Od dawna już dyskutowano nad sprawą osuszenia go. Mieszkańcy sąsiednich okolic, Marsowie, zwrócili się z prośbą do Augusta. Cesarz jednak po dokładnym rozważeniu petycji udzielił odpowiedzi odmownej, motywując ją tym, że przedsięwzięcie wymaga zbyt wielkiego nakładu pracy, którego by nie usprawiedliwiły korzyści płynące z osuszenia jeziora. Teraz znowu problem stał się aktualny: grupa zamożnych właścicieli ziemskich zjawiała się u mnie i oświadczyła, że o ile bym podjął się przeprowadzenia prac melioracyjnych, są gotowi pokryć dwie trzecie kosztów. W zamian zażądali przyznania im ziemi wydartej moczarom i samemu jezioru. Odrzuciłem jednak tę ofertę. Przyszło mi bowiem na myśl, że jeśli dobrowolnie są gotowi ponieść takie koszty, to widać grunt, którego żądają, przedstawia wartość znacznie większą. Rozwiązanie zagadnienia od strony technicznej wydawało mi się bardzo proste. Wystarczało tylko przekopać trzymilowej długości kanał, prowadzący przez wzgórze położone na południowo-zachodnim brzegu jeziora, a cała woda spłynie do rzeki Liris, po drugiej stronie wzgórza. Postanowiłem od razu przystąpić do dzieła.

Prace rozpoczęto w pierwszym roku mojego panowania, ale wkrótce okazało się, że August miał rację rezygnując z wykonania projektu. Przekopanie wzgórza wymagało znacznie więcej pracy i kosztów, niż obliczyli moi inżynierowie. Natknięto się na grubą warstwę litej skały, którą trzeba było

wyrąbywać kawałkami. Niemalże też kłopotu przyczyniły podziemne źródła, które wytryskując przeszkadzały pracom. Chcąc utrzymać bieg robót, musiałem bez przerwy zatrudniać przy kanale trzydzieści tysięcy ludzi. Postanowiłem jednak nie dać za wygraną; nie cierpią porzucić zaczętego dzieła. Kanał skończono dopiero niedawno, po trzynastu latach pracy. W najbliższym czasie zarządę otwarcie śluz i wypuszczenie wody z jeziora.

Rozdział XII

Herod pewnego dnia, na krótko przed swym odjazdem, zauważył, że powinienem zasięgnąć porady jakiegoś naprawdę dobrego greckiego lekarza. Moim obowiązkiem wobec Rzymu - podkreślił - jest doprowadzić zdrowie do porządku. Ostatnio zdradzam oznaki silnego przemęczenia, co wynika z tego, że poświęcam pracy nadmierną liczbę godzin. Jeżeli nie ograniczę zajęć lub nie doprowadzę zdrowia do stanu, w którym mógłbym lepiej wytrzymywać wysiłek, nie mogę liczyć na dłuższe życie. Zgnębiony odparłem, że choć w młodości radziłem się wielu greckich doktorów, żaden nie był w stanie mnie wyleczyć, a teraz nie tylko jest za późno na pomoc, lecz dolegliwości moje stały się już tak integralną częścią mojej osoby, że nie widzę, jaką korzyść mogliby mi przynieść greccy lekarze.

Herod się roześmiał.

- Po raz pierwszy, odkąd cię znam, słyszę, że podzielasz zdanie starego Katona. Mam na myśli jego Uwagi nad medycyną, pisane dla syna, któremu zakazuje szukania porady u greckich lekarzy. Poleca natomiast jako środki lecznicze modlitwy, postępowanie wedle zdrowego rozsądku i liście kapusty. Są one, jego zdaniem, wystarczająco skuteczne we wszystkich fizycznych dolegliwościach. Jeżeli chodzi o modlitwy, to Rzym ich tyle teraz zanoszą o twoje zdrowie, że gdyby to wystarczało, powinieneś stać się atletą. Co do zdrowego rozsądku, każdy Rzymianin przynosi go z sobą na świat. Może tylko zapomniałeś użyć kapuścianych liści.

Obruszyłem się trochę.

- Ciekawym, jakiego lekarza byś mi polecił? Dla twojej przyjemności jestem gotów poradzić się, ale najwyżej jednego. Co myślisz o Largusie, nadwornym lekarzu? Messalina ma dość dobre mniemanie o jego zdolnościach.

- Gdyby wiedział, jaką kurację przepisać na twoje dolegliwości, byłby już

z własnej inicjatywy pośpieszył z poradą. Nie, Largus na nic nam się nie zda. Jeżeli chcesz się poradzić tylko jednego, zaproponowałbym Ksenofonta z Kos.

- Co? Starego chirurga wojskowego mego ojca?

- Nie. Jego syna. Towarzyszył, jeśli pamiętasz, twemu bratu Germanikowi w ostatniej wyprawie, a następnie rozpoczął praktykę w Antiochii. Tam niezwykle powiodło mu się i niedawno przybył do Rzymu. Jego dewizą jest zasada wielkiego Asklepiadesa: leczyć szybko, pewnie, przyjemnie. Nie uznaje żadnych gwałtownych środków przeczyszczających ani emetyków. Dieta, gimnastyka, masaż, kilka zwykłych ziół leczniczych. Naparem z liści kwitnącej purpurowo rośliny zwanej tojadem mordownikiem, wyleczył mnie z silnej febry, a wskazówki dietetyczne, których mi później udzielił, postawiły mnie na nogi. Zalecił mi, żebym nie pił zbyt wiele i unikał pewnych korzennych przypraw. W razie potrzeby jest też świetnym chirurgiem. Orientuje się doskonale w położeniu każdego nerwu, kości, mięśnia i ścięgna w ciele ludzkim. Opowiadał mi, że anatomii uczył się u twojego brata.

- Przecież Germanik nie był anatomem.

- Ale pogromcą Niemców. Ksenofont zdobywał swoją wiedzę na pobojuwiskach; Germanik dostarczał mu materiału. Żaden chirurg nie może się nauczyć anatomii w Grecji ani w Italii. Musi albo udać się do Aleksandrii, gdzie mu nie wezmą za złe, że kraje zwłoki, albo musi towarzyszyć zwycięskiej armii i odprawiać warty na pobojuwiskach.

- Przypuszczasz, że przyjdzie, jeśli poślę po niego?

- Któryż lekarz nie przyszedłby? Zapominasz, kim jesteś. Oczywiście, jeśli podejmie się kuracji, trzeba mu przyzwoicie zapłacić. Lubi pieniądze. Nie byłby chyba Grekiem.

- Byleby się tylko podjął kuracji.

Posłałem po Ksenofonta. Spodobał mi się od razu, gdyż tyle zainteresowania poświęcił mojej osobie jako klinicznemu obiektowi, że zapomniał całkiem, iż ma do czynienia z cesarzem, który posiada nad nim

władzę życia i śmierci. Ksenofont miał wtedy około pięćdziesiątki. Pozdrowiwszy mnie zgodnie z etykietą, mówił już potem krótko, suchym, rzeczowym tonem.

- Puls. Dziękuję. Język. Dziękuję. Przepraszam - (tutaj wywinął mi powiekę do góry). - Lekkie zapalenie! Uleczalne. Zapiszę wodę do przemywania oczu. Lekki skurcz powiek. Proszę wstać. Tak, paraliż dziecięcy. Oczywiście nieuleczalny. Za późno. Byłbym sobie dał z nim radę przed ukończeniem okresu dojrzewania.

- Ależ sam byłeś wtedy dzieckiem - zaśmiałem się.

Zdawał się nie słyszeć.

- Urodziłeś się, cesarzu, przedwcześnie, co? Tak przypuszczałem. Malaria też?

- Malaria, odra, kolki, skrofuły, róża. Cały batalion chorób w komplecie, wyjąwszy epilepsję, choroby weneryczne i megalomanię.

Wreszcie zdecydował się uśmiechnąć.

- Proszę się rozebrać - rzekł.

Rozebrałem się.

- Za dużo jesz, Cezarze, i za dużo pijesz. Trzeba przestać. Zasada: wstawać od stołu z chęcią zjedzenia jeszcze czegośkolwiek. Tak, lewa noga znacznie krótsza. Gimnastyka na nic się nie zda. Lepszy będzie masaż. Proszę się ubrać.

Potem zadał mi jeszcze kilka pytań, zawsze w taki sposób, jakby odpowiedź znał już z góry i pragnął tylko dla formy usłyszeć potwierdzenie z moich ust.

- Po nocy poduszka zaśliniona, co?

Ze wstydem potwierdziłem.

- Napady nagłego gniewu? Mimowolne drganie mięśni twarzy? Jąkanie wywołane kłopotliwą sytuacją? Od czasu do czasu niepowściągliwość pęcherza? Ataki afazji? Brak elastyczności mięśni, budzisz się nagle zimny i zeszywniały,

nawet gdy noce są ciepłe?

Opowiedział mi nawet, jakie sny miewam.

- Czy potrafisz je także wytłumaczyć? - spytałem zdumiony. - To chyba łatwo.

- Tak - przytwierdził rzeczowym tonem. - Ale prawo zabrania tłumaczenia snów. A teraz, Cezarze, pomówmy o tobie. Możesz pożyć jeszcze ładnych parę lat, jeśli ci będzie na tym zależało. Dużo pracujesz, lecz przypuszczam, że nie mogę ci tego odradzać. Staraj się czytać jak najmniej. Zmęczenie, na jakie się skarżysz, jest w znacznej części wywołane zbytnim wysiłkiem oczu. Niech sekretarze możliwie jak najwięcej czytają ci głośno. Pisz jak najmniej. Po obiedzie odpocznij godzinę. Nie pędź do sądu ledwie przełknąwszy deser. Musisz dwa razy dziennie po dwadzieścia minut poświęcić na masaż. Potrzeba ci odpowiednio wyćwiczonego masażysty. Jedyni odpowiednio wyćwiczeni masażyci w Rzymie to moi niewolnicy. Najlepszy jest Charmes; dam mu specjalne instrukcje dotyczące twej osoby. Jeżeli nie będziesz się stosował do moich zaleceń, nie oczekuj wyzdrowienia, chociaż lekarstwo, jakie przepiszę, przyniesie ci znaczną ulgę. Jeżeli na przykład będziesz zaniedbywał masaż i czy to ze zdenerwowania, czy z jakiegoś innego powodu będziesz się śpieszył przy jedzeniu, a jadł do tego ciężkostrawne pokarmy, to kurcze żołądka, na które się skarżysz, kolka sercowa, jak ją zwiemy - pojawi się niechybnie, pomimo zażywania lekarstwa. Słuchaj jednak moich wskazówek, a będziesz zdrow jak rydz.

- Cóż to za lekarstwo? - spytałem. - Trudno je dostać? Może trzeba je sprowadzić z Egiptu albo z Indii?

Na te słowa Ksenofont raczył się roześmiać krótkim, skrzekliwym śmiechem.

- Och, nie! Nie dalej niż z pierwszego lepszego ugoru. Należę do szkoły lekarskiej, której kolebką jest Kos. I rzeczywiście urodziłem się na Kos, a ród swój wywodzę od samego Eskulapa. Na Kos klasyfikujemy choroby wedle

lekarstw. Lekarstwa te to przeważnie zioła, które zjedzone w większej ilości wywołują symptomy, jakim przeciwdziałają w małych dawkach. Tak na przykład, jeżeli krzyczy czteroletnie dziecko nie umie w nocy zachować porządku i zdradza pewne inne objawy charakterystyczne dla kretynizmu, powiadamy, że ma chorobę lwiego zęba. I rzeczywiście, lwi ząb spożyty w większych ilościach wywołuje te objawy, a napar z niego je leczy. Kiedy tylko wszedłem do pokoju i zauważyłem podrzuty głową, trzęsące się ręce, lekkie zająknięcie przy powitaniu i trochę chrapliwy głos, powiedziałem sobie od razu: typowy przypadek przestępu. A więc przestęp, masaż, dieta.

- Co? Zwykły przestęp?!

- Najzwyczajniejszy. Zaraz napiszę receptę.

- A modlitwy?

- Jakie modlitwy?

- Czy nie przepisujesz specjalnych modlitw, które się odmawia przy zażywaniu lekarstwa? Wszyscy doktorzy, którzy mnie leczyli, zalecali mi zawsze specjalne modlitwy, które trzeba było odmawiać przy przyrządzaniu i zażywaniu lekarstwa.

- Przypuszczam, Cezarze - rzekł dość oficjalnie - że jako arcykapłan i autor książki o początkach religii w Rzymie jesteś lepiej przygotowany do pokierowania religijną stroną kuracji niż ja.

Domyśliłem się, że jak wielu Greków, Ksenofont jest niedowiarkiem, więc nie upierałem się przy danym temacie. Na tym skończyła się nasza rozmowa. Ksenofont poprosił, żeby mu wolno było już odejść, gdyż czekają nań pacjenci.

No i przestęp mnie wyleczył. Przestrzegałem poleceń Ksenofonta co do joty i odtąd chorowałem rzadko, nigdy dłużej niż jeden dzień. Oczywiście pozostałem ułomny i od czasu do czasu jąkam się lub z przyzwyczajenia, kiedy jestem zdenerwowany, potrząsam głową. Ale z afazji ani śladu, ręce ledwie trochę drgają, czasem i dziś w wieku sześćdziesięciu czterech lat mogę w razie

potrzeby pracować bitych czternaście godzin dziennie, nie czując wcale wyczerpania pod koniec takiego dnia. Kolka sercowa zjawia się czasami, ale tylko w okolicznościach, przed którymi przestrzegał mnie Ksenofont.

Możecie być pewni, że dobrze zapłaciłem Ksenofontowi za ten przestęp. Namawiałem go też, żeby przeniósł się na stałe do pałacu, jako kolega Largusa. Largus był na swój sposób dobrym lekarzem przybocznym i napisał wiele książek z zakresu medycyny. Ksenofont początkowo nie chciał się zgodzić. W ciągu kilkumiesięcznego pobytu w Rzymie dorobił się dużej praktyki, z której zyski obliczał obecnie na trzy tysiące aureusów rocznie. Ofiarowałem mu sześć tysięcy - Largus pobierał tylko trzy - a kiedy się wahał, dodałem:

- Musisz się przenieść, Ksenofoncie. Koniecznie. A jeśli będziesz mnie przez piętnaście lat utrzymywać przy życiu i zdrowiu, zawiadomię urzędowo namiestnika Kos, że wyspa, na której studiowałeś medycynę, jest od dnia dzisiejszego wolna od obowiązku dostarczania kontyngentu rekrutów i płacenia podatków do skarbu cesarskiego.

Wtedy Ksenofont ustąpił. Aby zaspokoić ewentualną ciekawość czytelników, dodam, że zarówno wyzwoleniec mój przy przyrządzaniu lekarstwa, jak i ja przy zażywaniu odmawialiśmy modlitwy do Karny, starosabińskiej bogini, której kult kwitnął w rodzie Klaudiuszów od czasów Appiusza Klaudiusza Regilskiego. Wydawało mi się, że zażywanie lekarstw bez modlitw jest bezskuteczne, a może przynieść nieszczęście; coś jak wesele bez gości, bez ofiary i bez muzyki.

Póki pamiętam, muszę zapisać dwie cenne wskazówki higieniczne, których mi udzielił Ksenofont: „Głupi jest - zwykł mawiać - człowiek, który dobre maniere stawia wyżej od zdrowia. Nigdy nie zatrzymuj w sobie wiatrów, kiedy ci dokuczają. Przynosi to wielką szkodę żołądkowi. Znałem człowieka, który omal nie skończył życia wstrzymując się od wypuszczenia wiatrów. Jeżeli z jakiegoś powodu, na przykład w czasie mowy w senacie lub składania ofiary, nie wypada ci odejść na stronę, to bez żadnego wstydu pozwól sobie czknać

albo pierdnąć. Lepiej sprawić otoczeniu drobną nieprzyjemność niż stale szkodzić sobie samemu. Podobnie, jeśli masz katar, nie wycieraj ciągle nosa. Powiększa to tylko wydzieliną i przyczynia się do zapalenia delikatnych błon nosowych. Pozwól, niech śluz ci kapie. Chodź zasmarkany, a nie wycieraj!” Słuchałem zawsze rad Ksenofonta, przynajmniej w sprawie wycierania nosa, i nigdy katar nie trwał tak długo jak dawniej. Oczywiście był to niewyczerpany temat dla karykaturzystów i satyryków, którzy mnie przedstawiali zawsze z kapką wiszącą u nosa. Lecz czyż miałem się tym przejmować? Zdaniem Messaliny, postępowałem bardzo rozsądnie, troszcząc się o swoje zdrowie. Przecież gdybym nagle umarł lub ciężko zachorował, cóż by wtedy stało się z miastem, cesarstwem, nie mówiąc już o żonie i naszym synku.

Pewnego dnia Messalina zauważyła, że zaczyna żałować swego dobrego serca.

- Czy masz na myśli Lesbię i uważasz, że pomimo wszystko należało ją zostawić na wygnaniu?

Skinęła głową.

- Skąd domyśliłeś się, że chodzi o Lesbię? Ale powiedz mi, mój drogi, dlaczego Lesbia tak często odwiedza cię podczas mojej nieobecności? O czym ona mówi? I dlaczego nigdy nie dasz mi znać, kiedy przychodzi? To niedobrze, że chcesz mieć jakieś tajemnice przede mną.

Uśmiechnąłem się, żeby ją uspokoić, ale poczułem się trochę głupio.

- Nie ma w tym żadnej tajemnicy, zupełnie żadnej. Przypominasz sobie, że przed miesiącem zwróciłem Lesbii resztki majątku zabranego przez Kaligulę. To, co posiadała w Kalabrii i czego postanowiliśmy jej nie zwracać, aż zobaczymy, jak oboje z Winicjuszem będą się sprawować. Kiedy oddałem jej ten majątek, wybuchnęła płaczem, przezwała się sama niewdzięcznicą i przysięgła, że odtąd postara się zmienić swój sposób życia i zdusić swoją głupią pychę.

- Bardzo to rozrzewniające, niewątpliwie. Ale po raz pierwszy słyszę od

ciebie o tej dramatycznej scenie.

- Ależ dokładnie pamiętam, że ci opowiedziałem całą historię pewnego rana przy śniadaniu.

- To ci się chyba tylko śniło. Ale cóż to za cała historia? Opowiedz no! Lepiej późno niż nigdy. Kiedy zwróciłeś jej majątek, pomyślałam sobie, że to dziwnie wygląda, zupełnie tak, jakbyś ją wynagradzał za bezczelność w stosunku do mnie. Ale nic nie mówiłam. To była twoja sprawa, nie moja.

- Nic nie rozumiem. Przysięgłbym, że ci o tym już mówiłem. Moja pamięć niekiedy zawodzi w zdumiewający sposób. Jest mi doprawdy bardzo przykro, kochana. A więc sprawa przedstawia się tak: oddałem jej majątek po prostu dlatego, że opowiedziała mi, że była u ciebie i szczerze cię przeprosiła, na coś ty miała odpowiedzieć: „Przebaczam ci, Lesbio, z całego serca. Idź i powiedz Klaudiuszowi, że ci przebaczyłam.”

- Och, co za bezczelne kłamstwo! Nigdy w ogóle u mnie nie była. Czy jesteś pewien, że tak powiedziała? A może znowu pamięć cię zawodzi?

- Nie, jestem całkiem pewien. W przeciwnym razie jak bym mógł jej zwrócić majątek?

- Czy znasz prawną sentencję o wiarygodności zeznań? „Kłamstwo w jednym - kłamstwo we wszystkim.” To pasuje w sam raz do Lesbii. Ale nie powiedziałaś mi, dlaczego cię odwiedza. Czego chce od ciebie?

- O ile wiem, niczego. Przychodzi od czasu do czasu na kilka chwil, zapewnia mnie o swojej wdzięczności i pyta, czy nie może mi przypadkiem w czym pomóc. Nigdy nie zatrzymuje się długo, żeby mi nie przeszkadzać. Zawsze też pyta, co porabiasz. Mówię jej, że pracujesz, a ona na to, że nigdy nie ośmieliłaby się przeszkodzić ci i przeprosza, że przeszkodziła mi w pracy. Wczoraj przyznała się, że ma wrażenie, jakbyś ją o coś podejrzewała. „Chyba ci się przywidziało” - rzekłem. Zazwyczaj gawędzimy parę minut na ogólne tematy, potem całuje mnie, jak przystało na kochającą bratanicę, i odchodzi. Lubię te wizyty, ale byłem przekonany, że ci już o nich wspominałem.

- Nigdy. To żmija, nie kobieta! Zdaje mi się, że przejrzałam jej plany. Odgrywa rolę dobrej bratanicy, żeby pozyskać twoje zaufanie, a następnie oczernić mnie. Najpierw będzie robiła nieznaczące, delikatne aluzje, a stopniowo, ośmieliwszy się, zacznie rzucać oszczerstwa już bez żadnych osłonek. Będzie ci prawdopodobnie opowiadać przedziwne historie o podwójnym życiu, które prowadzę; będzie bąbała, że za twoimi plecami żyję jak rozpustnica z gladiatorami, aktorami, różnymi gogusiami i tak dalej. A ty jej będziesz oczywiście wierzył, jak przystało na kochającego stryja. O Boże! Co za fałszywa kocica! Przypuszczam, że już zaczęła. Co?

- Nic podobnego. Nie pozwoliłbym. Nie uwierzyłbym nikomu, kto by mi powiedział, że mnie zdradzasz czynem lub słowem. Nie uwierzyłbym, nawet gdybym usłyszał coś podobnego z twoich ust. Czy to ci nie wystarcza?

- Jestem zazdrosna. Racja. Ale wybacz mi to, kochany. To już leży w mojej naturze. Nie mogę znieść, że za moimi plecami przyjaźnisz się z innymi kobietami, choćby to nawet były kuzynki. Podejrzewam każdą, z którą rozmawiasz w cztery oczy. Ty jesteś przecież tak dobroduszny. Ale ja już postaram się dowiedzieć, co za diabelskie plany knuje Lesbia. Chciałabym tylko, żeby się nie domyślała, że ją podejrzewam. Przrzeknij, że dopóki nie zdobędę bardziej obciążających dowodów, nie zdradzisz się z tym, żeś ją przyłapał na kłamstwie.

Przrzekłem. Zapewniłem też Messalinę, że nie wierzę obecnie w zmianę uczuć Lesbii i będę powtarzał wszystko, czego się od niej w rozmowie dowiem. Zadowolilo to ją widac, gdyż oświadczyła, że może teraz z lżejszym sercem zabrać się znowu do pracy.

Odtąd wiernie powtarzałem żonie wszystkie powiedzenia Lesbii. Wydawały mi się one wprawdzie całkiem błahe, ale Messalina umiała w wielu z nich odnaleźć ukryty sens. Specjalne znaczenie nadała całkiem, moim zdaniem, niewinnej uwadze, którą Lesbia zrobiła na temat senatora Seneki. Seneka był urzędnikiem drugiego stopnia. Był bardzo elokwentny i przemówienie, które

wygłosił raz w senacie, wzbudziło zawiść Kaliguli. Gdyby nie moja interwencja, byłby swe krasomówstwo przypłacił głową. Wyrażając się z lekceważeniem o jego oratorskich zdolnościach uratowałem mu życie. „Elokwentny? - zdziwiłem się w rozmowie z Kaligulą. - Seneka nie jest wcale elokwentny. Jest tylko wykształcony i posiada świetną pamięć. Ojciec jego wydał dziełko pod tytułem *Controversiae et suasoriae*, podręcznik dla szkół retorskich, zawierający mowy w różnych zmyślonych sprawach. Dziecinna kompilacja. Napisał takich ćwiczeń znacznie więcej, ale tylko część ich opublikował. Seneka, mam wrażenie, wyuczył się całego zbioru na pamięć. Zdobył w ten sposób klucz, który mu pasuje do każdych drzwi. Nie jest jednak bynajmniej elokwentny i poza swoją wiedzą nie posiada żadnych wartości, nawet zdecydowanego charakteru. Wiesz, do czego on jest podobny? Do piasku bez wapna. Nie można przecież tego rodzaju człowieka uważać za prawdziwego oratora.” Kaligulą powtarzał później te słowa jako swój własny sąd o Senece. „Szkolne wypracowania - mawiał. - Dziecinne deklamacje zapożyczone z nie wydanych rękopisów ojca. Piasek bez wapna.” Tak Seneka ocalił głowę. Teraz Messalina zapytała:

- Czy jesteś pewien, że Lesbia samorzutnie zaczęła mówić o Senece, który, jej zdaniem, jest uczciwym i wyzbytym żądzy władzy człowiekiem? Może ty pierwszy wspomniałeś jego nazwisko?

- Nie.

- W takim razie możesz mi wierzyć, Seneka jest jej kochankiem. Wiem już od pewnego czasu, że Lesbia ma jakiegoś tajemniczego kochanka, tak jednak zręcznie zaciera wszelkie ślady, że nie byłam pewna, czy to Seneka, czy kuzyn jej męża Winicjan, czy ten drab Azyniusz Galius, wnuk Polliona. Wszyscy mieszkają przy tej samej ulicy.

W dziesięć dni później oznajmiła, że posiada już pełne dowody cudzołóżnego stosunku, który Lesbia nawiązała z Seneka w ciągu ostatniej nieobecności męża. Dostarczyła świadków, którzy zeznali pod przysięgą, że widzieli, jak Seneka w przebraniu późną nocą opuścił dom; szli za nim aż do

domu Lesbii, dokąd wszedł bocznymi drzwiami; następnie w sypialni Lesbii zapaliło się światło i zaraz zgasło; w trzy czy cztery godziny później wysunął się Seneka, ciągle w przebraniu, i powrócił do domu.

Rozumie się samo przez się, że nie można było pozwolić Lesbii na dłuższy pobyt w Rzymie. Jako moja bratanica grała dużą rolę w życiu towarzyskim. Raz już pod zarzutem cudzołóstwa została skazana na wygnanie i odwołałem ją tylko pod tym warunkiem, że w przyszłości będzie się zachowywać statecznie. Wymagałem, by wszyscy członkowie mojej rodziny byli dla stolicy wzorem moralności. Senekę też należało wygnąć. Był to człowiek żonaty i senator, a choć Lesbia była prześliczną kobietą, to znając charakter Seneki podejrzewałem, że motywem nawiązania romansu była bardziej ambicja niż namiętność. Lesbia pochodziła w prostej linii od Augusta, Liwii i Marka Antoniusza, była córką Germanika, siostrą poprzedniego cesarza, bratanicą obecnego, gdy tymczasem on urodził się w Hiszpanii i był tylko synem prowincjonalnego nauczyciela, któremu dopisało szczęście.

Nie miałem ochoty rozmawiać z Lesbia i poprosiłem Messalinę, żeby mnie wyręczyła. Czułem, że Messalina ma w tej sprawie więcej powodów do słusznej urazy i żalu niż ja; pragnąc przywrócić dawną między nami harmonię postanowiłem jej w ten sposób okazać, jak bardzo żałuję, że ją naraził na najłżejszą udrękę zazdrości. Messalina była bardzo zadowolona, że mogła osobiście czarno na białym wykazać Lesbii jej niewdzięczność i powiadomić o wyroku, mocą którego bratanicę moją skazano na wygnanie do Reggio, miasta w południowej Italii, gdzie zmarła na wygnaniu jej babka Julia, skazana za ten sam występki. Dowiedziałem się później, że Lesbia z początku zachowywała się niesłychanie butnie, ale w końcu przyznała się do cudzołóstwa z Seneką twierdząc, że ze swoim własnym ciałem może robić, co jej się żywnie podoba. Na wiadomość o wyroku wpadła w wściekłość i zaczęła miotać pogrożki pod adresem nas obojga. „Pewnego ranka - wołała - służba pałacowa wejdzie do sypialni cesarskiej i znajdzie was oboje z poderżniętymi gardłami! Czy

pomyśleliście, jak mój mąż i jego rodzina przyjmie tę zniewagę?”

- To tylko słowa - uspokajałem żonę. - Nie biorę na serio tych pogrózek, choć może nie zawadzi mieć oko na Winicjusza i jego stronników.

Tej samej nocy, której Lesbia wyruszyła do Reggio, Messalinę i mnie zbudził nad ranem nagły krzyk i szamotanie się na korytarzu za drzwiami, potem kichanie i głosy: „Łapać go! Morderca! Łapać zbója!” Wyskoczyłem z łóżka. Serce waliło mi z przerażenia. Uzbrowiwszy się w stołek zawołałem na Messalinę, aby skryła się za mną. Odwaga moja jednak nie została tym razem wystawiona na próbę. Napastnik był tylko jeden i już go rozbrojono.

Zarządziłem zbrojne pogotowie gwardii na resztę nocy i położyłem się z powrotem do łóżka, ale dopiero po pewnym czasie udało mi się zasnąć. Przede wszystkim trzeba było uspokoić Messalinę. Zdawało się, że całkiem straciła zmysły: śmiała się i krzyczała na przemian.

- To sprawka Lesbii - powtarzała ze szlochem. - To sprawka Lesbii. Jestem tego pewna.

Z nadejściem dnia kazałem niedoszłego mordercę stawić przed sobą. Przyznał się, że jest wyzwolencem Lesbii. Do pałacu dostał się przebrany w dworską liberię. Pochodził z Syrii; narodowości był greckiej. Historia, którą nam opowiedział, brzmiała bardzo dziwnie. Twierdził, że nie miał zamiaru mnie zabić. Powtarzał wciąż słowa zaklęcia, ale musiał je widać pod sam koniec misterii przekręcić. To cała jego wina.

- Jakich misterii? - spytałem.

- Tego mi nie wolno wyjawiać, ale powiem wszystko, co mogę powiedzieć bez obaw. Są to najświętsze z wszystkich świętych misterii. Wtajemniczono mnie w nie wczorajszej nocy. Ceremonia odbyła się pod ziemią. Poświęcono pewnego ptaka i kazano mi później napić się jego krwi. Zjawiły się dwa wielkie duchy o świecących obliczach, dały mi sztylet i pieprzniczkę i wyjaśniły symboliczne znaczenie tych przedmiotów. Następnie zawiązano mi oczy, przebrano w nowe szaty i kazano zachować bezwzględne milczenie. Duchy

powtarzały magiczne zaklęcia i poleciły mi postępować za sobą do piekła. Prowadziły mnie tędy i owędy, schodami w górę i schodami w dół, ulicami i ogrodami, i opisywały różne dziwne rzeczy, które spotykaliśmy po drodze. Potem wsiedliśmy do łodzi i zapłaciliśmy przewoźnikowi, którym był sam Charon. Wylądowaliśmy na drugim brzegu, w piekle. Duchy pokazały mi je całe. Rozmawiałem z cieniami moich przodków i słyszałem szczekanie Cerbera. Wreszcie zdjęto mi przepaskę z oczu i usłyszałem szept: „Jesteś teraz w pałacu boga śmierci. Schowaj sztylet pod płaszczem. Idź tym korytarzem na prawo, na końcu znajdziesz schody, pójdziesz tymi schodami, a potem skręcisz na lewo w drugi korytarz i pójdziesz w dół. Jeżeli zatrzyma cię warta, powiesz hasło, które brzmi: «Los». Bóg śmierci wraz ze swą małżonką śpią w ostatniej komnacie na końcu korytarza. U drzwi czuwa dwóch wartowników. Wyglądają inaczej niż poprzedni. Nie znamy ich hasła. Podczołgaj się w cieniu tuż do nich i ciśnij im garść świętego pieprzu w oczy. Potem śmiało pchnij drzwi i zabij boga wraz z boginią. Jeżeli spełnisz to zadanie, zamieszkas w krainie wiecznego szczęścia, będą cię zwać większym od Herkulesa, większym od Prometeusza, większym od samego Jowisza. Śmierć przestanie istnieć. Ale przez całą drogę musisz powtarzać bez przerwy zaklęcia, dzięki którym mogliśmy cię doprowadzić tak daleko. Gdybyś przestał, czar pryśnie i znajdziesz się nagle w zupełnie innym miejscu.” Szedłem ze strachem. Musiałem widać pomylić się w zaklęciach, gdyż nagle, kiedy sięgnąłem po pieprz, znalazłem się znowu w Rzymie, w pałacu cesarskim, przed drzwiami twojej sypialni, Cezarze, gdzie dwaj gwardziści pełniący straż usiłowali mnie gwałtem zatrzymać. Nie udało się. Śmierć wciąż panuje. Ktoś inny, śmielszy i uważniejszy, zada jej kiedyś zabójczy cios.

- Sprzymierzeńcy Lesbii są niezwykle przebiegli - zauważyła szeptem Messalina. - Zamach doskonale przygotowany.

- Kto wtajemniczył cię w misteria? - spytałem.

Nie odpowiedział na to pytanie nawet na torturach. Niewiele też mogłem się dowiedzieć od gwardzistów stojących na straży przy głównej bramie. Byli to

nowicjusze od niedawna dopiero pełniący służbę; wpuścili spiskowca, gdyż miał na sobie dworską liberię i znał hasło. Nie mogłem mieć do nich pretensji. Dowiedziałem się tylko jeszcze, że przybył w towarzystwie dwóch innych mężczyzn tak samo ubranych, którzy przy bramie powiedzieli mu dobranoc i odeszli w niewiadomym kierunku.

Byłem skłonny uwierzyć w opowiedzianą historię, nie mogłem jednak się dowiedzieć, kto odbierał przysięgę przy wtajemniczeniu w te pseudomisteria. Więzień mój uporczywie odmawiał odpowiedzi na to pytanie. Kiedy go po przyjacielsku zapewniłem, że nie mogły to być prawdziwe misteria, ale oszukańcza komedia, wobec czego nie powinien czuć się związany przysięgą, rozsierdził się i zaczął grubiańsko wymyślać. Nie pozostawało mi nic innego jak skazać go na śmierć. Po długim namyśle zgodziłem się ze zdaniem Messaliny, która twierdziła, że ze względu na dobro państwa trzeba też ściąć Lesbię. Wysłałem za nią oddział gwardii konnej i nazajutrz przyniesiono mi na dowód wykonania rozkazu głowę bratanicy. Bardzo bolesna była dla mnie myśl, że musiałem skazać na śmierć córkę mego kochanego brata Germanika, którego dzieci przysiągłem kochać i opiekować się nimi jak swoimi własnymi. Pocieszałem się tylko myślą, że brat, będąc na moim miejscu, nie inaczej by postąpił. Zawsze obowiązek względem państwa stawiał przed uczuciem.

Senatowi oświadczyłem, że życzę sobie, aby Senekę wygnano na Korsykę. Chyba że ktoś może wysunąć w obronie oskarżonego jakieś poważniejsze argumenty. Senat uchwalił banicję, pozostawiając skazanemu trzydzieści godzin na opuszczenie Rzymu i trzydzieści dni na opuszczenie Italii. Seneka nie cieszył się w senacie popularnością. Na Korsyce miał pod dostatkiem sposobności, aby wprowadzić w życie zalecenia filozofii stoickiej, na którą się nawrócił, jak głosił, pod wpływem moich słów. Podobno bowiem miałem kiedyś przychylnie się wyrazić o tym kierunku. Seneka był zdolny do pochlebstw, od których człowiekowi aż się mdło robiło. Kiedy w rok czy dwa później memu sekretarzowi Polibiuszowi umarł kochany brat, Seneka, choć

tylko przelotnie poznał kiedyś Polibiusza, a brata jego nie widział nigdy w życiu, przysłał z Korsyki długi, starannie wystylizowany list kondolencyjny, który równocześnie opublikował w stolicy pod tytułem Pociecha dla Polibiusza. W formie pocieszenia przyganiał z lekka Polibiuszowi, że daje upust osobistym żalom po bracie, gdy Cezar żyje, cieszy się dobrym zdrowiem i okazuje mu w dalszym ciągu swą monarszą łaskę.

„Skoro Cezar potrzebuje Polibiusza - pisał - Polibiusz nie ma prawa odejść, lecz musi trwać na stanowisku jak olbrzym Atlas, o którym podanie głosi, że posłuszny woli bogów dźwiga na swoich barkach świat.

Cesarowi natomiast, któremu wszystko wolno, wiele rzeczy z tego samego powodu jest zabronionych. Czujność jego broni nasze domy; trud jego zapewnia wszystkim wygody; zapobiegliwość jego stwarza szczęśny pokój; praca jego wyczarowuje świąteczny odpoczynek ogółu. Z tą chwilą, kiedy Cezar dobrowolnie poświęcił się ludzkości, ograbił siebie samego, i tak jak gwiazdy, które nieznużenie biegną po swoich wieczystych torach, tak i on nie może pozwolić sobie nigdy na odpoczynek ani na zajęcie się swymi sprawami. Twój los, Polibiuszu, jest do pewnego stopnia związany z jego dostojnym losem, nie możesz więc zająć się swymi prywatnymi sprawami, nie możesz folgować osobistej chęci. Dopóki świat należy do Cezara, nie możesz w zgodzie z sumieniem doznawać ani radości, ani smutku, ani żadnego innego ludzkiego uczucia. Cały należysz do Cezara. A czyż nie masz zawsze na ustach słów, że Cezar jest ci droższy niż własne życie? Jakże więc możesz ubolewać nad ciosem, który ci zadał los, jeśli Cezar żyje w zdrowiu i pomyślności?”

Było tam jeszcze całe mnóstwo podobnych frazesów o mojej przedziwnej, podbijającej serca dobroci i łaskawości i cały rozdział, w którym z woli autora wypowiadałem najdziwaczniejsze zdania o tym, jak należy znosić stratę brata. Cytowałem żałobę mego dziadka Marka Antoniusza po śmierci jego brata Gajusza, mego stryja Tyberiusza po moim ojcu, Gajusza Cezara po Lucjuszu, mój własny smutek po Germaniku, i opowiadałem, jak dzielnie każdy z nas

znosił te straty. Ta miodem zaprawna papka dokazała tyle, że z pełnym zadowoleniem pomyślałem, iż nikt nie został skrzywdzony przez wygnanie Seneki - chyba jedna Korsyka.

Rozdział XIII

Delegacja Greków aleksandryjskich, która jeszcze bawiła w stolicy, otrzymała z Egiptu instrukcje, aby złożyć mi gratulacje z powodu zwycięstwa nad Niemcami, zanieść skargę na zuchwalstwo Żydów (znowu bowiem w mieście doszło do rozruchów), poprosić o przywrócenie Aleksandrii senatu i jeszcze raz zaofiarować wzniesienie mi świątyn i ufundowanie przy nich kolegiów kapłańskich. Obok tego najwyższego zaszczytu projektowano wiele mniejszych, między innymi ustawienie dwóch posągów ze złota przedstawiających „Pokój Klaudiusza Augusta” i „Germanik-Zwycięzca”. Zgodziłem się na ten drugi posąg, gdyż przypominał w rysach nie mnie, ale mego ojca i brata (obaj byli do siebie niezmiernie podobni), i w ten sposób zaszczyt przypadł w udziale przede wszystkim im, co było tym słuszniejsze, że ich zwycięstwa były i znaczniejsze od moich, i odniesione osobiście.

Żydzi jak zwykle odpowiedzieli wysłaniem kontrdelegacji. Złożyła mi ona życzenia z powodu zwycięstw, podziękowała za wspańałością życzliwość, która swój wyraz znalazła we wspomnianym już edykcje tolerancyjnym, i oskarżała aleksandryjczyków o sprowokowanie nowych zaburzeń w mieście; Grecy bowiem, twierdzili Żydzi, przeszkadzają im w nabożeństwach, urządzają w świąteczne dni przed synagogami tańce i śpiewają piosenki. Z zamieszczonej poniżej kopii mego listu do aleksandryjczyków widać najlepiej, jak rozstrzygnąłem tę sprawę.

„Tyberiusz Klaudiusz Cezar August Germanik, Imperator, Arcykapłan, Trybun Ludu i Konsul obrany przesyła pozdrowienia miastu Aleksandrii.

Delegaci wasi, Tyberiusz, Klaudiusz Barbil, Apoloniusz syn Artemidora, Cheremon syn Leonidasa, Marek Juliusz Asklepiades, Gajusz Juliusz Dionizjusz, Tyberiusz Klaudiusz Fanias, Pasjon syn Potamona, Dionizjusz syn

Sabiona, Tyberiusz Klaudiusz Apoloniusz syn Arystona, Gajusz Juliusz Apoloniusz i Hermaik syn Apoloniusza doręczyli mi waszą uchwałę i obszernie opowiedzieli o tym, co się dzieje w mieście Aleksandrii, powołując się na moją życzliwość, którą, jak wiecie, okazywałem wam przez wiele ubiegłych lat, jako naturalnym przyjacielom domu Augusta, o czym zresztą świadczą liczne fakty. Zwłaszcza między moją najbliższą rodziną a waszym miastem zadzierzgnięte zostały więzy ściślejszej przyjaźni. Wystarczy mi wspomnieć na tym miejscu mego brata Germanika Cezara, który życzliwość swoją w stosunku do was zadokumentował silniej niż ktokolwiek inny z nas: przybył bowiem do Aleksandrii i rozmawiał z wami osobiście. Dlatego też, chociaż nie jestem zwolennikiem zaszczytów, przyjmuję z radością te, któreście dla mnie ostatnio uchwalili.

A więc przede wszystkim pozwalam wam święcić dzień moich urodzin jako «dzień Augusta» w sposób opisany w waszej petycji. Następnie zgadzam się, żeby we wskazanych miejscach stanęły posągi moje i innych członków mojej rodziny, gdyż widzę, że kieruje wami szlachetna gorliwość stworzenia pomnika, który by świadczył o waszej pod każdym względem wypróbowanej lojalności wobec naszej rodziny. Z dwu złotych posągów odmawiam przyjęcia tego, który przedstawia «Pokój Klaudiusza Augusta», wykonanego wedle pomysłu i na wniosek mego przyjaciela Barbila; rzeźba ta bowiem mogłaby urazić uczucia moich współrodaków i winna być raczej ofiarowana bogini Roinie. Co się tyczy drugiej figury, możecie ją we właściwe dni urodzinowe obnosić w procesji w sposób, jaki wyda wam się najstosowniejszy; możecie też umieścić ją na odpowiednio ozdobionym tronie. Skoro zaś przyjąłem tak wielkie zaszczyty z waszych rąk, to sam rozsądek nakazuje zgodzić się też na wprowadzenie gminy klaudyjskiej i zatwierdzenie świętych okręgów w każdej dzielnicy egipskiej. Pozwalam wam więc na jedno i na drugie, jak również na postawienie konnego posągu mego namiestnika Witrazjusza Polliona, skoro tego pragniecie. Udzielam też swego zezwolenia na umieszczenie w

granicznych punktach kraju czterokonnych rydwanów na moją cześć: jednego w Tapoziris w Libii, drugiego w Faros w Aleksandrii, trzeciego w Peluzjum w Dolnym Egipcie. Nie życzę sobie jednak ani arcykapłana mego kultu, ani świątyni na moją cześć, nie chcę bowiem urazić swych współrodaków i jest rzeczą dla mnie całkiem jasną, że przez cały ciąg dziejów ołtarze i świątynie były budowane tylko dla bogów, jako należny im hołd.

W sprawach, które polecacie mojej łaskawości, postanawiam, co następuje: Zatwierdzam prawo obywatelskie i przysługujące z tego tytułu przywileje i prerogatywy wszystkich aleksandryjczyków mogących wykazać, że osiągnęli pełnoletność przed moim wstąpieniem na tron. Wyjątek stanowią tylko ci, którzy, urodzeni z matek niewolnic, wśliznęli się podstępnie w szeregi wolno urodzonych obywateli. Wołuję moją jest także, aby zatwierdzić wszystkie przywileje, których udzielili wam moi poprzednicy, jak również te przywileje udzielone przez dawniejszych waszych królów i prefektów, które zatwierdził boski August. Wołuję moją jest, aby kapłani, pełniący służbę w świątyni boskiego Augusta w Aleksandrii, wybierani byli zrzędzeniem losu, podobnie jak w świątyni tegoż boga w Kanopie. Przedstawiony mi projekt trzyletniego okresu urzędowania władz miejskich zasługuje, moim zdaniem, na poparcie jako bardzo rozsądny. Urzędnicy będą w okresie sprawowania swojej władzy postępować z większą przezornością wiedząc, że po skończonej kadencji ponoszą odpowiedzialność za każde złe zarządzenie.

W sprawie wskrzeszenia senatu nie potrafię w tej chwili powiedzieć, jaki panował zwyczaj za Ptolemeuszów, lecz wiem równie dobrze jak wy, że za poprzedników mych z dynastii Augusta nie istniał w Aleksandrii żaden senat. Ponieważ projekt ten jest zupełną nowością i nie jestem pewien, czy zaaprobowanie go przyniesie wam lub mnie korzyść, zwróciłem się do waszego prefekta Emiliusza Rekta z poleceniem, aby zbadał sprawę i doniósł mi, czy uważa za wskazane stworzenie stanu senatorskiego i w jaki sposób należałoby tego dokonać.

Co się tyczy odpowiedzialności za ostatnie rozruchy i krwawą rozprawę, a raczej, mówiąc otwarcie - wojnę, do której doszło między wami a Żydami, wolałem tej sprawy nie rozstrzygać osobiście, choć wysłannicy wasi, a zwłaszcza Dionizjusz, syn Teona, bardzo wymownie odpierali zarzuty delegacji żydowskiej.

Muszę jednak z najwyższym oburzeniem napiętnować tych, którzy dali początek nowym rozruchom, i chcę, abyście zapamiętali, że jeśli obydwie strony nie zaniechają destrukcyjnej i zacieklej nieprzyjaźni, będę zmuszony pokazać wam, co potrafi uczynić dobrotliwy władca uniesiony słusznym gniewem. Jeszcze raz więc zwracam się do was, aleksandryjczycy, z prośbą o okazywanie Żydom, od tylu lat mieszkającym wraz z wami w tych samych murach, życzliwej tolerancji i o nieobrażanie ich uczuć religijnych podczas nabożeństw, które urządzają wedle praw swych przodków. Pozwólcie im więc jak za dni boskiego Augusta przestrzegać narodowych zwyczajów, albowiem zatwierdziłem ich prawa po bezstronnym wysłuchaniu argumentów obu stron. Jednocześnie życzeniem moim jest, aby Żydzi nie nalegali na rozszerzenie dotychczasowych przywilejów i nie wysyłali do mnie oddzielnej delegacji, tak jak gdyby nie mieszkali w jednym z wami mieście. Jest to wbrew wszelkim zwyczajom. Nie życzę sobie również, żeby występowali jako współzawodnicy w zapasach atletycznych i innych konkurencjach podczas oficjalnych igrzysk. Muszą się zadowolić tym, co posiadają, i korzyściami, jakich im dostarcza wielkie miasto, w którym nie są ludnością rdzenną. Nie powinni też ściągać więcej Żydów ani z Syrii, ani z innych okręgów Egiptu, jeżeli nie chcą wzbudzić podejrzeń silniejszych niż obecnie. Gdyby ostrzeżenie to okazało się daremne, musiałbym zastosować wobec Żydów represje, jako wobec elementów wywrotowych, zagrażających pokojowi całego świata. Jeżeli obydwie strony będą wystrzegać się zadrażnień i żyć we wzajemnej wyrozumiałości i życzliwości, obiecuję troszczyć się o interesy Aleksandrii równie serdecznie, jak troszczyli się o nie w przeszłości moi przodkowie.

Na zakończenie chcę poświadczyć, że wielką gorliwość w obronie waszych interesów okazał jeszcze raz przyjaciel mój Barbil, jak również przyjaciel mój Tyberiusz Klaudiusz Archib.

Bywajcie zdrowi.”

Ów Barbil był astrologiem pochodzącym z Efezu. Messalina wierzyła bez zastrzeżeń w jego wiedzę, a i ja muszę przyznać, że był to człowiek bardzo zdolny i przepowiednie jego dokładnością ustępowały tylko przepowiedniom wielkiego Trazyła. Studiował w Indiach i w Chaldei. Gorliwość, z jaką bronił interesów Aleksandrii, wynikała stąd, że kiedy przed laty musiał opuścić Rzym, skąd Tyberiusz usunął wszystkich astrologów i wróżbitów, z wyjątkiem swego faworyta Trazyła, znalazł gościnne przyjęcie u przedniejszych obywateli Aleksandryjskich.

W miesiąc czy dwa później otrzymałem od Heroda list, w którym wieszował mi zwycięstw, syna i tytułu imperatora. Jak zazwyczaj, do oficjalnego pisma dołączył list prywatny.

„Cóż za wielki wojownik z Ciebie, Małpeczko! - pisał. - Zaledwie przyłożyłeś pióro do papieru i podpisałeś rozkaz wyprawy, aż tu nagle trzepocą sztandary, miecze wylatują z pochew, głowy toczą się po murawie, miasta i świątynie stają w płomieniach. Jak straszego zniszczenia dokonasz, kiedy pewnego dnia wsiadłszy na słońca osobiście obejmiesz dowództwo! Przypominam sobie, jak kiedyś Twoja matka mówiła o Tobie - z niezbyt wielkim przekonaniem - jako o przyszłym zdobywcy Brytanii. Dlaczegoż byś nie miał tego dokonać? Mnie osobiście nie pociągają wojenne triumfy. Pragnę jedynie spokoju i bezpieczeństwa. Zajęty jestem przygotowywaniem moich terytoriów do obrony na wypadek ewentualnego najazdu Partów. Żyjemy z Cypros szczęśliwie; zdrowie dopisuje nam i dzieciom, które chowają się na dobrych Żydów. Nauka idzie im lepiej niż mnie - ot, co znaczy młodość.

Mówiąc nawiasem, nie podoba mi się Twój nowy namiestnik Wibiusz Marsus. Obawiam się, że jeśli nie przestanie wsadzać nosa do nie swoich spraw, dojdzie między nami któregoś dnia do nieporozumień. Z żalem pożegnałem Petroniusza, kiedy skończył okres swego urzędowania. To był porządny człowiek. Biedny Silas jeszcze wciąż siedzi. Kazałem mu dać najlepszą celę w więzieniu i przybory do pisania, żeby mógł znaleźć ujście dla swego żalu nad moją niewdzięcznością. Oczywiście nie dostał pergaminu ani papirusu, tylko tabliczki woskowe. Kiedy więc napisze jedną skargę, musi ją zetrzeć, żeby napisać drugą.

Cieszysz się niezmierną popularnością wśród Żydów; nie ostudziły jej nawet surowe słowa w liście do aleksandryjczyków. Żydzi myślą szybko i umieją czytać między wierszami. Słyszałem od mego starego przyjaciela Aleksandra Alabarcha, że kopie Twojego listu rozesłano do naczelników dzielnic i mają być wystawione na widok publiczny z następującym dopiskiem prefekta miasta:

LUCJUSZ EMILIUSZ REKTUS

OGŁASZA

Ponieważ ze względu na wielką liczbę ludności nie wszyscy mieszkańcy miasta mogli być obecni przy odczytywaniu najmiłościwszego pisma monarszego, uważam za konieczne umieszczenie go na widoku publicznym, aby każdy z osobna mógł podziwiać majestat naszego boskiego Cezara Augusta i wyrazić swą wdzięczność za życzliwość, którą okazał naszemu miastu.

Czternastego sierpnia w drugim roku panowania Tyberiusza Klaudiusza Cezara Augusta Germanika Imperatora.

Zobaczysz, że wbrew Twej woli zrobią z Ciebie boga. Ale nie martw się, dbaj o zdrowie ciała i ducha, odżywiaj się dobrze, śpij smacznie i nie wierz nikomu.

Twój Zbój”

Żakowskie docinki Heroda na temat łatwego uzyskania tytułu imperatora ugodziły mnie w czułe miejsce. Wspomnienie o słowach matki też nie przeszło bez echa - potrafiło we mnie strunę przesądów. Pewnego razu przed wielu laty, kiedy opowiadałem jej o projekcie dodania trzech nowych liter do alfabetu łacińskiego, oświadczyła zirytowana: „Trzy rzeczy na świecie są niemożliwe do spełnienia. Po pierwsze, żeby sklepy ciągnęły się w poprzek Zatoki Neapolitańskiej; po drugie, żebyś ty zdobył Brytanię; po trzecie, żeby którąś z tych twoich śmiesznych liter przyjął ogół.” Tymczasem pierwsza z tych niemożliwości stała się już faktem dokonany z chwilą, kiedy Kaligula zbudował sławny most z Bauli do Puteoli i po obu jego stronach urządził sklepy. Trzecią mogłem urzeczywistnić pierwszego lepszego dnia, kiedy by mi przyszła ochota; wystarczy spytać o zgodę senatu. Dlaczegoż by więc nie dokonać drugiej?

W kilka dni później przyszedł list od Marsusa z napisem „pilny i poufny”. Marsus był człowiekiem prawym, o dużych zdolnościach administracyjnych, a znacznie mniejszych zaletach towarzyskich: pełen rezerwy, chłodny, stale sarkastyczny, stateczny, bez nałogów. Mianowałem go pamiętając, jaką rolę odegrał przed dwudziestu paru laty. Był wtedy dowódcą pułku na Wschodzie i postawił Pizona przed sąd pod zarzutem zamordowania mego brata. Pisał obecnie:

„Jak donoszą mi, mój sąsiad, a Twój przyjaciel, król Herod Agryppa, fortyfikuje Jerozolimę. Fakt jest Ci prawdopodobnie znany, chciałbym jednak, abyś zdał sobie jasno sprawę, że po ukończeniu fortyfikacji miasto stanie się nie do zdobycia. Nie chcę formułować przeciw Twemu przyjacielowi, królowi Herodowi, żadnych oskarżeń o brak lojalności, lecz jako namiestnik Syrii patrzę na tę sprawę z niepokojem. Jerozolima panuje nad drogą do Egiptu; jeśli do władzy dojdą ludzie nieodpowiedzialni, Rzymowi może grozić poważne

niebezpieczeństwo. Herod twierdzi, że obawia się najazdu Partów. Na wypadek tej bardzo mało prawdopodobnej zresztą ewentualności zabezpieczył się doskonale, zawierając sojusz z sąsiadami, których państwa leżą nad granicą partyjską. Przypuszczam, że jego przyjacielskie ustosunkowanie się do Fenicjan zyskało niewątpliwie Twoją aprobatę. Herod niesłychanie szczerze obdarował miasto Bejrut: buduje tam amfiteatr, portyki, łaźnie. Trudno mi zrozumieć motywy tego nadszycowania Fenicjanom. W każdym razie sfery rządzące w Tyrze i Sydonie nie zdają się. okazywać mu dużo zaufania. Muszą mieć po temu słuszne przyczyny, o których nie mogą rozstrzygać. Nawet ryzykując, że ściągnę na siebie Twoje niezadowolenie, ośmielę się w dalszym ciągu w miarę otrzymywanych wiadomości przesyłać Ci raporty o politycznych wypadkach na wschodzie i południu mojej prowincji.”

List, przyznacie, nie należał do najprzyjemniejszych i początkowo ogarnął mnie gniew na Marsusa, który podważał moje zaufanie do Heroda. Kiedy jednak przemyślałem sprawę, poczułem wdzięczność dla namiestnika. Nie wiedziałem, co myśleć o Herodzie. Ufałem wprawdzie, że dotrzyma sojuszu, uroczyste zaprzysiężonego na Rynku rzymskim, ale z drugiej strony zaangażował się on najwidoczniej w jakieś osobiste kombinacje, których, gdyby chodziło o kogo innego, nie wahałbym się nazwać zdradą. Rad byłem, że Marsus nie zasypia gruszek w popiele. Nikomu, nawet Messalinie, nie wspomniałem słowem o tej sprawie. Marsusowi zaś odpisałem krótko: „Pismo otrzymałem. Zalecana przezorność. Czekam dalszych raportów.” Do Heroda wysłałem chytrze obmyślony list.

„Prawdopodobnie, kochany Zbój, skorzystam z Twej uprzejmej rady i wyprawię się na Brytanię, a w takim razie nie omieszkam dosiąść słonia. Będzie to pierwszy słoń oglądany na tej wyspie i stanie się niewątpliwie przedmiotem ogólnego podziwu. Ucieszyłeś mnie wiadomością, że rodzinie Twej dobrze się

wiedzie. Ewentualnością wojny z Fartami nic się nie martw! Jeżeli otrzymam jakieś niepokojące wieści, zawiadomię natychmiast Twego stryja Antypasa w Lyonie. Niech wyrusza na bój w swojej siedemdziesięcioletniej pierwszej zbroi i zdusi niebezpieczeństwo w zarodku.

Cypros więc może spać spokojnie, a Ty możesz zaprzestać fortyfikowania Jerozolimy. Przecież chyba nie zależy nam na zrobieniu z miasta potężnej twierdzy. Pomyśl sobie tylko, co by się stało, gdyby ten rozbójnik, ten Twój kuzyn z Edom, niespodzianym rajdem zajął Jerozolimę, zanim zbudujesz ostatni bastion. Nie wypędzi go się później stamtąd. Na nic się nie zdadzą wszystkie maszyny oblężnicze, «żółtwie» i tarany. I co wtedy z drogą do Egiptu? Przykro mi, że Wibiusz Marsus nie przypadł Ci do gustu. Jak postępują roboty nad amfiteatrem w Bejrucie? Postanowiłem pójść za Twoją radą i nie wierzyć nikomu z wyjątkiem Messaliny, Witeliusza, Rufriusza i mego dawnego kolegi Zbója. Wprawdzie ten ostatni sam się nazywa szelmą, ale w to nigdy a nigdy nie uwierzę i zawsze pozostanę dlań serdecznie przywiązaną Małpeczką.”

Herod odpowiedział mi w zwykłym kpiącym tonie, jakby mu wcale nie zależało na fortyfikacjach. Widać jednak zrozumiał, że mój list wcale nie był tak żartobliwy, jak pozornie wyglądał, i że od Marsusa musiałem otrzymać jakieś wiadomości. Marsus bowiem na mój krótki list odpowiedział równie zwięźle, że prace fortyfikacyjne przerwano.

42 r. n.e.

Objąłem po raz drugi konsulat w marcu, to znaczy na Nowy Rok, zrzekłem się jednak urzędu po dwóch miesiącach na rzecz senatora, któremu z kolei ten zaszczyt przypadł. Miałem zbyt dużo zajęcia, aby zawracać sobie głowę szablonowym urzędowaniem, którym był obarczony konsul. W tym samym roku urodziła mi się córka Oktawia, wybuchło powstanie Winicjana i Skryboniana i przyłączyłem do cesarstwa nową prowincję, Maroko. Opowiem najpierw pokrótce o tym, co zaszło w Maroku. Otóż Marokańczycy znów

urządzili powstanie pod wodzą Salaba, który już w poprzedniej wojnie wykazał wielkie zdolności strategiczne. Komendant sił rzymskich, Paulin, daremnie przeszedł cały kraj aż po Atlas. Nieprzyjaciel unikał bitwy w otwartym polu, lecz atakując z zasadzki lub po nocach, zadał naszym wojskom ciężkie straty. Wkrótce okres dowództwa się skończył i Paulin musiał wracać do Rzymu. Miejsce jego zajął niejaki Hosidiusz Geta, któremu zapowiedziałem przed wyjazdem: niech za żadną cenę nie dopuści, by Salab stał się drugim Takfarinasem. (Takfarinas był to Numidyjczyk, dzięki któremu trzech wodzowie rzymscy otrzymali wieniec wawrzynowy; pozwalał bowiem zawsze rozbić swe wojska w pozornie decydującej bitwie, ale zaledwie Rzymianie odeszli, wypływał nagle na czele na nowo zebranej armii; dopiero czwarty wódz położył kres temu bałaganowi; wziął Takfarinasa do niewoli i kazał go stracić.)

- Nie zadowolaj się częściowymi sukcesami - upominałem Getę. - Wyszukaj główne siły Salaba, zgnieć je, a jego samego zabij albo weź do niewoli. Nie ustawaj w pościgu, choćby zbiegł w głąb lądu do kraju, którego mieszkańcom, jak opowiadają, wyrastają głowy z pachwiny. Rozpoznasz go tam z łatwością, gdyż będzie miał głowę na innym miejscu. Nie chcę ci narzucać swoich poglądów na prowadzenie tej kampanii - dodałem - ale posłuchaj dobrej rady. Nie podporządkowuj się ślepo sztywnym zasadom i regulaminom, jak za czasów Augusta generał Eliusz Gallus, który wyruszył na podbój Arabii, jakby chodziło o drugą Italię lub Niemcy. Zamiast zaopatrzyć ludzi w miechy na wodę i dodatkowe porcje zboża, obładował ich przepisowym rynsztunkiem saperskim i ciężką zbroją, a nawet zabrał ze sobą cały park maszyn oblężniczych. Kiedy ludzie dostawszy kolki zaczęli przegotowywać kiepską studzienną wodę, aby uczynić ją zdrowszą do picia, Eliusz krzyczał z oburzeniem: „Co to?! Przegotowana woda?! Porządny żołnierz rzymski nie gotuje wody! A to co znowu? Suchy gnój do rozpalenia ogniska? Niestychane! Żołnierz rzymski zbiera chrust na ognisko albo się obchodzi bez ognia.” W ten sposób stracił większą część swej armii. Środkowe Maroko to teren niebezpieczny. Dostosuj

taktykę i ekwipunek ludzi do właściwości kraju.

Geta wziął moje rady dosłownie do serca. Pędził Salaba z jednego krańca Maroka na drugi, dwukrotnie rozbijając jego siły, i niewiele brakowało, a byłby go za drugim razem wziął do niewoli. Salab uciekł w góry Atlasu, przeszedł na drugą stronę, gdzie rozciągała się nie zbadana pustynia, i rozkazawszy swym ludziom, żeby bronili przełęczy, udał się po posiłki do sprzymierzonych koczowniczych plemion. Geta pozostawił oddział swych wojsk przy przełęczy i z co śmielszymi ludźmi przedarł się drugą, trudniejszą, leżącą o kilka mil dalej, i trzymając się wiernie moich wskazówek ruszył w trop za Salabem. Wziął z sobą tyle wody, ile muły i ludzie mogli udźwignąć, a ekwipunek zmniejszył do minimum. Liczył, że po drodze znajdzie przynajmniej trochę wody. ale uszedł dwieście mil śladem Salaba wijącym się po pustynnym piachu i nie napotkał nic prócz samotnego krzaka cierni. Wody zaczęło braknąć i ludziom ubywało sił. Geta skrywał obawę, ale zrozumiał, że nawet gdyby zrezygnował z ujęcia Salaba i natychmiast rozpoczął odwrót, nie wystarczy mu wody. Atlas był odległy o setki mil i tylko cud boży mógł zbawić wojsko rzymskie.

W czasie posuchy w Rzymie umiemy skłonić bogów do zesłania deszczu. W świątyni Marsa poza murami miasta przechowuje się czarny kamień, zdobyty swego czasu na Etruskach, a zwany Dżdżysty. W uroczystej procesji, śpiewając zaklęcia i składając ofiary, przynosimy kamień do miasta i obchodzimy z nim miejsca, skąd czerpiemy wodę. Zawsze potem spada deszcz, chyba że nastąpi jakaś pomyłka w rytuale, co często się zdarza. Geta jednak nie posiadając Dżdżystego Kamienia był zupełnie zdany na łaskę losu. Koczownicy, przyzwyczajeni obchodzić się bez wody po kilka dni i ponadto doskonale znający okolicę, zaczęli otaczać siły rzymskie. Ofiarą ich padali maruderzy, którym od gorąca pomieszały się zmysły.

Obrabowanych i zabitych lub ciężko pokaleczonych zostawiano na piasku pustyni.

Geta miał ordynansa Murzyna, który pochodził z tych właśnie okolic, a

później sprzedano go do Maroka. Chłopak nie pamiętał już wprawdzie, gdzie znajduje się najbliższa woda, gdyż porwano go jeszcze dzieckiem, poradził jednak Gecie, aby pomodlił się do Ojca Gwa-Gwa. Na pytanie, kim jest ten Ojciec Gwa-Gwa, wyjaśnił, że to bóg pustyni, który w czasie suszy zsyła deszcz.

Cesarz kazał mi dostosowywać taktykę do okolicy - przypomniał sobie Geta. - Powiedz mi, jak trzeba się zwracać do tego Ojca Gwa-Gwa, a pójdę za twoją radą. - Ordynans wyjaśnił, że trzeba zakopać w piasku aż po szyjkę dzbanek napełniony piwem i wypowiedzieć przy tym słowa: „Ojcze Gwa-Gwa, ofiarujemy ci piwo.” Następnie żołnierze muszą wszystkie naczynia do picia napełnić wodą, zostawiając jej w miechach tyle, żeby zamaczać palce i strząsnąć po kilka kropel na ziemię. Wszyscy potem piją, tańczą, śpiewają pieśni na cześć Ojca Gwa-Gwa i kropią wodą piasek, aż wypiją wszystko do ostatniej kropli. Sam Geta przez ten czas musi śpiewać: „Jak kropimy ziemię tą wodą, tak niech nas skropi deszcz. Wypiliśmy ostatnią kroplę, Ojcze. Nic nam nie pozostało. Dlaczegoś tak nam uczynił? Pij piwo, Ojcze Gwa-Gwa, a siknij w zamian deszczem, bo pomrą dzieci twoje.” Trzeba pamiętać, że piwo jest bardzo skutecznym środkiem moczopędnym. Na deszcz plemiona pustynne mają podobny pogląd jak pierwotni Grecy, którzy, kiedy padało, mówili, że to Zeus opróżnia pęcherz. (Nawet to samo słowo z różnym tylko rodzajnikiem oznacza u Greków niebo i nocnik.) Nomadzi uważają, że ofiarowując ich bogu piwo zachęca się go do oddania moczu w postaci deszczu. Pyskanie wodą podobnie jak przy naszych ofiarach oczyszczalnych ma mu przypominać, jak deszcz pada, na wypadek gdyby o tym zapomniał.

Zrozpaczony Geta zebrał swoją chwiejącą się na nogach armię i zapytał, czy któryś nie ma przypadkiem piwa. Na szczęście oddział posiłkowy Niemców, którzy przekładają piwo nad wodę, miał jeszcze w bukłaku parę zaoszczędzonych kwaterek. Geta rozkazał przynieść bukłak, rozdzielił resztę wody na równe porcje, a piwo zostawił dla Ojca Gwa-Gwa. Wojsko tańczyło,

piło wodę, kropiło nią naokoło, a tymczasem Geta odmawiał formułę inwokacyjną. Na Ojcu Gwa-Gwa (którego imię oznacza po prostu wodę) hołd złożony przez tak wielką liczbę obcych przybyszów wywarł widocznie jak najlepsze wrażenie; niebo zasnuły nagle ciemne chmury i lunęło jak z cebra. Trzy dni trwała ulewa zamieniając każde zagłębienie w studzienkę pełną wody. Armia była uratowana. Nomadzi, biorąc rzęsy deszcz za niewątpliwy dowód łaski Ojca Gwa-Gwa w stosunku do Rzymian, wyleźli z kryjówek i pokornie prosili o zawarcie z nimi przymierza. Geta jednak zażądał najpierw wydania Salaba. Wnet przyprowadzono wodza w pętach do obozu. Między Geta a nomadami nastąpiła wymiana darów i zawarto pokój. Następnie Geta wyruszył z powrotem w stronę gór. Tu zaskoczył ludzi Salaba, pozostawionych na straży przełęcz, i część wybiwszy, część wzięwszy do niewoli, zniósł cały oddział. Reszta sił marokańskich widząc, że wódz ich w pętach wraca do Tangeru, poddała się bez walki. Tak to niecała kwarta piwa ocalała życie z górą dwu tysiącom Rzymian i przysporzyła Rzymowi nową prowincję. Ojcu Gwa-Gwa kazałem na pustyni za górami, gdzie panował, wystawić ołtarz, a Maroko, podzielone na dwie prowincje - zachodnią ze stolicą w Tangerze i wschodnią ze stolicą w Cezarei - miało mu składać roczną daninę ze stu kozich skór i najlepszego piwa. Getę wynagrodziłem triumfalnymi odznakami. Gdyby nie był stracił Salaba bez porozumienia się ze mną, byłbym zażądał od senatu przyznania mu dziedzicznego tytułu „Maurus” (Marokański). Tego samowolnego kroku nie podyktowały mu żadne konieczne względy wojskowe, lecz jedynie osobista próżność.

Wspomniałem o narodzinach mojej córki Oktawii. Senat i lud zabiegał teraz o względy Messaliny, gdyż wiadomo było, że powierzyłem jej większą część obowiązków, które przypadały mi jako cenzorowi. Teoretycznie Messalina była tylko moją doradczynią, w rzeczywistości jednak, jak wspomniałem, miała duplikat pieczęci, co pozwalało jej uprawomocniać wydane zarządzenia. Miała też - do pewnych granic - prawo decyzji, kogo z

rycerstwa czy senatu należy zdegradować za obrazę moralności publicznej i kirm zapelnic powstały w ten sposób wakat. Podjęła się również uciążliwej pracy rozstrzygania o przyznaniu obywatelstwa rzymskiego. Senat chciał jej uchwalić tytuł Augusty; sposobności do tego dostarczyło przyjście na świat Oktawii. Jednak mimo całej miłości, jaką żywiłem dla Messaliny, uważałem, że nie zasłużyła jeszcze na ten zaszczyt. Chciałem, żeby coś jej pozostało na później. Miała zaledwie osiemnaście lat. Liwia tytuł Augusty zyskała dopiero po śmierci, a moja matka w całkiem sędziwym wieku. Nie zgodziłem się więc na to odznaczenie. Aleksandryjczycy jednak nie pytając o pozwolenie wybili monetę przedstawiającą z jednej strony moją głowę, a z drugiej Messalinę w stroju Demetry; na jednej ręce trzymała dwie małe figurki chłopca i dziewczynki, w drugiej sнопek zboża symbolizujący urodzaj. Stanowiło to zręczną a pochlebnią aluzję do imienia Messaliny od łacińskiego słowa messis - żniwa. Skoro monetę raz wybito, nie mogłem na to nic poradzić. Messalina była zachwycona.

Pewnego wieczora przysła do mnie nieśmiało, popatrzyła mi długo w twarz nie mówiąc ani słowa, a wreszcie najwidoczniej zmieszana, zająknąwszy się raz i drugi, spytała:

- Czy kochasz mnie, mężusiu?

Zapewniłem, że kocham ją ponad wszystko na świecie.

- A coś mi niedawno opowiadał o trzech głównych kolumnach w świątyni miłości?

- Mówiłem, że świątynia miłości wspiera się na trzech filarach: na serdeczności, szczerości i wzajemnym zrozumieniu. Jest to właściwie powiedzenie filozoficzne Mnasalka, którego zacytowałem.

- Czy możesz mi więc dać dowód największej dobroci i zrozumienia, do jakich zdolna jest twoja miłość? Moja miłość postara się tylko o szczerość. Otóż szczerze i prosto zapytam: czy nie byłoby ci zbyt ciężko... czy chciałbyś... czy mógłbyś... zgodzić się, żebym przez pewien czas sypiała w oddzielnej sypialni? Nie dlatego wcale, żebym cię kochała choć troszeczkę mniej niż ty mnie. Ale,

widzisz, niecałe dwa lata minęły do ślubu, a mamy już dwoje dzieci. Czy nie sądzisz, że powinnam trochę poczekać z trzecim? Ciąża to bardzo nieprzyjemna rzecz: od rana mdłości, gorąco robi się w dołku, żołądek przestaje trawić... Czuję, że nie przetrzymałabym znowu tego wszystkiego. A prawdę mówiąc, to pominąwszy nawet te obawy, nie czuję jakoś dawnej napiętności w stosunku do ciebie. Kocham cię zawsze jednakowo mocno, ale raczej jak najdroższego przyjaciela, jak ojca moich dzieci, nie jak kochanka. Przypuszczam, że dzieci pochłaniają znaczną część uczuć kobiety. Nic nie ukrywam przed tobą. Czy mi wierzysz?

- Wierzę i kocham cię.

Pogłaskała mnie po twarzy.

- I poza tym nie jestem jak inne przeciętne kobiety, których zadanie polega tylko na tym, żeby rodzić i rodzić, aż wreszcie zwiędną. Jestem twoją żoną, żoną cesarza, która pomaga mężowi w jego monarszych obowiązkach. To trzeba mieć przede wszystkim na względzie. Ciąża strasznie przeszkadza w pracy.

- Oczywiście, najdroższa - rzekłem trochę żałośnie. - Skoro tak odczuwasz, no to trudno. Nie należę do mężów, którzy gwałtem narzucają żonom swą wolę. Lecz czyż koniecznie mamy sypiać oddzielnie? Czy przynajmniej dla towarzystwa nie moglibyśmy dzielić łóża?

- O Klaudiuszu! - zakrzyczała prawie. - Dość kosztowała mnie decyzja, zanim ośmieliłam się zwrócić do ciebie z tą prośbą. Wiesz przecież, że cię kocham i nie chciałabym cię niczym urazić. Nie męcz mnie bardziej jeszcze. Czy nie byłoby przeraźliwą udręką teraz, po wszystkim, co ci wyznałam, gdybyś dzieląc ze mną łóżę poczuł gwałtowną napiętność? Czybym cię odepchnęła, czy oddała się wbrew woli, byłoby to jednakowo zabójcze dla naszej miłości. A jestem pewna, że gdyby coś zniweczyło moją miłość ku tobie, zdręczyłbyś się potem wyrzutami sumienia. Nie! Czy nie widzisz, to przecież o wiele lepiej, żebyśmy sypiali oddzielnie, aż poczuję znów dawną do ciebie napiętność. Co

byś powiedział na przykład, gdybym chcąc sama siebie uchronić od wszelkiej pokusy, przeniosła się do Nowego Pałacu? Byłoby mi tam znacznie wygodniej pracować. Mogłabym od rana zabierać się do swoich papierów. Z powodu wylegiwania się tutaj mam duże zaległości. Tyle list obywatelskich nie sprawdzonych.

- Na jak długo zamierzasz się wyprowadzić? - ustępowałem, choć niechętnie.

- Zobaczymy, jak to będzie w praktyce wyglądać - rzekła całując mnie czule w kark. - Odetchnęłam z ulgą widząc, że się nie gniewasz. Na jak długo? Och, nie wiem. Czy to jest takie ważne? Pomimo wszystko kwestia seksualna nie jest w miłości najważniejsza, jeżeli tylko istnieją inne silne więzy łączące kochanków, na przykład wspólne dążenie do ideałów, piękna i doskonałości. Pod tym względem zgadzam się z Platonem, który uważał płęć wprost za przeszkodę w miłości.

- Miał na myśli miłość homoseksualną - zwróciłem jej uwagę starając się, żeby w głosie moim nie było znać przygnębienia.

- Właśnie, najdroższy - zaszczebotała beztróska. - Ja przecież pracuję tak jak mężczyzna, tak samo jak ty, więc to na jedno wychodzi. Nieprawdaż? A co się tyczy wspólnych ideałów, to doprawdy musimy być idealistami, żeby dążąc do pewnego politycznego ideału przebrnąć przez cały ten gąszcz nonsensów. A więc rzecz postanowić na, co? Czy doprawdy chcesz być takim droгим, droгим Klaudiuszkiem i nie upierać się przy dzieleniu ze mną łoża? Oczywiście w dosłownym znaczeniu. Bo pod każdym innym względem jestem zawsze twoją kochaną Messalinką i pamiętaj, że bardzo przykro mi było prosić cię o taką rzecz.

Odpowiedziałem, że ją jeszcze bardziej szanuję i kocham za tę otwartość i że, oczywiście, muszę jej pozostawić żadaną swobodę. Naturalnie z niecierpliwością będę oczekiwał chwili, kiedy poczuje, że znów może być dla mnie taka jak dawniej.

- Och, proszę, nie bądź niecierpliwy! - zawołała. - To utrudnia mi sytuację. Twoja niecierpliwość sprawi, że będę się czuła winną i prawdopodobnie zacznę udawać uczucia, których wcale nie będę miała. Może jestem wyjątkiem, ale sprawy seksualne nie mają dla mnie wielkiego znaczenia. Przypuszczam zresztą, że wiele kobiet nudzą stosunki płciowe, a mimo to kochają swoich mężów i pragną być przez nich kochane. A ja zawsze będę zazdrosna, pamiętaj. Gdybyś miał stosunki z innymi kobietami, tobym chyba oszalała z zazdrości. Nie chodzi mi o to, że się prześpisz z którą zamiast ze mną, ale boję się, żebyś jej nie pokochał bardziej ode mnie, nie rozwiódł się ze mną. Jeżeli od czasu do czasu weźmiesz sobie do łóżka jaką dorodną pokojówkę albo ładną; czystą kobietkę, o tyle niżej sytuowaną ode mnie, że nie może budzić mojej zazdrości, będę się naprawdę tylko cieszyła, że zabawieś się trochę. A kiedy znów znajdziemy się razem w łóżu, będziemy takie zdarzenia uważać za coś całkiem nie istniejącego; po prostu za zabieg higieniczny - tak jakbyś wziął na przeczyszczenie lub na wymioty. Nie chcę wcale, żebyś mi mówił nazwisko takiej przelotnej kochanki, a raczej wolę go nie znać, bylebyś tylko dotrzymał obietnicy i nie zadawał się z kobietami, o które miałabym prawo być zazdrosna. Czy nie tak powiedziała Liwia Augustowi?

- Poniekąd tak. Ale nigdy go nie kochała. Sama mi to powiedziała. To ułatwiło jej okazywanie dbałości o jego wygody. Wyszukiwała na targu niewolnic młode dziewczęta i wpuszczała je potajemnie do sypialni Augusta. Były to, zdaje się, przeważnie Syryjki.

- Chyba nie wymagasz czegoś podobnego ode mnie? Mimo wszystko jestem kobietą.

Tak to Messalina chytrze i okrutnie grała na mojej ślepej do niej miłości. Jeszcze tego samego wieczora przeniosła się do Nowego Pałacu. Przez długi czas nic nie mówiłem mając nadzieję, że do mnie wróci. Ale i ona nic nie mówiła, choć okazywała mi zawsze wiele czułości, jakby chcąc zaznaczyć, że panuje między nami idealne porozumienie. Od czasu do czasu w dowód

wielkiego ustępstwa godziła się przespać ze mną noc. Siedem lat minęło, zanim doszły mnie pierwsze niejasne pogłoski o tym, co dzieje się w apartamentach Nowego Pałacu, podczas gdy stary mąż rogacz siedzi przy pracy albo beztrząsoko chrapie w swym łóżku w Starym Pałacu.

Teraz możemy przejść do historii Appiusza Sylana, byłego konsula, który od czasu Kaliguli był namiestnikiem Hiszpanii. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że za cenę małżeństwa z tymże Sylanem Liwia nakłoniła Emilię do fałszywego oskarżenia Postuma. Emilia była prawnuczką Augusta i swego czasu, jeszcze w moim chłopięcym wieku, niewiele brakowało, a ożeniono by mnie z nią. Z małżeństwa z Emilią Sylan miał pięcioro dorosłych dzieci: trzech synów i dwie córki; byli to jedyni pozostali przy życiu potomkowie Augusta. Ze względu na dostojne powinowactwo Tyberiusz uważał Sylana za człowieka niebezpiecznego i postarał się, żeby go wraz z Winicjanem i innymi senatorami oskarżono o zdradę. Jednak dowody winy obalono i cała sprawa skończyła się na porządnym strachu. Sylan w wieku lat szesnastu był najprzystojniejszym młodzieńcem w Rzymie, obecnie, mając już lat pięćdziesiąt sześć, jeszcze zwracał uwagę swą urodą: siwizna ledwie, ledwie przyprószała mu włosy, oczy miał duże, a ruchy i postawę młodzieńcze. Był teraz wdowcem, gdyż Emilia umarła na raka. Jedną z córek, Kalwinę, wysłał za mąż za syna Witeliusza.

Pewnego dnia, wkrótce po urodzeniu Oktawii, Messalina zwróciła mi uwagę na Sylana.

- To człowiek, który by się nam przydał w Rzymie - rzekła. - Chciałabym, żebyś go odwołał z prowincji i umieścił na stałe w pałacu jako swego doradcę. Jest to nieprzeciętna umysłowość, która się zupełnie marnuje w Hiszpanii.

- To nie najgorszy pomysł - przyznałem. - Mam dla Sylana szczere uznanie, a poza tym posiada wielkie wpływy w senacie. Lecz jak go nakłonić, żeby wrócił do Rzymu i zamieszkał razem z nami? Nie można go tak ni stąd, ni zowąd umieścić w pałacu niby pierwszego lepszego sekretarza lub buchaltera. Trzeba do tego znaleźć jakiś godziwy pretekst.

- Myślałam już o tym i wpadłam na świetny pomysł. Dlaczegoż by nie wydać zań mojej matki? Ona by chętnie wyszła za mąż, ma dopiero trzydzieści trzy lata. A dla Sylana małżeństwo z twoją teściową będzie wielkim zaszczytem. Czy nie uważasz, że to dobry pomysł?

- Owszem, jeżeli tylko załatwisz tę sprawę z matką. - Już ją pytałam. Jest zachwycona.

Tak więc Sylan wrócił do Rzymu, gdzie go połączyłem węzłem małżeńskim z Domicją Lepidą, matką Messaliny, i oddałem młodej parze do użytku apartamenty w Nowym Pałacu, tuż obok Messaliny. Wkrótce zauważyłem, że Sylan czuje się w stosunku do mnie bardzo nieswojo. Był zawsze gotów pomóc mi we wszystkim, o co go tylko prosiłem: odbywał w moim imieniu nagłe wizytacje niższych sądów, żeby sprawdzić, czy wymiar sprawiedliwości należycie się odbywa; dokonywał inspekcji w uboższych dzielnicach miasta; składał mi sprawozdania o warunkach mieszkaniowych ludności; uczestniczył w urzędowych licytacjach majątków skonfiskowanych na rzecz państwa, by przeszkodzić ewentualnym nadużyciom licytatorów - lecz nie potrafił mi nigdy spojrzeć prosto w oczy i unikał wszelkiej ze mną zażyłości. Czułem się trochę urażony, lecz przecież trudno było ode mnie wymagać, żebym się domyślił prawdy, żebym przejrzał, że Messalina prosiła o sprowadzenie Sylana z Hiszpanii, gdyż kochała się w nim jako młoda dziewczyna, i dlatego tylko ożeniła go z matką, żeby łatwiej mogła spotykać się z nim, a zaledwie przybył, nalegała, by spędzał noce w jej łóżnicy! Pomyśleć tylko! Z własnym ojczymem, człowiekiem o pięć lat starszym ode mnie, mającym wnuczkę niewiele młodszą od Messaliny. Oczywiście, jego zachowanie względem mnie musiało być dziwne, gdyż Messalina opowiedziała mu, że przeniosła się do Nowego Pałacu na mój rozkaz i że ja sam podsunąłem jej myśl, aby została jego kochanką. Chciałem, wyjaśniała, dostarczyć jej rozrywki, sam bowiem miałem głupi romans z Julią, była żoną mojego bratanka Nerona, którą nazywaliśmy Heleną w odróżnieniu od innych Julii, a później, ze

względu na jej łakomstwo, Żarłokiem. Sylan najwidoczniej uwierzył w tę historię, ale zdecydowanie wzbraniał się nawiązać bliższe stosunki z pasierbicą, nawet tak piękną i nawet za zgodą cesarza. Jest wprawdzie kobieciarzem, twierdził, ale nie łajdakiem.

- Daję ci dziesięć dni do namysłu - groziła Messalina. - Jeżeli mi po tym terminie odmówisz, poskarżę się Klaudiuszowi. Wiesz, jaki stał się próżny, od czasu gdy go obwołano cesarzem. Nie będzie mu miło usłyszeć, że ktoś pogardził jego żoną. Na pewno każe cię zabić. Nieprawdaż, mamó?

Domicja Lepida była całkiem opanowana przez Messalinę i we wszystkim jej pomagała. Sylan uwierzył obu kobietom. Nie mieszał się wprawdzie bardzo do polityki, ale to, co przeżył za panowania Tyberiusza i Kaliguli, zrobiło zeń ukrytego antymonarchistę. Nie wierzył, żeby ktoś, stanąwszy na czele państwa, nie okazał się w krótkim czasie tyranem, okrutnikiem i rozpustnikiem. Nadszedł już dziewiąty dzień wyznaczonego przez Messalinę terminu. Sylan trwał ciągle w swym uporze, ale zdenerwowany w najwyższym stopniu powziął desperacką myśl zgładzenia mnie.

Tegoż wieczoru mój sekretarz Narcyz zwrócił uwagę na nieprzytomne zachowanie się. Sylana; usłyszał, jak idąc korytarzem mruczy sam do siebie: „Kasjusz Cherea... stary Kasjusz. Tak samo... ale nie sam...” Narcyz, mając w tym momencie głowę zaprzątniętą jakimiś sprawami, nie zwrócił uwagi na te słowa, utkwily mu jednak w pamięci, jak to nieraz bywa, i choć do wieczora nie pomyślał o nich, powróciły nocą w przeraźliwym widziadłe. Narcyzowi przyśniło się, że Kasjusz Cherea wręcza Sylanowi skrwawiony miecz ze słowami: „Za moim przykładem uderz, uderz znowu! Stary Kasjusz z tobą. Śmierć tyranom!” Wtedy Sylan rzucił się na mnie i porąbał w kawałki. Sen był tak żywy i wstrząsający, że Narcyz wyskoczył z łóżka i pędem przybiegł opowiedzieć mi o nim.

Sypiałem sam i stąd dość kiepsko. Kiedy zbudzony gwałtownie tuż przed świtem wysłuchałem historii o koszmarnym śnie, którą Narcyz opowiedział mi

przerażonym głosem, oblał mnie zimny pot ze strachu. Zawołałem o światło - o sto światel! - i bezzwłocznie posłałem po Messalinę. Przybiegła przerażona. Jak dziś przypuszczam, bała się pewnie, czy nie wykryłem któregoś z jej łajdactw, toteż z wielką pewnie ulgą wysłuchiwała historii o śnie Narcyza. Kiedy skończył, rzekła dygocząc ze strachu:

- Nic! Czyż doprawdy mu się to śniło? O nieba! Przecież to ten sam sen, który co rano od tygodnia daremnie usiłuję sobie przypomnieć. Budzę się co dzień z krzykiem i nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego krzyczałam. To musi być prawda. To przestroga bogów. Poślij zaraz po Sylana, niech się przyzna!

Wybiegła z pokoju, żeby wydać odpowiednie polecenie jednemu ze swych wyzwoleńców. Obecnie wiem, że kazała powtórzyć Sylanowi następujące słowa: „Dziesięć dni minęło. Cesarz każe ci się bezzwłocznie stawić i udzielić wyjaśnień.” Wyzwoleniec nie mógł zrozumieć, o jakie dziesięć dni chodzi, ale zbudził Sylana i powtórzył mu, co usłyszał.

- Mam iść? - zawołał Sylan. - Dobrze, pójdę!

Ubrał się spiesźnie, wsunął jakiś przedmiot w fałdy sukni i z dzikim wyrazem w oczach, potykając się, wybiegł w stronę mych komnat, wyprzedzając wyzwolenca. Ten, zaniepokojony, zatrzymał po drodze jakiegoś niewolnika.

- Biegnij co sił do sali obrad - rozkazał - i powiedz wartownikom, żeby zrewidowali Appiusza Sylana, kiedy się tylko zjawi.

Gwardziści znaleźli ukryty sztylet i aresztowali Sylana. Przesłuchałem go na miejscu. Nie potrafił oczywiście wyjaśnić, dlaczego wziął sztylet. Zapytałem, co ma na swoją obronę. Wpadł we wściekłość, zaplawał się jakimiś nieartykułowanymi wykrzyknikami, wymyślając mi od potworów, a Messalinie od wilczyc. Zapytany, czy zamierzał mnie zabić, odpowiedział tylko:

- Zwróć mi sztylet, tyranie! Pozwól mi go we własnej utopić.

Kazałem go stracić. Zginął biedaczysko, gdyż nie miał na tyle rozsądku, żeby powiedzieć prawdę.

Rozdział XIV

Śmierć Sylana popchnęła Winicjana do wywołania rewolty. Kiedy tego samego dnia zawiadomiłem senat o zamachu, udaremnionym jedynie dzięki czujności straży, i o straceniu winowajcy, powstał szmer zdumienia, potem szept pełen grozy, który od razu ucichł. Sylan był pierwszym senatorem, który od czasu objęcia przeze mnie rządów został skazany na śmierć, a nikt nie wierzył w możliwość popełnienia przez niego zbrodni. Senatorom wydawało się, że wreszcie ukazują się im we właściwej postaci i że nadchodzi czas terroru. Przyzwałem Sylana z Hiszpanii, niby to chcąc go obdarzyć wielkimi zaszczytami, a w rzeczywistości od samego początku nosiłem się z myślą zabicia go. Całkiem jak Kaligula! Naturalnie nie zdawałem sobie sprawy z nastroju wywołanego moim opowiadaniem i dodałem w żartobliwym tonie, że jestem bardzo wdzięczny Narcyzowi, który nawet we śnie czuwa nad moim bezpieczeństwem.

- Gdyby nie ten sen - ciągnąłem - nie byłbym posłał po Sylana i w konsekwencji nie byłbym napędził mu strachu, dzięki któremu się zdradził. Byłby wykonał zamach na moje życie w bardziej rozważny sposób. Miał do tego niejedną sposobność. Ostatnio zacząłem go obdarzać tak wielkim zaufaniem, że na mój rozkaz nie poddawano go rewizji osobistej. Chciałem mu zaoszczędzić tej poniżającej formalności.

Zabrzmiały oklaski, ale nieszczerze.

- A więc to tak - mówił potem Winicjan do swych przyjaciół - greckiemu wyzwolencowi przyśnił się zły sen i dlatego szlachetny Appiusz Sylan poniósł śmierć. Czyż pozwolimy temu matołkowi, temu dyniowatemu łbu, Klau-Klau-Klaudiuszowi rządzić nami? Cóż wy na to?

Wszyscy się zgodzili, że potrzeba energicznego, doświadczonego cesarza, a nie kukły, która nic nie umie i niczego się nie nauczyła a połowa tego, co robi,

świadczy o zupełnym szaleństwie. Zaczęli sobie teraz przypominać ważniejsze moje pomyłki i dziwactwa. Oprócz wspomnianych przeze mnie, przytoczono niedawny fakt skreślenia z listy sędziów pewnego obywatela. W tym miejscu muszę wyjaśnić, że w Rzymie było około czterech tysięcy kwalifikowanych prawników, obowiązanych na wezwanie zasiadać w sądach. Niewielu się kwapiło do tej wyjątkowo żmudnej i wyjątkowo niepopularnej pracy, toteż uchylającym się groziła poważna kara pieniężna. Listy sędziów były przygotowywane przez urzędników pierwszego stopnia. Tego roku więcej niż połowa wyznaczonych starała się uchylić od powyższego obowiązku, podając na swoje usprawiedliwienie różne motywy. W dziewiętnastu jednak wypadkach na dwadzieścia rekursy ich odrzucono. Urzędnik, który sporządzał listy, przesłał je do mojej ostatecznej decyzji, przy czym zaznaczył nazwiska tych, których rekursu nie uwzględniono. Wśród tych, którzy zgłosili się dobrowolnie, zauważyłem nazwisko człowieka mającego siedmioro dzieci. Wedle prawa wydanego przez Augusta powinien on być na całe życie zwolniony od obowiązku zasiadania w sądzie. Nie prosił jednak o zwolnienie i nie wspominał słowem o swej licznej rodzinie.

- Wykreśl go - poleciłem urzędnikowi. - To ojciec siedmiorga dzieci.

- Ależ, Cezarze! - zaprotestował urzędnik - on wcale się nie starał o zwolnienie.

- Właśnie dlatego - odpowiedziałem. - Zależy mi na tym, żeby być sędzią. Skreśl go.

Mówiąc to miałem na myśli, że człowiek, który ukrywa, że przysługuje mu zwolnienie z obowiązków, uważanych przez uczciwych ludzi za niewdzięczne i niemile, ma na pewno jakieś nieczyste zamiary. Przekupni sędziowie mogli zarobić sporo pieniędzy. Utarło się nawet powiedzenie, że jeden stronniczy sędzia potrafi przeważać zdanie całego zespołu bezstronnych, a o wyroku decydowała większość głosów. Idiota urzędnik powtórzył tylko słowa: „Chce być sędzią, więc go skreśl”, jako charakterystyczny przykład mojej

głupoty.

Winicjan i inni malkontenci dziwili się niezwykleму rozporządzeniu, mocą którego każdy, kto stawał przede mną w sądzie, obowiązany był opowiedzieć osobiście, tak jak potrafił, o swych rodzicach, krewnych, małżeństwie, karierze, stanie finansowym, ostatnim zajęciu i tym podobnych personaliach. Nie mógł go w tym wyręczyć patron ani adwokat. Powody, dla których wydałem to rozporządzenie, były całkiem proste: o wiele więcej można się dowiedzieć o człowieku z dziesięciu słów, które sam o sobie powie, niż z dziesięciogodzinnego panegiryku, który wygłosi jego przyjaciel. Nie tyle bowiem chodzi o to, co powie w tych dziesięciu słowach, ale w jaki sposób powie. Stwierdziłem, że ułatwia mi to w znacznym stopniu zrozumienie dalszego ciągu sprawy, jeżeli od samego początku zorientuję się, czy mam do czynienia z człowiekiem mało rozwiniętym czy obrotnym w języku, chełpliwym czy skromnym, opanowanym czy lęklwym, inteligentnym czy tępym. Zdaniem jednak Winicjana i jego przyjaciół wyrządzałem wielką krzywdę oskarżonemu pozbawiając go patrona czy adwokata, na których poradę liczył.

Najwięcej jednak oburzenia ze wszystkich moich cesarskich gaf wywołała - rzecz dziwna - sprawa ze srebrnym rydwanem. Pewnego dnia na ulicy Złotniczej zauważyłem wielki tłum, jakieś pięćset ludzi zgromadzonych przed sklepem. Zaciekawiony, co mogło obudzić tak wielkie zainteresowanie, kazałem towarzyszącym mi liktorom usunąć tłum, zwłaszcza że tamował ruch uliczny. Kiedy spełnili polecenie, okazało się, że w sklepie wystawiono na pokaz rydwan, cały, z wyjątkiem złotego obramienia pudła, kryty srebrną blachą. Srebrem obita była również oś, której zakończenie stanowiły złote psie głowy o ametystowych oczach; szprychy były hebanowe, rzeźbione w kształt Murzynków ze srebrnymi przepaskami; sworznie złote. Obraz, sztancowany na srebrnej blasze pokrywającej boki pudła, przedstawiał wyścigi w cyrku; obręcze kół były inkrustowane złotymi liśćmi winorośli. Chomąta i dyszel, również obite srebrem, były zakończone złotymi kupidynekami o oczach z turkusów. Ten

wspaniały pojazd, jak głosił napis, można było nabyć za sto tysięcy aureusów. Ktoś mi szepnął, że rydwan wykonano na zamówienie jakiegoś bogatego senatora, który już nawet zań zapłacił, lecz prosił złotnika, aby przez kilka dni potrzymał go jeszcze na wystawie (z ceną wyższą od istotnej), chciał bowiem zwrócić uwagę ogółu na kosztowność nabytku. Wydało mi się to bardzo prawdopodobne. Złotnik nie byłby na własne ryzyko wykonywał tak kosztownego sprzętu w tej tylko nadziei, że znajdzie się jakiś milioner nabywca. Jako cenzor moralności publicznej miałem zupełne prawo postąpić tak, jak postąpiłem. Przywołałem mianowicie złotnika i kazałem mu przy sobie oderwać srebrne i złote blachy, a następnie sprzedać je na wagę do mennicy państwowej, która przysłała w tym celu swego rzeczoznawcę. Odezwały się głośne okrzyki protestu, lecz wnet je uciszyłem.

- Tak ciężki pojazd - rzekłem - uszkodziłby bruki, bez blach zrobi się trochę lżejszy.

Właścicielem rydwanu był, jak trafnie się domyśliłem, Azjatyk. Uważał on, że może teraz bezpiecznie ujawnić swoje niezmiernie bogactwa, które szczęśliwie zdołał ukryć przed pożądlivym wzrokiem Kaliguli. Podzielił mianowicie gotowiznę na setki drobnych depozytów i w imieniu swoich wyzwoleńców lub przyjaciół złożył je w różnych bankach. Wystawność jego życia mogła łatwo wywołać w pospółstwie rozruchy. Jakież sumy inwestował w niedawno zakupione ogrody Lukulla! Pod względem piękności zajmowały one drugie miejsce po ogrodach Salustiusza, lecz Azjatyk postanowił, że muszą prezentować się bezkonkurencyjnie.

- Kiedy ukończę prace w ogrodach Lukulla - chełpił się - Salustiuszowe będą w porównaniu z nimi wyglądać niewiele lepiej niż kilkuaktusowy nieużytek.

Postarał się o drzewa owocowe, kwiaty, wodotryski, baseny rybne, jakich dotąd nie oglądano w Rzymie. Uważałem, że w czasie kiedy w Rzymie brakło chleba, nikt nie będzie z uciechą patrzył na zadowolonego z życia, brzuchatego

senatora paradującego po mieście w srebrnym pojeździe o złotych sworzniach i srebrnym dyszlu. Człowiek nie byłby człowiekiem, gdyby nie wzięła go chęćka przynajmniej wyjąć sworznie. Myślę, że w danych warunkach miałem prawo postąpić, jak postąpiłem. Ale zniszczenie przeze mnie dzieła sztuki - złotnik był sławnym rzemieślnikiem, któremu Kaligula powierzył wykonanie swoich złotych posągów - poczytano mi za barbarzyński wybryk i bardziej oburzyło przyjaciół Winicjana, niż gdybym kazał wywlec z tłumu dziesięciu obywateli, porąbać ich za pomocą młotka i dłutka w kawałki, a mięso sprzedać rzeźnikom do jatek. Azjatyk sam nie okazał śladu gniewu i był na tyle przezorny, że wcale się nie przyznał do swej własności. Najbardziej potępiał mnie Winicjan.

- Następnym razem - krzyczał - zedrze nam płaszcze z pleców, każe rozplatać wełnę i odsprzeda tkaczom z powrotem. To szalenie, którego trzeba się pozbyć!

Winicjusz nie łączył się z opozycjonistami. Domyślał się, że jako byłego kontrkandydata do cesarskiej purpury mam go na oku, i starał mi się nie narazić. Poza tym musiał zdawać sobie sprawę, że wszelkie próby pozbycia się mnie są nie na czasie. Cieszyłem się wciąż niezmierną popularnością wśród gwardii, przedsięwziąłem wiele środków ostrożności na wypadek zamachu - stała eskorta wojskowa, dokładne rewizje w poszukiwaniu broni, specjalny urzędnik do próbowania potraw przy każdym posiłku - miałem wierną i czujną służbę, toteż trzeba było dużej dozy szczęścia i pomysłowości, żeby pozbawiwszy mnie życia samemu uiść cało. Zdarzyły się już dwa nieudane zamachy na mnie; w obydwu wypadkach zamachowcy działali z własnej inicjatywy. Byli to rycerze, którym za występki przeciw moralności zagroziłem degradacją. Jeden czyhał u wejścia do Teatru Pompejusza, aby mnie zamordować, gdy będę opuszczał teatr. Nie był to zły pomysł, ale jeden z towarzyszących mi żołnierzy spostrzegł, że napastnik z laski, którą trzymał w ręku, zsunął wydrażoną nasadę, zmieniając w ten sposób kij w krótki dziryty; podskoczył więc i ciął go przez głowę, zanim ów zdołał użyć swej broni. Drugi zamach miał miejsce w świątyni Marsa, kiedy

składałem ofiarę. Tym razem morderczą bronią była szpada. Napastnika od razu rozbrojono.

Pozbyć się mnie można było tylko przy pomocy siły zbrojnej, lecz gdzież można było znaleźć wojska, które by wystąpiły przeciw mnie?! Winicjanowi zdawało się, że potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Liczył na pomoc Skryboniana. Ów Skrybonian był przyrodnim bratem małej Kamilli, która miała zostać moją narzeczoną i którą babka Liwia otruła w dniu zaręczyn. Podczas mego pobytu w Kartaginie na rok przed śmiercią Germanika Skrybonian ciężko mnie obraził pokpiwając z mojej niemożności wzięcia udziału w bitwie i chełpiąc się własnymi czynami. Ojciec jego, Furiusz Kamillus, pełniący urząd namiestnika Afryki, kazał mu potem publicznie mnie przeprosić. Skrybonian musiał ulec, gdyż w Rzymie słowo ojcowskie jest prawem, ale nigdy nie zapomniał upokorzenia i parę razy dotkliwie dał mi odczuć swą niechęć. Za czasów Kaliguli grał główną rolę wśród moich dręczycieli i był inicjatorem wszystkich psich figlów i kawałów, które mi płątano. Łatwo sobie wyobrazić, że kiedy do Dalmacji, gdzie Skrybonian wysłany ostatnio przez Kaligulę sprawował dowództwo armii, doszła wiadomość o obwołaniu mnie cesarzem, przyjął ją nie tylko z zawiścią i niezadowoleniem, lecz zaniepokoił się o własną skórę. Co będzie, myślał, kiedy się skończy okres urzędowania i trzeba będzie wracać do Rzymu? Czy Klaudiusz jest człowiekiem zdolnym do wybaczenia dawnych zniewag? A jeśli tak, czy nie będzie ciężiej znosić wspaniałomyślności niż gniewu? Zdecydował się wreszcie zadośćuczynić formalności poddania się pod moje rozkazy jako naczelnego wodza, ale równocześnie robić wszystko, co w jego mocy, aby pozyskać sympatię pozostającej pod jego komendą armii. Kiedy nadejdzie chwila, w której odwołam go do Rzymu, myślał, napisze do mnie jak ongiś Getulik do cesarza Tyberiusza: „Możesz liczyć na moją lojalność, dopóki pozostaję na swoim stanowisku.”

Winicjan był osobistym przyjacielem Skryboniana i informował go listownie o wszystkim, co zaszło w Rzymie. Po straceniu Sylana napisał:

„Złe mam dla Ciebie wiadomości, kochany Skrybonianie. Klaudiusz, zhańbiwszy Rzym swoją tępota, ignorancją, błazeństwem, całkowitą zależnością od bandy wyzwolenców Greków, rozrutnego żydłaka, swojego kompana od kieliszka Witeliusza i żądnej użycia i władzy młodej żony Messaliny, popełnił pierwsze znaczniejsze morderstwo. Biedny Appiusz Syllan, odwołany ze stanowiska namiestnika Hiszpanii, spędził w niepewności parę miesięcy na dworze. Nagle pewnego ranka wywleczono go z łóżka i stracono bez sądu. Klaudiusz zjawił się wczoraj w senacie i stroił na ten temat żarty. Wszyscy uczciwi ludzie w stolicy twierdzą zgodnie, że należy pomścić śmierć Syllana. Gdyby się pojawił jakiś odpowiedni człowiek, który by mógł objąć przywództwo, cały naród powitałby go z otwartymi ramionami. Klaudiusz poprzewracał wszystko do góry nogami tak, że zaczynają już tęsknić za Kaligulą. Niestety, jak dotychczas może liczyć na poparcie gwardii, a bez siły zbrojnej nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Kilka zamachów spełzło na niczym. Jest tak tchórzliwy, że przybywających do pałacu każe u wejścia rewidować. Odbierają nawet szpilkę. Wyglądamy Cię jak naszego wybawiciela. Jeżeli wyruszysz na Rzym z siódmym i jedenastym pułkiem i lokalnymi siłami, które zdołasz przeciwżyć, położysz kres naszym troskom. Obiecuj gwardiom równie wielkie podarki jak te, które otrzymały od Klaudiusza, a przejdą od razu na Twoją stronę. Klaudiuszem pogardzają i uważają go za wścibskiego cywila. A pomijając okazaną z samego początku, wymuszoną zresztą szczodroliwość, tylko raz w dniu urodzin wypłacił żołnierzom po aureusie na głowę, żeby wypili za cesarskie zdrowie. Skoro tylko wylądujesz w Italii - trudności transportowe dadzą się łatwo przezwyciężyć - połączymy się z Tobą na czele ochotników i dostarczymy pieniędzy, ile tylko będziesz potrzebował. Nie wahaj się! Jeszcze jest czas. Później sytuacja będzie gorsza. Zanim Klaudiusz ściągnie siły znaną z Renu, możesz dotrzeć do Rzymu. Wątpię zaś, czy w ogóle będzie je mógł ściągnąć, gdyż Niemcy, jak słyhać, gotują się do odwetu, a Galba nie należy do

ludzi, którzy by porzucili nadreński posterunek w momencie, gdy Chattowie się ruszają. Bez Galby nie ruszy się Gabiniusz; oni dwaj zawsze trzymają się razem. Tak więc rewolucja zapowiada się bezkrwawo. Nie odwołuję się do Ciebie w imię Twego własnego bezpieczeństwa, gdyż wiem, że godność Rzymu stawiasz nad osobisty interes, nie zaszkodzi jednak, jeśli się dowiesz, że parę dni temu Klaudiusz odezwał się do mego kuzyna Winicjusza: «Nie zapominam starych porachunków. Zapamiętaj sobie moje słowa! Kiedy pewien namiestnik powróci do Rzymu, zapłaci krwawo za figle, które mi ongiś płatał.» I jeszcze jedno: Nie miej skrupułów, że pozostawiasz prowincję bez ochrony. Pułki będą potrzebne na krótki czas, a przecież możesz zabrać z sobą dostateczną liczbę zakładników, co odbierze prowincjuszom ochotę do urządzania powstań w czasie Twojej nieobecności. Dalmacja przecież nie jest graniczną prowincją. Donieś mi zaraz, czyś gotów połączyć się z nami i stając się drugim zbawcą Rzymu zdobyć równie sławne imię jak Twój wielki przodek Kamillus.»[* Marek Furius z Kamillus obronił w 389 r. p.n.e. Rzym przed najazdem Galów.]

Skrybonian zdecydował się zaryzykować. Napisał do Winicjana, że dla transportu wojsk potrzebuje stu pięćdziesięciu statków z Italii prócz tych, które znajdują się pod jego komendą w portach Dalmacji. Potrzebuje też miliona aureusów w bilonie na żołd dla dwóch regularnych pułków - każdy po pięć tysięcy ludzi - i dwudziestu tysięcy rezerwistów dalmatyńskich, których zamierza powołać pod chorągwie. Mając pieniądze skłoni żołnierzy do złamania złożonej mi przysięgi. Otrzymawszy ten list Winicjan z resztą spiskowców - sześciu senatorów, siedmiu rycerzy, a ponadto sześciu senatorów i dziesięciu rycerzy usuniętych przeze mnie z listy stanu - opuścili Rzym bez przeszkody, pod pozorem odwiedzenia swych wiejskich posiadłości. Pierwszym zwiastunem buntu był zuchwały list Skryboniana. Zwał mnie samozwańcem i kretyńcem i żądał, abym natychmiast złożwszy wszystkie swe godności wycofał się z życia publicznego. Wykazałem, pisał, pożałowania godną nieudolność w wywiązywaniu się z zadań, które w chwili zamieszania i rozruchów powierzył

mi senat, wobec czego on, Skrybonian, uważa swą przysięgę za nieważną i odpływa do Italii na czele trzydziestu tysięcy ludzi, aby przywrócić w Rzymie i w reszcie świata ład i powagę rządów. Jeżeli po otrzymaniu tego listu abdykuję, daruje mi życie i udzieli mnie i moim stronnikom takiej samej amnestii, jakiej, posłuchawszy mądrej rady, udzieliłem po objęciu władzy moim przeciwnikom. W pierwszej chwili po przeczytaniu listu wybuchnąłem śmiechem. o bogi! Cóż to za rozkosz wycofać się w zacisze prywatnego życia, spokojnie i wygodnie żyć w towarzystwie Messaliny, księżek, dzieci i wiedzieć, że państwo jest należycie rządzone. Ależ oczywiście! Oburącz podpiszę abdykację, skoro Skrybonian uważa, że potrafi lepiej rządzić ode mnie. Och! Móc znowu usadowić się wygodnie w fotelu i patrzeć, jak ktoś inny zмага się z tym zadaniem ponad siły, którego nie chciałem się podjąć i które okazało się uciążliwsze, kłopotliwsze i niewdzięczniejsze, niż to można opisać. Wytworzyła się podobna sytuacja, jakby król Agamemnon zawołał nagle do Laokoona i synów, pasujących się z olbrzymimi węzami zesłanymi na ich zgubę przez rozgniewanego boga: „Daj spokój tym wspaniałym potworom! Ja się już z nimi załatwię. Zostaw je, mówię, albo źle wyjdiesz na tym!” Lecz czyż mogłem ufać, że Skrybonian dotrzyma słowa, że ogłosi amnestię, oszczędzi mnie i moją rodzinę? A czy jego rządy będą równie składne i poważne, jak to obiecuje? A co powie w tej sprawie gwardia? I czy Skrybonian jest w Rzymie tak popularny, jak mu się wydaje? Czy ważę rzeczywiście zgodzą się pozostawić w spokoju Laokoona z synami, a oplotą tego nowego Agamemnona?

Pospiesznie zwołałem senat i tymi słowy zagałem posiedzenie:

- Czcigodni ojcowie, zanim odczytam wam ten list, muszę oświadczyć, że jestem najzupełniej zdecydowany uczynić zadość żądaniom, które zawiera, i z radością powitani beztroskie życie w zaciszu, o ile tylko otrzymam dostateczne gwarancje bezpieczeństwa. Odpowiem odmownie na propozycję Furiusza Kamillusa Skryboniana tylko w tym wypadku, jeżeli jesteście całkowicie przekonani, że krok jego przyniesie państwu więcej szkody niż pożytku.

Przyznaję, że w sztuce rządzenia, w dziedzinie sądownictwa i wojskowości wykazywałem aż do tego roku ignorancję, która wywołuje rumieniec wstydu na moich policzkach. A chociaż uczę się codziennie, do tej pory nie uzupełniłem braków edukacji. Nie ma człowieka w moim wieku i z mojej sfery, od którego mógłbym zasięgnąć całego mnóstwa technicznych wiadomości, najbardziej podstawowych, a przecież zupełnie mi obcych. Winę ponosi za to wrodzona chorowitość i nieszczególna opinia o moich walorach umysłowych, jaką od dzieciństwa posiadałem w gronie mojej znakomitej i dziś po części boskiej rodziny; nigdy bowiem dobrowolnie nie uchylałem się od spełniania obowiązków względem ojczyzny. A nawet w czasach kiedy nie marzyłem o wyniesieniu mnie na tak odpowiedzialne stanowisko, na własną rękę zdobywałem potrzebną wiedzę z pilnością, jak sami chyba przyznacie, godną pochwały. Pozwalam sobie twierdzić, że rodzina moja popełniła omyłkę i że nigdy nie byłem idiotą. Na dowód tego mogę powołać się na słowa wypowiedziane przez boskiego Augusta wkrótce po powrocie z wyspy, gdzie odwiedził Postuma Agryppę i na rozmowę, którą trzy dni przed jego śmiercią miałem z Pollionem w Bibliotece Apolla. Doradzał mi wtedy, żebym za przykładem pierwszego Brutusa*[Pierwszy Brutus obalił w r. 509 p.n.e. monarchię w Rzymie, wypędzając ostatniego z królów, Tarkwiniusza, i stał się założycielem republiki. W obawie przed śmiercią grożącą mu z ręki okrutnego wuja Tarkwiniusza udawał upośledzonego na umyśle, stąd jego przydomek „Brutus” - głupi jak bydlę. Drugi Brutus, z tej samej rodziny Juniuszów, w obronie republiki przed powstającą monarchią brał udział w spisku na życie Cezara w r. 44 p.n.e. Szerzej o tym Liwiusz, Ab urbe condita I 56-60.] grał rolę głupkowatego i w ten sposób uchronił się przed pewną osobistością, która może by zechciała mnie usunąć, gdybym się okazał zbyt inteligentny. Również moja żona Urgulanilla, z którą się rozwiodłem ze względu na jej niesympatyczny charakter, niewierność i brutalność, była łaskawa stwierdzić w testamencie - mogę ten dokument okazać na życzenie - że nie jestem głupcem. Ostatnie słowa

bogini Liwii zwrócone do mnie na łożu śmierci, czy jak powinienem może raczej wyrazić się: na krótko przed wstąpieniem do nieba, brzmiały: „I pomyśleć tylko, że zawsze przezywałam cię idiotą!” Przyznaję, że moja siostra Liwilla, moja matka Antonia Augusta, mój bratanek, ostatni cesarz Gajusz, i jego poprzednik, mój stryj Tyberiusz, nie poddali nigdy rewizji swej ujemnej o mnie opinii, a dwaj ostatni dali jej nawet wyraz w oficjalnych listach do senatu. Stryj Tyberiusz odmówił mi miejsca pośród was twierdząc, że każda mowa, którą bym próbował wygłosić, byłaby tylko zmarnowaniem czasu i wystawieniem na ciężką próbę waszej cierpliwości. Bratanek mój Gajusz Kaligula uczynił mnie wprawdzie senatorem, ale tylko z tego względu, że byłem jego stryjem, no i ponieważ chciał się popisać swą wspaniałomyślnością. Zarządził jednak równocześnie, że w czasie rozpraw przemawiać mam ostatni, a w jednej ze swoich mów - jeżeli nie pamiętacie, możecie protokół znaleźć w archiwum - oświadczył, że jeżeli ktoś z członków tego zebrania musi w czasie posiedzenia wyjść do ustępu, to na przyszłość niech będzie łaskaw nie wybiegać gwałtownie w środku jakiegoś ważnego przemówienia, na przykład jego własnego, przez co odwraca się uwagę innych, lecz poczekać, aż konsul, wzywając Tyberiusza Klaudiusza Nerona Germanika - tak mnie wówczas zwano - do wypowiedzenia swego zdania, da tym samym znak, że nadeszła chwila ogólnego wypoczynku. Jak sobie przypominam, zastosowaliście się do życzenia cesarza nie przypuszczając, że posiadam ambicję, którą można urazić, lub sądząc, że tak dawno i tak często urażana, musiała się opancerzyć równo silnie jak bezskrzydły jaszczur Tyberiusza. A może podzielaliście opinię mego bratanka, którego zdaniem byłem po prostu matołkiem? Czyż jednak odmienne, a przemyślane zdania dwóch bóstw, Augusta i Liwii - zdania, w których autentyczność możecie mi wierzyć na słowo, gdyż nie są nigdzie zapisane - nie przeważają jakiegokolwiek liczby sądów śmiertelników? Sprzeciw w tym wypadku byłbym skłonny uważać za bluźnierstwo. Nie dlatego, żeby bluźnierstwo było występkiem, gdyż pod tym względem zmieniliśmy ustawę,

lecz świadczy ono zawsze o nietakcie i człowiek może się narazić na to, że dosłyszają go bogowie. Poza tym zarówno mego stryja, jak bratanka spotkała gwałtowna śmierć i nikt po nich nie nosił żałoby, a ich mów i listów nie cytuje się z tym szacunkiem, co przemówienia i listy boskiego Augusta. Wiele też wydanych przez nich ustaw uległo przedawnieniu. Byli oni za swego życia lwami, lecz teraz już niczyją, a ulubione żydowskie przysłowie Augusta - pożyczył je od króla Heroda Wielkiego, dla którego dowcipu miał tyle uznania, co ja dla dowcipu jego wnuka, Heroda Agryppy - mówi: Więcej wart żywy pies niż zdechły lew. Nie jestem lwem - wiecie o tym. Uważam, że niezły ze mnie bryś. Jeżeli ktoś mówi, że narobiłem w państwie zupełnego bałaganu lub że jestem kretynem, to takie zdanie, mam wrażenie, obraża raczej was niż mnie. Wyście bowiem zmusili mnie do objęcia władzy i przy niejednej od tej pory sposobności składaliście mi życzenia z powodu osiągniętych sukcesów; wyście obdarzali mnie zaszczytami, między innymi mianem Ojca Ojczyzny. No, a jeśli ojciec jest idiotą, to dzieci niewątpliwie coś z tego po nim dziedziczą.

Odczytawszy następnie list Skryboniana rozejrzałem się badawczo po zebranych. Wszyscy wyglądali niezmiernie zmieszani, choć nie odważyli się zareagować na moje przemówienie inaczej jak oklaskami, wyrazami protestu lub zdziwienia, stosownie do odczytywanej treści. Wy, moi czytelnicy, niewątpliwie pomyślicie sobie to samo co wtedy senatorzy: „Dziwne przemówienia wygłasza Klaudiusz w przeddzień rewolty. Dlaczegoż to z takim uporem podkreśla swe domniemane idiocstwo? Mógł przecież przypuszczać, żeśmy już o tym zapomnieli. Dlaczegoż uważa za konieczne przypomnieć nam, że rodzina miała go swego czasu za umysłowo upośledzonego? Dlaczego przeczytał nam ustępy z listu Skryboniana zawierające aluzję do tej opinii? Dlaczego poniża sam siebie dyskutując na ten temat?”

Rzeczywiście przemówienie moje mogło wzbudzić podejrzenia; robiło ono wrażenie, że zdając sobie sprawę ze swego umysłowego upośledzenia usiłuję sam siebie przekonać, iż jest inaczej. Wiedziałem jednak doskonale, co

robię, i w rzeczywistości postąpiłem bardzo przezornie. Mówiłem przede wszystkim z niezwykłą szczerością; taka niespodziewana szczerość w stosunku do samego siebie zawsze znajduje chętny posłuch. Postawiłem senatorom przed oczy swój własny obraz, człowieka uczciwego, oddanego sprawie, wprowadzicie nie obdarzonego szczególnym sprytem, lecz też nie szukającego własnej korzyści, i obraz ich samych: spryciarzy szukających własnej korzyści, ani uczciwych, ani oddanych państwu, ani nawet odważnych. Kasjusz Cherea przestrzegał ich, żeby nie oddawali państwa w ręce idioty; zlekceważyli tę radę w obawie przed gwardią. Ostatecznie decyzja ich była dobra. Powrócił dobrobyt i sprawiedliwość sądów; lud był zadowolony, armie zwyciężały na wszystkich frontach, a ja nie okazałem się krwiożerczym tyranem i jak powiedziałem w dyskusji, kuśtykając zaszedłem dalej niż kto inny na dwóch zdrowych nogach; świadom bowiem swojej ułomności nie przystawałem ani nie zwalniałem kroku. Z drugiej strony chciałem podkreślić, że jeśli mają ochotę, mogą mnie zrzucić z tronu. W tym ostatnim wypadku otwartość, z jaką nie oszczędzając się zupełnie odkryłem wszystkie swoje ujemne strony, osłabiała z góry wszelkie zamachy brutalności czy mściwości, które mi groziły, z chwilą gdy zostanę prywatnym człowiekiem.

W wielu przemówieniach senatorowie zapewniali mnie o swojej lojalności. Używano jednak zwrotów umiarkowanych w obawie przed zemstą Skryboniana, na wypadek gdyby mnie zmusił do abdykacji. Jeden tylko Winicjusz przemówił energiczniej.

- Senatorowie - odezwał się. - Przypuszczam, że niejeden z nas odczuł wyraźnie wymówkę, jaką nam, choć w tak uprzejmej formie, uczynił Ojciec Ojczyzny. Ze szczerym wstydem przyznaję dzisiaj, że nie doceniałem go, zanim objął władzę, i uważałem za niezdolnego do pełnienia obowiązków, z których się znakomicie wywiązuje. Obecnie wydaje mi się nieprawdopodobne, aby ktokolwiek z nas mógł nie doceniać jego umysłowości. Możliwe to było przedtem, jak sądzę, dzięki temu tylko, że Klaudiuszowi udało się zwieść nas

przez swoją wielką skromność i przez umyślne pomniejszanie swej osoby za rządów poprzednich cesarzy. Znacie przysłowie: „Kaźda lizka swój ogonek chwali”; straciło ono na wartości za czasów Kaliguli, gdyż żaden mądry człowiek nie chciał zalecać swych przymiotów w obawie, że wzbudzi zazdrość lub pożądlivość cesarza. Waleriusz Azjatyk skrył swoje bogactwo, Tyberiusz Klaudiusz swój rozum. Ja nie miałem nic do skrywania z wyjątkiem nienawiści do tyranii. Skrywałem ją też, dopóki nie przysła chwila działania. Żadna lizka nie chwaliła wówczas swego ogonka. Kaligula obecnie nie żyje, a za Klaudiusza szczerść odzyskała swoje dawne prawa. Będę więc szczerzy. Mój krewniak Winicjan niedawno w mej obecności występował gwałtownie przeciw Klaudiuszowi i proponował usunięcie go. Zrobiłem mu wtedy z tego powodu ostrą wymówkę, nie wspominałem wam jednak o tym zdarzeniu, gdyż prawo o zdradzie stanu nie istnieje teraz, a zresztą Winicjan jest moim krewnym. Trzeba uznawać wolność słowa, zwłaszcza w stosunkach z krewnymi. Winicjana dziś tutaj nie ma. Opuścił miasto. Obawiam się, że wyruszył do Skryboniana. Zauważyłem też, że brak sześciu jego najbliższych przyjaciół. Niewątpliwie wyruszyli wspólnie z nim. Lecz cóż to znaczy siedmiu niezadowolonych? Siedmiu na pięciuset! Mniejszość, o której nawet nie warto wspominać. A czy niezadowolenie ich wypływa z ogólnych przyczyn, czy jego źródłem jest osobista ambicja?

Potępiam postępowanie mego kuzyna z trzech powodów. Po pierwsze, jest niewdzięczny, po drugie, nielojalny, po trzecie, szalony. Jest niewdzięczny, Ojciec Ojczyzny bowiem przebaczył mu z własnej inicjatywy, że swego czasu popierał moją kandydaturę na cesarza, i okazał się wielce pobłaźliwy wobec jego późniejszych aroganckich, obstrukcyjnych przemówień w senacie. Jest nielojalny, gdyż przysiągł na wierność Tyberiuszowi Klaudiuszowi Cezarowi jako głowie państwa. Złamanie takiej przysięgi może być usprawiedliwione tylko w tym nieprawdopodobnym wypadku, gdyby Cezar w rażący sposób złamał swą własną przysięgę, którą zobowiązał się do sprawiedliwych rządów.

Cezar przysięgi tej nie złamał. Nielojalność wobec Cezara staje się więc świętokradztwem wobec bogów, na których Winicjan przysięgał, i zbrodnią wobec państwa, które pod rządami Cezara jest szczęśliwsze, niż było kiedy indziej. Winicjan jest szalony, bo choć Skrybonianowi może się uda poprowadzić kilka tysięcy obalamuconych i przekupionych żołnierzy na Italię, choć może odnieść kilka wojennych sukcesów, chyba nikt z członków tego dostojnego zgromadzenia nie przypuszcza naprawdę, że jego przeznaczeniem jest zostać naszym cesarzem. Czy ktokolwiek mógłby uwierzyć, że na stronę buntownika przejdą gwardie, ten główny nasz puklerz? Gwardziści nie oszaleli jeszcze, wiedzą, gdzie im dobrze. Nie oszalał też senat ani lud - i oni wiedzą doskonale, że pod rządami Klaudiusza cieszą się wolnością i dobrobytem, jakich im stale wzbraniłi poprzednicy. Skrybonian może pozyskać sobie stolicę tylko obietnicami reform; dobrze nałamię sobie głowę, zanim wynajdzie, co by trzeba było naprawić. Moim zdaniem, senatorowie, motorem tej rewolucji jest osobista zawiść i osobista ambicja. Żądają nie tylko, abyśmy na miejsce cesarza, który okazał się godnym naszego uwielbienia i posłuszeństwa, wzięli innego, o którego zdolnościach wiadomo nam bardzo mało, a którego intencje nie są wolne od podejrzeń, lecz także abyśmy się narazili na krwawą wojnę domową. Przypuściwszy bowiem nawet, że Cezar zechce abdykować, nie mamy żadnej pewności, czy armie uznają Skryboniana. Jest wielu wybitnych ludzi bardziej odpowiednich do objęcia władzy niż Skrybonian. Cóż przeszkodzi któremukolwiek z dowódców korpusów, żeby mając za sobą nie dwa pułki, jak Skrybonian, lecz cztery, ogłosił się właściwym cesarzem i wyruszył na Rzym? A nawet jeśli Skrybonianowi zamach się powiedzie, co moim zdaniem jest wysoce nieprawdopodobne, cóż zrobi Winicjan? Czy z radością ugnie kolano przed wielkością Skryboniana? Czy przypadkiem nie ofiarował swej pomocy pod warunkiem podziału cesarstwa? A w takim razie, czy nie przyjdzie nam oczekiwać takiego pojedynku na śmierć i życie, jaki odbył się raz pomiędzy Pompejuszem a boskim Juliuszem Cezarem i po raz drugi między Markiem

Antoniuszem a boskim Augustem? Nie, senatorowie! W tej sprawie nasza lojalność, nasza wdzięczność i nasz interes idą ręką w rękę. Musimy lojalnie pomóc Tyberiuszowi Klaudiuszowi Cezarowi, jeśli chcemy, aby nam kraj był wdzięczny, bogowie przychylni, a my sami sobie żebyśmy składali powinszowania, kiedy Winicjan i Skrybonian poniosą śmierć zdrajców, na którą rzetelnie zasłużyli.

Następnie zabrał głos Rufriusz:

- W Izbie tej, senatorowie, za dużo się mówiło o ewentualnej nielojalności gwardii. Niefortunne to, moim zdaniem, słowa. Jako komendant gwardii bezwzględnie odrzucam możliwość, by choć jeden żołnierz zapomniał o swej powinności. Musicie sobie przypomnieć, senatorowie, że to właśnie gwardia pierwsza zwróciła się do Tyberiusza Klaudiusza Cezara, obecnego tu Ojca Ojczyzny, z żądaniem, aby objął naczelne dowództwo, i że senat przez pewien czas nie okazywał chęci potwierdzenia tego wyboru. Nie przystoi więc senatorowi powątpiewać dziś o lojalności gwardii. Tak jak pierwsza obwołała Tyberiusza Klaudiusza Cezara cesarzem, tak do ostatka będzie popierać jego sprawę. A gdyby do obozu miały dojść wieści, że senat zamierza ofiarować naczelne dowództwo komu innemu, to radzę wam, senatorowie, bezzwłocznie po uchwaleniu takiego wniosku ufortyfikować ten budynek, jak tylko potraficie najlepiej. Zbudujcie barykady z ławek i brukowców albo odłóżcie posiedzenie sine die i rozproszcie się sami na wszystkie strony.

Skutek był taki, że otrzymałem jednogłośnie wotum zaufania i senat upoważnił mnie do zawiadomienia Skryboniana, iż zostaje złożony z urzędu i ma bezzwłocznie stawić się w Rzymie, aby udzielić wyjaśnień. Skrybonian jednak listu tego nigdy nie otrzymał. W tym czasie bowiem już nie żył.

Oto jak rzecz się miała. Skrybonian przez pewien czas folgował żołnierzom, urządzał dla nich rozrywki na własny koszt i zwiększył porcję wina. Kiedy sądził, że już pozyskał popularność wśród wojska, zebrał siódmy i jedenasty pułk w miejscowym amfiteatrze i oświadczył, że życiu jego zagraża

niebezpieczeństwo. Odczytawszy im list Winicjana, czy może tylko część listu, zapytał, czy zechcą dopomóc mu w uwolnieniu Rzymu od tyrana, który w szybkim tempie staje się równie nieobliczalny i okrutny jak Kaligula.

- Trzeba wskrzesić republikę - krzyczał. - Jedyne rządy republikańskie pozwalają się cieszyć całkowitą swobodą. - Siał pełną garścią, jak to się mówi, licząc na obfite zbiory.

Słuchaczom Skryboniana zapachniało w tej mowie pieniędzmi, a że żołnierze lubią pieniądze, wydało im się bardzo niesprawiedliwe, żeby tak szlachetnego dowódcę rzucać na łup mojej nienawiści czy zawiści. Poczuli więc wiwatować na jego cześć i na cześć Winicjana, który swego czasu dowodził jedenastym pułkiem. Obiecywali, że pójdą z nimi choćby na koniec świata. Skrybonian przyrzekł więc na razie wypłacić po dziesięć aureusów na głowę, po przybyciu do Italii czterdzieści, a sto w dniu, w którym zwycięsko wkroczą do Rzymu. Wypłaciwszy obiecany zadatek odesłał żołnierzy do obozu, rozkazując im być w pogotowiu do wymarszu. Sygnał miał być dany z chwilą przybycia statków z Italii i uzbrojenia miejscowych zaciągów. Skrybonian jednak popełnił wielki błąd: nie doceniał lojalności i inteligencji swych ludzi. Wprawdzie łatwo było wywołać chwilowe oburzenie z powodu grożącego mu niebezpieczeństwa, w którym to nastroju bez niechęci przyjęli podarek, lecz złamać otwarcie żołnierską przysięgę to jednak co innego. Trudniej to było kupić. Poszliby za nim na koniec świata, ale nie do centrum tego świata - Rzymu. Nie wystarczyło dziesięć aureusów i obietnica czterdziestu po wylądowaniu, aby nakłonić żołnierzy do wyruszenia przeciw Italii. Opuścić prowincję i najechać na Italię, to oznaczało rewolucję, a nieudana rewolucja pachniała śmiercią na polu walki lub pod katowskim mieczem - a może pod batami lub na krzyżu, jeżeli cesarz zechce dać odstraszący przykład.

Oficerowie zebrali się, żeby zadecydować, czy iść ze Skrybonianem, czy nie. Wyrażano się o wodzu z pewną sympatią, lecz nikt nie płonął chęcią wywołania buntu. W każdym razie nikt nie pragnął wskrzeszenia republiki.

Skrybonian oświadczył, że liczy na ich pomoc, i dał do zrozumienia, że jeśli nie połączą się z nim w wielkim dziele odrodzenia starorzymskich swobód, rozpęta przeciw nim sprawiedliwy gniew szeregowców. Oficerowie postanowili grać na zwłokę. Wysłali do generała deputację, która oświadczyła, że wprawdzie jeszcze dotąd nie doszli między sobą do porozumienia, lecz niech im zechce wybaczyć to niezdecydowanie wynikające ze szczegółowego rozpatrywania sprawy; w dniu, w którym będzie miał odpłynąć, zakomunikują mu wspólną decyzję. Skrybonian odparł, że mogą postąpić, jak mają ochotę - on ma pod dostatkiem ludzi na ich miejsce - ale niech wiedzą, że upartych, którzy się z nim nie połączą, czeka śmierć. Większą wagę niż narada oficerów miało odbyte w tajemnicy zebranie chorążych, sierżantów i kaprali. Wszyscy oni mieli ponad dwanaście lat służby i większość była żonata z Dalmatynkami. Od początku służyli w jednym i tym samym miejscu, gdyż legionów rzymskich prawie nigdy nie przenoszono do innej prowincji. Nic dziwnego, że ci, co służyli w siódmym i jedenastym pułku, uważali Dalmację za swoją stałą siedzibę i dbali tylko o to, żeby urządzić się w niej jak najwygodniej i bronić swego stanu posiadania.

- Chłopcy - zwrócił się do zebranych chorąży siódmego pułku - chyba nie myślicie naprawdę ruszać z generałem do Italii. Pachnie to strasznie głupią awanturą, pomijając już nawet sprawę pułkowego honoru. Przecież przysięgaliśmy na wierność Tyberiuszowi Klaudiuszowi Cezarowi, który okazał się całkiem przyzwoitym człowiekiem. Może nie? Ma wprawdzie jakiś rankor do naszego starego, ale kto wie, po czyjej stronie racja? Że do Skryboniana łatwo mieć rankor, to wszyscy zauważyliśmy. Zostawmy ich - niechże sami między sobą załatwiają własne porachunki. Mogę walczyć z Niemcami, Marokańczykami, Fartami, Żydami, Brytonami, Arabami, Chińczykami, gdzie mnie pošlą, bo to mój zawód. Ale wcale nie mam ochoty walczyć w Italii z dywizjami gwardii. Opowiadano mi, że cesarz cieszy się wśród nich wielką popularnością, a zresztą to śmieszne, moim zdaniem, żebyśmy się mieli wzajemnie tłuc. Generał nie ma prawa od nas tego żądać. Jeśli chodzi o mnie,

do tej pory nie wydałem pieniędzy, które mi dał w prezencie, i nie zamierzam tego uczynić. Stawiam wniosek, żeby się z całej tej awantury wycofać.

Wszyscy się zgodzili. Wyłoniła się jednak nowa trudność: nadzieja łatwego zarobku i wielkich łupów tak podnieciła zarówno młodych, jak stare wygi, że nie wiadomo było, jak bez narażenia się żołnierzom odwołać rebelię. Ktoś wpadł na rozsądny pomysł. Przed trzydziestu laty bunt wśród tych samych pułków został nagle zażegnany dzięki ostrzegawczemu znakowi z niebios; przyszło zaćmienie, a po nim oberwanie chmury. Dłaczegóż by teraz nie postarać się o omen, który by odebrał chęć do wszczynania rebelii. Rada w radę powzięli decyzję.

W pięć dni później przyszedł od Skryboniana rozkaz wymarszu. Żołnierze w pełnym rynsztunku, zaopatrzeni w żywność, mieli wyruszyć do portu i tam bezzwłocznie wsiąść na okręty. Nagle i równocześnie chorążowie siódmego i jedenastego pułku zaraportowali swoim dowódcom, że nie mogli tego ranka przystroić swoich orłów, jak zwyczaj kazał, w wawrzynowe girlandy. Ledwie je uwiązali, spadały i w oczach więdły. Za chwilę przybiegli znowu z udanym przerażeniem: nowy cud się zdarzył, drzewc orłów wbitych w ziemię nie można wyrwać. Oficerowie z radością wysłuchiwali złowróżbnych raportów i zawiadomili Skryboniana. Skrybonian wpadł we wściekłość i ruszył pędem do obozu jedenastego pułku.

- Powiadacie, że drzewc orłów nie można wyrwać - ryczał. - Łgarstwo wierutne! Odwagi wam zabrakło, psy tchórzliwe! Zaraz wam tu pokażę. Kto śmie twierdzić, że tego drzewca nie da się wyciągnąć?

Z tymi słowami przyskoczył do najbliższego orła i chwycił z całej siły za drzewce: ciągnął, szarpał, rwał, aż mu żyły na czole nabrzmiały niby postronki, a drzewce ani drgnęło, było bowiem jak u wszystkich innych orłów, w tę samą jeszcze noc, w którą odbyło się zebranie, wpuszczone w cement, a cement z wierzchu przysypano ziemią. Przez pięć dni cement stwardniał na kamień.

Skrybonian zrozumiał, że wszystko stracone. Pogroził niebu pięścią,

ruszył pędem w kierunku portu, wskoczył na pokład swego prywatnego żaglowca i rozkazał załodze natychmiast rozwinąć żagle i odbić od brzegu. Jak przypuszczam, chciał się dostać do Italii, żeby zawiadomić Winicjana o upadku planowanego buntu. Załoga jednak, podejrzewając, że plan się nie powiódł, i nie chcąc mieć dłużej nic wspólnego ze Skrybonianem, wysadziła go na wyspie Lisie niedaleko Korfu. Jeden tylko wyzwolenc pozostał z generałem i był świadkiem, jak ten popełnił samobójstwo. W dzień czy dwa później, otrzymawszy wiadomość o tym, co zaszło, pozbawił się życia również i Winicjan. Za jego przykładem poszła reszta spiskowców. Na tym skończył się bunt.

Nie będę twierdził, że dziesięć dni, które minęło od chwili mej mowy w senacie do otrzymania szczęśliwych wieści o klęsce Skryboniana, należało do przyjemnych. Byłem niezmiernie podniecony i gdyby nie wysiłki Ksenofonta, powróciłyby dawne zaburzenia nerwowe. Ksenofont jednak przyrządzał różne leki, pilnował masażu i dodawał mi otuchy, zalecając swym zwykłym oschłym tonem, żebym się nie lękał o przyszłość. Dzięki jego opiece wybrnąłem szczęśliwie z kłopotów bez szkodliwych następstw dla zdrowia. Wciąż przychodził mi wtedy na pamięć wiersz Homera, który powtarzałem każdemu, kogo tylko spotkałem:

*Zbierz wszystkie siły swe i opór staw mężowi,
co, nie zaczepion, wzywa cię do walki.*

Jednego dnia nawet dałem te wiersze Rufriuszowi jako hasło. Messalina śmiała się z tego powodu, lecz miałem gotową odpowiedź:

- Homera czepiły się te wiersze tak samo. Powtarzał je kilkakrotnie. Raz w Iliadzie, a dwa czy trzy razy w Odysei.

Niemałą podporą była mi w tych ciężkich chwilach miłość Messaliny i serdeczność, z jaką witali mnie wszędzie obywatele i żołnierze, głośno

zapewniając o swojej lojalności, a również i zaufanie, które zdawał mi się okazywać senat.

Na mój wniosek senat wynagrodził siódmy i jedenasty pułk przy znając im nazwę „wiernych pułków klaudyjskich”. Za namową zaś Messaliny (której zdanie podzielał Witeliusz twierdząc, że chwila nie jest sposobna do ogłoszenia amnestii) skazałem na śmierć resztę pozostałych przy życiu przywódców spisku. Nie stracono ich jednak w trybie doraźnym, jak Sylana, lecz każdemu z nich wytoczyłem formalny proces. Ustanowiłem przy tym specjalną procedurę: akt oskarżenia zamierzałem czytać siedząc na krześle kurulnym, mając po prawej i lewej ręce po jednym z konsulów. Następnie miałem powrócić na zwykłe swoje miejsce, a konsulowie kazawszy przynieść swoje krzesła kurulne mieli prowadzić proces. Tymczasem zaziębłem się tak silnie, że mogłem mówić tylko szeptem, i to ledwie dosłyszalnym. Na szczęście opodal mnie stali Narcyz, Polibiusz i pułkownicy gwardii, kiedy więc chciałem przepytąć któregoś z więźniów lub świadków, wręczałem jednemu z tej świty pytania, spisane na kartce, lub mówiłem mu je szeptem do ucha, a on powtarzał głośno. Najczęściej korzystałem z usług Narcyza, który się cieszył donośnym głosem. To dało powód do nieporozumienia. Nieprzyjaciele moi przedstawili później sprawę w ten sposób, jakoby on na własną rękę prowadził proces. Zwykły wyzwolenc oskarżający możnowładców, co za skandal! Narcyz rzeczywiście zadawał pytania tonem, jakby był sam ich autorem, i muszę wyznać, że w pewnym momencie wraz z innymi uśmiełem się serdecznie. Kiedy bowiem Narcyz zaczął badać wyzwolenca Skryboniana, okazało się, że trafiła kosa na kamień.

Oto jak brzmiała ich rozmowa:

Narcyz: Jesteś wyzwolencem Furiusza Kamillusa Skryboniana, nieprawdaż? Czy byłeś obecny przy jego śmierci?

Wyzwoleniec: Tak jest.

Narcyz: Czy wtajemniczył cię w plany buntu? Czy wiedziałeś, kim są jego wspólnicy?

Wyzwoleniec: Chcesz wywołać wrażenie, jakobym nie był godny jego zaufania? Że mógłbym zdradzić nazwiska tych, jak ich nazywasz, współników domniemanego buntu?

Narczyz: Nie chcę wywołać żadnego wrażenia. Pytam całkiem jasno o fakt.

Wyzwoleniec: A ja ci odpowiadam całkiem jasno: nie pamiętam.

Narczyz: Nie pamiętasz?

Wyzwoleniec: Jego ostatnie słowa do mnie brzmiały: „Zapomnij o wszystkim, cokolwiek ci mówiłem. Niech tajemnica moja umrze razem ze mną.”

Narczyz: Ach, więc można wnioskować, że cię wtajemniczał?

Wyzwoleniec: Wnioskuj, jak ci się podoba. Nic mnie to nie obchodzi. Pan mój umierając kazał mi zapomnieć. Spełniłem jego rozkaz.

Narczyz (wysuwając się zirytowany naprzód, tak że zasłonił mi świadka): Co za wierny wyzwoleniec, na Herkulesa! A powiedz mi, przyjacielu, co byś uczynił, gdyby Skrybonian został cesarzem?

Wyzwoleniec (z nagłym zapałem): Byłbym stał za nim i trzymał głowę zamkniętą na kłódkę.

Piętnastu rebeliantów, nobilów czy eks-nobilów, otrzymało wyrok śmierci. Wśród nich jednak znalazł się tylko jeden senator z rodu Junkusów, urzędnik pierwszego stopnia. Przed wydaniem wyroku kazałem mu zrzec się urzędu. Inni senatorowie popełnili samobójstwo przed uwięzieniem. Wbrew zwyczajowi nie skonfiskowałem majątków skazanych, lecz tak jakby zadali sobie honorową śmierć własną ręką, pozwoliłem spadkobiercom odziedziczyć przypadającą schedę. W kilku wypadkach, kiedy majątek był zbyt zadłużony - prawdopodobnie na skutek uczestnictwa w buncie - długi te umorzyłem. Opowiadano, że Narczyz miał brać łapówki za tuszowanie dowodów winy przeciw kilku rebeliantom. Była to jednak niewątpliwie tylko bezpodstawna plotka. Wstępne śledztwo prowadziłem osobiście przy pomocy Polibiusza;

wszystkie zeznania protokołowano i Narcyz nie mógł nic zatuszować. Inna rzecz, że do papierów miała dostęp Messalina. Czy zniszczyła z nich co, czy nie, tego nie mogę twierdzić z całą pewnością. W każdym razie ani Narcyz, ani Polibiusz nie mieli akt w ręku, chyba w mojej obecności. Opowiadano, że w celu wymuszenia zeznań wyzwoleńców i wolnych obywateli brano na męki. I to również jest nieprawdą. Chociaż poddano torturom paru niewolników, ale nie w celu wyciągnięcia z nich zeznań przeciwko panom, lecz tylko dla zdobycia dowodów krzywoprzysięstwa, o które posądzałem jednego z wyzwoleńców. Plotka o torturowaniu wyzwoleńców i obywateli wzięła prawdopodobnie początek z tego, że Winicjan na wiadomość o upadku rebelii wyzwolił kilku swoich niewolników, aby nie musieli zeznawać przeciw niemu na torturach, a akt wyzwolin antydatował o dwanaście miesięcy. Był to postępek bezprawny. Mimo to badano tych ludzi na mękach na podstawie prawa wydanego przez Tyberiusza, który chciał uniemożliwić podobne wybiegi. Co się tyczy pewnego rzekomego obywatela, to wzięto go na tortury dopiero wtedy, kiedy w czasie przewodu wykryło się, że nie posiada praw obywatelskich. Junkus rzeczywiście protestował w sądzie przeciw maltretowaniu go w więzieniu i zjawił się na rozprawie cały w bandażach, z poważnymi skaleczeniami na twarzy, lecz Rufriusz zeznał, że to wierutne kłamstwo, gdyż Junkus pokaleczył się uciekając przed aresztowaniem; wyskoczył nago z łóżka przez okno swego domu w Brundizjum i usiłował przedrzeć się przez żywopłot. Dwóch kapitanów gwardii potwierdziło zeznania Rufriusza.

Junkus zemścił się na Rufriuszu.

- Skoro muszę umrzeć, Rufriuszu - oświadczył - zabiorę cię z sobą. Cezarze - zwrócił się do mnie - twój komendant gwardii, któremu tak ufasz, nienawidzi cię i gardzi tobą nie mniej ode mnie. Na zlecenie Winicjana porozumiewaliśmy się z Rufriuszem, czy w razie przybycia wojsk z Dalmacji byłby skłonny przeciągnąć na naszą stronę pułk gwardii. Podjął się tego pod warunkiem, że podzieli się z Winicjanem cesarstwem. Zaprzecz, Rufriuszu,

jeśli masz odwagę.

Kazałem uwięzić Rufriusza na miejscu. Najpierw starał się ośmieszyć zarzut, ale Petus, jeden z wmieszanych w rebelię rycerzy, który oczekiwał na swoją kolej w rozprawie, potwierdził zeznania Junkusa. Pułkownik wtedy załamał się i zaczął błagać o litość. Ulitowałem się i pozwoliłem mu być sobie samemu katem.

Stracono też kilka kobiet. Nie widzę powodu, dla którego płęć miałyby chronić kobiety od kary, jeśli okażą się winne podżegania do buntu. Szczególnie jeśli chodzi o kobietę, która nie zawarła małżeństwa ściśle według prawa, lecz zachowała niezależność i własny majątek. Nie może wtedy się bronić, że zmuszono ją do działania. Podobnie jak ich mężów, skazane kobiety wprowadzono na szafot w kajdanach. Okazały one w obliczu śmierci znacznie więcej odwagi od mężczyzn. Jedną z nich, Aria, żona Petusa, bliska znajoma Messaliny, poślubiona ściśle według prawa, byłaby niewątpliwie ulaskawiona, gdyby zechciała tylko o to zabiegać. Wolą jednak umrzeć razem z mężem. Petusowi w nagrodę za zeznania, jakie złożył przeciw Rufriuszowi, pozwolono popełnić samobójstwo przed formalnym procesem. Petus był jednak tchórzem i nie miał odwagi rzucić się na miecz. Aria wyrwała mu go z ręki i wbiła sobie pod żebra. - To nie boli, Petusie - rzekła konając - patrz, nie boli. Najznakomitszą zamieszana w spisek osobą, która miała ponieść śmierć, była moja bratanica Julia (Helena Żarłok). Byłem rad, że znalazłem przyczyną, aby móc się jej pozbyć. Ona oddała w ręce Sejana swego męża, mego biednego bratanka Nerona, skutkiem czego wygnano go na wyspę, gdzie marnie zakończył życie. Tyberiusz w dowód swej wzdardy wydał Julię za niejakiego Blandusa, zwykłego rycerza bez żadnych tradycji rodowych. Helena zazdrościła Messalinie urody i władzy. Sama była ongiś bardzo piękna, lecz z powodu łakomstwa i zamiłowania do próżniaczego życia nadmiernie się roztyła. Winicjana jednak, jak to zwykle bywa u ludzi zewnętrznym wyglądem przypominających szczury, ciągnęło właśnie do kobiet o bujnych kształtach, jak

szczura ciągnie do dyni. Gdyby był został cesarzem, do czego dążył, wiedząc, że więcej jest wart niż Rufriusz i Skrybonian razem wzięci, Helena Żarłok zostałaby cesarzową. Oskarżył ją przed Messaliną sam Winicjan, chcąc nam dać w ten sposób dowód swojej lojalności.

Rozdział XV

W dalszym ciągu sprawowałem władzę cesarską i straciłem nadzieję na szybki i bezpieczny powrót do życia prywatnego. Zacząłem w głębi duszy przypuszczać, że August był szczery, kiedy od czasu do czasu w swych przemówieniach wspominał o rychłym wskrzeszeniu Rzeczypospolitej, i że nie był również obłudny, jak to przypuszczałem, mój stryj Tyberiusz, kiedy mówił o swej abdykacji. Oczywiście, przeciętny obywatel mógł sobie całkiem wygodnie być zagorzałym republikaninem i urągać, że nic łatwiejszego, jak wyczekawszy „spokojnego momentu” abdykować i oddać władzę w ręce senatu. Pojąć, że to nie takie proste, można było dopiero z chwilą, kiedy taki prywatny człowiek miał zostać cesarzem. Trudność brała się stąd, że takich spokojnych momentów nie było. Zawsze coś stało na przeszkodzie. Całkiem szczerze można było sobie pomyśleć: „No, spróbuję za sześć miesięcy, może za rok.” Lecz mijało sześć miesięcy, mijał rok, a jeśli nawet człowiek uporał się szczęśliwie z przyczynami niepokoju, na ich miejsce jak spod ziemi wyrastały nowe. Byłem zdecydowany przekazać rządy, gdy tylko doprowadzę do porządku bezład, jaki pozostawili po sobie Tyberiusz i Kaligula. Traktując senat jako odpowiedzialne ciało ustawodawcze, starałem się w ten sposób wyrobić w nim poczucie własnej godności, bez którego nie może istnieć wolność. Nie mogłem jednak okazywać stanowi senatorskiemu więcej szacunku, niż na to zasługiwał. Zapełniałem jego szeregi najzdadniejszymi ludźmi, ale ciężko było złamać tradycję służalstwa wobec cesarskiej purpury. Ludzie przeczuwali wrodzoną mi dobroć i jeśli odnosiłem się do nich z naturalną uprzejmością, obgadywali mnie później złośliwie, a kiedy czasami traciłem nagle cierpliwość, milkli od razu i trzęśli się ze strachu jak gromada psotnych żaków, którzy nadużyli wyrozumiałości dobrodusznego nauczyciela.

Nie, wciąż jeszcze nie mogłem złożyć władzy. Było mi wstyd przed

samym sobą, kiedy musiałem skazać na śmierć przywódców nieudanej antymonarchicznej rewolty. Ale cóż innego mogłem uczynić? Przetrawiałem w myślach cały problem. Czy to nie Platon przypadkiem napisał, że jedynym rozumnym usprawiedliwieniem władcy jest chęć uniknięcia rządów ludzi mniej utalentowanych niż on sam? Coś z prawdy tkwi w tym powiedzeniu. Mnie jednak, przeciwnie, gnębiła myśl, że gdybym ustąpił, władzę objąłby ktoś bardziej uzdolniony (choć pochlebiałem sobie, nie pracowitszy), na przykład Galba lub Gabiniusz, strzegący nadreńskiej granicy, a wtedy ustrój monarchiczny umocniłby się i republika nigdy by nie wróciła. W każdym razie spokojny moment nie nadchodził i trzeba było w dalszym ciągu robić swoje.

43 r. n.e.

Bunt i jego następstwa przerwały normalny bieg spraw i o parę miesięcy opóźniły wykonanie planu prac. Aby zyskać na czasie, skasowałem wiele niepotrzebnych dni świątecznych. Na Nowy Rok objąłem po raz trzeci konsulat. Kolegą moim był tym razem Witeliusz. Po dwóch jednak miesiącach zrezygnowałem na rzecz Azjatyka. Rok ów zaliczam do najważniejszych w moim życiu. Był to bowiem rok wyprawy do Brytanii. Zanim wszakże opowiem o tym, muszę wpierw wspomnieć o kilku zdarzeniach z mego prywatnego życia. Zbliżał się właśnie termin ślubu mojej córki Antonii z Pompejuszem, zdolnym i pozornie życzliwym mi młodzieńcem. Nie zgodziłem się jednak, aby z uroczystości zaślubin zrobić okazję do publicznych zabaw. Wszystko odbyło się spokojnie w rodzinnym gronie. Nie życzyłem sobie żadnej pompy, choć swego zięcia uważałem za członka cesarskiego domu. Ściśle zresztą rzecz biorąc, nie myślałem o swej rodzinie jako o domu cesarskim. Nie byliśmy przecież wschodnią dynastią. Byliśmy Julio-Klaudiuszami, nie lepsi i nie gorsi niż Korneliusze, Kamille, Serwiusze, Juniusze lub którakolwiek z rodzin nobilew. Nie chciałem też, żeby mój mały syn był wynoszony ponad inne dzieci wysokiego pochodzenia. Senat prosił, by wolno było dzień jego urodzin uświetnić igrzyskami urządzoneymi na koszt państwa; odmówiłem. Pomimo tego

najwyżsi urzędnicy z własnej inicjatywy i na własny koszt urządzili w pierwsze urodziny mego syna wspaniałe widowisko i ucztę, a w następnych latach naśladowano ten przykład. Wypadało podziękować za ten dowód życzliwości, a Messalina bardzo lubiła igrzyska. Dla młodego Pompejusza uczyniłem tylko tyle, że pozwoliłem mu ubiegać się o pierwszy urząd na pięć lat przed ustawowym terminem i zrobiłem go prefektem miasta podczas świąt latyńskich. Zięć mój wywodził się po kądzieli od Pompejusza Wielkiego, przez babkę, która była spadkobierczynią Pompejusza. Po niej odziedziczył maski i posągi przodków, i prawo do przyjęcia imienia. Byłem dumny, mogąc po tylu pokoleniach połączyć imiona Cezara i Pompejusza. Przed stu blisko laty Juliusz Cezar ofiarował rękę mej babki Oktawii Pompejuszowi Wielkiemu, ten jednak odmówił i poróżnił się z Juliuszem. Oktawia wyszła później za mąż za Marka Antoniusza i stała się prababką mej córki Antonii, którą teraz wydałem za prawnuka Pompejusza.

Pomimo zaprowadzonych oszczędności skarb państwa znajdował się ciągle jeszcze w sytuacji dość ciężkiej. Żniwa na świecie w dalszym ciągu były kiepskie i musiałem poświęcić pokaźną sumę na zakup zboża na różnych odległych rynkach po wysokiej cenie. Wprowadzając wiele oszczędności zażądałem między innymi zwrotu pensji przyznanych przez Kaligulę ze skarbu państwa różnym faworytom: aktorom, woźnicom itp. Nie zwróciłem początkowo uwagi, że w dalszym ciągu je wypłacano, Kalist bowiem nie wspominał mi o tym ani słowem. Prawdopodobnie przekupili go zainteresowani.

Powziąłem pewną doniosłą decyzję. Od czasów Augusta opieka nad skarbem, sprawowana przez zwykłych urzędników skarbowych, zajmujących najniższe szczeble drabiny urzędniczej, przeszła do rąk urzędników pierwszego stopnia. W praktyce jednak czynności ich ograniczały się do wypłacania i przyjmowania sum w myśl udzielonych przez cesarza wskazówek. Całą rachunkowość prowadzili cesarscy wyzwoleńcy. Obecnie postanowiłem

powierzyć skarb z powrotem pieczy urzędników, którzy pierwotnie spełniali te funkcje, a teraz zajęci byli w innych działach służby jako kierownicy lombardów, naczelnicy urzędów opłat celnych w Ostii itp. Chciałem dać im sposobność gruntownego zapoznania się ze skarbowością państwa, aby w momencie zmiany ustroju z monarchicznego na republikański nie wynikł zamęt. Obecnie rachunki, których nikt poza mną nigdy nie kontrolował, prowadził Kalist i jego sztab. Jednocześnie nie chciałem, żeby nowi urzędnicy wykorzystywali swoje stanowisko w celu okradania skarbu, a trzeba przyznać, że łatwiej było zawierzyć uczciwości wyzwoleńców niż ludzi cieszących się znacznie lepszą pozycją społeczną. Na razie więc postanowiłem, że na stanowiska urzędników skarbowych można wybierać tylko tych, którzy zobowiążą się przez czas swego urzędowania urządzać igrzyska na własny koszt. Ludzie bogaci, wnioskowałem, mniej będą pochopni do okradania skarbu niż biedacy. Młodzi ludzie, których wybrałem, byli obowiązani przez cały rok przed objęciem urzędowania zjawiać się codziennie w Nowym Pałacu i studiować procedurę skarbową. Każdy z nich przy nominacji obejmował pewien departament pod moim kierownictwem - na razie jeszcze osoba moja była wciąż reprezentowana przez Kalista i otrzymywał do pomocy jednego z wyzwoleńców jako swego dyrektora kancelarii, doradcę i sekretarza. Plan ten w praktyce okazał się całkiem dobry. Wyzwoleńcy i urzędnicy szachowali się wzajemnie. Kalistowi poleciłem usunąć podobne do szyfru pismo, którym posługiwano się w korespondencji między departamentami, i Przyjąć alfabet łaciński lub grecką majuskułę; nowi urzędnicy muszą przecież rozumieć treść okólników.

Wychodząc z podobnych założeń czyniłem wszystko, co było w mojej mocy, aby wszystkich urzędników i namiestników prowincji natchnąć jak najżarliwszym poczuciem obowiązku. Tak na przykład obstawałem przy tym, żeby senatorowie, którzy na Nowy Rok wylosowali zarząd prowincji (mam na myśli prowincje wewnętrzne, nie kresowe, gdzie namiestników wojskowych mianowałem osobiście jako naczelnego wodza), nie próżnowali jak dotychczas

siedząc w Rzymie do czerwca czy lipca, kiedy dzięki pogodzie podróż statkiem stawała się miłą wycieczką, lecz wyruszyli w drogę już w połowie kwietnia. Razem z Messaliną poddałem dokładnej kontroli listy obywateli. Znacznej bowiem liczbie całkiem niegodnych osobników udało się wkręcić w poczet obywateli rzymskich. Sprawy te po większej części zostawiałem do załatwienia żonie. Tysiące nazwisk skreślono, a w ich miejsce wciągnięto dziesiątki tysięcy nowych. Bez skrupułów powiększyłem liczbę obywateli. Obywatelstwo rzymskie dawało posiadającym je znaczne przywileje w stosunku do wyzwolenców, mieszkańców prowincji i cudzoziemców. Pod warunkiem, żeby nie stwarzać ani zbyt licznej, ani zbyt ekskluzywnej kasty, lecz zachować odpowiednią proporcję w stosunku do wielkich mas ludności zamieszkujących dominia rzymskie - mniej więcej jeden obywatel na sześciu czy siedmiu mieszkańców - można było uważać obywatelstwo rzymskie za czynnik pod względem politycznym stabilizujący. Wymagałem tylko, żeby nowi obywatele byli ludźmi zamożnymi, z zacnych rodzin, aby cieszyli się dobrą opinią, potrafili się wysłowić w języku łacińskim, posiadali dostateczne wykształcenie w zakresie rzymskiego prawa, religii i etyki i umieli się ubrać i zachować w sposób odpowiedni do swej godności. Każdego kandydata posiadającego te konieczne kwalifikacje, za którego mógł poręczyć zasługujący na zaufanie senator, wciągałem na listę. Przyjętym dawałem do zrozumienia, że proporcjonalnie do posiadanego przez nich majątku oczekuję daru na rzecz skarbu państwa, z którego teraz przecież będą w różny sposób korzystać. Osoby nie mogące znaleźć poręczyciela zwracały się do mnie za pośrednictwem ministrów, a Messaliną badała ich kwalifikacje. Poleconych przez nią wciągałem na listę bez dalszych dochodzeń. Nie orientowałem się jeszcze w tym czasie, że kandydaci słono jej się opłacali za załatwienie tej sprawy i że wyzwolenci, a zwłaszcza Amfeusz i Polibiusz, których czasowo przydzieliłem do tego działu, zarabiali również ogromne sumy. Wielu senatorów udzielających poręki, zwiertżywszy te nieczyste sprawki, zaczęło cichcem, jak to mówią, brać

w łapę, a kilku nawet za pośrednictwem agentów zawiadamiało ostrożnie, że biorą ceny o wiele przystępniejsze niż inni. Wówczas jednak nic o tym nie wiedziałem. Prawdopodobnie, jak dziś przypuszczam, myśleli, że ja sam przy pomocy Messaliny jako swego agenta ciągnę z tego interesu i wyrażam milczącą zgodę na ich praktyki.

Zauważyłem natomiast, że wielu z moich sekretarzy przyjmuje pieniądze od interesantów. Pewnego dnia wszcząłem z nimi na ten temat dyskusję.

- Pozwalam wam - rzekłem - przyjmować prezenty, ale zabraniam ich się domagać. Nie chcę was krzywdzić przypuszczeniem, że możecie, przekupieni, sfalszować jakiś dokument lub popełnić innego rodzaju przestępstwa służbowe. Nie widzę też powodu, dla którego nie mielibyście być wynagradzani za usługi, które oddajecie ludziom, poświęcając dla nich swój czas i energię i dając, *ceteris paribus*, [*tu: bez szkody dla innych] pierwszeństwo ich sprawom. Jeżeli równocześnie napłynie sto podań, z których tylko dziesięć będzie można uwzględnić, a nie zaistnieje żadna podstawa, aby jednym należało przyznać pierwszeństwo przed drugimi - w takim wypadku, oczywiście, uważałbym was za głupców, gdybyście nie wybrali tych dziesięciu, którzy zdołają najbardziej okazać wam swą wdzięczność. Mój wierny przyjaciel i sprzymierzeniec, król Herod Agryppa, chętnie cytuje pewne żydowskie przysłowie, a raczej nakaz, który stał się przysłowiem: „Nie będziesz wiązał pyska wołowi, który kopytami młóci zboże.” Właściwe to i słuszne stanowisko. Nie życzę sobie jednak nieprzystojnych targów lub urządzania licytacji na względy czy przywileje. Jeżeli stwierdzę, że któryś z moich wołów więcej dba o to, żeby się chciwym pyskiem obezreć ziarna niż wymłócić, odeślą go natychmiast z klepiska do rzeźni.

Mój nowy komendant gwardii zwał się Justus. Wezwałem pułkowników gwardii, żeby podali swego kandydata na to stanowisko, i chociaż wolałbym kogo innego niż Justusa, wybór ich zatwierdziłem. Justus, jak na żołnierza, lubił się zbyt mieszać do polityki. Tak na przykład przyszedł do mnie pewnego

dnia z doniesieniem, że kilku nowych obywateli nie przyjęło mego imienia, jak to winni byli uczynić w dowód lojalności, albo że nie zmienili testamentu na moją korzyść, jak im to nakazywała uczynić wdzięczność. Sporządził już całą listę takich nielojalnych i niewdzięcznych i zapytywał, czy życzę sobie, aby wystąpić przeciw nim z oskarżeniem. Zamknąłem mu usta pytaniem, czy jego rekruci mają zwyczaj przyjmować jego imię lub zmieniać na jego korzyść testament. Justus troszczył się o to, abym znał imiona niewdzięczników, ale ani on, ani nikt inny nie poinformował mnie, że Messalina nie tylko sprzedaje obywatelstwo i zachęca do kupczenia nim innych, ale, co było jeszcze większym bezwstydem, każe sobie płacić pokaźne sumy za wpływ, jaki ma na nominację urzędników, namiestników i dowódców. W kilku przypadkach nie tylko wymagała pieniędzy, ale - jak to w odpowiednim miejscu opowiem - nalegała, aby dany mężczyzna przypieczętował z nią układ w łóżku. A co było największym bezwstydem, to mieszanie mnie do tych spraw bez mojej wiedzy. Opowiadała, że odtrąciłem ją pomimo urody, lecz pozwoliłem brać sobie kochanków pod warunkiem, że dobrze zapłacą za stanowisko, które im dzięki swym wpływom wyrobi. O tym wszystkim nie miałem w tym czasie najmniejszego pojęcia i pochlebiałem sobie, że czyniąc dobrze i postępując prostą drogą powinienem zyskać miłość i wdzięczność całego narodu.

W tym ślepych zadufaniu w sobie popełniłem jedną szczególnie niemądrą rzecz: usłuchałem rady Messaliny w sprawie monopoli. Musicie pamiętać, jak bardzo była chytra, a ja niedomyślny, i jak bardzo na niej polegałem. Mogła mnie namówić do wszystkiego.

- Wiesz, Klaudiuszu - rzekła pewnego dnia - przyszło mi do głowy, że można by podnieść ogólny dobrobyt, gdyby wydać prawo, które by ukróciło konkurencję.

- Wytlumacz to dokładniej.

- Pozwól, że użyję porównania. Wyobraź sobie, że w naszym systemie administracyjnym nie istnieją poszczególne dykasterie ani departamenty. Że

każdy z ministrów może swobodnie przerzucać się od zagadnień do zagadnień, jak ma po temu ochotę. Wyobraź sobie, że pewnego ranka wbiega do twego gabinetu Kalist i woła: „Przyszedłem pierwszy i chcę objąć dziś resort Narcyza”, a za chwilę przychodzi Narcyz i widząc, że jego miejsce jest zajęte przez Kalistę, wpada do pokoju Feliksa tuż przed nim i zabiera się do jego papierów w jakiejś dyplomatycznej sprawie, której Feliks nie zdążył opracować poprzedniego wieczoru. Byłoby to śmieszne, nieprawdaż?

- Bardzo śmieszne, ale nie widzę, co to ma wspólnego z handlem.

- Zaraz zobaczysz. Cały kłopot z kupcami polega na tym, że nie chcą się zająć jedną sprawą i nie pozwalają tego uczynić swoim konkurentom. Żaden z nich nie myśli służyć ogólnemu dobru, lecz każdy tylko szuka, jak by w najłatwiejszy sposób zarobić pieniądze. Ktoś, powiedzmy, odziedziczył przedsiębiorstwo importu wina, prowadzi je solidnie przez pewien czas, a potem nagle przerzuca się do handlu oliwą, kupuje poniżej istotnej wartości jakąś starą firmę w sąsiedztwie lub zmusza ją do wycofania się z interesu. Następnie próbuje handlu figami lub niewolnikami i albo zgnębi swoich konkurentów, albo oni zgnębią jego. Handel jest nieustanną walką, a szerokie masy ludności cierpią na tym, podobnie jak podczas wojny ludność cywilna.

- Tak sądzisz? Czasami jednak ceny niespodzianie spadają, kiedy jeden kupiec chce podkupić drugiego lub bankrutuje.

- Równie dobrze można powiedzieć, że ludność cywilna ma czasem dobrą okazję, aby się obłowić na pobojuwisku, że może nazbierać różnego żelaziwa, obedrzeć padłe konie i ze szczątków połamanych wozów sporządzić sobie nowe. Ale czymże są te korzyści w porównaniu ze spalonymi gospodarstwami i zabranym bydłem?

- Czyż naprawdę kupcy są tak przewrotni? Dotychczas nie przyszło mi to do głowy; uważałem ich za użyteczne sługi państwa.

- Powinni i mogą być bardzo użyteczni. Ale przynoszą wiele szkody przez brak współdziałania i przez tę swoją szaloną zawiść. Rozchodzi się na przykład

pogłoska o zapotrzebowaniu na kolorowy marmur z Frygii, syryjski jedwab, afrykańską kość słoniową lub indyjski pieprz, wtedy kupcy z obawy, że okazja wymknie się im z rąk, zaczynają się jak sfora wściekłych psów uganiać za rynkiem. Zamiast wytrwać każdy w swojej branży, wysyłają na gwałt statki do nowych ziem obiecanych, przykazując kapitanom przywieźć marmuru, pieprzu, jedwabiu, kości słoniowej, ile się tylko da i za każdą cenę. Wtedy naturalnie tubylcy podnoszą ceny. Nadpływa z powrotem dwieście statków naładowanych pieprzem czy jedwabiem, których nabycie kosztowało sumy, gdy tymczasem zapotrzebowanie nie przekracza dwudziestu okrętów i sto osiemdziesiąt można było lepiej użyć przywożąc na nich inne towary, na które wkrótce powstałby popyt, a które można by dostać po niskiej cenie. Handel powinien podlegać centralnej kontroli, podobnie jak wojsko, sądy, religia i wszystko inne. Zapytałem, jak by kontrolowała handel, gdybym jej pozwolił.

- W bardzo prosty sposób - odrzekła - stworzyłabym monopole.

- Kaligula stworzył monopole i ceny od razu skoczyły w górę - zaoponowałem.

- Bo sprzedał monopole najwięcej dającym i wtedy oczywiście ceny musiały podskoczyć. Ja bym zrobiła inaczej. I moje monopole nie byłyby zakrojone na tak olbrzymią skalę jak Kaliguli. On przecież jednemu człowiekowi sprzedał cały światowy handel figami. Ja bym po prostu obliczyła roczne zapotrzebowanie na każdy rodzaj towaru i handel nim wedle własnego uznania oddała na okres dwu najbliższych lat jednej firmie lub kilku kupcom. Tak na przykład przyznałabym wyłączne prawo importowania i sprzedaży cypryjskiego wina takiej a takiej firmie, drugiej znów wyłączne prawo na egipskie szkło, a innej na bałtycki bursztyn, tyryjską purpurę czy emaliowane wyroby brytyjskie. Tego rodzaju kontrola nad handlem położy kres konkurencji i zagraniczni producenci czy to wyrobów rękodzielniczych, czy surowców nie będą mogli podwyższać cen. „Chcesz, to kupuj, nie chcesz, to nie” - mówi kupiec ustalający sam ceny. Przedsiębiorstwa handlowe, które nie posiadają

dostatecznego kapitału, żeby można im było dać monopol, muszą albo się porozumieć z właścicielami monopoli, jeżeli ci będą zdania, że mają więcej towaru, niż potrafią sobie z nim sami dać radę, albo muszą odkryć nowe źródła przemysłu czy handlu. Gdybym miała wolną rękę, wnet zaprowadziłabym porządek. I my bylibyśmy lepiej zaopatrzeni, i zwiększyłyby się dochody państwa płynące z opłat portowych.

Plan ten wydawał mi się całkiem rozsądny, a nieźle by też się stało, pomyślałem, gdyby dzięki niemu udało się uzyskać większą liczbę statków i kupców dla handlu zbożem. Bezzwłocznie więc udzieliłem Messalinie pełnomocnictwa na wprowadzenie dużej liczby monopoli, nie podejrzewając, że ta chytra kobieta namawiała mnie do przyjęcia swego planu mając na względzie tylko olbrzymie łapówki, które jej zechcą ofiarowywać kupcy. W sześć miesięcy później dzięki monopolom, które objęły zarówno przedmioty zbytku, jak i codziennej potrzeby, ceny doszły do niewiarygodnej wysokości. Kupcy odbijali sobie na konsumentach sumy zapłacone Messalinie, a w mieście zaczęło wrzeć jak nigdy od czasów owej głodowej zimy. Na ulicy lud witał mnie za każdym razem wrogimi okrzykami i nie było innej rady, jak wznieść na Polu Marsowym wielką trybunę, z której przy pomocy pewnego kapitana gwardii, obdarzonego donośnym głosem, ogłosiłem ceny obowiązujące na okres najbliższych dwunastu miesięcy dla wielu produktów. Wszędzie tam, gdzie miałem dokładne dane, starałem się utrzymać ceny na poziomie poprzedniego roku. Oczywiście nazajutrz wszyscy właściciele monopoli przybiegli do pałacu błagając, bym zmienił decyzję; opowiadali, że są biednymi ludźmi, że głód zagląda w oczy ich rodzinom, i pletli tym podobne nonsensy. Odpowiedziałem, że jeśli monopole nie opłacają się im przy obecnych cenach, niech odstąpią swe prawa innym kupcom, którzy potrafią lepiej prowadzić interesy. Jeśli się natychmiast nie wyniosą, zakończyłem, oskarżę ich o knowanie przeciw państwu i każą strącić ze skały kapitolńskiej. Nie protestowali więc dłużej, lecz próbowali ugodzić mnie z innej strony, wycofując towar z rynku. Z chwilą jednak, kiedy doszła do

mnie wieść, że jakiś towar - dajmy na to marynowane ryby z Macedonii lub środki lecznicze z Krety - nie nadchodzi do stolicy w dostatecznej ilości, powiększałem zaraz liczbę firm dzierżących monopol w danym dziale o jeszcze jedną.

Szczególną uwagę poświęcałem aprowizacji stolicy. Administratorowi moich dóbr italskich wydałem polecenie, aby możliwie największą ilość gruntów w sąsiedztwie stolicy oddał pod uprawę jarzyn, w szczególności kapusty, cebuli, sałaty, endywii, czosnku i innych. Mój lekarz Ksenofont opowiedział mi, że częste epidemie zimowe, które wybuchają w uboższych dzielnicach Rzymu, w znacznej części wywołuje skąpe spożycie jarzyn. Chciałem więc, żeby pokaźne ich ilości dostarczano przed świtem do miasta i sprzedawano po możliwie najniższej cenie. Popierałem również hodowlę świń, drobiu i bydła, a w rok czy dwa później uzyskałem od senatu specjalne przywileje dla rzeźników i sprzedawców wina. Żądania te wywołały w senacie pewną opozycję. Senatorzy zaopatrywali się w swych własnych majątkach ziemskich i aprowizacja szerokich mas ludności nic ich nie obchodziła.

- Zimna woda, chleb, bób, grochówka i kapusta wystarczą dla plebsu - oświadczył Azjatyk. - Jeszcze napychać ich mięsem i winem! Po co? - Zaprotestowałem przeciw temu niehumanitarnemu stanowisku i spytałem Azjatyka, czy przekłada zimną wodę nad chianti, a kapustę nad dziczyznę. Odparł, że od dzieciństwa przywykł do wykwintnego stołu i dziś jest dlań niemożliwością przyzwyczaić się do prostego jadła. Gdyby jednak mógł to uczynić, zmiana wyszłaby mu niewątpliwie na zdrowie; źle postępuję zachęcając biedaków do odżywiania się ponad stan.

- Odwołuję się do was, senatorowie - zawołałem trzęsąc się z oburzenia. - Czyż człowiek, który nie ma możliwości wziąć w usta od czasu do czasu kawałka mięsa, może uważać, że jego życie jest godne tego, aby nazwać je życiem? - Senat, zdaje się, przyjął te słowa jako dowcip, choć wcale nie miałem zamiaru żartować. Ta sama historia powtórzyła się przy końcu dyskusji, kiedy

mówiłem o sprzedawcach wina.

- Trzeba ich popierać - twierdziłem. - W ciągu ostatnich pięciu lat liczba winiarni znacznie spadła. Mam na myśli uczciwe przedsiębiorstwa, gdzie można dostać wina na dzbanki i butelki, a nie spelunki, które ostatnio kazałem pozamykać, gdzie sprzedawano gorące potrawy i wino, a w dodatku co za wino! Wstrętna lura, przeważnie zaprawiona solami ołowiu, a przy tym burdele pełne chorych kobiet i pornograficznych obrazków smarowanych po ścianach. Przed pięciu laty w promieniu ćwierć mili od mego domu na Palatynie było przynajmniej piętnaście - co mówię? - przynajmniej dwadzieścia pięć winiarni. Dziś nie ma ich więcej niż cztery czy pięć. A jakie dobre wino w nich sprzedawano! Była winiarnia „Flaszka”, „Bachus”, „Weteran”, „Dwaj Bracia”, „Sława Agryppy” i „Pod Łabędziem”. „Pod Łabędziem” istnieje jeszcze po dziś dzień, ale innych już nie ma - a najlepsze wino podawali w winiarni „Dwaj Bracia” i „Baucis i Filemon”, bardzo to był miły lokal, którego też już nie ma. Nie ma „Pod Cisem”. Bardzo lubiłem tę starą winiarnię „Pod Cisem”.

Jak oni ryczeli ze śmiechu! Każdy z nich miał przecież własną piwnicę i prawdopodobnie nigdy w życiu nie kupował wina w sklepie. Uciszyłem ich gniewnym spojrzeniem.

- Może zechcecie sobie przypomnieć - ciągnąłem - że przed pięciu laty dzięki kaprysowi mojego bratanka, ostatniego cesarza, zbankrutowałem i musiałem żyć z łaski przyjaciół. W ich liczbie, mówiąc nawiasem, nie znalazł się żaden z was. Byli to prawdziwi przyjaciele, paru wdzięcznych wyzwolenców, młoda prostytutka, jeden czy dwóch starszych niewolników. Odwiedzałem wtedy tawerny, aby kupić sobie wina, gdyż moja piwnica poszła na licytację razem z moim domem i mogłem zajmować zaledwie parę pokoi. Dobrze więc wiem, o czym mówię. Mam również nadzieję, że jeśli wam się zdarzy paść ofiarą kaprysu jakiegoś cesarza i znajdziecie się w biedzie, przypomnicie sobie dzisiejszą dyskusję i pożałujecie, że nie głosowaliście za zaopatrzeniem stolicy w mięso i za utrzymaniem tak porządných winiarni, jak

„Pod Łabędziem”, „Pod Wiankiem”, „Pod Czarnym Psem”, które jeszcze są czynne, lecz nie potrważą długo, jeśli nic dla nich nie zrobicie. Do diabła z zimną wodą i grochówką! A jeśli jeszcze raz, moi panowie, na twarzy którego z was przed ukończeniem tego przemówienia dojrzę uśmiech, wezmę to za osobistą obrazę.

Byłem rzeczywiście rozgniewany. Trząsałem się po prostu z irytacji i widziałem, jak stopniowo między senatorów wślizgiwał się lęk przed śmiercią. Uchwalili mój wniosek bez jednego głosu protestu.

Zwycięstwo to sprawiło mi na chwilę przyjemność, lecz zaraz zawstydziłem się głęboko i pogorszyłem sytuację przeproszając senat za moje uniesienie. Wzięli to za dowód słabości i obawy. Muszę jednak wyjaśnić, że korzystając z władzy cesarskiej wbrew moim najbardziej umiłowanym zasadom równości, sprawiedliwości i poszanowania godności ludzkiej, nie chciałem pognębić ani terroryzować senatu. Nie groziłem, tylko domagałem się. Później nieprzyjaciele wykorzystali te słowa przeciw mnie, mimo że przeprosiłem senat i że nazajutrz opublikowałem w stolicy następujący list:

„Tyberiusz Klaudiusz Cezar August Germanik, Imperator, Arcykapłan, Trybun Ludu, trzykrotny Konsul pozdrawia Senat i Lud Rzymski.

Stwierdziłem pewne błędy w swoim postępowaniu; martwią mnie one może bardziej niż was. Więcej bowiem człowiek trapi się własnym nieszczęściem niż nieszczęściem mającym swe źródło poza człowiekiem, zwłaszcza jeśli tym źródłem jest jakaś potężna siła, na którą się nie ma albo prawie nie ma wpływu, jak piorun, choroba, grad lub surowy sędzia. Mam tutaj na myśli nagłe wybuchy mego gniewu, które od czasu kiedy wbrew mojej woli złożyliście na me barki brzemień władzy, powtarzają się coraz częściej. Tak na przykład zawiadomiłem niedawno mieszkańców Ostii, że przybywam do nich Tybrem, chcąc stwierdzić postępy prac nad pogłębieniem dna w porcie. Niech mnie, pisałem, oczekują około dziewiątej, chętnie przy tej sposobności

wysłucham próśb czy ewentualnych skarg na pracującą brygadę robotników. Tymczasem ani jedna łódź nie wypłynęła na moje spotkanie i żaden z urzędników miasta nie czekał na mnie na przystani. Wpadłem w gniew, posłałem po przedniejszych obywateli, po prefekta, po komendanta portu, i obsypałem ich gradem dosadnych słów pytając, dlaczego to stałem się w ich oczach tak godny lekceważenia, że nie postarali się nawet o prostego majtka, który by przywiązał mój żaglowiec, i czy przypadkiem nie zamierzają zażądać ode mnie opłaty za wpłynięcie do przystani. Wreszcie nazwałem ich niewdzięcznikami, którzy gryzą karmiącą ich rękę albo przynajmniej odwracają się obojętnie od swego dobroczyńcy. Tymczasem wyjaśnienie było bardzo proste. Wiadomość o moim przyjeździe nie doszła do nich. Przeprosili mnie, ja przeprosiłem ich i wróciła dawna przyjaźń, bez śladu urazy po jednej czy drugiej stronie. Cierpiałem jednak bardzo nad swoim wybuchem, bardziej niż oni. Kiedy im bowiem wymyślałem, oni czuli się w swoim sumieniu niewinni, a ja byłem później głęboko zawstydzony, że ich obraziłem.

Przyznaję więc, że ulegam atakom gniewu, i proszę was, żebyście mi pod tym względem okazywali pobłażliwość. Nie trwają one długo i nie są szkodliwe. Mój lekarz przyboczny Ksenofont twierdzi, że są wywołane przepracowaniem, podobnie jak bezsenność. Ostatnio nie mogę spać; głuchy turkot wozów wiozących ze wsi produkty na rynek nie pozwala mi zasnąć do świtu. I szczęśliwy jestem, kiedy wreszcie czasem uda mi się przedrzemać godzinkę. Oto dlaczego jestem często taki zaspany na popołudniowych sesjach sądu.

Druga wada, do której muszę się przyznać, to skłonność do złośliwości. Nie mogę kłaść jej na karb przepracowania ani kiepskiego stanu zdrowia, mogę jednak stwierdzić, że jeśli od czasu do czasu folguję tej skłonności, to nigdy bez uzasadnienia ani z niewytłumaczalnej niechęci do czyichś rysów czy wyglądu lub zawiści o czyjś majątek czy stronników. Złośliwość moja jest zawsze umotywowana niezasłużoną krzywdą wyrządzoną mi kiedyś, za którą nie zostałem przeproszony ani nie otrzymałem innej satysfakcji. I tak na przykład,

kiedy wkrótce po objęciu władzy po raz pierwszy zjawiłem się w sądzie, aby rozstrzygnąć sprawę pewnego człowieka oskarżonego o zdradę stanu, zauważyłem tego samego zuchwałego urzędnika, który swego czasu, kiedy byłem niesłusznie oskarżony o fałszerstwo, dokładał wszelkich starań, żeby moim kosztem pozyskać sobie łaski poprzedniego cesarza. On to zawołał wtedy, wskazując na mnie palcem: «Wina tego człowieka maluje się na jego twarzy. Po cóż przewlekać proces? Skarż go, Cezarze, od razu.» Cóż dziwnego, że sobie zapamiętałem te słowa i kiedy drab na mój widok zgiął się w pół, zawołałem: «Wina twoja maluje się na twojej twarzy. Zabieraj się stąd i nie pokazuj mi się na oczy w żadnym sądzie w Rzymie!»

Znacie wszyscy stare przysłowie nobilów: *Aquila non captat muscas*. Orzeł nie ugania się za muchami, to znaczy, że szlachetny człowiek nie dąży do małych celów i nie zbacza z drogi, żeby wziąć odwet na mizernych, małych ludziach, którzy go obrazili. Lecz pozwólcie, że zacytuję to powiedzenie, tak jak je przed daty uzupełnił mój szlachetny brat Germanik:

Captat non muscas aquila; at quaeque advolat ultra Faucibus augustis, musca proterva pent.

Zapamiętajcie sobie te słowa, a nie dojdzie między nami do nieporozumień, lecz istnieje będzie w dalszym ciągu wzajemne przywiązanie, o którym tak często się zapewnialiśmy.

Bywajcie zdrowi.”

(W przekładzie dystych powyższy brzmi: Orzeł nie ugania się za muchami, lecz jeśli jakaś bezczelna mucha z własnej woli wpadnie w dostojne gardło, zginie w nim.)

Stracenie Appiusza Sylana stało się pretekstem do buntu. Chcąc okazać, że nie żywię nieprzyjaźni do rodziny straconego, postarałem się, żeby najstarszy jego syn, a prawnuk Augusta, urodzony w roku śmierci cesarza, został konsulem na okres czterech lat. Najmłodszemu zaś synowi, Lucjuszowi Sylanowi, który przyjechał z ojcem z Hiszpanii i zamieszkał z nami w pałacu, przyrzekłem, że

zareczę go z moją córką Oktawią, jak tylko dziewczynka będzie zdolna zrozumieć znaczenie ceremonii zaręczynowej.

Rozdział XVI

Brytania leży na północy, klimat jej jednak, choć bardzo mglisty, nie jest tak zimny, jakby się można spodziewać. Gdyby tylko osuszyć ten kraj, stałby się on bardzo urodzajny. Pierwotni mieszkańcy, ciemnowłosy lud, zostali wyparci ze swych posiadłości przez Celtów, którzy najechali kraj od południowego wschodu w tym samym mniej więcej czasie, kiedy powstawał Rzym. Nieliczne tylko osiedla w niedostępnych górach lub wśród moczarów zachowują niepodległość. Resztę tubylców zamieniono w poddanych i mieszały się ze zdobywcami. Nazwy „Celtowie” używam w najpowszechniejszym znaczeniu, obejmując nią różne ludy, które przyciągnęły hen, od gór indyjskich i osiedliły się w Europie w ciągu ostatnich paru wieków. Niektórzy uczeni twierdzą, że Celtów wyгнаła z ojczyzny nie skłonność do koczowniczego życia ani napór silniejszych plemion sąsiednich, lecz powolny, na olbrzymią miarę zakrojony kataklizm natury: oto niezmiernie urodzajnej ziemi, która im przedtem dostarczała środków do życia, zaczęły stopniowo zmieniać się w pustynię. Do Celtów, jeżeli nazwa ta w ogóle jest właściwa, zaliczałbym nie tylko przeważną część ludności Francji (Akwitanowie są pochodzenia iberyjskiego), lecz także liczne plemiona niemieckie i bałkańskie, a nawet achajskich Greków, którzy, zanim posunęli się na południe, w głąb Grecji, mieszkali przez pewien czas w dolinie górnego Dunaju. Grecy bowiem stosunkowo od niedawna są mieszkańcami Grecji. Wyparli stamtąd tubylczych Pelazgów, których kultura pochodzi z Krety, i przynieśli z sobą nowe bóstwa z Apollem na czele. Stało się to niedługo przed wojną trojańską. Dorowie nadciągnęli jeszcze później - w osiemdziesiąt lat po wojnie trojańskiej. Inni Celtowie w tym samym mniej więcej czasie najechali Francję i Italię. Z ich mowy wywodzi się język łaciński. W tym samym czasie nastąpił pierwszy najazd Celtów na Brytanię. Dokonali go Celtowie zwani Goidelami, których

język jest spokrewniony z pierwotną łaciną. Był to lud rosły, płowowłosy, chełpliwy i krewki, lecz szlachetny i wykazujący uzdolnienia w zakresie wszelkich sztuk i rzemiosł; celował zwłaszcza w artystycznym tkactwie, obróbce metali, muzyce i poezji. Goidele mieszkają jeszcze po dziś dzień w północnej Brytanii, żyją na tym samym szczeblu kultury, który w dziejach Grecji, dziś już jakże zmienionej, unieśmiertelniły wiersze Homera.

W czterysta czy pięćset lat później inne plemię celtyckie zjawilo się w Północnej Europie. Plemiona te dziś zwiemy Galatami lub Galami. Po śmierci Aleksandra najechali Macedonię, a stamtąd przedostali się do Azji Mniejszej, zajmując kraj, który wziął od nich nazwę Galacji. Wkroczyli także do Italii, złamali potęgę Etrusków i zapuścili się aż pod Rzym; pobili nas nad Alią i spalili miasto. To samo plemię zajęło większą część Francji; ich poprzednicy utrzymali się jednak w środku kraju, na północnym zachodzie i południowym wschodzie. Galaci posiadają również uzdolnienia artystyczne, choć pod tym względem ustępują pierwszym Celtom. Są za to bardziej zgodni i lepsi z nich wojacy. Wzrost mają średni, włosy brunatne lub czarne, okrągłe twarze i proste nosy. W czasie klęski nad Alią kilka plemion najechało Brytanię od strony Kentu, to jest południowowschodniej części wyspy, i wyparło Goidelów, którzy szerokim kręgiem, na kształt wachlarza, rozpierzchli się przed najeźdźcami tak, że dziś można ich znaleźć tylko na północy i na sąsiedniej wyspie, Irlandii, gdzie żyją jako poddani. Galaci, którzy przybyli do Brytanii, są znani pod nazwą Brytów, czyli ludzi malowanych. Nazwa ta pochodzi stąd, że na twarzy i na całym ciele malują sobie niebieskim barwnikiem oznaki kast. Od Brytów wzięła nazwę cała wyspa. W dwieście lat później nowe plemię Celtów ruszyło ze Środkowej Europy w stronę Renu. Byli to tak zwani dziś Belgowie, którzy później osiedlili się nad Kanałem La Manche i cieszą się sławą najlepszych wojowników Francji. Są to mieszkańcy spokrewnieni z Galatami, lecz mający też w żyłach krew niemiecką. Mają jasne włosy, szeroką szczękę dolną i orle nosy. Najechali Brytanię od strony Kentu i osiedlili się w całej południowej części

wyspy z wyjątkiem południowo-zachodniego zakątka, gdzie utrzymali się Brytowie i ich poddani Goidele. Belgowie brytyjscy są w bliskich stosunkach ze swoimi rodakami za Kanałem (jeden z ich królów panował po obu brzegach), prowadzą z nimi ożywiony handel i nawet, jak podczas wojny a. Juliuszem Cezarem, dostarczają im zbrojnej pomocy. Podobnie Brytowie z południowego zachodu handlują ze swymi krewniakami Galatami znad Loary i pomagają im w razie potrzeby.

Tyle o ludach zamieszkujących Brytanię, a teraz przejdźmy do historii ich stosunków z potężnym Rzymem. Pierwszy wyprawił się do Brytanii przed stu ośmiu laty Juliusz Cezar. W szeregach nieprzyjaciół, Belgów i Galatów znad Loary, napotkał wielu Brytów i doszedł do przekonania, że trzeba nauczyć wyspiarzy szacunku dla potęgi Rzymu. Nie mógł myśleć o pacyfikacji Francji, dopóki Brytania była bezpiecznym schronieniem dla jego najzaciętszych wrogów i punktem wyjściowym ich wszystkich prób przywrócenia ojczyźnie niezależności. Również ze względów politycznych, chcąc zrównoważyć zwycięstwo swego kolegi Pompejusza, Juliusz dążył do zyskania chwały wielkiego wodza. Jego podboje w Hiszpanii i Francji były odpowiedzią na zwycięstwa Pompejusza w Syrii i Palestynie, a wyprawę do odległej Brytanii chciał przeciwstawić czynom Pompejusza wśród dalekich ludów Kaukazu. Wreszcie potrzebował pieniędzy. Kupcy znad Loary i znad Kanału zdawali się robić wcale dobre interesy z Brytanią i Juliusz miał ochotę opanować ten rynek dla siebie, a wpierw obłożyć wyspiarzy potężnym haraczem. Wiedział, że w Brytanii znajduje się złoto, gdyż pochodzące stamtąd złote monety krążyły we Francji. (Nawiasem mówiąc, bardzo oryginalne było pochodzenie wybitego na nich wizerunku: za model posłużyły złote statery Filipa Macedońskiego, które dostały się do Brytanii drogą wodną, Dunajem i Renem. Ale z biegiem czasu rysunek na nich tak się zatarł, że z dwóch koni zaprzęzonych do rydwanu pozostał tylko jeden, a z rydwanu i woźnicy zaledwie zarys; z uwieńczonej zaś wawrzynem głowy Apolla - tylko sam wawrzyn.) Prawdę rzekłszy, Brytania nie

obfituje specjalnie w złoto. Na południowym zachodzie - gdzie swego czasu prowadzili handel Kartagińczycy - znajdowały się kopalnie cyny, przedstawiające pewną wartość i eksploatowane jeszcze po dziś dzień, transporty tego metalu nadsyłane do Rzymu pochodzą jednak przede wszystkim z wysp położonych u wybrzeży Galacji. Poza tym Brytania ma trochę srebra, miedzi i ołowiu, a na południowo-wschodnim wybrzeżu wielkie kopalnie rudy żelaznej. Słodkowodne perłowce dostarczają pereł. Perły te, choć niezłej jakości, są drobne i nie dadzą się porównać z odmianami wschodnimi. Brak tam natomiast bursztynu, chyba że przyplływ wyrzuci jakiś kawałek pochodzący z Bałtyku - znajdują się za to piękne agaty. Brytania eksportuje bardzo wiele cennych towarów, jak niewolników, skóry, wełnę, len, zwierzęta domowe, emaliowane brązy, farbę niebieską, plecione kosze i zboże. Juliusza najbardziej interesowało złoto i niewolnicy, choć wiedział, że ci ostatni nie przedstawiają wysokiej wartości - kobiety brytyjskie są zgoła nieurodzone, a bardzo popędliwe; mężczyźni, z wyjątkiem wyższych klas, z których rekrutują się doskonali woźnice, nadają się tylko do najcięższych robót rolnych. Nie mógł liczyć na to, że znajdzie w Brytanii kucharzy, złotników, balwierzy, sekretarzy lub wykwintnych dworzan. Ceny, jakie mógł osiągnąć za niewolników brytyjskich w Rzymie, nie przekraczały czterdziestu aureusów za sztukę. Dwukrotnie najechał Brytanię od południowego wschodu, tą samą drogą, którą swego czasu kolejno najeżdżali wyspę Goidele, Brytowie i Belgowie. Za pierwszym razem Brytowie, zażarcie broniąc wstępu na ląd, spisali się tak dzielnie, że Juliusz, poza wzięciem kilku zakładników z Kentu, niewiele wskórał i w głąb lądu posunął się zaledwie dziesięć mil. Na drugi raz, nauczony doświadczeniem, wylądował ze znaczniejszą siłą; wziął bowiem z sobą nie dziesięć tysięcy, jak poprzednio, ale dwadzieścia. Z wysuniętego ku Francji przylądka Sandwich pomaszerował południowym brzegiem ujścia Tamizy, sforsował najpierw przejście na rzece Stour, a następnie, niedaleko Londynu, na Tamizie. Szedł w kierunku kraju Katawellaunów, belgijskiego plemienia,

którego król miał zwierzchnią władzę nad kilkoma drobnymi władcami na południu i wschodzie wyspy. Stolicą kraju było miasto Wheathampstead, leżące około dwudziestu pięciu mil na północny wschód od Londynu, Mówiąc o „stolicy” nie mam na myśli miasta w znaczeniu grecko-rzymskim, lecz wielkie osiedle składające się z lepianek z gliny i wikliny i kilku chat z nie ciosanego kamienia. Król Katawellaunów, Kassiwellaun, zorganizował opór przeciw Juliuszowi, lecz przekonał się, że o ile jego konnica i oddziały rydwanów górują nad konnicą francuską, którą przywiózł z sobą Juliusz, o tyle piechota nie może sprostać piechocie rzymskiej. Doszedł do przekonania, że taktycznie będzie najkorzystniej zrezygnować całkiem z piechoty i posługując się tylko konnicą i rydwanami nie pozwolić armii rzymskiej rozwinąć szyku. Juliusz wkrótce mógł stwierdzić, jak niebezpieczne jest wysyłanie oddziałów furazerów bez ochrony konnicy. Brytowie udoskonalili w wysokim stopniu technikę walki na rydwanach: zaskakiwali maruderów i mniejsze oddziały i wyrzynali je w pień. Dopóki armia rzymska maszerowała w kolumnie, szkody, które mogła wyrządzić paląc wioski i zboża, nie miały wielkiego znaczenia. Brytowie mieli dość czasu, żeby kobiety i dzieci uprowadzić w bezpieczne miejsce. Dopiero przekroczywszy Tamizę Juliusz uzyskał pomoc plemienia niedawno pobitego przez Katawellaunów. Byli to Trynowantowie, mieszkający na północny zachód od Londynu. Stolica ich mieściła się w Colchester. Książę Trynowantów, którego ojca zabił Kassiwellaun, zbiegł do Francji tuż przed wyprawą i obiecał Juliuszowi, że z chwilą wkroczenia w granice Katawellaunów wzniesi na jego korzyść powstanie na całym wschodnim wybrzeżu. Obietnicy dotrzymał, dzięki czemu kraj Trynowantów mógł się stać dla Juliusza bezpieczną bazą operacyjną. Zaopatrzwszy tam armię w żywność, podjął marsz na Wheathampstead.

Kassiwellaun zdawał sobie sprawę, że jeśli jakąś dywersją nie zmusi Juliusza do odwrotu, nie może liczyć na zwycięstwo. Pchnął więc czym rychlej gońca do swych wasalów, do Kentu, prosząc, aby chwycili za broń i zaatakowali obóz rzymski. Już raz - przypominał - plany Juliusza pokrzyżowała wiadomość

otrzymana wkrótce po wylądowaniu, że burza rozbiła kilka przewozowych statków, których nie kazał wyciągnąć na brzeg, lecz pozostawił na kotwicy. Musiał wtedy zawrócić spod Stour i stracić dziesięć dni czasu na naprawienie szkód. Dzięki temu Brytowie mogli odzyskać i umocnić pozycje, których zdobycie kosztowało tyle wysiłku. Jeżeliby mężowie z Kentu zdecydowali się zaatakować obóz, broniony zaledwie przez dwa tysiące piechoty i secinę jazdy, a zdobywszy go spróbowali wziąć do niewoli flotę, Juliusz znalazłby się w potrzasku i cała wyspa powstałaby przeciw najeźdźcom; nawet Trynowantowie opuściliby swych nowych sprzymierzeńców. Mężowie z Kentu ławą ruszyli na obóz, lecz odparto ich i ponieśli ciężkie straty. Na wiadomość o tej klęsce wszyscy sprzymierzeńcy Kassiwellauna, dotychczas jeszcze mu wierni, wysłali do Juliusza poselstwo z prośbą o pokój. On tymczasem maszerował już na Wheathampstead, gdzie schronili się wszyscy ci, którym zbyt młody lub zbyt sędziwy wiek nie pozwolił wyruszyć w pole. Gród uchodził powszechnie za nie do zdobycia. Bronił go pierścień szanów zasłoniętych lasem, głębokie fosy i palisady. Juliusz, uderzywszy równocześnie z dwu stron, wziął miasto szturmem; niezliczone ilości bydła i setki niewolników stały się łupem zwycięzcy. Kassiwellaun, choć armia jego nie została pobita, musiał zawrzeć pokój. Juliusz podyktował mu łagodne warunki, gdyż lato miało się ku końcowi, a groźba nowego powstania we Francji zmuszała go do szybkiego powrotu. Zażądał więc od Katawellaunów pewnej liczby znaczniejszych mężów i kobiet jako zakładników, rocznego haraczu w złocie i obietnicy pozostawienia Trynowantów w spokoju. Kassiwellaun wypłacił pierwszą ratę haraczu i dał zakładników. Tak samo postąpili królowie innych plemion z wyjątkiem Trynowantów i ich sojuszników ze wschodniego wybrzeża, którzy dobrowolnie ofiarowali Juliuszowi swą pomoc. Juliusz powrócił do Francji wioząc z sobą zakładników i część bydła, którego nie zdołał się już pozbyć. Resztę, chcąc sobie oszczędzić kłopotu, sprzedał za bezcen Trynowantom. Przetransportowanie wszystkiego w całości było zbyt kłopotliwe.

W dwa lata później we Francji wybuchło powstanie, a choć na wieść o nim Kassiwellaun przestał płacić haracz i wysłał posiłki powstańcom, Juliuszowi, zaprzątniętemu tłumieniem rebelii, nie starczyło już sił na trzecią wyprawę. Wkrótce wybuchła wojna domowa, a choć po jej ukończeniu od czasu do czasu znowu wypływał problem wyprawy do Brytanii, zawsze z jakichś ważnych względów - przeważnie z powodu zamieszek nad Renem - odkładano tę sprawę na później. Nigdy nie dysponowano dostateczną liczbą żołnierzy. Wreszcie August zdecydował, że granica imperium ma się zatrzymać na Kanale La Manche, a państwo powinno podjąć raczej wysiłek ucywilizowania Francji, prowincji nadreńskiej i części Niemiec podbitej przez mego ojca. Kiedy po powstaniu Hermana utracił on Niemcy, tym mniej miał ochoty przysparzać sobie kłopotu z Brytanią. Myślą tą podzielił się z babką Liwią w liście datowanym w roku mego przyjscia na świat, oświadczając, że dopiero wtedy wyprawa do Brytanii będzie politycznie usprawiedliwiona, kiedy Francja dojrzeje, aby otrzymać obywatelstwo rzymskie, i będzie się miało pewność, iż pozbawiona opieki armii rzymskiej nie chwyci za broń.

„Jednakże, droga Liwio, twierdzę, że Brytania powinna stać się naszą prowincją kresową. Niebezpiecznie jest bowiem pozostawiać niepodległość wyspie leżącej tak blisko Francji i zamieszkaną przez tak liczną i dzielną ludność. Widzę, jak w przyszłości Brytania staje się krajem równie cywilizowanym jak obecnie południowa Francja, i myślę, że wyspiarze rasowo spokrewnieni z nami staną się znacznie lepszymi Rzymianami niż Niemcy, którzy mimo pozornej pojętności i chęci nauczania się naszych sztuk są, moim zdaniem, duchowo bardziej nam obcy niż Żydzi lub Murzyni. Trudno mi wprawdzie uzasadnić to przekonanie, co najwyżej mógłbym zauważyć, że w nauce robią zbyt szybkie postępy - a znasz przecież przysłowie: «Co nagle, to po diable.» Może się to wyda śmieszne, że piszę o Brytach, jakby już byli Rzymianami, ale miło czasami wybiec myślą w przyszłość. Oczywiście nie

mówię tu o przyszłości dwudziestu czy pięćdziesięciu lat, ale przeznaczając pięćdziesiąt lat na ucywilizowanie Francji, a dwadzieścia czy coś koło tego na całkowite podbicie Brytanii, możemy sobie wyobrazić, że za sto lat Italia będzie ściśle złączona z całym brytyjskim archipelagiem, a brytyjscy nobile - proszę Cię, nie śmieć się - zajmą miejsca w rzymskim senacie. Tymczasem musimy kontynuować politykę handlowej penetracji. Król Cymbelin, który swą zwierzchnią władzę rozszerzył obecnie na większą część wyspy, życzliwym okiem patrzy na rzymsko-francuskich kupców, a nawet greckich doktorów, zwłaszcza okulistów; Brytowie bowiem często chorują na dokuczliwe zapalenie oczu, do czego przyczyniają się liczne w tym kraju mokradła. Nie kto inny też, jak rzymscy mincarze wybijają mu piękne srebrne monety - złote mają jeszcze w dalszym ciągu barbarzyński stempel - aż naszymi namiestnikami we Francji łączą go przyjazne stosunki. Handel z Brytanią ogromnie wzrósł w ostatnich paru latach. Opowiadano mi też, że na dworze Cymbelina w Colchester mówi się tyleż po łacinie, co po brytyjsku.”

W związku z tym pozwolę sobie jeszcze zacytować historyka Strabona, który w swoim dziele z początków panowania Tyberiusza pisze:

„Za naszych dni niektórzy książęta brytyjscy, śląc poselstwa i dworną okazując atencję, zapewnili sobie przyjaźń Cezara Augusta. Przysłali przecie nawet wotywno dary do świątyni Jowisza Kapitońskiego, a wyspę całą uczynili jakoby ojczystą ziemią dla Rzymian. Za małą opłatą wywożą oni stamtąd towary do Francji lub przywożą inne, przeważnie bransolety z kości słoniowej, naszyjniki, wyroby z bursztynu i szkła i tym podobne.”

W dalszym ciągu Strabon wymienia towary eksportowane: złoto, srebro, żelazo, skóry, niewolników, psy myśliwskie, zboże i bydło, a wreszcie - inspirowany, jak przypuszczam przez Liwie - kończy w ten sposób:

„Zbyteczne więc, aby Rzymianie utrzymywali na wyspie garnizon. Jeśliby bowiem miał on za zadanie zmusić mieszkańców do płacenia haraczu, musiałby się składać przynajmniej z pułku piechoty i posiłkowej jazdy, a koszta utrzymania takiego garnizonu wynosiłyby przynajmniej tyleż co nałożony haracz. Nałożenie zaś haraczu spowodowałoby konieczność obniżenia ceł. Nadto polityka podbojowa zawsze się łączy ze znacznym ryzykiem, jakim jest wojna.”

Określenie potrzeb na siłę „przynajmniej jednego pułku” było przesadnie skromne. Przydałyby się bowiem przynajmniej cztery pułki.

August nigdy nie poruszał sprawy niewypłacania haraczu, co było przecież złamaniem zaprzysiężonego układu, ani nie zaprotestował przeciw podbiciu przez Cymbelina Trynowantów. Cymbelin był wnukiem Kassiwellauna i panował czterdzieści lat; schyłek jego dni, jak to często bywa udziałem starzejących się władców, zachmurzyły kłopoty rodzinne. Najstarszy z synów usiłował zagarnąć dla siebie tron, a wygnany uciekł do bawiącego we Francji Kaliguli i błagał o pomoc, przyrzekając w zamian za osadzenie go na tronie uznać zwierzchność Rzymu. Kaligula bezzwłocznie zawiadomił senat przez kuriera o zhołdowaniu wyspy i na czele olbrzymiej armii pomaszerował do Boulogne, jak gdyby jednej chwili nawet nie chciał zwlekać z inwazją. Będąc jednak z natury nerwowy, wnet zaczął się lękać, że może utonąć w Kanale, w którym fale dochodzą do znacznej wysokości, lub zginąć w bitwie albo dostać się do niewoli i w manekinie z wikliny spłonąć na ofiarę bogom. Oświadczył więc, że z chwilą gdy Brytania w osobie swego księcia składa mu hołd, wyprawa jest zbyteczna. Zamiast wyspy zaatakował Neptuna. Pisałem już o tym, jak to kazał swym wojskom razić wodę oszczepami, strzałami i kamieniami, a zamiast łupów zbierać muszle. Księcia przywiódł w kajdanach do Rzymu i po potrójnym triumfie - nad Neptunem, Brytanią i Niemcami - skazał

go na śmierć, motywując ten wyrok niepłaceniem haraczu, zdradzieckim atakiem na Trynowantów i wysłaniem przez kilka plemion brytyjskich posiłków powstańcom i Autun; ten ostatni wypadek miał miejsce w ósmym roku panowania Tyberiusza.

Cymbelin umarł w tym samym roku co Kaligula, a po jego śmierci wybuchła wojna domowa. Najstarszego z pozostałych przy życiu królewiczów, Beryka, obwołano królem. Nie cieszył się jednak szacunkiem ani własnych współplemieńców, ani zhołdowanych sojuszników. W rok później zbuntowali się przeciw niemu dwaj młodsi bracia, Karaktak i Togodumn. Beryk musiał uciekać za Kanał i przybywszy do Rzymu prosił mnie o pomoc, podobnie jak ongi jego brat Kaligulę. Nie czyniłem żadnych obietnic, lecz pozwoliłem mu zamieszkać w Rzymie z rodziną i kilkoma możliwymi brytyjskimi, którzy wraz z nimi przybyli.

Togodumn, który rządził teraz do spółki z Karaktakiem, zasłyszał od kupców, że w Rzymie panuje nie żołnierz, lecz stary, tchórzliwy wariat piszący książki. Przysłał mi więc bezczelny list, w którym domagał się natychmiastowego powrotu Beryka i pozostałych wygnańców i odesłania wraz z nimi świętych regaliów zabranych przez Beryka do Rzymu. (Było to trzynaście przedmiotów o znaczeniu magicznym, między innymi korona, puchar i miecz.) Gdyby Togodumn napisał grzeczny list, równie grzecznie bym mu niewątpliwie odpisał i przynajmniej zwrócił regalia, które, jak się okazało, należały do akcesoriów niezbędnych do prawomocnej koronacji króla Katawellaunów. Jednak wobec tonu, którego użył, odpowiedziałem krótko, że nie przywykłem, aby zwracano się do mnie w tak lekceważącej formie, i wobec tego nie czuję się obowiązany do świadczenia mu żadnych przysług. Odpisał na to jeszcze zuchwałej. Zarzucił mi rozmijanie się z prawdą, gdyż do niedawna każdy mnie lekcewał, nawet własna rodzina; skoro zaś wzdragam się go słuchać, zatrzymuje w zastaw wszystkie rzymskie statki handlowe stojące w portach brytyjskich i nie wypuści ich, dopóki nie uczynię zadość jego żądaniom. Nie

pozostawało nic innego, jak wypowiedzieć wojnę. Straciłbym we Francji wszelki szacunek, gdybym się był wahał. Decyzję powziąłem całkiem niezależnie od rady Heroda, chociaż zbiegła się z otrzymaniem od niego owego kpiącego listu.

Miałem też i inne przyczyny, dla których wypowiedziałem wojnę. Po pierwsze, uważałem, że nadszedł przewidziany przez Augusta czas. Zamierzałem rozszerzyć obywatelstwo rzymskie na znaczniejszą liczbę naszych bardziej ucywilizowanych francuskich sprzymierzeńców, lecz na północy Francji istniał wciąż czynnik, który systematycznie hamował postęp cywilizacji. Czynnikiem tym był kult druidyczny - magiczna religia, której nie dało się wytępić, mimo wszelkich wysiłków z naszej strony. Wciąż była żywa dzięki druidycznym szkołom w Brytanii, kolebce owego kultu. Młodzi Francuzi traktowali wyjazd do Brytanii na naukę druidyzmu równie naturalnie, jak młodzi Hiszpanie wyjazd do Rzymu na studia prawnicze, młodzi Rzymianie do Aten na studia filozoficzne lub młodzi Grecy do Aleksandrii na studia chirurgiczne. Niełatwo było pogodzić druidyzm z religijnym kultem Rzymian lub Greków, wymagał bowiem ofiar z ludzi i praktyk nekromanckich, a druidzi, choć sami nie byli wojownikami, lecz kapłanami, ciągle podburzali przeciwko nam ludność. Drugą przyczynę stanowiło to, że minął już złoty wiek rządów Cymbelina. Togodumn i Karaktak, jak mi doniesiono, prawie wplątali się już w wojnę ze swymi północnowschodnimi sąsiadami Icenami i dwoma zhołdowanymi plemionami na południowym wybrzeżu. Jeżeliby temu nie przeszkodził, regularny handel z Brytanią zostałby na pewien czas przerwany. Ponieważ mogłem liczyć na pomoc Icenów i innych plemion, nie mówiąc już o kupcach, nie uważałem za wskazane pominąć tak dobrej sposobności.

Może nie od rzeczy będzie dać tutaj krótki zarys druidyzmu, religii będącej pomieszaniem wierzeń Celtów i pierwotnych mieszkańców wysp. Nie mogę, niestety, ręczyć za to, że podane szczegóły są prawdziwe, gdyż relacje są często sprzeczne.

Żadnego tekstu druidycznego nie można uwiecznić na piśmie, a straszliwe kary grożą tym, którzy by się ważyli zdradzić najdrobniejszy szczegół misteriów. Relację swoją opieram na wiadomościach dostarczonych mi przez odszczepieńców, wśród których nie było jednak kapłanów. Druidzi, którzy otrzymali święcenia, nie dali się nawet na torturach skłonić do zdradzenia szczegółów dostępnych tylko dla wtajemniczonych. Wyraz druid znaczy tyle mniej więcej co „dębiarz” - dąb bowiem jest świętym drzewem. Rok obrzędowy druidów zaczyna się w porze pączkowania dębów, a kończy z opadającymi liśćmi. Posiadają boga, zwanego Tanar, którego symbolem jest dąb. Od ognia błyskawicy miotanej przez tego boga na dębowych konarach wyrasta jemiola, potężny środek przeciw czarom i wszelkim słabościom. Istnieje też bóg słońca imieniem Mabon; symbolem jego jest biały byk. Wizerunek następnego z nich - Luga, boga leków, poezji i rzemiosł, to ślimak. Trzej ci bogowie reprezentują właściwie pod różnymi postaciami jedno i to samo bóstwo życia zwyciężającego śmierć, podobnie jak w Egipcie Ozyrys. Tak jak Ozyrysa topi w młodości bóg wodnych obszarów, tak trójcę celtycką zabija wuj Nodons, bóg wody i ciemności, a przywraca do życia bogini zdrowia, odpowiadająca greckiej Izydzie. Nodons ukazuje się w postaci olbrzymiej, dwunastostopowej fali, która w regularnych odstępach czasu nadbiega od ujścia Severn, najgłówniejszej z rzek na zachodzie, i wyrządza niezmierne szkody w bydło i zabudowaniach na trzydzieści mil w głąb lądu. Religię druidyczną wyznają właściwie nie plemiona, które są tylko jednostkami bojowymi pod komendą królów i nobilów, lecz trzynaście tajnych związków biorących nazwy od różnych świętych zwierząt. Członkowie każdego z tych związków należą do różnych plemion, gdyż o przynależności do związku rozstrzyga miesiąc urodzin danego człowieka. Miesiące zaś jest u Celtów trzynaście. Istnieją związki niedźwiedzi, myszy, wilków, królików, żbików, sów itp. Każdy ze związków posiada specjalną naukę i znajduje się pod opieką swego druida. Całym kultem kieruje arcydruid. Druidzi nie biorą udziału w wojnie, a członkowie tego samego

związku, którzy podczas walk międzyplemiennych znajdują się po przeciwnych stronach, obowiązani są do wzajemnej pomocy.

Misteria wiążą się z wiarą w nieśmiertelność duszy ludzkiej. Druidzi głosząc tę wiarę powołują się na analogiczne zjawiska w przyrodzie, jak codzienna śmierć i zmartwychwstanie słońca, coroczna śmierć i odradzanie się liści dębowych, żniwa i kiełkowanie zasiewów wiosną. Człowiek, opowiadają, po śmierci udaje się, tak jak słońce, na zachód i aż do chwili powtórnych urodzin żyje na świętej wyspie na Oceanie Atlantyckim. W całej Brytanii pełno jest świętych ołtarzy, tak zwanych „dolmenów”, składających się z płaskiego kamienia położonego na dwu lub kilku pionowych. Przy tych ołtarzach odbywa się ceremonia przyjęcia do związku symbolizująca śmierć i zmartwychwstanie. Kandydata składają na progu ołtarza jako symboliczną ofiarę. Za pomocą magicznych sztuk druid, który dokonywa obrzędu, obcina mu głowę i skrwawioną ukazuje tłumowi. Następnie przykłada głowę z powrotem do tułowia i rzekomego trupa z jemiolą w ustach kładzie pod dolmenem niby w mogile. Po wielu modłach i zaklęciach wstaje nowy członek związku, niby dziecko wyłaniające się z matczynego łona, i od bogów-rodziców otrzymuje pouczenie na nowe życie. Oprócz dolmenów spotyka się pionowe kamienne ołtarze, które służą do obrzędów fallicznych. I pod tym bowiem względem celtycki Ozyrys przypomina egipskiego.

O stanowisku społecznym człowieka decyduje liczba ofiar, które składa bogom na progu rodowego dolmenu; liczba nieprzyjaciół zabitych w walce i odznaczenia zdobyte w dorocznych igrzyskach religijnych, na które składają się wyścigi rydwanów, żonglerka, zapasy, konkursy poetyckie i harfiarskie. O stanowisku, jakie ktoś zajmuje, mówią maski, przybrania głowy noszone w czasie obrzędów i znaki malowane na całym ciele niebieskim barwnikiem, który otrzymują z pewnego gatunku marzanny rosnącej na moczarach. Druidzi rekrutują się z młodych ludzi, którzy w tajnych związkach osiągnęli wysokie stanowisko i otrzymali pewne znaki świadczące o życzliwości bogów.

Kandydata czeka jednak wpierw dwadzieścia lat ciężkich studiów w szkole druidycznej, a nie każdemu udaje się przejść przez trzydzieści dwa wymagane stopnie. Pierwsze dwanaście lat poświęca się kolejnemu wtajemniczaniu w arkana innych tajnych związków, przy czym trzeba się wyuczyć na pamięć niezliczonego mnóstwa sag, studiować prawo, muzykę i astronomię. Trzy następne lata poświęcane są studiom medycznym, a dalsze trzy wróżbiarstwu i magii. Wymagania, jakie stawia się kandydatom do stanu kapłańskiego, są niezmiernie surowe. Między innymi zdają na przykład egzamin z kompozycji poetyckiej. Kandydat musi całą noc przeleżeć nago w podobnej do trumny skrzyni; skrzynię napelniają lodowatą wodą, tak że leżący może tylko nozdrza utrzymać nad powierzchnią. Piers ma przywaloną kamieniami. W tej pozycji musi ułożyć okazałych rozmiarów poemat w szczególnie trudnym metrum. (A trzeba wiedzieć, że metryka poezji bardów jest w ogóle nadzwyczaj trudna i bogata.) Temat podają mu z chwilą, kiedy kładzie się do skrzyni. Nazajutrz rano kandydat wyszedłszy z wody musi swój utwór odśpiewać przy wtórze harfy w takt melodii, którą równocześnie z poematem miał skomponować. Podczas egzaminu kandydat staje przed zgromadzeniem wszystkich druidów, a ci zadają mu różne pytania w formie wierszowanych zagadek; trzeba na nie również wierszem i również symbolicznie odpowiedzieć. Wszystkie te zagadki dotyczą ustępów ze świętych poematów, które zdający powinien znać. Ponadto musi umieć w magiczny sposób wywoływać mgłę i wiatr i wykazać się umiejętnością wykonywania wielu magicznych sztuczek.

Przy tej sposobności wspomnę o moim jedynym w życiu osobistym zetknięciu się z druidem. Zażądałem, aby popisał się swoją magią. Poprosił o trzy ziarna suszonego grochu, kazał mi wyciągnąć rękę i położył je na niej rzędem.

- Czy trzymając nieruchomo rękę możesz zdmuchnąć środkowe ziarno tak, żeby nie zdmuchnąć równocześnie pozostałych? - zapytał.

Spróbowałem. Oczywiście bezskutecznie - zdmuchnąłem wszystkie trzy

grochy. Podniósł je, położył rzędem na własnej dłoni i przycisnąwszy po bokach leżące ziarna małym i wskazującym palcem z łatwością zdmuchnął środkowe.

- To każdy potrafi zrobić - zawołałem zirytowany, że wystrychnął mnie na dudka. - To nie żadna magia!

Wręczył mi ziarna z powrotem.

- Więc spróbuj - zażądał.

Ze zmartwieniem stwierdziłem, że nie tylko brak mi oddechu - płuca jakby się nagle ścisnęły - lecz daremnie próbuję wyprostować zgięte palce. Były kurczowo przygięte do dłoni i paznokcie stopniowo wbijały się w ciało coraz bardziej, tak że z trudem tylko powstrzymałem się od krzyku. Kroplisty pot wystąpił mi na czoło.

- No cóż? Czy łatwo? - spytał druid.

- Nie w obecności druida - przyznałem ze skruchą.

Dotknął mej ręki w przegubie i kurcz ustąpił.

Ostatnia próba, której zostaje poddany kandydat, polega na spędzeniu najdłuższej w roku nocy na głazie zwanym „Niebezpieczne siedzisko”. Głaz ten, zawieszony nad głęboką przepaścią, znajduje się gdzieś w górach, na zachodzie wyspy. Przez całą noc przychodzą złe duchy, zagadują siedzącego i usiłują wszelkimi sposobami dokazać tego, żeby stracił równowagę. Nie wolno ani słowem odpowiadać na ich zaczepki, trzeba tylko odmawiać modlitwy i śpiewać hymny wielbiące bogów. Jeżeli i z tej próby kandydat wyjdzie cało, dopuszcza się go do końcowego obrzędu: wypija kubek trucizny i zapada w letarg, podczas którego wędruje po Wyspie Śmierci. Z wędrówki tej ma przynieść dowody, które by przekonały druidów, że bóg Życia-Śmierci przyjął kandydata na swojego kapłana.

Istnieją trzy kategorie druidów - pierwsi to ci, którzy przeszli przez wszystkie próby - prawdziwi druidzi. Następnie idą bardowie, którzy zdali egzaminy poetyckie, lecz nie wykazali zadowalającej umiejętności w dziedzinie zaklęć, lecznictwa i magii. Trzecia kategoria składa się z tych, którzy wprowadzie

w ostatnio wymienionych przedmiotach zadowolili swych egzaminatorów, lecz nie osiągnęli stopnia bardów; są oni znani pod nazwą owatów, czyli „nadśluchiwaczy”. Iście nieulękiego serca trzeba, aby poddać się ostatnim próbom, podczas których, jak mnie informowano, na każdym pięciu kandydatów trzech ponosi śmierć. Tak więc przeważnie zadowolają się stopniem barda lub owata.

Druidzi są prawodawcami i sędziami. Oni też sprawują dozór nad publicznym i prywatnym kultem. Za największą karę, jaką mogą wyznaczyć, uchodzi usunięcie winnego od uczestnictwa w obrzędach religijnych. Tego rodzaju ekskomunika równa się skazaniu na wieczystą zagładę, tylko bowiem wierni, biorący udział w obrzędach, mogą się spodziewać zmartwychwstania. Toteż druidzi są wszechpotężni i tylko szalenie odważyłby się oprzeć ich władzy. Co pięć lat odbywa się wielkie święto oczyszczenia - podobnie jak nasz cenzus - podczas którego za odkupienie grzechów całego narodu składane są ofiary z ludzi. Palą ich żywcem w wielkich wiklinowych klatkach, które kształtem przypominają postacie ludzkie. Na ofiary wybierają bandytów, morderców, tych, którzy zdradzili tajemnice religijne, a wreszcie oskarżonych o bezprawne praktykowanie magii dla celów osobistej korzyści, jak rzucanie uroku na bydło lub powodowanie zarazy. W naszych czasach druidzi wyklinali każdego, kto przyjął rzymską wiarę lub spowinowacił się z rodziną, która to uczyniła. Uważałem, że choć nie można odmówić im praw do rzucania klątwy, to jeśli chodzi o palenie żywcem wyklętych, należała się druidom nauczka.

Dwa miejsca otaczają oni szczególną czcią: przede wszystkim wyspę Anglesey na zachodnim wybrzeżu, gdzie w wielkich gajach świętych dębów znajdują się zimowe siedziby druidów i płonie święte ognisko podsycane dębowymi bierwionami. Początek temu ognisku dało drzewo zapalone piorunem; głównie zeń służą do podpalania pogrzebowych stosów; ma to zapewnić ciałom zmartwychwstanie. Drugim świętym miejscem jest wielka kamienna świątynia w środkowej Brytanii, składająca się z koncentrycznych

kamiennych pierścieni i olbrzymich trylitycznych lub monolitycznych ołtarzy. Poświęcona jest bogu Życia i Śmierci. W okresie od Nowego Roku, który liczą od wiosennego zrównania do letniego przesilenia, odbywają się tam coroczne igrzyska religijne. Czerwonowłosy młodzieniec, ubrany we wspaniałe szaty, przedstawia boga. Podczas igrzysk wolno mu robić, co mu się żywnie podoba. Wszystko jest do jego dyspozycji, a gdy mu się spodoba jakiś klejnot lub oręż, właściciel uważa za zaszczyt, jeżeli może mu go ofiarować. Najpiękniejsze dziewczęta towarzyszą mu w jego rozrywkach, a atleci i muzycy, którzy biorą udział w zawodach, gotowi są uczynić wszystko, aby pozyskać sobie jego względy. Na krótko przed letnim przesileniem młodzieniec w towarzystwie arcydruida, reprezentującego boga śmierci, udaje się pod dąb, na którym rośnie jemiola. Arcydruid wdrapuje się na drzewo i złotym sierpem ścina jemiolę bacząc, aby nie upadła na ziemię. Jemiola ta jest duszą dębu, który w tajemniczy sposób potem usycha. Młodzieńca przybranego dębowymi gałązkami zabiera się do świątyni. Świątynia jest tak położona, że w dniu przesilenia o brzasku promień słońca padając na kamienną aleję oświeca główny ołtarz, a na nim skępowanego młodzieńca, którego arcydruid zabija zaostrozonym kołkiem jemioli. Co się dzieje później ze zwłokami, nie udało mi się dowiedzieć. Przez pewien czas pozostają na kamieniu ofiarnym i nie wykazują oznak rozkładu. Podczas święta jesiennego zabiera je kapłanka z Sulis, miasta na zachodzie, obfitującego w źródła lecznicze. Podobno bogini przywraca młodzieńcowi życie. Wówczas bóg udaje się czołnem na zachód na wyspę, gdzie przebywa Nodons, którego zwycięża po zaciętej walce. Zimowe burze to odgłosy tej walki. Następnego roku bóg zjawia się w postaci nowej ofiary. Uschnięty dąb dostarcza nowych bierwion do podtrzymania świętego ognia. Podczas święta jesiennego, które jest świętem Pożegnania, każdy ze związków składa ofiarę ze swego plemiennego zwierzęcia. Palą wtedy wiklinową klatkę pełną tych zwierząt i rzucają w ogień również rytualne maski i przybrania głowy. W tej samej kamiennej świątyni odbywa się skomplikowany ceremoniał

wtajemniczania nowych druidów. Podobno podczas tej ceremonii składają w ofierze nowo narodzone dzieci. Świątynia znajduje się w środku wielkiego cmentarzyska, na którym są pogrzebani wszyscy druidzi i mężowie zajmujący wysokie stanowiska religijne.

Istnieją jeszcze brytyjskie bóstwa wojenne, lecz mają one mały związek z religią druidów i tak przypominają naszego Marsa czy Bellonę, że zbyteczny staje się bliższy ich opis.

We Francji ogniskiem druidyzmu było Dreux, miasto leżące na zachód od Paryża, o jakieś osiemdziesiąt mil od Kanału. Składano tam w dalszym ciągu ofiary z ludzi, jakby cywilizacja rzymska wcale nie istniała. Wyobraźcie sobie druidów rozpruwających ciała ofiar poświęconych bogu Tanarowi i wróżących z ludzkich wnętrzności z równie obojętną miną, jak u nas wróży się z wnętrzności barana czy świętych kurcząt. August nie miał odwagi położyć kresu druidyzmowi; zakazał tylko obywatelom rzymskim należeć do tajnych związków i brać udział w druidycznych ofiarach. Tyberiusz zaryzykował i ogłosił edykt rozwiązujący zakon druidów we Francji, nie liczył jednak wcale, że edykt zostanie zgodnie z literą prawa wprowadzony w życie; chodziło tylko o to, żeby decyzje powzięte przez zgromadzenie druidów lub ferowane przez nich wyroki pozbawić pozorów rzymskiej sankcji.

Chociaż wiele plemion francuskich porzuciło dawny kult i przyjęło rzymską religię, druidzi w dalszym ciągu sprawiali nam niemało kłopotu. Postanowiłem, że po podbiciu Brytanii zawrę układ z arcydruidem: pozwolę mu utartym zwyczajem w dalszym ciągu kierować religijnymi sprawami w Brytanii (wymówiwszy sobie oczywiście wygłaszanie podburzających kazań przeciwko Rzymianom), w zamian za co musi się zobowiązać, że nie będzie przyjmować z Francji kandydatów do stanu druidów i nie pozwoli brytyjskim druidom udawać się za Kanał La Manche. Bez kapłanów religia ta we Francji wkrótce wygaśnie. Zwłaszcza że wszystkie ceremonie i święta druidyczne połączone z ofiarami z ludzi ogłoszę za bezprawne, a biorący w nich udział będą odpowiadać za

morderstwo. Później, oczywiście, druidyzm zostanie wytepiiony i w Brytanii. Na razie jednak nie pora o tym myśleć.

Rozdział XVII

Po przestudiowaniu pamiętników Juliusza Cezara o dwóch jego wyprawach brytyjskich stało się dla mnie jasne, że o ile warunki nie uległy przez ten czas zmianie, będzie można przy nieznacznej modyfikacji naszej taktyki pobić Brytów w każdym starciu. Trzeba jednak rozporządzać znacznymi siłami. To wielki błąd rozpocząć wyprawę z dwoma pułkami, porywać się na zadania wymagające podwójnej ilości wojska i ponieść znaczne straty, śłać kurierów po nowe posiłki, gdy nieprzyjaciel tymczasem nabiera oddechu do walki. Najwłaściwiej jest rozpocząć od razu wojnę z taką pokaźną armią, jaką tylko da się zebrać, i uderzyć z całych sił.

Piechota brytyjska jest uzbrojona w szerokie miecze i wąskie skórzane tarcze. W pojedynkę żaden z Brytów nie ustępuje rzymskiemu żołnierzowi, a może go nawet przewyższa; o ile jednak nasza wartość bojowa wzrasta wraz z liczbą żołnierzy, o tyle ich maleje. W wirze bitwy kompania brytyjskich wojowników nie oprze się równej sile zdyscyplinowanych Rzymian. Rzymska włócznia, krótki, służący do pchnięcia miecz, długa tarcza z okuciem, którym można szczepić ją z tarczami sąsiadów, oto idealny ekwipunek do walki wręcz. Oręż brytyjski natomiast, chociaż przeznaczony do walki w pojedynkę, wymaga swobodnej przestrzeni. W ścisłej walce nieporęcznym jest wywijać szerokim mieczem, a że ponadto szczepione z sobą tarcze bronią od bocznych ciosów, staje się on bezużyteczny, małe puklerze natomiast okazują się niewystarczającą ochroną przed ciosem włóczni.

Brytyjscy nobile walcą na rydwanach, podobnie jak greccy bohaterzy pod Troją lub łatyńscy wodzowie w zamierzchłych czasach. Obecnie w cywilizowanej armii rydwan pozostał tylko symbolem wysokiej szarży wojskowej lub zwycięstwa. Zastąpienie rydwanów przez kawalerię przyczyniło się do rozwoju hodowli koni. W Brytanii trudno o dobre wierzchowce. Do

rydwanów zaprzęgają niewielkie, ale silne i doskonale wytresowane kuce. Można je osadzić w miejscu nawet wtedy, gdy dobrym klusem idą z góry, a zawrócić dadzą się w mgnieniu oka. Każdy rydwan tworzy oddzielną jednostkę bojową. Woźnicą i dowódcą w jednej osobie jest nobil. Towarzyszy mu w rydwanie dwóch wojowników, a dwóch lub kilku uzbrojonych w noże szybkobiegaczy, którzy potrafią dotrzymać kroku kucom, biegnie obok. Wojownicy często przebiegają po dyszlu i stają, zręcznie balansując na wadze. Szybkobiegacze usiłują podciąć nogi kucom przeciwników. Kolumna rydwanów wpada zazwyczaj w pełnym pędzie na linię piechoty i przełamuje ją jednym uderzeniem. Jeśli jednak zachodzi obawa, że piechota wytrzyma taki atak, wtedy rydwany przejeżdżają obok, a wojownicy zasypują przeciwnika gradem pocisków; następnie kolumna zawraca i znów spada deszcz włóczni, tym razem od tyłu. Powtórzywszy ten manewr kilkakrotnie woźnice odjeżdżają w bezpieczne miejsce, a wojownicy wspierani przez własną piechotę ruszają do ostatecznego ataku. Jeżeli taki atak zawiedzie, rydwany znów ruszają, by osłonić odwrót. Jak słusznie zauważył Juliusz, rydwany brytyjskie łączą w sobie szybkość kawalerii z nieustępliwością piechoty. Eskadry rydwanów sprzyjają oczywiście taktyce oskrzydłającej, lecz również oczywiście niezdiscyplinowani wojownicy przynoszą niemałą szkodę armii brytyjskiej. Ich wspólną wadą jest to, że rozbiegają się za łupem, zanim pokonają główną siłę nieprzyjacielską. Ponieważ francuska kawaleria Juliusza nie mogła sprostać rydwanom, musiałem obmyślić jakąś nową taktykę walk z rydwanami. W każdym razie mogłem liczyć na zwycięstwo we wszystkich starciach piechoty.

Obliczyłem, że na tę wyprawę imperium może dostarczyć nie więcej niż cztery pułki regularnej piechoty i cztery pułki posiłkowej wraz z tysiącem jazdy. Po naradzie z komendantami armii ściągnąłem znaną z Renu trzy pułki: drugi, dwudziesty i trzynasty, i jeden znaną z Dunaju - dziewiąty. Dowództwo tej armii oddałem Galbie, a Getę mianowałem dowódcą jego jazdy. Termin wymarszu wyznaczyłem na połowę kwietnia. Konieczność zbudowania statków

przewozowych spowodowała jednak znaczną zwłokę, a kiedy statki już były gotowe, zachorował Galba. Postanowiłem czekać, aż wyzdrowieje. Niestety do połowy czerwca nie odzyskał sił i musiałem, choć z żalem, zrezygnować z dłuższego czekania. Oddałem komendę Aulusowi Plaucjuszowi, dalekiemu krewnemu mojej pierwszej żony, Urgulanilli. Był to stary żołnierz uchodzący za najtęższego taktyka i jednego z najdzielniejszych ludzi w armii. Miał już dobrze po pięćdziesiątce, a przed czternastu laty był konsulem. Starzy żołnierze przypominali go sobie jeszcze na stanowisku dowódcy czternastego pułku w armii mojego brata. Cieszył się wtedy wśród żołnierzy wielką popularnością. Plauejusz przybył do Moguncji i objął dowództwo przeznaczonych na wyprawę pułków. Zwłoka wywołana chorobą Galby była mi tym bai dziej nie na rękę, że wieści o wyprawie, które aż do kwietnia były utrzymane w ścisłej tajemnicy, przedostały się teraz za Kanał i Karaktak z Togodumnem gorliwie zakrzętnęli się koło przygotowania pozycji obronnych. Dziewiąty pułk nadciągnął dość dawno znad Dunaju, a dwa francuskie pułki posiłkowe i jeden szwajcarski długo już stały pod bronią. Kazałem Aulusowi na czele nadreńskich pułków ruszyć do Boulogne, zabrać po drodze batawski pułk posiłkowy i przeprowić się na statkach, które czekały już w porcie. Równocześnie miały przybyć do Boulogne pułki lyońskie. Nagle wyłoniła się nowa przeszkoda. Pułki reńskie nie chciały wyruszyć. Żołnierze całkiem otwarcie oświadczyli, że w dotychczasowym miejscu pobytu czują się bardzo dobrze, a wyprawę do Brytanii uważają za przedsięwzięcie niebezpieczne i zbyteczne. Ich odejście, twierdzili, poważnie osłabi obronę Renu. Był to jednak tylko wykręt, gdyż przez połączenie silnych francuskich oddziałów posiłkowych z pozostałymi pułkami w nowe brygady i utworzenie całego nowego pułku - dwudziestego drugiego - liczebny stan garnizonów nadreńskich pozostał nie naruszony. Powoływali się też na boga Augusta, który Ren i Kanał uznał za niewzruszone granice imperium rzymskiego: wyprawa brytyjska, mówili, sprzeciwia się jego życzeniom.

W połowie lipca znajdowałem się w Lyonie i byłbym się osobiście udał

nad Ren, aby nakłonić żołnierzy do spełnienia obowiązku, lecz powstrzymało mnie podniecenie dające się zauważyć w dziewiątym pułku i wśród oddziałów posiłkowych. Wysłałem więc w swoim zastępstwie Narcyza. Był to szaleńczy pomysł, ale że szaleńcom sprzyja szczęście, sprawa wzięła pomyślny obrót. Nie zdawałem sobie zupełnie sprawy, jak bardzo nie lubiany był Narcyz. Panowało ogólne mniemanie, że na każdym kroku stosuję się do jego wskazówek i daję mu się wodzić za nos. Przybywszy do obozu w Moguncji Narcyz przywitał Plaucjusza trochę z góry i polecił uszykować żołnierzy na majdanie przed trybuną. Kiedy życzeniu temu stało się zadość, wyszedł na trybunę, wypiął dumnie pierś i zaczął przemawiać:

- W imieniu naszego cesarza, Tyberiusza Klaudiusza Cezara Augusta - rozpoczął. - Żołnierze, dostaliście rozkaz wymarszu do Boulogne, skąd na statkach mieliście odpłynąć do Brytanii. Tymczasem zaczęliście na ten rozkaz szemrać i wynajdywać różne trudności. To bardzo źle. To równa się złamaniu przysięgi, którą złożyliście cesarzowi. Kiedy cesarz rozkazuje, macie słuchać, a nie rozprawiać. Przybyłem tu, by przywołać was do opamiętania...

Był to bardziej ton cesarza niż jego wysłannika i nic dziwnego, że rozdrażnił żołnierzy.

- Złaż z trybuny, grecki lokaju! - zaczęli wołać. - Nie ciebie będziemy słuchać!

Narcyz jednak, który miał wysokie wyobrażenie o własnym talencie oratorskim, dał się ponieść potokom wymowy i znów zaczął robić im wyrzuty.

- Tak - potwierdził. - Jestem tylko Grekiem i tylko wyzwolencem, ale zdaje się, że lepiej spełniam swoje obowiązki niż wy, obywatele rzymscy.

Nagle ktoś zawołał: „*Io Saturnalia!*”, i cały gniew tłumu rozpląnął się w hucznym śmiechu.

„*Io Saturnalia*” to okrzyk, który rozlega się podczas wesołego święta ku czci Saturna. Podczas tego święta wszystko dzieje się na odwrót; każdy ma prawo mówić i robić, co mu się podoba. Niewolnicy przywdziewają szaty

panów i odgrywają ich rolę. Panowie spełniają rozkazy niewolników. Dół idzie w górę, góra na dół.

Teraz wszyscy podjęli okrzyk: „*Io Saturnalia! Io Saturnalia!*” - brzmiało wokoło. - Wyzwoleniec jest dziś cesarzem!”

Żołnierze złamali szeregi i zaczęli obrzucać się docinkami i żartami. Do ogólnej wrzawy przyłączyli się najpierw kapitanowie, potem jeden i drugi ze sztabowych oficerów, wreszcie sam Aulus Plauejusz wziął chytrze udział w zabawie. Przebrany za markietankę, z tasakiem w ręce, uwijał się po majdanie. Czterech czy pięciu sierżantów wdrapawszy się na trybunę zaczęło udawać, że zabiegają o względy Narcyza. Narcyz, oszołomiony tym wszystkim, wybuchnął płaczem. Aulus wywijając tasakiem ruszył mu na pomoc.

- Niegodziwcy - krzyczał falsetem - zostawcie w spokoju mego biednego mężulka. To porządny, uczciwy człowiek. - Spędziwszy żartownisiów z trybuny objął Narcyza i szepnął mu do ucha: - Zostaw resztę mnie. Żołnierze to gromada dzieciaków. Zabawią się dzisiaj, a jutro będzie można z nimi robić, co się żywnie spodoba. - Ciągnąc Narcyza za rękę, mówił głośno: - Mój biedny mężulek czuje się dziś niedobrze. Nie jest, widzicie, przyzwyczajony do obozowego wina i waszych grubych obyczajów. Ale jak noc ze mną prześpi, jutro będzie czuł się doskonale. Pójdziemy do łóżeczka, nieprawdaż, dziubusiu? - Wziął Narcyza za ucho. - Słuchaj, mężusiu, Moguncja to brzydka miejscowość. Myszy tu gryzą żelazo, koguty pieją pobudkę na srebrnych trąbkach, a osy noszą ze sobą włócznie, owinięte wokoło pasa.

Narcyz udał przerażonego, a zresztą rzeczywiście był przerażony. Nie zwracano już jednak więcej na niego uwagi; znalazły się inne przedmioty zabawy. Kiedy wrzawa zaczęła słabnąć, Aulus przywdział z powrotem generalski płaszcz i kazał trębaczowi otrąbić pobudkę. W parę minut później porządek został przywrócony. Aulus uciszył ręką szepty.

- Żołnierze! - rozpoczął. - Zrobiliśmy sobie saturnalia, zabawiliśmy się, wreszcie trąbka położyła kres rozrywce. Trzeba powrócić do pracy i karności.

Jutro odbędę auspicje, a jeśli wypadną pomyślnie, musicie być gotowi do zwinięcia obozu. Czy chcemy, czy nie chcemy, musimy wyruszyć do Boulogne. To nasz obowiązek. Z Boulogne, czy chcemy, czy nie chcemy, musimy odpłynąć do Brytanii. To nasz obowiązek. A kiedy się tam dostaniemy, czy chcemy, czy nie chcemy, stoczmy wielką bitwę. To nasz obowiązek. A Brytowie, czy będą, czy nie będą chcieli, dostaną największe w swoim życiu łanie. To ich psie szczęście. Niech żyje cesarz!

Przemówienie uratowało sytuację. Żołnierze przestali się buntować i Narcyz bez większego uszczerbku godności mógł opuścić obóz.

W dziesięć dni później, pierwszego sierpnia, a więc w moje urodziny, wyprawa odbiła od brzegu. Aulus zgodził się ze mną, że najlepiej będzie wysłać wojska w trzech partiach, w odstępach dwu do trzech godzin. Brytowie bowiem skoncentrują wszystkie siły na miejscu lądowania pierwszej partii, a wtedy dwie następne mogą pozełgować w kierunku nie bronionej części wybrzeża, gdzie nikt nie będzie przeszkadzał w lądowaniu. Okazało się jednak, że nawet pierwsza partia nie napotkała żadnego oporu, do Brytów bowiem doszły wiadomości o buncie w armii nadreńskiej, a ponadto przypuszczali, że jest zbyt późna pora, aby podejmować wyprawę jeszcze w tym roku. Jedynym godnym zanotowania wypadkiem w czasie przeprawy był wróżący pomyślność znak z nieba. Gdy bowiem zerwał się nagły wiatr i zepchnął pierwszą partię statków na drugą, nieboskłon przeszła błyskawica od wschodu do zachodu, a więc właśnie w kierunku, w którym płynęliśmy. Zjawisko to dodało ducha przynajmniej tym, którym choroba morska nie odebrała przytomności, i lądowanie odbyło się w bojowym nastroju. Zadanie Aulusa polegało na zajęciu całej południowej części wyspy i rozciągnięciu granicy strategicznej od rzeki Severn na zachodzie po zatokę Wash na wschodzie. W ten sposób całe dawniejsze terytorium Cymbelina stawało się nową prowincją rzymską. Oczywiście te plemiona, które by dobrowolnie poddały się Rzymowi, miały otrzymać zwykłe przywileje sprzymierzonych hołdowników. Ponieważ wojna miała charakter podboju, a nie

wyprawy karnej, należało wobec podbitych okazać jak najdalej posuniętą wspaniałomyślność - w tych jednak granicach, żeby jej opacznie nie tłumaczono sobie jako słabości. W każdym razie nie należało bez potrzeby niszczyć dobytku, gwałcić kobiet, zabijać dzieci lub starców.

- Cesarz - oświadczył Aulus żołnierzom - życzy sobie jeńców, nie trupów. A skoro macie pozostać w tym kraju jako stały garnizon, radzi wam jak najmniejsze czynić spustoszenie. Mądre ptaki nie kalają swoich własnych gniazd; nawet jeśli są to gniazda zdobyte na innych ptakach.

Głównym celem akcji bojowej miało stać się Colchester, stolica Katawellaunów. Z chwilą zdobycia tego miasta Icenowie ze wschodniego wybrzeża sami niewątpliwie zaofiarowaliby Aulusowi przymierze. W ten sposób zyskałby on solidną bazę operacyjną, z której mógłby podjąć podbój środkowej i południowo-zachodniej części wyspy. Zapowiedziałem Aulusowi, że straty do chwili zgniecenia głównego oporu nieprzyjaciół nie powinny przekroczyć jakichś dwu z górą tysięcy. Gdyby zaś przed nadejściem zimy powstały wątpliwości co do wyniku kampanii, niech mnie bezzwłocznie zawiadomi, a wyruszę na pomoc: na czele rezerw. Wiadomość miał przesłać przez Francję i Italię za pomocą ogniowych sygnałów. Jeśliby tylko pozostawieni na straży stosów ludzie trzymali oczy szeroko otwarte, powinienem był otrzymać depezę w kilka godzin po daniu sygnału z Boulogne. Rezerwy, które w razie potrzeby miałem przyprowadzić, składały się z ośmiu batalionów gwardii, całej gwardii konnej, czterech kompanii nubijskich oszczepników i trzech kampanii balearskich procarzy. Cała ta armia stała w pogotowiu na kwaterach w Lyonie, w każdej chwili gotowa do wymarszu.

Miałem zamiar i ja pozostać w Lyonie, lecz trzeba było wrócić do Rzymu. Witeliusz, który mnie zastępował, pisał, że w rozprawach sądowych napotyka niewiarygodne trudności; jest już o dwa miesiące opóźniony. Nadto ma pewne podstawy do przypuszczeń, że mój minister sprawiedliwości Myron nie jest tak uczciwy, jak obaj sądziliśmy. Drugi niepożądany list otrzymałem w tym samym

czasie od Marsusa i doszedłem do przekonania, że nie powinienem ani chwili dłużej bawić poza Rzymem. Marsus pisał:

„Wibiusz Marsus, namiestnik Syrii, ma zaszczyt pozdrowić cesarza w dniu Jego urodzin i donieść, że w prowincji panuje dobrobyt, spokój, porządek i prawomyślność. Równocześnie jednak wyznaje, że zaniepokojony jest pewnym wypadkiem, który niedawno zdarzył się w Tyberiadzie nad Jeziorem Galilejskim, i prosi cesarza, by zatwierdził przedsięwzięcie środków ostrożności.

Do siedziby zarządu w Antiochii doszła nieoficjalna wiadomość, że król Herod Agryppa zaprosił na potajemne zebranie następujących władców sąsiednich krain: Antiocha, króla Komageny; Sampsigerama, króla Osroeny; Kotysa, króla Armenii Małej; Polemona, króla Pontu i Cylicji; Schema, króla Iturei; Heroda Polliona, króla Chalcydy. Kiedy wiadomość o tym zebraniu przedostała się na zewnątrz, wyjaśniono, że król Herod wydał przyjęcie gwoli uczczenia dwudziestolecia małżeństwa z królową Cypros. Na tę ucztę mnie jednak nie przysłano żadnego zaproszenia, choć tego wymagała prosta przyzwoitość w stosunku do Twego przedstawiciela. Jedyna wiadomość, którą otrzymałem o tym niezwykłym zjeździe władców, pochodzi, powtarzam, z nieoficjalnego, żeby nie powiedzieć - podziemnego źródła. Sohem iturejski nie mogąc przybyć z powodu choroby przysłał swego szambelana. Inni królowie pośpieszyli osobiście na wezwanie Heroda. Ci, którym droga normalnie wypadłaby przez Antiochię (a więc wszyscy z wyjątkiem króla Heroda Polliona i króla Sohema) i którzy udając się do Galilei byliby niewątpliwie po drodze złożyli mnie jako Twemu przedstawicielowi wizytę, woleli się udać okólną drogą. Odbyli tę podróż incognito i przeważnie nocą. Tylko dzięki czujności kilku moich agentów, przebywających na Pustyni Syryjskiej na wschód od Chalcydy, dowiedziałem się, że królowie znajdują się już w drodze do Tyberiady.

Bezzwłocznie, z największym pośpiechem, w towarzystwie dwóch swoich córek i wyższych oficerów sztabu udałem się do Tyberiady, gdzie miałem nadzieję zaskoczyć zebranych. Król Herod Agryppa otrzymał jednak w jakiś sposób wiadomość o moim przyjeździe. W dworskim powozie wyjechał z Tyberiady naprzeciw nas. Spotkaliśmy się w odległości siedmiu staj od miasta. Królowi Herodowi towarzyszyło pięciu z jego gości, z których król Pontu dopiero co przybył. Król Herod wcale nie wydawał się zmieszany; wyskoczywszy żwawo z pojazdu podbiegł i powitał mnie z wielką serdecznością. Jest zachwycony, zapewnia, że pomimo wszystko, choć dwa jego listy z zaproszeniami pozostawiłem bez odpowiedzi, zdecydowałem się wreszcie przybyć. Niezwykły to wypadek, zauważył, że siedmiu władców Wschodu spotyka się przy siódmym stajowym kamieniu. Musi ten kamień zastąpić pamiątkowym słupem z marmuru i wyryć na nim złotymi literami nasze nazwiska i tytuły. Musiałem uprzejmością odpowiedzieć na grzeczności, przyjmując za dobrą monetę jego historię o listach i uroczyscie - zapewnić, że z całą bezwzględnością ukarzę sprawcę przejęcia listów, których nie otrzymałem: niech tylko wykryję, kto to uczynił. Tymczasem pozostali królowie zsiadli z koni i rozpoczęła się wymiana uprzejmości. Król Komageny, którego poznałem w Rzymie, wtrącił, że może zaproszenie króla Heroda zatrzymał przez zbytek gorliwości ktoś z mojej służby, bojąc się, aby list nie uraził mych uczuć. Kiedy spytałem, co ma na myśli, odparł, że zaprosiny na jubileusz weselny mogły obudzić w mym sercu smutne wspomnienia, gdyż pewnie jeszcze nie przebolelałem niedawnej straty własnej żony. Kiedy odpowiedziałem, że żona moja zmarła przed czterema laty, westchnął: «Już cztery lata minęło? A tak mi się wydaje, jakbym ją jeszcze wczoraj ostatni raz widział. Taka miła kobieta.» Spytałem wtedy prosto z mostu króla Pontu, dlaczego nie zatrzymał się w Antiochii, żeby mnie odwiedzić. Nie zaczerwieniwszy się nawet odparł, że liczył na moją obecność na ucztach, a drogę położoną bardziej na wschód wybrał za radą pewnego jasnowidza.

Nie sposób było któregoś z tej szóstki wytrącić z równowagi. Pojechalśmy więc wszyscy razem do Tyberiady, witani radośnie po drodze przez tłum. W kilka godzin później odbyła się uczta weselna: takiego przepychu nie widziałem nigdy w życiu. Podczas biesiady poleciłem jednemu z moich oficerów, żeby poradził każdemu z królów w cztery oczy, aby jeśli mu miła przyjaźń z Rzymem, powrócił do siebie, skoro tylko względy grzeczności wobec gospodarza pozwolą na odjazd, i żeby zrezygnował z tajnych narad ze swymi królewskimi sąsiadami. Uczta - żeby się dłużej nie rozpisywać - skończyła się późno, goście podziękowawszy udali się do swoich apartamentów i nazajutrz odjechali; żadna konferencja się nie odbyła. Ja wyjechałem ostatni; z kołem rozstaliśmy się wymieniwszy zwykłe uprzejmości. W Antiochii tymczasem czekał na mnie anonimowy list, którego treść brzmiała: «Obraziłeś moich gości i musisz ponieść konsekwencje. Jestem od dziś twoim wrogiem.» Przypuszczam, że list ten pochodzi od króla Heroda Agryppy.

Ukłony dla najcnotliwszej i najpiękniejszej Twojej małżonki, cesarzowej Walerii Messaliny.”

Im bardziej wczytywałem się w to sprawozdanie, tym mniej mi się ta historia podobała. Wyglądało to tak, jakby Herod, korzystając z tego, że byłem zaprzątnięty sprawami brytyjskimi i że znaczna część naszych wojsk znajdowała się w tak odległym kraju (a mogła przecież zająć potrzeba wysłania jeszcze nowych posiłków), planował ogólne powstanie na Wschodzie. Fortyfikacja Jerozolimy byłaby w takim razie przygrywką do tych planów. Choć byłem poważnie zaniepokojony, nie pozostawało mi nic innego, jak modlić się o szybkie zwycięstwo w Brytanii i dać do zrozumienia Herodowi, że dzięki Marsusowi utrzymuję kontakt ze Wschodem. Napisałem od razu, w przesadnie różowym świetle przedstawiając wypadki wyprawy brytyjskiej. W rzeczywistości w chwili pisania listu Aulus nie zdołał jeszcze nawiązać kontaktu z poważniejszymi siłami nieprzyjaciół, którzy przyjęli taktykę stosowaną już

przez ich pradziadów przeciw maszerującemu na Kent Juliuszowi. Dodałem też, całkiem niezgodnie z prawdą, że ponieważ wyprawa ma wyłącznie charakter ekspedycji karnej, więc już za parę miesięcy spodziewam się powrotu pułków.

Było to pierwsze kłamstwo, które popełniłem wobec Heroda. A ponieważ kłamstwo popełnione na papierze jest mniej kłopotliwe od ustnego, więc dołożyłem starań, żeby w nie uwierzył.

„...Czy możesz mi, Zbóju - pisałem - podać jakieś bliższe szczegóły dotyczące owego władcy Wschodu, który wedle głoszonych o nim proroctw ma stać się po śmierci bogiem, jakiego nie zna świat? Ciągłe spotykam się z tą legendą. Niedawno stawał przed sądem pewien Żyd oskarżony o zakłócenie spokoju publicznego w stolicy. Miał grozić pięścią kapłanowi Marsa i zawołać: «Kiedy objawi się władca, przyjdzie kres na takich jak ty. Świątynie wasze zostaną zrównane z ziemią, a na ich gruzach spłoniecie wy, psy! Czas ten już niedaleki. » W czasie śledztwa twierdził stanowczo, że niepodobnego nie powiedział, a ponieważ zeznania świadków różniły się między sobą, więc skazałem go tylko na wygnanie. Jeżeli można nazwać wygnaniem odesłanie Żyda do Judei.

Kaligula sądził, że to on jest owym władcą Wschodu, i jak mi mówiono, proroctwo pod pewnymi względami rzeczywiście można było do niego zastosować. Moja zaś babka Liwia uważała, że dotyczy ono jej osoby. Wprowadziły ją w błąd słowa astrologa Trazyła, z których wynikało, że data jej śmierci zgadza się z datą śmierci owego przepowiadanego władcy. Nie zwróciła uwagi, że miał to być bóg, nie bogini, i że po raz pierwszy objawi się w Jerozolimie - gdzie Kaligula przebywał jako mały chłopiec - a dopiero później zapanuje w Rzymie. Czy o tej tajemniczej osobistości mówią coś święte księgi żydowskie? Jeżeli tak, to poproszę Cię o szczegóły. O ile wiem, Twój kuzyn Filon jest specjalistą w tych sprawach. Niedawno rozmawiałem na ten temat z Messaliną; pytała, czy ktoś wziął w spadku tę dziwną manię po mojej obecnie

deifikowanej babce Liwii Auguście i moim obłąkanym bratanku Kaliguli. «Przysięgam, że ja nie - odparłem - na przekór Herodowi Agryppie, który chce mnie obarczyć boskością.» Byłem już gotów przypuścić, że może to o Tobie mowa w prorocत्वach i może to Ty jesteś owym bóstwem, po głębszym jednak namyśle odrzuciłem tę hipotezę. Wprawdzie jesteś związany z Jerozolimą, lecz przecież przepowiednia wyraźnie podkreśla, że ów władca odznacza się szczególną świętobliwością. Zresztą Trazył z całą pewnością oznaczył datę jego śmierci na rok piętnasty panowania Tyberiusza, w którym to roku miał umrzeć (i rzeczywiście umarła Liwia). Trazył, o ile wiem, nigdy nie mylił się w datach. Ominęła Cię piękna sposobność. Choć z drugiej strony, jeżeli Trazył mówił prawdę, to dlaczego do tej pory nie słyszeliśmy o śmierci owego króla? Kaligula znał pewną wersję przepowiedni, wedle której król umiera opuszczony przez swych przyjaciół, a oni później piją jego krew. Ciekawe, że jeśli chodzi o ten właśnie szczegół, sprawdził się on na Kaliguli; jak pamiętasz może, jeden z morderców Kaliguli, Bubon, umoczywszy palce w ranie zabitego cesarza oblizał je potem. Kaligula jednak zmarł o dziewięć lat za późno, żeby przepowiednia mogła się do niego odnosić. Byłbym Ci bardzo wdzięczny, gdybyś mi doniósł wszystko, co wiesz na ten temat. Może istnieją dwa lub trzy prorocтва, które się z sobą mieszały? A może Kaligula miał złe informacje co do szczegółów? O prorocत्वie tym mówiła mu trucicielka Martyna, która była zamieszana w morderstwo popełnione w Antiochii na moim biednym bracie Germaniku. Słyszałem jednak, że w Egipcie już dawno znano analogiczną przepowiednię, którą miała obwieścić wyrocznia Jowisza Ammona.”

Pisałem umyślnie w ten sposób, wiedziałem bowiem, że Herod sam się uważa za owego przepowiadanego władcę. Opowiadali mi o tym Herodiada i Antypas, których odwiedziłem podczas pobytu we Francji, dokąd zostali wygnani. Nie mogłem im pozwolić na powrót do Judei, choć wiedziałem już, że nie spiskowali przeciw Kaliguli. Zgodziłem się jednak, by opuścili Lyon i zamieszkali w Hiszpanii, gdzie ofiarowałem im duży majątek w Kadyksie i

gdzie klimat bardziej przypominał im ojczysty. Byli na tyle niedyskretni, że pokazali mi list Salome, córki Herodiady, obecnie żony swego brata ciotecznego, syna Heroda Polliona. List brzmiał, jak następuje:

„Herod Agryppa z dnia na dzień staje się coraz pobożniejszy. Wobec starych przyjaciół twierdzi, że odgrywa rolę prawowiernego Żyda ze względów politycznych, a w głębi duszy czci w dalszym ciągu rzymskich bogów. Ale wiem, że mówi to tylko dla zachowania pozorów. Przepisów religijnych przestrzega niezmiernie skrupulatnie. Syn Alabarcha, Tyberiusz Aleksander, który ku wielkiemu zmartwieniu i wstydomi swojej znakomitej rodziny wyrzekł się wiary żydowskiej, opowiada, że podczas pobytu w Jerozolimie wziął pewnego dnia Heroda na bok i spytał: „Słyszałem, że posiadasz arabskiego kucharza, który naprawdę potrafi przyrządzać pieczone prosię z nadzieniem... Czy nie byłbyś tak dobry i nie zaprosił mnie któregoś wieczoru do siebie? W Jerozolimie nie sposób dostać coś możliwego do zjedzenia.» Herod spurpurowiał i wyjąkał, że kucharz zachorował. W rzeczywistości już dawno zwolnił go ze służby. Tyberiusz Aleksander zna jeszcze jedną dziwną historię o Herodzie. Słyszałaś pewnie o tym niby z farsy wyjętym epizodzie jego życia, kiedy zjawił się w Aleksandrii eskortowany przez dwóch żołnierzy, których porwał, aby nie mogli go zaaresztować, i naciągnął Alabarcha na pożyczkę. Okazuje się, że Alabarch udał się potem do swego uczonego brata Filona, który usiłuje pogodzić grecką filozofię z świętym pismem Żydów, i rzekł: „Prawdopodobnie głupio postąpiłem, bracie Filonie, pożyczając bez dostatecznego zabezpieczenia znaczniejszą sumę Herodowi Agryppie. Obiecał mi jednak za to bronić naszych interesów w Rzymie i przysiągł na Wszechmocnego Boga, że o ile tylko będzie w jego mocy, podejmuje się bronić wybranego ludu i przestrzegać praw Jedynego.» - «A skąd przybył tak niespodzianie Herod Agryppa? - spytał Filon. - Myślałem, że bawi w Antochii.» - «Przybył z Edom - wyjaśnił Alabarch - a występuje odziany w purpurowy

płaszcz, w purpurę z Bozrach! I stąpa niby król. Nie mogę się oprzeć wrażemu, że pomimo swych dawniejszych szaleństw i grzechów człowiek ten jest przeznaczony do odegrania wielkiej roli w historii naszego narodu. Posiada niebywale zdolności. A teraz, kiedy sam się oddaje w zastaw...» Filon nagle spoważniał i zacytował proroka Izajasza: «Któż jest ten mąż, który przybywa z Edom, w szatach barwionych purpurą z Bozrach? Ten, który jest wspaniały w swym okazaniu się i wędrujący w wielkości swej siły?... Sam wytłaczałem grona w winnicy mojej i nikt z ludu nie był ze mną. Ale dzień odwetu jest w sercu moim i rok mego odkupienia nadchodzi.»

Filon był już dawno przekonany, że Mesjasz zjawi się lada dzień. Na ten temat napisał wiele ksiąg. Argumenty swe opierał na tekście Księgi Liczb.

Biedakowi całkiem pomieszało się już w głowie. A teraz, kiedy Herod stał się tak potężny i dotrzymał swojej obietnicy, kiedy żyje wedle prawa żydowskiego i Żydom aleksandryjskim wyświadcza tyle przysług, Filon na serio uwierzył, że Mesjaszem jest nie kto inny jak Herod. Przekonało go o tym ostatecznie odkrycie, że ród Heroda, chociaż wywodzi się z Edom, bierze początek od syna Zadekiasza, ostatniego króla, który panował w Judei przed okresem Wielkiej Niewoli. (Zadekiaszowi udało się przemycić przez mury miasta swego nowo narodzonego syna i bezpiecznie dostarczyć go przyjaciołom w Edom, zanim Nabuchodonozor zdobył stolicę.) Filon, jak się zdaje, rzeczywiście przekonał Heroda, że jest Mesjaszem, mającym nie tylko wyzwolić Żydów spod panowania cudzoziemców, lecz zjednoczyć też wszystkie dzieci Sema i stworzyć wielkie królestwo ducha pod berłem Pana Zastępów. W ten tylko sposób można sobie wytłumaczyć ostatnie posunięcia polityczne Heroda, które, prawdę mówiąc, budzą we mnie lęk przed przyszłością. Doprawdy, atmosfera staje się tu za bardzo religijna. To kiepski znak. Przypominają mi się słowa, które powiedziałaś, kiedyśmy kazały ściąć tego mistyka i szaleńca, Jana Chrzciciela: «Religijny fanatyzm jest najniebezpieczniejszą formą szaleństwa.»

Zdaje się, droga Mamo, że powiedziałam już zbyt wiele. Lecz ufam, że nie puścisz tej opowieści dalej. Spal list po przeczytaniu.”

Od Marsusa nie było żadnych wiadomości. Nie nadeszła też przed moim wyruszeniem do Brytanii odpowiedź od Heroda. W dwa tygodnie bowiem po wylądowaniu Aulus zwrócił się do mnie o pomoc. Chociaż nie wspominałem w liście ani o Marsusie, ani o uroczystościach jubileuszowych w Tyberiadzie, liczyłem, że Herod przecież wyczyta pomiędzy wierszami, iż go podejrzewam, i dobrze się namyśli, zanim uczyni dalsze kroki. Wzmocniłem też garnizon w Aleksandrii i poleciłem Marsusowi, aby wśród Greków syryjskich ogłosił pobór i intensywnie ćwiczył rekrutów. Miał to zrobić niby z własnej inicjatywy, nie wspominając słowem, że otrzymał ode mnie rozkazy, a dla zachowania pozorów rozpuścić wiadomość, że obawia się najazdu Fartów.

Rozdział XVIII

Aulus, jak już wspomniałem, wylądowawszy w Brytanii nie napotkał oporu. Pod Richborough zbudował warowny obóz, pozostawił w nim załogę weteranów wybranych z poszczególnych pułków; wciągnął statki na brzeg, gdzie im burza nie mogła wyrządzić szkody, i zaczął ostrożnie posuwać się przez terytorium Kentu. Wybrał tę samą drogę, którą podczas swej drugiej wyprawy maszerował Juliusz - drogę, która zresztą była naturalnym szlakiem wszystkich najeźdźców. Początkowo napotkał mniejszy opór niż Juliusz; nie potrzebował bowiem forsować przejścia przez Stour, bo król wschodniego Kentu, wasal Karaktaka i Togodumna, postanowił nie obsadzać przygotowanych tam pozycji. Suzerenowie jego cofnęli się na czele głównych sił pod Colchester, gdzie otrzymali wiadomości, że prawdopodobnie armia rzymska nie będzie mogła tego roku wyruszyć, a jego własne siły nie wystarczyłyby do skutecznej obrony brodu. Wyszedł tedy z oznakami pokoju naprzeciw Aulusa i wymieniwszy podarki zaprzysiągł sojusz i przyjaźń z Rzymem. W kilka dni później w tych samych zamiarach przybył do obozu król wschodniego Essexu, terytorium leżące na zachód od Kentu. Pomiędzy rzeką Stour a Medway, która tworzyła następną naturalną zaporę, Aulus napotkał niezbyt poważny opór. W poprzek szlaku zbudowano barykady z pni i krzaków tarniny, których broniły oddziały rydwanów. Dowódca przedniej straży otrzymał od Aulusa instrukcję, aby nie forsował tych barykad, lecz otoczył je konnicą i wziął obrońców do niewoli. Opóźniało to pochód, lecz oszczędzało ludzi. Większość mężczyzn z Kentu ukryła się prawdopodobnie w Weald - gęsto zalesionym terytorium, skąd było nadzwyczaj trudno ich usunąć. W miarę jednak jak kolumna posuwała się naprzód, na flankach zaczęły się pojawiać coraz liczniejsze oddziały rydwanów; atakowały naszych furazerów i zmuszały ich do cofania się ku głównej sile. Aulus zrozumiał, że od wyniku walki z

Katawellaunami będzie zależeć nastrój, w jakim Kentyjczycy opuszczą wreszcie swe leśne kryjówki: czy z pokorą poddadzą się, czy będą usiłowali przeciąć odwrót. Tak czy inaczej, jego główną bazę dobrze strzeżono.

Kiedy dotarł do zalewiska Medway, które Juliusz podczas swej drugiej wyprawy przebrnął bez strat, stwierdził, że znaczne siły nieprzyjacielskie znajdują się na pozycjach obwarowanych przed kilku miesiącami. Obydwaj władcy, Karaktak i Togodumn, wraz z lennymi książętami znajdowali się tam na czele sześćdziesięciotysięcznej armii. Aulus miał z sobą zaledwie trzydzieści pięć tysięcy. Wąski bród przecięli nieprzyjaciele głębokimi i szerokimi równoległe do brzegów prowadzonymi kanałami, uniemożliwiając w ten sposób przejście przez rzekę. Po drugiej stronie biwakowali Brytowie nie zachowując żadnych środków ostrożności. Najbliższy bród w górze rzeki odległy był o dzień marszu. Zresztą, jak zeznali jeńcy, ufortyfikowano go w podobny sposób. W dole brodu już nie było i niedaleko rzeka, rozlewając się w niedostępne mokradła, wpadała do Tamizy. Aulus zapędził swych ludzi do roboty. Aby umożliwić przejście przez bród, należało zasypać kanały żwirem przyniesionym w koszach. Tego rodzaju robota musiała jednak potrwać co najmniej dwa do trzech dni. Brzeg nieprzyjacielski był umocniony podwójną palisadą, a obecnie Brytowie budowali jeszcze trzecią. Równocześnie niepokoili naszych ludzi obrzucając ich gradem strzał i wymysłów. Dwa razy dziennie wielka fala morska wpadała do ujścia rzeki - normalne zjawisko w tej części świata, choć nie znane w krajach śródziemnomorskich, chyba podczas burz - i wyrządzała znaczne szkody w pracy. Lecz Aulus liczył właśnie na pomoc przyływu. Trzeciego dnia przed świtem, korzystając z wysokiego stanu wody, wysłał batawskie oddziały posiłkowe wplaw przez spokojną rzekę. Niemcy są dobrymi pływakami, a Batawowie jeszcze lepszymi. W liczbie trzech tysięcy, przywiązawszy sobie broń na plecach, przepłynęli rzekę i zaskoczyli Brytów w chwili, kiedy się najmniej tego spodziewali. Zamiast jednak uderzyć na biwakujących popędzili do miejsca, gdzie znajdowały się konie, i zanim

właściciele zorientowali się, dwa czy trzy tysiące kuców uczynili niezdolnymi do walki. Następnie usadowili się po nieprzyjacielskiej stronie brodu za środkową palisadą i utrzymali ją pomimo gwałtownych ataków. Tymczasem dwa bataliony dziewiątego pułku przepłynęły rzekę na wypełnionych powietrzem bukłakach, zaimprovizowanych tratwach i zdobytych na Brytach czółnach i przyszły Batawom z pomocą. Walka była zażarta.

Wkrótce nadbiegły też brytyjskie oddziały, które w górze rzeki strzegły brodu, i przyłączyły się do walczących. Aulus widząc, co się dzieje, wysłał drugi pułk pod dowództwem niejakiego Wespazjana, polecając mu pod osłoną lasu udać się w górę rzeki i przebyć ją w jakimś obecnie już nie strzeżonym miejscu, Wespazjan uszedłszy trzy czy cztery mile znalazł miejsce, w którym koryto się zwężało. Najpierw kazał jednemu żołnierzowi przepłynąć na drugi brzeg i zabrać z sobą zwój liny. Linę tę przeciągnięto w poprzek rzeki, umocowano po obu stronach do drzew i naprężono. Żołnierze drugiego pułku, którzy znali ten sposób przebywania rzek, w ciągu godziny czy dwóch byli już na drugiej stronie. Trzeba było użyć tym razem większej ilości lin, przestrzeń bowiem była dość znaczna, a liny napiąć tak, żeby mogły utrzymać równocześnie ciężar dwudziestu do trzydziestu ciężko uzbrojonych ludzi i nie groziły pęknięciem. Żołnierze przedostali się na drugą stronę, pobiegli pędem w dół rzeki nie napotykając na drodze nieprzyjaciela. Po godzinie biegu wyłonili się nagle po prawej nie osłoniętej flance Brytów. Szczepiwszy tarcze runęli z głośnym: hura! wprost na barykadę, kładąc od jednego uderzenia setki Brytów. Batawowie i dziewiąty pułk połączyli się z drugim pułkiem i wspólnymi siłami parli przed sobą kilkakrotnie liczniejszego wroga, który choć zdezorientowany i w bezładzie, walczył zaciekle, ustępując z wolna krok za krokiem. Wreszcie rzucił się do panicznej ucieczki. Tak oczyszczono brzeg z Brytów. Resztę dnia poświęcił Aulus na pośpieszne wznoszenie w poprzek rzeki tamy z chrustu. Tamę ową w czasie odpływu przytwierdzono do dna, a kanały zasypano. Pracę ukończono jednak późną nocą i armia, której przejście przerwał przypływ,

dopiero następnego rana stanęła w całości na przeciwległym brzegu.

Brytownie zebrali się znowu na wzgórzu za rzeką i po południu rozpoczęła się regularna bitwa. Do ataku ruszyła francuska piechota, która nie brała udziału w walkach poprzedniego dnia.

Nieprzyjaciel jednak stał murem, a w pewnej chwili ruszyła z lewego skrzydła kolumna rydwanów, pomknęła tuż za prowadzącym do ataku pułkiem francuskim i wyrzuciła chmurę włóczni, które znacznie przerzedziły jego szeregi. Kiedy kolumna ta, prowadzona przez samego Karaktaka, dobiegła już do prawego skrzydła, zawróciła z brawurą i pomknęła ku drugiemu pułkowi Francuzów, którzy ruszyli na pomoc pierwszemu. Powtórzywszy manewr odjechała, nie tracąc ani jednego człowieka. Francuzi nie mogli zdobyć wzgórza, a Aulus widząc, że rydwany i kawaleria brytyjska skoncentrowały się teraz na prawym skrzydle, aby z całą siłą uderzyć na rozbite szyki francuskie, pchnął jedną trzecią własnej jazdy na zagrożoną pozycję. Rozkaz brzmiał: utrzymać się za wszelką cenę! Jeźdźcy ruszyli galopem, a za nimi cała regularna piechota z wyjątkiem drugiego pułku, który pozostał na miejscu, aby na wypadek gdyby Brytownie spróbowali kontrataku, ruszyć w sukurs Francuzom. Następnie, przesunąwszy Getę z piechotą batawską i resztą kawalerii na lewe skrzydło, Aulus odparł atak na prawym. Rydwany brytyjskie nie mogły przeszkodzić temu manewrowi, który udał się mimo ciężkich strat, jakie poniosła nasza kawaleria, zanim zluzował ją czternasty pułk. Karaktak zawrócił wtedy kolumnę poza wzgórze, aby uderzyć na nasze lewe skrzydło.

Bohaterem dnia był Geta. Na czele swoich siedmiuset jeźdźców wytrzymał brawurową szarżę blisko dwu tysięcy wozów. Pięciuset z owych Batawów, którzy podczas rannej wycieczki poprzedniego dnia okaleczyli kuce, walczyło teraz między szeregami konnicy, a noże ich nie próżnowały ani chwili. Tylko dzięki nim Gety nie rozgromiono. Stracił konia i byłby się dostał do niewoli, gdyby Karaktak nie był wreszcie się cofnął, zostawiając na polu setki rozbitych rydwanów. Tymczasem na prawym skrzydle nacisk naszej piechoty

zaczął się dawać Brytom we znaki. Francuzi również nie ograniczali się do utrzymania pozycji, gdy nagle rozległy się krzyki, że śmiertelnie ранego Togodumna uwięziono z pola. Na wieść o tym Brytowie poczeli tracić ducha. Linia ich zafalowała i pękła, strumień ludzki rozlał się w stronę naszego lewego skrzydła. Tam wpadli na Getę, który posuwał się przez niewielki lasek. Geta uderzył na wroga, a po bitwie w tej tylko stronie pobojuwiska naliczono z górą pięćset trupów brytyjskich. Ogólne straty nieprzyjaciela sięgały czterech tysięcy zabitych. Naszych zginęło dziewięćset, z czego siedmiuset Francuzów, drugie tyle było ciężko rannych. Między innymi zmarł z ran Beryk, który był przyczyną wojny. Walczył u boku Gety i uratował mu życie, kiedy ten stracił konia.

Następną poważną zaporę na drodze Aulusa stanowiła Tamiza, której Karaktak bronił w podobny sposób jak poprzednio Medway. Pobici Brytowie korzystając z odpływu przeszli ukrytą ścieżką przez moczary koło ujścia rzeki i cofnęli się na drugi jej brzeg. Nasza straż przednia usiłowała pójść ich śladem, lecz ludzie zaczęli grzęznąć w bagnie i trzeba było się cofnąć. Następną bitwa, stoczona w podobnych warunkach, była w znacznej części powtórzeniem poprzedniej. Tym razem przepłynął rzekę Krassus Frugi, ojciec mego zięcia, młodego Pompejusza. Sforsował on most londyński broniony przez kompanię młodych nobilów brytyjskich, którzy przysięgli walczyć do ostatniej kropli krwi. Batawowie podczas przyływu morza przepłynęli w dole rzekę. Opór brytyjski był tym razem słabszy, a straty równie ciężkie. Nasze - nieznaczne: wynosiły tylko trzystu ludzi; do niewoli wzięliśmy dwa tysiące, zdobyto Londyn, a w nim bogate łupy. Zwycięstwo jednak zaćmiła strata blisko tysiąca Francuzów i Batawów, którzy nieostrożnie zapędzili się za pobitym nieprzyjacielem na moczary i pochłonęło ich bagno.

Aulus znajdował się już na drugim brzegu Tamizy, ale opór nieprzyjaciela nagle spotęgował się z chwilą przybycia posiłków z południa, zachodu i środka wyspy. Ukazały się nowe zastępy rydwanów. Śmierć Togodumna przyniosła

Brytom raczej korzyść. Naczelne dowództwo Katawellaunów znalazło się w jednym ręku, a Karaktak, wódz zdolny i cieszący się względami druidów, mógł płomiennymi słowy zaapelować do swych sprzymierzeńców i wasalów, aby pomogli mu pomścić śmierć jego szlachetnego brata. Kiedy straty Rzymian przekroczyły oznaczone maksimum, a oporu nieprzyjaciela nie można było żadną miarą uważać za złamany, rozważny Aulus dał mi umówiony sygnał. Do Boulogne rozkaz zawiózł jeden ze statków, które obecnie kursowały między Londynem a Richborough, dostarczając wojsku wina, koców i sprzętu wojennego. W Boulogne zapłonął pierwszy stos i w krótkim czasie wieść przeleciała Alpy i dotarła do Rzymu.

Przybyła w dzień, w którym wykryłem nieodparte dowody nadużyć i fałszerstw Myrona. Kazałem go w obecności wszystkich moich ministrów oćwiczyć, a następnie ściąć. Przed wieczerzą, zmęczony po ciężkim i przykrym dniu, zasiadłem właśnie do przyjacielskiej partyjki kości z Witeliuszem, kiedy eunuch Posides, sekretarz spraw wojskowych, wbiegł podniecony do komnaty.

- Cezarze! - wołał. - Sygnał świetlny! Przyzywają cię z Brytanii.

- Z Brytanii! - zawołałem. Trzymałem właśnie w ręku kubek. Machinalnie jeszcze raz nim wstrząsnąłem i wyrzuciłem kości, a zerwawszy się z miejsca pobiegłem żwawo do okna wychodzącego na północ.

- Pokaż! Gdzie? - zawołałem.

Wieczór był pogodny i nawet moje słabe oczy dojrzały we wskazanym przez Posidesa kierunku czerwony punkt na szczycie Sorakte, o trzydzieści mil od stolicy. Powróciłem do stołu, gdzie czekał mnie z rozpromienioną twarzą Witeliusz.

- Co powiesz, Cezarze, na ten omen? - zapytał. - Przez ostatnie pół godziny wyrzucałeś same pieski, a teraz zawołałeś „Brytania” i wyrzuciłeś równocześnie „Wenerę”.

Nie było wątpliwości. Trzy kostki leżały na stole, tworząc całkiem regularny, równoboczny trójkąt, a na każdej widniała szóstka.

Prawdopodobieństwo wyrzucenia „Wenery” wynosi jeden na dwieście szesnaście. Można mi więc wybaczyć radosne uniesienie. Przy rozpoczęciu wyprawy nie ma nic lepszego nad dobry omen. Pamiętajcie, że Wenera była nie tylko patronką gry w kości, lecz matką Eneasza - a więc przez Oktawie, siostrę Augusta, moją antenatką - i opiekowała się domem julijskim, którego teraz byłem głową. Przywiązywałem również pewne znaczenie do trójkątnego układu kostek; Brytania przecież ma na mapach kształt trójkąta.

Obecnie przychodzi mi do głowy, że może to nie bogini, lecz Wileliusz ułożył tak pięknie kości, w chwili kiedy odwróciłem się do okna. Jestem podobno jednym z najbardziej łatwowiernych ludzi, jakich zna świat; przynajmniej panuje takie ogólne mniemanie. Jeżeli uczynił to Witeliusz, to postąpił bardzo mądrze, gdyż Wenera wysłała mnie na podbój w najlepszym, jaki sobie można wyobrazić, nastroju. Modliłem się do niej tego wieczora (jak również do Augusta i Marsa) i ślubowałem, że jeśli pomoże mi odnieść zwycięstwo, uczynię wszystko, czego ode mnie zażąda.

- Ręka rękę myje - przypomniałem bogini. - Spodziewam się, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy. - W rodzinie Klaudiuszów panuje zwyczaj poufałego odnoszenia się do Wenery. Przypuszczamy, że sprawiamy jej tym przyjemność. Wszak prababki, a zwłaszcza te, o których chodzą wieści, że młodość miały dość wesołą, same nieraz zachęcają swych faworytów prawnuków, aby traktowali je jak swoje rówieśnice.

Nazajutrz ze sztabem i pięciuset ochotnikami wypłynąłem z Ostii do Marsylii. Wiał od południa łagodny wiatr i wolałem popłynąć morzem, niż tłuc się w powozie. Mogłem wreszcie skorzystać z dobrodziejstwa tak upragnionego snu. Całe miasto zebrało się w porcie, aby nas pożegnać, prześcigano się wzajemnie w zapewnieniach lojalności i gorących życzeniach. Messalina zarzuciła mi ręce na szyję i płakała. Mały Germanik chciał jechać razem ze mną. Witeliusz obiecywał, że jeśli powrócę zwycięzcą, każe drzwi świątyni Augusta obić złotą blachą.

Flota, z którą ruszałem, składała się z pięciu szybkich wojennych dwumasztowców z ozaglowaniem rejowym i trzema rzędami wiosłarzy. Kadłuby statków były na wypadek burzy obwiązane silnymi linami. Podnieśliśmy kotwice w godzinę po wschodzie słońca. Ponieważ nie było czasu do stracenia, kazałem kapitanowi płynąć na pełnych żaglach. Przy rozwiniętych obu żaglach na każdym maszcie i przy spokojnym morzu robiliśmy dobrych dziesięć węzłów. Późnym popołudniem dostrzegliśmy wyspę niedaleko Elby, Planazję, na którą wygnano biednego Postuma; widać było z dala opuszczone obecnie budynki, gdzie ongiś kwaterowali strażnicy; dziś stały pustką. Przepłynęliśmy pierwszego dnia sto dwadzieścia mil, to znaczy jedną trzecią drogi. Wiatr dał w dalszym ciągu. Kołysanie statku jakoś nie zaszkodziło mojemu żołądkowi i udałem się do kajuty, aby się dobrze wyspać. Wieczorem minęliśmy Korsykę, lecz około północy wiatr ustał i trzeba było płynąć na samych tylko wiosłach. Spałem doskonale. Streszczając się powiem, że następnego dnia pogoda się popsuła, a ponieważ wiatr stopniowo zmieniał kierunek na zachodni, północno-zachodni, więc płynęliśmy powoli.

Brzegi Francji ujrzeliśmy dopiero trzeciego dnia o wschodzie. Morze było teraz wyjątkowo burzliwe i wiosła albo pogrążały się w wodzie aż po dulki, albo uderzały w próżnię. Z czterech towarzyszących nam statków tylko dwa były widoczne. Poszukaliśmy schronienia u wybrzeża i z wolna posuwaliśmy się wzdłuż lądu. Znajdowaliśmy się wśród wysp d’Hyeres, o pięćdziesiąt mil od Frejus, gdzie stacjonowała flota. W południe mieliśmy zawinąć do Marsylii. Kiedyśmy mijali Porquerolles, największą i najbardziej na zachód położoną wyspą, która w pewnym punkcie odległa jest tylko o milę morską od półwyspu Giens, jakby wybiegającego na jej spotkanie, wiatr z przeraźliwą siłą uderzył w nasz statek. A choć cała załoga wiosłowała jak szalona, nie mogliśmy utrzymać kierunku i z wolna zbliżaliśmy się do raf. Już sto metrów tylko dzieliło nas od zguby, gdy nagle wiatr ścichł i udało się nam wypłynąć na głębszą wodę. Jednak w kilka minut później znów znaleźliśmy się w opałach, a niebezpieczeństwo

było tym razem jeszcze większe. Ostatni przyładek, który staraliśmy się ominąć, kończył się wielką czarną skałą. Skała ta pod działaniem wiatru i fal przybrała kształt głowy szyderczo roześmianego satyra. Pieniąca się spodem woda robiła wrażenie wielkiej siwej brody. Wiatr wiejący bez przerwy pchał nas gwałtownie w paszczę potwora.

- Jeśli nas schwyci, zetrze na miazgę - mruknął chmurnie kapitan. - Niejeden dobry statek poszedł w drzazgi na tej czarnej skale.

Zacząłem kolejno zanosić modły do wszystkich bóstw Panteonu. Obecni przy tym marynarze przysięgali później, że nigdy w życiu nie słyszeli piękniejszych modlitw i dzięki nim otucha wstąpiła w ich serca. Szczególnie żarliwie modliłem się do Wenery błagając, aby nakłoniła stryja Neptuna do okazania nam większych względów, gdyż losy Rzymu zależą w dużej mierze od całości naszego statku: niechaj łaskawie przypomni Neptunowi, że nigdy nie uczestniczyłem w bezbożnej walce, którą toczył z nim mój poprzednik, ale, przeciwnie, traktowałem to bóstwo z najgłębszym szacunkiem. Wyczerpani wiosłarze postępując wytężali resztę sił, a bosman biegał po pokładzie z kawałkiem liny w ręce i klnąc a smagając wiosłujących, wlewał w załogę nowe siły. Jakoś - sam nie wiem jak - przemknęliśmy się szczęśliwie, a kiedy ogólny okrzyk radości zwiastował, że niebezpieczeństwo minęło, obiecałem wiosłarzom po dwadzieścia aureusów, gdy tylko wysiądziemy na ląd.

Z zadowoleniem stwierdziłem, że zachowałem zimną krew. Po raz pierwszy przeżywałem burzę na morzu, a jak słyszałem, nawet najodważniejsi ludzie załamują się, kiedy śmierć topielca zajrzy im w oczy. Szeptano sobie na ucho, że nawet boski. August tchórzył podczas burzy i tylko wzgląd na dostojność zajmowanego stanowiska powstrzymywał go od głośnego krzyku i wrywania sobie włosów z głowy. Nieraz sobie pewnie cytował owo zdanie o bezbożności człowieka, który pierwszy rozwinął żagle szydząc z niebezpieczeństw odmętów. Na morzu August czuł się bardzo kiepsko, chyba że było to podczas bitwy morskiej, a co się tyczy bezbożności, to dał wyraz swojej

głębokiej niechęci do Neptuna, kiedy, utraciwszy w czasie nagłej burzy flotę, zakazał obnoszenia posągu boga w procesji naokoło cyrku, jak to było przedtem w zwyczaju. Po tym wypadku rzadko udawało się Augustowi odbyć podróż morską bez burzy, a trzy czy cztery razy wiozący go okręt uległ rozbiciu.

Statek nasz pierwszy dobił do Marsylii i szczęśliwym trafom nie straciliśmy żadnego z czterech pozostałych, choć dwa z nich musiały zawrócić i zawinąć do portu w Frejus. Jakże rozkosznie stały wydał mi się pod stopami ląd w Marsylii. Postanowiłem nigdy odtąd nie podróżować morzem, jeśli tylko droga lądowa będzie możliwa. Dotychczas nie złamałem tego przyrzeczenia.

Skoro dowiedziałem się o szczęśliwym wylądowaniu Aulusa w Brytanii, zebrałem wszystkie moje rezerwy w Boulogne i kazałem Posidesowi, aby w porcie boulońskim trzymał w pogotowiu statki przewozowe i zgromadził cały sprzęt wojenny, który mógł być potrzebny w tego rodzaju wyprawie. W Marsylii czekało na mnie i na mój sztab dwadzieścia mocnych bryk, o które postarał się Posides. Korzystając z przeprągów ruszyliśmy doliną Rodanu od Awinionu do Lyonu, gdzie przenocowaliśmy, a następnie skierowaliśmy się na północ. Robiliśmy dziennie osiemdziesiąt do dziewięćdziesięciu mil. Więcej nie wytrzymałbym, gdyż ciągle podskakiwanie na wózku rozstroiło mi nerwy, nabawiło niestrawności żołądka i szalonych bólów głowy. Trzeciej nocy, w Chalons, mój lekarz przyboczny Ksenofont nastawał, żebym cały następny dzień odpoczął. Zaprotestowałem twierdząc, że nie mogę zmarnować tyle czasu. Odparł, że jeśli nie odpocznę, armia po przybyciu do Brytanii nie będzie miała ze mnie żadnego pożytku. Ogarnęła mnie wściekłość i usiłowałem zlekceważyć zdanie lekarza, Ksenofont jednak nalegał podkreślając, że właśnie ten mój upór wskazuje na nerwowe wyczerpanie, i wreszcie zapytał, czy jest w dalszym ciągu moim lekarzem, czy też leczę się na własną rękę. Jeśli tak, to prosi o dymisję i powraca do przerwanej praktyki w Rzymie. Jeżeli jednak jest moim lekarzem, w takim razie musi się domagać, abym solidnie wypoczął i poddał się dokładnemu masażowi. Przeprosiłem pocziwca i usiłowałem wytłumaczyć, że nagłe

zatrzymanie w drodze wzmoże nerwowy niepokój, a to odbije się tak ujemnie na moim fizycznym stanie, że żaden masaż nie zdoła naprawić szkód, a co się tyczy odpoczynku, to w tych warunkach podobne zalecenie nie ma praktycznej wartości; można z równie dobrym skutkiem komuś, na kim płonie już ubranie, radzić, aby zachował zimną krew. Wreszcie rozstrzygnęliśmy spór kompromisowo: zrezygnuję z jazdy bryczką, ale nie pozostanę w Chalons. Będę podróżował w lekkiej lektyce dźwiganej przez sześciu wyćwiczonych tragarzy. W ten sposób przebędę przynajmniej trzydzieści mil z czekających mnie pięciuset. Co do masażu, to niech mnie masuje, ile ma ochoty, przed wyruszeniem w drogę i po przybyciu na nocleg. Z Lyonu do Boulogne ruszyliśmy na Troyes, Reims. Snissons i Amiens. Podróż ta zabrała osiem dni czasu, gdyż na postoju w Reims Ksenofont znowu zmusił mnie do zamiany bryczki na lektykę. Przez cały ten czas nie próżnowałem. Nieustannie przywoływałem na pamięć szczegóły wielkich bitew przeszłości - bojów Juliusza, Hannibala, Aleksandra, a w szczególności mojego ojca i brata w Niemczech - i zadawałem sobie pytanie, czy potrafiłbym, gdyby przyszło do działania, zastosować w praktyce całą tę obszerną i szczegółową wiedzę. Winszowałem sobie, że ilekroć nadarzała się sposobność nakreślenia planu bitwy na podstawie relacji naocznego świadka, nigdy nie omieszkałem z takiej okazji skorzystać. Opanowałem też ogólne zasady taktyki posługiwania się niewielkimi oddziałami regularnego wojska przeciw wielkim armiom półcywilizowanych plemion i zgruntowałem zasady strategii dotyczące skutecznej okupacji kraju po wygranej bitwie.

W Amiens wczesnym rankiem, nie mogąc zasnąć, zacząłem szkicować plan bitwy. Brytyjska piechota, kombinowałem, zajmie prawdopodobnie zalesione zbocza, w głębi uszykuje się kawaleria i rydwany. Ustawię swoją piechotę w zwykłym szyku bojowym, rozciągając front na długość dwu pułków; na skrzydłach umieszczę wojska posiłkowe, a w rezerwie będę miał gwardię. Słonie, prawdziwa niespodzianka dla Brytów, którzy nigdy na swojej wyspie

tych zwierząt nie oglądali... Nagle ogarnęły mnie wątpliwości.

- Posidesie! - zawołałem zaniepokojony.

- Rozkaz, Cezarze - odpowiedział półprzytomnie, zrywając się z siennika, na którym spał.

- Słonie chyba już są w Boulogne?

- Tak jest, Cezarze.

- Kiedy dałem ci rozkaz wysłania ich z Lyonu?

- W ten sam dzień, kiedy przyszedł wiadomości o lądowaniu. Siódmego sierpnia.

- A dziś mamy dwudziestego siódmego?

- Tak jest, Cezarze.

- Ale jakże przetransportujemy te słonie? Musimy zbudować specjalne statki.

- Okręt, który przywiózł obelisk z Aleksandrii, stoi w porcie, w Boulogne.

- Myślałem, że jest jeszcze w Ostii.

- Nie, Cezarze, jest w Boulogne.

- Ale jeśli kazałeś mu odpłynąć siódmego, nie mógł jeszcze przybyć. Może znajdować się najdalej w Zatoce Biskajskiej. Czy pamiętasz, że potrzebował trzech tygodni, żeby przebyć drogę z Egiptu do Rzymu? A pogoda wtedy dopisywała.

Posides jednak był rzeczywiście ministrem nie od parady. Okazało się, że z chwilą gdy zdecydowałem włączyć w skład armii słonie i wysłać je do Lyonu - było to, o ile pamiętam, w maju - od razu przyszła mu do głowy sprawa transportu i nie mówiąc mi ani słowa kazał przyszykować statek, na którym ongiś przywieziono obelisk, i wysłać go do Boulogne, dokąd zawinął w sześć tygodni później. Ten ogromny statek, jedyny, który ze względu na swoją wielkość i wytrzymałość nadawał się do transportu słoni, zasługuje na więcej niż przelotną wzmiankę. Był to największy statek, jaki kiedykolwiek spuszczone na wodę. Miał długości nie mniej niż dwieście stóp, odpowiednią do

tego szerokość, a szkielet jego skonstruowano z cedrowych belek. Zbudowany w pierwszych miesiącach panowania Kaliguli, miał służyć do przewiezienia z Egiptu osiemdziesięciostopowego granitowego obelisku i czterech olbrzymich kamieni tworzących cokół. Obelisk ten pochodził z Heliopolis, ale kilka lat przedtem ustawiono go w świątyni Augusta w Aleksandrii. Kaligula pragnął, aby ku jego własnej chwale stanął w nowym cyrku, który budował na Wzgórzu Watykańskim. Aby dać wyobrażenie o tym monstrualnym statku, dodam, że jego główny siedemdziesięciostopowy maszt wyciosano z jodły mającej osiem stóp średnicy; wśród balastu, który utrzymywał równowagę, kiedy obelisk i cokół ulokowano na pokładzie, znajdowało się sto dwadzieścia tysięcy miarek egipskiej soczewicy - podarunek dla narodu rzymskiego.

Przybywszy do Boulogne stwierdziłem z zadowoleniem, że w armii panuje doskonały duch, statki są gotowe do drogi, a morze spokojne. Załadowaliśmy się bez zwłoki, a nasza podróż przez Kanał La Manche minęła bez żadnego wypadku, tak że po wylądowaniu złożyłem ofiarę Wenerze i Neptunowi, dziękując temu ostatniemu za niespodziewaną łaskawość, a pierwszej za miłą interwencję. Ze słoniami nie mieliśmy żadnego kłopotu. Pochodziły nie z Afryki, lecz z Indii. Słonie indyjskie są trzy razy większe od afrykańskich, a nasze były wyjątkowo okazałe. Nabył je Kaligula dla celów własnego kultu. Używano ich następnie przy pracach portowych w Ostii, gdzie pod kierunkiem swych indyjskich poganiaczy dźwigały belki i kamienie. Zaskoczył mnie widok wielbłądów, których dwanaście ujrzałem obok słoni. Był to już pomysł Posidesa.

Rozdział XIX

Z niepokojem czekaliśmy wieści od Aulusa. Mieliśmy je otrzymać w Richborough i właśnie zaraz po naszym przybyciu nadeszła poczta. Aulus doniósł, że Brytowie dwukrotnie przypuścili szturm do obozu, w którym się ufortyfikował. Obóz ten leżał na północ od Londynu. Obydwa ataki, jeden dzienny, drugi nocny, odparto ze stratami dla nieprzyjaciela. Zdaje się jednak, że nieprzyjacielowi przybywają codziennie nowe posiłki z dalekiego zachodu, bo aż z południowej Walii. Kentyjczycy, którzy schronili się w Weald, mieli podobno zawiadomić Karaktaka, że z chwilą gdy nieprzyjaciel zacznie się cofać, wyjdą z lasów i przetną mu drogę do warownego obozu. Prosi mnie więc, abym jak najszybciej się z nim połączył.

Rozmawiałem z kilkoma ciężko rannymi żołnierzami, których Aulus odesłał do obozu; jednogłośnie twierdzili, że piechoty brytyjskiej nie ma się co obawiać, ale rydwany zdają się na każdym miejscu wyrastać jak spod ziemi, a są teraz tak liczne, że oddział regularnej piechoty liczący mniej niż dwustu do trzystu ludzi nie może się oddalić od głównej siły.

Kolumna moja szykowała się do wymarszu. Słonie dźwigały wielkie pęki zapasowych oszczepów i innego sprzętu wojennego. Zaciekały mnie dziwne maszyny umieszczone na grzbietach wielbłądów.

- To wynalazek poprzednika waszej cesarskiej mości - wyjaśnił Posides. - Pozwoliłem sobie przygotować ich pół tuzina podczas bytności naszej w Lyonie w lipcu i wysłać je do Boulogne na wielbłądach. Jest to pewien rodzaj machin oblężniczych, bardzo pożytecznych w walce z dzikimi plemionami.

- Nie wiedziałem, że poprzedni cesarz może się poszczycić jakimś wynalazkiem w dziedzinie wojskowości - odrzekłem.

- Mam nadzieję, Cezarze, że sam potwierdzisz wielką skuteczność tych machin, zwłaszcza w połączeniu z lontem. Toteż pozwoliłem sobie zabrać

kilkaset metrów lontu w zwojach.

Mówiąc to Posides szczerzył w uśmiechu zęby aż po dziąsła. Domyśliłem się, że wykombinował jakiś chytry plan i chce go na razie utrzymać w tajemnicy.

- Kserkses Wielki - odezwałem się - miał ministra wojny imieniem Hermotim. Był on podobnie jak ty eunuchem, a ilekroć pozwolono mu na własną rękę rozwiązać jakiś trudny problem, jak na przykład zdobycie niedostępnego miasta bez użycia machin oblężniczych lub przedostanie się przez głęboką rzekę bez łodzi, zawsze wywiązywał się z zadania. Ale ilekroć Kserkses lub ktoś inny chciał wtrącić do jego planów swoje trzy grosze, narzucał się z jakimś pomysłem, Hermotim oświadczał, że problem wydaje mu się zbyt skomplikowany, i przeproszał, że nie może go rozstrzygnąć. Jesteś, widzę, drugim Hermotimem. Pozostawiam ci wolną rękę - i szczęścia życzę! Zapobiegliwość, jaką okazałeś wysyłając ogromny statek, zyskała ci moje całkowite zaufanie. Pamiętaj, że oczekuję wielkich rzeczy po wielbłądach i ich ładunku. Jeśli mnie zawiedziesz, rozgniewam się i prawdopodobnie każę cię po powrocie rzucić na pożarcie panterom w amfiteatrze.

- A jeśli pomogę do zwycięstwa? - zapytał śmiejąc się w dalszym ciągu.

- Wtedy nadam ci najwyższe odznaczenie, jakim rozporządzam, i stosowne do tego stanowisko. Otrzymasz Order Tępej Włóczni. Czy jeszcze jakie niespodzianki przemyciłeś w bagażach? Te wielbłądy, słonie i czarni włócznicy afrykańscy przypominają bardziej widowisko na Polu Marsowym niż poważną wyprawę.

- Już nic więcej nie mam, Cezarze. Ale myślę, że Brytowie napatrzą się do syta, a pieniądze za występ będziemy mogli zebrać po przedstawieniu.

Ruszyliśmy z Richborough nie napotykając oporu. Przejścia przez rzekę pilnowały oddziały czternastego pułku, wysłane w tym celu przez Aulusa. Kiedyśmy przebyli rzekę, zamknęły za nami pochód. Między Richborough a Londynem nie spotkaliśmy Brytów nawet na lekarstwo. Piątego września

połączyłem się z Aulusem. Zdaje się, że powitał mnie z równą radością, jak ja jego. Przede wszystkim zapytałem go o ducha w wojsku. Odparł, że doskonały; dodał też, że obiecywał żołnierzom tylko połowę tych posiłków, które przyprowadziłem, i nie wspominał nic o słoniach, tak że istotna nasza siła będzie dla armii miłą niespodzianką. Spytałem następnie, w którym przypuszczalnie miejscu nieprzyjaciel zechce nam wydać bitwę. Aulus pokazał mi mapę okolic między Londynem a Colchester, którą kazał wykonać w glinie, i wskazał palcem punkt odległy o jakieś dwadzieścia mil od drogi Londyn-Colchester (oczywiście nie drogi w naszym rzymskim znaczeniu). Karaktak fortyfikował się tam na gwałt i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w tym miejscu dojdzie do bitwy. Było to zalesione wzgórze zwane Brentwood Hill. Obejmowało ono drogę z obu stron i kształtem przypominało podkowę. Na każdym jej końcu znajdował się duży fort, a trzeci stał w środku. Droga biegła na północny wschód. Lewe skrzydło nieprzyjaciela, poza wzgórzem, chroniły moczary, a głęboki potok zwany Weald Brook tworzył łatwą do utrzymania zaporę od przodu. Na prawym skrzydle wzgórze wyginało się na północ i biegło w tym kierunku na przestrzeni jakich trzech do czterech mil. Tak gęsto jednak było zalesione i zarośnięte przez tarninę i jeżyny, że jak mnie zapewnił Aulus, nie można było nawet marzyć o przerąbaniu się przez ten gąszcz i oskrzydleniu nieprzyjaciela. Ponieważ do Colchester można się było dostać tą jedyną drogą, a pragnąłem jak najprędzej zetrzeć się z głównymi siłami wroga, przystąpiłem z niezmierną starannością do rozważenia problemu taktycznego. Jeńcy i zbiegowie dostarczyli cennych informacji o poczynionych w lesie fortyfikacjach. Były one, jak można wnioskować, doskonale rozplanowane. Niechętnie słuchałem o możliwości przypuszczenia ataku frontowego. Jeżelibyśmy ruszyli na środkowy fort nie uporawszy się wprzód z bocznymi, byłibyśmy narażeni na niebezpieczne ataki z obu flank. Niewiele jednak lepiej przedstawiałaby się sytuacja, gdybyśmy najpierw uderzyli na boczne forty; jeślibyśmy je bowiem z niemałymi stratami zdobyli, musielibyśmy torować

sobie drogę przez szereg następnych wzniesionych w lesie palisad, z których każda wymagałaby osobnej akcji.

Na naradzie wojennej, na którą wezwaliśmy z Aulusern wszystkich oficerów sztabu generalnego i dowódców pułków, jednomyślnie wyrażono pogląd, że atak frontowy jest nie do uniknięcia i że musimy być przygotowani na ciężkie straty. Nieszczęśliwym dla nas trafem zbocza wzgórza między lasem i rzeką cudownie wprost nadawały się do manewrowania rydwanami. Aulus zalecał atak masowy w formacji podwójnego klina. Szpic klina miał stanowić jeden pułk maszerujący w kolumnach ósemkami; następnie miały się posuwać w ten sam sposób sformowane dwa pułki, a za nimi trzy dalsze. W tym najszerszym miejscu flanki były osłonięte przez słonie. Potem znowu szły dwa pułki i wreszcie na końcu jeden. Kawaleria i reszta piechoty zostawały w rezerwie. Aulus wyjaśnił, że szyk podwójnego klina zabezpiecza flanki. Nie można było zaatakować z boku prowadzącego pułku nie naraziwszy się na pociski drugiej linii, którą znów osłaniała trzecia. Trzeciej linii broniły słonie. Gdyby z tyłu szarżowały na flankę rydwany, wystarczyło zrobić w tył zwrot i pułki znów chroniły się wzajemnie.

Zabrawszy głos zauważyłem, że formacja podwójnego klina jest niewątpliwie bardzo piękna i z pomyślnym skutkiem została zastosowana w wielu bitwach - tu nastąpiło wyliczenie - za czasów republiki. Brytowie jednak tak górują nad nami liczbą, że jeżeli posuniemy się w środek podkowy, zaatakują nas równocześnie ze wszystkich stron w takiej sile, iż nie będziemy mogli wycofać się w porządku: przednia część klina oddzieli się od tylnej. Podkreśliłem też z naciskiem, że nie decyduję się na większe straty niż jedna dziesiąta tego, co by kosztował atak frontowy. Wespazjan wyjechał na to ze starym przysłowiem o omlecie, którego nie można zrobić bez stłuczenia jaj, i zapytał trochę niecierpliwie, czy aby zmniejszyć liczbę strat nie zamierzam od razu powrócić do Francji, a w takim razie jak długo myślę zachować dla siebie szacunek armii.

- Żeby zabić kota - odpaliłem - nie trzeba koniecznie zatłuc go na śmierć kościaną łyżką i na dodatek złamać łyżkę. Są jeszcze inne sposoby.

Dyskutowali ze mną tonem wyższości starych wygów wojennych i usiłowali zaimponować mi technicznymi terminami, jak gdybym był całkowitym ignorantem.

- Panowie! - wybuchnąłem wreszcie. - Rzodkiew, jak mawiał boski August, może nie rozumieć po grecku, ale ja rozumiem. Studiowałem taktykę przez czterdzieści lat i nie możecie mnie nauczyć niczego nowego; znam wszystkie konwencjonalne i niekonwencjonalne posunięcia i rozpoczęcia gry na szachownicy wojny. Musicie jednak zrozumieć, że nie mam pełnej swobody działania, nie mogę rozegrać partii tak, jakbyście sobie życzyli, żebym ją rozegrał. Jako Ojciec Ojczyzny mam obowiązki względem swoich synów: protestuję przeciwko atakowi, który ma kosztować życie trzech czy czterech tysięcy ludzi. Ani memu ojcu Druzusowi, ani memu bratu Germanikowi nawet we śnie nie przyszedłby nigdy do głowy pomysł ataku frontowego na tak silne pozycje.

- A jak by w wypadku takim jak obecny postąpili twoi znamienici krewni, Cezarze? - zapytał nie bez ironii Geta.

- Znalezliby drogę okólną.

- Lecz takiej drogi nie ma, Cezarze. To zostało już stwierdzone.

- Znalezliby drogę okólną, powtarzam.

- Lewe skrzydło nieprzyjaciela - odezwał się Krassus Frugi - jest strzeżone przez króla Żurawia, a prawe przez królową Tarninę. Wedle zeznań jeńców wróg jest z tego szczególnie dumny.

- Któż to jest ten król Żuraw? - spytałem.

- Władca moczarów. Wedle tutejszej mitologii krewny bogini Wojny, która w postaci kruka siada na ostrzach włóczni, a pobitych wpędza na moczary, gdzie ich zjada jej kuzyn, król Żuraw. Królowa Tarnina jest dziewicą, która zjawia się na wiosnę w białych szatach; wspomaga żołnierzy w walce, broniąc

ich palisad cierniami. Brytowie bowiem ścinają krzaki tarniny i ustawiają je rzędem, kolcami na zewnątrz, pniak przy pniaku. Ciężko się przedostać przez taką zaporę. Lecz tym razem królowa Tarnina pilnuje ich prawej flanki bez żadnych sztuk. Nie potrzeba było ścinać krzaków; jak donoszą nasi wywiadowcy, cały las przedstawia taką gęstwinę, że nie ma mowy, aby w którymś miejscu można się było przez nią przedostać.

- Tak, Cezarze - rzekł Aulus - obawiam się, że będziemy musieli zdecydować się na atak frontowy.

- Posidesie! - zawołałem nagle. - Czy byłeś kiedy żołnierzem?

- Nigdy, Cezarze.

- Chwała Bogu! To jest nas już dwóch. A teraz wyobraź sobie, że próbuję niemożliwości i szarżuję naszą kawalerią na lewe skrzydło poprzez ten nieprzenikniony gąszcz. Czy podjąłbyś się oskrzydlić nieprzyjaciela od prawej flanki, przez owo nieprzebyte bagno?

- Wyznaczyłeś mi łatwiejszą flankę, Cezarze. Przez moczary, jak to bywa, prowadzi ścieżka. Spotkałem wczoraj w Londynie wędrownego okulistę, Hiszpana rodem, który chodzi po okolicy i leczy ludzi na zapalenie oczu. Obecnie znajduje się w obozie. Mówi on, że doskonale zna moczary i ścieżkę. Zawsze korzysta z niej, żeby uniknąć roгатki na pagórku. Od śmierci Cymbelina wysokość myta nie jest stała, lecz zależna od sumy, jaką znajdą w sakwie podróżnego. Toteż naszemu okuliście znudziło się być za każdym razem obdzieranym ze skóry. Rankami prawie zawsze unosi się tutaj nad moczarami mgła; korzystając z niej przemyka się niepostrzeżenie ścieżką. Mówi, że raz znalazłszy tę drogę, idzie się już po niej całkiem pewnie. Wychodzi ona o pół mili za wzgórzem, na skraju sosnowego zagajnika. Prawdopodobnie Brytowie postawili tam straż - Karaktak jest bardzo czujnym wodzem - myślę jednak, że mógłbym się podjąć usunięcia jej i przeprowadzenia przez moczary tylu ludzi, ilu tylko zechciałoby ze mną pójść.

Naszkiecowałem swój plan, na który się zgodziłem, chociaż niejeden z

generałów unosił brwi w górę słuchając wywodów Posidesa. Następnie ja wyjaśniłem swój plan przebicia się na drugim skrzydle; plan ten był całkiem prosty. Ponieważ cała uwaga była skupiona na szyku podwójnego klina, przeoczono pewien doniosły fakt, a mianowicie to, że słonie indyjskie potrafią się przedrzeć przez podszybie najgęstsze, jakie sobie tylko można wyobrazić; nie odstraszą ich żadne głogi ani ciernie. Nie chcąc się powtarzać pominę dalszy ciąg rady wojennej i decyzję, która na niej zapadła, a przejdę do bitwy stoczonej pod Brentwood dnia siódmego września. Pamiętna to dla mnie data, gdyż w tym dniu mój brat Germanik pobił nad Wezerą Hermana. Gdyby żył, miałby dzisiaj zaledwie pięćdziesiąt osiem lat, czyli nie byłby starszy od Aulusa.

Wyruszyliśmy z Londynu drogą na Colchester. Wprawdzie brytyjscy harcownicy niepokoiли naszą przednią straż, ale poważniejszy opór napotkaliśmy dopiero pod Romford, wioską leżącą o siedem mil od Brentwood. Tutaj większe siły broniły brodu na rzece Rom. Nieprzyjaciel zatrzymał nas całe przedpołudnie, co kosztowało go mniej więcej dwieście trupów i setkę jeńców. Myśmy stracili tylko pięćdziesięciu ludzi, lecz wśród nich dwu kapitanów i jednego dowódcę batalionu; pod pewnym więc względem Brytowie wyszli obronną ręką. Tego samego popołudnia ujrzeliśmy wzgórze brentwoodzkie i rozbiliśmy obóz nad potokiem, który służył nam za obronną granicę.

Zasięgnąłem wróżb. Wróżby te, zasięgane zawsze przed każdą bitwą, odbywały się w ten sposób, że świętym kurczętom rzucano kawałki ciasta z mąki grochowej i obserwowano, jak jedzą. Jeżeli nie miały apetytu, bitwa była niechybnie przegrana. Za najlepszą wróżbę uchodziło, kiedy kurczęta wybiegały, zaledwie kapłan otworzył drzwiczki klatki, i nie wydając głosu ani nie trzepocąc skrzydłami jadły tak szybko, że duże kawały wypadały im z dzioba. Jeżeli ponadto kawałki te padały na ziemię z dość głośnym kłaskaniem, wróżyło to całkowity pogrom nieprzyjaciela. Teraz wypadła nam ta właśnie najpomyślniejsza wróżba. Kapłan-wróźbita nie pokazał się wcale kurczętom, ale stojąc wraz ze mną za klatką, odsunął nagłym ruchem drzwiczki, a ja w tym

samym momencie rzuciłem ciasto. Kurczęta wybiegły nie pisnąwszy nawet i zaczęły dziobać z taką zapamiętałością, że na wszystkie strony leciały kawałki i ciap, ciap pacaly o ziemię. Aż rozkosz było patrzeć.

Przygotowałem przemówienie, jak mi się wydawało, wcale odpowiednie do sytuacji. Przypominało trochę Liwiusza, lecz miałem wrażenie, że historyczna ważkość chwili wymaga czegoś w tym stylu. Brzmiało, jak następuje:

„Rzymianie! Nie popuszczajcie cugli językom waszym i nie pozwólcie po próżnicy rozbrzmiewać głosom sławiącym dawne, isticie złote czasy, a pomniejszającym nasz wiek, niby wiek mizerną pozłótką błyszczący, którego chwały mamy być niewdałymi dziedzicami. Greccy bohaterowie wojny trojańskiej, których opiewa czcigodny Homer, mieli na ustach - jeśli wierzyć jego słowom - następujący dwuwiersz:

Lepsiśmy od junaków, co dawnymi czasy
Ruszali kiedykolwiek na krwawe zapasy.

Nie bądźcie zbyt skromni, Rzymianie! W górę podnieście głowy! Dumnie wypnijcie pierś! Przed wami stoją w bojowym szyku męże, którzy tak przypominają waszych przodków, jak orzeł przypomina orła, a wilk wilka - bitny, dumny, o stalowych ścięgnach, nieokrzesany lud, dźwigający przestarzałe od wieków zbroje, zaprzęgający do swych rydwanów kuce starej rasy, posługujący się w bitwie niedołączną taktyką, godną tylko epickich opisów; lud nie zorganizowany w pułki, lecz ugrupowany wedle klanów i rodów. Klęska jego w spotkaniu z naszymi zdyscyplinowanymi oddziałami jest tak niechybna, jak niechybna jest przegrana dzikiego niedźwiedzia, który ze spuszczoną głową atakuje zręcznego myśliwca zbrojnego w oszczep i sieć. Jutro, kiedy policzymy zabitych i kiedy długie szeregi smutnych jeńców przejdą pod jarzmem, będzie wam się wydawało wprost śmieszne, żeście mogli kiedykolwiek, choć na

moment, zwątpić o terażniejszości, że was oślepiła historyczna chwała dalekiej przeszłości.

Tak, towarzysze! Ciała tych pierwotnych bohaterów rozsiekanych przez wasze miecze zalegną pobojuwisko bezkształtną masą, jak okruchy rozgotowanego grochu rozszarpanego chciwymi dziobami świętych kurcząt, które dały wróżebną odpowiedź waszemu wodzowi.

Słyszałem, że niektórzy z was - niewątpliwie bardziej z gnuśności niż z tchórzostwa czy niekarności - wahali się, kiedym wezwał pułki na tę wyprawę, i wahanie swe tłumaczyli tym, że boski August raz na zawsze określił granice imperium rzymskiego wodami Renu i Kanału. Gdyby to było prawdą - a podejmuję się dowieść wam, że jest fałszem - boski August okazałby się niegodnym naszej czci. Posłannictwem Rzymu jest cywilizować świat. A gdzieżbyście znaleźli lud godniejszy dobrodziejstw tej cywilizacji, którą chcemy go obdarzyć, niż Brytowie? Na nasze barki spadło cudowne i zbożne zadanie przemienienia tych bitnych kompanów naszych przodków w posłusznych synów Romy, naszej dostojnej macierzy. Jakimiż to słowy boski August pisał do mojej babki, boskiej Augusty? «Widzę, jak w przyszłości Brytania staje się krajem równie ucywilizowanym jak obecnie południowa Francja, i myślę, że wyspiarze rasowo spokrewnieni z nami staną się znacznie lepszymi Rzymianami niż Niemcy... A pewnego dnia (proszę Cię, nie śmieć się) brytyjscy mężowie mogą zająć miejsce w senacie rzymskim.»

Spisaliście się dzielnie w tej wojnie. Dwakroć zadaliście nieprzyjacielowi ciężką klęskę. Zabiliście mego wroga, króla Togodumna, pomściliście zniewagę, jaką mi wyrządził. Nie możecie zawieść i za trzecim razem. Jesteście silniejsi niż poprzednio, odwaga wasza wzrosła, szeregi wasze stały się bardziej zwarte. Wy tak samo jak nieprzyjaciel bronicie ognisk domowych i świętych chramów bóstw. Żołnierz rzymski, czy wypadnie mu walczyć wśród lodowych skał Kaukazu, czy na rozprażonych piaskach pustyni po drugiej stronie Atlasu, czy w wilgotnych lasach Niemiec, czy na łąkach Brytanii, nie zapomina nigdy

drogiego miasta, któremu zawdzięcza swe imię, swe męstwo i poczucie obowiązku.”

Skomponowałem jeszcze wiele ustępów w tym samym patetycznym stylu, lecz - charakterystyczna rzecz - ani słowa z tego nie wypowiedziałem. Kiedy wyszedłem na mównicę i kapitanowie krzyknęli jednogłośnie: „Witaj, Cezarze Auguście, Ojczyźnie, Imperatorze”, a żołnierze podjęli ten okrzyk - jak grom zahuczało po szeregach - straciłem całkiem głowę. Piękna mowa w mgnieniu oka wywietrzała mi z pamięci. Ledwie mogłem wyciągnąwszy dłoń ku żołnierzom wyrzucić z siebie ze łzami w oczach:

- Wszystko w porządku, chłopcy. Kurczęta powiadają, że wszystko będzie w porządku. Przygotowaliśmy dla nich wielką niespodziankę i tak im damy w skórę, że popamiętają nas do końca życia. To znaczy, nie kurczęta, ale Brytowie.

(W tym miejscu zerwał się huragan śmiechu; zacząłem się śmiać z innymi, jakby żart był zamierzony.)

- Dajcie już spokój, chłopcy, nie śmiejcie się ze mnie - krzyknąłem. - Czyż nie pamiętacie, co spotkało w egipskiej bajce małego Murzynka, który się śmiał z ojca, że zamiast porannej modlitwy zmówił wieczorną? Zjadł go krokodyl. Miejcie się więc na baczności. Tak, stary już ze mnie człowiek, ale nigdy w całym życiu piersi mej nie rozpierała taka duma, jak w tej chwili. Pragnąłbym, aby mógł ją tu ze mną podzielić mój biedny brat Germanik. Czy który z was pamięta mojego wielkiego brata? Niewielu chyba, gdyż umarł przed dwudziestu czterema laty. Lecz wszyscy słyszeliście, że był to największy wódz, jakiego wydał Rzym. Jutro przypada rocznica jego świetnego zwycięstwa nad Hermanem, niemieckim wodzem; pragnąłbym, abyście ją należycie uczcili. Hasło na dzisiejszą noc brzmi: Germanik! A bojowym okrzykiem jutro będzie też Germanik! A jeśli będziecie krzyczeli dość głośno to imię, myślę, że je usłyszy gdzieś w podziemiach i zrozumie, że wspominają go pułki, które kochał i prowadził do boju. Chcę, żeby zapomniał o przeklętym losie, który go zmógł -

jak wiecie, zmarł otruty w łożu. Dwudziestemu pułkowi przypada zaszczyt poprowadzenia ataku. Germanik o was zawsze mawiał, że choć jesteście najbardziej niekarnym, najbardziej pijackim i najbardziej zwadliwym pułkiem w całej regularnej armii, na polu bitwy walczyście jak lwy. Żołnierze drugiego i czternastego pułku! Germanik nazywał was kręgosłupem armii. Waszym zadaniem na jutro będzie wzmocnić posiłkowe oddziały francuskie, które będą żebrami armii. Na końcu pójdzie dziewiąty pułk. Germanik zwykł mawiać, że to najpowolniejszy, ale najpewniejszy ze wszystkich pułków. Warn, gwardziści, przypada szczególne zadanie. Wy, dopóki nie jesteście na froncie, macie najłatwiejszą robotę i najlepszy żołd, toteż słusznym jest wobec reszty armii, że przydzielam wam tym razem najniebezpieczniejsze i najuciążliwsze zadanie. To wszystko, co miałem do powiedzenia. A teraz jak grzeczni chłopcy wyśpijcie się dobrze i zasłużcie sobie jutro na wdzięczność waszego ojca.

Wiwatowali na moją cześć, aż do ochrypnięcia. Zrozumiałem, że nie Liwiusz, lecz Pollion miał rację. Dobry wódz nie może w przededniu bitwy wygłaszać mowy zgodnej z regułami retoryki, choćby ją nawet miał przygotowaną. Usta jego zawsze pójdą za głosem serca. Skutek tej mowy, która, przyznacie sami, wygląda bardzo ubogo w porównaniu z poprzednią, był taki, że od tej chwili dziewiąty pułk w potocznej mowie nie nazywał się „Dziewiątym Hiszpańskim”

(jak brzmiał jego pełny tytuł), lecz „Ślimakami”. Podobnie dwudziesty, którego pełna nazwa brzmiała: „Dwudziesty Zwycięski Pułk Waleriański”, znany był w wojsku jako „Pijane Lwy”. A kiedy żołnierz z drugiego pułku spotka żołnierza z czternastego, to można być pewnym, że powitają się: „Jak się masz, towarzyszu Kręgosłupie.” Francuskie oddziały posiłkowe były ogólnie znane pod nazwą „Żeber”.

Na pole opadła lekka mgła, ale wkrótce po północy wzeszedł księżyc, co było dla nas niezmiernie korzystne; przy pochmurnej pogodzie nie bylibyśmy się przedostali przez moczary. Spałem do północy, aż obudził mnie Posides i

wręczył świecę i głównię z ogniska obozowego. Zapaliłem od głównej świecy i zmówiłem modlitwy do nimfy Egerii. Jest boginią wróżb i zacny król Numa radził się jej za dawnych dobrych czasów w każdej sprawie. Po raz pierwszy dokonywałem tego rodowego obrzędu; mój brat Germanik i stryj Tyberiusz, mój ojciec, dziadek i pradziadek, i wszyscy moi przodkowie dokonywali go zawsze o północy przed bitwą. Jeśli mieli odnieść zwycięstwo, nimfa zawsze dawała ten sam pomyslny znak. Chociażby noc była najpogodniejsza, przy ostatnich słowach modlitwy światło gasło, jakby ktoś ścisnął knot w palcach.

Nigdy nie byłem pewny, czy mam wierzyć w ten cud. Przypuszczałem, że może działała jakaś naturalna przyczyna - przeciąg, źle skręcony knot lub nieumyślne westchnięcie modlącego się. Trudno było przypuszczać, żeby nimfa Egeria na wiadomość o modlitwie jakiegoś Klaudiusza opuszczała swój rodzinny gaj nad jeziorem Nemi i pędziła do środkowych Niemiec, północnej Hiszpanii lub Tyrolu (w każdym z tych krajów, jak głosi podanie, miała się kiedyś pojawić, aby dać zwykły znak). Ustawiłem więc zapaloną świecę w najdalszym kącie namiotu, zakrytym od wszelkiego powiewu, który mógłby się dostać przez zasłonę, i odszedłszy dziesięć kroków uroczystym tonem zacząłem przemawiać do bogini słowami krótkiej modlitwy w dialekcie sabińskim. Tekst przekazany przez ustną tradycję był bardzo zniekształcony, gdyż dialekt sabiński, którym pierwotnie mówili nobile, od dawna wyszedł w Rzymie z użycia. Dzięki temu jednak, że podczas moich studiów historycznych zajmowałem się dialektem sabińskim, mogłem wyrecytować modlitwę w formie przypominającej pierwotną. I doprawdy, zaledwie wypowiedziałem ostatnie słowo, lampka, którą pilnie obserwowałem, nagle zgasła. Natychmiast zapaliłem ją z powrotem, żeby się przekonać, czy nie ma jakiejś wady w knocie albo czy Posides nie zaprawił czymś wosku. Ale nie, paliła się jasno, aż wreszcie knot zatonął w małym, nie większym niż szeląg woskowym jeziorzku. Jest to jedyny autentyczny cudowny wypadek w całym moim długim życiu. Pod tym względem nie mam szczęścia. Mego brata Germanika ciągle dręczyły jakieś

zjawy i widma. Raz po raz spotykał się z półbogami, nimfami i potworami, sławionymi przez poetów. A kiedy będąc namiestnikiem Azji zwiedzał Troję, ukazało mu się wspaniałe zjawisko: bogini Cybele, którą czcili nasi trojańscy przodkowie.

Rozdział XX

Do namiotu wbiegł Aulus.

- Z placówek donoszą, że nieprzyjaciel cofa się znad potoku, Cezarze. Co robić? Proponowałbym od razu przeprowadzić jeden pułk. Nie znam wprawdzie planów nieprzyjaciela, ale tak czy owak, mamy jutro przejść potok. Jeżeli wolą go nam oddać bez walki, oszczędzimy sobie czasu i ludzi.

- Pchnij dziewiątkę, Aulusie. I zaopatrz ludzi w materiał do budowy mostu. Nie będą jutro tyle walczyć co inni, nie potrzeba im więc tyle snu. To świetne nowiny. Trzeba wysłać przodem wywiadowców, żeby nawiązali kontakt z nieprzyjacielem i dali nam znać, kiedy tylko się zatrzyma.

Dziewiąty pułk, na gwałt zbudzony, przeprowadził się przez potok. Po pewnym czasie dostaliśmy wiadomość, że nieprzyjaciel cofnął się na pół drogi ku wzgórzu; przez rzekę przerzucono już dwadzieścia mostów i pułk oczekuje dalszych rozkazów.

- Czas już, żeby ruszyła gwardia - zauważył Pasides.

- Czy okuliście można zaufać, Posidesie? - spytałem.

- Idę razem z nim na czele oddziału, Cezarze. To jest mój plan i jeśli zawiedzie, pozwolisz, że rozstanę się z życiem.

- W porządku. Daj rozkaz! Wymarsz za pięć minut.

Na pożegnanie pocałował mnie w rękę, a ja poklepałem go po plecach. W kilka minut później zobaczyłem pierwszą kompanię gwardii; w milczeniu kierowała się w stronę wschodniej bramy obozu. Kazano im mylić krok, żeby miarowy tupot nie doleciał do placówek nieprzyjacielskich. Broń mieli owiniętą w szmaty, żeby nie dźwięczała przy zderzeniu. Każdy z ludzi zawiesił sobie na plecach tarczę, na której uprzednio nagryzmołił kredą koło. Dzięki temu żołnierze bez nawoływań mogli utrzymać łączność. Białe koła było całkiem nieźle widać. Na pomysł ten wpadł Aulus, który zauważył, że jelenie idąc

gęsiego w ciemnym lesie kierują się białym futrem na zadzie poprzednika.

Okulista prowadził gwardię przez dziką, błotnistą okolicę, aż po trzech czy czterech milach dotarło do właściwych moczarów. Zawiewało od nich charakterystycznym fetorem; tu i ówdzie wybiegały na powierzchnię błędne ogniki. Zanim żołnierze doszli do początku ścieżki, musieli przebrnąć zamulony, pełen pijawek staw, w którym woda sięgała im po biodra. Okulista nie zmylił drogi. Znalazł ścieżkę i wszedł na nią.

Placówka brytyjska znajdowała się na drugim końcu sosnowego lasu. Kiedy wszedł księżyc, oczom czujnych wartowników ukazał się widok mrozący krew w żyłach. O jakiś rzut oszczepem wyłonił się nagle z mgły wielki, szary ptak o długim, błyszczącym dziobie i piętnastostopowych nogach. Ptak ten począł kroczyć ku placówce. Od czasu do czasu przystawał, wydawał ochryply skrzek, bił skrzydłami o boki, muskał pióra straszliwym dziobem i znów pokrakiwał. Król Żuraw! Żołnierze skulili się przy ognisku myśląc, że straszne zjawisko może zniknie. Ale gdzie tam! Ptak powoli kierował się w ich stronę. Wreszcie, zdawało się, zwrócił uwagę na ogień. Podrzucił z gniewem głowę i z rozwiniętymi skrzydłami, kracząc coraz głośniejsze, popędził w stronę żołnierzy. Zerwali się i w ucieczce szukali ocalenia. Król Żuraw ścigał ich przez las z przeraźliwym chichotem, następnie zawrócił i począł przechadzać się nad brzegiem moczaru, od czasu do czasu wydając głuchy skrzek.

Myślicie pewnie, że jeśli Egeria mogła ukazać się w tak tajemniczy sposób, dlaczegoż by król Żuraw nie mógł we własnej osobie napędzić strachu brytyjskim wartownikom? Tym razem jednak był to tylko fortel. Królem Żurawiem był żołnierz francuski pochodzący z kraju wielkich moczarów na zachód od Marsylii, gdzie wśród pasterzy rozpowszechnione jest używanie szczudeł; w inny sposób nie udałoby się im poruszać po trzęsawiskach. Posides kazał żołnierzowi przywdziać kosz spleciony z wikliny, kształtu ptaka i obszyty białą materią. Do ramion miał przywiązane skrzydła, również z wikliny i obciążone płótnem. Łeb i dziób były zrobione naprędce z deszczulek,

okręconych szmatami i przymocowanych do głowy żołnierza w ten sposób, że poruszały się zależnie od ruchów jego szyi. Dziób był ponadto wysmarowany fosforem. Kraczący głos wydawała pomysłowa piszczałka, którą trzymał w ustach. Żołnierz ów znał zwyczaje żurawi i za pomocą szczudeł przymocowanych do nóg naśladował ich chód. Okulista zaprowadził go wraz z Posidesem do miejsca, skąd widać było ciemny brzeg kępy. Niecałe sto kroków za nimi posuwała się gwardia. Posides dał znak żołnierzom, żeby się zatrzymali; kiedy zobaczył, że ptak okrąża lasek, zrozumiał, że fortel się powiódł. Zawrócił więc z wieścią, że teren jest wolny. Żołnierze ruszyli spiesznie i zajęli lasek. Przemarsz ośmiu tysięcy ludzi idących gęsiego nie odbywa się tak prędko; dopiero po pięciu godzinach z górą przedostali się wszyscy na drugą stronę moczarów. Tymczasem słońce już wzeszło, ale mgła nie opadła, więc z pagórka nie było ich widać.

Na godzinę przed wschodem złożyłem ofiarę Marsowi, po czym w towarzystwie sztabu spożyłem śniadanie. Na wypadek gdyby plan mój pod jakimś względem zawiódł, wydane zostały specjalne rozporządzenia. Ale teraz wiedzieliśmy już, że większa część gwardii musi się znajdować na swoich pozycjach - gdyż przemarsz żołnierzy przez moczary trwał w dalszym ciągu - i byliśmy pewni zwycięstwa. Brakowało wśród nas Gety: na czele pojedynczego batalionu ósmego pułku (zapomniałem powiedzieć, że batalion ten stanowił część przyprowadzonych przeze mnie posiłków), konnicy, Batawów i kolumny słoni udał się na pozycję na lewym naszym skrzydle, odległą o jakieś dwie mile. Brakowało również mego zięcia, młodego Pompejusza, któremu oddałem komendę nad nubijskimi i balearskimi procarzami; przeprowadził się już z nimi na drugą stronę potoku. Balearowie zabrali z sobą sznury i kołki do rozpinania namiotów i polowe drewniane młoty, a Nubijczycy swoje narodowe bębny i długie białe włócznie.

Śniadanie było wyśmienite i w sam raz zakropione winem. Wypiliśmy akurat tyle, ile trzeba, żeby dodać sobie animuszu, a nie stracić poczucia

rzeczywistości. Toteż w przerwach poważnej dyskusji żarty sypały się jak z rękawa. Pokpiwano sobie przeważnie z wielbłądów, nie opuszczała nas bowiem na chwilę ciekawość, jak się spiszą w boju. Do tych żartów i ja dołożyłem swą cząsteczkę zacytowawszy wyjątek z listu Heroda Agryppy do mej matki: „Wielbłąd - pisał - jest jednym z siedmiu cudów świata. Dzieli ten zaszczyt z tęczą, echem, kukułką, Murzynem, wulkanem i sirocco, ale jest najpierwszym i największym z nich.”

Wydałem rozkaz, aby oddziały zajęły swoje pozycje po drugiej stronie potoku. Zgromadzeni trębacze zagrali pobudkę; głos trąb rozniósł się na milę wokoło. W odpowiedzi z pagórka zabrzmiały rogi bojowe i ogłuszająca wrzawa. Strach mnie ogarnął. Chociaż zdawałem sobie sprawę, że bitew nie stacza się bez nieprzyjaciela, to w całonocnych rozmyślaniach bitwa przedstawiała mi się jako rysunek na mapie, jako milcząca rozprawa kwadratów i prostokątów, sunących gładko to w tę, to w ową stronę; kwadraty i prostokąty zaczerpnięte atramentem przedstawiały Rzymian, białe Brytów. Kiedy zadęto w trąby i rogi, musiałem rysunek przekształcić w ludzi, konie, rydwany, słonie. Nie spałem od północy i widać wyraz mojej twarzy i ruchy musiały zdradzać wyczerpanie, gdyż Ksenofont nagle zaproponował, żebym po śniadaniu odpoczął i wyruszył dopiero wtedy, gdy pułki staną już na pozycjach. Śmieszna propozycja! Tak jak gdyby nie było moim najistotniejszym zadaniem, stojąc nad brzegiem potoku w cesarskiej zbroi i cesarskiej purpurze, witać każdy pułk i czuwać nad jego przejściem! Gdyby Ksenofont szepnął jeszcze słowo: „masaż”, byłbym go zabił na miejscu. Jestem tego pewien. Podjechałem nad potok na starej, spokojnej klaczy. Była to nasza dobrze znana Penelopa, wdowa po eks-obywatelu i niedoszłym konsulu Incitacie. Mąż jej niedawno podczas wyścigów złamał nogę i trzeba go było dobić. Mgła stała w tym miejscu porządnie gęsta. Widziało się nie dalej niż na dziesięć, piętnaście kroków. Oj, jakżeż te wielbłądy przeraźliwie śmierdziały! Może zdarzyło wam się kiedy przechodzić podczas mgły polem, na którym pasie się stary cap; podczas słonecznej a wietrznej pogody zapach

szybko się ulatnia, mgła natomiast ma zdolność jakby wsysania i zatrzymywania go w sobie, toteż zdumieliście się pewnie smrodem, który już z daleka zalatywał. Sprowadzone przeze mnie do cyrku wielbłądy były to same samce - samice są znacznie kosztowniejsze - i cuchnęły okropnie. Dla koni zapach wielbłądów jest nie do zniesienia; na szczęście nie dało się nam to we znaki, gdyż cała nasza jazda była daleko na lewym skrzydle, a Penelopa przywykła do cyrkowych zapachów. Przejście przez potok odbywało się sprawnie i pomimo mgły pułki sformowały się na drugim brzegu w zupełnym porządku. Wymusztrowany pułk potrafi najzawilsze zwroty wykonać bez zarzutu w ciemnościach choć oko wykol, a gwardia bardzo często odbywała nocne ćwiczenia na Polu Marsowym. Spróbuję opisać wam bitwę tak, jak przedstawiała się Brytom, w ten sposób bowiem lepiej potraficie ocenić plan mojej ofensywy. Wyborowe oddziały brytyjskiej piechoty obsadziły forty. Każdy z tych trzech fortów posiadał bramę wypadową, z tyłu z każdego prowadziła szeroka ulica, która poprzez las wybiegała w otwarte pole. Forty były połączone silną palisadą, a las tak się roił od Brytów, że uderzenie na palisadę między dwoma fortami nie przyniosłoby żadnej korzyści. Tuż przed świtem brama środkowego fortu otwiera się i wyjeżdża z niej dywizjon rydwanów. Prowadzi go Kattigern, zięć Karaktaka, król Trynowantów. Drugi dywizjon wyjeżdża z fortu położonego na prawym skrzydle brytyjskim. Obydwa oddziały ustawiają się po obu stronach fortu środkowego. Karaktak, gniewny, zaczyna robić wymówki Kattigernowi. Doniesiono mu bowiem, że piechota trynowanoka cofnęła się w nocy z posterunku nad potokiem. Kattigerna ogarnia gniew, że w ten sposób przemawiają do niego w obecności całego plemienia. Wyniośle zapytuje Karaktaka, czy oskarża Trynowantów o tchórzostwo. Karaktak odpowiada, że rad by się dowiedzieć, jakie inne mogły być przyczyny tej dezercji ze stanowiska. Względy religijne - wyjaśnia Kattigern. - Dowódca z powodu mgły dostał gwałtownego ataku kaszlu i krew rzuciła mu się ustami. Żołnierze uznali to za wielce niepomyślną wróżbę, a szacunek dla nimfy

moczarów nie pozwolił im dłużej pozostać. Złożyli więc przebłagalną ofiarę - dwa kuce dowódcy - i cofnęli się. Karaktak musiał przyjąć to wyjaśnienie do wiadomości, ale nie ukrywał swego niezadowolenia. Nie wiedział jeszcze o cofnięciu się placówek z lasu nad moczarami, ale doszły doń już niepokojące wieści o pojawieniu się w tamtej stronie króla Żurawia we własnej osobie. Od zamierzchłych czasów nikt nie widział króla Żurawia. W tym momencie rozlegają się nasze trąby i odpowiadają im rogi brytyjskie. Podnosi się rozgłośnia wrzawa i nadbiegają wywiadowcy donosząc, że główne siły nieprzyjacielskie przekraczają rzekę.

Słońce weszło i widać teraz wyraźnie półkolisty brzeg lasu, opadający nagimi skarpami w stronę potoku, ale już paręset kroków dalej mgła zasłania widok. Karaktak nie może przewidzieć, w którą stronę skieruje się atak Rzymian. Wysyła więc jeszcze większą liczbę wywiadowców. Po dwudziestu minutach przybiegają z wieścią, że nieprzyjaciel wreszcie ruszył i w zwartym szyku maszeruje na środkowy fort. Karaktak pędzi ze swoim dywizjonem na prawe skrzydło i niecierpliwie czeka, kiedy z mgły wyłoni się pierwsza kompania rzymska. Jakiś Bryt raportuje, że zanim wozy wyjechały z lasu, słychać było we mgle stłumiony stukot młotów, jakby Rzymianie wbijali kołki namiotowe w ziemię. Oddział wysłany, aby zbadać przyczynę tego hałasu, nie powraca, ale Karaktak macha ręką.

- Kołkami nic nam nie zrobią - mówi.

Wreszcie słychać całkiem wyraźnie tupot nóg, szczęk broni i okrzyki oficerów - to zbliżają się nasze pułki. Już czernieje we mgle idąca na przedzie kompania dwudziestki. Ze strony Brytów sypią się urągliwe wyzwiska; Kattigern pędzi ze swym dywizjonem na lewo. Rzymianie nagle się zatrzymują. Oczom Brytów ukazuje się niezwykle widok. Na skrzydle, na które ma przypuścić atak Kattigern, kłusuje tam i sam, niknie w mgle i znów się z niej wyłania kompania wielkich, długoszyich, garbatych potworów. Widok ten przeraża Brytów; mamrocą zaklęcia przeciw czarom. Kattigern powinien teraz

zaatakować, lecz nie jest pewien, czy wróg nie pozoruje tylko ataku; widzi przed sobą zaledwie pięciuset ludzi. Główny atak może być skierowany na inny punkt. Kattigern czeka. Karaktak śle konnego posłańca: niech atakuje bezzwłocznie! Kattigern daje znak: Naprzód! Nagle dzieje się coś dziwnego. Zaledwie kolumna rydwanów pomknęła w dół, gdzie w mgle majaczyły potwory, kuce zaczynają szaleć: rżą, stają dęba, prychają, zapierają się zadnimi nogami w ziemi; żadna siła nie zmusi ich do postąpienia kroku naprzód. Jest to doprawdy zaklęta mgła; ma dziwną, odrażającą woń.

W dywizjonie Kattigerna powstaje zamieszanie. Kuce rzucają się i wierzgają, woźnice krzyczą, klną i usiłują opanować zwierzęta. Nagle głos trąb i dwa bataliony dwudziestego pułku, a za nimi dwa drugiego wyłaniają się z mgły i przypuszczają atak. „Germanik! Germanik!” - huczy okrzyk. Raz po raz deszcz oszczepów śmiga z rąk żołnierzy. Karaktak wtedy sam rusza do ataku. Jego dywizjonu nie uroczyły czary; trzy tysiące rydwanów pędzi z boku na zwartą masę rzymskiego żołnierza. Nic, zdaje się, nie chroni nieprzyjacielskiej falangi. Ale to tylko pozór. Broni jej potężniejszy czar niż śmierdząca mgła. Kolumna pędzi w wyciągniętym galopie i już, już jest o rzut oszczepem, gdy nagle rozlega się sześciokrotny przeraźliwy grzmot i rozbłyska równocześnie sześć błyskawic. Kawały gorejącej smoły lecą w powietrzu. Przerażona kolumna zakręca w prawo, gdy nagle z gwizdem spada na nią grad ołowianych pocisków. To balearscy procarze, skryci za gromem i błyskawicą, rażą nieprzyjaciela. Woźnice walą się na wszystkie strony; a że lejce mają obwiązane wokół piersi, więc wraz z nimi przewraca się niejeden wóz. Kolumny już nie sposób utrzymać w ryzach, Karaktakowi przecież udaje się znowu pchnąć ją w pierwotnym kierunku. Za cel bierze tylną straż Rzymian, teraz już całkiem widoczną, gdyż lekki wiatr zepchnął mgłę na skrzydło. Ale w tym momencie następuje katastrofa. Kiedy dywizjon, który przedstawia obecnie zbitą, bezładną masę, rusza naprzód, wóz za wozem zaczyna się walić na ziemię, jakby powstrzymany niewidzialną mocą. Rydwany jechały tak gęsto, a spadek był tak stromy, że

woźnice nie mogą zatrzymać koni ani zawrócić, żeby nie zderzyć się z sąsiadami. Masa szarżuje na oślep i wielka góra rozbitych rydwanów rośnie coraz wyżej, wyżej. Trzask łamiących się wozów, okrzyki strachu i przekleństwa zagłusza nagle przeraźliwy łomot bębnow; na pole bitwy wpada horda wielkich, czarnych nagusów, wywijających białymi włóczniami. Rzucają się na rumowisko rozbitych wozów; długie włócznie toną to tu, to ówdzie w ciałach leżących Brytów; napastnicy śmieją się, kraczą, krzyczą, a żaden z Brytów nawet nie ma odwagi bronić się przed tymi, których bierze za złe duchy. Karaktak unosi głowę z rzezi. Rydwan jego przewrócił się jeden z pierwszych, ale jemu samemu udaje się upaść bez żadnej szkody. Biegnie teraz na prawo, potykając się o sznur namiotowy, który za pomocą kołków rozpięto nad ziemią na wysokości kolan. Ostatnia sekcja kolumny rydwanowej, Belgowie z zachodu, w czas zorientowała się w sytuacji. Pięćset wozów uniknęło rozbicia i wymknęło się na prawo. Karaktak woła na przejeżdżających, zatrzymuje ich i zostaje uratowany. Reszta dywizjonu poszła na marne. Czternasty pułk pchnął dwa bataliony na tyły kolumny rydwanowej, a dwa bataliony dziewiątego pułku ruszyły na przełaj z pomocą Nubijczykom.

Karaktak kieruje swoje rydwany na wzgórze i poleca dowódcy Belgów iść z pomocą Kattigernowi walczącemu na drugim skrzydle. Sam kieruje się w stronę środkowego fortu, gdyż zauważył, że brama stoi otworem, i chce poznać przyczynę tego. Okazuje się, że garnizon odmaszerował. Kattigern tymczasem walczy dzielnie na czele żołnierzy pozbawionych rydwanów i piechoty, przybyłych mu z lasu na pomoc. Wreszcie zostaje ranny. Oddział jego szybko się rozpierzcha. Hasło do odwrotu dał brat Kattigerna, wiodąc uciekających do środkowego fortu, a stamtąd drogą przez las w otwarte pole. Nasze pułki dwudziesty i drugi powoli wypierają ludzi Kattigerna i posuwają się naprzód, zachowując pierwotną formację. Karaktak powróciwszy do bramy fortu słyszy turkot pędzących rydwanów: to ucieka sekcja belgijska. Usiłuje zatrzymać zbiegów, ale odmawiają mu posłuszeństwa. Widząc, że bitwa przegrana,

zawraca swój własny wóz i dwukrotnie przeciągle dmie w róg z kości słoniowej. To sygnał ogólnego odwrotu. Karaktak ma nadzieję, że uda mu się dogonić zbiegów i zebrać ich o kilka mil dalej wzdłuż drogi do Colchester. Dolatuje go głos trąb rzymskich; wyjeżdża z lasu i widzi z prawej strony osiem tysięcy regularnego wojska rzymskiego: to gwardia. Z lewej strony wynurza się z lasu sześć słońi i pędząca do szarży konnica rzymska. Woła na woźnicę, żeby nie szczędził bicza, i uchodzi. Z chwilą ucieczki Karaktaka bitwa była właściwie skończona. Gwardia odcięła Brytom odwrót od strony lasu i wszczęła potyczkę z resztkami znajdującej się tam piechoty. Konnica ruszyła w dół, aby zająć prawy fort, w połowie drogi napotkała oddział brytyjskich włóczników, którzy mieli tyle przytomności umysłu, że przecięli sznury utrzymujące rodzaj bramy zwodzonej, która spadając zabarykadowała drogę. Na wszystkich trzech drogach znajdował się szereg takich zwodzonych bram, połączonych z każdej strony z palisadą. Z jednej tylko zrobił nieprzyjaciel użytek. Zanim konnica usunęła przeszkodę, uciekający oddział Brytów spuścił następną bramę i dobiegł do fortu. Załoga dowiedziawszy się, że wszystko stracone, umknęła szczęśliwie w kierunku zachodnim. Drugi fort poddał się w godzinę później; Kattigern odniósł ciężkie rany i opór jego ludzi złamano.

Wzięliśmy do niewoli osiem tysięcy jeńców, a cztery tysiące siedemset trupów naliczyliśmy na pobojowisku. Nasze straty były nieznaczne: trzystu osiemdziesięciu zabitych i sześciuset rannych, z czego tylko stu pięćdziesięciu niezdolnych do dalszej walki. Słonie i konnica zostały wysłane przodem w kierunku Colchester. Karaktaka dognano pod Chelmsford, gdzie próbował organizować obronę rzeki Chelmer. Wystarczył sam widok słońi, aby Brytowie rozpierzchli się na wszystkie strony. Karaktak umknął i tym razem, stracił jednak nadzieję ocalenia Colchester. Na czele dwóch tysięcy rydwanów swego własnego plemienia skierował się na zachód i zniknął ze sceny wojny. Wyruszył szukać opieki u swoich sojuszników we wschodniej Walii.

Z potrzaskanych wozów i oręża ułożyliśmy na pobojowisku wielki stos,

który spłonął jako ofiara dziękczynna ku czci Marsa. Tego wieczoru rozbiliśmy obozowisko po drugiej stronie lasu. Ludzie porozłazili się w poszukiwaniu zdobyczy. Pod dostatkiem było złotych łańcuchów, emaliowanych puklerzy i hełmów. Surowo zakazałem gwałcenia wziętych do niewoli kobiet - setki ich bowiem walczyły w lesie obok mężów. Trzech żołnierzy z czternastego pułku, którzy złamali ten zakaz, kazałem tego samego wieczoru stracić. Z nadejściem nocy nastąpiła reakcja po przeżyciach zwycięskiego dnia; przy wieczerzy, do której zasiadłem z całym sztabem, chwycił mnie najgwałtowniejszy atak kolki sercowej, jaki miałem kiedykolwiek w życiu. Jakby nagle sto mieczy wbito mi we wnętrzności. Wydałem z siebie nieludzki krzyk. Obecni myśleli, że mnie otruto. Ksenofont podbiegł, przeciął rzemienie napierśnika i odrzuciwszy go precz ukląkł nade mną i zaczął obiema rękoma ugniatać mi żołądek. Ja tymczasem w dalszym ciągu jęczałem i wyłem. Nie sposób się było powstrzymać. Wreszcie Ksenofontowi udało się opanować skurcz. Kazał mnie owinąć w ciepłe prześcieradło i zaniósł do łóżka. Była to jedna z najgorszych nocy mojego życia. Świadomość jednak, że odniosłem wyjątkowo pełne zwycięstwo, okazała się najlepszym środkiem. Ona mnie w rzeczywistości wyleczyła. Kiedy w trzy dni później dotarliśmy do Colchester, stanąłem już na nogi. Podróżowałem na grzbiecie słonia jak jakiś indyjski książę.

Niedaleko Colchester natknęliśmy się na forpocztę armii sprzymierzeńczej. Byli to Icenowie, którzy, dowiedziawszy się o moim przybyciu do Londynu, w ten sam jeszcze dzień ruszyli nam na pomoc. Połączonymi siłami otoczyliśmy i zdobyliśmy szturmem miasto, którego dzielnie broniła garść starców i gromada kobiet. W imieniu Rzymu zawarłem uroczysty sojusz z królem Icenów, królem wschodniego Kentu i królem wschodniego Sussexu; w ten sposób dałem wyraz wdzięczności za okazaną mi przez nich pomoc. Pozostałe obszary państwa Karaktaka ogłosiłem oficjalnie prowincją rzymską pod zarządem Aulusa. Bezwzględnie też przyjąłem hołd różnych drobnych królików i naczelników, między innymi wodzów kentyjskich,

którzy ukrywali się w Weald. Uznawszy, że dokonałem wszystkiego, co zamierzałem dokonać wyruszając do Brytanii, pożegnałem się z Aulusem i jego armią i ruszyłem w powrotną drogę do Richborough. Towarzyszyła mi gwardia, słonie i pięciuset ochotników, którzy wypłynęli razem ze mną z Ostii, lecz przybyli za późno, aby wziąć udział w bitwie. Załadowaliśmy się na statki i bez dalszych przygód przeprawiliśmy się do Francji. W Brytanii spędziłem zaledwie szesnaście dni.

Może było to niewdzięcznością z mojej strony, ale przecież jednej rzeczy nie mogłem odżalować. Podczas bitwy znajdowałem się w bliskości dziewiątego pułku i kiedy dwa jego bataliony ruszyły na pomoc Nubijczykom, porwany bojowym zapałem pogalopowałem na czele żołnierzy, aby osobiście wziąć udział w bitwie. W drodze jednak zmieniłem plan, przypomniałem sobie bowiem, że Nubijczycy w zaciętrzewieniu walki nieraz potrafią wziąć swoich za wrogów, zawróciłem tedy Penelopę i pogałem na lewe skrzydło. Nagle w połowie drogi między mną a rumowiskiem pogruchotanych wozów i wierzgających koni spostrzegłem jakiegoś wodza brytyjskiego, który właśnie zawracał. Wyciągnąłem miecz, dźgnąłem konia ostrogami i runąłem na przeciwnika. Już byłem niedaleko, gdy nagle wysunął się wielki oddział pędzących rydwanów. Musiałem zawrócić. Dowiedziałem się później, że owym wodzem był Karaktak. Pomyśleć tylko, że kilka marnych sekund pozbawiło mnie możliwości spotkania się z nim wręcz! Ja siedziałem na koniu i miałem w ręce miecz, a on był pozbawiony jednego i drugiego. Jakże łatwo mogłem go zabić! A jakąż wtedy nieśmiertelną sławę zyskałbym sobie! Tylko dwa razy w całej historii Rzymu zdarzyło się, że rzymski generał pokonał nieprzyjacielskiego wodza w pojedynkę i złupił mu zbroję.

Rozdział XXI

Wódz rzymski chcąc w nagrodę za zwycięstwo, odniesione nad wrogiem ojczyzny, otrzymać pozwolenie na triumfalny wjazd do stolicy, musi dopełnić wielu warunków ustalonych tradycją. Musi więc wykazać się piastowaniem konsulatu lub godności urzędnika pierwszego stopnia i sprawować oficjalnie naczelne dowództwo nad zwycięską armią - nie może więc być czasowym zastępcą lub podkomendnym - w tym charakterze naczelnego wodza musi też odbyć przed bitwą auspicje. Pod uwagę może być brane zwycięstwo odniesione wyłącznie w wojnie z zewnętrznym nieprzyjacielem, a nie zbuntowanymi obywatelami. Celem wojny musi być nie odzyskanie straconych terytoriów, lecz podbój nowych ziem. Następnie nieprzyjaciół powinien być doszczętnie rozbity w regularnej bitwie, która stanowi zakończenie kampanii. Straty nieprzyjaciela nie mogą wynosić mniej niż pięć tysięcy ludzi, a rzymskie powinny być znacznie mniejsze. Zwycięstwo wreszcie powinno być tak kompletne, żeby wódz mógł bez narażenia państwa na utratę podbitych ziem wycofać wojska i przyprowadzić je z powrotem do Rzymu, gdzie biorą udział w triumfalnym wjeździe.

Pozwolenia na wjazd triumfalny udziela senat po długich debatach, w których zawiść niemały ma głos. Zebranie odbywa się poza miastem, zazwyczaj w świątyni Bellony. Senatorowie poddają skrupulatnemu badaniu raport, który zwycięski wódz przysyła, owinięty wawrzynową girlanda. Jeśli zachodzi podejrzenie, że dane, na których opiera swe pretensje do triumfu, są bezpodstawne lub przesadzone, żądają poparcia ich dowodami. Jeśli uznają wagę odniesionego zwycięstwa, ogłaszają dzień, w którym ma się odbyć publiczne nabożeństwo dziękczynne, i zwracają się do narodu rzymskiego, aby pozwolił zwycięskiej armii wkroczyć w obręb murów miejskich.

Swobodnemu uznaniu senatu pozostawia się ewentualne zwolnienie

kandydata z pewnych warunków wymaganych dla odbycia triumfalnego wjazdu, jeżeli ogólna wartość zwycięstwa wydaje się dostatecznie wielka. Jest to całkiem słuszne, lecz z przykrością muszę stwierdzić, że na ogólną liczbę trzystu pięćdziesięciu triumfalnych wjazdów, które odbyto od czasu Romulusa, w sześćdziesięciu do siedemdziesięciu przynajmniej wypadkach prawa do tego zaszczytu udzielono niesłusznie; jednocześnie niejednego wodza dzięki wpływom zawistnych rywali pozbawiono dobrze zasłużonego odznaczenia. Jeżeli czy to intrygi nieprzyjaciół, czy względy formalne uniemożliwiają zwycięzcy odbycie triumfalnego wjazdu, odbywa go nieoficjalnie na Wzgórzach Albańskich za miastem. Przybywa na tę uroczystość cała ludność stolicy, tak że ostatecznie ten nieoficjalny wjazd triumfalny nie jest wiele gorszy od oficjalnego, nie zapisuje się go jednak w urzędowej kronice miasta, a na pogrzebie takiego nieoficjalnego triumfatora maska jego nie może być przystrojona w triumfalne szaty. Dwa najsmutniejsze wjazdy triumfalne, których Rzym był świadkiem w ciągu swego istnienia, to triumf Juliusza Cezara po zwycięstwie nad synami Pompejusza Wielkiego, z którymi był spokrewniony, i jednego z mych przodków, Appiusza Klaudiusza. Ten ostatni, kiedy mu senat i lud odmówili prawa do triumfu, nakłonił siostrę swą westalkę, aby obok niego zajęła miejsce w rydwanie triumfalnym, którym wjechał do miasta. Urzędnicy nie odważyli się go ściągnąć z wozu na ziemię w obawie, by nie znieważać świętego majestatu kapłanki.

Kiedy wysłałem raport z prośbą o pozwolenie na wjazd triumfalny, z góry było wiadomo, że prośba moja zostanie przyjęta. Nikt przecież nie śmiał przeciwstawić się moim żądaniom, choćby były z gruntu bezpodstawne, tak jak Kaliguli, który święcił swój potrójny triumf nad Niemcami, Brytanią i Neptunem. Kaligula pomaszerował kilka mil w głąb Niemiec, a choć nie napotkał oporu, uciekł w popłochu, przeląkłszy się wytworów własnej imaginacji. Nigdy też nie przepłynął Kanału La Manche ani nie wysłał nawet wojsk do Brytanii. Co się zaś tyczy Neptuna, to - żeby się wyrazić możliwie

najogłędniej - prawa do odbycia triumfu nie można przyznać za zwycięstwa - rzeczywiste czy wyimaginowane - odniesione nad narodowymi bóstwami. Ponieważ chodziło mi o to, żeby zachować wszystkie względy kurtuazji, zaznaczyłem w raporcie dla senatu, że liczba Brytów, zabitych w czasie gdy osobiście sprawowałem dowództwo, jest o trzy setki mniejsza od wymaganych pięciu tysięcy, lecz może ten brak wynagrodzi spory zastęp jeńców i wzgląd na nieliczne nasze straty - o ile senat zechce równocześnie wziąć pod uwagę tę pomyślną okoliczność. Zobowiązałem się też, w razie zgody na mój wjazd triumfalny, urządzić w cyrku walki, w których weźmie udział sześciuset jeńców; w ten sposób osiągnie się wymaganą liczbę zabitych. Donosiłem dalej, że nie mogę powrócić do Rzymu przed marcem, Aulusowi bowiem tej zimy będą potrzebne wszystkie siły biorące udział w wyprawie. Chodzi o to, aby Brytowie przyzwyczaili się do naszego stałego pobytu na wyspie. A i później nie mogę zostawić nowej prowincji bez ochrony, gdyż pograniczne nie ujarzmione plemiona gotowe są ją najechać. Mogę jednak przyprowadzić te oddziały, które brały czynny udział w końcowej bitwie, a mianowicie pułk dwudziesty, cztery bataliony czternastego, jeden ósmego, dwa dziewiątego, dwa drugiego i część sprzymierzeńców. Może senat zechce uznać te siły za wystarczające. Tymczasem zgodnie ze starym zwyczajem nie zamierzam wracać do stolicy, gdzie rządy będzie sprawował w moim imieniu i we współdziałaniu z senatem Witeliusz. Do czasu triumfalnego wjazdu pozostanę we Francji, w głównej kwaterze w Lyonie. Zajmę się tu sprawami sądowymi w instancji odwoławczej, będę pośredniczył w sporach między plemionami lub miastami, dokonam inspekcji wojsk i fortyfikacji, wysłucham sprawozdań skarbowych i przypilnuję ścisłego wykonania edyktu znoszącego zakon druidów.

Pismo moje przyjęto bardzo dobrze, senat uprzejmie uchylił punkt dotyczący pięciu tysięcy zabitych i wystąpił do ludu z wnioskiem o pozwolenie wprowadzenia armii do Rzymu. Lud z radością uczynił zadość temu żądaniu. Senat uchwalił wtedy pół miliona aureusów ze skarbu państwa na pokrycie

kosztów triumfalnego wjazdu i wyznaczył jego datę na dzień Nowego Roku, to jest pierwszego marca.

W czasie mojej podróży po Francji nie zdarzyło się nic godnego uwagi, choć powziąłem kilka ważnych decyzji w sprawie rozszerzenia obywatelstwa rzymskiego. Nie będę tracił czasu na opisywanie wrażeń z podróży. Od Aulusa przychodziły raporty w regularnych odstępach czasu. Donosił o zajęciu szeregu warowni katawellauńskich, o rozmieszczeniu sił i prosił o aprobatę planu kampanii wiosennej, którą zamierzał podjąć po powrocie wojsk z triumfu. Od namiestników prowincji, sprzymierzonych królów państw i osobistych przyjaciół otrzymałem mnóstwo gratulacyjnych listów. Między innymi napisał do mnie z Antiochii Marsus. Zwycięstwo moje, zauważył, przypadło niezmiernie w porę. Wywarło ogromne wrażenie na Wschodzie, gdzie nieprzyjaciele stale rozpuszczali wieści o wewnętrznym rozkładzie Rzymu i bliskim upadku całego imperium, co wywoływało niepokój wśród mieszkańców Syrii. To jednak jeszcze nie było wszystko. Marsus donosił następnie o niedawnej śmierci starego króla Fartów (tego samego, któremu za czasów Kaliguli Witeliusz tak niespodzianie przeszkodził w wyprawie na Syrię i którego zmusił do dania zakładników gwarantujących dobre stosunki na przyszłość) i o wstąpieniu na tron jego syna Gotarzes, władcy nieudolnego i rozpustnika, mającego wśród nobilów wielu nieprzyjaciół.

„Gotarzes ten - pisał Marsus - ma brata, Bardanesa, księcia bardzo zdolnego i ambitnego. Otrzymałem wiadomości, że Bardanes zgłasza pretensje do tronu i znajduje się obecnie w drodze do Partii. Ostatnio pod pozorem zasięgnięcia porady u pewnego sławnego lekarza chorób usznych - nie dosłyszy trochę na jedno ucho - bawił w Aleksandrii. Stamtąd wyruszył przez Jerozolimę i jak zapewniamą mnie moi zauszniczy, wyjechał z włości króla Heroda znacznie bogatszy, niż był poprzednio. Przypuszczam, że dzięki żydowskiemu złotu uda mu się wypędzić z kraju Gotarzes. Partyjskie możnowładztwo zawsze można przekupić. Bardanes może też liczyć na bezpłatną pomoc króla Adiabeny -

królestwo to, czego nie potrzebuję Ci chyba przypominać, leży za Tygrysem, na południe od Niniwy - i króla Osroeny z zachodniej Mezopotamii. Przypominasz sobie pewnie, że król Adiabeny osadził niedawno z powrotem na tronie ostatniego króla Partii, wygnanego przez wielmożów, za co dostał złote łożo i tiarę. Nie wiesz jednak prawdopodobnie, że ten władca, z którego stanowiskiem poważnie należy się liczyć, jest żydowskim neofitą i jego matka, która pierwsza z całego domu zmieniła religię, przebywa obecnie stale w Jerozolimie. Zabrała z sobą pięciu królewiczów, swych wnuków, aby wykształcili się w języku, literaturze i religii żydowskiej. Wszystkich ich obrzezano.

Tak więc król Herod jest obecnie w bliskich stosunkach z następującymi władcami:

Królem Chalcydy,
Królem Iturei,
Królem Adiabeny,
Królem Armenii Małej,
Królem Osroeny,
Królem Pontu i Cylicji,
Królem Komageny i
przypuszczalnie królem Partii.

Król Partii przewodzi wielu królom centralnego Wschodu po Baktrię i rubieże Indii. Król Herod znów ze swojej strony cieszy się poparciem Żydów całego świata, przede wszystkim Żydów Aleksandryjskich, Edomitów i Nabatejczyków, a obecnie poluje na króla Arabii. Fenicjanie też powoli zaczynają ulegać jego pochlebstwom; tylko Tyr i Sydon zachowują w dalszym ciągu zimną rezerwę. Herod zerwał z tymi miastami stosunki dyplomatyczne i poddanym swoim pod karą śmierci zakazał handlować z ich mieszkańcami. Tyr i Sydon zmusi się w ten sposób do kompromisu. Ich dobrobyt uzależniony jest

od handlu z krajami leżącymi w głębi lądu, a z wyjątkiem zboża sprowadzanego z Egiptu i ryb, których w razie niepogody często brak, cały dowóz środków żywności zdany jest na łaskę i niełaskę króla Heroda.

Trudno by przejaskrawić grożące niebezpieczeństwo i tym bardziej możemy być wdzięczni za tak całkowite zwycięstwo nad Brytami. Chociaż jeślibym miał wyrazić swoje pragnienie, chciałbym, aby pułki rozlokowane obecnie w Brytanii można jak najspieszniej przetransportować na Wschód. Jestem całkiem pewny, że będziemy ich tu niedługo potrzebować.

Gdybyś, Cezarze, z wrodzoną sobie łaskawością i przenikliwością chciał rozpatrzyć projekt, jaki ośmielę Ci się w tych trudnych okolicznościach przedstawić, to zaproponowałbym bezzwłocznie przywrócić tron ekskrólowi Armenii, Mitrydatowi, który mieszka obecnie w Rzymie. Był to - jeśli mi wolno wyrazić swoje zdanie - pożałowania godny błąd ze strony Twego stryja, cesarza Tyberiusza Cezara, że zamiast wziąć zbrojny odwet za niesłychanie obelżywy list króla, pozwolił ostatniemu królowi Partii połączyć swoją koronę z armeńską. Jeżelibyś wysłał teraz Mitrydata do Antiochii, podejmuję się osadzić go z powrotem na tronie armeńskim korzystając z tego, że Bardanes i Gotarzes wiodą spór o koronę partyjską. Wielkorządcę Armenii można by przekupić, żeby nie stawiał zbyt silnego oporu, a Mitrydat to władca zdolny i wielki wielbiciel urzędów rzymskich. Brat jego jest królem gruzińskim i rozporządza całkiem pokazną armią kaukaskich górali. Mogę wejść z nim w porozumienie i postarać się, aby w tym samym czasie, gdy my będziemy maszerowali na Armenię z południowego zachodu, najechał ją z północy. Jeżeli uda się nam restauracja Mitrydata, możemy się nie obawiać króla Pontu i Armenii Małej; państwa ich zostaną odcięte od Partii przez terytorium Armenii; ani króla Komageny (syn jego zaręczył się właśnie z córką Heroda, Druzyllą), gdyż królestwo jego leży pomiędzy Armenią a obszarem podlegającym memu zwierzchnictwu. W każdym razie powinniśmy trzymać północ w naszych rękach, a kiedy Bardanes skończy wojnę domową i wyrzuci króla Gotarzes (a myślę, że powinien to

zrobić), skieruje siły na Armenię. Odzyskanie tego kraju nie będzie jednak łatwym zadaniem, jeżeli wyślemy Mitrydatowi odpowiednie posiłki; południowi i wschodni sprzymierzeńcy Bardanesa nie będą skłonni przyjść mu z pomocą w tak dalekiej i ryzykownej wyprawie. A dopóki Bardanes nie odzyska Armenii, nie będzie w stanie popierać żadnego z tych imperialistycznych planów, o które posądzam króla Heroda. Po raz pierwszy pozwalam sobie sformułować zupełnie wyraźne oskarżenie przeciw Twemu rzekomemu przyjacielowi i sprzymierzeńcowi; zdaję sobie też sprawę, że narażam się tym samym na wielkie niebezpieczeństwo ściągnięcia na swoją głowę Twej niełaski. Jednakże nad własne bezpieczeństwo stawiam bezpieczeństwo Rzymu; uważałbym siebie za zdrajcę, gdybym przemilczał którąkolwiek z otrzymanych przeze mnie wiadomości politycznych tylko dlatego, że raport mój miałby niemiłe dla Twego ucha brzmienie. Powiedziawszy tyle, pozwolę sobie na jeszcze większą śmiałość i zaproponuję, abyś Heroda Agryppę młodszego, syna króla Heroda, zaprosił z powrotem do Rzymu na swój wjazd triumfalny. Można go potem w razie potrzeby pod byle pozorem zatrzymać w nieskończoność i mieć w ten sposób cenny zastaw, poręczający nam poprawne zachowanie się ojca.”

Miałem dwie drogi do wyboru: albo od razu wezwać Heroda do Lyonu, aby wytłumaczył się z czynionych mu przez Marsusa zarzutów, w które pomimo mojej sympatii dla niego nie mogłem nie wierzyć - gdyby jednak był winny, nie posłuchałby wezwania, a to oznaczałoby wojnę, do której nie byłem przygotowany - albo też mogłem grać na zwłokę i nie zdradzać się ze swymi podejrzeniami. W tym wypadku jednak groziło niebezpieczeństwo, że Herod skorzysta z tej zwłoki bardziej, niżbym sobie tego życzył. Gdybym się zdecydował na drugą ewentualność, poszedłbym oczywiście za radą Marsusa w sprawie Armenii. Lecz czy Marsus miał rację uważając przyjazną Armenię za dostateczną osłonę przeciw potężnej koalicji wschodniej, jaką najwidoczniej tworzył Herod?

Przyszły też listy od Heroda. W pierwszym odpowiadał na moje pytania dotyczące przepowiadanego króla. W drugim składał mi gorące życzenia z okazji zwycięstwa i - rzecz dziwna - sam prosił o pozwolenie przysłania syna do Rzymu, aby był świadkiem mego triumfu. Wyrażał nadzieję, że nie będę miał nic przeciwko temu, by chłopiec spędził w Rzymie kilkumiesięczne wywczasy, zanim w lecie powróci do Palestyny, aby wziąć udział w wielkim święcie, które gwoli uczczenia moich urodzin zamierza urządzić w Cezarei. List o zapowiadanych przez proroków królu brzmiał następująco:

„Owszem, droga Małpeczko, jako mały chłopiec nasłuchiwałem się wiele mistycznych opowiadań o Pomazańcu, czyli Mesjaszu, jak go nazywamy po żydowsku, i jeszcze teraz temat ten nie przebrzmiał w teologicznych kołach Jerozolimy. Nigdy jednak nie przywiązywałem do tych historii większej wagi. Dopiero teraz, otrzymawszy Twój list, w którym żądasz dokładnych wiadomości o prorocztwie, zabrałem się do zbadania tej sprawy. Tak jak poradziłeś, zwróciłem się do naszego szanownego przyjaciela Filona, który właśnie bawił w Jerozolimie, aby wypełnić jakiś ślub złożony naszemu Bogu. (On zawsze albo składa śluby, albo je wypełnia.) Filon, jak wiesz, w bardzo śmiały i, powiedziałbym, mocno absurdalny sposób zidentyfikował idealistyczną koncepcję bóstwa, którą spotykamy u Platona i jego szkoły - koncepcję istoty niezmiennej, nieugiętej, wiecznej, jednolitej intelektualnej doskonałości, wyższej ponad wszelkie określenia - z naszym fanatycznym plemiennym Bogiem jerozolimskim. Przypuszczam, że Bóstwo Platona było dlań zbyt zimne i abstrakcyjne i chciał w nie wlać nieco życia, a równocześnie uświetnić naszego własnego Boga, rozciągając jego panowanie nad całym wszechświatem. Czy tak, czy owak, zapytałem Filona, co mówią pisma święte o owej tajemniczej osobistości. Filon nagle spoważniał i zapewnił mnie, że cała nadzieja naszej rasy spoczywa w przyjściu Mesjasza. Zapoznał mnie też z następującymi szczegółami:

Mesjasz jest królem, który jako ludzki reprezentant naszego żydowskiego Boga ma przyjść, aby odkupić Izrael z grzechów. Może nie będzie to koniecznie wielki zdobywca, ale musi uwolnić Żydów od jarzma cudzoziemców, którzy nie dają im pełnej swobody w spełnianiu kultu religijnego. Przepowiednia ta, zdaniem Filona, powstała w niedługim czasie po wyjściu Żydów z Egiptu, skąd ich wyprowadził nasz prawodawca Mojżesz. Fakt ten zaistniał za czasów Ramzesa II. W przypisywanej Mojżeszowi księdze, którą my nazywamy Księgą Liczb, jest mowa o Mesjaszu jako o «gwieździe i berle poczętym z Jakuba». W późniejszych księgach świętych datujących się z epoki powstania Rzymu czytamy o mężu, który z różnych miejsc zbierze rozproszone owce Izraela i zapędzi z powrotem do ojczyzny owczarni w Palestynie. W tym czasie bowiem Żydzi potworzyli już liczne kolonie na Bliskim i Środkowym Wschodzie. Część opuściła Palestynę dobrowolnie jako kupcy lub koloniści, część wywieziono jako jeńców. Filon twierdzi, że teolodzy żydowscy nie rozstrzygnęli, czy ów Mesjasz jest postacią realną, czy symboliczną. W bohaterskich czasach Machabeuszów (kapłańscy przodkowie mojej matki) Mesjasza uważano za symbol. Kiedy indziej nie tylko uważano go za realną osobę, ale lud identyfikował go nawet z nieżydowskimi zbawcami naszej rasy, jak z Cyrusem perskim, a nawet z Pompejuszem, który położył kres uciskowi ze strony Hasmonejczyków. Zdaniem Filona, obydwa te poglądy są fałszywe. Mesjasz ma dopiero się zjawić i musi być Żydem pochodzącym w prostej linii od króla Dawida (ojca Salomona, który zbudował świątynię jerozolimską). Musi urodzić się w mieście zwanej Betlejem, zjednoczyć całe plemię izraelskie i oczyścić je z grzechów za pomocą bardzo dokładnego rytuału spowiedzi, pokuty i prześlągnięcia obrażonego bóstwa. Jerozolima ma być poświęcona, nie wyłączając «garnków kuchennych i dzwonków na szyjach koni». Filon zna nawet datę przyjścia na świat Mesjasza, przypada ona na rok pięćdziesiąty pięćsetny, licząc od pojawienia się naszego pierwszego przodka. Niewielka stąd jednak pociecha, gdyż nie ma zgody co do tego, kiedy żył ów przodek.

Również niezgodne są księgi święte w tych miejscach, w których alegorycznie mówią o Mesjaszu. Czasem przedstawiają go jako groźnego, potężnego wojownika, odzianego w królewską purpurę i skąpanego w krwi wrogów ojczyzny, innym razem jako łagodnego, stroskanego biedaka, ubożego proroka, każącego o skruszce i miłości bliźniego. Filon powiada, że najwiarogodniej i najjaśniej przedstawia go księga zwana Psałterzem Salomona. Oto odnośny ustęp mający formę modlitwy:

«Zachowaj, Panie, i wywyższ ich króla, syna Dawidowego. Niech w czasie, któryś oznaczył, obejmie królestwo sługi Twego, Izraela. I opasz go siłą, aby skrusił nieprawych władców i oczyścił Jeruzalem od stopy pogańskiej deprecją miasto, i wygonił grzeszników z Twego dziedzictwa. Niech pychę grzesznych i siłę ich rozbije, jako laska żelazna rozbija gliniany garnek. Niech słowami ust swoich porazi narody nie znające Zakonu, a niech zbierze lud świątobliwy i powiedzie w Sprawiedliwość. Służyć mu będą w jarzmie narody pogańskie, a on uwielbi Pana przed obliczem całej ziemi i oczyści Jeruzalem, i uczyni je świętym, jako było na początku. A z krańców ziemi przyjdą narody oglądać chwałę jego i przywiodą w ofierze znużonych synów Syjonu. Przyjdą oglądać chwałę, którą ukoronował go Bóg, gdyż będzie on prawym władcą, pomazanym przez Boga. A w tych dniach nie będzie nieprawości między nimi, gdyż wszyscy będą święci, a królem ich będzie Pomazaniec Pański.»

Legenda o Mesjaszu rozpowszechniła się na całym Wschodzie, ale dzięki temu straciła swój pierwotny żydowski charakter. Cytowana przez Ciebie wersja o męczeńskiej śmierci króla, opuszczonego przez przyjaciół, którzy później piją jego krew, jest, mam wrażenie, nie żydowska, lecz syryjska. W wersji żydowskiej Mesjasz nie jest Bogiem, tylko królem żydowskim i głową wielkiego religijnego związku, którego ogniskiem ma stać się Jerozolima. Nie może on sobie rościć praw bóstwa, gdyż Żydzi są najzatwardziałościami monoteistami na świecie.

Pytasz, czy ktoś obecnie identyfikuje się z Mesjaszem. Nie słyszałem

dość dawno o żadnym pretencji. Ostatnim, pamiętam, był niejaki Jozua ben Józef, pochodzący z Galilei. Kiedy byłem urzędnikiem w Tyberiadzie (za czasów mego stryja Antypasa), ów Jozua posiadał wielkie wzięcie u prostaków i wygłaszał do tłumu kazania nad brzegiem jeziora. Człowiek ten w swoim wyglądzie miał coś, co zwracało uwagę, a choć ojcem jego był prosty rzemieślnik, utrzymywał, że pochodzi z rodu Dawida. Swego czasu był «cudownym dzieckiem» (zjawisko dość pospolite - wśród Żydów) i znał Pismo Święte lepiej niż większość doktorów. W swych dociekaniach religijnych doszedł do wniosku, że judaizm jest wyznaniem bardzo kłopotliwym i niedostatecznie zaspokajającym zwykle potrzeby ludzkie, z tego punktu widzenia zaczął go też krytykować. Usiłował w naiwny sposób dokonać tego, co kunsztownie przeprowadził Filon: pogodzić objawienie żydowskie z filozofią grecką. W tym miejscu przychodzi mi na pamięć wiersz z Poetyki Horacego o malarzu, który przedstawił piękną kobietę z brzydkim rybim ogonem:

Czyż śmiechem nie parskniecie na to, przyjaciele?

Jeśli jest coś, czego nie cierpię bardziej od zorientalizowanego Greka lub Rzymianina, to zgrekoromanizowanego mieszkańca Wschodu albo wszelkiej próby stopienia obydwu kultur. Zdaję sobie sprawę, że słowa te zwracają się przeciw mnie samemu, ale nic na to nie poradzę. Twojej matce nie udało się zrobić ze mnie dobrego Rzymianina, zepsuła tylko dobrego Lewantyńczyka.

Lecz wracajmy do tematu. Filozofia grecka przypadła wielce do smaku owemu Jozui ben Józefowi. Niestety, nie uczęszczał on do greckiej szkoły i musiał ciężką pracą zarabiać na utrzymanie; był mianowicie cieślą. Zaznajomił się przecież z jakimś Jakubem, z zawodu rybakiem, człowiekiem o pewnych literackich zamiłowaniach, który słuchał wykładów w epikurejskiej akademii w Gadarze, mieście leżącym po drugiej stronie jeziora, naprzeciw Tyberiady. W owym czasie Gadara podupadła, choć w czasach swego rozkwitu wydała

czterech wielkich mężów: poetę Meleagra, filozofa Mnasalka, retora Teodora, pod którego kierunkiem studiował Twój stryj Tyberiusz, i matematyka Filona, który obliczył stosunek obwodu koła do średnicy z dokładnością do jednej dziesięciotysięcznej. Tak czy owak, Joszua skorzystał z filozoficznego dorobku Jakuba i z własnej znajomości świętych ksiąg żydowskich, aby stworzyć syntetyczny system religijny. Ponieważ jednak żadna religia nie może obejść się bez autorytetu, więc początkowo skrycie, później otwarcie i publicznie zaczął się identyfikować z Mesjaszem i twierdził (podobnie jak Mojżesz), że przez usta jego przemawia Bóg. Posiadał niezwykle bujną wyobraźnię i naukę swą głosił zazwyczaj w formie prostych przypowieści z moralnym zakończeniem. Utrzymywał też, że potrafi dokonywać cudów i nadprzyrodzonych uzdrowień. Przyczyniał niemało kłopotu żydowskim władzom religijnym, które oskarżał o ścisłe trzymanie się litery prawa przy równoczesnej pogardzie dla ubogich. O Joszui krąży wiele opowiadań. Pewnego razu polityczni przeciwnicy usiłowali go wciągnąć w pułapkę i zapytali, czy godzi się, żeby prawowierny Żyd płacił podatki do skarbu cesarskiego. Gdyby był potwierdził, straciłby mir, którym się cieszył wśród nacjonalistów, gdyby zaprzeczył, umożliwiłby aresztowanie siebie przez władze cywilne. Joszua z niewinną miną zażądał, by mu pokazano monetę, Aktora należy wpłacić. Któryś z przeciwników wyciągnął srebrnik i rzekł: «Patrz, oto tyle trzeba zapłacić od każdej rodziny.» «Czyja to głowa widnieje na monecie? - spytał Joszua. - Nie umiem przeczytać łacińskiego napisu.» «Głowa Tyberiusza Cezara» - odpowiedziano. «A więc jeśli to moneta cesarska, zapłaćcie nią tedy cesarzowi - rzekł. - Lecz nie zapominajcie zapłacić Bogu tego, co się Bogu należy.» Usiłowano go też przyłapać na sprzecznościach z Pismem Świętym, lecz zawsze potrafił zacytować rozdziały czy wiersze na obronę swej nauki. Wreszcie jednak udowodniono mu herezję i nasz stary przyjaciel, Piłat Poncki, ówczesny namiestnik Judei i Samarii, kazał go uwięzić za zakłócanie spokoju publicznego, a sprawę przekazać najwyższemu duchownemu sądowi żydowskiemu w Jerozolimie. Joszua, oskarżony o

bluźnierstwo, został skazany na śmierć. Kiedy się zastanawiam nad tą historią, przypominam sobie, że umarł on w tym samym roku co bogini Liwia, a wyznawcy opuścili go, więc istotnie przepowiednia, o której piszesz, w znacznej części spełniła się na nim. Obecnie są ludzie, którzy twierdzą, że Jozua był Bogiem i że widzieli, jak duch jego - niczym Augusta i Druzylli - wstąpił po śmierci do nieba. Twierdzą też, że urodził się w Betlejem i że w ten czy inny sposób wypełnił wszystkie warunki mesjanistycznego proroctwa. Mam zamiar położyć tym bajaniom kres raz na zawsze. Właśnie trzy dni temu kazałem uwięzić i stracić Jakuba, który, jak się wydaje, był głową całego tego ruchu. Mam nadzieję, że uda się też schwytać drugiego fanatycznego przywódcę, niejakiego Szymona, który został równocześnie z Jakubem aresztowany, ale w jakiś sposób umknął z więzienia. Cała rzecz, niestety, w tym, że choć rozsądni ludzie mogą «parskać śmiechem» na widok obrazu przedstawiającego Kobietę z rybim ogonem, to motłoch, rozdziawiwszy gębę, uzna w niej boginię, której trzeba oddać cześć.”

Ten pozornie dobroduszny list zawierał jeden szczegół, który mnie przekonał, że Herod rzeczywiście albo uważa siebie za Mesjasza, albo dla realizacji swych ambitnych celów zamierza się posłużyć niezwykłą potęgą tego imienia. Gdy pewnego dnia się objawi, Żydzi staną przy nim jak jeden mąż; ze wszystkich stron świata zlecą się na jego wezwanie do Palestyny. Przewidywałem teraz, że znaczenie jego istotnie będzie wkrótce tak wielkie, iż cała rasa semicka przyjmie nową wiarę i wspólnymi siłami wypędzi „obcego i niewiernego” ze swych pieleszy. Nawrócenie się króla Adiabeny z całym jego domem wskazywało, w którą stronę wiatr wieje. Nie była to byle jaka wskazówka, gdyż władcę tego znano pod nazwą „Twórcy królów” i cieszył się niezmiernym poważaniem w Partii. W następnym liście Marsus donosił, że krążą pogłoski o przejściu na judaizm faworyzowanego przez Kaligulę króla Komageny. (Jemu to niekiedy przypisywano nakłonienie Kaliguli do

sprawowania rządów na wzór absolutystycznego władcy wschodniego; niewątpliwie zaś, ilekroć Kaligula popełnił jakąś szczególnie krwawą i kaprysem podyktowaną zbrodnię, zawsze szukał aprobaty u swego faworyta.)

Na to, że Herod zamierza ogłosić się Mesjaszem, naprowadziło mnie pominięcie pewnego szczegółu. Pisząc o Betlejem nie wspomniał, że właśnie ta miejscina, nie zaś, jak ogólnie przypuszczano, Jerozolima jest miejscem jego urodzenia. Matka Heroda, Berenika, opowiadała mojej matce ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami historię przyjścia na świat swego syna. W drodze z majątku męża w Hebronie do Jerozolimy, dokąd udawała się na połóg, chwyciły ją nagle bóle porodowe. Twierdziła, że do końca życia nie zapomni przykrych chwil, które przeżyła w małej przydrożnej miejscinie, ani chciwego oberżysty, ani niezdarnej akuszerki. Dopiero w kilka godzin po narodzinach Heroda przyszło Berenice na myśl zapytać o nazwę brudnego, zapuszczonego osiedla.

- Betlejem - odparła akuszerka. - Betlejem, gdzie urodził się patriarcha Beniamin i król Dawid. „A ty, Bethlehem Ephrata! malutkiś jest między tysiącami judzkimi, z ciebie mi wynidzie, który będzie panującym w Izraelu, a wyjście jego od początku ode dni wieczności.”

Berenika zirytowana przyjęciem, jakie ją spotkało, wykrzyknęła ironicznie.

- Niech Bóg Wszechmogący nie przestaje błogosławić Betlejem.

A na to akuszerka przytakując:

- Wszyscy, którzy tu przybywają, zawsze to mówią.

Historia ta bardzo spodobała się mojej matce i jeszcze w wiele lat później, kiedy chciała wyrazić się wzgardliwie o jakiejś zakazanej dziurze, mówiła, naśladując głos Bereniki: „Niech Bóg Wszechmogący nie przestaje błogosławić Betlejem!” Dlatego też nazwa ta utkwiała mi w pamięci.

Co się tyczy Joszui, czyli Jezusa, jak go zwą jego greccy wyznawcy, to i teraz Betlejem uchodzi za miejsce jego urodzenia, choć nie wiem, na jakiej

podstawie, gdyż miejscowość ta nie leży przecież w Galilei. Kult Joszui dotarł już do Rzymu, gdzie zdaje się rozkrzewiać, choć w ukryciu. Do obrzędów należy między innymi biesiada miłosna, w której biorą udział mężczyźni i kobiety, spożywając w symboliczny sposób ciało Pomazańca i pijąc jego krew. Opowiadano mi, że podczas tego obrzędu dochodzi często do burzliwych historycznych scen. Czegóż innego można się spodziewać po wyznawcach, którzy rekrutują się przeważnie z niewolników i ludzi należących do najniższych sfer? Zanim wolno im wziąć udział w biesiadzie, muszą wobec całego zgromadzenia wyświadczyć się z grzechów, i to tak szczegółowo, że się zbiera na mdłości. Ta rywalizacja w poniżaniu samego siebie dostarcza im pewnej rozrywki. Arcykapłanem tego kultu (jeśli można użyć tak poważnego tytułu), jest pewien rybak z Galilei, ów Szymon, o którym pisze Herod. Jego prawo do tego stanowiska zdaje się opierać głównie na tym, że kiedy Joszua, czyli Jezusa, uwięziono, opuścił go i zaparł się swej wiary, lecz następnie szczerze żałował tego postępu. Zgodnie bowiem z etyką tej mizernej sekty im większy jest grzech, tym większe przebaczenie!

Kult Jezusa, nie będąc uznaną religią (przyzwoitsi Żydzi energicznie go odrzucają), podpada pod zarządzenia dotyczące spelunek pijackich i tajnych związków, a należy do tych najniebezpieczniejszych, które wzrastają skutkiem zakazów. Główną zasadą tej religii jest wiara w bezwzględną równość ludzi wobec żydowskiego Boga - z którym w praktyce Joszua został zidentyfikowany - i nieskończone miłosierdzie jego w stosunku do grzeszników, którzy żałują za grzechy i uznają wyższość Jezusa nad wszystkimi bogami. Każdy może być przyjęty w poczet wyznawców, bez względu na klasę, rasę, stanowisko. Toteż zgłaszają się ludzie, którzy czy to nie posiadając odpowiedniego stanowiska społecznego, czy straciwszy je z powodu jakiegoś przewinienia lub niełaski nie mogą być przyjęci do legalnych misterii Izydy, Cybeli, Apolla itd. Początkowo neofici musieli się poddawać obrzezaniu, ale obecnie uchylono ten wstępny rytuał, sekta bowiem tak całkowicie oderwała się od prawowiernych

Żydów, że cały wstępny ceremoniał polega na pokropieniu wodą i wezwaniu imienia Mesjasza. Znane są wypadki perwersyjnego uroku, jaki kult ten wywiera na osoby z przyzwoitego towarzystwa. Wśród nawróconych znajduje się były namiestnik Cypru z rodziny Sergiuszów Paulów; fakt, że sprawia mu przyjemność towarzystwo zmiataczy ulic, niewolników i handlarzy starzyzną, świadczy wyraźnie o ujemnym wpływie, jaki kult Jezusa wywiera na kulturę obyczajową. Swoją rezygnację ze stanowiska namiestnika umotywował tym, że nie może składać przysięgi na boga Augusta, gdyż zakazuje mu tego jego nowy Bóg. Przyjąłem rezygnację, ale równocześnie skreśliłem go z listy dostojników państwowych. Kiedy później zapytałem Sergiusza o nową wiarę, zapewnił mnie, że jest całkiem apolityczna, że Jezus był człowiekiem niezwykle mądrym, obyczajnym i lojalnym w stosunku do rządów rzymskich. Zaprzeczył, jakoby nauka Jezusa była mieszaniną religijnych poglądów żydowskich i greckich. Twierdził, że wywodzi się ona z kół tzw. rabinicznych, będących wyrazem umiarkowanych poglądów, i jest ich udoskonaleniem, kontrastującym całkowicie z zabobonnym formalizmem tak zwanych uczonych w Piśmie (na których poparcie liczył Herod), kładzie bowiem większy nacisk na miłość bliźniego niż na boską karą czekającą tych, którzy łamią prawo Mojżeszowe; większą wagą przywiązuje do ducha niż do litery owego prawa.

Ślubowań złożonych Wenerze dotrzymałem zaraz po przyjeździe do Italii. Bogini ukazała mi się we śnie i rzekła z uśmiechem: „Klaudiuszu, dach mej świątyni przecieka, napraw go, proszę.” Gruntownie odrestaurowałem też jej sławną świątynią na górze Eryks na Sycylii. Przybytek ten chylił się bowiem ku upadkowi. Spośród starych rodów sycylijskich mianowałem kapłanów i wyznaczyłem pokaźną dotację roczną ze skarbu państwa. Zbudowałem też piękną kaplicę dla nimfy Egerii w grocie pod Arycją, a jako wotum umieściłem wewnątrz złotą ręką gaszącą świecę. Na świecy wyryty był napis w sabińskim dialekcie:

Chyżej zwiastunce zwycięstwa w podzięce od kulawego Klaudiusza.

Spraw, żeby jego świeca spaliła się aż do ostatka, dając jasne światło, a płomień jego nieprzyjaciół niech zgaśnie nagle.

Rozdział XXII

44 r. n.e.

Triumfalny wjazd odbyłem w dzień Nowego Roku. Senat okazał tyle łaskawości, że uchwalił mi jeszcze pięć innych zaszczytów. Po pierwsze więc obdarzył mnie Wieńcem Obywatelskim. Był to wieniec ze złotych liści dębowych, przyznawany pierwotnie żołnierzowi, który pospieszył na pomoc bezbronnemu, zdanemu na łaskę przeciwnika towarzyszowi i zabiwszy wroga pozostał zwycięzcą na placu.

Odnaczenie to nadawano rzadziej, niżby można przypuszczać. Koniecznym bowiem było świadectwo uratowanego żołnierza, który miał obowiązek przedstawić swego wybawiciela do nagrody. Otóż niełatwo przychodziło znaleźć w armii rzymskiej żołnierza, który by się przyznał, że był zdany na łaskę i niełaskę przeciwnika, a życie zawdzięczał tylko silniejszemu czy odważniejszemu koledze. Każdy wołał sarkać, że tylko pośliznęła mu się noga i byłby, zerwawszy się z ziemi, sam rozprawił się z przeciwnikiem, gdyby ten ambitny kolega w nadmiarze gorliwości nie wtrącił się i nie odebrał mu zwycięstwa. Później przyznawano to odznaczenie dowódcom pułków lub armii, którzy dzięki bohaterstwu lub rozwadze ocalili życie swych podwładnych. Na tej właśnie ostatniej podstawie otrzymałem Wieniec, a mam wrażenie, że zasłużyłem nań dzięki temu, iż nie słuchołem wskazówek mego sztabu. Na wieńcu widniał napis: Za ocalenie życia współobywatelom. Pamiętacie, że kiedy po raz pierwszy obwołano mnie cesarzem, gwardia pałacowa zmusiła mnie do włożenia podobnego wieńca, którym Kaligula raczył odznaczyć sam siebie za zwycięstwo nad Niemcami. Nie miałem wtedy prawa do tej odznaki, toteż wstydiłem się bardzo, kiedy mi ją włożono {choć przecież i Kaligula nie miał do niej również prawa). Drugim zaszczytem było obdarzenie mnie Wieńcem Okrętowym. Wieniec ten, zdobny w dzioby statków, wręczano za bohaterskie

czyny na morzu; otrzymywał go więc na przykład marynarz, który pierwszy wdarł się na nieprzyjacielski pokład, albo admirał, który zniszczył flotę nieprzyjacielską. Przyznano mi go za to, że naraziłem życie wypływając na morze w niepewną pogodę, byleby tylko jak najprędzej dotrzeć do Brytanii. Zawiesiłem później te obydwie wieńce nad głównym wejściem do pałacu.

Trzecim odznaczeniem był dziedziczny tytuł Brytanika. Mój synek stał się obecnie w ten sposób Druzusem Brytanikiem albo po prostu Brytanikiem, i stale już go tym imieniem nazywałem. Czwartym zaszczytem było wzniesienie dwóch łuków triumfalnych na pamiątkę zwycięstwa; jeden stanął w Boulogne, jako punkcie zbornym, skąd wyruszyłem; drugi w Rzymie na Drodze Flamińskiej. Łuki te wyłożono marmurem i z obu stron ozdobiono trofeami i płaskorzeźbami przedstawiającymi moje zwycięstwo; na szczycie znajdował się brązowy rydwan. Piątym odznaczeniem było wydanie dekretu, który dzień mego triumfu ogłaszał świętem narodowym po wsze czasy. Oprócz tych pięciu zaszczytów uchwalono dwa dodatkowe dla Messaliny. Przyznano jej mianowicie prawo zasiadania w teatrze w pierwszym rzędzie razem z westalkami, obok konsulów, wyższych urzędników i ambasadorów obcych państw, i prawo używania krytego pojazdu państwowego. Tak więc Messalina posiadała teraz te wszystkie przywileje, jakimi zaszczycono ongiś Liwie; nie dopuściłem tylko do przyznania jej tytułu Augusty.

Po długotrwałej niepewnej pogodzie słońce w dzień mego triumfu zdecydowało się zabłysnąć w całej swej okazałości, a edylowie i inni urzędnicy postarali się, żeby Rzym wyglądał tak świeżo i tak wesoło, jak tylko ta czcigodna i dostojna stolica może wyglądać. Fasady świątyń i domów wymyto, ulice zamieciono tak czyściutko jak podłogę w senacie, kwiaty i błyszczące przedmioty zdobiły każde okno, na stołach wyniesionych przed bramy domów piętrzyły się prowianty. Wszystkie świątynie stały otworem, kaplice i statuy uwieczono girlandami, na każdym ołtarzu płonęły kadzidła. Wszyscy mieszkańcy przywdziali swe najlepsze szaty.

Noc spędziłem w obozie gwardii. O świcie zarządziłem generalny przegląd wojsk, które miały wziąć udział w pochodzie triumfalnym, i rozdzieliłem między żołnierzy pieniądze, które wedle obliczeń przypadły im ze sprzedaży łupów i niewolników wziętych w Londynie, Colchester i gdzie indziej. Wynosiło to po trzydzieści aureusów dla szeregowca i odpowiednio więcej dla wyższych szarż. Dla żołnierzy, których nie można było zabrać z Brytanii na triumf, wysłałem już uprzednio sumę na wypłatę gratyfikacji w tej samej wysokości. Równocześnie przyznałem wiele odznaczeń: tysiąc łańcuchów na szyję za wyróżniające się zachowanie na polu bitwy; cztery tysiące faler (były to złote medale przypominające kształtem amulety, jakimi ozdabia się końską uzdę) dla kawalerzystów i tych żołnierzy piechoty, którzy zabili nieprzyjacielskiego kawalerzystę lub woźnicę; czterdzieści masywnych złotych naramienników za wyjątkową dzielność; przy wręczaniu odznak odczytałem listę czynów, za które zostały przyznane; sześć oliwnych wieńców za przyczynienie się do zwycięstwa, choćby nie bezpośrednio (między innymi dostali je komendant obozu i admirał floty). Trzy Wieńce Warowne dla tych, którzy pierwsi wdarli się przez ostrokół do siedziby nieprzyjacielskiej; jedną Włócznię Bez Grotu, którą ofiarowywano tak jak Wieniec Obywatelski za uratowanie życia. Dostał ją Posides, a zasłużył sobie na nią dziesięciokrotnie.

Senat na mój wniosek uchwalił odznaki triumfalne dla wszystkich uczestników wyprawy należących do stanu senatorskiego. To znaczy, dla wszystkich dowódców pułków i wyższych oficerów sztabowych. Ku memu wielkiemu żalowi ani Aulus, ani Wespazjan nie mogli wziąć udziału w uroczystościach; poza nimi zjawili się wszyscy. Odznaczeni zostali obaj bracia, Hosidiusz Geta i Lucjusz Geta, który dowodził ośmioma batalionami gwardii; mam wrażenie, że po raz pierwszy w dziejach Rzymu dwaj bracia w tym samym dniu przywdziali triumfalne szaty. Lucjusz Geta został moim nowym komendantem gwardii, a raczej objął to stanowisko wspólnie z niejakim Kryspianem, którego mianował podczas mojej nieobecności Witeliusz. Justus

bowiem, poprzedni komendant, już nie żył. W przeddzień bitwy pod Brentwood otrzymałem od Messaliny wiadomość wysłaną przez pospiesznego kuriera. Donosiła mi, że Justus usiłował wybadać, którzy oficerowie gwardii opowiedzieliby się za nim w razie zbrojnej rewolty. Mając do Messaliny najpełniejsze zaufanie i nie chcąc narażać się na ryzyko, wydałem bezzwłocznie rozkaz stracenia Justusa. Po latach dopiero dowiedziałem się prawdy. Justus zwietrzywszy, co podczas mej nieobecności dzieje się w skrzydle pałacowym zamieszkanym przez Messalinę, poradził się jednego z pułkowników, czy lepiej od razu listownie o wszystkim mi donieść, czy poczekać, aż wrócę. Pułkownik należał do zauszników Messaliny; poradził więc Justusowi poczekać, aby złe nowiny nie oderwały mnie od mych wojskowych obowiązków, a następnie udał się wprost do Messaliny. Śmierć Justusa, o której przyczynie wkrótce wiedziało całe miasto, była dla wszystkich przestrogą; dlatego też pozostawało dla mnie wciąż tajemnicą to, o czym wiedział każdy - ba, o czym wiedzieli nawet moi wrogowie w Brytanii i Partii, jakkolwiek by to się mogło wydawać nieprawdopodobne. Messalina ze złego brnęła w coraz gorsze. Nie będę jednak tutaj szczegółowo opisywał jej postępowania, gdyż wówczas jeszcze o niczym w ogóle nie wiedziałem. Kiedy wracałem z Francji, wyjechała naprzeciw mnie do Genui, a serdeczność, z jaką mnie przywitała, była jedną z przyczyn, dla których w tym czasie czułem się tak szczęśliwy. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy mały Brytanik i jego siostrzyczka wyrosli do niepoznania. Śliczne z nich były dzieciaki.

Chciałbym, żebyście sobie zdawali sprawę z tego, jak wielkie znaczenie miał dla mnie ów dzień. Chyba na całym świecie nie ma nic wspanialszego niż rzymski triumf. To nie triumf jakiegoś barbarzyńskiego monarchy, który pokonał swego rywala; to zaszczyt, który ofiarowuje wolny lud jednemu ze swego grona w uznaniu jego wielkich zasług. Wiedziałem, że uczciwie zasłużyłem sobie na ten zaszczyt i że ostatecznie wykazałem bezpodstawność ujemnej opinii, jaką miała o mnie rodzina, nazywając mnie człowiekiem

zupełnie bezwartościowym, urodzonym w złą godzinę, matołkiem, niedorajdą przynoszącym hańbę swym znakomitym przodkom. Noc spędziłem w obozie gwardii i śniło mi się, że przyszedł mój brat Germanik, uściskał mnie i powiedział tym swoim poważnym tonem: „Spisałeś się doskonale, drogi bracie, lepiej, niżbym kiedykolwiek przypuszczał. Przywróciłeś dobre imię orężowi rzymskiemu.” Obudziwszy się wczesnym rankiem, postanowiłem znieść wydane przez Augusta prawo, mocą którego wjazd triumfalny mogli odbywać tylko cesarz i członkowie jego rodziny. Postanowiłem, że jeśliby Aulus prowadząc w dalszym ciągu kampanię w Brytanii wywiązał się z wyznaczonego mu zadania i utrwalił podbój rzymski w południowej części wyspy, postawię w senacie wniosek o przyznanie mu prawa do samodzielnego triumfu. Moim zdaniem, okoliczność, że byłem jedynym człowiekiem, który mógł zgodnie z prawem odbyć triumf, raczej umniejszała, niż zwiększała płynącą stąd chwałę. August rozporządzenie o triumfach wydał w tym celu, aby generałowie rzymscy nie rozjątrzali umyślnie pogranicznych ludów, w nadziei, że odniesione nad nimi zwycięstwo da im sposobność odbycia triumfu. Moim zdaniem jednak, istniały inne sposoby powstrzymania militarystycznych zapędów generałów niż uczynienie triumfu, ongiś dostępnego dla wszystkich, rodzinną ceremonią Cezarów.

Po rozdaniu odznaczeń udzieliłem trzech audiencji. Na pierwszej przyjąłem wszystkich namiestników prowincji, poprosiwszy uprzednio senat, aby pozwolił się im na pewien czas zjawić w Rzymie. Następnie przyjąłem poselstwo sprzymierzonych królów, a wreszcie wygnańców. Uzyskałem bowiem od senatu pozwolenie na powrót wszystkich banitów, ale tylko na czas trwania uroczystości triumfalnych. Ta ostatnia audiencja była dla mnie bardzo przykra. Wielu przybyłych wyglądało mizernie i robiło wrażenie chorych, a wszyscy we wzruszający sposób prosili o rewizję ich procesów. Dodawałem im otuchy przyrzekając, że osobiście zbadam każdą sprawę, a jeśli dojdę do wniosku, że w interesie publicznym leży darowanie lub złagodzenie kary,

wstawię się za nimi do senatu. Obietnicy dotrzymałem i wielu z tych, których odwołania nie mogłem senatowi zaproponować, pozwolono przynajmniej zmienić miejsce wygnania - w każdym wypadku była to zmiana na lepsze. Zmianę miejsca zaproponowałem i Senece, on jednak odmówił oświadczając, że nie pragnie poprawy losu, dopóki ciąży na nim niełaska Cezara. Całoroczny mróz, który, wedle opowiadań podróżników, skuwa w lodowe pęta kraj nieokrzęsanych Finów; wieczysty żar prażący pustynny piach za Atlasem, dokąd dotarły zwycięskie armie Cezara, na przekór naturze rozszerzając mapę znanego świata; ziejące febrą moczary Brytanii, ostatnio ujarzmionej wraz z jej żyznymi równinami i dolinami dzięki wojskowemu geniuszowi Cezara; a nawet wszystkim chorobom sprzyjający klimat Korsyki, gdzie nieszczęśliwy Seneka, autor tego memoriału, kona od dwu lat - a może od dwu wieków? - krótko mówiąc, mróz, ogień, opary i korsykańska mieszanina mrozu, ognia i oparów uchodzą omal uwagi stoicko nastrojonego wygnańca, którego jedyną myślą jest: w cierpliwości znosić przygniatający ciężar niełaski i stać się godnym przebaczenia Cezara, jeżeli ten najwyższy dar może być kiedyś nadspodziewanie jego udziałem. Byłem gotów wysłać Senekę do jego rodzinnej Hiszpanii, zwłaszcza że wstawiał się za nim jego przyjaciel, a mój sekretarz Polibiusz. Lecz skoro sam się upierał przy Korsyce, to niech bądźzie Korsyka. Narcyz dowiedział się od urzędników portowych w Ostii, że na pamiątkę tej krótkiej wizyty w Rzymie dzielny stoik zabrał z sobą na Korsykę między innymi wysadzane klejnotami złote pucharki, puchowe poduszki, indyjskie korzenie, kosztowne olejki, stoły i kanapki z wonnego afrykańskiego drzewa sandałowego wykładane kością słoniową, obrazy w guście Tyberiuszowym, pokaźne ilości falernijskiego wina i (choć ta ostatnia pozycja należy do trochę odmiennej kategorii) kompletne wydanie moich dzieł.

O dziesiątej mieliśmy ruszyć. Pochód wkroczył do miasta od strony północno-wschodniej, przez bramę triumfalną i posuwał się ulicą Świętą. Porządek był następujący: najpierw szedł pieszo senat w paradnych szatach, z

urzędnikami służby cywilnej na czele, następnie wybrany oddział trębaczy, którzy, wyćwiczeni specjalnie w marszach triumfalnych, dęli jak jeden mąż. Muzyka ta miała, zwrócić uwagę tłumów na zaprzężone w muły platformy z łupem, które eskortowali Niemcy z batalionu straży pałacowej, ubrani w cesarskie barwy. Na platformach leżały stosy złotych i srebrnych monet, broń, zbroje, rzędy końskie, klejnoty, złote ozdoby, sztaby cyny i ołowiu, kosztowne puchary, ozdobne brązowe wiadra i różny sprzęt zabrany z pałacu Cymbelina w Colchester, liczne okazy emalierskiego kunsztu, tak wysoko stojącego w północnej Brytanii, rzeźbione i malowane godła totemowe, naszyjniki z agatu, bursztynu i pereł, haftowane szaty druidów, rzeźbione wiosła rybackie i całe mnóstwo innych pięknych, cennych lub nie znanych w Rzymie przedmiotów. Za wozami jechało dwanaście najpiękniejszych, jakie mogliśmy wybrać, rydwanów brytyjskich, zaprzęgniętych w dobrane maścią kuce. Na każdym z rydwanów widniał na drążkach nad głową woźnicy napis podający nazwę jednego z dwunastu zwyciężonych plemion brytyjskich. Następnie jechał szereg konnych zaprzęgów z modelami zdobytych miast i warowni: modele były wykonane z drzewa lub gliny i pomalowane; na innych znów wozach urządzono żywe obrazy przedstawiające hołd składany naszej armii przez rzeczne bóstwa; każda z tych alegorycznych grup miała za tło obraz bitwy malowany na olbrzymim płótnie. Na końcu wieziono model owej słynnej kamiennej świątyni boga Słońca, o której już poprzednio pisałem.

Dalej szedł oddział flecistów grający rzewne melodie. Poprzedzali oni stado białych byków, które rycząc głośno i przyczyniając niemało zamieszania szły pod strażą kapłanów Jowisza. Byki te, przeznaczone na ofiarę, miały złocone rogi, a na nich czerwone wstążki i girlandy kwiecica. Kapłani nieśli topory i noże. Za nimi szli pomocnicy ze złotymi misami i innym świętym sprzętem. Następnie jechał ciekawy okaz żywego morsa. Zwierzę to, wielkości wołu, o ogromnych jak u słonia kłach, zostało w czasie drzemki na brzegu złapane przez wartowników naszego obozu. Potem ukazały się brytyjskie żubry

i jelenie; szkielet wieloryba wyrzucony przez morze i cysterna o przezroczystych ścianach pełna bobrów. Następnie niesiono zbroje i odznaki wziętych do niewoli wodzów; potem szli w otoczeniu rodzin wodzowie, którzy wpadli w nasze ręce, za nimi pomniejsi jeńcy w pętach. Żałowałem, że w pochodzie brakuje Karaktaka. Był za to Kattigern z żoną, żona i dzieci Togodumna, mały synek Karaktaka i trzydziestu znaczniejszych wodzów.

Następnie maszerowała kompania niewolników państwowych; szli parami, a każdy niósł na poduszce złoty wieniec. Wieniec te przysłali mi w dowód uznania sprzymierzeni królowie i państwa. Za niewolnikami postępowało dwudziestu czterech liktorów w purpurowych szatach, a każdy trzymał pęk różeg z tkwiącą wewnątrz siekierą. Siekiery wieńczył wawrzyn. Potem jechał czterokonny rydwan wykonany na zlecenie senatu ze srebra i hebanu. Pomijając tradycyjny kształt i płaskorzeźby przedstawiające sceny z dwu bitew i burzy morskiej, którymi miał ozdobione boki, przypominał on bardzo ów wóz, który kazałem połamać na ulicy Złotniczej, jako zbyt luksusowy. W rydwanie ciągniętym przez cztery konie jechał autor niniejszej historii - nie Klau-Klau-Klaudiusz ani Klaudiusz Idiota, ani Ten Klaudiusz, ani Klaudiusz Jąkała lub Biedny Stryjcio Klodzio, lecz zwycięski, triumfujący Tyberiusz Klaudiusz Druzus Neron Cezar August Germanik Brytanik, cesarz, Ojciec Ojczyzny, arcykapłan, trybun na najbliższe cztery lata, trzykrotny konsul, odznaczony Wieńcem Obywatelskim i Okrętowym, trzykrotnymi insygniami triumfalnymi i innymi pomniejszymi odznaczeniami cywilnymi i wojskowymi, zbyt licznymi, aby móc je wymienić. Ta dostojna i szczęśliwa osobistość ubrana była w złotem haftowany płaszcz i kwiecistą tunikę; w prawej, nieco drżącej ręce trzymała gałąź wawrzynu, w lewej berło z kości słoniowej zakończone sylwetką złotego ptaka. Wieniec z delfickiego wawrzynu ocieniał jej czoło, a zgodnie z wskrzeszonym starożytnym zwyczajem twarz, ramiona, szyja i nogi (jednym słowem to, co wyglądało spod szat) pomalowane były na jaskrawoczerwony kolor. W rydwanie zwycięzcy jechał pokrzykując i klaszcząc

w ręce jego mały synek Brytanik, udekorowany odznaką Oliwnego Wieńca, jego przyjaciel Witeliusz, który w czasie nieobecności zwycięzcy sprawował rządy, i jego całkiem mała córka Oktawia, trzymana na rękach przez młodego Sylana, któremu ta funkcja przypadła w udziale jako przyszłemu małżonkowi. Sylan, w towarzystwie młodego Pompejusza, żonatego z drugą córką zwycięzcy, Antonią, przywiózł do senatu uwieńczone wawrzynem pismo.

Uzyskał on prawo przywdziania szat triumfalnych, podobnie jak i młody Pompejusz, który także jechał w rydwanie trzymając na kolanach małego Brytanika. Obok jechał konno ojciec Pompejusza, Krassus Frugi, który obecnie przywdział po raz drugi szaty triumfalne - po raz pierwszy przywdział je po zwycięstwie Galby nad Chattami. Nie należy też zapominać o niewolniku, który stał w rydwanie i trzymał nad głową zwycięzcy złotą etruską koronę wysadzaną klejnotami - dar narodu rzymskiego. Do obowiązków niewolnika należało też od czasu do czasu szepnąć zwycięzcy do ucha starożytną sentencję. „Obejrzyj się za siebie i wspomnij, że jesteś śmiertelny!” Była to przestroga przed zawiścią bogów, którą łatwo zwycięzca mógł obudzić, jeśli przydawał sobie zbyt wiele boskiego majestatu i zapominał o pokorze. Aby go zaś ustrzec przed urokiem ze strony widzów, przymocowano do rydwanu mały amulet falliczny: dzwonek i bicz.

Za rydwanem zwycięzcy jechała w państwowej karecie jego żona Messalina. Dalej, pieszo, szli wodzowie, którym zostały przyznane triumfalne szaty. Następnie ci, którzy otrzymali Wieniec Oliwny; potem pułkownicy, kapitanowie, sierżanci i inne szarże, udekorowani za waleczność. Potem słonie. Za nimi sprzężone parami wielbłądy ciągnęły wozy, na które załadowano owych sześć maszyn piorunowych pomysłu Kaliguli, tak dobrze zużytkowanych przez Posidesa. Dalej kroczył król Żuraw na szczudłach; z jego szyi zwisał złoty medal. Opowiadano mi później, że najwięcej po mnie oklaskiwano króla Żurawia. Potem kroczył Posides z Włócznią, a obok hiszpański okulista; ten ostatni odziany był w togę, gdyż otrzymał obywatelstwo rzymskie. Następnie

jechała konnica, a za nią w szyku maszerowała piechota. Żołnierze uwieńczyli broń wawrzynem. Młodszy krzyczeli: lo Triumphe!, i śpiewali hymny zwycięskie; weterani natomiast korzystali z przywileju, który im w dzień triumfu rozwiązywał usta i pozwalał natrzasać się ze zwycięzcy. Weterani dwudziestego pułku ułożyli zgrabną piosenkę:

*Klaudiusz zastynął z uczoności,
Hojniej niż krew atrament lał,
Gdy przyszło walczyć mu w Brytanii,
Nie zląkł się mieczów ani strzał,
Lecz sznury, kołki, smród wielbłądzi.
Za najdzielniejszy oraz miał.
O! O! Och!
Sznury i kołki, smród wielbłądzi
Rozbiły Brytów armię w puch,
Zwiali Brytowie z wielką wrzawą,
Bo krzyczał każdy z nich za dwóch.
Każdy z nich ryczał jak sam Klaudiusz,
Gdy nagle go rozboli brzuch.
O! O! Och!*

Opowiadano mi, że na końcu kolumny śpiewano nieprzystojne piosenki o Messalinie. Znajdowałem się jednak za daleko, żeby je słyszeć. A zresztą gdyby je śpiewali nawet tuż przede mną kroczący liktorzy, też pewnie bym nie słyszał, tak przeraźliwie wrzeszczał tłum. Za piechotą postępowały oddziały posiłkowe z Balearami i Nubijczykami na czele.

Na tym zamykał się właściwy pochód. Za nim, niby drugi pochód triumfalny, snuła się wśród śmiechów i wiwatów gromada pospólstwa towarzysząca Babie, kłownowi aleksandryjskiemu, który przyjechał do Rzymu,

żeby naładować tu swoje sakwy pieniędzmi. Baba jechał na miejskim wozie od śmieci, zaprzężonym w gęś, owcę, prosię i lisa. Umalowany był na niebiesko wyciągiem z brytyjskiej marzanny i ubrany w strój będący parodią szat triumfalnych. Płaszcz miał zszywany z kawałków, a tunikę zrobioną ze starego worka i obramowaną brudnymi kolorowymi wstążkami. Za berło służył mu kapuściany głąb z przywiązany do końca zdechłym nietoperzem, a oset zastępował wawrzynową gałąź. Nasz najślawniejszy rodzimy błazen Auguryń zgodził się niedawno dopuścić Babę do współludziału w rządach nad Bractwem Włóczęgów. Baba miał być do mnie uderzająco podobny i dlatego w przedstawieniach, które dawali obaj na odleglejszych ulicach miasta, grał zawsze rolę Cezara; Auguryń zależnie od okoliczności przedstawiał Witeliusza, konsula danego roku, pułkownika gwardii albo któregoś z moich ministrów. Posiadał on nieprzeciętny talent parodystyczny. Tym razem grał rolę niewolnika: trzymał nad Babą koronę (przewrócony nocnik, w którym od czasu do czasu znikła głowa Baby) i łaskotał go kogucim piórem. Tunika Baby była rozdarta z tyłu i odkrywała lędźwie pomalowane na niebiesko w jaskrawe czerwone plamy, co robiło wrażenie roześmianej twarzy ludzkiej. Ręce dygotały mu jak u opętanego, podrzucał głową, przedrzeźniając mój nerwowy tik, i wywracał oczami, a kiedy Auguryń dał mu się zbyt we znaki, bił go, opędział się ostem lub zdechłym nietoperzem. W następnej śmieciarce rozłożona pod podartym baldachimem naga Murzynka, olbrzymich rozmiarów, z mosiężnym pierścieniem w nozdrzach, karmiła małe różowe prosię. Jakies obdartusy i włóczykije pchali przed sobą taczki, na których były złożone łupy tego konkurencyjnego triumfu. Znajdowały się tam odpadki wyrzucane z kuchni, połamane łóżka, przegniłe sienniki, zardzewiałe żelastwo, popękane garnki i wszelkiego rodzaju zapleśniała starzyzna. Rolę jeńców odgrywali karły, tłusciochy, albinosi, kuternogi, ślepcy, wodogłowcy i ludzie cierpiący na odrażające choroby, wybrani właśnie ze względu na wyjątkowość swojej brzydoty. Reszta pochodu miała też odpowiedni wygląd. Opowiadano mi

później, że modele i obrazy ilustrujące zwycięstwa Baby były w swoim, to jest trywialnym rodzaju przepocieszne. Jak Rzym Rzymem nie oglądano nic podobnego.

Kiedy dotarliśmy do Kapitolu, zsiadłem z rydwanu, aby zgodnie ze zwyczajem dopełnić ceremoniału, który przyznam, kosztował mnie niemało fizycznego wysiłku; musiałem mianowicie pokornie na klęczkach przebyć schody wiodące do świątyni Jowisza Kapitolijnskiego. Podtrzymywali mnie z jednej strony młody Pompeusz, z drugiej Syllan. Zazwyczaj podczas tego punktu uroczystości doprowadzano głównych wodzów nieprzyjacielskich do leżącego obok świątyni więzienia i tam ich tracono. Obyczaj ten był pozostałością zamierzchłych czasów, kiedy w podzięcie za zwycięstwo składano ofiary z ludzi. Ze względów politycznych zaniechałem tej tradycji i postanowiłem darować wodzom życie, aby tym, którzy nam w Brytanii stawiali opór, dać przykład rzymskiej łagodności. Wprawdzie Brytowie składali ofiary z jeńców, ale byłoby nonsensem upamiętniać nasze zamiary ucywilizowania wyspy aktem pierwotnego barbarzyństwa. Miałem zamiar przyznać wziętym do niewoli wodzom i ich rodzinom niewielkie pensyjki ze skarbu państwa i w ten sposób zachęcić ich do zromanizowania się; kiedy później doszłoby do tworzenia brytyjskich oddziałów posiłkowych, miałbym gotowych oficerów, którzy by potrafili zgodnie współdziałać z naszymi własnymi siłami.

Chociaż zrezygnowałem z ofiarowania Jowiszowi wodzów, nie omieszkałem mu ofiarować białych byków i części zdobyczy (co piękniejsze okazy złotego sprzętu z pałacu Cymbelina). Na kolanach świętego posągu złożyłem też laurowy wieniec, który miałem na głowie. Następnie ja, moi współtowarzysze triumfu i Messalina byliśmy podejmowani oficjalną ucztą, urządzoną przez kapłanów Jowisza, wojsko zaś rozproszyło się po mieście, które gościnnie przyjmowało zwycięzców. Zaiste, nieszczęśliwy był dom, przy którego stole nie zasiadł choć jeden z triumfujących bohaterów. Poprzedniego wieczoru otrzymałem poufną wiadomość, że dwudziesty pułk planował

urządzenie podobnej pijackiej orgii, w jakiej już raz brał udział podczas triumfu Kaliguli; zamierzali przypuścić szturm do ulicy Złotniczej, a w razie gdyby drzwi sklepów były pozamykane, posłużyć się ogniem i taranami. Początkowo chciałam powierzyć obronę ulicy korpusowi gwardii, lecz że doprowadziłoby to tylko do rozlewu krwi, wpadłem na lepszy pomysł. Kazałem wydać wojskom dodatkową porcję wina, żeby je wypili za moje zdrowie. Manierki napełniono tuż przed wyruszeniem pochodu, a żołnierze otrzymali rozkaz pić nie wcześniej, aż trąby dadzą znak, że ofiarę zgodnie z przepisami złożono. Wszyscy dostali porządne wino, ale dla dwudziestego pułku kazałem je zaprawić odwarem z maku. Kiedy więc wypili moje zdrowie, zmorzył ich taki sen, że zanim się obudzili, dawno było po triumfalnym wjeździe; z przykrością muszę wyznać, że jeden z żołnierzy nie obudził się już więcej. Przynajmniej jednak żadna poważniejsza awantura nie zmaćla spokoju tego dnia.

Pod wieczór odprowadzono mnie do domu z pochodniami i orkiestrą flecistów; pochodowi temu towarzyszył nieprzeliczony tłum wiwatujących i śpiewających obywateli. Byłem całkiem wyczerpany i zmywszy tylko z twarzy czerwoną farbę poszedłem zaraz do łóżka; uroczystości jednak ciągnęły się całą noc i nie dawały mi zasnąć. o północy wstałem i w towarzystwie Narcyza i Pallasa wyszedłem na ulicę. Miałem na sobie białą togę, strój przeciętnego obywatela. Chciałem się dowiedzieć, co właściwie ludzie o mnie myślą. Wmieszaliśmy się w tłum. Na schodach wiodących do świątyni Polluksa i Kastora siedziały gromadki obywateli. Przysiedliśmy i my na chwilę. Ludzie gawędzili i zagadywali jedni drugich bez żadnych ceremonii. Cieszyłem się, że wolność słowa, tak długo tłumiona przez Tyberiusza i Kaligulę, powróciła wreszcie do Rzymu. Nie wszystko jednak z tego, co usłyszałem, było mi miłe. Zdawało się na ogół panować przekonanie, że wjazd triumfalny był bardzo piękny, ale byłoby jeszcze piękniej, gdybym rozdzielił pieniądze nie tylko między żołnierzy, ale również między obywateli i podwyższył rację zboża. (Zboża znowu było tej zimy skąpo choć nie z mojej winy.) Z ciekawością

wysłuchałem opowiadania jakiegoś pokiereszowanego kapitana z czternastki, siedzącego obok nas ze swoim bratem, którego, jak się okazało, nie widział od szesnastu lat. Początkowo mimo nalegań brata kapitan nie chciał opowiadać o bitwie i rozprawiał o warunkach, jakie przedstawia Brytania dla stojących tam garnizonem wojsk. Przy odrobinie szczęścia, twierdził, można uzbierać na wyspie ładną fortunę. Niedługo, ma nadzieję, będzie mógł wystąpić z wojska jako rycerz. W ostatnich dziesięciu latach uciułał sporo forsy zwalniając za pieniądze żołnierzy swojej kompanii od różnych obowiązków służby, a „nad Renem nie ma wiele okazji do wydawania pieniędzy - to nie to, co w Rzymie”.

- Prawdę, mówiąc - rzekł w końcu - my, oficerowie czternastego pułku, nie uważamy bitwy pod Brentwood za nic nadzwyczajnego. Cesarz zbyt nam ułatwił robotę. Ho, ho, ho, co to za spryciarz z naszego cesarza! To jeden z tych, jak ich zowią, strategów. Wszystko wie z książek. Ta łapka ze sznurów, na przykład, to typowy strategiczny pomysł. Albo to ptaszysko kłapiące skrzydłami i wydające niesamowite dźwięki. Ale strategia to nie to, co żołnierskie rzemiosło. Stary Aulus Plaucjusz ruszył prosto na środkowy ostrokół i nie pytał, jaki będzie tego skutek. Stary Aulus to żołnierz. Gdyby miał swobodę działania, sprawiłby nam krwawszą bitwę. My, oficerowie z czternastki, wolimy dobrą bijatykę od sprytnej strategii. Rrznąć i zabijać! To przecież cel żołnierskiego życia. Że ponieśliśmy ciężkie straty? Cóż stąd? Taki już żołnierski los; a dla tych, co pozostaną przy życiu, łatwiej o awans. Przez cały ten czas nie było w czternastce żadnego awansu. Zginęło dwóch kaprali. To wszystko. Nie, to było zrobione za łatwo. Mnie się jeszcze lepiej udało niż wielu innym. Na czele pierwszego plutonu ruszyłem między wozy, gdzie zabiliśmy dobrą kupę Brytów. Dostałem też łańcuch, więc nie mogę się skarżyć. Ale jeśli chodzi o całość pułku, to bitwa nie była na poziomie dwu poprzednich, które stoczyliśmy przed przybyciem cesarza. Pod Medway, tam była rąbanina, co się zowie; nikt temu nie zaprzeczy.

- Dzielny z ciebie wojak, kapitanie - zaskrzeczała jakaś stara kobieta. -

Wszyscy mamy dla ciebie prawdziwą wdzięczność i dumni jesteśmy z takiego żołnierza, ale co do mnie, to mam dwóch chłopców w drugim pułku, a choć spotkał mnie zawód, że nie przyjechali dzisiaj na urlop do domu, dziękuję bogom, że ich zostawili przy życiu. Gdyby twój generał Aulus miał swobodę działania, może by obaj zostali tam na wzgórzu brentwoodzkim na pastwę kruków.

- Tak, tak - przytaknął jakiś stary Francuz. - Co do mnie, nie kłopotałbym się o to, w jaki sposób wygrano bitwę, byleby wygrano jak się patrzy. Słyszałem dziś wieczór, jak dwaj oficerowie rozmawiali o bitwie i jeden z nich powiedział: „O tak! To była chytra strategia, aż za chytra - trąci oliwą.” A ja na to zapytam: czy cesarz odniósł wspaniałe zwycięstwo, czy nie odniósł? Odniósł. A więc: niech żyje cesarz!

Lecz kapitan nie ustępował:

- Trąci oliwą, powiedzieli. Dobrze powiedziane. Strategiczne zwycięstwo, ale trąci oliwą. Cesarz jest w ogóle za chytry, nie pachnie dobrym żołnierzem. Co do mnie, bogom dziękuję, że nigdy w życiu nie czytałem żadnej książki.

Kiedyś wracali do domu, zapytałem nieśmiało Narcyza:

- Chyba się nie zgadzasz z tym kapitanem, co?

- Nie, Cezarze. I ty chyba również. Myślę jednak, że mówił, jak przystało na dzielnego i uczciwego człowieka, a zresztą jest tylko prostym kapitanem. Toteż powinieneś być raczej zadowolony z tego, co usłyszałeś. Nie życzysz sobie chyba w armii kapitanów, którzy umieją zbyt dużo albo myślą zbyt wiele. W każdym razie całą zasługę przypisywał tobie.

- Albo jestem skończonym idiotą, albo rzeczywiście zbyt chytrym - mruknąłem niezbyt uspokojony.

Uroczystości triumfalne trwały trzy dni. Na drugi dzień odbyły się równocześnie widowiska w cyrku i amfiteatrze. Pierwsze składały się z dziesięciu wyścigów rydwanów, z zapasów, z walki pomiędzy jeńcami brytyjskimi a niedźwiedziami i narodowego tańca z mieczami w wykonaniu

chłopców z Azji Mniejszej. W amfiteatrze zainscenizowano zdobycie Colchester i hołd nieprzyjacielskich wodzów. Stoczona też została bitwa między trzystu Katawellaunami i tyluż Trynowantami, w której wzięły udział zarówno piechota, jak i rydwany. Katawellaunowie odnieśli zwycięstwo. Przed południem trzeciego dnia mieliśmy wyścigi konne i bitwę pomiędzy uzbrojonymi w szerokie miecze Katawellaunami a kompanią włóczników numidyjskich, których w poprzednim roku wziął do niewoli Geta. Na zakończenie odbyło się przedstawienie w teatrze - złożone ze sztuk, interludium i popisów tańca akrobatycznego. Mnester był tego dnia wspaniały i na żądanie widowni trzykrotnie powtórzył swój taniec triumfalny w Orestesie i Pyladesie, w której to sztuce grał rolę Pyladesa. Za czwartym razem jednak odmówił. Wytknął głowę zza kurtyny i wykrzyknął łobuzerskim tonem.

- Nie mogę, proszę państwa. Już poszliśmy z Orestesem do łóżka.

- Chciałabym, mój drogi, żebyś trochę natarł uszu Mnesterowi - powiedziała na drugi dzień Messalina. - Znadto, jak na człowieka swego zawodu i pochodzenia, podkreśla swą niezależność, chociaż nie przeczę, że aktor z niego niezrównany. Podczas twojej nieobecności dwa czy trzy razy zachował się w stosunku do mnie bardzo grubiańsko. Poprosiłam go, żeby przy sposobności jakiegoś święta wznowił mój ulubiony balet - jak wiesz, objęłam ogólny nadzór nad igrzyskami i widowiskami, gdyż Witeliusz uważał, że ma za dużo roboty, i wykryłam wtedy liczne nadużycia popełnione przez sekretarza Harpokrasa, więc kazaliśmy go stracić, ale Feronakt, którego mianowałam na jego miejsce, bardzo powoli wciągał się do tej pracy; miałam z tego powodu dużo trudności, a Mnester zamiast mi robotę ułatwić, swoim potwornym uporem przyczyniał jeszcze więcej kłopotu. Nie, powiedział, on nie może wystawić Ulissesa i Cyrce, gdyż nie ma nikogo odpowiedniego do roli Cyrce. A kiedy zaproponowałam Minotaura, odpowiedział, że nie cierpi roli Tezeusza, a tańczyć w trzeciorzędnej roli króla Minosa jest poniżej jego godności. I przez cały czas robił mi tego rodzaju trudności. Nie chciał po prostu zrozumieć, że

jestem twoją zastępczynią i że musi robić to, co ja mu rozkażę. Nie chciałam go jednak ukarać, gdyż nie wiedziałam, czy sobie tego będziesz życzył, i zaczekałam do tej pory.

Kazałem przywołać Mnestera.

- Słuchaj no, Greczynku - rzekłem. - To jest maja żona, cesarzowa Waleria Messalina. Senat rzymski ma o niej równie wysokie wyobrażenie jak ja; zaszczycił ją niedawno najwyższymi odznaczeniami. Podczas mojej nieobecności pełniła za mnie pewne obowiązki i z zadania tego wywiązała się ku memu całkowitemu zadowoleniu. Obecnie skarży się, że uchylała się od współpracy z nią i zachowywała nader zuchwale. Zapamiętaj więc sobie: cokolwiek ci Messalina poleci, choćby to nawet miało urażać twoją zawodową próżność, masz jej być we wszystkim posłuszny. We wszystkim, zapamiętaj to sobie, Greczynku, i żadnych „ale”. We wszystkim i zawsze.

- Rozkazałeś, Cezarze - zawołał Mnester i z przesadną uległością upadł mi do nóg. - Wybacz, proszę, moją głupotę. Nie wiedziałem, że mam być posłuszny Messalinie we wszystkim, myślałem, że tylko w niektórych rzeczach.

- A więc teraz już wiesz.

Tak zakończyły się uroczystości mego triumfu. Wojska powróciły do swoich obowiązków w Brytanii, a ja powróciłem do cywilnego ubrania i swoich obowiązków w Rzymie. Nie zdarzyło się nikomu dotychczas i prawdopodobnie nie zdarzy się w przyszłości, żeby ktoś, nie mający za sobą w młodych latach żadnej służby wojskowej, stoczył swą pierwszą bitwę w pięćdziesiątym czwartym roku życia, odniósł druzgocące zwycięstwo i do końca życia nie wyruszył więcej w pole.

Rozdział XXIII

W dalszym ciągu prowadziłem rozpoczęte dzieło reformy, starając się przede wszystkim wyrobić w swoich podwładnych poczucie odpowiedzialności obywatelskiej. Ogłosiłem nominacje wyszkolonych przeze mnie urzędników skarbowych, którzy stanowiska swoje otrzymywali na okres trzech lat. Usunąłem ze stanu senatorskiego namiestnika południowej Hiszpanii, gdyż oskarżony przez wojska służące w Maroku o zmniejszenie im na swoją korzyść racji zboża do połowy, nie mógł oczyścić się z zarzutów. Oskarżono go też o defraudację innego rodzaju i musiał zapłacić sto tysięcy aureusów. Obchodził potem znajomych i chcąc pozyskać sobie ich sympatię opowiadał, że padł ofiarą intrygi uknutej przez Posidesa i Pallasa, których obraził wypominając im pochodzenie od niewolników. Nie zyskało mu to jednak wiele współczucia. Pewnego dnia wczesnym rankiem wystawił na licytację całe urządzenie domu. Było tego trzysta wozów, wszystko przedmioty wyjątkowej wartości. Wywołał tym wielką sensację, gdyż był właścicielem bezkonkurencyjnego zbioru korynckich waz. Zebrał się wielki tłum handlarzy i znawców. Wszyscy łykali ślinkę na myśl o takiej okazji i oglądali, co by sobie wybrać. „Biedny Umboniusz - mówili między sobą. - No, ten już jest skończony. Teraz na nas przyszła kolej. Nigdy się z nami nie chciał podzielić, choć ofiarowywaliśmy mu ładną cenę. Teraz możemy wszystko nabyć za bezcen.” Spotkało ich jednak rozczarowanie. Kiedy już wbito w ziemię włócznię na znak, że licytacja rozpoczęta, wystąpił Umboniusz i zaproponował nabycie jego szaty senatorskiej. Następnie włócznię wyciągnięto znowu z ziemi na znak, że licytacja skończona, i o północy, kiedy znowu wedle przepisów mógł się rozpocząć ruch kołowy, Umboniusz zabrał wszystko z powrotem do domu. Chodziło mu bowiem tylko o to, żeby pokazać wszystkim, iż dość ma jeszcze pieniędzy i może jako prywatny człowiek żyć bardzo wygodnie. Nie puściłem

mu jednak tego afrontu płazem. Wazy korynckie obłożyłem w tym roku bardzo wysokim podatkiem, od którego nie mógł się uchylić, gdyż kolekcję swoją wystawił na pokaz publiczny, a nawet dokładną listę okazów wywiesił na tablicy aukcyjnej.

W tym czasie po raz pierwszy zająłem się bliżej sprawami nowych religii i kultów. Co roku zjawiało się w Rzymie wiele nowych, cudzoziemskich bóstw. Było to wyrazem potrzeb religijnych imigrantów i przeciw temu nie miałem zasadniczo żadnych zastrzeżeń. Tak na przykład kolonia arabska w Ostii - kupcy z Jemenu i ich rodziny, razem około czterystu osób - wzniosła świątynię poświęconą swemu plemiennemu bóstwu; kult ten w niczym nie zamącał spokoju publicznego, nie wymagał ofiar z ludzi ani żadnych skandalicznych obrzędów. Zarzuty, które stawiałem, tyczyły niesolidnej konkurencji pomiędzy wyznaniem. Kapłani bowiem i misjonarze różnych wyznań chodzili od domu do domu szukając dla swej wiary nowych wyznawców, a propagandowe przemówienia wzorowali na stylu licytatorów, rajfurów lub wędrownych greckich astrologów. Odkrycie, że religia może być przedmiotem handlu tak jak oliwa, figi czy niewolnicy, dokonane zostało w Rzymie u schyłku republiki i przedsięwzięto wtedy kroki, aby wprowadzić ten towar na rynek, ale bez wielkiego sukcesu. Po podboju Grecji, kiedy filozofia grecka rozpowszechniła się w Rzymie, dał się odczuć wyraźny upadek ducha religijnego. Filozofowie, nie zaprzeczając istnieniu bóstwa, robili zeń tak odległą abstrakcję, że naród praktycznie myślący, jak Rzymianie, zaczął dowodzić: „Więc dobrze, bogowie są nieskończenie potężni i mądrzy, ale również nieskończenie dalecy. Zasługują na naszą cześć i będziemy ich czcić z całego serca, będziemy im wznosić świątynie i składać ofiary, ale oczywistym nieporozumieniem byłoby sądzić, że są bezpośrednio obecni, że zadają sobie trud uśmiercenia grzesznika lub ukarania całego miasta za winy jednego obywatela; albo że zjawiają się w ludzkiej postaci. Popelnialiśmy błąd biorąc poetycką fikcję za prozę rzeczywistości. Musimy zrewidować nasze poglądy.”

Takie powiedzenie stwarzało bardzo niewygodną przepaść pomiędzy przeciętnym obywatelem a odległymi ideałami, takimi jak na przykład Moc, Rozum, Piękno, Czystość, w które filozofowie przemieniali Jowisza, Merkurego, Werierę i Dianę. Wyłoniła się potrzeba czegoś pośredniego. I oto przepaść zaludniła się tłumem nowych boskich i półboskich postaci. Były to przeważnie cudzoziemskie bóstwa o bardzo określonej osobowości; nie tak łatwo przychodziło filozofować na ich temat. Można je było wezwać zaklęciami i przyjmowały widzialny kształt ludzki. W pewnych wypadkach nawet utrzymywały z wyznawczyniami stosunki płciowe. Za rządów mego stryja Tyberiusza zdarzył się na tym tle głośny skandal. Pewien bogaty rycerz kochał się w mężatce ze sfer nobilew, kobiecie o nienaganych obyczajach. Usiłował pieniędzmi skusić ją do wiarołomstwa, ofiarowując aż dwa tysiące pięćset aureusów za jedną schadzki. Niewiasta odtrąciła tę propozycję z oburzeniem i przestała się odklaniać na ulicy zuchwałemu wielbicielowi. Rycerz, który wiedział, że jego ideał należy do wyznawczyń Izydy, mającej świątynię w Rzymie, przekupił kapłanów bogini. Ci, otrzymawszy pięćset aureusów, pospieszyli do niewiasty z wiadomością, że kocha się w niej bóg Anubis i pragnie, żeby go odwiedziła. Kobiecie wielce pochlebiła ta wiadomość, przybyła wskazanej nocy do świątyni, gdzie w najświętszym przybytku, na łożu samego boga, rycerz przebrany za Anubisa zażywał z nią rozkoszy do białego rana. Głupia gęś nie posiadała się ze szczęścia. Opowiedziała mężowi i znajomym, jaki to zaszczyt ją spotkał, i większość dawała wiarę jej słowom. W trzy dni później spotkała na ulicy owego rycerza i jak zazwyczaj chciała go minąć, nie odpowiadając na ukłon. Zastąpił jej jednak drogę i biorąc poufale za ramię rzekł:

- Zaoszczędziłaś mi, kochanie, dwa tysiące aureusów. Dla takiej gospodarnej jak ty kobiety wstyd wyrzucać pieniądze za okno. Osobiście nie przywiązuję wagi do nazwisk. Ty za to nie cierpisz mnie, a uwielbiasz Anubisa. Musiałem się więc przed paru dniami zrobić Anubisem. Ale przyjemność była

taka sama, jak gdybym wystąpił pod własnym nazwiskiem. A teraz do widzenia. Dostałem, com chciał, i jestem najzupełniej zadowolony.

Nigdy chyba żadna kobieta nie czuła się tak zmiażdżona i przerażona. Pobieгла do domu i opowiedziała mężowi, w jaki sposób podstępnie nadużyto jej dobrej wiary. Przysięgła, że jeżeli natychmiast jej nie pomści, odbierze sobie życie ze wstydu. Mąż, senator, pobiegł do Tyberiusza, a Tyberiusz, który wielce go poważał, kazał zburzyć świątynię Izydy, kapłanów ukrzyżować, a posąg bogini wrzucić do Tybru. Co do samego rycerza, to ten śmiało powiedział Tyberiuszowi:

- Znasz potęgę miłości. Nic nie jest w stanie się jej oprzeć. A postępek mój powinien być przestrogą dla wszystkich porządných kobiet, żeby nie chwycyły się religijnych nowinek, lecz trzymały dobrych, starych rzymskich bogów.

Skończyło się więc na tym, że Tyberiusz wygnał tylko na parę lat winowajcę. Mąż, którego szczęście małżeńskie zostało przez tę aferę zrujnowane, rozpoczął kampanię przeciw wszystkim szarlatanom. Czterech misjonarzy żydowskich, którzy nawrócili na swoją wiarę pewną niewiastę z rodu Fulwiuszów, oskarżył o to, że nakłoniwszy neofitkę, by w wotywnym darze wysłała do świątyni jerozolimskiej sukna barwy złota i purpury, sprzedali te dary na własny rachunek. Tyberiusz uznał winę za dowiedzioną i kazał przeniewierców ukrzyżować. Aby przestrzec na przyszłość przed takimi praktykami, wygnał wszystkich Żydów z Rzymu na Sycylię. Na wyspę przyjechało cztery tysiące banitów, z czego połowa zmarła na febrę w parę miesięcy po przybyciu. Pozostałym Kaligula zezwolił potem wrócić.

Tyberiusz, jak sobie przypominacie, wygnał z Italii wszystkich wróżbitów i rzekomych astrologów. Charakter jego przedstawiał ciekawą mieszankę ateizmu i zabobonności, łatwowierności i sceptycyzmu. Pewnego razu przy obiedzie oświadczył, że wobec niezmienności gwiazd oddawanie czci bogom jest bezużyteczne; on sam wierzy w przeznaczenie. Astrologów skazał na

banicję chyba powodowany chęcią posiadania monopolu na wróżby. Trazyl bowiem pozostał i nie odstępował go do końca życia. Tyberiusz nie orientował się jednak, że choć gwiazdy nie kłamią, nie można być pewnym, czy astrologowie, nawet najlepsi, potrafią wyczytać z nich przepowiednie z całą dokładnością lub powtórzyć całkiem szczerze to, co wyczytali. Nie jestem ani sceptykiem, ani specjalnie przesądnym człowiekiem. Kocham stare formy i obrzędy i w dziedzictwie przejąłem wiarę w starych rzymskich bogów, których nie chcę poddawać filozoficznej analizie. Jestem zdania, że każdy naród powinien czcić swoje własne bóstwa na swój własny sposób (byleby to był tylko sposób cywilizowany), a nie przyjmować bezmyślnie obcych bogów. Jako arcykapłan Augusta musiałem uważać go za boga; półbóg Romulus był ostatecznie na początek nikiem innym jak biednym rzymskim pasterzem, prawdopodobnie znacznie mniej zdolnym i pracowitym od Augusta. Gdybym był współczesnym Romulusowi, byłbym się prawdopodobnie roześmiał słysząc, że kiedyś będzie mu oddawana cześć jako półbogu. Boskość ostatecznie jest kwestią stanu faktycznego, a nie zapatrywania. Jeżeli człowiek odbiera cześć boską, jest bogiem. Jeżeli bóg przestaje być czczony, jest niczym. Kiedy Kaliguli oddawano cześć i wierzono weń jak w boga, był rzeczywiście istotą nadprzyrodzoną.

Otoczający go nimb, skutek czci, którą mu oddawali prostaczkowie, uniemożliwił Kasjuszowi Cherei zamordowanie cesarza. Spiskowcy sami czuli ten majestat boski i cofali się przed nim. Może by nawet nigdy nie doszło do zamachu, gdyby Kaligula sam nie ściągnął na swoją głowę nieszczęścia opowiadając, że wedle wyroczni ma zginąć z rąk zabójców.

August jest obecnie szczerze czczony przez miliony ludzi. Ja sam modłę się doń z równym zaufaniem jak do Marsa lub do Wenery. Odróżniam jednak wyraźnie historycznego Augusta, którego słabości i pomyłki dobrze mi są znane, od boga Augusta, który jest przedmiotem publicznej czci i rzeczywiście osiągnął boską potęgę. Chcę przez to powiedzieć, że nie mogę zbyt gwałtownie

potępić śmiertelnika, który z własnej woli nadaje sobie charakter bóstwa. Jeżeli może nakłonić ludzi, by mu szczerze oddawali cześć boską, a nie ma żadnych zjawisk świadczących, że nieba sprzeciwiają się tej deifikacji, wtedy jest bogiem i musi być za takiego uznany. Ale kult Augusta jako bóstwa wyższego nigdy nie byłby w Rzymie możliwy, gdyby filozofowie nie byli stworzyli przepaści pomiędzy zwykłym człowiekiem a tradycyjnymi bóstwami. Dla przeciętnego obywatela rzymskiego August doskonale wypełniał tę lukę. Wspominano go jako szlachetnego i łaskawego władcę, który dał może silniejsze dowody zapobiegliwej miłości do miasta i cesarstwa niż sami bogowie olimpijscy.

Pomimo to jednak kult Augusta raczej czynił zadość względem politycznym, niż zaspokajał uczuciowe potrzeby osób religijnych. Wolały one udać się do Izydy, Serapisa lub Imutesa, aby w misteriach odbywających się ku czci któregoś z tych bóstw upewnić się, że „bóg” jest czymś więcej niż odległym ideałem doskonałości lub upamiętnieniem chwały zmarłego herosa. Chcąc się przeciwstawić tym egipskim kultom - moim zdaniem, nie oddziaływały one dobrze na naszą greckorzzymską kulturę - wymogłem na stałej komisji obcych wyznań, tak zwanym Kolegium Piętnastu, że pozwoliła mi spopularyzować misteria o bardziej odpowiednim dla nas charakterze. Tak na przykład kult Cybeli, bogini czczonej przez naszych trojańskich przodków, a więc już przez to samo mogący dobrze służyć naszym własnym potrzebom religijnym, wprowadzono na rozkaz wyroczni przed jakimiś dwustu pięćdziesięciu laty. Misteria jednak odbywały się prywatnie pod przewodnictwem frygijskich kapłanów rzezańców. Żadnemu bowiem obywatelowi rzymskiemu nie wolno było skastrować się w ofierze bogini. Wszystko to teraz zmieniłem. Arcykapłanem Cybeli został rzymski rycerz, choć nie skastrowany, i poważni obywatele mogli brać udział w obrzędach. Próbowałem też wprowadzić w Rzymie greckie misteria eleuzyjskie. Nie potrzebuję chyba opisywać przebiegu tego sławnego attyckiego święta ku czci bogini Demetry i jej córki Persefony, gdyż dopóki żyje język grecki, dopóty

będą powszechnie znane. Lecz sama istota misteriów, których świąteczne uroczystości są tylko zewnętrzną szatą, nie jest bynajmniej znana szerokiemu ogółowi. Chętnie bym na ten temat więcej opowiedział, ale jestem niestety związany przysięgą. Ograniczę się tylko do stwierdzenia, że mają one związek z wiarą w istnienie świata pozagrobowego, w którym ludzie za cnotliwe życie na ziemi otrzymają nagrodę wiecznej szczęśliwości. Wprowadzając te misteria do Rzymu chciałem udział w nich ograniczyć do senatorów, rycerstwa i zamożniejszych obywateli. Myślałem, że uda mi się w ten sposób uzupełnić formalistyczny kult zwykłych bogów przez zobowiązanie do cnoty, płynące od wewnątrz, a nie narzucone ustawą czy edyktem. Niestety, plan ten upadł. Wszystkie główne wyrocznie greckie, nie wyłączając delfickiego Apolla, dały nieprzychylną odpowiedź, ostrzegając mnie przed groźnymi konsekwencjami „przeniesienia Eleuzis do Rzymu”. Czy byłoby bluźnierstwem przypuścić, że bogowie greccy zawarli między sobą spółkę mającą na celu obronę ruchu pielgrzymów, który stał się obecnie głównym źródłem dochodu dla ich ojczyzny?

Wydałem edykt zakazujący obywatelom rzymskim uczęszczania do synagog i wygnałem z miasta pewną liczbę energiczniejszych misjonarzy żydowskich. O tym moim kroku napisałem do Heroda. Odpowiedział, że postąpiłem bardzo mądrze i że on ma zamiar w swych dominiach zastosować tę samą zasadę, a raczej jej odwrotność. Zakaże greckim nauczycielom filozofii wykładać w żydowskich miastach i zabroni współuczestnictwa w nabożeństwie w świątyni jerozolimskiej wszystkim Żydom, którzy by gdzie indziej słuchali tych wykładów. Ani Herod, ani ja nie zrobiliśmy w naszych listach najlżejszej aluzji do wypadków w Armenii i Partii. A oto jak się sprawy przedstawiały: Wysłałem króla Mitrydatesa do Antiochii, gdzie Marsus przyjął go z wielkimi honorami i odesłał do Armenii wraz z dwoma batalionami regularnych wojsk, kolumną oblężniczą i sześcioma batalionami posiłkowymi, złożonymi z syryjskich Greków. Mitrydates w marcu stanął na miejscu. Wielkorządca Partii,

który ruszył naprzeciw niego, został pobity. Nie znaczyło to jednak, aby Mitrydates mógł od razu wejść bez przeszkód w posiadanie królestwa. Kotys, król Armenii Małej, wysłał zbrojnych na pomoc partyjskiemu wielkorządcy, a choć kolejno i ta ekspedycja została pobita, w całym szeregu warowni garnizony odmówiły poddania się i rzymska kolumna oblężniczą musiała zdobywać jedną fortecę za drugą. W każdym razie brat Mitrydatesa, król Gruzji, dotrzymał obietnicy i wtargnął od północy. W lipcu obydwaj bracia złączyli swoje armie nad rzeką Aras i zdobyli trzy główne miasta Armenii: Mufargin, Ardesz i Erzerum.

W Partii Bardanes zebrał w krótkim czasie znaczną armię, zasiloną oddziałami przysłanymi przez królów Osroeny i Adiabeny, i ruszył przeciw swemu bratu Gotarzesowi, który rezydował w tym czasie w Ekbatanie, w kraju Medów. Rajd korpusu konnicy na dromaderach pod komendą Bardanesa był tak niespodziewany i nagły - w dwa dni przebył on trzysta mil - że Gotarzes zdjęty panicznym strachem uciekł, a nowy władca przyjął hołd wszystkich lennych królestw i miast partyjskiego imperium. Jedyny wyjątek stanowiła Seleucja położona nad brzegiem Tygrysu, która, zbuntowawszy się przed siedmiu laty, utrzymywała wytrwale swą niepodległość. Było to niezmiernie dla nas szczęśliwe, że Seleucja nie uznała zwierzchności Bardanesa, gdyż zdobycie tego miasta stało się obecnie punktem ambicji nowego władcy i odwróciło jego uwagę od ważniejszych spraw. A ze swoimi olbrzymimi murami nie była miastem łatwym do zdobycia. Wprawdzie Bardanes znajdował się w posiadaniu Ktesifonu, miasta na przeciwległym brzegu Tygrysu, lecz nie panował nad samą rzeką, a silna flota seleucka mogła zaopatrywać miasto w żywność zakupywaną u przyjaźnie usposobionych plemion arabskich na zachodnim wybrzeżu Zatoki Perskiej. Toteż, kiedy Bardanes tracił cenny czas nad Tygrysem, Gotarzes, który umknął do Buchary, zebrał nową armię. Oblężenie Seleucji trwało od grudnia do kwietnia, to jest do chwili kiedy Bardanes słysząc o krokach Gotarzssa zwinął armię i pomaszerował przez właściwą Partię tysiąc mil na północny

wschód do Baktrii, gdzie wreszcie spotkał się z Gotarzesem. Armia Bardanesa była nieco liczniejsza i lepiej wyekwipowana, niemniej nie można było ręczyć za wynik oczekiwanej bitwy. Bardanes zdawał sobie sprawę, że jeżeli nawet odniesie zwycięstwo, może to być zwycięstwo pyrrusowe, które nie pokryje poniesionych strat. Kiedy więc Gotarzes w ostatniej chwili zaproponował układy, przystał na propozycję. W wyniku odbytej rozmowy Gotarzes formalnie abdykował, w zamian za co Bardanes darował mu życie, posiadłość na południowym wybrzeżu Morza Kaspijskiego i roczne apanaże w wysokości odpowiedniej do jego stanu. Tymczasem król Adiabeny i sąsiedni władcy wywarli nacisk na Seleucję, żeby się poddała na odpowiednich warunkach. W połowie lipca Marsus otrzymał wiadomość, że Bardanes jest bezspornym władcą Partii i z wielką armią podąża na zachód. Doniósł mi zaraz o tym wypadku i przesłał równocześnie inne niewesołe nowiny: oto Herod pod pozorem, że żołnierze greckich pułków stacjonowanych w Cezarei uwłaczają mu i wygają, rozbroił garnizon i zapędził do roboty przy budowie dróg i naprawie szanów miejskich. To jednak nie wszystko. Pod kierunkiem żołnierzy gwardii Heroda odbywały się na pustyni potajemne ćwiczenia wielkiego korpusu ochotników żydowskich. W ciągu trzech miesięcy - pisał Marsus - los imperium rzymskiego na Wschodzie rozstrzygnie się w ten lub inny sposób.

Uczyliem wszystko, co mogłem w podobnej sytuacji uczynić. Do namiestników wschodnich prowincji wysłałem bezzwłocznie rozkaz zmobilizowania wszystkich sił, jakimi tylko rozporządzają. Wysłałem też jedną eskadrę floty do Egiptu, aby uśmierzyć powstanie Żydów Aleksandryjskich, którego wybuch przewidywałem, drugą do Antiochii na pomoc Marsusowi. Zmobilizowałem siły w Italii i w Tyrolu. Nikt jednak z wyjątkiem Marsusa, mnie i mojego ministra spraw zagranicznych, Feliksa, któremu musiałem ufać, gdyż prowadził całą moją korespondencję dyplomatyczną, nie wiedział, jak straszne chmury gromadzą się od Wschodu. I nikt poza nami trzema nigdy nie dowiedział się o tym, gdyż dzięki wyjątkowemu zdarzeniu losu burza nigdy nie

wybuchła.

Nie posiadam zdolności dramatycznych, jak mój brat Germanik. Jestem tylko historykiem i niewątpliwie większość ludzi musi uważać mnie zasadniczo za prozaicznego nudziarza, dochodzę jednak do tego punktu mojej historii, w którym nagie fakty, nie upiękkszzone retorycznymi ozdobami, mogą wprawić czytelników w równie poetyczne osłupienie, jak mnie w swoim czasie. Lecz pozwólcie najpierw opowiedzieć, jak król Herod Agryppa przybył z Jerozolimy do Cezarei, gdzie miała się odbyć uroczystość z racji moich urodzin. Przybywał w niezwykłym podnieceniu ducha, duma rozsadzała mu pierś. Fundamenty pod olbrzymi gmach, o którym marzył od tak dawna, pod gmach cesarstwa wschodniego, były gotowe. Potężne i solidne. Wystarczyło jednego słowa, a mury tego gmachu (jak sam powiedział do królowej Cypros) „wystrzelą w szafir nieba olśniewająco białe; z góry zamknie je kryształowy dach, a wkoło, jak sięgnąć okiem, otoczą je urocze ogrody, cieniste kolumnady i sadzawki pełne nenufarów”. Wewnątrz wszystko będzie z berylu i opalu, szafiru, sardonyksu i czystego złota, a w wielkiej sali sądowej jaśnieć będzie diamentowy tron, tron Mesjasza, którego przedtem znano pod imieniem Heroda Agryppy.

Z tych planów Herod zwierzył się w tajemnicy arcykapłanowi i sanhedrynowi, a wszyscy bez wyjątku pokłonili mu się do ziemi, wielbili Boga i uznali w Herodzie przepowiadanego Mesjasza. Mógł teraz już publicznie objawić się narodowi żydowskiemu i całemu światu. Miały zabrzmieć słowa: „Bliski jest dzień wyzwolenia, rzecze Pomazaniec Pański. Złammy jarzmo niesprawiedliwego.” A wtedy Żydzi powstaną jak jeden mąż i oczyszczą ziemię Izraela z cudzoziemców i niewiernych. W samym tylko państwie Heroda było obecnie dwieście tysięcy Żydów wyćwiczonych w używaniu broni. A całe tysiące ich czekały w Egipcie, Syrii i na Wschodzie. Żyd, walczący w imię swego boga, jak wskazuje historia Machabeuszów, potrafi wydobyć z siebie heroizm graniczący z szałem. Nigdy nie istniała bardziej karna rasa. Nie brakowało też oręża ni zbroi. Do siedemdziesięciu tysięcy rynsztunków, które

Herod znalazł w skarbcu Antypasa, dołączył obecnie dwieście tysięcy, nie licząc tych zabranych Grekom. Fortyfikacje Jerozolimy nie były wprowadzone skończone, ale w ciągu niecałych sześciu miesięcy miasto mogło stać się nie do zdobycia. Nawet po moim zakazie Herod potajemnie kontynuował prace, kopiąc pod świątynią olbrzymie magazyny i prowadząc pod murami długie tunele, biegnące milę poza miasto, toteż gdyby nawet przyszło do oblężenia, garnizon mógł czynić nagłe wycieczki i atakować oblegającą armię od tyłu.

Zawarł też tajne przymierze przeciw Rzymowi z sąsiednimi królami i miastami w promieniu stu mil. Tylko fenickie miasta Tyr i Sydon odrzuciły jego propozycje, czym bardzo się kłopotał, gdyż Fenicjanie są doświadczonymi żeglarzami i ich flota była mu potrzebna do strzeżenia wybrzeży. Obecnie jednak i oni przyłączyli się doń. Wspólna deputacja obydwu miast nawiązała kontakt z szambelanem królewskim Blastusem i pokornie oświadczyła, że mając do wyboru nieprzyjaźń Rzymu albo narodu żydowskiego, wybierają mniejsze zło i przybyli prosić jego królewskiego pana o przyjaźń i przebaczenie. Blastus zakomunikował warunki, które ostatecznie przyjęli. Jeszcze tego samego dnia miało nastąpić ich formalne poddanie się. Herod zażądał, żeby wyrzekli się Astarty i innych bóstw, przyjęli obrzęd obrzezania i zaprzysięgli wieczyste posłuszeństwo bogu Izraela i jego przedstawicielowi na ziemi, Herodowi Pomazańcowi.

Tym symbolicznym aktem chciał Herod zainicjować swoje chwalebne panowanie. Siądzie na tronie - marzył - trębacze zadną w baranie rogi, a on rozkaże swoim żołnierzom, by mu przynieśli posąg Augusta stojący na rynku miejskim i mój własny posąg stojący opodal i uwieńczony na dzień urodzin girlandami kwiatów. Wtedy zawołał do zebranego tłumu: „Tak mówi Pomazaniec Pański: Porąbcie w kawałki wszystkie bałwany, które znajdują się na mojej ziemi, bo jestem Bogiem zazdrosnym.” Po czym młotem pogruchoce posągi Augusta i mój i odrąbie nam głowy. Tłum wyda wielki krzyk radości, a on zawołał znowu: „Tak mówi Pomazaniec Pański: O dzieci moje! Dzieci Sema!

pierworodni synowie mego służy Noego, oczyśćcie ten kraj z cudzoziemców niewiernych, a mieszkanie synów Jafeta niechaj będzie waszym łupem, gdyż godzina wyzwolenia jest bliska.” Wiadomość ta jak pożar przeleci przez kraj. I będą mówić jedni drugim: „Objawił się Pomazaniec i porąbał posągi Cezarów. Radujmy się w Panu. Splugawmy świątynie pogan i weźmy w niewolę wrogów.” Zasłyszają o tym Żydzi aleksandryjscy, powstaną w liczbie trzystu tysięcy i zmasakrowawszy nasz szczupły garnizon opanują miasto. Zasłyszysz o tym Bardanes w Niniwie i pomaszeruje na Antiochię, a królowie Komageny, Armenii Małej i Pontu połączą z nim swe siły na granicy Armenii. Marsus ze swymi trzema batalionami regularnych wojsk i dwoma pułkami syryjskich Greków ulegnie przeważającej sile. Co więcej, Bardanes przysiągł w świątyni przed arcykapłanem, że jeśli Herod dopomoże mu w odebraniu tronu bratu (jak to już uczynił), on publicznie uzna się dłużnikiem Heroda, odeśle mu wszystkich Żydów, których znajdzie w imperium partyjskim, z rodzinami, trzodami i wszelakim dobytkiem, i zawrze wieczne przymierze z narodem żydowskim. Rozproszone owce Izraela wrócą nareszcie do zagrody, a będzie ich tyle, ile ziarn piasku na morskim wybrzeżu. Zajmą miasta, z których wypędzą cudzoziemców i niewiernych, i będą jednym świętym narodem, jak za dni Mojżesza, rządzonym przez większego niż Mojżesz, sławniejszego niż Salomon, przez Heroda, umiłowanego Pomazańca Pana.

Rzekoma uroczystość moich urodzin miała się odbyć w cezarejskim amfiteatrze. Dzikie zwierzęta, gladiatorzy, wozy wyścigowe - wszystko było gotowe do widowiska, którego Herod nigdy w rzeczywistości nie miał zamiaru urządzać. Widzowie składali się w części z syryjskich Greków, w części z Żydów, każda narodowość zajmowała oddzielną część amfiteatru. Tron Heroda znajdował się w części zajętej przez jego poddanych, obok zarezerwowano miejsca dla znakomitych gości. Rzymian nie było wcale; wszyscy znajdowali się w Antiochii, gdzie moje urodziny obchodzono uroczyście pod przewodnictwem Marsusa. Honorowe miejsca zajmowali posłowie arabscy, król

Iturei, delegacje z Tyru i Sydonu, matka i synowie króla Adiabeny i Herod Pollion z rodziną. Przed dopiekającym słońcem sierpniowym chroniły widzów wielkie zasłony z białego płótna. Nad tronem Heroda rozpięto zasłonę z purpurowego jedwabiu. Sam tron był ze srebra, wysadzany turkusami.

Tłum zapełnił już widownię i pozajmowawszy miejsca czekał na zjawienie się Heroda. Zabrzmiały trąby i równocześnie Herod pojawił się u wschodniego wejścia i ruszył na czele świty uroczystym krokiem przez arenę. Wszyscy powstali z miejsc. Herod nosił królewski strój ze srebrnej lamy, pokrytej srebrnymi wypolerowanymi blaszkami, które w słońcu rzucały oślepiający blask. Na głowie miał złoty diadem skrzący się diamentami, a w ręku trzymał srebrzyście połyskujący miecz. Obok szła Cypros w królewskiej purpurze, a za nią urocze małe córeczki, ubrane w szatki z białego jedwabiu haftowanego w arabeski, z purpurowym i złotym szlakiem. Herod szedł z podniesioną głową i poddanych obdarzał królewskim uśmiechem. Wreszcie wszedłszy na podwyższenie zasiadł na tronie, a król Herod Pollion, posłowie arabscy i król Iturei opuścili swe miejsca i podeszli do stopni tronu.

- O królu, obyś żył wiecznie - przywitali Heroda po hebrajsku.

Na takim jednak powitaniu nie mogli poprzestać mężowie tyryjscy i sydońscy, którzy czuli się w obowiązku zatrzeć pamięć swego poprzedniego, niezbyt kurtuazyjnego zachowania. Upadli tedy plackiem, a przewodniczący tyryjczyków odezwał się tonem najgłębszej pokory:

- Okaż nam swą łaskę, wielki królu. Żałujemy swej niewdzięczności.

Przewodniczący sydończyków zaś dodał:

- Dotychczas czciliśmy cię jako człowieka, ale teraz musimy uznać, żeś jest istotą wyższą od zwykłych śmiertelników.

- Uzyskałeś przebaczenie, Sydonie - odrzekł Herod.

A tyryjczyk zawołał:

- Oto jest głos Boga, nie człowieka.

- Tyrze, uzyskałeś przebaczenie - odpowiedział Herod i chciał dać znać

trębaczom, by zadęli w baranie rogi, lecz uniesiona ręka opadła z powrotem. Przez bramę bowiem, którą wszedł przed chwilą, wleciał teraz ptak i zaczął fruwać w tę i w ową stronę nad areną. Tłum patrzył zdumiony.

- Patrzcie! Patrzcie! Sowa! - rozległy się okrzyki. - Sowa oślepiła dziennym światłem!

Sowa usiadła na sznurze przytrzymującym zasłonę nad lewym ramieniem Heroda. Ten obrócił się i patrzył na nią osłupiałym wzrokiem. I dopiero wtedy przypomniał sobie przysięgę, jaką przed trzynastu laty w towarzystwie Aleksandra Alabarcha, Cypros i dzieci złożył w Aleksandrii. Przysięgał wtedy, że będzie czcił Boga żywego i zachowywał prawa Jego wedle mocy i sił swoich, i wzywał klątwy bożej, gdyby kiedykolwiek świadomie z zatwardziałości serca bluźnił jego imieniu. Otóż pierwszym i największym przykazaniem Boga, ogłoszonym przez usta Mojżesza, jest: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną.” Lecz wtedy kiedy tyryjczycy nazwali go bogiem, nie rozdarł swych szat i nie padł na twarz, aby odwrócić zawistny gniew niebios. Nie. Uśmiechnął się do bluźnierców i rzekł: „Tyrze, uzyskałeś przebaczenie.” A stojący obok lud podjął okrzyk: „Bóg, nie człowiek!” Ptak patrzył nieruchomym wzrokiem w twarz króla, Herod zbladł. Sowa pięciokrotnie zahukała, załopotana skrzydłami, przefrunęła nad rzędami ławek i znikła.

- To sowa, która odwiedziła mnie na podwórzu więziennym w Mizenum - zwrócił się Herod do Cypros. - Ta sama sowa. - Nagle przeraźliwy jęk wydarł mu się z piersi. Mdlejącym głosem przywołał swego koniuszego, Helcjasza, następcę Silasa. - Wynieście mnie - rozkazał. - Jestem chory. Niech mój brat, król Chalcydy, obejmie w zastępstwie przewodnictwo igrzysk.

Cypros przytuliła Heroda do siebie.

- Herodzie, królu mój, najdroższy mój, dlaczego jęczysz? Co cię boli? A Herod w odpowiedzi wyszeptał przeraźliwe słowa:

- Robaki toczą już me ciało.

Wyniesiono go. Baranie rogi nigdy nie zabrzmiały. Nie przyniesiono

posągów na połamanie. Żydowski żołnierz, ustawieni przed teatrem, aby na dany przez Heroda sygnał wkroczyć i rozpocząć rzeź Greków, pozostali na swych miejscach. Nie rozpoczęte igrzyska się skończyły. W tłumie Żydów powstał wielki lament i płacz. Ludzie rozdierali szaty i posypywali głowy pyłem. Szybko rozeszła się pogłoska, że król kona. Mimo straszliwych cierpień przywołał do siebie brata, Helcjasza, Taumasta i syna arcykapłana, a kiedy stanęli u łoża, rzekł:

- Już po mnie, przyjaciele. Za pięć dni umrę. Jestem szczęśliwszy od mego dziada Heroda, który po pierwszym ataku bólów męczył się jeszcze osiemnaście miesięcy. Nie skarzę się. Piękne miałem życie. Za to, co mnie spotkało, sam ponoszę winę. Przed sześciu dniami starszyzna Izraela powitała we mnie Pomazańca Pana, a dnia siódmego, szalony, pozwoliłem bluźnić Jego imieniu. Chociaż więc chciałem rozszerzyć królestwo boże po krańce świata, oczyścić je, zgromadzić rozproszone plemiona i oddawać Mu cześć aż po koniec dni moich, z powodu tego jednego grzesznego czynu zostałem odtrącony, jak odtrącony został mój pradziadek Dawid z powodu grzechu popełnionego przeciw Uriaszowi Hetycie. A teraz lud żydowski musi czekać nowego wieku, aż przyjdzie świętszy Odkupiciel i dokona tego, czego ja okazałem się niegodny dokonać. Powiedzcie sprzymierzonym królom, że pękł zwornik sklepienia i że nie przyjdzie im na pomoc naród żydowski. Powiedzcie im, że Herod kona i na łożu śmierci zleca, aby nie rozpoczynali wojny z Rzymem. Beze mnie bowiem są jako łódź bez steru, jako oszczep bez grotu, jako pęknięty łuk. Helcjaszu, dasz baczenie, aby Grekom nie stała się krzywda. Każesz też zwrócić broń, którą potajemnie rozdano Żydom, i złożysz ją w arsenale, w Cezarei Filipi, pod dobrą strażą. Grekom oddasz zabraną broń i każesz im powrócić do poprzedniej służby. Sługa mój Taumast dopilnuje, by długi moje zapłacono co do grosza. Ty, bracie Herodzie, weź pod swą opiekę umiłowaną małżonkę mą Cypros i córki me, Druzyllę i Mariamnę, aby nie wyrządzono im krzywdy, i uspokój lud, by nie popełnił jakiegoś szaleństwa. Pozdrówcie ode mnie Żydów

aleksandryjskich; niech mi przebaczą, że takie wzbudziwszy nadzieje, tak gorzki sprawiłem im zawód. A teraz idźcie i niech Bóg będzie z wami. Nie mogę dłużej mówić.

Żydzi przywdziali na siebie worki i pokładli się plackiem naokoło pałacu w straszliwym żarze słońca, a było ich dziesiątki tysięcy. Ujrzał ich Agryppa z okna na piętrze, gdzie znajdowała się jego sypialnia, i widok ten wycisnął mu łzy z oczu.

- Biedni Żydzi - westchnął. - Czekaliście tysiąc lat i musicie czekać drugi tysiąc, a może dwa tysiące, zanim zabłyśnie dzień chwały. To był zwodniczy świt. Oszukałem samego siebie i oszukałem was. - Zażądał pióra i pergaminu, chcąc, póki mu starczyło sił do utrzymania pióra, napisać do mnie list. Leży teraz ten list przede mną razem z innymi, które otrzymałem od Heroda. Serce się ściska, gdy porównać pismo. W poprzednich: śmiałe, zdecydowane, wiersz pod wierszem w regularnych odstępach, jak szereg stopni. Ostatni: bazgranina - wiersze biegną krzywo, litery poszarpane i połarmne w męce niby wyznanie zbrodniarza zdjętego z łoża tortur lub osmaganego kańczugiem. Krótka jest treść tego listu:

„To mój ostatni list. Umieram. Ciało moje jest pełne robaków. Wybacz swemu staremu druhowi, Zbójowi, który Cię kochał, choć potajemnie chciał oderwać Wschód. Dlaczego tak postąpiłem? Gdyż Jafet i Sem mogą żyć jako bracia, lecz każdy musi panować w swym własnym domu. Byłby Ci został Zachód od Rodos do Brytanii. Mógłbyś się wtedy pozbyć z Rzymu wszystkich wschodnich bogów i zwyczajów. I tylko wtedy mogła powrócić owa stara wolność, którą tak bardzo cenisz. Nie udało mi się. Zbyt niebezpieczną prowadziłem grę. Jesteś szalony, Małpeczko, ale zazdroszczę Ci Twego szaleństwa; to zdrowe szaleństwo. A teraz ostatnim tchnieniem zaklinam Cię: nie mścij się nad moją rodziną. Mój syn Agryppa jest niewinny; nie wiedział nic o moich ambitnych planach. Podobnie moje córki. Cypros czyniła, co mogła,

aby mnie odciągnąć od moich planów. Najlepiej dla Ciebie będzie, jeśli udasz, że o niczym nie wiesz. Swoich wschodnich sprzymierzeńców traktuj w dalszym ciągu jak wiernych sojuszników. Czymże są oni po odejściu Heroda? Żmijami, którym wyrwano zęby. Ufali mnie, ale nie mają zaufania do Fartów. Z państwa mego zrób znowu prowincję rzymską, jak było za czasów Tyberiusza. Nie zwracaj go memu stryjowi Antypasowi; pohańbiłbyś pamięć moją. Mianować następcą mego syna Agryppę nie byłoby bezpiecznie, ale przez wzgląd na mnie daj mu jakieś zaszczytne stanowisko. Nie podporządkuj mego państwa zarządowi Syrii, rządowi mego wroga Marsusa. Rządź nim sam, Małpeczko. Zrób namiestnikiem Feliksa. Feliks jest nikim, nie zrobi ani nic mądrego, ani nic głupiego. Nie mogę pisać dłużej. Palce odmawiają posłuszeństwa. Ból mnie skręca. Nie płacz po mnie. Miałem piękne życie i nie żałuję niczego - prócz jednego tylko szaleństwa, że nie doceniłem dumy, potęgi i zawiści wieczystego Boga Izraela i że zachowałem się wobec Niego jak głupi, mędrkujący Grek z Gadary. A teraz po raz ostatni: żegnaj mi, Tyberiuszu Klaudiuszu, którego kochałem wierniej, niżbyś mógł przypuszczać. Żegnaj, Małpeczko, druhu ze szkolnej ławy, i nie wierz nikomu, gdyż nikt nie jest godny Twego zaufania. Twój konający przyjaciel, Herod Agryppa, zwany

Zbójem.”

Przed śmiercią Herod jeszcze raz przywołał Helcjasza, Taumasta i brata, Heroda Polliona.

- Jeszcze jedno ostatnie zlecenie mam dla was - rzekł. - Idźcie do Silasa, który przebywa w więzieniu, i powiedzcie mu, że konam. Powiedzcie, że jestem dotknięty Herodową chorobą. Przypomnijcie mu przysięgę, którą pochopnie złożyłem w Aleksandrii, w domu Aleksandra Alabarcha. Powiedzcie, żeście widzieli mnie wijącego się w mękach agonii. Poproście, niech mi wybaczy, jeśli go skrzywdziłem. Niech mnie odwiedzi i przyjacielsko jeszcze raz uściśnie dłoń. A stosownie do odpowiedzi, jakiej wam udzieli, postąpcie z nim, jak

będzie wam się zdawało najśluszej.

Udali się tedy do więzienia i zastali Silasa w celi. Na kolanach trzymał tabliczki do pisania. Na widok wchodzących rzucił je na ziemię.

- Silasie - odezwał się Taumast - jeżeli tabliczki te zawierają zarzuty pod adresem twego króla i pana, Heroda Agryppy, dobrześ uczynił odrzucając je precz. Kiedy ci opowiemy, w jakim stanie znajduje się król, na pewno zapłaczesz i będziesz żałować, żeś mu kiedykolwiek czynił zarzuty lub żeś go publicznie zawstydził przez twój niepowściągliwy język. Król kona. Dotknięty został Herodową chorobą, której sam zbyt pochopnie domagał się w Aleksandrii, jeśliby kiedykolwiek obraził majestat Najwyższego.

- Wiem o tym - wtrącił Silas. - Byłem obecny przy przysiędze” i ostrzegałem później...

- Zamilcz, albowiem słuchasz słów królewskich. Oto co mówi król: Powiedzcie Silasowi, żeście widzieli mnie wijącego się w mękach agonii. Poproście, niech mi przebaczy, jeślim go skrzywdził. Może opuścić teraz swą celę i przyjść z wami do pałacu. Z radością w przyjaznym uścisku ujmę dłoń jego jeszcze raz, nim skonam.

- Wy jesteście Żydami, a ja tylko pogardzanym Samarytaninem - odrzekł chmurnie Silas. - Więc przypuszczalnie powinienem czuć się zaszczycony tą wizytą. Lecz muszę wam powiedzieć coś o Samarytanach: śmiałą mowę i uczciwe postępowanie stawiamy wyżej od jakiegokolwiek dobrej czy złej opinii, którą raczą mieć o nas nasi żydowscy sąsiedzi. Co się tyczy mego poprzedniego przyjaciela i pana, króla Heroda, to jeśli cierpi, musi sam sobie przypisać winę, gdyż nic chciał słuchać mojej rady...

Helcjasz zwrócił się do króla Heroda Polliona.

- Umiera? - spytał.

- Umiera.

Silas ciągnął dalej spokojnie:

- Trzy razy ocaliłem mu życie, ale tym razem nic dla niego nie mogę

zrobić. Los jego jest w rękach Boga. A co się tyczy przyjaźni, czyż można nazwać przyjacielem...

Helcjasz wziął od żołnierza pełniącego straż przy drzwiach dzidę i przebił nią brzuch Silasa, który nie uczynił najmniejszego ruchu, żeby uniknąć ciosu.

Tej samej godziny po pięciodniowych nieprzerwanych męczarniach król Herod Agryppa wyzionął ducha w ramionach Cypros. Nie da się opisać boleści i przerażenia, jakie ogarnęły naród żydowski.

Oto cała historia Heroda. Klątwa, która go dotknęła, jakby zaciążyła na wszystkich Żydach; ogarnęła ich całkowita apatia. Grecy natomiast rozzuchwalili się nadmiernie. Pułki, którym Helcjasz z rozkazu Heroda zwrócił broń, przekroczyły wszystkie granice zuchwalstwa, zachowując się bezczelnie i oburzająco. Przypuszczono szturm do pałacu; Cypros wraz z córkami wpadła w ręce żołnierzy, którzy chcieli oprowadzić branki po mieście. Cypros wyrwała miecz jednemu z żołnierzy i przebiła się; córki musiały przywdziać swoje haftowane szaty i towarzyszyć zwycięzcom, a nawet śpiewać hymny wyrażające radość ze śmierci ich ojca. Po skończonym pochodzie zabrano je do pułkowych burdeli, gdzie na dachu znieważono je w najohydniejszy i najbrutalniejszy sposób. Nie tylko w Cezarei, ale w greckim mieście Samarii urządzano na placach publiczne uczty, a Grecy w wieńcach na głowie, woniejący olejkami, jedli i pili, ile dusza zapragnie, wznosząc jeden do drugiego toasty i strącając z każdego kielicha kilka kropel na cześć podziemnego przewoźnika. Żydzi nie odezwali się ani słowem. „Czyż godzi się bronić tego, kogo Bóg przeklął?” A klątwa Boga wedle ich zapatrywań dosięga dziecię przeklętego. Królewny, z którymi żołdactwo tak bezlitośnie się obeszło, miały jedna zaledwie sześć lat, druga dziesięć.

Rozdział XXIV

Herod umarł przed dziesięcioma laty, a teraz możliwie najkrócej opowiem o wypadkach, które od tego czasu zaszły na Wschodzie. Wprawdzie sprawy wschodnie nie przedstawiają już dla czytelników moich nic interesującego, lecz uważam za swój obowiązek nie pozostawić raz rozpoczętego wątku bez zakończenia. Marsus, skoro usłyszał o śmierci Heroda, przybył bezzwłocznie do Cezarei, gdzie podobnie jak w Samarii przywrócił porządek. Rządy w państwie powierzył jako tymczasowemu namiestnikowi niejakiemu Fadusowi, rycerzowi rzymskiemu, który posiadał wielkie przedsiębiorstwo handlowe w Palestynie i żonaty był z Żydówką. Zatwierdziłem tę nominację, a Fadus wykazał rzeczywiście sprężystość, jakiej wymagały okoliczności. Nie wszystką bowiem broń, rozdaną Żydom, zwrócono Helcjaszowi; ludzie z Gilead zatrzymali oręż, aby go użyć przeciw swym wschodnim sąsiadom, Arabom z Rabboth Ammon. Również wielu Judejczyków i Galilejczyków nie oddało broni i potworzyły się liczne bandy rozbójnicze, które wyrządzały w kraju niemałe szkody. Fadus jednak, wspomagany przez Helcjasza i króla Heroda Polliona, którym zależało na okazaniu lojalności, uwięził przywódców Gileadytów, rozbroił ich ludzi, a następnie zabrał się do wytępienia jednej po drugiej rozbójniczych band.

Skonfederowani królowie Pontu, Komageny, Armenii Małej i Iturei usłuchali rady, którą im Herod przesłał przez brata, i powołując się na obowiązki względem Rzymu usprawiedliwili się wobec Bardanesa z niemożności wyruszenia na jego spotkanie do granic Armenii. Pomimo to Bardanes w dalszym ciągu posuwał się na zachód i był zdecydowany odebrać Armenię. Marsus wystosował doń z Antiochii pismo, bardzo poważnie przestrzegając przed wojną z Armenią, która pociągnie za sobą wojnę z Rzymem. Król Adiabeny oświadczył wtedy Bardanesowi, że nie weźmie udziału w wyprawie, gdyż dzieci jego, bawiące w Jerozolimie, Rzymianie

zatrzymaliby w charakterze zakładników. Bardanes odpowiedział wydaniem wojny i miał już najechać terytorium Adiabeny, kiedy usłyszał, że Gotarzes zebrał nową armię i chce dochodzić swych pretensji do korony partyjskiej. Zawrócił tedy i nad rzeką Charyndą, niedaleko południowego wybrzeża Morza Kaspijskiego, doszło do zaciętej bitwy między obu braćmi. Gotarzes pobity na głowę uciekł do kraju Dahajów mieszkających o czterysta mil dalej na wschód. Bardanes ruszył za nim w pościg, ale pobiwszy Dahajów nie mógł skłonić swej zwycięskiej armii do dalszego marszu, gdyż przekroczył już granice monarchii partyjskiej. Powrócił tedy następnego roku i kiedy miał już zająć Adiabene, został zamordowany przez możnych, którzy wciągnęli go na polowaniu w zasadzkę. Odetchnąłem z ulgą po jego śmierci, gdyż był to człowiek nieprzeciętnych zdolności i niezwyklej energii.

Tymczasem okres urzędowania Marsusa dobiegał kresu i z zadowoleniem myślałem, że będę go miał znowu u swego boku w Rzymie jako doradcę. Na jego miejsce wysłałem Kasjusza Longinusa. Był to eks-szwagier mej bratanicy Druzylli cieszący się dużym poważaniem jako prawnik, którego rady nieraz zasięgałem w trudnych problemach prawniczych. Kiedy do Rzymu przyszły wieści o śmierci Bardanesa, Marsus nie okazał zdziwienia; zdaje się, że maczał palce w spisku możnowładców. Radził mi teraz wysłać jako pretendenta do tronu partyjskiego Meherdatesa, syna poprzedniego króla Partii, który jako zakładnik przebywał wiele lat w Rzymie. Oświadczył, że podejmuje się usposobić życzliwie do nowego króla nobilów, którzy zabili Bardanesa. Tymczasem jednak pojawił się znowu Gotarzes na czele armii dahajskiej i zabójców Bardanesa zmuszono do złożenia mu hołdu. Meherdatesa więc trzeba było zatrzymać w Rzymie, dopóki nie nadarzy się lepsza sposobność wysłania go na Wschód. Zdaniem Marsusa, miała ona niedługo nastąpić. Gotarzes był to okrutnik kapryśny a tchórzliwy i nie mógł liczyć na trwałą wierność nobilów. Marsus miał rację. W dwa lata później przybyło tajne poselstwo wysłane przez lenników korony partyjskiej, łącznie z królem Adiabeny, prosząc, abym przysłał

im Meherdatesa. Zgodziłem się, mając na względzie dobry charakter Meherdatesa. W obecności posłów upomniałem go, aby nie występował w roli ciemięzcy współobywateli. Jak dotąd bowiem sprawiedliwość i wyrozumiałość były to cnoty obce królom partyjskim. Wysłałem go następnie do Antiochii, skąd Kasjusz Longinus odeskortował go do Eufratu radząc, aby czym prędzej uderzył na Partię, gdyż przy szybkim i śmiałym działaniu może uważać ten tron za swoją własność. Pomimo to jednak król Osroeny, rzekomy sojusznik sprzyjający w rzeczywistości Gotarzesowi, umyślnie urządzał wspaniałe przyjęcia i polowania, żeby dłużej zatrzymać Meherdatesa na swoim dworze, a następnie doradził mu, żeby zamiast ryzykownego marszu przez Mezopotamię wybrał okrężną drogę przez Armenię. Meherdates poszedł za podstępną wskazówką i stracił wiele miesięcy na przeprowianie się z armią przez śniegami pokryte góry Armenii. A tymczasem Gotarzes przygotowywał się do wojny. Opuściwszy granice Armenii, Meherdates pomaszerował z biegiem Tygrysu, zdobywając po drodze Niniwę i wiele innych ważnych miast. Król Adiabeny powitał go na granicy, lecz od razu doszedł do przekonania, że ma do czynienia z człowiekiem słabym, i postanowił przy najbliższej sposobności go opuścić. Toteż, kiedy doszło do bitwy między armiami Gotarzesza i Meherdatesa, ten ostatni został nagle opuszczony przez królów Osroeny i Adiabeny. Walczył jednak dzielnie i niewiele brakowało, a byłby wygrał bitwę, gdyż Gotarzes okazał się tak tchórzliwym wodzem, że własni generałowie musieli go przywiązać do drzewa, aby nie uciekł z pola walki. Ostatecznie Meherdates dostał się do niewoli, a rycerski Gotarzes odesłał go z powrotem Kasjuszowi, obciążwszy mu wpierw na urągowisko uszy. Wkrótce potem Gotarzes zmarł. Świeższej daty wypadki w Partii nie zainteresują pewnie moich czytelników bardziej niż mnie samego - to znaczy doprawdy bardzo mało.

Mitrydates przez kilka lat utrzymał się na tronie armeńskim, został jednak w końcu zabity przez swego bratanka, syna króla Gruzji. Była to ciekawa historia. Król Gruzji panował przez czterdzieści lat i syn jego miał już dość

wyczekiwania na śmierć ojca, która by mu pozwoliła objąć rządy. Znając charakter syna, król z obawy o własne życie poradził mu, żeby zawładnął tronem Armenii, która jest przecież o wiele większym i bogatszym królestwem niż Gruzja. Syn zgodził się i upozorowawszy klótnię z ojcem uciekł do Armenii pod opiekę Mitrydatesa, który przyjął go uprzejmie i ożenił z własną córką. Tak uhonorowany bratanek przystąpił od razu do intryg przeciw swemu dobroczyńcy. Niby to pogodziwszy się z ojcem, powrócił do domu, a wtedy król Gruzji wszczął pod jakimś pozorem spór z Mitrydatesem i oddał synowi dowództwo nad wyruszającą do boju armią. Pułkownik rzymski, który bawił na dworze Mitrydatesa w charakterze doradcy politycznego, zaproponował osobiste porozumienie się teścia z zięciem. Mitrydates zgodził się na tę propozycję, kiedy jednak miano przypieczętować akt wieczystej zgody i pobratymstwa, został zdradziecko napadnięty przez wojska gruzińskie i uduszony pościelą. Kiedy namiestnik Syrii usłyszał o tej okropnej zbrodni, zwołał sztab na naradę, aby zdecydować wspólnie, czy nie należałoby pomścić śmierci Mitrydatesa i wysłać karnej ekspedycji przeciw jego mordercy, który zajął opróżniony tron. Wszyscy jednak byli zdania, że nie należy przedsięwziąć żadnych kroków. Im zdradliwsze i krwawsze postępowanie pogranicznych władców, tym lepiej dla nas. Bezpieczeństwo imperium rzymskiego opiera się bowiem na wzajemnej nieufności naszych sąsiadów. W każdym jednak razie namiestnik, chcąc podkreślić, że nie aprobuje morderstwa, wysłał notę do króla Gruzji żądając wycofania armii i odwołania syna. Kiedy Partowie dowiedzieli się o tej nocie, pomyśleli sobie, że nadarza się dobra sposobność do odzyskania Armenii. Najechali więc kraj i nowy król musiał się ratować ucieczką. Musieli jednak zaniechać dalszej wyprawy, gdyż nadeszła bardzo ostra zima i wskutek mrozów i chorób stracili wielu ludzi. Tak więc król powrócił do kraju. Lecz po co ciągnąć dalej to opowiadanie? Wszystkie wschodnie historie są zawsze tą samą bezładną zbieraniną faktów, chyba że wyjątkowo znajdzie się przywódca, który nurtowi wypadków nada sens i kierunek. Takim przywódcą był Herod Agryppa,

lecz umarł, zanim zdołał w całej pełni wykazać swój geniusz.

Nadzieje, które Żydzi wiązali z osobą Mesjasza, zostały znowu rozniecone przez niejakiego Teudasa, maga z Gilead, który za rządów Fadusa zebrał wielką liczbę wyznawców i wyruszył na ich czele nad Jordan. Chciał bowiem, podobnie jak to uczynił swego czasu prorok Eliasz, rozdzielić wody rzeki i przeprowadzić gromadę suchą nogą na drugi brzeg, aby zająć Jerozolimę. Fadus wysłał mu naprzeciw oddział jazdy, która szarżowała na sfanatyzowany tłum. Teudasa pojmano i stracono. (Nie było już dalszych pretendentów - chociaż sekta wyznawców Joszui ben Józefa, czyli Jezusa, o której donosił mi Herod, uczyniła, zdaje się, istotnie w ostatnich czasach znaczne postępy, nawet w Rzymie. Żonę Aulusa Plaucjusza oskarżono przede mną, że uczęszcza na ich biesiady miłości. Ze względu jednak na Aulusa, który bawił w Brytanii, zatuszowałem sprawę.) Fadusowi niemało kłopotu sprawił nieurodzaj, który zdarzył się w Palestynie. Skarb Heroda był prawie pusty (nic dziwnego, jeśli się pamięta, jak wydawał pieniądze) i nie było innego sposobu zaradzenia klęsce, jak kupować zboże z Egiptu. Fadus zorganizował wśród Żydów komitet pomocy dla głodujących i zebrano dostateczną ilość pieniędzy, aby przetrwać zimę. Lecz i następnego roku urodzaj nie dopisał i gdyby nie królowa-matka adyabeńska, która cały swój majątek oddała na zakup zboża z Egiptu, tysiące Żydów pomarłoby z głodu. Żydzi upatrywali w tej klęsce karę bożą, która dotknęła cały naród za grzech Heroda. Prawdę mówiąc, winę za ten drugi nieurodzaj ponosiła nie tyle pogoda, co rolnicy żydowscy, do tego stopnia bowiem stracili wiarę we własne siły, że zamiast zasiać ziarno dostarczone im przez następcę Fadusa (syna Aleksandra Alabarcha, który porzucił judaizm), zjedli je albo nawet dopuścili do tego, że im skiełkowało w workach. Żydzi to niezwykła rasa. Za panowania jednego z Kumanów, który z kolei objął rządy w kraju, doszło do rozruchów na wielką skalę. Muszę przyznać, że wybór Kumana istotnie nie był szczęśliwy, a rządy swoje rozpoczął on niezwykle katastrofalnie. Zgodnie z wprowadzonym przez Rzymian zwyczajem umieścił w obrębie murów świątyni

batalion żołnierzy, aby pilnowali porządku podczas wielkiego święta Paschy. Kiedy nadszedł najuroczystszy moment nabożeństwa, jeden z żołnierzy, który widać nie cierpiał Żydów, spuścił spodnie i prowokacyjnie ukazując modlącym się swój członek, zaczął wołać: „Przypatrzcie się, Żydzi! Warto spojrzeć i obejrzeć!” Powstało zamieszanie. Żydzi zarzucili Kumanowi, że żołnierz z jego rozkazu urządził to prowokacyjne, a doprawdy idiotyczne widowisko. Kuman oczywiście się oburzył. Krzyknął, żeby zachowywano się spokojnie i kontynuowano nabożeństwo, lecz tłum stawał się coraz groźniejszy. Kumanowi wydało się, że w tej sytuacji za mało jednego batalionu. Chcąc wzbudzić w tłumie respekt, posłał po cały garnizon, co było, moim zdaniem, wielkim błędem. Ulice Jerozolimy są bardzo wąskie i kręte, a wówczas płynął nimi jak rzeka tłum Żydów, którzy jak zwykle ściągnęli na swoje święto z całego świata. Rozległy się okrzyki: „Żołnierze! Żołnierze idą! Ratuj się, kto może!” Wszyscy rzucili się do ucieczki. Jeśli ktoś się potknął i przewrócił, zdeptano go, a na rogach ulic, gdzie zetknęły się dwie fale ludzkie, płynące w przeciwnych kierunkach, tysiące zginęły w tłumie zaduszone. Żołnierze nie wyciągnęli nawet mieczy, a dwadzieścia tysięcy Żydów zginęło podczas tej paniki. Ogół był tak bardzo wstrząśnięty katastrofą, że zaniechano obchodzenia ostatniego dnia świąt. Kiedy już tłum rozproszył się po domach, garść Galilejczyków napadła na jednego z mych rządców, który podróżował z Aleksandrii do Akry, żeby podjąć tam należne mu pieniądze, a po drodze załatwił jakiś swój własny interes. Galilejczycy zrabowali mu szkatułkę zawierającą bardzo kosztowne klejnoty. Kiedy wieść o tym doszła do uszu Kumana, zastosował represje wobec wioski leżącej nablżej miejsca, gdzie popełniono rabunek (na pograniczu Samarii i Judei). Pomiął przy tym fakt, że napastnicy, jak wskazywał ich akcent, byli Galilejczykami i tylko chwilowo bawili w tej okolicy. Wysłał żołnierzy z poleceniem splądrowania wioski i zaareztowania znaczniejszych mieszkańców. Rozkaz wykonano, a jeden z żołnierzy w czasie rabunku znalazł pergamin, na którym były wypisane przykazania Mojżesza. Zaczął nim wymachiwać nad

głową, a potem parodiował odczytywanie świętego tekstu, pozwalając sobie na jakieś nieprzyzwoite dowcipy. Żydzi na widok tego świętokradztwa podnieśli okrzyk zgrozy i rzucili się, aby wydrzeć bluźniercy pergamin. Żołnierz umknął im ze śmiechem, a uciekając darł pergamin w strzępki i rzucał je za siebie. Wzburzenie z tego powodu było tak wielkie, że kiedy Kuman dowiedział się o wypadku, musiał skazać żołnierza na śmierć, aby dać innym odstraszący przykład i równocześnie udowodnić Żydom swoje dobre względem nich chęci.

W miesiąc czy dwa później, kiedy na jakieś święto Galilejczycy znowu wybrali się do Jerozolimy, mieszkańcy owej samarytańskiej wioski nie chcieli ich przepuścić. Pamiętali dobrze, jakie nieszczęście spadło na nich ostatnim razem. Galilejczycy nie dawali jednak za wygraną i doszło do bójki, w której padło sporo zabitych. Reszta przybyła do Kumana domagając się zadośćuczynienia. Kuman odmówił, twierdząc, że Samarytanie mieli pełne prawo nie puścić ich przez wieś. Dlaczego nie chcieli obejść polami? Galilejczycy wpadli wtedy na szalony pomysł i zwrócili się do pewnego słynnego herszta rozbójników. Z jego pomocą złupiwszy wioskę wzięli odwet na Samarytanach. Kuman uzbroił Samarytan i na czele czterech batalionów stacjonowanych w Samarii ruszył na galilejskich partyzantów. Wielką ich liczbę zabił i wziął do niewoli. Później delegacja Samarytan przybyła do namiestnika Syrii i domagała się od niego wymiaru sprawiedliwości: inna bowiem banda Galilejczyków podpaliła ich wioski. Namiestnik wyruszył tedy do Samarii, postanawiając raz na zawsze położyć kres tym zamieszkom. Pojmany Galilejczyków kazał ukrzyżować, a następnie starannie zaczął dochodzić, w czym leży źródło niepokojów. Stwierdził, że Galilejczycy mieli prawo do przemarszu przez Samarię i Kuman powinien był raczej ukarać Samarytan za wzniecanie zamieszek niż udzielać im pomocy; że jego represje w stosunku do judejskich i samarytańskich wiosek za rabunek popełniony przez Galilejczyków były nieusprawiedliwione; dalej, że żołnierz, który obnażając się nieprzystojnie podczas świąt Paschy dał początek niepokojom, był zachęcany przez dowódcę

batalionu. Oficer ów śmiał się głośno i twierdził, że jeśli Żydom widok nie przypada do gustu, nikt ich nie zmusza do przypatrywania się. Dokładne zbadanie zeznań wykazało również, że wioski podpalili Samarytanie, a odszkodowanie, którego żądali, kilkakrotnie przewyższało istotną wartość zniszczonego dobytku. Zanim wybuchł pożar, wszystkie cenniejsze przedmioty usunięto z domów. Na tej podstawie namiestnik wysłał do mnie, do Rzymu, Kumana, dowódcę batalionu, wnoszących skargę Samarytan i pewną liczbę Żydów jako świadków. Poddałem ich wszystkich badaniu. Zeznania wprowadzie były sprzeczne, ale ostatecznie doszedłem do tego samego przekonania co namiestnik. Kumana wygnałem nad Morze Czarne; skarżących się Samarytan kazałem stracić jako łgarzy i podpalaczy; a wesołego oficera odstawić z powrotem do Jerozolimy. Tam dla odprawienia publicznej pokuty oprowadzano go po ulicach miasta, a wreszcie stracono na miejscu popełnionej zbrodni. Zbrodnię bowiem, moim zdaniem, popełnia oficer, który, mając za zadanie pilnować porządku w czasie uroczystości, rozmyślnie obraża uczucia wiernych i sprowadza śmierć dwudziestu tysięcy niewinnych ludzi.

Po usunięciu Kumana przypomniałem sobie radę Heroda i na stanowisko namiestnika wysłałem Feliksa, który dotychczas - działa się to przed trzema laty - pełni swój urząd. Sytuację miał dość ciężką, gdyż w całym kraju panowały zamieszki i roiło się od bandytów. Feliks ożenił się z najmłodszą córką Heroda, która opuściła swego poprzedniego męża, króla Homsu. Druga z córek wyszła za mąż za syna Helcjasza. Herod Pollion nie żyje, a młodego Agryppę, który po śmierci stryja przez cztery lata rządził Chalcydą, mianowałem obecnie królem Basanu.

W Aleksandrii przed trzema laty wybuchły nowe zamieszki pociągając za sobą ofiary w ludziach. Przeprowadziłem w Rzymie śledztwo i stwierdziłem, że Grecy sprowokowali Żydów przeszkadzając im znowu w obrzędach religijnych. Wobec tego ukarałem winnych.

Tyle, co się tyczy Wschodu. A teraz przenieśmy się może w inne strony

cesarstwa i skoncentrujemy uwagę na głównych wypadkach historii, które rozegrały się w Rzymie.

W tym samym czasie co Partowie zwróciły się do Rzymu z prośbą o mianowanie króla skonfederowane plemiona Cherusków pod rządami Hermana, który usiłował wprowadzić monarchię despotyczną i został zabity przez członków swojej własnej rodziny. Po jego śmierci dwaj główni sprawcy krwawego zamachu, siostrzeńcy Hermana, powaśnili się między sobą. Spór doprowadził do przewlekłej wojny domowej i do całkowitego wygubienia królewskiego domu, z jednym jedynym wyjątkiem. Ocalał mianowicie syn Hermanowego brata, Flawiusza, Italik. W tym czasie, kiedy Herman w zdradzieckiej zasadzce wyrznął w pień trzy pułki Warusa, Flawiusz służył wiernie Rzymowi, a w kilka lat później, walcząc pod komendą Germanika, padł w bitwie z ręki własnego brata. Italik, urodzony w Rzymie, należał podobnie jak jego ojciec do znamienitego stanu rycerskiego. Urodziwy i zdolny ten młodzian otrzymał staranne wykształcenie w duchu rzymskim; przewidując jednak, że może pewnego dnia wypadnie mu zasiąść na tronie Cherusków, nalegałem, aby równie dobrze władał bronią niemiecką, jak i rzymską, a studiom języka i prawa ojczystego baczną poświęcił uwagę. Wychowawcami jego byli członkowie mojej gwardii przybocznej. Od nich także nauczył się pić piwo. Władca niemiecki, który nie potrafi w gronie bliskich mu ludzi wychylać kufła za kuflem, uchodzi za niedołągę.

Tak więc do Rzymu przybyła delegacja Cherusków z prośbą, by ich nowym władcą mianować Italika. Zaraz pierwszego popołudnia po swoim przybyciu narobili w teatrze niemałego zamieszania. Żaden z nich nie był poprzednio w Rzymie. Kiedy w pałacu dowiedzieli się, że jestem na przedstawieniu, podążyli do teatru. Dawano komedię Plauta Gbur; widownia w największym napięciu śledziła bieg akcji. Posłom wskazano miejsca dla publiczności, i to nie najlepsze, na samej górze, gdzie już prawie nie było nic słyszeć. Kiedy zasiedli, zaczęli się rozglądać wokoło i spytali:

- Czy to są miejsca dla znamienitszych gości?

Woźni starali się szeptem uspokoić ich obawy.

- A gdzie siedzi Cezar?

Woźni wskazali w dół ku orkiestrze.

- O, tam siedzi Cezar. Ale to tylko dlatego, że jest trochę przygłuchy.

Wasze miejsca są najpocześniejsze. Im wyżej, tym zaszczytniej. Rozumiecie?

- A któż są ci ciemnoskórzy mężowie w czapkach zdobionych klejnotami, siedzący tuż koło Cezara?

- To posłowie partyjscy.

- Partyjscy?

- Partia to wielka monarchia na Wschodzie.

- Dlaczegoż tedy siedzą na dole? Czyż nie są znamienitymi gośćmi? Czy to może z powodu ciemnego koloru skóry?

- Cóż znowu! Są bardzo znamienici! Ale jeśli łaska, nie tak głośno - uciszali woźni.

Lecz Niemcy nie ustępowali.

- To dlaczego siedzą na takich marnych miejscach?

Na widowni rozległy się głosy protestu: „Ts, ts, cicho tam, dzikusy! Nie można słuchać” itp.

- To przez uprzejmość dla Cezara - kłamali woźni. - Zaklęli się, że jeśli głuchota zmusza Cezara do zajęcia tak niskiego miejsca, oni nie będą siedzieli wyżej.

- Taak? To wy myślicie, że my pozwolimy, żeby nas takie czarne nicponie przewyższały w grzeczności! - zawołali z oburzeniem Niemcy. - Dalej, bracia! Idziemy na dół.

Trzeba było na pięć minut przerwać przedstawienie, aż przepchali się przez pełną widownię i zajęli triumfalnie miejsca wśród westalek. Ponieważ uczynili ten harmider w najlepszych intencjach, przywitałem ich z należytą kurtuazją, a wieczorem przy ucztach zgodziłem się dać im króla, którego sobie

życzyli. Prawdę mówiąc, uczyniłem to z całą przyjemnością.

Wyruszającemu za Ren Italikowi udzieliłem wskazówek, które w dziwnym kontraście pozostawały do rad dawanych Meherdatesowi, kiedy wysyłałem go za Eufrat. Trudno bowiem na całym świecie o dwie bardziej odmienne rasy niż Niemcy i Partowie. Do Italika powiedziałem w te słowa:

- Pamiętaj, Italiku, że zostałeś wezwany, byś rządził wolnym narodem. Otrzymałeś rzymskie wykształcenie i przywykłeś do rzymskiej karności. Zapamiętaj sobie, że nie możesz oczekiwać od twoich ziomków tego, czego nie może oczekiwać rzymski urzędnik lub generał od swoich podwładnych. Niemców można do czegoś nakłonić, ale nie zmusić. Kiedy rzymski dowódca powie do podwładnego oficera: „Pułkowniku, weźmiesz tylu a tylu ludzi, udasz się z nimi tam a tam i usypiesz szańce na tyle stóp długie, szerokie i wysokie”, usłyszy odpowiedź: „Rozkaz, generale”, i w dwadzieścia cztery godziny szańce będą gotowe. W tym tonie nie możesz mówić do Cherusków. Oni muszą dokładnie wiedzieć, dlaczego i przeciw komu mają być te szańce, i czy nie byłoby lepiej do tak niezaszczytnej roboty wysłać niższego szarżę - ponieważ sypanie obronnych szanćów dowodzi tchórzostwa - i jak ich wynagrodzisz za to, że z dobrej woli zechcą wykonać twój plan. Sztuka rządzenia twymi rodakami, przyjacielu Italiku, polega na tym, żeby nie dawać kategorycznych rozkazów, ale jasno wyrażać swoje życzenia, traktując je raczej jako zwykłe wymogi racji stanu. Niech podwładni twoi będą przekonani, że oddają ci przysługę i że spełniając z dobrej woli twoje życzenia, samym sobie przydają splendoru. Jeżeli wypadnie przykre i niewdzięczne wykonać zadanie, uczyni je przedmiotem współzawodnictwa. Niech ten, który go się podejmie, uważa się za zaszczyconego. Wykonawcy, chociażby wedle pojęć rzymskich spełnił tylko swój prosty obowiązek, nie zapomnij nigdy wynagrodzić; obdarz go złotymi bransoletami lub orężem. Przede wszystkim zaś bądź cierpliwy i nie trać nigdy panowania nad sobą.

Italik wyruszył, pełen najlepszych nadziei, jak swego czasu Meherdates, i

został serdecznie powitany przez swych druhów, którzy zdając sobie sprawę, że nie mają żadnych szans zajęcia opustoszałego tronu, zazdrośni byli przecież o wszystkich krajowych pretendentów. Italik nie orientował się w przeróżnych kombinacjach wewnętrznej polityki, lecz można się było spodziewać, że zachowa rozsądną bezstronność. Znalazła się jednak grupka ludzi, którzy uważając samych siebie za godnych korony, zaniechali chwilowo wzajemnych sporów i postanowili połączyć swe siły przeciw Italikowi. Spodziewali się, że rządy nie znającego stosunków władcy w krótkim czasie doprowadzą do rozgardiaszu. Zawiedzeni w tych nadziejach, gdyż Italik doskonale dawał sobie radę, udali się potajemnie do naczelników sprzymierzonych plemion i przedstawiając króla jako nasłanego przez Rzym intruza, usiłowali podburzyć ich przeciw niemu.

- Ginie dawna wolność niemiecka - żalili się. - A na jej miejscu triumfuje potęga Rzymu. Czyż żaden z rodowitych Cherusków nie jest godny tronu, że pozwalamy panować uzurpatorowi, synowi Flawiusza, szpiega i zdrajcy?

Tak apelując do patriotycznych uczuć, zebrali pokaźną armię. Jednak stronnicy Italika oświadczyli, że nie można uważać za uzurpatora tego, komu tron ofiarowała zgodnie większość plemienia. Poza tym Italik jest jedynym żyjącym księciem krwi królewskiej, a choć urodzony w Italii, zapoznał się dokładnie z niemieckim językiem, obyczajami i orężem i rządy sprawuje sprawiedliwie. Co się zaś tyczy Flawiusza, nie był on bynajmniej zdrajcą. Przeciwnie, zaprzysiągłszy za zgodą całego narodu i brata swego Hermana przyjaźń Rzymowi, przysięgi tej nie złamał jak Herman. Utyskiwania na zanik dawnej niemieckiej wolności są z gruntu fałszywe, ci, którzy uciekają się do tego rodzaju demagogicznych haseł, pragną tylko zniszczyć naród przez nowe wojny domowe.

W wielkiej bitwie Italik odniósł nad swymi rywalami tak druzgocące zwycięstwo, że zapomniał wkrótce o moich radach. Obrzydziwszy sobie ciągle schlebienie niemieckiej próżności i umiłowaniu swobody, spróbował wziąć

poddanych w karby dyscypliny. Od razu go wypędzili. Przy zbrojnej pomocy sąsiedniego plemienia odzyskał tron, lecz skończyło się na tym, że znowu został wygnany. Nie próbowałem interweniować. Wewnętrzne rozterki wschodnich i zachodnich sąsiadów były w znacznej mierze gwarancją bezpieczeństwa imperium rzymskiego. W chwili kiedy piszę te słowa, Italik znowu panuje, lecz chociaż niedawno odniósł zwycięstwo w wojnie przeciw Chattom, rodacy szczerze go nienawidzą.

W tym samym mniej więcej czasie powstały nowe komplikacje na dalszej północy. Namiestnik prowincji dolnoreńskiej zmarł nagle i po jego śmierci nieprzyjaciele zaczęli znowu zapuszczać zagony na drugi brzeg rzeki. Znalazł się bowiem wśród nich zdolny przywódca, coś w rodzaju owego Takfarinasa, który za Tyberiusza tyle nam przysporzył kłopotu. Podobnie jak Takfarinas był on dezercerem, służącym swego czasu w jednym z naszych pułków posiłkowych, i posiadał dość znaczną znajomość taktyki. Z pochodzenia był Fryzem, a nazywał się Ganas. Akcję swoją rozwinął na wielką skalę. Zdobywszy na nas sporo lekkich statków rzecznych, uprawiał korsarstwo u wybrzeży Flandrii i Brabancji. Nowy namiestnik, którego mianowałem, zwał się Korbulon. Nie miałem doń osobistej sympatii, ale wdzięcznym sercem korzystałem z jego zdolności. Swojego czasu Tyberiusz mianował Korbulona naczelnikiem budowy dróg. Wkrótce otrzymał od niego raport oskarżający przedsiębiorców o oszustwa, a urzędników prowincjonalnych, których pieczy zlecone były drogi, o niedbalstwo. Tyberiusz opierając się na raporcie skazał oskarżonych na grzywnę nieproporcjonalnie wysoką w stosunku do ich przewinienia, gdyż za opłakany stan dróg ponosili wyłączną odpowiedzialność urzędnicy, grzeszący wielkim niedbalstwem, a przedsiębiorcom polecono tylko naprawić co najgorsze miejsca. Kiedy Kaligula objął rządy po Tyberiuszu zaczął odczuwać brak pieniędzy i w celu ich zdobycia uciekał się do różnych sztuczek i kombinacji, przypomniał sobie też o raporcie Korbulona. Tym razem wszystkich poprzednich urzędników i przedsiębiorców obłożono taką samą

grzywną jak ich następców za czasów Tyberiusza, a Korbulon otrzymał polecenie ściągnięcia tych pieniędzy. Kiedy z kolei ja objąłem rządy, kazałem zwrócić wpłacone sumy, zatrzymując z nich tylko tyle, ile rzeczywiście było potrzeba do naprawienia dróg; wynosiło to jedną, piątą pierwotnej sumy. Ponieważ oczywiście ani Kaligula, ani Tyberiusz nie użyli tych pieniędzy na naprawę dróg, znajdowały się one w jeszcze bardziej opłakany stan. Doprowadziwszy gościńce do porządku wydałem specjalne zarządzenia w sprawie ruchu kołowego, ograniczając na bocznych drogach użycie ciężkich pojazdów prywatnych. Pojazdy te wyrządzały więcej szkód niż chłopskie wozy, na których przywożono do Rzymu towary. Uważałem za niesprawiedliwe, żeby prowincje miały płacić za zbytek i wygodę zamożnych darmozjadów. Jeśli bogaci rzymscy rycerze mieli ochotę odwiedzić swoje wiejskie posiadłości, mogli użyć lektyki lub pojechać wierzchem.

Lecz przecież mówiłem o Korbulonie. Znałem go jako człowieka bardzo surowego i sumiennego, a garnizon dolnego Renu potrzebował właśnie dowódcy, który by ujął żołnierzy żelazną ręką i przywrócił dawną karność. Zmarły namiestnik zbyt lubił spokój i wygodę. Przybycie Korbulona do głównej kwatery w Kolonii przypominało przyjazd Galby do Moguncji (Galba był obecnie namiestnikiem Afryki). Zaraz na wstępie, zobaczywszy na warcie przy bramie obozowej żołnierza nie ogolonego, przynajmniej od miesiąca nie ostrzyżonego, ubranego w dziwacznie żółty płaszcz (obowiązywał kolor czerwono-brunatny), kazał go oćwiczyć za nieprzepisowy strój. Wkrótce potem skazał na śmierć dwóch żołnierzy „za porzucenie broni w obliczu nieprzyjaciela”; wysłani bowiem do kopania fosy, zostawili miecze w namiocie. To napędziło żołnierzom strachu i podniosło ich sprawność. A kiedy Korbulon wyruszył w pole przeciw Ganasowi i pokazał, że jest równie zdolnym generałem, jak surowym formalistą w sprawach dyscypliny, wojsko dało z siebie maksimum wysiłku. Żołnierze bowiem, a przynajmniej starzy żołnierze bardziej cenią wodza, na którym mogą polegać, choćby surowego, niż

humanitarnego niedołęgę.

Korbulon uzbroił flotyllę, udał się w pogoń za Ganasem i zatopił statki korsarza. Następnie wysadził wojsko na brzeg i zmusił Fryzów do dania zakładników i zaprzysiężenia Rzymowi posłuszeństwa. Opracował dla nich konstytucję na wzór rzymskiej i zbudował na fryzyjskim terytorium twierdzę, którą obsadził rzymską załogą. Do tego momentu wszystko było w zupełnym porządku, ale Korbulon miał przestać na tym, co uczynił, najechał kraj Wielkich Chauków, choć w napadach nie brali oni udziału. Usłyszawszy, że Ganas schronił się w jednej z chauckich gontyn, wysłał oddział jazdy, który zbiega dognał i zabił w świętym miejscu. Była to obraza wyrządzona bogom chauckim. Następnie ten sam oddział udał się do Ems i tu na plemiennej radzie Chauków dowódca przedstawił żądania Korbulona; Chaukowie mieli się bezzwłocznie poddać i zobowiązać do płacenia wysokiego rocznego haraczu.

Kiedy Korbulon doniósł mi o swoich poczynaniach, wpadłem we wściekłość. Dobrze zrobił pozbywając się Ganasę, ale zadzierać z Chaukami - to zupełnie odmienna sprawa. Na wypadek wojny nie rozporządzaliśmy dostateczną ilością wojsk. Gdyby Wielkochaukowie przyzwali na pomoc Małochauków, a Fryzowie podnieśli bunt, należałoby ściągnąć posiłki, a to było niemożliwe z powodu okupacji Brytanii. Posłałem więc Korbulonowi rozkaz natychmiastowego wycofania się za Ren.

Korbulon dostał rozkaz wpierw, nim przyszła od Chauków odpowiedź na jego ultimatum. Zirytował się posądzając mnie o zawiść w stosunku do dowódców, którzy by śmieli rywalizować z moimi militarnymi czynami. Przypomniawszy swemu sztabowi, jak to Geta nie został należycie wynagrodzony za swój piękny podbój Mauretanii i ujęcie Salaba. Zauważył przy tym, że chociaż prawnie umożliwiłem odbycie triumfalnego wjazdu wodzom nie należącym do rodziny cesarskiej, to w praktyce, jak się zdaje, nie wolno nikomu prowadzić kampanii, za którą w nagrodę mógłby odbyć wjazd triumfalny. Wolnościowym poglądom hołduję tylko na pokaz, w rzeczywistości jestem jeszcze większym

tyranem niż Kaligula. Lepiej to tylko ukrywam. Dodał też, że narażam na uszczerbek powagę Rzymu, każąc mu wycofać się ze stanowiska, które zajął w moim imieniu; stanie się z tego powodu pośmiewiskiem dla sprzymierzeńców, a nawet własnej armii. Wzburzeniu swemu pofolgował w ten sposób tylko wobec sztabu. Żołnierzom przed daniem sygnału do odwrotu oświadczył krótko:

- Chłopcy! Cezar August każe nam wracać za Ren. Nie wiemy, dlaczego tak postanowił, i nie wolno nam kwestionować jego rozkazu. Przyznam jednak, że spotkał mnie niemały zawód. O, szczęśliwi wodzowie, którzy dowodzili armiami rzymskimi za dawnych czasów.

Korbulon otrzymał jednak odznaki triumfalne, a przy tej sposobności napisałem doń prywatny list; w liście tłumaczyłem się z zarzutów, którymi mnie obarczał. Pisałem, że usłyszawszy o sprowokowaniu Chauków wpadłem w nie mniejszy gniew niż on, kiedy otrzymał mój rozkaz. Nie myślałem jednak, że ma tak złe o mnie wyobrażenie i będzie uważał, że zawiść jest motywem mego rozkazu. Oczywiście zawiniłem wysyłając rozkaz tak lakoniczny; powinienem był obszerniej wyjaśnić przyczyny, które mnie skłoniły do zarządzenia odwrotu. Czynię to jednak obecnie. Przeprosił mnie listownie i odwołał zarzuty despotyzmu i zawiści; mam wrażenie, że zrozumieliśmy się wzajemnie. Chcąc zająć swe wojska, aby nie miały czasu śmiać się z niego, kazał im kopać kanał między Mozą a Renem, długi na dwadzieścia trzy mile, który miał zapobiec powodziom zdarzającym się w tej nizinnej okolicy skutkiem zalewów morskich.

Od tego czasu z wyjątkiem najazdu Chattów przed czterema laty nie zaszło w Niemczech nic godnego uwagi. Chattowie pewnej nocy przekroczyli w wielkiej sile Ren o parę mil na północ od Moguncji. Komendantem prowincji górnego Renu był Sekund, ten sam, który jako konsul zachował się w tak niezdecydowany sposób, kiedy obwołano mnie cesarzem. Uchodził on za najlepszego z żyjących poetów rzymskich. Osobiście ani o tych żyjących, ani nawet o augustowskich nie mam zbyt dobrego wyobrażenia; ich poezja nie wydaje mi się szczerą. Dla mnie ostatnim prawdziwym poetą był Katul.

Możliwe, że poezja i wolność idą ze sobą w parze i że w monarchii prawdziwa poezja zamiera, a wszystko, czego można się spodziewać po tym okresie, to napuszona retoryka i godny uwagi kunszt metryczny. Jeśli chodzi o mnie, chętnie bym zamienił wszystkich dwanaście ksiąg Eneidy Wergiliusza na jedną Roczników Eniusza. Eniusz, który żył za najświetniejszych dni republiki i był osobistym przyjacielem wielkiego Scypiona, jest, moim zdaniem, prawdziwym poetą. Porównajcie tylko opisy bitew u obydwu. Eniusz pisze jak żołnierz, którym był zresztą (z szeregowca dosłużył się rangi kapitana); Wergiliusz to kulturalny widz przyglądający się bitwie z dalekiego wzgórza. Wergiliusz zapożyczył niemało od Eniusza. Niektórzy mówią, że przyćmił prymitywny jeszcze geniusz Eniusza pięknym stylem i rytmem. Lecz to oczywiste bzdury. Całkiem jak w bajce Ezopa o czyżyku i orle. Pewnego razu ptaki urządziły zawody, który wzbije się wyżej. Wygrał orzeł, ale kiedy zmęczony nie mógł już unieść się wyżej, czyżyk, który skrył mu się na grzbiecie, podleciał jeszcze kilkadziesiąt stóp i zażądał przyznania nagrody. W porównaniu z Eniuszem Wergiliusz jest tylko czyżykiem. A nawet jeśli chodzi o piękno poszczególnych ustępów, to gdzie znajdziecie u Wergiliusza miejsce, które by potęgą prostoty dorównało takim wierszom Eniusza, jak na przykład:

Fraxinus jrangitur atque abies consternitur alta.

Pinus proceras pcrvortunt: omne sonabat

Arbustum jremitu silvdi frondosdi.

Zalamuje się jesion, smukła pada jodła,

Walą wyniosłe sosny, a wszystko, co rosło,

Rozszumiało się szumem padających gajów.

Zresztą wiersze te są nie do przetłumaczenia i nie zamierzam w żadnym wypadku pisać traktatu o poezji. A chociaż poezja Sekunda, moim zdaniem,

równie mało zdradzała talentu lub zasługiwała na pochwałę jak jego zachowanie się w senacie, potrafił przynajmniej w zdecydowany sposób poradzić sobie z Chattami, którzy złupiwszy naszych francuskich sprzymierzeńców wracali w dwu oddziałach za Ren. Zwycięstwo wprowadza w oddziały niemieckie dezorganizację, zwłaszcza jeżeli wśród zdobyczy znajduje się wino, opijają się nim jak piwem, nie zwracając uwagi, że napój ten jest silniejszy od ich narodowego trunku. Sekund otoczył i rozgromił obydwie kolumny nieprzyjacielskie, zabijając dziesięć tysięcy ludzi i drugie tyle biorąc do niewoli. Otrzymał za to odznaki triumfalne, lecz skrępowany przepisami nie mogłem mu pozwolić na triumfalny wjazd.

Podobnego odznaczenia udzieliłem niedawno poprzednikowi Sekunda, niejakiemu Kurcjuszowi Rufusowi, który chociaż był synem gladiatora, został za Tyberiusza urzędnikiem pierwszego stopnia. (Tyberiusz, mianując go na stanowisko, o które ubiegali się kandydaci z dobrych rodzin, zajmujący odpowiednią pozycję w społeczeństwie, zauważył: „Tak. Ale sam Kurcjusz Rufus jest własnym znakomitym przodkiem.”) Rufus zapragnął odznak triumfalnych, lecz zdawał sobie sprawę, że nie pochwałam prowokowania wroga. Dowiedział się, że za czasów Augusta, tuż przed klęską Warusa, odkryto parę mil za Renem żyłę srebra. Wysłał do eksploatacji jej cały pułk i zanim żyła zeszała tak głęboko, że dalsze prace stały się niemożliwe, wydobył tyle srebra, że można było zapłacić nim dwuletni żołd całej armii nadreńskiej. Był to czyn rzeczywiście godny odznak triumfalnych. Żołnierze, którym praca górnicza wydała się zbyt ciężka, napisali do mnie w imieniu całej armii zabawny list:

„Wierne wojska Klaudiusza Cezara przesyłają Mu najserdeczniejsze życzenia i mają nadzieję, że zarówno On, jak Jego rodzina będą się jak dotychczas cieszyć zdrowiem i długim życiem. Proszą równocześnie, aby w przyszłości odznaczał swoich generałów odznakami triumfalnymi przed

powierzeniem im dowództwa armii; nie będą wtedy zmuszeni w celu zasłużenia na nie używać wiernych wojsk cesarskich do wydobywania w pocie czoła srebra, kopania kanałów i tym podobnych prac, odpowiedniejszych dla niemieckich jeńców. Jeżeli tylko Cezar raczyłby zezwolić, wierne jego wojska z prawdziwą radością przekroczą Ren i w miarę swoich sił wezmą do niewoli parę tysięcy Chattów.”

Rozdział XXV

45 r. n.e.

W rok po śmierci Heroda obchodziłem po raz pierwszy doroczne święto ustanowione na pamiątkę mego zwycięstwa nad Brytami. Pamiętając o skargach, które tamtego wieczoru słyszałem na schodach świątyni Kastora i Polluksa, rozdzieliłem między potrzebującą ludność pieniądze - po trzy aureusy na głowę i pół aureusa na rodzinę za każde dziecko. W jednym wypadku musiałem wypłacić aż dwanaście i pół aureusa - w rodzinie tej kilkakrotnie przychodziły na świat bliźnięta. Przy rozdzielaniu pieniędzy pomagali mi młody Sylan i młody Pompejusz. Kiedy sobie przypomnę, że zniósłem do tego czasu wszystkie nadzwyczajne podatki nałożone przez Kaligulę, że zwróciłem majątki obrabowanym przezeń ludziom, że prace nad portem w Ostii i osuszeniem Jeziora Fucyńskiego posuwały się bez przerwy i mimo to mogłem nie oszukując nikogo wypłacić ten zasiłek bez najłżejszego zachwiania równowagi skarbowej, to muszę przyznać, że w ciągu tych czterech lat dokonałem nie byle jakiego dzieła.

Astronom Barbil (wspomniałem o nim w liście do aleksandryjczyków) stwierdziwszy na podstawie jakichś mocno zawiłych obliczeń, że w dzień moich urodzin wypadnie zaćmienie słońca, zawiadomił mnie o swoim odkryciu. Zaniepokoiłem się trochę tą wiadomością. Zaćmienie słońca uważa się w ogóle za jeden z najbardziej złowróźbnych znaków. Przypadając na dzień moich urodzin, które zbiegają się ze świętem narodowym ku czci Marsa, wywołałoby niechybnie wśród ludności wielki popłoch i zachęciło ewentualnych spiskowców do urządzenia na mnie zamachu. Można by jednak tego uniknąć, gdybym uprzedził ludność o zjawisku; wtedy każdy zamiast kulić się ze strachu byłby dumny, że wie, co ma nastąpić, i rozumie mechanizm zjawiska. Tak zdecydowawszy ogłosiłem, co następuje:

„Tyberiusz Klaudiusz Druzus Neron Cezar August Germanik Brytanik, Cesarz, Ojciec Ojczyzny, Arcykapłan, Trybun Ludu po raz piąty z rzędu, trzykrotny Konsul pozdrawia Senat, Naród i Sprzymierzeńców Rzymu.

Mój miły przyjaciel, Tyberiusz Klaudiusz Barbil z Efezu, dokonał w poprzednim roku pewnych astronomicznych obliczeń, które następnie potwierdziło Towarzystwo Astronomiczne w Aleksandrii, mieście słynącym z rozwoju tej nauki. Z obliczeń Barbila wynika, że pierwszego sierpnia bieżącego roku nastąpi zaćmienie słońca, całkowite dla wielu okolic Italii, częściowe dla innych miejscowości. Pragnąłbym, aby to naturalne zjawisko, które dawniej zawsze budziło wielkie zabobonne przerażenie, tym razem nie dało powodu do żadnych obaw. W dawnych czasach był to wypadek niespodziewany i niezrozumiały. Poczytywano go za przestrożę bogów, za znak, że na pewien czas, tak jak gasną życiodajne promienie słońca, gaśnie na ziemi szczęście. Obecnie jednak tak dobrze rozumiemy już przyczyny zaćmienia, że możemy przepowiedzieć: „Takiego i takiego dnia nastąpi zaćmienie.” Myślę, że z dumą i ulgą odetchnie każdy dowiedziawszy się, iż potęga ludzkiego rozumu odniosła zwycięstwo nad starymi strachami.

Oto jak tłumaczą zjawisko moi uczeni przyjaciele: Księżyc, który obraca się po swojej orbicie pod słońcem - mniejsza z tym, czy między nim a słońcem znajduje się planeta Merkury i Wenus, to zagadnienie bowiem podlega dyskusji i w tej chwili nie jest dla nas ważne - otóż księżyc porusza się nie tylko podobnie jak słońce po płaszczyźnie południka i jak przypuszczalnie słońce naokoło swej osi, lecz posiada też ruch po płaszczyźnie równika, który nie znany jest zupełnie słońcu. Skutkiem tego ostatniego ruchu księżyc staje ponad naszymi głowami w jednej linii ze słońcem i niedostrzegalnie zachodzi na jego błyszczącą tarczę - niedostrzegalnie, gdyż blask słońca jest, jak wiecie, w dzień tak wielki, iż księżyc całkiem nie widać. Wtedy promienie, które normalnie biegną od słońca ku ziemi, zostają zasłonięte przez księżyc. Zależnie od położenia geograficznego w pewnych częściach ziemi zaćmienie to trwa dłużej,

w innych krócej, w innych znowu nie ma go zupełnie. W żadnym wypadku jednak słońce nie traci w rzeczywistości swego blasku, jak przypuszczają prostacy. Mogą je oglądać w całej okazałości wszy d, których księżyc chwilowo od słońca nie odgradza.

Wytłumaczenie to jest całkiem proste. Podobnie się dzieje, jeśli kto z was zasłoni ręką płomień kaganka lub świecy i pogrąży cały pokój w chwilowej ciemności. (Zaćmienie księżyca zaś następuje wtedy, kiedy wejdzie on w stożek cienia rzucanego przez ziemię, znajdującą się ponad słońcem. Zdarza się to jedynie wówczas, kiedy księżyc w swym ruchu po płaszczyźnie równika przechodzi przez punkt środkowy.) Załączona mapa wskazuje miejscowości, w których zaćmienie będzie zupełne. Życzę sobie, żeby wszyscy urzędnicy i odpowiedzialne czynniki przedsięwzięły wszelkie kroki, aby zapobiec panice i wykorzystaniu ciemności w celach rabunkowych. Ludność należy ostrzec przed wpatrywaniem się podczas zaćmienia w słońce, gdyż tym, którzy mają osłabiony wzrok, grozi to ślepotą. Obserwować zjawisko można tylko przez kawałki rogu lub szkła okopconego nad świecą.”

Mam wrażenie, że byłem pierwszym władcą od stworzenia świata, który wydał podobne orędzie. Miało ono doskonały skutek, choć oczywiście ludność wiejska nie rozumiała takich słów jak płaszczyzna południka czy równika. Zaćmienie nastąpiło dokładnie w przewidzianym czasie, a uroczystość odbyła się normalnie, z tą tylko różnicą, że złożono specjalne ofiary Dianie jako bogini księżyca i Apollovi jako bogu słońca.

Przez cały rok cieszyłem się doskonałym zdrowiem, nikt nie usiłował pozbawić mnie życia, a jedyna próba rewolucji skończyła się najhaniebniejszą kompromitacją jej głównego sprawcy. Był nim Azyniusz Gallus, wnuk Azyniusza Polliona, a syn Gallusa. Gallus ożenił się z pierwszą żoną Tyberiusza, Wipsanią, dlatego stryj mój nienawidził go z całego serca i uwięziwszy po śmierci Wipsanii skazał na powolną śmierć głodową. Ciekawa

rzecz, jak niektóre nazwiska pasują do swoich właścicieli. Gallus znaczy kogut, a asinus - osioł. Azyniusz ze względu na swoją chętność i głupotę był równocześnie osłem i kogutem, i pod tym względem równego mu nie znalazłbyś w całej Italii, choćbyś i miesiąc szukał. Wyobraźcie sobie tylko, że choć nie rozporządzał ani żadną z regularnych armii, ani zwerbowanymi ochotnikami, ani wreszcie żadnym kapitałem, wierzył, że jego osobista moc i znakomite pochodzenie pozyskają mu z miejsca stronników.

Pewnego dnia pojawił się na rynkowej mównicy i do tłumu, który wkrótce się zebrał, wygłosił przemówienie. Ciskał gromy na zbrodnie tyranów, rozwodząc się szczególnie nad morderstwem, które popełnił Tyberiusz na jego ojcu, i w końcu oświadczył, że koniecznie należy wytępić ród Cezarów i ofiarować władzę monarszą temu, kto rzeczywiście jest jej godzien. Z tajemniczych aluzji tłum odgadł, że ma na myśli samego siebie, więc zaczęto się śmiać i bić brawo. Azyniusz był marnym mówcą i najszeptniejszym człowiekiem w całym senacie: miał trochę ponad cztery stopy wzrostu, pałkowate łopatki, wielką, podłużną twarz, czerwone włosy i cienki, połyskliwy, czerwony nos (cierpiał na niestrawność). Nie przeszkadzało mu to uważać się za Adonisa i Herkulesa w jednej osobie. Wśród zebranego tłumu nie było chyba nikogo, kto by traktował go serio, i raz po raz padał jakiś dowcip, jak: „*Asinus in tegulis*” lub „*Asinus ad lyram*”, albo „*Ex Galio lac et ova*” (osioł na dachu jest przysłowiowym określeniem jakiegoś niespodziewanego i groteskowego zjawiska, osioł grający na lirze oznacza bezsensowne ignoranckie wystąpienie, a „kogucie mleko” i „kogucie jajka” odpowiadają „gruszkom na wierzbie”). Ciekawi jednak, co nastąpi dalej, każde zdanie Gallusa gorąco oklaskiwali. Na zakończenie Gallus oświadczył, że należy pozbawić mnie władzy, i powiódł cały tłum w stronę pałacu, żeby tam dokonać aktu detronizacji. Ludzie ruszyli za nim w długiej kolumnie ósemkami, lecz na jakieś dwadzieścia kroków przed bramą pałacową nagle zatrzymali się puszczając Azyniusza samego. Warta nie robiła mu jako senatorowi trudności i Azyniusz

wkroczył na terytorium pałacowe, wykrzykując groźby pod moim adresem. Dopiero po pewnej chwili zorientował się, że idzie sam (tłum potrafi być czasami równie dowcipny i okrutny, jak głupi i tchórzliwy). Ostatecznie Azyniusza aresztowano. Ponieważ mimo komicznego charakteru tej afery trudno było pominąć ją milczeniem, skazałem niefortunnego rewolucjonistę na wygnanie, ale nie dalej niż na Sycylię, gdzie miał majątek.

- Ruszaj precz z Rzymu! - oświadczyłem czupurnemu karłowi - i piej na własnej gnojówce albo, jeżeli wolisz, porykuj w ostach na własnym polu, bylebym więcej o tobie nie słyszał.

Port w Ostii, choć kosztował już sześć milionów aureusów, wciąż jeszcze nie był gotowy. Największe trudności techniczne nastęczała wyspa, która miała powstać między dwoma wielkimi molami. Z trudnościami tymi, choć może nie będziecie mi wierzyć, uporałem się całkiem samodzielnie. Przypominacie sobie pewnie wielki statek zbudowany przez Kaligulę w celu przewiezienia obelisku, a użyty do transportu słoni i wielbłądów, które bezpiecznie odbyły na nim podróż do Brytanii i z powrotem. Statek ten po dwukrotnej podróży do Egiptu, skąd przywiózł kolorowy marmur do budowy świątyni Wenery na Sycylii, stał znowu w Ostii. Po drugiej podróży kapitan doniósł mi, że statek jest niezdatny do żeglugi i nie ryzykowałby na nim nowej podróży. Pewnej bezsennej nocy przyszła mi do głowy myśl, czy nie można by go obciążyć kamieniami i zatopić jako fundament pod wyspę. Odrzuciłem jednak ten pomysł. Po pierwsze, przy napełnianiu kamieniami zaledwie jednej czwartej statku już woda przelewa się przez burty; a po drugie, z chwilą przegnicia desek kamienie by się rozsypały. „Gdybyśmy mieli głowę Gorgony - westchnąłem - nie byłoby nic łatwiejszego, jak cały statek zmienić w litą skałę.” I ten bezsensowny pomysł, jeden z tych, które często przemykają mi przez głowę, kiedy jestem przepracowany, dał tym razem podstawę do całkiem realnej i doskonałej koncepcji. Dlaczegoż zamiast kamieni nie wziąć sproszkowanego cementu, który jest stosunkowo lekki, a następnie nie wybić w dnie statku otworów, zatopić go i pozwolić, żeby cement

stwardniał pod wodą?

Było koło drugiej w nocy, kiedy pomysł ten strzelił mi do głowy. Klasnąłem w ręce i wyzwoleńcowi, który przybiegł na ten znak, kazałem bezzwłocznie przyprowadzić naczelnego inżyniera. Inżynier, który mieszkał w drugim końcu miasta, zjawił się po godzinie, dygocąc ze strachu. Przypuszczał może, że go za jakieś niedbalstwo każe stracić. Zapytałem gorączkowo, co sądzi o możliwości wykonania mojego pomysłu, i ku wielkiemu rozczarowaniu usłyszałem, że cement w wodzie morskiej należycie nie stwardnieje. Nie zrażony tą odpowiedzią, dałem inżynierowi dziesięć dni na obmyślenie sposobu, który by umożliwił stwardnienie cementu.

- Dziesięć dni - powtórzyłem uroczyście - albo...

To „albo” wziął za groźbę. Oczywiście był to z mojej strony tylko żart i gdyby inżynierowi nie udało się rozwiązać zadania, byłbym wyjaśnił, że dalszy ciąg moich słów miał brzmieć: „albo musimy zaniechać tego pomysłu”. Strach uczynił biedaka pomysłowym i po dziesięciu dniach obłądnego eksperymentowania wynalazł gatunek cementu, który w zetknięciu z wodą morską twardniał na skałę. Była to mieszanina zwykłego cementu ze specjalną glinką pochodzącą ze wzgórz w sąsiedztwie Puteoli. Obecnie na dnie morskim u wejścia do portu ostyjskiego leży ogromny statek, utrwalony na wieki w materiale twardszym niż jakakolwiek skała, i tworzy fundament wysepki zbudowanej z szerokich płyt kamiennych i tegoż samego cementu. Na wyspie wznosi się wysoka latarnia morska; z jej szczytu co noc rozbłyskuje ogień podsycany terpentyną. Reflektory z polerowanej stali podwajają siłę światła, które nieprzerwaną strugą pada na przybrzeżne wody. Budowa portu trwała w całości lat dziesięć i kosztowała dwanaście milionów. A prace przy naprawie kanału trwają jeszcze po dziś dzień. Lecz jak wielkim błogosławieństwem stał się port dla stolicy! Dopóki panujemy na morzu, nie grozi nam już śmierć głodowa.

Wszystko układało się jak najpomyślniej dla mnie i dla Rzymu. W kraju

panowało zadowolenie i dobrobyt, a nasze armie triumfowały na wszystkich frontach. Aulus odniósłszy szereg świetnych zwycięstw nad nie ujarzmionymi dotychczas plemionami belgijskimi na południu i na południowym zachodzie wyspy, umacniał dokonane przeze mnie dzieło podboju Brytanii. Ceremonie religijne odbywały się regularnie i punktualnie; nawet w najuboższych dzielnicach miasta nie dochodziło do żadnych zamieszek. Udało mi się doprowadzić do normy moje czynności sędziowskie i znaleźć środki, dzięki którym spadła liczba procesów. Zdrowie dopisywało. Messalina wyglądała bardziej uroczo niż kiedykolwiek. Dzieci rosły krzepko i zdrowo, a mały Brytanik nad wiek był rozwinięty (zjawisko pospolite w rodzinie Klaudiuszów i pod tym względem tylko ja, wyznam otwarcie, stanowiłem wyjątek). Martwiło mnie jedynie poczucie, że pomiędzy mną a senatem istnieje niewidzialna zaporą, której nie sposób było przełamać. Cóż więcej bowiem mogłem zrobić niż okazywać szacunek dla stanu senatorskiego, a zwłaszcza dla urzędujących konsulów i urzędników pierwszego stopnia? Pomimo to stale spotykałem się z mieszaniną służalstwa i podejrzliwości, które trudno było wytłumaczyć, a z którymi nie mogłem dać sobie rady. Postanowiłem wskrzesić dawną cenzurę, której funkcje przejął Cesarski Nadzór Obyczajności, i w charakterze tradycyjnego cenzora zreformować jeszcze raz senat, pozbywając się wszystkich bezużytecznych, zawadzających członków. W gmachu senatu kazałem umieścić ogłoszenie, w którym napomniałem jego członków, by każdy po rozważeniu osobistych kwalifikacji zdecydował o swojej zdatości służenia Rzymowi na stanowisku senatora. Jeżeli dojdzie do przekonania, że brak mu odpowiednich środków lub uzdolnień, niech sam zrezygnuje. Równocześnie dałem do zrozumienia, że kto nie pospieszy się z dobrowolną rezygnacją, zostanie sromotnie usunięty. Aby przyspieszyć decyzję, rozesłałem prywatne napomnienia do tych senatorów, których zamierzałem usunąć, na wypadek gdyby tego nie uczynili dobrowolnie. W ten sposób przerzedziłem listę senatorów o jakąś setkę nazwisk, a pozostałych wynagrodziłem, podnosząc ich

rodziny do stanu senatorskiego. Powiększenie liczby nobileów miało jeszcze tę korzyść, że zwiększało zastęp kandydatów na wyższe urzędy kapłańskie i rozszerzało krąg osób, z którymi członkowie dawnych możnych rodów mogli wstępować w związki małżeńskie. Cztery razy kolejno Romulus, Lucjusz Brutus, Cezar i August zakładali podwaliny możnego rodu i ród ten w pewnym momencie dziejów zanikał. Można by wprawdzie przypuszczać, że im bogatsza i potężniejsza rodzina, tym szybciej i mocniej się rozkrzewia, lecz w Rzymie nigdy się to dotychczas nie zdarzyło.

Dokonane oczyszczenie senatu nie przyniosło pożądanego skutku. Obrady stały się zupełną farsą. Pewnego razu za mego drugiego konsulatu, kiedy przedstawiałem projekt pewnej reformy sądownictwa, senatorowie słuchali tak nieuważnie, że musiałem otwarcie oświadczyć:

- Jeżeli istotnie pochwalacie mój projekt, bądźcie łaskawi powiedzieć mi o tym od razu i całkiem po prostu. Jeżeli nie pochwalacie, zaproponujcie poprawki, ale zaraz. Jeżeli potrzebujecie czasu do namysłu, zastrzeżcie go sobie, ale nie zapominajcie, że w oznaczonym dniu macie wypowiedzieć sformułowane już zdanie. Nie licuje z godnością senatu, żeby konsulowie przyszłoroczni ograniczali się do powtarzania zdania tegorocznych, a reszta kolejno oświadczała: „Zgadzam się na wniosek”, i po zakończeniu posiedzenia uroczyście protokołowano: „W dyskusji, która się wywiązała...”

Dałem wiele dowodów swego poważania dla senatu. Między innymi Grecję i Macedonię, które stryj mój Tyberiusz uczynił prowincjami cesarskimi, wciągnąłem z powrotem na listę prowincji senackich*.[* Prowincje senackie pozostawały pod zarządem senatu, cesarskie - pod zarządem cesarza.] Przywróciłem prawo z czasów Augusta, mocą którego senat mógł bić własną monetę obiegową w prowincjach. Nic tak bowiem nie nakazuje szacunku dla władzy jak pieniądź. Wprawdzie na złotych i srebrnych monetach widniała w dalszym ciągu moja głowa, gdyż, bądź co bądź, byłem cesarzem, a co więcej - człowiekiem, na którym ciążyła większa część odpowiedzialności za rządy, ale

popularny skrót senatu „S.C.”[* Senatus Consultum - uchwała senatu.] ukazał się znowu na bilonie miedzianym, a miedziaki są przecież najstarszym, najbardziej używanym i ilościowo najpokaźniejszym środkiem płatniczym.

Bezpośrednią przyczyną, dla której przeprowadziłem czystkę senatu, była sprawa Azjatyka. Pewnego dnia Messalina przysłała do mnie i powiedziała:

- Czy przypominasz sobie, jak zastanawiałeś się nad przyczynami, które skłoniły Azjatyka do zrezygnowania z konsulatu w zeszłym roku? Motywy, które podał, że nie chce przez powtórny konsulat budzić zazdrości i podejrzeń wśród ludzi, wydały ci się niewystarczające.

- Owszem, miałem wrażenie, że za tym kryło się jeszcze coś innego.

- A więc posłuchaj. Opowiem ci coś, co już dawniej powinnam ci była powiedzieć. Azjatyk jest od pewnego czasu po uszy zakochany w żonie Korneliusza Scypiona. Cóż powiesz na to?

- Ach! W Poppei! Tej, co ma taki prosty nos i takim śmiałym spojrzeniem obrzuca mężczyzn. Przystojna kobietka. A cóż ona na to? Azjatyk to nie to, co przystojny młodzian Scypion: ma już i łysinę, i trochę jest za tęgi. No, ale oczywiście - najbogatszy człowiek w Rzymie, właściciel cudownych ogrodów.

- Obawiam się, że Poppea posunęła się za daleko i jest całkiem skompromitowana. Zaraz ci opowiem. Najlepiej być szczerą. Pewnego razu Poppea przychodzi do mnie, wiesz, jak się przyjaźnimy, a raczej przyjaźniłyśmy się, i mówi: „Messalino, moja kochana, chcę cię poprosić o wielką, wielką przysługę. Ale nie powiesz nikomu o mojej prośbie, dobrze?” Oczywiście przyrzekłam. Wyznała wtedy, że się oboje z Azjatykiem kochają i ona nie wie, co ma począć w tej sytuacji. „Mój mąż - mówiła - jest strasznie zazdrosny i gdyby się dowiedział o tym, prawdopodobnie zabiłby mnie. Ślub brałam według ścisłego obrzędu *,[* Tzw. Contarreatio - najuroczystsza w Rzymie forma zaślubin małżeńskich, zawieranych wobec najwyższego kapłana, kapłana Jowiszowego (Flamen Dlalts) oraz dziesięciu świadków. Podczas ceremonii składano ofiarę z placka orkiszowego.] a wiesz, jak trudno jest wtedy w razie

oporu ze strony męża dostać rozwód. Przede wszystkim traci się prawo do dzieci. Czy nie mogłabyś mi pomóc? Może byś poprosiła cesarza, żeby porozmawiał ze Scypionem i umożliwił mi zawarcie związku z Azjatykiem.”

- Mam nadzieję - przerwałem - że nie dałaś do zrozumienia, iż istnieje jakaś możliwość uzyskania mojej zgody na podobny krok. Doprawdy, te kobiety!...

- Bynajmniej, kochany! Całkiem przeciwnie. Odpowiedziałam, że jeśli nie wspomni więcej słowem o tej sprawie, postaram się ze względu na naszą przyjaźń zapomnieć o tym, co mi powiedziała. Jeżeli jednak dojdą mnie choćby tylko pogłoski, że jej niegodny stosunek z Azjatykiem trwa w dalszym ciągu, udam się prosto do ciebie.

- Doskonale! Bardzo się cieszę, żeś jej tak odpowiedziała.

- Właśnie bezpośrednio po tym Azjatyk ustąpił z konsulatu i jak pamiętasz, poprosił senat o pozwolenie odwiedzenia majątków, które posiada we Francji.

- Pamiętam. Długi czas nie było go w Rzymie. Przypuszczam, że chodziło mu o to, by łatwiej zapomnieć o Poppei. Południowa Francja obfituje w ładne kobiety.

- Otóż mylisz się. Odkryłam całą sprawę. Po pierwsze, Azjatyk w ostatnich czasach hojnie obdarzał pieniędzmi kapitanów, sierżantów i chorążych gwardii. Mówił, że w ten sposób chce ich wynagrodzić za okazywaną ci wierność. Powiedz sam, czy brzmiało to szczerze?

- Dlaczego nie? Ma tyle pieniędzy, że nie wiem, co z nimi robić.

- Nie bądź śmieszny. Nikt nie ma tyle pieniędzy, żeby nie wiedział, co z nimi robić. Po drugie, Azjatyk i Poppea, ilekroć biedny Scypion opuszczał miasto, spotykali się jak dawniej i spędzali razem całą noc.

- Gdzie miały miejsce te spotkania?

- W domu kuzynów Poppei, braci Petrów. Po trzecie, Sosibiusz, z którym zupełnie nie mówiłam o tej sprawie, sam zauważył pewnego dnia, że postąpiłeś

nierozważnie, pozwalając Azjatykowi na tak długi czas wyjechać do posiadłości we Francji. Kiedy zażądałam, żeby wyjaśnił, co właściwie ma na myśli, pokazał mi list, który otrzymał od swego znajomego z Wiedni. Znajomy ten donosi, że Azjatyk niewiele czasu poświęca swym majątkom. Składa natomiast wizyty najbardziej wpływowym osobistościom na prowincji i odbył nawet podróż wzdłuż Renu, w czasie której okazywał wielką szczodroliwość oficerom tamtejszego garnizonu. Oczywiście przypominasz sobie, że Azjatyk urodził się w Wiedni, i Sosibiusz twierdzi...

- Każ zawołać natychmiast Sosibiusza! - wykrzyknąłem.

Kiedy poszukiwałem wychowawcy dla Brytanika, wybór mój padł na Sosibiusza. Nic więc dziwnego, że wielce ufałem jego opinii. Był to Grek z Aleksandrii, który od dawna poświęcił się studiom nad wczesną literaturą rzymską i uchodził za największy autorytet we wszystkim, co dotyczyło tekstów Eniusza. W dziedzinie historii okresu republikańskiego, którą znał lepiej niż jakikolwiek historyk rzymski, nie wyłączając mnie samego, czuł się jak u siebie w domu. Toteż wybierając Sosibiusza uważałem, że stworzę dla mego syna najwłaściwszą atmosferę wychowawczą.

Sosibiusz wnet się zjawił i zapytany dał całkiem szczerą odpowiedź. Owszem, jego zdaniem, Azjatyk jest człowiekiem bardzo ambitnym i zdolnym do rewolucyjnych knowań. Czyż już raz nie wystąpił jako mój współzawodnik do cesarskiej purpury?

- Zapominasz, Sosibiuszu - wtrąciłem - że owe dwa dni amnestia wymazała z roczników miasta.

- Lecz Azjatyk należał do spisku przeciw twemu bratankowi, poprzedniemu cesarzowi, czym nawet chełpił się głośno na Rynku. Jeżeli tego rodzaju człowiek bez podania przekonujących powodów ustępuje z konsulatu, wyjeżdża do Francji, gdzie posiada poważne stosunki, siejąc pieniędzmi usiłuje rozszerzyć tam jeszcze swoje wpływy i opowiada, że musiał ustąpić tylko z powodu twojej zawiści lub może zbyt stanowczego wystąpienia

w obronie swych rodaków Francuzów...

- Sprawa jest całkiem jasna - przerwała Messalina. - Azjatyk obiecał Poppei, że się z nią ożeni, a chcąc dotrzymać tej obietnicy, musi się wpierw pozbyć nas obojga. Zechce jeszcze raz wyjechać do Francji, aby wzniecić tam bunt wśród miejscowych pułków, a potem spróbuje przeciągnąć na swoją stronę pułki nadreńskie. Co się tyczy gwardii, ta równie ochoczo okrzyknie go cesarzem, jak okrzyknęła ciebie. Dostać po raz drugi dwieście aureusów na głowę, czy to zły interes?

- Jak przypuszczasz, kto jeszcze należy do spisku?

- Pozwól mi wybadać, co się święci u braci Petrów. Niedawno zwrócili się do adwokata Suiliusza z prośbą, aby poprowadził dla nich pewną sprawę. Suiliusz to jeden z moich najlepszych agentów. Jeżeli tylko Petrowie mają na sumieniu coś więcej poza tym, że przysłużyli się Poppei i Azjatykowi użyczeniem sypialni, Suiliusz wykryje to z całą pewnością. Pod tym względem możesz na nim polegać.

- Nie lubię szpiegowania i nie lubię Suiliusza.

- Musimy bronić siebie, a Suiliusz jest najporządniejszym ze świadków, jakim rozporządzamy.

Ostatecznie Suiliusz otrzymał odpowiednią instrukcję i w tydzień później złożył raport, który potwierdził podejrzenia Messaliny. Bracia Petrowie niewątpliwie należeli do spisku. Starszy z nich rozpowiadał o wizji, jaką miał pół we śnie, pół na jawie pewnego ranka. Zobaczył mianowicie moją głowę odrąbaną od tułowia i uwieńczoną liśćmi wina. Astrologowie, do których się zwrócił, wytłumaczyli tę wizję w sposób bardzo sensacyjny: ich zdaniem, miałem z końcem jesieni zginąć gwałtowną śmiercią. Młodszy z braci służył jako łącznik między Azjatykiem a gwardią, której był pułkownikiem. W niewątpliwiej łączności z tymi trzema pozostawali dwaj moi dobrzy znajomi, Pedo Pompejusz, z którym często wieczorami grywałem w kości, i Asarion, wuj mego zięcia, młodego Pompejusza, mający również wolny wstęp do pałacu.

Suiliusz wyraził przypuszczenie, że prawdopodobnie tym ostatnim przypadłoby w udziale sprzątnięcie mnie ze świata przy przyjacielskiej partyjce kości. Poza tym były jeszcze dwie bratanice Asariona, siostry Trystonie, które miały cudzołożne stosunki z Petrami.

Doszedłem do przekonania, że nie pozostaje mi nic innego, jak samemu zadać pierwszy cios. Komendanta gwardii, Kryspina, którego wierność nie nasuwała najmniejszych podejrzeń, wysłałem do Bajów i tam w domu Asariona został aresztowany Azjatyk. Zakutego w kajdany przyprowadzono do pałacu. Ściśle rzecz biorąc, powinienem go był oskarżyć przed senatem, nie byłem jednak pewien, jak dalece rozkrzewił się spisek. Mogło dojść do demonstracyjnych wystąpień na rzecz oskarżonego, a tego sobie bynajmniej nie życzyłem. Aresztowanego poddałem badaniu w swoim gabinecie, w obecności Messaliny, Witeliusza, Kryspina, młodego Pompejusza i moich ministrów.

Jako oskarżyciel wystąpił Suiliusz. Chyba nigdy na niczyjej twarzy nie odmalowała się tak wyraźnie wina jak na twarzy Azjatyka, kiedy ujrzął Suiliusza. Muszę tu zauważyć, że prawdopodobnie Kryspin, któremu zresztą nic na ten temat nie powiedziałem, nie uprzedził Azjatyka, na jakie zarzuty będzie odpowiadać - a niewielu znajdzie się ludzi, co to nagle aresztowani mogą patrzeć swym sędziom prosto w oczy z wyrazem zupełnej niewinności. Pamiętam, jak niepewnie się czułem, kiedy z rozkazu Kaliguli zostałem uwięziony pod zarzutem sfalszowania testamentu. Suiliusz jako oskarżyciel wyglądał groźnie i bezlitośnie: szczupła twarz, wiejąca kamiennym chłodem, białe włosy, ciemne oczy i długi palec wskazujący, którym zdawał się sondować i przeszywać obwinionego jak mieczem. Przemówienie rozpoczął od zasypania Azjatyka gradem dobrotliwych komplementów i żarcików. Zorientowaliśmy się, że to tylko preludium, że po nim rozpęta się burza. Najpierw w żartobliwym tonie przyjacielskiej rozmowy zapytał, kiedy oskarżony zamierzał wybrać się po raz drugi do swych francuskich posiadłości. Czy przypadkiem nie przed winobraniami? A co sądzi o stanie rolnictwa w okolicach Wienne, zwłaszcza w

porównaniu z warunkami panującymi w dolinie Renu? - Ale nie zadawaj sobie zbytniego trudu z odpowiedzią - dodał. - Prawdę mówiąc, obu nas równie mało obchodzi, jak obrodził jęczmień pod Wiedeń lub jak głośno pieją tamtejsze koguty. - Następnie przeszedł do sprawy podarunków robionych gwardii. Doprawdy, Azjatyk okazał niemałe przywiązanie do osoby cesarskiej, ale czy nie sądzi przypadkiem, że proste umysły żołnierskie mogły źle interpretować tę hojność?

Azjatyk stawał się coraz bardziej niespokojny i oddychał z trudnością. Suiliusz podszedł do niego parę kroków. Przypominał teraz myśliwego, który wypuściwszy z daleka kilka celnych strzał, zbliża się do rannego zwierzęcia i zwycięsko potrząsa oszczepem.

- Pomyśleć tylko, że tego człowieka zwałem kiedyś przyjacielem! - zawołał. - Że jadłem u jego stołu, że dałem się zwieść jego uprzejmości, szlachetnemu pochodzeniu, łasce i zaufaniu, jakie przez swą obłudę zyskał u miłościwego cesarza i ludu. O ty potworze! Ty obmierzły pederasto! Ty stary kurwiarzu! Ty słodyczą ociekający deprawatorze serc i ciał wiernych żołnierzy, których straży powierzona jest święta osoba Cezara, bezpieczeństwo tego miasta, pomyślność całego świata! Gdzieżeś to był wieczorem w dniu cesarskich urodzin, żeś nie mógł wziąć udziału w przyjęciu, na które zostałeś zaproszony? Chory byłeś, powiadasz? Poważnie chory! Nie wątpię o tym. Za chwilę pokażę sądowi towarzyszy twojej słabości, młodych żołnierzy gwardii, którzy się od ciebie zarazili ohydną chorobą, wstrętny rozpustniku.

W tym tonie przemawiał dłuższy czas. Azjatyk był blady jak trup i wielkie krople potu wystąpiły mu na czoło. Za każdym razem, kiedy chciał je obetrzeć, słychać było szcęk kajdan. Wedle przepisów obowiązujących w sądzie nie wolno mu było zabrać głosu do chwili, kiedy zostanie wezwany, by odeprzeć postawione mu zarzuty. Azjatyk jednak nie mógł dłużej wytrzymać.

- Zapytaj własnych synów, Suiliuszu, a powiedzą ci, że jestem mężczyzną - wykrzyknął chrapliwym głosem. Przywołano go do porządku, a Suiliusz

przeszedł teraz do kwestii cudzołóstwa z Poppeą. Na tę sprawę nie kładł jednak nacisku, jakby ten w rzeczywistości najsilniejszy punkt oskarżenia był najslabszym, i tak zaplątał Azjatyka, że ten wyparł się wszystkiego. Gdyby był mądry, przyznałby się do cudzołóstwa, a zaprzeczyłby innym zarzutom. Zaprzeczając wszystkiemu, tym samym potwierdzał swą winę. Wtedy Suiliusz przywołał świadków, przeważnie młodych żołnierzy. Głównemu świadkowi, młodemu rekrutowi z południowej Italii, kazano zidentyfikować Azjatyka. Mam wrażenie, że był on poprzednio pouczony, iż rozpozna Azjatyka po łysej głowie, wskazał bowiem na Pallasę jako swego uwodziciela. Powstał wielki śmiech. Wiedziano, że Pallas, podobnie jak ja, ze wstrętem odnosi się do tego występku, a ponadto podczas uczty w dniu moich urodzin pełnił rolę marszałka dworu.

Byłbym prawdopodobnie od razu umorzył sprawę, lecz pomyślałem, że świadek może mieć, podobnie jak ja sam, słabą pamięć wzrokową, a niemożność rozpoznania Azjatyka nie świadczy jeszcze o bezpodstawności innych zarzutów. W każdym razie w łagodniejszym już tonie zwróciłem się do podsądnego, rozkazując mu, aby punkt po punkcie odpowiedział na zarzuty Suiliusza. Nie mógł się jednak w zadowalający sposób wytłumaczyć ze swych podróży do Francji, a na pewno popełnił krzywoprzysięstwo, wypierając się stosunku z Poppeą. Zarzut deprawacji gwardzistów uważałem za nie udowodniony. Żołnierze wygłaszali zeznania w tak suchym, formalnym stylu, jakby się ich byli wyuczyli na pamięć; zapytani, powtarzali wciąż te same słowa. Z drugiej strony jednak nie słyszałem nigdy gwardzisty, który by inaczej mówił przed sądem. Ci ludzie zachowują się zawsze jak na musztrze.

Poleciłem zebranych opuścić pokój, zatrzymując tylko Witeliusza, młodego Pompejusza i Pallasę (Messalina kilka minut przedtem wybiegła z płaczem), i oświadczyłem im, że nie chcę skazać Azjatyka nie wysłuchawszy ich zdania. Zabrał głos Witeliusz i stwierdził, że nie istnieje nic, co by pozwalało wątpić o winie Azjatyka. Jeśli chodzi o jego samego, to jest równie zaskoczony i zmartwiony jak ja. Azjatyk był od dawna jego przyjacielem i

cieszył się względami mojej matki Antonii, której wpływom na dworze obaj zawdzięczają swój awans. Azjatyk ma za sobą piękną przeszłość i nigdy nie uchylał się od spełnienia patriotycznego obowiązku; należał przecież do ochotników, którzy wyruszyli wraz ze mną do Brytanii, a choć nie zdążył na czas, by wziąć udział w bitwie, stało się to tylko z powodu burzy - o tchórzostwo nie można go żadną miarą posądzać. Skoro więc teraz stracił rozum i zdradził swoją własną przeszłość, nie będzie zbyt łagodności z mej strony, jeśli mu pozwolę własną ręką zadać sobie śmierć. Oczywiście, ściśle rzecz biorąc, zasłużył na to, aby go strącić ze Skały Tarpejskiej i powlec zbezczeszczonego trupa przez błoto do Tybru.

Dowiedziałem się też od Witeliusza, że Azjatyk właściwie przyznał się do winy, wysłał bowiem do niego zaraz po aresztowaniu karteczkę, w której zaklinał go na dawną przyjaźń, by postarał się o wyrok uniewinniający, albo - w najgorszym razie - o pozwolenie na samobójstwo.

- Wiedział, że będzie odpowiadał przed bezstronnym sądem, tego bowiem nie odmówiłeś nikomu. Po cóż więc było prosić mnie o poparcie? Jeśli był winny, mógł się spodziewać, że go za winnego uznają, jeżeli niewinny, mógł liczyć na uwolnienie.

Młody Pompejusz protestował przeciwko okazywaniu jakichkolwiek względów Azjatykowi, ale słowa jego mogła dyktować obawa o własne bezpieczeństwo. Był spokrewniony z Asarionem i siostrami Trystoniami, wymienionymi jako wspólnicy Azjatyka. Chciał więc zmanifestować własną lojalność.

Zawiadomiłem Azjatyka, że rozprawę odraczam na dwadzieścia cztery godziny, i na ten czas kazałem mu zdjąć kajdany. Powinien był zrozumieć intencję tego zarządzenia. Messalina tymczasem pobiegła do Poppei powiedzieć jej, że Azjatyk zostanie skazany, i poradzić, aby lepiej popełniła samobójstwo i w ten sposób uniknęła grożącej jej rozprawy.

Azjatyk okazał dość odwagi. Ostatni dzień życia spędził na

porządkowaniu interesów. Jadł, pił jak zwykle i odbył przechadzkę po ogrodach Lukulla (jak je wciąż jeszcze nazywano) wydając ogrodnikom mnóstwo poleceń dotyczących drzew, kwiatów i sadzawek. Kiedy spostrzegł, że stos pogrzebowy wzniesiono zbyt blisko pięknej alei, oburzył się i wyzwoleńcowi, który był odpowiedzialny za wybór miejsca, kazał potrącić jedną czwartą z zapłaty.

- Czy ci nie przyszło do głowy, idioto, że byle wiatr, a ogień przerzuci się na liście tych pięknych starych drzew? Niewiele brakowało, a byłbyś mi oszpecił cały ogród!

Zanim wezwany chirurg otworzył mu żyłę w nodze, po czym miała nastąpić śmierć w ciepłej kąpieli spowodowana upływem krwi, Azjatyk zwrócił się do zebranej rodziny.

- Żegnajcie, kochani - rzekł. - Mniej haniebnie byłoby ulec podstępnym knowaniom Tyberiusza lub szałowi Kaliguli niż paść ofiarą głupkowatej łatwowierności Klaudiusza. Zostałem zdradzony przez kobietę, którą kochałem, i przez przyjaciół, którym ufałem. - Był bowiem przekonany, że oskarżenie przygotowali Poppea i Witeliusz.

W dwa dni później zaprosiłem na obiad Scypiona i podczas rozmowy zapytałem o zdrowie żony. Chciałem w ten delikatny sposób dać mu do zrozumienia, że jeśli w dalszym ciągu kocha Poppeę i gotów jest jej przebaczyć, będę uważał całą sprawę za zakończoną.

- Nie żyje, Cezarze - odparł i zakrywszy twarz dłońmi rozszlochał się jak dziecko.

Rodzina Azjatyka, Walerianowie, chcąc zrzucić z siebie wszelką odpowiedzialność za obrażające mnie słowa i przebłagać Messalinę, ofiarowali jej ogrody Lukulla. Oczywiście w tym czasie nie przyszła mi nigdy do głowy myśl, że te ogrody były istotną przyczyną śmierci Azjatyka. Zarządziłem też śledztwo w sprawie braci Petrów i skazałem obu na śmierć, skutkiem czego siostry Trystonie popełniły samobójstwo. Zdaje się też, że podpisałem wyrok śmierci na Asariona; dokładnie jednak tego nie pamiętam. Kiedy poleciłem

Pallasowi, aby uprzedził go o procesie, usłyszałem w odpowiedzi, że już został stracony, i przedstawiono mi wyrok, na którym podpis był na pewno autentyczny. Sprawę tę wyjaśnić mogę tylko w ten sposób, że Messalina lub Polibiusz, będący jej narzędziem, podsunęli mi wyrok między innymi mało ważnymi dokumentami i podpisałem go nie czytając. Wiem obecnie, że tego rodzaju nadużycia były na porządku dziennym. Wzrok mój osłabł znowu do tego stopnia, że musiałem zaprzestać czytania przy sztucznym świetle; wykorzystywano tę okoliczność, aby przy odczytywaniu oficjalnych sprawozdań i dokumentów, które miałem podpisać, zmieniać dowolnie ich treść.

W tym czasie otruto Winicjusza. Dowiedziałem się w kilka lat później, że otruła go Messalina, gdyż nie chciał zostać jej kochankiem. Rzeczywiście, na dzień przed swą śmiercią jadł obiad w pałacu i przypuszczenie, że padł ofiarą Messaliny, wydaje mi się całkiem prawdopodobne. Tak więc pożegnali ten świat Winicjusz, Winicjan i Azjatyk; trzech mężowie, z których każdy pragnął zostać cesarzem, zginęli, a ja byłem pozornie sprawcą ich śmierci. Miałem jednak spokojne sumienie. Winicjan i Azjatyk byli w moich oczach zwykłymi zdrajcami, a śmierć Winicjusza uważałem za nieszczęśliwy wypadek. Senat jednak i lud lepiej znali Messalinę i z jej powodu znienawidzili mnie. To tworzyło między mną a nimi ową niewidzialną barierę, której nikt nie miał odwagi złamać.

Na posiedzeniu senatu, na którym przyznano Sosibiuszowi i Kryspinowi pieniężne wynagrodzenie za oddane usługi, wygłosiłem ostre przemówienie; skutek był taki, że senat dobrowolnie przelał na mnie prawo udzielania jego członkom pozwoleń na wyjazd z Italii z jakichkolwiek bądź przyczyn.

Rozdział XXVI

Córka moja Antonia, która przed kilku laty wyszła za mąż za młodego Pompejusza, nie miała dotychczas dzieci. Odwiedziłem ją kiedyś wieczorem. Pompejusza nie było właśnie w domu i przyszło mi na myśl, że w ostatnich czasach wygląda jakoś dziwnie przygnębiona i rozczarowana. Nie przeczyła. Owszem, jest rozczarowana, bardzo rozczarowana, gorzej niż rozczarowana. Wyraziłem przypuszczenie, że może by się czuła lepiej, gdyby miała dziecko. I to nawet nie jedno, ale kilkoro. To jest po prostu obowiązek młodej, zdrowej kobiety, posiadającej tak jak ona pod dostatkiem służby i pieniędzy. Mając gromadkę dzieci w domu nie skarżyłaby się na nudy. Zapłoniła się na to i westchnęła:

- Ach, ojczy! Trzeba być szalonym, by spodziewać się, że ruń pokryje pole, na którym nie posiano ziarna: Winisz ziemię, zamiast winić rolnika, który sól sieje, nie ziarno.

Ze zdumieniem dowiedziałem się wtedy, że małżeństwo nie tylko nie zostało dopełnione, lecz że zięć mój zmusza żonę do najwstrętniejszych praktyk. Nie mówiła mi o tym dotychczas, gdyż bała się, że jej nie uwierzę. Miała bowiem wrażenie, że w gruncie rzeczy nie kocham jej, tak jak na przykład przyrodnie rodzeństwo; zresztą młody Pompejusz przechwalał się swoimi dobrymi ze mną stosunkami twierdząc, że zrobię wszystko, co on zechce, i uwierzę we wszystko, co powie. Jaką więc mogła mieć nadzieję? A poza tym nie potrafiła się pogodzić z myślą, że o tych wszystkich okropnych sprawach musiałaby mówić przed sądem. Co za wstyd!

Poczułem wzbierający w sercu gniew, jaki by ogarnął każdego ojca na moim miejscu. Zapewniłem Antonię, że kocham ją z całego serca i że głównie ze względu na nią obdarzałem Pompejusza takim szacunkiem i zaufaniem. Przysiągłem wreszcie na honor, że jeśli tylko połowa z tego, co mi

opowiedziała, jest prawdą, to łajdak nie będzie długo czekał na karę; wstydlivość jej przy tym nie zostanie narażona na żaden szwank; sprawa nie będzie zupełnie rozpatrywana przed sądem. Nie opłaciłoby się przecież być cesarzem, gdybym w razie potrzeby nie mógł skorzystać z przywilejów swego stanowiska dla własnych uczciwych celów. To tylko w nieznaczej mierze może zrównoważyć ciężar odpowiedzialności, pracy i zgryzoty, jakie przynosi z sobą cesarska purpura.

- O której godzinie spodziewasz się powrotu Pompejusza? - spytałem.

- Wróci koło północy - odparła żalonym tonem. - Koło pierwszej będzie już u siebie w sypialni. Przedtem zawsze jeszcze wychyla parę pucharów. Istnieje dziewięćdziesiąt procent prawdopodobieństwa, że weźmie z sobą do łóżka tego wstrętnego Licydasa. Kupił go na licytacji majątku po Azjatyku za dwadzieścia tysięcy aureusów i od tego czasu nie patrzy na nikogo innego. Jest to pod pewnym względem dla mnie niemałą pociechą. Możesz sobie teraz wyobrazić, jak było źle, jeśli wolę już, żeby sypiał z Licydasem niż ze mną. I pomyśleć, że kiedyś byłam zakochana w Pompejuszu! Śmieszna rzecz ta miłość...

- Biedne moje dziecko, biedna Antonio! Słuchaj! Kiedy Pompejusz będzie już zabierał się do spania, zapal parę oliwnych lamp i postaw je w oknie tego pokoju. Dobrze? Resztę pozostaw mnie.

Na godzinę przed świtem postawiła w oknie parę oliwnych lamp, zeszła na dół i kazała odźwiernemu otworzyć frontowe drzwi. Czekałem już na dole wraz z Getą i dwoma sierżantami gwardii. Wszedłszy do domu wysłałem ich na górę, a sam zatrzymałem się z Antonią w sali na dole. Zwolniła na tę noc całą służbę z wyjątkiem odźwiernego, który był moim niewolnikiem. Lamentowała trochę i w pewnym momencie ujęliśmy się za ręce nasłuchując w napięciu, czy nie doleczą nas z góry krzyki i odgłosy walki. Nic jednak nie było słyhać. Po pewnej chwili wszedł Geta z sierżantami i zaraportował, że rozkaz został wykonany. Jeden cios włóczni uśmiercił Pompejusza i niewolnika Licydasa.

Po raz pierwszy użyłem cesarskiej władzy w prywatnej sprawie. Gdybym jednak nawet nie był cesarzem, czułbym tak samo i zrobiłbym wszystko, co byłoby w mojej mocy, żeby zniszczyć Pompejusza. A chociaż prawo o występkach przeciw naturze od lat popadło w niepamięć, gdyż żaden sąd nie był skłonny do wydawania w tych wypadkach skazującego wyroku, to wedle prawa Pompejusz zasłużył na śmierć. Zawiniłem tylko o tyle, że skazałem go bez przeprowadzenia rozprawy. Lecz czyż nie był to najlepszy sposób załatwienia takiej sprawy? Kiedy ogrodnik dojrzy robaka, toczącego mu jeden z najpiękniejszych kwiatów róży, nie wytacza sprawy przed sądem ogrodników, lecz rozgniata szkodnika między palcami. W kilka miesięcy później wydałem Antonię za męża za Faustusa, potomka dyktatora Sulli. Był to skromny, zdolny, pracowity człowiek, który okazał się doskonałym zięciem. W dwa lata później został konsulem. Z małżeństwa tego przyszedł na świat syn, było to jednak dziecko bardzo słabowite i wkrótce umarło. Więcej potomstwa Antonia nie mogła się już spodziewać, gdyż w czasie pierwszego porodu nieuważna akuszerka spowodowała jakieś obrażenie narządów wewnętrznych.

Wkrótce potem kazałem stracić Polibiusza, który ostatnio był moim ministrem sztuki. Messalina dostarczyła mi dowodów, że handlował prawem obywatelstwa na własny rachunek. Wiadomością o tym oszustwie byłem niezmiernie zaskoczony. Polibiusz wychował się u mnie i służył mi od dziecka; pokładałem w nim nieograniczone zaufanie. On to pomógł mi ukończyć oficjalną autobiografię, którą na prośbę senatu napisałem dla narodowego archiwum. Traktowałem go też bardziej jak przyjaciela niż sługę. Pewnego razu, kiedy spacerowaliśmy w ogrodach pałacowych, roztrząsając jakieś zagadnienie z historii starożytnej, nadeszli dwaj konsulowie, aby mnie jak każdego ranka powitać. Polibiusz chciał się oddalić, lecz zatrzymałem go przy sobie, czym obaj dygnitarze poczuli się urażeni. Lecz jeśli moja duma pozwalała mi przebywać w towarzystwie Polibiusza i słuchać jego zdania, dlaczegoż mieliby konsulowie uważać się za coś lepszego? Cieszył się też wielką swobodą i nigdy nie

zauważyłem, żeby jej nadużył. Raz tylko zbyt popuścił cugli językowi. Zdarzyło się to w teatrze, podczas przedstawienia komedii Menandra. Właśnie aktor wygłosił następujący wiersz:

Nielatwo z batodzierzłą, któremu los sprzyja.

Wtedy za kulisami ktoś się zjadliwie roześmiał - był to niechybnie Mnester. Wszyscy obejrżeli się w stronę Polibiusza, który jako minister sztuki trzymał aktorów w korbach i dopilnowywał w moim zastępstwie, żeby jeśli któryś zbyt sobie pozwalał, nie minęły go porządne cięgi.

Lecz Polibiusz nie stracił głowy.

- I owszem - zawołał głośno - a w Tesalii ten sam Menander powiada:

Kto ongiś pasał kozy, dziś ma władzę króla.

Była to aluzja pod adresem Mnesterera, który rozpoczął swoją karierę jako pasterz kóz w Tesalii, a obecnie był, jak powszechnie wiadomo, pierwszym faworytem Messaliny.

Messalina, o czym wówczas nie miałem pojęcia, miała również stosunek z Polibiuszem, a ten głupiec był zazdrosny o Mnesterera. Pozbyła go się więc w wyżej wspomniany sposób. Reszta wyzwoleńców wzięła śmierć Polibiusza za afront wyrządzony im samym. Tworzyli oni rodzaj doskonale zorganizowanego cechu. Zawsze osłaniali lojalnie jeden drugiego, nie było też między nimi żadnej rywalizacji o moje względy ani żaden z nich nie okazywał zazdrości o drugiego. Polibiusz nie bronił się zupełnie. Nie chciał, jak przypuszczam, obciążać swych kolegów, z których prawdopodobnie niejeden maczał palce w tym samym nieczystym handlu obywatelstwem.

Zdarzało się obecnie nieraz, że choć na afiszach zapowiedziany był występ Mnesterera, aktor nie zjawiał się na przedstawieniu. Wywoływało to zawsze szmery na widowni. A chociaż zawsze w tym samym czasie Messalina dostawała bólu głowy, który jej nie pozwalał udać się do teatru, nigdy mi nie przyszło na myśl, żeby ze zbiegu tych dwu faktów wyciągnąć nader prosty wniosek. Byłem doprawdy głupcem ostatniego rzędu! Niejednokrotnie

musiałem przeproszać publiczność za zawód sprawiony jej przez Mnestera i zaręczać, że na przyszłość się to nie powtórzy. Pewnego razu przy takiej okazji zazartowałem sobie:

- Chyba nie podejrzewacie, że go ukryłem w pałacu? - Widownia wybuchnęła śmiechem. Wszyscy z wyjątkiem mnie jednego wiedzieli, gdzie bawi Mnester. Kiedy wracałem z teatru, Messalina zazwyczaj posyłała po mnie; zastawałem ją w zaciemnionej sypialni, leżącą w łóżku z kompresem na głowie.

- Co mówisz, kochanie? - dziwiła się omdlewającym głosem. - Więc Mnester znów dziś nie wystąpił? No, to przynajmniej nic nie straciłam. A leżąc tutaj prawie konałam z zazdrości, że możecie go oglądać. Już nawet wstałam i zaczęłam się ubierać, żeby pomimo wszystko go zobaczyć, ale ból był tak przeraźliwy, że musiałam się znowu położyć. Czy sztuka była bardzo nudna bez niego?

Na to odpowiadałem mniej więcej w ten sposób:

- Musimy doprawdy wywrzeć nań pewien nacisk, żeby dotrzymywał swych zobowiązań; nie można pozwolić, aby Rzym raz po raz był przezeń w ten sposób traktowany.

Messalina wzdychała:

- Czy ja wiem? On tak ulega nastrojom. Całkiem jak kobieta. Wielcy artyści zawsze są tacy. Powiada” że wystarczy najmniejsze podrażnienie, a dostaje bólu głowy. A jeśli dziś choć w jednej dziesiątej czuł się tak źle jak ja, to doprawdy byłoby okrucieństwem domagać się, żeby tańczył. O nie, to nie są wykręty z jego strony. On kocha swoją sztukę i zawsze jest bardzo zmartwiony, że sprawia publiczności zawód. Ale teraz zostaw mnie już samą, kochanie, chciałabym się trochę zdrzemnąć, jeśli to tylko będzie możliwe...

Opuszczałem więc sypialnię na palcach i aż do następnej podobnej okoliczności nie było mowy o Mnesterze, którego nigdy nie stawiałem tak wysoko jak większość ludzi. Porównywano go do wielkiego aktora Roscjusza, który za czasów rzeczypospolitej osiągnął w swoim kunszcie taką doskonałość,

że imię jego stało się synonimem niepospolitego artysty. O zręcznym budowniczym, uczonym historyku, a nawet o zwinnym bokserze ludzie jeszcze po dziś dzień mówią nie całkiem z sensem: „To prawdziwy Roscjusz!” Otóż jeżeli Mnesterę można w ogóle nazwać Roscjuszem, to tylko w tym ogólniejszym znaczeniu. Zaznaczam zresztą, że Roscjusza na scenie nigdy nie widziałem. Nie widział go w ogóle nikt z żyjących. Musimy polegać na tym, co opowiadali sobie o nim nasi pradziadowie. Wszyscy oni zgadzali się, że Roscjusz dążył w grze przede wszystkim do uwydatnienia charakteru i jakakolwiek przypadła mu rola - szlachetnego króla czy przebiegłego rajfura, żołnierza samochwały czy zwykłego błazna - zawsze wydawał się tym, kogo przedstawiał. Wszelka afektacja była mu obca. U Mnesterę natomiast wszystko polegało na gierkach, na całej masie gierek, nader uroczych i pełnych wdzięku. Moim jednak zdaniem, nie był to aktor w ścisłym znaczeniu tego słowa, lecz ładny chłopiec obdarzony parą zgrabnych nóg i talentem do choreograficznej improwizacji.

Po czterech latach, spędzonych na stanowisku komendanta sił zbrojnych w Brytanii, Aulus Plaucjusz powrócił do Rzymu. Z prawdziwą przyjemnością skłoniłem senat, aby udzielił mu pozwolenia na odbycie triumfu. Żałowałem tylko, że nie zgodzono się na pełny triumf, a jedynie na mniejszy, tak zwaną owację. Jeżeli wódz zasłużył na większe odznaczenie niż insygnia triumfalne, a z jakichś względów formalnych nie mógł rościć pretensji do pełnego triumfu, otrzymywał prawo odbycia mniejszego. Dzieje się to na przykład wtedy, jeśli wojna nie została całkowicie zakończona, jeżeli nieprzyjaciel poniósł zbyt małe straty albo jeśli tego wroga lekceważymy. Tak swego czasu zwycięstwo nad zrewoltowanymi niewolnikami walczącymi pod wodzą Spartakusa nie mogło upoważniać do odbycia triumfu, choć prawdę mówiąc, Spartakus sprawił naszym armiom więcej kłopotu niż niejeden z wielkich narodów. Odbyciu wielkiego triumfu przez Aulusa Plaucjusza sprzeciwiano się na tej podstawie, że Brytania nie była do tego stopnia ujarzmiona, by można wycofać z niej wojska.

Tak więc Plaucjusz wjechał do miasta nie na czterokonnym rydwaniu, lecz wierzchem, na głowie miał wieniec nie wawrzynowy, lecz mirtowy, i nie trzymał berła. Pochodu nie prowadził senat; nie było oddziału trębaczy, a ofiarę złożono nie z byka, lecz z barana. Poza tym ceremoniał uroczystości był taki sam jak podczas wielkiego triumfu. Nie chcąc, aby posądzano mnie, że z zawiści nie dopuściłem do obdarzenia Aulusa tym samym zaszczytem co mnie, wyjechałem ulicą Świętą naprzeciw zwycięzcy i złożyłem mu gratulacje. Następnie ruszyliśmy razem: ja z lewej strony, on z prawej (szczególnie zaszczytne miejsce), i własnoręcznie podtrzymywałem go, gdy musiał na klęczkach wstępować na schody Kapitolu. W wydanej na cześć wodza uczcie występowałem w roli gospodarza, a kiedy odprowadzaliśmy go przy świetle pochodni do domu, znów wyznaczyłem mu miejsce po mojej prawej ręce.

Aulus był bardzo wdzięczny za te dowody uznania, lecz jak prywatnie mi oświadczył, jeszcze większą wdzięczność czuł za zatuszowanie skandalu, który mógł wyniknąć z powodu wzięcia przez jego żonę udziału w biesiadzie chrześcijan (tak zwali się obecnie wyznawcy należący do owej sekty żydowskiej). Całą tę sprawę pozostawiłem jego mężowskiej jurysdykcji. Kobiecie, która z konieczności rozstaje się z mężem, mówił Aulus (zdrowie nie pozwoliło żonie jego udać się do Brytanii), przychodzą do głowy pod wpływem samotności dziwne fantazje i bardzo łatwo pada ofiarą religijnych szarlatanów, zwłaszcza żydowskich i egipskich. Jego żona jest jednak w gruncie rzeczy porządną kobietą, toteż żywi on najgłębsze przekonanie, że się prędko wyleczy z tego szaleństwa.

Miał rację. W dwa lata później kazałem wraz z ortodoksyjnymi misjonarzami żydowskimi uwięzić też wszystkich przywódców chrześcijan. Zostali oni następnie wydaleny z kraju. Żona Aulusa oddała mi niemałe przysługi w wyłowieniu całej tej szajki.

Emocjonalnie chrześcijaństwo pociągało ku sobie przede wszystkim dzięki dogmatowi o zmartwychwstaniu owego Joszui, czyli Jezusa, który po

ukrzyżowaniu miał wstać z grobu i odwiedzić swoich przyjaciół. Jadł i pił z nimi, by dowieść, że nie jest tylko złudzeniem, a następnie w blasku chwały wstąpił do nieba. Nieprawdziwości tych opowiadań nie można było udowodnić, gdyż bezpośrednio po ukrzyżowaniu nastąpiło trzęsienie ziemi, skutkiem czego wejście do grobu Jezusa, zawalone ciężkim głazem, zostało odsłonięte. Strażnicy ogarnięci paniką uciekli, a kiedy wrócili, stwierdzili brak ciała; najwidoczniej ktoś je ukradł. Na Wschodzie, kiedy tego rodzaju historia raz zacznie krążyć, nie sposób jej powstrzymać. Rozprzestrzenia się coraz bardziej. Wykazywać w oficjalnym edyktcie absurdalność tych bajań nie licowało przecież z powagą rządu. Ograniczyłem się więc tylko do tego, że w Galilei, gdzie było najwięcej chrześcijan, wydałem surowe rozporządzenie, grożące karą śmierci wszystkim, którzy by znieważali groby. Ale szkoda czasu na opowiadanie o tych śmiesznych chrześcijanach, czeka mnie przecież dalszy ciąg historii o sobie samym.

Muszę opowiedzieć o trzech literach, które dodałem do alfabetu rzymskiego, o wielkich igrzyskach stuletnich, o dokonanym z mego rozporządzenia spisie obywateli, o wskrzeszeniu starodawnej, zapomnianej obecnie sztuki wróżenia i o wielu ważnych edyktach, które wydałem, i prawach, które senat z mojej inicjatywy uchwalił. Może jednak będzie słuszniej, jeżeli wpierw dokończę opowiadania o Brytanii. Nie zajmie to wiele miejsca, wypadki bowiem mające miejsce w tym kraju po szczęśliwym powrocie Aulusa Plaucjusza, nie wzbudzą większego zainteresowania moich czytelników.

Na miejsce Aulusa wysłałem niejakiego Ostoriusza, który przeżył w Brytanii ciężkie chwile. Aulus dokończył podboju południowej niziny, lecz, jak wspominałem, góralskie plemiona Walii i wojowniczy mieszkańcy północnego Midlandu w dalszym ciągu najeżdżali pogranicze nowej prowincji. Karaktak, który ożenił się z córką króla południowej Walii, osobiście dowodził południowo-walijską armią. Ostoriusz zaraz po przybyciu oświadczył, że zamierza rozbroić wszystkich mieszkańców prowincji, których lojalność wyda

mu się podejrzana. Pozwoliłoby mu to wysłać znaczniejsze siły poza granice, podczas gdy w kraju pozostałyby szczupłe tylko garnizony. Wiadomość o tym zamiarze wywołała ogólne oburzenie, zwłaszcza że, jak domyślano się, prawo o rozbrojeniu miało objąć także niezawisłych naszych sprzymierzeńców, Icenów. Toteż chwycili oni nagle za broń i potężna armia złożona z północno-wschodnich plemion obiegła Colchester, gdzie przebywał Ostoriusz nie mając pod ręką ani jednego pułku regularnych wojsk, gdyż wszystkie znajdowały się w środku lub na dalekim zachodzie wyspy. Pomimo to postanowił nie zwlekać i rozporządzając tylko Francuzami i Batawami zaryzykował bitwę, z której wyszedł zwycięzcą. Skonfederowane wojska Icenów poprosiły o pokój i otrzymały go na łatwych warunkach. Następnie Ostoriusz pchnął regularne pułki na północ, zaanektował cały Midland i zatrzymał się na granicy Brygantów. Bryganci jest to potężny związek dzikich plemion, które zajmują północną część wyspy, aż po miejsce największego jej zwężenia; dalej ciągnie się na przestrzeni paruset mil dziki, górzysty kraj, niezbadana ziemia pełna niebezpieczeństw, zamieszkała przez czerwonołose straszidła - Goidelów. Ostoriusz posunął się na zachód od rzeki Dee, która płynie na północ i uchodzi do Morza Irlandzkiego. Posuwał się doliną rzeki, siejąc w krąg spustoszenie, kiedy otrzymał wiadomość, że Bryganci wyruszyli w ślad za nim. Zawrócił tedy, odniósł zwycięstwo nad znacznymi siłami nieprzyjacielskimi i wziął pokaźną liczbę jeńców, wśród nich kilku ze starszyzny i jednego królewicza. Król Brygantów oświadczył wtedy gotowość zawarcia dziesięcioletniego honorowego pokoju, byleby tylko zwrócono jeńców. Ostoriusz przyjął propozycję, zatrzymał jednak królewicza i pięciu ze starszyzny w charakterze gości. Dawało mu to swobodę ruchów i możliwość rozwinięcia na Pogórzu Walijskim akcji przeciw Karaktakowi. Z trzech pułków, którymi rozporządzał, jeden rozlokował w Caerleonie nad Uskiem, a dwa w Shrewsbury nad Severnem. W pozostałej części wyspy zostały tylko garnizony wojsk posiłkowych, z wyjątkiem Lincoln, gdzie znajdował się dziewiąty pułk, i kolonii

weteranów pod Colchester. Dostali oni tam grunty, bydło i niewolników do pracy. W ten sposób powstało w Brytanii pierwsze municipium, któremu specjalnym pismem pozwoliłem na wzniesienie świątyni boskiego Augusta.

Trzy lata potrzebował Ostoriusz na ujarzmienie południowej i środkowej Walii. Karaktak stawiał dzielny opór, a kiedy z resztkami armii wyparto go do północnej Walii, potrafił własnym męstwem zagrzać do boju tamtejsze plemiona. Wreszcie w ostatniej bitwie, w której ponieśliśmy ciężkie straty, Ostoriusz pobił przeciwnika na głowę, wziął do niewoli jego żonę, córkę, szwagra i dwóch siostrzeńców. Sam Karaktak po rozpaczliwej walce przedał się na północny zachód i w kilka dni później stanął na dworze królowej Brygantów, której naród po śmierci jej ojca ofiarował koronę jako jedynemu pozostałemu przy życiu członkowi domu królewskiego. (Był jeszcze syn, ale ten jako zakładnik znajdował się w rękach Ostoriusza.) Karaktak nalegał na królową, żeby prowadziła w dalszym ciągu dzieło wojny, ale nie była ona do tego stopnia szalona. Kazała przybysza zakuć w kajdany i odesłała Ostoriuszowi jako dowód, że lojalnie zamierza dotrzymać złożonej przez ojca przysięgi. Ostoriusz w odpowiedzi odesłał jej zakładników, z których jednego potem zaślubiła, a swego brata królewicza skazała na śmierć za tchórzostwo okazane na polu walki. (Jej obecny mąż dostał się do niewoli otrzymawszy przedtem siedem ran i zabiwszy pięciu rzymskich żołnierzy.) Królowa ta, imieniem Kartymandua, okazała się naszym najwierniejszym sprzymierzeńcem. Pokłóciła się nawet z mężem, który twierdził, że nie czuje się związany przysięgą starego króla i nie zamierza utrzymywać z nami stanu pokoju. Ponieważ nie mógł nakłonić Brygantów do wojny, udał się do południowej Walii i wzniecił tam nowe powstanie. Nasz garnizon w Caerleonie nagle zaatakowały przeważające siły. Nieprzyjaciela wprawdzie odparto, lecz straciliśmy dowódcę batalionu i ośmiu kapitanów z drugiego pułku. Niedługo potem dwa francuskie bataliony posiłkowe, które udały się po furaz, zostały zaskoczone i wycięte w pień. Ostoriusz, wyczerpany nieustanną, trzy lata trwającą wojną, tak wziął do serca

te niepowodzenia, że rozchorował się i umarł, choć przecież powinien się był, biedaczysko, do pewnego stopnia pocieszyć insygniami triumfalnymi, które otrzymał tuż przed owymi wypadkami. Na miejsce Ostoriusza wysłałem generała Didiusza, lecz jeszcze w czasie jego podróży czternasty pułk pobito w regularnej bitwie i musiał się wycofać do obozu, pozostawiając jeńców w ręku wroga.

Mąż Kartymandui opuścił wtedy Walię i napadł na posiadłości żony, chciał bowiem pomścić śmierć swoich dwu braci, których królowa kazała stracić za udział w spisku. Kartymandua zwróciła się o pomoc do Didiusza, a ten posłał jej cztery bataliony dziewiątego pułku i dwa batawskiego. Na czele tych oddziałów i własnych wojsk pobiła męża, wzięła go do niewoli i zmusiła do uznania się jej wasalem i zaprzysiężenia przyjaźni z Rzymem. Wtedy mu przebaczyła i panowali razem w pozornej przynajmniej zgodzie. W każdym razie z tej strony pogranicze nie było już więcej niepokojone. Tymczasem Didiusz przywrócił porządek w południowej Walii.

Obecnie pozwólcie, że pożegnam swoją prowincję Brytanię, która kosztowała nas tyle ciężkich ofiar w ludziach i pieniądzech, a z wyjątkiem sławy tak skromne przyniosła korzyści. Jeżeli jednak spojrzymy na sprawę brytyjską jako na długoterminową lokatę, to, moim zdaniem, Rzym zrobił niezły interes. A jeżeli tubylców będziemy traktować sprawiedliwie i życzliwie, staną się pełnowartościowymi sprzymierzeńcami i wreszcie pełnowartościowymi obywatelami. Bogactwa kraju nie ograniczają się tylko do zboża, metali i bydła. Cesarstwo potrzebuje przede wszystkim ludzi i jeśli może powiększyć rezerwy ludzkie przez zajęcie kraju, który wydaje na świat dzielną, bitną, pracowitą rasę, to uważam taki nabytek za cenniejszy niż zajęcie rodzącej korzenie wyspy indyjskiej lub złotodajnych terenów Środkowej Azji. Lojalność królowej Kartymandui, odwaga, jaką w przeciwnieństwach okazał Karaktak, są najpomyślniejszymi wróżbami na przyszłość.

Karaktaka przewieziono do Rzymu. Chcąc uczcić ten wypadek ogłosiłem

dzień jego przybycia wolnym od wszelkich zajęć. Całe miasto wyległo na ulice, aby zobaczyć niedawnego wroga. Dywizja gwardii stanęła w ordynku przed obozem, a ja sam zasiadłem na trybunale wzniesionym specjalnie w tym celu przed bramą obozową. Zabrzmiały trąby i w pewnej odległości ukazał się niewielki orszak, który maszerował w moim kierunku przez murawę. Najpierw postępował oddział jeńców brytyjskich, następnie dworscy rycerze Karaktaka; potem ciągnęły wozy naładowane rzędami końskimi, naszyjnikami i zbrojami; była to nie tylko osobista własność Karaktaka, ale łup zdobyty przezeń w wojnach z sąsiadami. Wszystko wpadło w nasze ręce po zdobyciu obozu pod Cefn Carnedd. Następnie szła żona Karaktaka, jego córka, szwagier, a wreszcie sam Karaktak. Szedł z głową dumnie podniesioną, patrząc prosto przed siebie. Zatrzymał się przed trybuną i złożony pełen godności ukłon prosił mnie o pozwolenie przemówienia. Kiedy mu go udzieliłem, zaczął mówić. Mowa jego tchnęła szczerością i otwartością, a wygłoszona była w tak zdumiewająco płynnej łacinie, że ja, który jestem kiepskim mówcą i zawsze muszę się uwikłać w jakichś zdaniach, po prostu mu zazdrościłem.

- Cezarze - rzekł. - Widzisz mnie przed sobą w kajdanach, błagającego o litość. Przez siedem długich lat stawiałem opór twym wojskom. Byłbym się im opierał jeszcze drugich siedem, gdybym nie zaufał królowej Kartymandui, gdybym nie przypuszczał, że uszanuje prawo gościnności, święte na naszej wyspie. Jeżeli w jakimkolwiek brytyjskim domu komukolwiek, kto odwoła się do prawa gościa, podadzą sól, chleb i wino, to tym samym gospodarz własnym życiem odpowiada za życie przybysza. Pewnego razu jakiś człowiek schronił się na dwór mego ojca Cymbelina, a skosztowawszy podanej mu przez króla soli, przyznał się, że jest mordercą mego dziadka. „Jesteś moim gościem - odparł na to ojciec - nie stanie ci się żadna krzywda.” Królowa Kartymandua kazała mnie zakuć w kajdany i wysłać tutaj. Przynosi to większy zaszczyt tobie jako jej sprzymierzeńcowi niż jej jako królowej Brygantów.

Przyznaję się dobrowolnie do popełnionych błędów. List, który mój brat

Togodumn napisał do ciebie, był głupi i obraźliwy. Nie powstrzymałem go od tego kroku. Byliśmy wtenczas młodzi, pyszni, dawaliśmy posłuch ludzkim bajaniom i nie docenialiśmy siły armii rzymskiej, wierności twoich wodzów i twych własnych wielkich militarnych talentów. Gdybym był chwałę rodu i własnych czynów połączył z należną skromnością w chwilach powodzenia, byłbym niewątpliwie wszedł do tego miasta jako przyjaciel, nie jako jeniec. A i ty nie byłbyś się wtedy wahał powitać mnie jako króla, jako syna Cymbelina, w którym boski August szanował sprzymierzeńca i władcę, podobnie jak on sam, wielu podbitych plemion.

Z chwilą, kiedy stwierdziłem, że chcesz zagarnąć moje królestwo i królestwa moich sprzymierzeńców, stawilem ci zaciekły opór. Z tego powodu nie czuję jednak żadnej skruchy. Miałem ludzi i broń, rydwany, konie i skarby. Czyżbyś się dziwił, że nie chciałem się tym dzielić? Wy, Rzymianie, dążycie do tego, aby panowanie swoje rozciągnąć na cały świat. Z tego jednak nie wynika, aby cały świat był skłonny poddać się od razu pod wasze panowanie. Musicie najpierw dowieść swego prawa do rządzenia innymi - dowieść go mieczem. Długo trwała między nami wojna, Cezarze; twoje armie ściagały mnie od plemienia do plemienia, od twierdzy do twierdzy, a sukcesy swe szczerze opłacały własną krwią; lecz oto jestem jeńcem i ostateczne zwycięstwo zostało przy was. Gdybym w pierwszej utarczce pod Medway poddał się twemu zastępcy Aulusowi Plaucjuszowi, byłbym się okazał niegodnym przeciwnikiem; Aulus Plaucjusz nie byłby cię przyzwał na pomoc i nigdy byś nie odbył zasłużonego triumfu. Uszanuj więc teraz pokonanego wroga, daruj mu życie, a o twej szlachetnej wspaniałości nie zapomni nigdy ani twoja, ani moja ojczyzna. Brytania będzie czcila wspaniałość zwycięzcy, jeżeli Rzym oceni odwagę zwyciężonego.

Skinąłem na Aulusa Plaucjusza.

- Osobiście mam ochotę zwrócić temu dzielnemu królowi wolność. Nie mogę dać mu tronu, gdyż poczytano by mi to za dowód słabości, lecz

zamierzam pozwolić mu na pobyt w Rzymie. Pozostałby w charakterze gościa stolicy, z pensją odpowiednią do swich potrzeb. Uwolniłbym też jego rodzinę i rycerzy. Cóż ty na to?

- Karaktak, Cezarze, okazał się rycerskim przeciwnikiem. Nie torturował ani nie zabijał jeńców, nie zatrwał źródeł, walczył uczciwie i dotrzymywał słowa. Jeśli go wypuścisz na wolność, z dumą podam mu rękę i ofiaruję swą przyjaźń.

Uwolniłem Karaktaka. Podziękował mi z godnością. - Chciałbym, żeby każdy z Rzymian miał takie serce jak ty - rzekł.

Tego samego wieczora ucztował u mnie wraz z rodziną. W przyjęciu brał również udział Aulus, a kiedy kielichy zaczęły krążyć, my, stare woje, stoczyliśmy raz jeszcze w opowieści bitwę pod Brentwood. Opowiedziałem Karaktakowi, jak niewiele brakowało, żebyśmy się byli osobiście starli wręcz. Zaśmiał się głośno.

- Gdybym był wiedział, Cezarze! Jeżeli jednak chętka do walki ci nie minęła, służę swoją osobą. Spotkamy się jutro na Polu Marsowym. Ty na swej kobyle, ja pieszo. Różnica wieku wyrówna szansę. - Słynne stały się słowa, jakie wypowiedział tego wieczoru. - Nie rozumiem - rzekł w pewnym momencie - jak władcy tak wspaniałego miasta, którego domy są niby marmurowe turnie, sklepy niby skarbcze królewskie, a świątynie podobne tym, które oglądają w snach nasi druidzi, gdy udają się do królestwa śmierci, jak tacy władcy mogą w głębi swych serc pożądać naszych nędznych wyspiarskich chat.

Rozdział XXVII

Przebłagalne igrzyska, zwane tarentyjskimi albo sekularnymi, obchodzone są w Rzymie z początkiem każdego nowego cyklu, czyli wieku. Trwają one trzy dni i trzy noce, podczas których oddaje się cześć bogom podziemia: Plutonowi i Prozerpinie. Historycy twierdzą zgodnie, że igrzyska te jako uroczystość publiczną wprowadził po raz pierwszy Publikola z rodu Waleriuszów w roku dwieście pięćdziesiątym po założeniu miasta - a więc tym samym, w którym z sabińskich swych posiadłości przybyli do Rzymu Klaudiusze - ale sto pięćdziesiąt lat wcześniej obchodzono je już jako rodową uroczystość Waleriuszów zgodnie z poleceniem wyroczni delfickiej. Publikola ślubował, że dopóki istnieć będzie Rzym, igrzyska te święcić się będzie z początkiem każdego cyklu. Od tego czasu odbyły się już pięciokrotnie, w nierównych jednak odstępach czasu. Panowały bowiem różnice w poglądach na to, od kiedy zaczyna się nowy cykl. Raz przyjmowano za Etruskami tak zwany naturalny cykl, równy stu dziesięciu latom, innym razem wedle rzymskiego zwyczaju obliczano cykl na sto lat, kiedy indziej znów urządzano igrzyska, gdy zaistniała pewność, że nie pozostał przy życiu nikt z biorących udział w poprzednich.

Za czasów rzeczypospolitej igrzyska obchodzono po raz ostatni w roku sześćsetnym siódmym od założenia Rzymu, a potem już tylko jeden raz w siedemset trzydziestym szóstym, za Augusta. Nie był to jednak ani setny, ani setny dziesiąty rok od ostatniego obchodu, ani też nie brano pod uwagę śmierci ostatniego człowieka, który w poprzednich igrzyskach brał udział. Nie pokrywała się też data z terminem, który by można obliczyć, dodając od czasów Publikoli po sto lub sto dziesięć lat. August, a raczej jego Rada Religijna, złożona z piętnastu członków, przyjęła za podstawę obliczeń domniemaną datę pierwszego obchodu igrzysk, które miały wypaść na rok dziewięćdziesiąty

siódmy od założenia miasta. Wprawdzie w mojej Historii reform religijnych przyjąłem tę datę za prawdziwą, lecz tylko z tego względu, że wszelki krytycyzm w stosunku do tak ważkiego momentu byłby pociągnął za sobą poważne nieprzyjemności ze strony mej babki Liwii. Nie wchodząc w tej chwili w bliższe szczegóły muszę stwierdzić, że obliczenie owo było fałszywe, nawet gdybyśmy przyjęli, że pierwszy obchód istotnie miał miejsce w danym roku, co zresztą nie odpowiada prawdzie. Za podstawę swoich obliczeń przyjąłem datę igrzysk urządzonych przez Publikolę i cykl wynoszący sto dziesięć lat, gdyż taki niewątpliwie miał na myśli inicjator uroczystości. Zgodnie z tym ostatni obchód powinien był mieć miejsce w roku sześćset dziewięćdziesiątym od założenia miasta, a następnie nie wcześniej niż osiemsetnym, czyli siódmym mojego panowania, to jest właśnie w tym, do którego doprowadziliśmy nasze opowiadanie.

46 r. n.e.

Każdy cykl ma pewien z góry przez przeznaczenie określony charakter, który nadają mu wypadki roku jubileuszowego. Tak na przykład pierwszy rok poprzedniego cyklu znamionuje narodzenie Augusta, śmierć Mitrydatesa Wielkiego, zwycięstwo Pompejusza nad Fenicjanami, zajęcie przezeń Jerozolimy, podjętą przez Katylinę, a nieudaną próbę rewolucji ludowej, objęcie przez Cezara urzędu wielkiego kapłana. Czyż potrzebuję podkreślać znaczenie każdego z tych wypadków? Mam mówić o tym, iż wskazywały one na to, że armie nasze odniosą na całym świecie wiele zwycięstw, że granice imperium zostaną rozszerzone, wolność zduszona, a Cezarowie staną się przedstawicielami bogów? Obecnie zamierzałem złożyć uroczyste ofiary na przebłaganie niebios za grzechy poprzedniego cyklu i rozpoczęcie nowego. Liczyłem, że w tym roku właśnie ukończę dzieło reform i rządy nad dobrze zorganizowanym, cieszącym się dobrobytem narodem oddam z powrotem w ręce senatu i ludu, pozbawionych od tak dawna władzy.

Opracowałem szczegółowy plan reform. Nie ulegało wątpliwości, że

rzędy senatu pod kierownictwem konsulów wybieranych na rok mają jedną bardzo ujemną stronę - rok jest terminem zbyt krótkim. A również jeśli chodzi o armię, ciągle zmiany na stanowisku naczelnego wodza nie są pożądane. Plan mój w ogólnych zarysach wyglądał następująco: zatrzymując dla siebie z prywatnej szkatuły tyle, ile potrzeba mi było jako prywatnemu człowiekowi do życia, resztę oddawałem narodowi; oddawałem mu też prowincje cesarskie wraz z Egiptem i wprowadzałem prawo ustanawiające zmianę rządów co pięć lat. Konsulowie z poprzedniego pięciolecia wraz z przedstawicielami ludu i szlachty mieli tworzyć rodzaj rady gabinetowej, pomagającej w rządach głównemu konsulowi, którym byłby jeden z członków rady, wybrany na lat pięć drogą losowania odbytego pod auspicjami bogów. Każdy z członków gabinetu byłby odpowiedzialny przed głównym konsulem za swój departament - departamenty te odpowiadałyby stworzonym przeze mnie i kierowanym dotychczas przez wyzwoleńców - lub za zarząd jednej z pogranicznych prowincji. Konsulowie „roczni” mieli być łącznikami pomiędzy konsulem głównym a senatem i rozpatrywać sprawy sądowe w apelacji, a trybunowie łącznikami między konsulem głównym i ludem. Konsulowie mieli pochodzić ze stanu senatorskiego i być wybierani na zgromadzeniach ludowych. W wypadkach nagłych, dotyczących całego narodu, rozstrzygać miał plebiscyt. Obmyśliłem też szereg środków mających na celu zabezpieczenie tej konstytucji i z zadowoleniem stwierdziłem, że nadaje się ona całkiem do wprowadzenia w życie. Wyzwoleńcy moi mieli w charakterze stałych urzędników pozostać na stanowiskach kierowników aparatu biurowego i służyć radami nowemu rządowi. W ten sposób dodatnie strony systemu monarchicznego miały ocaleć bez szkody dla republikańskiej wolności. Pamiętałem też i o armii. W nowej konstytucji zamierzałem umieścić artykuł, mocą którego żołnierze mieli co pięć lat otrzymywać dodatkowe wynagrodzenie; wielkość jego byłaby proporcjonalna do sukcesów naszej armii i ogólnego dobrobytu w państwie. Stanowiska namiestników prowincji senackich mieli otrzymywać rycerze,

którzy doszli do wyższych stanowisk w armii, i senatorowie.

Na razie nikomu nie wspomniałem o swoich planach, lecz pełen otuchy pracowałem nad nimi. Byłem przekonany, że gdy tylko dobrowolną rezygnacją udowodnię, że nigdy nie zamierzałem być tyranem i że tylko pod naciskiem najwyższej konieczności kazałem stracić kilku ludzi bez wyroku sądowego, znikną wszelkie podejrzenia, a przez pamięć wielkiego dzieła reformy ludzie zapomną i pomniejsze uchybienia. „August - mówiłem sobie - zawsze twierdził, że chce ustąpić i przywrócić rzeczpospolitą. Nie zrobił jednak tego z powodu Liwii. Tyberiusz powtarzał to samo i też nie zrobił nic, gdyż bał się nienawiści, na którą sobie zasłużył okrucieństwem i tyranją. Ale ja mam naprawdę zamiar abdykować i nic mnie od tego nie powstrzyma. Sumienie mam czyste, a Messalina nie jest Liwią.”

47 r. n.e.

Obrzęd sekularny miał się odbyć nie w lecie, jak dawniej, lecz dwudziestego pierwszego kwietnia. Był to dzień Święta Pasterskiego, gdyż w tym właśnie dniu przed ośmiuset laty Romulus na czele gromady pasterzy założył Rzym. Idąc za przykładem Augusta postanowiłem, że modły będziemy zanosić nie tylko do bogów podziemi. Niemniej jednak Tarent, wulkaniczna rozpadlina na Polu Marsowym, mająca być wedle legendy wejściem do piekła, zachowała zgodnie z tradycją swoje uprzywilejowane znaczenie obrzędowe. Urządzono w niej na czas uroczystości teatr oświetlony różnobarwnymi lampami. Na kilka miesięcy przed rozpoczęciem uroczystości porozsyłałem do obywateli heroldów, zapraszając „na widowisko, jakiego nikt z żyjących nie oglądał i jakiego nikt z żyjących nie będzie po raz wtóry oglądać” (tak brzmiała stara formuła zaproszenia). Pokpiwano sobie trochę z tego, gdyż urządzone przez Augusta igrzyska odbyły się sześćdziesiąt cztery lata temu i wiele starszków obojga płci jeszcze je pamiętało, a nawet kilkoro z nich brało czynny udział w tych igrzyskach. Formuła jednak ze względu na swój wiek posiadała pewną czcigodność, a usprawiedliwiała ją to, że poprzednia uroczystość odbyła

się w niewłaściwym czasie.

Z rana pierwszego dnia członkowie Rady Piętnastu udali się na stopnie świątyni Jowisza na Kapitolu i Apolla na Palatynie, aby rozdzielić stamtąd między wszystkich wolnych obywateli pochodnie, siarkę i smołę, służące do oczyszczenia, tudzież pszenicę, jęczmień i bób, które częścią miały być złożone na ofiarę Losom, częścią służyć jako wynagrodzenie dla uczestników uroczystości. Równocześnie wczesnym rankiem złożono ofiary we wszystkich ważniejszych świątyniach rzymskich, a więc Jowisza, Junony, Neptuna, Minerwy, Wenery, Apolla, Merkurego, Cerery, Wulkana, Marsa, Diany, Westy, Herkulesa, Augusta, Latony, Losu, Plutona i Prozerpiny. Najważniejszym jednak obrzędem tego dnia było ofiarowanie białego byka Jowiszowi i białej krowy Junonie. W ceremonii tej, która odbywała się na Kapitolu, starał się każdy wziąć udział. Z Kapitolu wyruszyła procesja do teatru urządzonego w tarentyjskiej rozpadlinie. Śpiewał tam chór ku czci Apolla i Diany. Popołudnie zajęły wyścigi, walki gladiatorów i walki ze zwierzętami, a w Teatrze Pompejusza odbyły się zawody sceniczne ku czci Apolla.

Pole Marsowe okadzono siarką i skropiono święconą wodą. Następnie o dziewiątej godzinie przy trzech podziemnych ołtarzach zbudowanych nad brzegiem Tybru ofiarowałem Losom trzy baranki, a otaczający mnie tłum, potrząsając zapalonymi pochodniami, składał na ofiarę pszenicę, jęczmień i bób i śpiewał hymny, w których kajał się za grzechy przeszłości. Jagnięta spalono na ołtarzach skropionych ich krwią.

W teatrze tarentyńskim również śpiewano hymny i tak z należyтым namaszczeniem odbyła się pokutna część uroczystości. Na zakończenie odegrano sceny z legend rzymskich, między innymi odtąńczono balet przedstawiający walkę trzech braci Horacjuszów i trzech braci Kuriacjuszów. Wedle podania zajście to miało się zdarzyć w ten sam dzień, kiedy Waleriusze po raz pierwszy obchodzili święto stulecia.

Nazajutrz najznakomitsze matrony rzymskie z Messaliną na czele zebrały

się na Kapitolu i odprawiły modły ku czci Junony. Widowiska trwały jak dnia poprzedniego: w amfiteatrze zginęło trzysta lwów i sto niedźwiedzi, prócz tego wielka liczba byków i gladiatorów. Wieczorem złożyłem na ofiarę Matce Ziemi czarną maciorę i także prosię. Ostatniego dnia chór dwudziestu siedmiu urodziwych chłopiąt i dziewcząt śpiewał w przybytku Apolla hymny, a bóg otrzymał w ofierze białego byka. To wyróżnienie Apolla tłumaczy się tym, że jego wyrocznia dała początek całemu świętu. W hymnach błagano Apolla, jego siostrę Dianę, matkę Latonę i ojca Jowisza o opiekę nad wszystkimi miastami, osiedlami i urzędami w całym cesarstwie. Między innymi odśpiewano też sławną Pieśń wiekową Horacego, ułożoną na cześć Apolla i Diany, której nie trzeba było dostosowywać specjalnie do danej okoliczności, wręcz przeciwnie, kilka wierszy hymnu odpowiadało bardziej chwili bieżącej niż epoce, w której je napisano.

Horacy napisał to wówczas, kiedy August miał zamiar uderzyć na Brytanię, ale nie doszło do tej wojny i Brytowie nie byli oficjalnie naszymi wrogami, tak jak są nimi teraz.

Poza tym znowu złożono ofiary wszystkim bogom, znów odbyły się wyścigi, walki gladiatorów, walki ze zwierzętami, zapasy. Wieczorem w Tarencie złożyłem ofiary Plutonowi i Prozerpinie: czarnego barana, czarną owcę, czarnego byka, czarną krowę, czarnego wieprza, czarną świnię.

Na tym był koniec aż do następnych świąt za sto dziesięć lat. Wszystko udało się szczęśliwie, nie słyszałem o żadnej omyłce ani o żadnym złym znaku. Kiedy zapytałem Witeliusza, jak mu się podobała uroczystość, odparł:

- Nadzwyczajnie! Życzę ci, Cezarze, jeszcze stu takich.

Wybuchnąłem śmiechem, a Witeliusz zorientowawszy się, jakie głupstwo palnął, przeprosił mnie za swe roztargnienie. Pomieszały mu się, wyjaśnił, urodziny Rzymu z moimi własnymi. Niechże ten błąd będzie wróżbą, że dożyję w zdrowiu i czerstwości długich, długich lat. Witeliusz potrafi jednak być bardzo nieszczerzy; podejrzewam, że już na parę tygodni przedtem obmyślił ten

koncept.

Trzeciego dnia świąt po południu przeżyłem moment, który szczególnie napełnił pierś moją dumą. Na Polu Marsowym urządzano „igrzyska trojańskie” i mój mały, zaledwie sześciolatek Brytanik wziął udział w harcach dwakroć od siebie starszych chłopców, kierował swoim kucykiem i władał bronią niby drugi Hektor lub Karaktak, tak że najgłośniejsze brawa widzów przypadły mu w udziale.

Ogólnie zwracano uwagę na podobieństwo malca do mego brata Germanika i wrócono mu wielkie sukcesy, kiedy dorośnie i ruszy w pole. Wziął też udział w harcach mój stryjeczny wnuk, syn mojej bratanicy Agryppinilli, jedenastoletni Lucjusz Domicjusz ¹, o którym już poprzednio wspominałem mimochodem. Obecnie przyszedł czas dokładniej o nim opowiedzieć.

Był synem Domicjusza Ahenobarbusa (czyli Miedzianobrodego), mojego krewnego ze strony matki, który miał opinię najbardziej krwiożerczego człowieka w Rzymie. Krwiożerczość była dziedziczna w tej rodzinie, tak jak miedziane brody, i mówiono, że nie ma w tym nic dziwnego, iż miedziana broda idzie w parze z żelaznym obliczem i ołowianym sercem. Kiedy Domicjusz Ahenobarbus bawił w młodości na Wschodzie w sztabie Gajusza Cezara, zamęczył na śmierć jednego ze swoich wyzwolenców tylko dlatego, że ten nie chciał się upić na urodziny swego patrona. Trzymał go w zamknięciu, nie dając nic do picia, żywiąc tylko soloną rybą i sucharami. Kiedy dowiedział się o tym Gajusz, oświadczył Domicjuszowi, że rezygnuje z jego usług i przestaje go uważać za przyjaciela. Domicjusz powrócił do Rzymu, a jadąc Drogą Appijską, w przystępie nagłego okrucieństwa zmusił ostrogami konia do galopu i umyślnie stratował dziecko, które bawiło się na drodze. Innym znów razem wszczął na Rynku kłótnię z jakimś rycerzem, któremu był winien pieniądze, i wybił mu oko palcem. Mój stryj Tyberiusz w ostatnich latach swego panowania zaprzyjaźnił się z Domicjuszem; rozmyślnie bowiem gromadził wkoło siebie okrutników i łotrów, żeby przez kontrast z nimi wydać się cnotliwym. Domicjusz ożenił się z

przybraną wnuczką Tyberiusza, a moją bratanicą Agryppinillą. Jedynym dzieckiem z tego małżeństwa był wyżej wspomniany Lucjusz. Kiedy znajomi wieszowali Domicjuszowi potomka, odparł: „Oszczędźcie sobie trudu, barany. Gdyby w którym z was tliła się choć iskra patriotycznego uczucia, udusiłby bachora w kołysce. Czyż nie zdajecie sobie sprawy, że do spółki z Agryppinillą reprezentujemy wszystkie ludzkie i nieludzkie występki i że z tego dziecka wyrośnie najgorszy potwór, jaki kiedykolwiek dał się we znaki temu nieszczęsnemu krajowi? I to nie są jedynie moje przypuszczenia. Czyście widzieli jego horoskop? Zadygotalibyście ze strachu, gdybyście go ujrzeli.” Domicjusz został uwięziony pod podwójnym zarzutem: zdrady stanu i kazirodztwa popełnionego ze swą siostrą Domicją. Oczywiście w czasach Tyberiusza była to tylko czcza formalność. Tyberiusz jednak umarł w porę, a Kaligula uwolnił Domicjusza, który wkrótce zmarł na wodną puchlinę. W testamencie mianował Kaligulę współdziedzicem, zostawiając mu dwie trzecie majątku, a jedną trzecią Lucjuszowi. Po wygnaniu Agryppinilli Kaligula zabrał resztę majątku, tak że Lucjusz pozostał właściwie sierotą bez grosza przy duszy. Zajął się nim ciotka Domicją. (Nie należy jej mieszać z jej siostrą Domicją Lepidą, matką Messaliny.) Kobieta ta dbała tylko o swoją przyjemność, a chłopcem zaopiekowała się jedynie dlatego, że istniała wróżba głosząca, iż zostanie on w przyszłości cesarzem; chciała więc zapewnić sobie jego względy. Dla charakterystyki Domicji warto wspomnieć, że wychowanie chłopca powierzyła trzem „pedagogom”, z których jednym był pewien Syryjczyk, z zawodu ekstancerz, dzielący się obecnie względami Domicji z pewnym tyrolskim eksgladiatorem; drugim ówże eksgladiator; trzecim wreszcie Grek, fryzjer. Tak więc Lucjusz otrzymał piękne, demokratyczne wykształcenie.

Macierzyńskie uczucia Agryppinilli były tak słabo rozwinięte, że kiedy w dwa lata później powróciła do Rzymu, oświadczyła Domicji, iż może jeszcze przez parę lat trzymać chłopca u siebie; za to uwolnienie jej od obowiązków gotowa jest szwagierce dobrze zapłacić. Wtrąciłem się w tę sprawę i skłoniłem

Agryppinillę do wzięcia chłopca. Wzięła wraz z nim też i jego wychowawców, gdyż Lucjusz nie chciał się z nimi rozstać. Domicją musiała poszukać sobie nowych kochanków. Agryppinillą zabrała też Domicji męża, byłego konsula, i poślubiła go. Ale wkrótce zaczęli się swarzyć i w końcu się rozwiedli. Z późniejszego życia Lucjusza warto wspomnieć jeszcze o zamachu na jego życie, urządzonym przez dwóch ludzi, którzy korzystając z poobiedniej drzemki odźwiernego weszli do domu. Nie napotkawszy nikogo po drodze dostali się aż na piętro. Tutaj przed drzwiami jednej z sypialń zauważyli śpiącego niewolnika. Doszedłszy do przekonania, że to jest właśnie pokój, którego szukają, weszli do środka. Lucjusz zażywał poobiedniej drzemki w łóżku. Zbiry wyciągnęły sztylety i poczęły na palcach zbliżać się do łóżka. W chwilę potem wybiegli krzyżąc jak opętani: „Waż! Waż!” Krzykiem tym postawili na nogi cały dom. Ponieważ jednak nikt nie usiłował ich zatrzymać, umknęli bez przeszkód. Jak się okazało, przeraziła ich skóra kobry leżąca na poduszce Lucjusza. W dzieciństwie chłopiec cierpiał na skrofuły, a że skóra kobry jest specyfikiem na tę chorobę, więc robiono mu z niej rodzaj kompresów na chorą nogę. Lucjusz przed zaśnięciem bawił się widać tą skórą i zostawił ją na poduszce. W mroku sypialni musiała robić wrażenie żywej kobry. Podejrzywałem, że zbirów nasłała Messalina, która nienawidziła Agryppinilli, lecz z różnych powodów nie miałem odwagi jej oskarżyć. Tak czy owak, rozeszła się pogłoska, że przy łóżku Lucjusza czuwają na straży dwie kobry. Agryppinilla podtrzymywała tę pogłoskę. Skórę kazała oprawić w złotą bransoletę w kształcie węża i dała synowi do noszenia, a znajomym opowiadała, że rzeczywiście znaleziono na poduszce Lucjusza wężową powłokę; widać musiała ją tam zostawić zrzucająca skórę kobra. Lucjusz zaś zwierzył się przyjaciółom, że wprowadzie ma strażnika w postaci kobry, ale wydaje mu się, że tylko jednego. Opowiadanie o dwu kobrach jest zwykłą przesadą. Kobra ta, dodawał, pije z tego samego naczynia co on. W każdym razie od tej pory nie było więcej zamachów na życie Lucjusza.

Lucjusz, tak jak Brytanik, podobny był do swego dziadka, mego

kochanego brata Germanika. Lecz w tym wypadku podobieństwo to robiło wrażenie raczej przykre. Rysy były prawie te same, ale zamiast otwartości, szlachetności, wielkoduszności i skromności, którymi jaśniało oblicze Germanika, widać było na twarzy Lucjusza przebiegłość, podłość, nikczemność, próżność. A przecież wielu ludzi nie dostrzegało różnicy pomiędzy prawdziwą, męską pięknnością dziadka a wyrafinowaną, zdradzającą degenerację, niewieścią urodą wnuka. Ludzie czuli doń pociąg podobny do tego, jaki się czuje do kobiety, a chłopiec znał dobrze moc swojej urody i długie godziny spędzał każdego rana przed toaletą. Szczególne staranie poświęcał swym włosom, których nigdy nie strzygł. Jego wychowawca, fryzjer, pielęgnował brodę pupila z taką samą zawistną troskliwością, z jaką główny ogrodnik ogrodów Lukulla hodował owoce sławnych, rozpiętych na murze brzoskwiń lub jedyną w swoim rodzaju białą czereśnię, przywiezioną przez Lukulla znad Morza Czarnego. Dziwne wrażenie sprawiał widok Lucjusza ćwiczącego się we władaniu bronią na Polu Marsowym. Jego nauczyciel, tyrolski gladiator, nauczył go poprawnie władać mieczem, tarczą i oszczepem, lecz Lucjusz składał się w sposób, który trącił bardziej baletem niż musztrą. Kiedy Germanik, będąc w tym samym wieku co Lucjusz, ćwiczył się w robieniu bronią, to przypatrujący się omal słyszeli bitewny zgiełk, granie trąb, jęki i krzyki, omal widzieli tryskającą krew niemiecką. Patrząc na szermującego Lucjusza miało się wrażenie, że zaraz zagrzmia jak w teatrze brawa i na scenę posypią się złote monety.

Na razie jednak dość o Lucjuszu. Milszym tematem jest chyba moja reforma rzymskiego alfabetu. W poprzednim tomie wyjaśniłem już powody, dla których wydaje mi się pożytecznym wprowadzenie do alfabetu trzech nowych liter, mianowicie spółgłoskowego U; znaku na samogłoskowy dźwięk pośredni między i a u i odpowiadający greckiemu ypsilon; a wreszcie oznaczenie spółgłoskowego dźwięku pisanego dotychczas przez bs lub ps. Miałem zamiar wprowadzić te innowacje po moim triumfie, odłożyłem to jednak na później, aż do rozpoczęcia nowego cyklu. Na drugi dzień po święcie stulecia przedstawiłem

senatowi projekt ortograficznej reformy. Spotkał się on z życzliwym przyjęciem. Ponieważ jednak uważałem, że reforma ta dotyczy osobiście każdego obywatela cesarstwa, nie chciałem swoich własnych pomysłów narzucać ludowi rzymskiemu gwałtem lub pośpiesznie. Zaproponowałem rozstrzygnięcie sprawy drogą plebiscytu, który miał się odbyć za rok.

Tymczasem opublikowałem list otwarty wyjaśniający i uzasadniający mój projekt. Zacząłem od stwierdzenia, że alfabet uważa się ogólnie za coś tak świętego i niezmiennego, jak liczbę miesięcy w roku lub znaki na wyrażenie liczebników, albo nazwy konstelacji zodiakalnych. Pogląd ten jest zupełnie mylny, wszystko na tym świecie zmienia się i udoskonala. Juliusz Cezar zreformował kalendarz; umowne znaki na wyrażenie liczb zmieniały swój kształt i zakres; zmieniały się też nazwy konstelacji; nawet tworzące je gwiazdy nie są nieśmiertelne. Tak na przykład z siedmiu Plejad, istniejących za czasów Homera, pozostało sześć; znikła bowiem Steropa, zwana też czasem Elektrą. Podobnie ma się rzecz i z alfabetem łacińskim. Nie tylko zmienił się kształt liter, ale i ich znaczenie jako odpowiedników różnych dźwięków. Alfabet łaciński został zapożyczony od doryckich Greków za panowania uczonego króla Ewandra; do Grecji przywiózł go na fenickim okręcie Kadmus; Fenicjanie zaś przejęli go od Egipcjan. Nominalnie więc posiadamy alfabet egipski. Lecz jakież przeszedł on zmiany! Pismo egipskie składało się z obrazków przedstawiających różne stworzenia i przedmioty; z biegiem czasu z obrazków tych powstały znaki hieroglificzne; Fenicjanie przejęli je i zmienili; zmienione przejęli i zmienili Grecy, a wreszcie Rzymianie dokonali nowych zmian w tym podwójnie zmienionym systemie liter. Pierwotny alfabet grecki zawierał zaledwie szesnaście znaków, doszedł jednak do liczby dwudziestu czterech, a w niektórych państwach greckich do dwudziestu siedmiu liter. Pierwotny alfabet rzymski zawierał tylko dwadzieścia liter, gdyż trzy znaki oznaczające przydech i litera Z były zbyteczne. Koło pięćsetnego roku po założeniu miasta uzupełniono jednak C przez G i przywrócono Z. Moim zdaniem, alfabet wykazywał wciąż

jeszcze braki. W razie uchwalenia proponowanej przeze mnie reformy pamiętanie o nowych literach okaże się może trochę uciążliwe, przywykło się już bowiem do starych, lecz niewygodą ta nie będzie trwała długo, a nowe pokolenia uczące się według zreformowanej pisowni nie będą w ogóle odczuwały żadnych trudności. Wyobraźcie sobie tylko, jaki to musiał być kłopot i niewygodą, kiedy przed niecałymi stu laty nastąpiła reforma kalendarza; kiedy jeden rok trwał nagle aż piętnaście miesięcy; kiedy zmieniła się liczba dni w poszczególnych miesiącach i ich nazwy. Wtedy rzeczywiście było na co narzekać! A przecież wszystko się jakoś dobrze ułożyło. Nikt na pewno nie ma ochoty powrócić do starego systemu.

Dyskutowano nad tym listem otwartym, przytaczano naukowe argumenty, lecz nie przywiązywano do reformy wielkiego znaczenia, przynajmniej tak wielkiego jak ja. Kiedy wreszcie odbyło się głosowanie, przytłaczająca większość opowiedziała się za nowymi literami - zrobiono to jednak raczej dla - mojej przyjemności nie ze zrozumienia korzyści płynących z reformy. Senat uchwalił bezzwłocznie wprowadzenie nowych liter i dziś widnieją one we wszystkich dokumentach urzędowych i pomnikach piśmiennictwa wszelkiego rodzaju; począwszy od poezji, rozpraw naukowych i komentarzy prawniczych, a skończywszy na ogłoszeniach o licytacji, upomnieniach płatniczych, listach miłosnych i pornograficznych napisach bazgranych kredą na ścianach budynków.

A teraz zdam pokrótce sprawę z podjętych przeze mnie w późniejszym okresie panowania robót publicznych, z przeprowadzonych reform, wydanych praw i dekretów. Chcę, że tak powiem, zrobić z tym wszystkim porządek, zanim przystąpię do ostatniego bolesnego rozdziału mego życia. Doszedłem bowiem do zwrotnego punktu swojej opowieści, do „rozpoznania”, jak to zwą tragiccy, a chociaż w dalszym ciągu sprawowałem rządy monarsze, to z całkiem już innym sercem niż poprzednio.

Budowę wodociągów ukończyłem. Zbudowałem też setki mil nowych

gościńców, a kilka dawnych, zniszczonych, doprowadziłem do porządku. Zabroniłem lichwiarzom udzielać młodym ludziom pożyczek, których zwrot miał nastąpić po śmierci ojca. Był to obmierzły proceder. Nie tylko wyśrubowywano w takich wypadkach stopę procentową do niebywalej wysokości, ale zdarzało się bardzo często, że ojciec rozstawał się z tym światem przedwcześnie. Wydany przeze mnie zakaz brał uczciwych ojców w opiekę przed rozrzutnymi synami, ale i odwrotnie, wziąłem też w opiekę uczciwych synów przed rozrzutnymi ojcami: spod sekwestru, jakiemu za długi lub przestępstwo miał ulec majątek ojca, wyłączyłem część przypadającą wedle prawa spadkowego synowi. Przeprowadziłem też w obronie kobiet ustawę wyswobodzającą je spod dokuczliwej opieki ojcowskich krewnych i zakazującą przyjmowania posagu żony pod zastaw długów męża.

Na propozycję Pallasa zgłosiłem projekt ustawy dotyczącej małżeństw wolnych kobiet z niewolnikami. Ustawa ta przyjęta przez senat głosiła, że każda wolna kobieta, która poślubi niewolnika bez wiedzy i zgody jego pana, staje się sama niewolnicą; jeżeli jednak uczyni to za zgodą i wiedzą właściciela, pozostaje wolną i tylko dzieci urodzone z takiego małżeństwa mają być uważane za niewolników. W związku ze zgłoszeniem tej ustawy zdarzył się komiczny epizod. Pewien senator, wybrany na następny rok konsulem, obraził przed kilku laty Pallasa i obawiał się, że ten mu teraz może na różne sposoby utrudniać urzędowanie. Obawa ta nie bardzo była uzasadniona, gdyż Pallas do żywienia uraz jest jeszcze mniej skłonny ode mnie, ale senator bał się i postanowił w jakiś sposób pozyskać sobie przychylność mego sekretarza. Oświadczywszy więc w senacie, że ustawa o małżeństwach wolnych kobiet z niewolnikami przynosi wielką korzyść państwu, zaproponował, aby Pallasa, który był jej inicjatorem i referentem, uczcić przez przyznanie mu urzędu honorowego pierwszego stopnia i nagrody w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy aureusów. Na to zerwał się Scypion, żonaty ongiś z Poppeą, i wygłosił przemówienie, którego ironiczny sens przypominał wystąpienia Gallusa i

Hateriusza za rządów stryja Tyberiusza.

- Popieram ten wniosek - oświadczył - i proponuję, żeby dołączyć jeszcze oficjalne podziękowanie dla tego niezwykłego męża, jakim jest Pallas. Kilku z nas, uprawiając z amatorstwa genealogię, odkryło, że jest on w prostej linii potomkiem arkadyjskiego króla Pallasa, przodka owego uczonego Ewandra, który imię jego nadał palatyńskiemu wzgórzu, a o którym wspomniał niedawno miłościwie nam panujący cesarz. Oficjalne podziękowanie, powtarzam, powinno się wyrazić Pallasowi nie tylko za zasługi, które oddał przez opracowanie tej ustawy, ale ze względu na wielkoduszną skromność, która każe mu ukrywać królewskie pochodzenie, ze względu na to, że oddał się do dyspozycji senatu jako pierwszy lepszy nic nie znaczący obywatel i raczy być znany tylko jako wyzwoleniec pełniący obowiązki cesarskiego sekretarza.

Nikt nie śmiał się sprzeciwić wnioskowi, potraktowałem więc z głupia frant ten kawał na serio i nie założyłem swego weta, nie chciałem bowiem skrzywdzić Pallasa. Zaraz jednak po posiedzeniu, wezwawszy go do siebie, opowiedziałem całą historię. Zaczerwienił się biedak po uszy, nie wiedząc, czy ma się gniewać, czy cieszyć, że doniosła rola, jaką odgrywa w sprawach państwowych, spotkała się z oficjalnym uznaniem. Zapytał wreszcie, jak, moim zdaniem, powinien zareagować.

- Potrzebujesz pieniędzy? - spytałem.

- Och nie, Cezarze! Jestem całkiem zamożny.

- Zamożny? Co to znaczy? Chodź no tu bliżej i powiedz, na wiele cię można liczyć. Tylko mów prawdę! Nie będę się gniewał, nie bój się.

- Kiedy ostatni raz sprawdzałem rachunki, było tego koło trzech milionów.

- W srebrze?

- W złocie.

- Bogi litościwe! I wszystko przyszło do ciebie uczciwą drogą?

- Wszystko. Ludzie, składając podania, proszą o to czy tamto, a ja wtedy

mówię: „Nic nie mogę obiecać.” „Wcale się tego nie spodziewaliśmy - odpowiadają. - Ale prosimy, pozwól ofiarować sobie trochę gotówki. Niech w tym skromnym podarku wyrazi się nasza wdzięczność za tak uprzejme z twej strony przyjęcie nas.” To wszystko, Cezarze, co mogę w tej sprawie powiedzieć. Zresztą wiedziałeś o tym.

- Wiedzieć, wiedziałem, ale nie przypuszczałem, że doszedłeś aż do takiego majątku.

- Nie mam czasu wydawać pieniędzy, Cezarze.

Mówił prawdę. Pracował jak galernik. Oświadczyłem, że uchronię go od ośmieszenia się przed senatem, i poradziłem, żeby zgodził się na honorowy urząd, lecz odmówił przyjęcia pieniędzy. Zgodził się i na następnym posiedzeniu uroczyście zapewniłem senat, że Pallas czuje się najzupełniej zadowolony z honorowego urzędu, jaki mu raczyli nadać, pragnie jednak żyć w dawnym ubóstwie.

Scypion jednak nie dawał za wygraną. Postawił wniosek, aby senat zwrócił się do mnie z prośbą o interwencję i żebym ja osobiście nakłonił Pallasa do przyjęcia daru. Wniosek przeszedł. Ale i my z Pallasem nie ustąpiliśmy. Za moją radą odmówił i mnie, i senatowi. A wtedy na zakończenie farsy Scypion postawił nowy wniosek, uchwalony przez senat, a wyrażający uznanie dla skrzętności Pallasa. Uznanie to zostało nawet urzędowo wryte na spiżowej tabliczce. Zgodzicie się jednak chyba, że nie ja z Pallasem zostaliśmy wystrychnięci na dudków, lecz Scypion i senat.

Honoraria adwokatów ograniczyłem do stu aureusów za sprawę. Ograniczenie to było wymierzone przeciwko takim ludziom jak Suiliusz, oskarżyciel w procesie Azjatyka, którzy z taką łatwością urabiali opinię sędziów, z jaką chłop zapędza na jarmark prosię. Suiliusz gotów się był podjąć każdej sprawy, choćby najbardziej beznadziejnej, byleby otrzymał honorarium wynoszące cztery tysiące. A wielkość tego honorarium równie obezwładniająco działała na umysły sędziów, jak pewność siebie i oratorskie talenty Suiliusza.

Czasami oczywiście i Suiliusz nie mógł nic poradzić, gdyż wina jego klienta była zbyt niewątpliwa. Wówczas nie chcąc narażać wobec sądu swego prestiżu, który mu się mógł przydać w wypadkach, gdy miał szansę pomyślnego przeprowadzenia sprawy, skłaniał właściwie sąd do wydania wyroku niekorzystnego dla jego klienta. Pewnego razu doszło z tego powodu do skandalu. Bogaty rycerz, oskarżony o obrabowanie wdowy po swoim wyzwolęncu, zapłacił Suiliuszowi czterotysięczne honorarium za obronę, lecz ten we wspomniany sposób go zawiódł. Zażądał wtedy zwrotu pieniędzy. Suiliusz odparł, że zrobił wszystko, co w jego mocy. Pieniądzy niestety zwrócić nie może, gdyż byłby to niebezpieczny precedens. Rycerz popełnił przed domem Suiliusza samobójstwo.

Ograniczając wysokość honorariów adwokackich, których pobieranie za czasów Rzeczypospolitej w ogóle było sprzeczne z prawem, osłabiłem prestiż, jakim znakomici członkowie palestry cieszyli się wśród sędziów, a jednocześnie umożliwiłem tym ostatnim wydawanie bardziej obiektywnych wyroków. Z adwokatami w ogóle pozostawałem na stopie wojennej. Często, gdy miałem sądzić pewną sprawę, ostrzegałem sąd z uśmiechem: „Pamiętajcie, że jestem stary i moja cierpliwość nie wytrzymuje dłuższej próby. Wydając wyrok przychylię się raczej ku zdaniu tej strony, chociażby nie całkiem niewinnej, która materiał dowodowy przedstawi krócej, przejrzyściej i bardziej otwarcie, niż tej, która słuszność swej sprawy zatracą w nieodpowiedniej błyskotliwej teatralności.” I cytowałem Homera:

*Z mówców największym wstrętem taki mnie przenika,
który prawdę w swej piersi dusi i zamyka.*

Starałem się też o stworzenie nowego rodzaju adwokatów - ludzi, którzy nie byliby ani wielkimi krasomówcami, ani specjalnymi znawcami prawa, lecz posiadali zdrowy rozsądek, wyraźną dykcję i umiejętność sprowadzenia sprawy

do jej najprostszych elementów. Najlepszym reprezentantem tego typu adwokata był niejaki Agaton. Przedstawiał sprawę z humorem, szybko, dokładnie. Ilekroć miałem wątpliwości, za którą stroną opowiedzieć się w wyroku, przychylałem się zawsze do zdania Agatona. W ten sposób chciałem zachęcić innych do współzawodnictwa z nim.

Sądowy i Prawniczy Instytut Telegoniusza, owego „najbardziej uczonego i najwymowniejszego mówcy i prawnika”, został zamknięty już przed trzema laty. Historia ta przedstawiała się następująco:

Tłusty, krzykliwy, przystrzyżony na jeża Telegoniusz zjawił się pewnego razu w sądzie apelacyjnym, kiedy ja przewodniczyłem rozprawie. Występował we własnej sprawie. Skazany bowiem został przez jednego z urzędników na zapłacenie poważnej grzywny za zachęcanie swego niewolnika do zabicia w czasie sprzeczki innego, bardzo kosztownego niewolnika, będącego własnością Witeliusza. Przewód sądowy wykazał, co następuje: niewolnik Telegoniusza, siedząc u fryzjera, puszył się w nieznośny sposób swoją znajomością prawa i retoryki. W tej samej razurze czekał na swoją kolejkę niewolnik Witeliusza, znany jako najlepszy kucharz w Rzymie (z wyjątkiem mojego) i oceniany na przynajmniej dziesięć tysięcy aureusów. Między oboma niewolnikami doszło do sprzeczki. Niewolnik Telegoniusza w obraźliwy sposób przeciwstawiał wzniosły kunszt wymowy mizernemu kucharzeniu. Kucharz Witeliusza nie był człowiekiem zadziornym, ale nie mogąc dłużej słuchać tych przechwałek, spokojnie zauważył, że nie można porównywać rzemieślnika uprawiającego po domowemu wspaniałą sztukę ze wspaniałym artystą uprawiającym domowe rzemiosło; spodziewa się też jeśli nie szacunku, to przynajmniej większej uprzejmości ze strony niższego stanowiskiem niewolnika, który przedstawia wartość co najmniej sto razy mniejszą od niego. Obecni w razurze wzięli stronę kucharza, rozwścieczony tym „mówca” chwycił za brzytwę i poderżnął oponentowi gardło krzycząc: „Ja was nauczę dyskutować z ludźmi Telegoniusza!” Telegoniusza skazano na zapłacenie grzywny w wysokości

odpowiadającej cenie zabitego kucharza. W motywach wyroku zaznaczono, że gwałtowny postępek niewolnika spowodowany był maniakalną wiarą w nieomylność argumentacji, którą to wiarę instytut Telegoniusza wpaja we wszystkich swoich pracowników. Telegoniusz apelował na tej podstawie, że nie może być mowy o zachęcaniu niewolnika do czynów gwałtownych, gdyż motto instytutu brzmi: „Język jest potężniejszy od miecza”, co wyraźnie wskazuje, jaką bronią należy się posługiwać w sporze. Powoływał się też na to, że panował tego dnia straszny upał; że określenie wartości niewolnika na sto aureusów było dla tegoż ciężką obelgą, gdyż najniższa płaca, którą by otrzymał jako urzędnik, wynosiłaby pięćdziesiąt aureusów rocznie, a wobec tego wszystkiego sprawiedliwe może być jedynie stwierdzenie, że śmierć kucharza została spowodowana jego prowokacyjnym zachowaniem.

Następnie jako świadek wystąpił Witeliusz.

- Cezarze - powiedział - ja na tę sprawę patrzę trochę inaczej. Niewolnik Telegoniusza zabił mego kuchmistrza, człowieka przyzwoitego, godnego i - co sam pewnie przyznasz, boś nieraz nie mógł się nachwalić jego sosów i ciast - niezrównanego w swoim fachu artystę. Następca jego będzie mnie kosztował co najmniej dziesięć tysięcy aureusów, a nie będzie, możesz być pewny, wart połowy tego, co zabity. Morderca wygłaszał zdania sławiące krasomówstwo, a poniżające sztukę kucharską. Zdania te, jak udowodniono, cytował dosłownie z podręczników Telegoniusza. W dalszym ciągu udowodniono, że w tychże samych podręcznikach w rozdziałach poświęconych wolności znajduje się wiele w namiętym tonie utrzymanych ustępów, które usiłują usprawiedliwić użycie broni w tych wypadkach, kiedy zawodzi rozumna argumentacja.

Z kolei Telegoniusz poddał Witeliusza krzyżowemu przesłuchaniu. Muszę przyznać, że tego go przyciskał do muru, kiedy nagle pojawienie się bawiącego w Rzymie Aleksandra Alabarcha nadało rozprawie najbardziej niespodziewany obrót. Aleksander, włócząc się bez celu po mieście, wstąpił z ciekawości do sądu. Przysłuchiwał się rozprawie i w pewnym momencie napisał

do mnie bilecik:

„Osobnik, który używa imienia Telegoniusza z Aten i z Rzymu, jest moim zbiegłym niewolnikiem; na imię ma Jan, urodził się w moim domu w Aleksandrii z matki Syryjki. Uciekł przed dwudziestu pięciu laty. Na lewym biodrze ma wytatuowaną literę A w kole; w ten sposób znaczą swoich niewolników.

Aleksander Alabarch.”

Przerwałem rozprawę na chwilę, a przez ten czas moi liktorzy wyprowadziwszy Telegoniusza stwierdzili, iż rzeczywiście stanowi on własność Alabarcha. Pomyśleć tylko, że przez blisko dwadzieścia lat udawał rzymskiego obywatela! Majątek jego powinien być właściwie przepaść w całości na rzecz skarbu państwa, z wyjątkiem sumy dziesięciu tysięcy, stanowiącej odszkodowanie dla Witeliusza, połowę jednak przyznałem Alabarchowi. Alabarch w rewanżu podarował mi Telegoniusza. Oddałem go do dyspozycji Narcyzowi, który wyznaczył mu bardzo pożyteczne, choć skromne zajęcie sądowego protokolanta.

W taki oto sposób sprawowałem rządy. Powiększyłem też znacznie liczbę obywateli rzymskich, dążąc do tego, aby żadna prowincja, w której panowały lojalność, porządek i dobrobyt, nie stała pod względem praw obywatelskich niżej od Rzymu i reszty Italii. Pierwszym miastem północnej Francji, które otrzymało ode mnie prawo obywatelstwa, było Autun.

48 r. n.e.

Następnie dokonałem spisu obywateli rzymskich.

Ogólna liczba łącznie z kobietami i dziećmi wynosiła 5984072. Spis ludności z roku śmierci Augusta podawał 4 937 000, a przedsięwzięty w roku śmierci mojego ojca 4 233 000. Ot, po prostu napisane, liczby te nie robią wielkiego wrażenia, ale przedstawcie je sobie obrazowo. Gdyby wszyscy

obywatele rzymscy mieli przedefilować przede mną zwawym krokiem, jeden tuż za drugim, trzeba by całych dwu lat, żeby doczekać się końca pochodu. A liczby powyższe podają tylko prawdziwych, pełnowartościowych obywateli. Gdyby miała w ten sposób przedefilować ludność całego cesarstwa - z Brytanią, Marokiem i Palestyną, około siedemdziesięciu milionów - zabrałoby to dwanaście razy więcej czasu, to jest dwadzieścia cztery lata. A że przez ten czas dorosłaby nowa generacja, więc mógłbym tak całe życie siedzieć, zaś potok ludzki by płynął i płynął przede mną i nigdy bym nie ujrzał dwakroć tej samej twarzy. Liczby są czymś koszmarnym. Pomyśleć, że w pierwszym Świątce Pasterskim urządzonym przez Romulusa brało udział wszystkiego trzy tysiące trzysta osób. A co będzie później?

Na zakończenie tego sprawozdania z moich rządów chciałbym podkreślić, że do tego przynajmniej czasu wszystko, co robiłem, miało na celu w moim najszerszym przekonaniu dobro ogólne, jak najszerzej pojęte. Nie byłem zaślepionym rewolucjonistą ani okrutnym tyranem, ani zacietrzewionym wstecznikiem. Usiłowałem, o ile to możliwe, połączyć wspaniałomyślność ze zdrowym rozsądkiem i nikt nie może mi zarzucić, że nie robiłem wszystkiego, na co mnie było stać.

Dwa dokumenty obrazujące prawniczą działalność Klaudiusza oraz jego epistolarny i krasomówczy styl

EDYKT KLAUDIUSZA

W SPRAWIE NIEKTÓRYCH PLEMION TYROLSKICH

46 r. n.e.

Wydany w miejscowości Baję roku konsulatu Juniusza Syllanusa i Kwintusa Sulpicjusza Kameriusa, piętnastego marca z rozkazu Tyberiusza Klaudiusza Cezara Augusta Germanika.

Tyberiusz Klaudiusz Cezar August Germanik, Arcykapłan, Trybun Ludu po raz szósty, Cesarz, Ojciec Ojczyzny, czterokrotny konsul, wydaje następujące oficjalne oświadczenie:

W kwestii zadawnionych sporów, toczących się przez kilka lat przed sądem podczas panowania stryja mego Tyberiusza i nie rozstrzygniętych, mój stryj wysłał niejakiego Pinariusza Apollinarisa, aby ten zbadał wyłącznie sporne kwestie dotyczące Kommensów i Bergalianów. Pinarius ów nie wywiązał się ze swego zadania z powodu przewlekłej nieobecności mego stryja w Rzymie, a kiedy bratanek mój, Gajusz, został cesarzem i również nie żądał od niego sprawozdania, sprawozdania nie złożył - w czym wykazał swoisty rozum - ja zaś otrzymałem raport od Kamuriusa Statutusa stwierdzający, że wiele tamtejszej uprawnej i pokrytej lasami ziemi podpada pod moją jurysdykcję. Posłałem więc tam niedawno mego przyjaciela Planta Juliusza, który zwołał moich wielkorzadców, tak miejscowych, jak i tych z odleglejszych okręgów, zbadał dokładnie wszystkie zagadnienia i wyciągnął z nich wnioski. Potwierdzam obecnie treść następującego edyktu, który Planta Juliusz przedstawił mi do podpisania, uzasadniwszy go poprzednio dokładnym raportem; edykt ten zawiera donioślejsze decyzje niż te, których powzięcie powierzono Pinariusowi.

Co się tyczy sytuacji Anaunianów, Tulliasanów, Sindunianów, dowiaduję się z poważnych źródeł, że niektórzy z nich, choć nie wszyscy, zastali wcieleni do zarządu południowego Tyrolu. I choć uważam domaganie się obywatelstwa rzymskiego przez ludzi należących do tych plemion za dość słabo uzasadnione, jednak skoro można twierdzić, że zdobyli je na mocy prawa przysługującego osiedleńcom i że mieszały się tak ściśle z ludnością południowego Tyrolu, iż nie można ich teraz od niej oddzielić nie wyrządziwszy poważnej krzywdy czcigodnym obywatelom tego kraju, przeto dobrowolnie udzielam im pozwolenia, by korzystali z praw, które sobie przywłaszczyli. Czynię to tym chętniej, że wielu z tych ludzi, których stan prawny jest zachwiany, służy w

dywizjach gwardii, niektórzy zajmują stanowiska dowódców kompanii, a inni zostali przydzieleni do służby sądowej w Rzymie i tam pełnią swe funkcje.

Udzielenie tej łaski pociąga za sobą usankcjonowanie prawne wszystkich posunięć, których dokonali w mniemaniu, że są rzymskimi obywatelami, lub zobowiązań, które powzięli tak między sobą, jak i wobec mieszkańców południowego Tyrolu. Zezwalam im również na używanie nadal imion, których używali dotąd jako domniemani rzymscy obywatele.

Zachowane fragmenty mowy Klaudiusza wygłoszonej w senacie, zawierającej wniosek o nadanie obywatelstwa rzymskiego ludności francuskiej okręgu Autun

48 r. n.e.

Na wstępie muszę was prosić, senatorowie, byście powściągnęli pierwszy odruch oburzenia, jaki wywoła wniosek, który wam przedstawię: wniosek ten jest istotnie rewolucyjny. Sądzę, że właśnie to oburzenie będzie dziś największą przeszkodą, która stanie na mej drodze. Może najlepszym sposobem podważenia tej przeszkody będzie przypomnienie wam, jak wiele zmian dokonało się w Rzymie z biegiem czasu w naszej konstytucji i jak bardzo okazała się ona od początku giętka.

Rzymem rządili swego czasu królowie, ale monarchia nie była nigdy dziedziczna. Koronę zdobywali ludzie obcy, a nawet cudzoziemcy, jak na przykład następca Romulusa, król Numa, który pochodził z Sabinum (wówczas było to jeszcze obce państwo, choć położone tak blisko Rzymu), i Tarkwiniusz Pierwszy, następca Ankusa Marcjusza. Tarkwiniusz nie był wcale szlachetnie urodzony, ojciec jego to Demarathus, Koryntianin, a matka, choć pochodziła ze szlachetnego rodu Tarkwiniuszów, była tak uboga, że musiała poślubić człowieka gorzej od niej urodzonego; Tarkwiniusz nie mógł więc zająć w Koryncie odpowiedniego stanowiska, przyjechał tu i obrano go królem. Po nim i

po jego synu czy wnuku - historycy nie są co do tego zgodni - nastąpił Serwiusz Tulliusz, który zgodnie z rzymskim podaniem był synem Okresji, branki. Etruskie kroniki wspominają o nim jako o wiernym towarzyszemu Etruska Caeliusza Wibenny, dzielącym z nim wszystkie klęski. Kroniki te powiadają, że kiedy Caeliusz został pokonany, Serwiusz Tulliusz z resztką armii Caeliusza opuścił Etrurię i zdobył te oto wzgórza, którym nadal nadal nazwę Caeliańskich na pamiątkę byłego wodza. Po czym zmienił swoje etruskie imię Mastarna na imię Tulliusz, uzyskał rzymską koronę i był bardzo dobrym królem.

Czyż mam wam przypominać, że później, kiedy Tarkwiniusza Pysznego i jego synów znienawidzono z powodu tyranii, lud rzymski zniechęcił się do rządów monarchicznych i miast nich mieliśmy konsulów, corocznie obieranych urzędników? Czy mam wam przypominać o dyktaturze, którą nasi przodkowie uważali w okresach wojny i politycznych niesnasek za silniejszą formę rządów nawet od władzy konsulów? Lub o mianowaniu trybunów ludu celem obrony zagrożonych praw gminu przed nadużyciami? Lub o Radzie Dziesięciu, która przejęła na jakiś czas władzę konsulów? Lub o mianowaniu - zdarzyło się to razy siedem czy osiem - pułkowników armii czynnej konsulami? Lub o przyznaniu osobom z gminu nie tylko najwyższych urzędów, ale nawet dostępu do kapłaństwa? Nie będę już dalej rozprawiał o tych dawnych próbach i zmaganiach naszych przodków i o tym, jaki był ich wynik, gdyż moglibyście przypuścić, że robię ten przegląd historii po to, by mieć pretekst do chwalenia się świeżą ekspansją imperium poza granice północnego morza... Wolą mego stryja, cesarza Tyberiusza, było, żeby wszystkie ważniejsze kolonie i prowincjonalne miasta Italii miały swoich przedstawicieli w senacie, i ci przedstawiciele istotnie się znaleźli, mieli oni odpowiednie kwalifikacje tak osobiste, jak i majątkowe. „Owszem - powiecie - ale zachodzi wielka różnica między senatorem rodem z Italii a senatorem spoza jej granic.” Wytlumaczę wam moje zapatrywania w tej sprawie wówczas, gdy dojdę do tego okresu mej działalności, kiedy to jako cenzor rozciągnąłem pełne prawa obywatelstwa

rzymskiego na prowincje. Teraz streszczę się stwierdzając, że nie powinniśmy pozbawiać prowincjałów prawa zasiadania w senacie, jeśli są tego godni, jedynie z tej przyczyny, że są mieszkańcami prowincji. Czyż sławna i wspaniała kolonia w Wiennie we Francji nie przysyła nam od dawna senatorów? Mój drogi przyjaciel Lucjusz Westynusz pochodzi z Wienny. Jest on jednym z najznakomitszych członków szlachetnego stanu rycerskiego i spełnia tu funkcje mego doradcy w sprawach administracyjnych. (Nawiasem mówiąc, pragnąłbym, żebyście wyświadczyli pewną laski; dzieciom Westynusza. Chodzi o to, by je obdarzyć najwyższymi godnościami kapłańskimi. Ufam, że z czasem własnymi zasługami pomnożą te przywileje, które zostały im przyznane dzięki zasługom ojca.) Nie wspomnę tu ani słowem o pewnym Francuzie, łotrze i zbroju, którego imieniem się brzydzę. Był to jakiś fenomen szkoły zapaśniczej i wrócił do swej kolonii z tytułem konsula, zanim krajowi temu przyznano w ogóle rzymskie obywatelstwo. Mam również złe mniemanie o jego bracie, wstrętnej i podlej kreaturze, który by się zupełnie nie nadawał na senatora.

Najwyższy jednak czas, Tyberiuszu Klaudiuszu Germaniku, żebyś wyjawiał senatowi przedmiot swego przemówienia, dojechałeś już bowiem do granic południowej Francji... Senat nie powinien się wstydić tych szlachetnych mężów stojących w tej chwili przede mną, tak jak mój czcigodny przyjaciel Periskusz nie wstydzi się francuskiego imienia Allobrogikusz, gdy na nie natrafia wśród żałobnych masek swych przodków. Czy żądacie, bym wam wskazał na mapie, dotykając palcem określonego punktu, że macie już wśród was senatorów spoza granic południowej Francji, że nie okryliście się hańbą wprowadzając do waszego grona ludzi urodzonych w Lyonie*?[* Żartobliwa aluzja do miejsca urodzenia Klaudiusza (przyp. aut.)] Och, z jakąż nieśmiałością zapuszczam się poza znane nam dobrze granice południowej Francji! Lecz sprawa całej reszty tego wielkiego kraju zasługuje na obronę. Przyznaję wam, że Francuzi walczyli przez dziesięć lat przeciw Juliuszowi Cezarowi (piastującemu obecnie godność boga), ale w zamian za to wy musicie

mi przyznać, że odtąd przez całe stulecie zachowywali się oni względem nas - nie wyłączając okresu zamieszek - z większą lojalnością, niż wydawało się to nam możliwe. Kiedy mój ojciec Druzus ruszył na podbój Niemiec, leżąca na tyłach Francja zachowała całkowity spokój, i to w okresie, kiedy Druzusa chwilowo oderwano od prowadzonego przezeń dzieła spisu właścicieli dóbr, rzeczy dla Francji nowej i wzbudzającej zaniepokojenie. Przecież nawet obecnie - jak to wiem dobrze z własnego doświadczenia - robienie tych spisów jest zadaniem niełatwym, choć teraz sprowadza się to właściwie do publicznego przeglądu naszego materialnego stanu posiadania.

Rozdział XXVIII

Pewnego sierpniowego rana - było to w tym samym roku, w którym przeprowadzano spis ludności - Messalina zbudziła mnie o wczesnej godzinie. Weszła do sypialni i stanawszy nad łóżkiem tak długo całowała mnie i głaskała po włosach, aż wreszcie otworzyłem oczy. Wtedy z oznakami wielkiego zdenerwowania zaczęła opowiadać o jakichś okropnych wiadomościach, które musi mi zakomunikować. Przejście z sennego odurzenia do rzeczywistości wymaga u mnie zawsze dłuższego czasu, zwłaszcza jeśli - co często się zdarza - nie uda mi się zasnąć przed świtem. Toteż i tym razem, jeszcze półprzytomny, przerwałem jej dość szorstko:

- Ale właściwie o co ci chodzi?

- Astrolog Barbil... Wiesz, że on nigdy się nie myli. Nieprawdaż? Otóż zwróciłam się do niego wczoraj o horoskop, bo od dwu czy trzech lat nie miałam żadnego. Dziś w nocy pytał gwiazdy o mój los i przed chwilą przyniósł mi odpowiedź. Wiesz, co mówił?

- Oczywiście, że nie wiem. Powiedz już raz i daj mi spokój. Chcę spać. Miałem paskudną noc.

- Kochanie, nigdy bym nie śmiała przeszkadzać ci, gdyby to nie była tak strasznie ważna sprawa. A więc słuchaj. Powiedział mi tak: „Cesarzowo, w najbliższej przyszłości czeka cię straszne nieszczęście. Saturn znowu wywiera swój ujemny wpływ. Znajduje się on tym razem w swym najgorszym aspekcie. W ciągu trzydziestu dni najdalej od idów wrześniowych spadnie na ciebie wielki rios.” Nie chciał mi nic wyraźniej powiedzieć. Zagroziłam, że go każę wychłostać. I wtedy... zgadnij, co powiedział!

- Nie cierpię zgadywania, kiedy jestem jeszcze na poły śpiący.

- A ja nie cierpię mówienia takich okropnych rzeczy. Powiedział mi... powiedział mi tak: „Cesarzowo, mąż twój umrze gwałtowną śmiercią.”

- Doprawdy tak powiedział?

Skinęła poważnie głową.

Siadłem na łóżku, a serce waliła mi jak młotem. Rzeczywiście, Barbil nigdy się nie mylił w swoich przepowiedniach. To by znaczyło, że tylko o kilka dni przeżyję wprowadzenie nowej konstytucji. Uroczyste ogłoszenie projektu przygotowywałem na siódmego września, rocznicę mego zwycięstwa pod Brentwood. Było to jednak tajemnicą i nie zwierzyłem się z niej nikomu, nawet Messalinie, przed którą nie miałem tajemnic.

- Czyż nic na to nie można poradzić? - spytałem. - Czy nie można w jakiś sposób ominąć wyroczni?

- Nic mi nie przychodzi na myśl. Przecież jesteś moim mężem! Chyba, chyba... Zaczekaj! Mam myśl! A gdybyś tak nie był nim na następny miesiąc?

- Ale przecież jestem. Czy możesz udowodnić, że jest inaczej?

- Możesz się ze mną rozwieść. Właśnie na jeden miesiąc. Czy nie? A potem, kiedy Barbil powie, że Saturn znajduje się już w takiej odległości, że nie może nam zagrażać, znowu się pobierzemy.

- To niemożliwe. Tylko w tym wypadku mógłbym po rozwodzie zawrzeć z tobą legalne małżeństwo, jeżelibyś przez ten czas wyszła za mąż.

- Nie pomyślałam o tym. Ale czyż mamy opuścić ręce wobec czysto formalnej przeszkody? A gdybym tak wyszła za mąż... Za kogoś pierwszego lepszego... Tylko dla formy... Za kucharza, odźwiernego, gwardzistę. Chodziłoby, oczywiście, tylko o sam obrzęd ślubny. Weszlibyśmy do małżeńskiej komnaty jednymi drzwiami i zaraz wyszli drugimi, żeby się więcej nie zobaczyć. To nie najgorszy pomysł, co?

Owszem, przyznałem, że to niezła myśl. Naturalnie wyjść za mąż mogłaby tylko za człowieka odpowiadającego jej stanem i stanowiskiem. Może za Witeliusza, zaproponowałem na początek. Odpowiedziała mi z uśmiechem, że Witeliusz czuje dla niej zbyt wiele sentymentu. Byłoby okrucieństwem kazać mu się z nią ożenić, a nie pozwolić na spędzenie wspólnej nocy poślubnej. A

zresztą musimy pamiętać o przepowiedni. Chyba nie pragnę skazać Witeliusza na gwałtowną śmierć?

Przedyskutowaliśmy wiele kandydatur. Jedynym, na którego oboje się godziliśmy, był konsul wybrany, Siliusz, syn owego generała Siliusza, który walczył pod komendą Germanika, a którego później Tyberiusz oskarżył o zdradę stanu i zmusił do samobójstwa. Nie lubiłem go, gdyż stał na czele opozycji senackiej, która sprzeciwiała się moim poczynaniom zdążającym do rozszerzenia praw obywatelskich, i zachowywał się w stosunku do mnie nazbyt butnie. Kiedy wygłosiwszy przemówienie na temat rozszerzenia praw obywatelskich zapytałem Siliusza o zdanie, odparł, iż wydaje mu się dziwnym, żeby szlachetne i sławne miasta greckie w Licji, nasi dawni sprzymierzeńcy, były pozbawione wolności (przed pięciu laty ze względu na ciągłe polityczne rozruchy zaanektowałem Licję i sąsiednią wyspę Rodos, na której wbito na pal kilku rzymskich obywateli), podczas gdy celtyccy barbarzyńcy z północy mają się cieszyć pełnymi prawami rzymskiego obywatelstwa. Był to jedyny zarzut podniesiony w tej sprawie. Postanowiłem potraktować go tak żartobliwie, jak tylko to było możliwe.

- Długa to - zacząłem - doprawdy, bardzo długa droga od słynnej Licji, od Ksantu nurtów przejrzystych, w których wedle słów Horacego, śpiewanych w przeszłym roku podczas święta Stulecia, Apollo lubi kąpać swe kędziory... do Francji, do wielkiego, ciemnego Rodanu... wielkiego, ciemnego Rodanu, o którym wprawdzie nie ma wzmianki w klasycznych legendach, poza wątpliwą wizytą Herkulesa, szukającego w trakcie swej dziesiątej pracy wołów Geriona. Myślę jednak...

W tym miejscu przerwał mi stłumiony chichot, który wkrótce rozpętał się w istną burzę śmiechu. Jak się okazało, powtórzywszy słowa: „wielkiego, ciemnego Rodanu”, zatrzymałem się na moment w poszukiwaniu końca zdania. Siliusz, korzystając z tego, że na jedno ucho nie dosłyszę - siedział właśnie z tej strony - zauważył na głos:

- O tak. Wielki, ciemny Rodan, w którym, jeśli historycy nie kłamią: Klaudiusz lubi kąpać swe kędziory.

Była to aluzja do owego zdarzenia, kiedy to Kaligula kazał mnie z mostu rzucić do rzeki i niewiele brakowało, a byłbym utonął. Możecie sobie wyobrazić mój gniew, kiedy Narcyz wytłumaczył mi przyczynę śmiechu. Osobiste żartobliwe przycinki mogą uchodzić przy kolacji w zamkniętym gronie, w czasie kąpieli, albo - bardziej dosadne - podczas Saturnaliów (którym, mówiąc nawiasem, przywróciłem piąty dzień świąt skasowany przez Kaligulę), ale nigdy by nie przyszło mi do głowy robić tego rodzaju żartów w senacie i ośmieszać któregokolwiek z jego członków wobec kolegów. A tutaj konsul wybrany pozwala sobie na podobny nietakt w stosunku do mnie, i to w obecności zaproszonej przeze mnie na posiedzenie delegacji francuskiej, złożonej z wybitnych osobistości. Byłem oburzony.

- Senatorowie! - krzyknąłem - prosiłem was o wypowiedzenie zdania w sprawie zgłoszonego przeze mnie projektu. Słyszę zamiast tego ryk jak w podrzędnej karczmie. Zechciejcież przestrzegać obowiązującego regulaminu. Cóż bowiem w przeciwnym razie pomyślą sobie o nas nasi francuscy goście? - Momentalnie ucichł hałas. Działo się tak zawsze, ilekroć widziano mnie rozgniewanego.

Messalina oświadczyła, że chętnie wyjdzie za Siliusza nie tylko ze względu na jego gburowatość w stosunku do mnie, która sama przez się zasługuje na pomstę gwiazd. Sądząc ze spojrzeń, jakie na nią rzuca, jest pewna, iż gburowatość ta wynika z zazdrości i że Siliusz jest w niej po uszy zakochany. Będzie to doskonała kara dla tego śmiałka, jeśli mu powie, że się rozwodzi i chce wyjść zań za mąż, a następnie w ostatniej chwili wyjaśni, że małżeństwo zostało zawarte tylko formalnie.

Stało tedy na Siliuszu i jeszcze tego samego dnia podpisałem dokument, w którym odtrącałem od siebie Messalinę i pozwalałem jej wrócić pod dach ojcowski. Nadowcipkowaliśmy się na ten temat we dwoje co niemiara.

Messalina błagała mnie na klęczkach, abym jej wybaczył i pozwolił zostać. Tuląc do siebie dzieci, które nie mogły zrozumieć, o co chodzi, wołała ze łzami:

- Okrutny mężu! Czyż te słodkie biedactwa mają cierpieć za winy matki?

Odpowiedziałem, że winy jej są niewybaczalne: jest zbyt mądra, zbyt piękna, zbyt pracowita. Nie! Nie spędzę z nią ani jednej godziny dłużej pod jednym dachem! Stała się nieosiągalnym wzorem dla wszystkich kobiet i naraziła mnie na ogólną zazdrość.

- A jeśli przyjdę którejs nocy w przyszłym tygodniu i popełnię cudzołóstwo z tobą - szepnęła mi do ucha. - Czy mnie wygnasz? Mogę przecież ulec pokusie...

- Tak. Wygnam cię. Oczywiście. I siebie też wygnam. Dokąd się wtedy udamy? Ja miałbym ochotę do Aleksandrii. Opowiadają, że jest to idealne miejsce pobytu dla banitów.

- A dzieci weźmiemy z sobą? To by była taka radość dla nich.

- Obawiam się, że klimat by im nie posłużył. Zostałyby tutaj z twoją matką.

- Matka nie zna się na wychowaniu dzieci. Patrz, jak mnie wychowała! Jeśli nie zechcesz zabrać dzieci, nie przyjdę i nie popełnię cudzołóstwa.

- To ja się na złość tobie ożenię z Lolią Paulina.

- To ja zamorduję Lolię Pauline. Poślę jej zatrute ciastka, jak robił Kaligula, kiedy chciał po kimś odziedziczyć majątek.

- Dobrze. Oto list rozwodowy podpisany i przypieczętowany, ty... ścierko; powracasz teraz do wszystkich praw i przywilejów kobiety niezamężnej.

- Pocałujmy się, Klaudiuszu, przed rozstaniem.

- Przypomina mi się sławne pożegnanie Hektora z Andromachą z szóstej księgi Iliady:

Andromacha się wraca po smutnej rozmowie.

Ale biedna za każdym ogląda się krokiem

I rżęsistym oblewa lice łez potokiem.

Ale dokąd ci się tak śpieszy z tym listem rozwodowym? Nie ucieka się tak ze sceny. Powinnaś wziąć kilka lekcji od Mnesterera.

- Jestem obecnie swą własną nauczycielką. A jak się nie będziesz miał na baczości, to wyjdę za Mnesterera.

Siliusz uchodził w najwyższych sferach Rzymu za najprzystojniejszego mężczyznę i Messalina od dawna już była pod jego urokiem. Nie tak łatwo jednak przyszło jej go zdobyć. Po pierwsze, był to człowiek o niezłomnych zasadach moralnych, a przynajmniej chęłpił się tym, że je posiada; żonaty był z niewiastą z możnego rodu Sylanów, siostrą pierwszej żony Kaliguli, a wreszcie, choć Messalina pociągala go fizycznie w najwyższym stopniu, wiedział, że względami swymi obdarza bez najmniejszej różnicy nobilów i plebejuszów, szermierzy i aktorów, a nawet posłów syryjskich. Nie uważał więc, żeby znalezienie się w tym towarzystwie przynosiło mu zaszczyt. Messalina musiała ostrożnie zastawiać sidła. Pierwsza trudność leżała w nakłonieniu Siliusza do złożenia jej po kryjomu wizyty. Zapraszała go kilkakrotnie, lecz zawsze się wymawiał. Weszła wreszcie w porozumienie z komendantem gwardii, jednym ze swoich eks-kochanków. Ten zaprosił Siliusza do siebie na kolację, a następnie wprowadził do pokoju, w którym przy stole z dwoma nakryciami czekała Messalina. Teraz już Siliuszowi niełatwo było się wymknąć. Messalina zaś przystąpiła do dzieła niezwykle przebiegle. Zaczęła mówić nie na tematy miłosne, lecz polityczne. Wspomniała o jego zamordowanym ojcu i zapytała, czy może obojętnie patrzeć, jak bratanek mordercy, tyran jeszcze bardziej krwiożerczy, coraz mocniej zacieśnia sznur na szyi wolnego ongiś narodu. (Tym tyranem, jeżeliście się nie domyślili, byłem ja sam.) Następnie skarżyła mu się, że życiu jej grozi niebezpieczeństwo, gdyż nieustannie robi mi wyrzuty, że nie wskrzesił rzeczypospolitej i popełnił tyle okrutnych mordów na niewinnych mężach i kobietach. Dodała, że obojętny na jej urodę, wolą się zabawiać z

dziewkami służebnymi lub zwykłymi prostytutkami. I tylko chęć zemsty za okazywane jej lekceważenie skłoniła ją do złamania mi wiary. Jej niewybredność w wyborze wciąż nowych kochanków, bez żadnej różnicy, to skutek ostatecznej rozpacz i samotności. Zna, ciągnęła dalej, tylko jednego człowieka, który posiada zasady moralne i jest dość odważny, by jej dopomóc w realizowaniu dzieła, któremu postanowiła poświęcić życie. Dziełem tym jest wskrzeszenie Rzeczypospolitej, a człowiekiem mogącym jej w tym dopomóc - Siliusz. Czy zechce jej przebaczyć ten niewinny podstęp, do którego musiała się uciec, chcąc go ściągnąć do siebie?

Nie mogę brać za złe Siliuszowi, że dał się oszukać kobiecie, która oszukiwała mnie dzień w dzień od dziewięciu lat. Pamiętajcie, że była bardzo piękna, a możecie też przypuścić, że wino, którym częstowała swego gościa, było zaprawione jakimś oszalamiającym środkiem. Siliusz naturalnie usiłował pocieszyć strapioną i zanim się opatrzył, już oboje złączeni uściskiem znaleźli się na sofie, przeplatając słowami „miłość” i „wolność” pocałunki i westchnienia. Messalina zapewniała kochanka, że dopiero teraz wie, co znaczy prawdziwa miłość, a Siliusz przysięgał, że przy najbliższej sposobności wskrzesi z jej pomocą Rzeczpospolitą. Ona przysięgała mu znów dozgonną miłość i wierność, byleby tylko rozwiódł się z żoną, która go, wie o tym z pewnością, zdradza skrycie i jest przecież bezpłodna, a Siliusz nie powinien dopuścić do wymarcia rodu i tak dalej. Ryba chwyciła haczyk i Messalina ciągnęła teraz wędkę z całych sił.

Siliusz jednak był równie ostrożny” jak cnotliwy, i nie czuł się na siłach wzniecić zbrojnej rewolty. Rozwiódł się wprawdzie z żoną, lecz oświadczył Messalinie, że najlepiej będzie, jeżeli ze wskrzeszeniem republiki zaczekają na moją śmierć. Kiedy to nastąpi, ożeni się z nią, zaadoptuje Brytanika, a wtedy stolica i armia przyjmą go jako swego naturalnego przywódcę. Messalina zrozumiała, że musi działać na własną rękę, i wymyśliła powyżej opowiedzianą historię z astrologiem. Siliusz, jeżeli wierzyć temu, co później opowiadał, nie

wiedział o naszym rozwodzie aż do chwili, kiedy pokazała mu dokument. Nie wyjaśniła mu jednak, jaką drogą doszła do posiadania tego papieru, powiedziała tylko z radością, że mogą się pobrać i żyć szczęśliwie do końca swoich dni, nie wolno mu jednak bez jej pozwolenia nikomu nic o tym mówić.

Rzym osłupiał na wiadomość o rozwodzie Messaliny, tym bardziej że sprawa ta, jak się zdawało, nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. W dalszym ciągu okazywałem Messalinie ten sam szacunek co poprzednio, może nawet większy, i w dalszym ciągu urzędowała ona w pałacu, prowadziła dział powierzonych jej spraw. Codziennie jednak, całkiem otwarcie, w otoczeniu całej swej świty składała wizytę Siliuszowi. Kiedy napomknąłem, że może za daleko posuwa żart, odparła, iż napotyka pewne trudności w nakłonieniu Siliusza do poślubienia jej.

- Obawiam się, że wietrzy jakiś podstęp - mówiła. - Jest bardzo grzeczny i opanowany, ale w głębi duszy wrze cały namiętnością. - Po kilku dniach doniosła mi z uciechą, że zgodził się z nią ożenić. Ślub miał się odbyć dziesiątego września. Prosiła mnie, żebym wziął udział w tej komedii i pobłogosławił związek jako arcykapłan. - Czyż to nie będzie rozkoszne widzieć jego ogłupiałą minę, kiedy dowie się, że został wystrychnięty na dudka? - mówiła.

Co do mnie, zacząłem już żałować, że zgodziłem się na ten cały pomysł, a zwłaszcza na tak daleko posunięty żart z Siliuszem, chociaż mnie znów obraził przerywając w niegrzeczny sposób przemówienie w senacie. Doszedłem do przekonania, że nie powinienem był brać poważnie przepowiedni, a uczyniłem tak tylko dlatego, że byłem jeszcze na wpół śpiący, kiedy mi Messalina o niej powiedziała. Jeżeli przepowiednia była istotnie prawdziwa, to jak można jej uniknąć przez pozorne małżeństwo? Przyszło mi na myśl, że prawo nie uznaje małżeństwa, które nie zostało cieleśnie dopełnione. Usiłowałem wyperswadować Messalinie jej dziwaczny pomysł; odpowiedziała mi na to, że jestem zazdrosny o Siliusza, że tracę poczucie humoru, że staję się starym

nudziarzem, który psuje każdą zabawę, itp. Nie powiedziałem więcej ani słowa.

Z rana piątego września udałem się do Ostii, żeby poświęcić tam wielki spichrz. Messalinie zapowiedziałem, że wrócę dopiero następnego rana. Messalina miała ochotę wybrać się razem ze mną i wszystko już zostało przygotowane do podróży, lecz w ostatnim momencie dostała tego swego osławionego bólu głowy i musiała pozostać. Był to dla mnie przykry zawód, ale za późno było zmieniać plany. W Ostii przygotowano wszystko do uroczystego przyjęcia; przyrzekłem też poświęcić tam świątynię Augusta. Poza tym od czasu, gdy tak gwałtownie napadłem na ostyjczyków za brak wszelkich przygotowań na moje przyjęcie, byłem szczególnie ostrożny, żeby ich w niczym nie urazić.

Kiedy wczesnym popołudniem tego dnia udałem się do świątyni, żeby złożyć ofiary, jeden z moich wyzwoleńców, Euod, wręczył mi bilecik. Do Euoda należało bowiem obecnie chronienie mnie przed natręctwem petentów z tłumu. Wszystkie prośby doręczano jemu, a on oszczędzał mi czytania tych, które były albo utrzymane w nieodpowiednim tonie, albo bezsensowne, albo z innych względów niegodne mej uwagi. Przechodzi pojęcie, jakie bzdurne podania ludzie potrafią wypisywać.

- Wybacz, Cezarze - rzekł Euod wręczając mi kartkę. - Może wyjątkowo zechcesz się sam potrudzić. Dostałem ją od jakiejś kobiety, ale nie umiem przeczytać. - Ze zdumieniem stwierdziłem, że bilecik napisany był po etrusku, w języku martwym, znanym zaledwie czterem czy pięciu ludziom. „Wielkie niebezpieczeństwo - czytałem - grozi Rzymowi i Tobie. Przybądź do mnie natychmiast. Nie ma chwili do stracenia.”

Byłem zdumiony i zaintrygowany. Dlaczego po etrusku? Do kogo mam pójść? Co za niebezpieczeństwo? Dopiero po jakiejś minucie czy dwu domyśliłem się, że bilet musi pochodzić od Kalpurnii, dziewczyny, z którą żyłem przed ślubem z Messaliną. Pracowałem wtedy nad historią Etrusków i dla zabawy uczyłem Kalpurnię po etrusku. Prawdopodobnie napisała do mnie teraz

w tym języku nie tylko dlatego, żeby treść biletu była zrozumiała wyłącznie dla mnie, lecz chciała, abym się domyślił, kto jest jego autorem.

- Czy widziałeś tę kobietę? - spytałem Euoda. Owszem, widział ją. Wygląda na Egipcjankę i na czole ma znaki po ospie. Poza tym całkiem przystojna. Domyśliłem się z opisu, że musiała to być Kleopatra, przyjaciółka Kalpurnii, która razem z nią mieszkała.

Po złożeniu ofiary powinienem się był od razu udać do przystani, aby poświęcić spichrz. Nie można było tej sprawy odłożyć bez wywołania skandalu. Cóż by powiedziano o cesarzu, którego więcej interesują jakieś dwie prostytutki niż jego własne obowiązki? Wiedziałem jednak dobrze, że Kalpurnia nie należy do osób, które by bez poważnej przyczyny wysyłały tego rodzaju zawiadomienia. Przystępując więc do złożenia ofiary postanowiłem, że muszę się za wszelką cenę dowiedzieć, co ma mi do powiedzenia. „Może udać chorego?” - myślałem. Na szczęście bóg August przyszedł mi z pomocą. Nigdy nie widziałem tak źle wróżących wnętrzości jak u barana, którego teraz złożyłem na ofiarę. Była to na pozór ładna sztuka, ale wewnątrz tak zrobaczywiała jak stary ser. Wobec takiego faktu nie mogłem już oczywiście tego dnia załatwić żadnej urzędowej sprawy, zwłaszcza tak ważnej jak poświęcenie największego spichrza na świecie. Przeprosiłem więc zebranych, którzy wyjaśnienie moje uznali za całkiem słuszne. Udałem się następnie do swojej willi i oznajmiłem, że zamierzam tam spędzić resztę dnia; wieczorem natomiast chętnie wezmę udział w ucztach wydanej na moją cześć, pod warunkiem, że nie będzie ona miała charakteru oficjalnego. Tymczasem do tylnego wejścia willi kazałem przysłać lektykę i w kilka chwil później byłem już w drodze do ładnego domku Kalpurnii, leżącego na wzgórzu tuż za miastem. Firanki lektyki oczywiście starannie zaciągnąłem.

Kalpurnia przywitała mnie z takim wyrazem niepokoju i przygnębienia w oczach, że od razu wiedziałem, iż musiało się stać coś poważnego.

- Mów nie zwlekając! - zawołałem. - Co się stało?

Rozpłakała się. Nigdy dotychczas nie widziałem Kalpurnii szlochającej, z wyjątkiem tej pamiętnej chwili, kiedy o północy wezwano mnie do pałacu Kaliguli; myślała wtenczas, że idę na stracenie. Była to dziewczyna bardzo opanowana, obca wszelkim sztuczkom i manierom zwykłych prostytutek i „rzetelna jak rzymski miecz”.

- Przrzeknij mi wpierw, że mnie wysłuchasz do końca - pro, siła. - Ale cóż stąd? I tak mi nie zechcesz wierzyć. Każesz mnie wziąć na tortury i zasmagać na śmierć. Nie chciałam ci nic mówić, ale nikt inny się nie odważył, więc musiałam. Przrzekłam Pallasowi i Narcyzowi. Byli dobrymi moimi przyjaciółmi w tych czasach, kiedyśmy wszyscy razem biedowali. Powiedzieli mi, że nie dasz wiary ich słowom ani niczym, a ja pomyślałam, że mnie uwierzysz, gdyż w ciężkich chwilach okazałam się wiernym przyjacielem. Oddałam ci wszystko, co posiadałam. Pamiętasz? Nie byłam nigdy chciwa ani zazdrosna, ani nieuczciwa. Przyznaj.

- Kalpurnio, w życiu swoim znałem tylko trzy naprawdę dobre kobiety: jedną była księżniczka żydowska Cypros, drugą pokojówka mojej matki, stara Bryzeida, trzecią - ty. A teraz powiedz, o co chodzi.

- Nie wymieniłeś Messaliny...

- Jest samo przez się zrozumiałe, że do tej liczby należy też Messalina. A więc znałem cztery naprawdę dobre kobiety. I mam wrażenie, że nie ubliżam Messalinie stawiając ją w jednym rzędzie ze wschodnią księżniczką, grecką wyzwolenicą i padewską prostytutką. Dobroć, którą mam na myśli, nie jest przywilejem...

- Jeżeli na tej liście ma się znaleźć Messalina, to omiń mnie - jęknęła.

- Takaś skromna, Kalpurnio? To zbyt cenne. Mówię szczerze, co myślę.

- Nie, to nie skromność.

- Nie rozumiem.

A wtedy Kalpurnia powoli, z widoczną przykrością zaczęła mówić.

- Nie chcę cię urazić, Klaudiuszu, nie chcę za żadną cenę, ale powiem

otwarcie, co miałam na myśli. Słuchaj! Gdyby Cypros była typową księżniczką z dynastii Herodów, a więc krwiożerczą, ambitną, nie uznającą skrupułów ani żadnych hamulców moralnych; gdyby Bryzeida była typową pokojówką - wulgarną, skłoną do kradzieży, leniwą, przebiegłą; gdyby Kalpurnia była typową prostytutką - próżną, żądną użycia, rozpustną i chciwą, wykorzystującą swoją urodę dla panowania nad mężczyznami i doprowadzania ich do ruiny, i gdybyś postawił teraz te trzy najgorsze typy kobiece w jednym rzędzie, jako właściwe przykłady...

- To co wtedy? Do czego zmierzasz? Mówisz tak wolno...

- To wtedy, Klaudiuszu, miałbyś prawo dołączyć do nas Messalinę i powiedzieć: „To jest zrozumiałe samo przez się.”

- Czy ja oszalałem, czy ty?

- Ja nie.

- Więc o co ci chodzi? Dlaczego napadasz na Messalinę? I to w tak gwałtowny, niepojęty sposób. Nie możemy być dłużej przyjaciółmi, Kalpurnio.

- Wyjechałeś dziś z Rzymu o siódmej rano. Czy tak?

- Tak jest. I cóż stąd!

- Ja wyjechałam o dziesiątej. Robiłam z Kleopatrami różne zakupy. Byłam też świadkiem ślubu. Trochę dziwna godzina jak na ślub, nieprawdaż? Pogodę mieli wspaniałą. Wszyscy byli pijani. Widok niezrównany. Cały dom przybrany winoroślą i bluszczem. Wszędzie zwieszały się olbrzymie grona winnych jagód. Przed domem stały kadzie i prasy do wina. Miało to przedstawiać święto winobrania.

- Czyj to był ślub? Mów do rzeczy!

- Messaliny z Siliuszem. Czy nie dostałeś zaproszenia? Messalina z tytsem w dłoni tańczyła w największej kadzi, jaką mogła znaleźć. Ubrana była w krótką białą tunikę, poplamioną winem, jedną pierś miała obnażoną i rozpuszczone włosy. W porównaniu z innymi kobietami odziana była nawet całkiem przyzwoicie. Inne miały na sobie tylko skóry lamparcie, gdyż

przedstawiały bachantki. Bachusem był Siliusz. Na głowie miał wieniec z bluszczu, a na nogach koturny. Był nawet jeszcze bardziej pijany niż Messalina. Kiwał głową w takt muzyki i śmiał się jak Baba.

- Przecież... przecież... - wyjąkałem osłupiały - ślub miał się odbyć dopiero dziesiątego. Miałem przewodniczyć ceremonii.

- Doskonale sobie dali radę bez ciebie. Następnie poszłam do pałacu, do Narcyza. Kiedy mnie zobaczył, ucieszył się. „Chwała bogom - zawołał - że jesteś tutaj! Jesteś jedyną osobą, której on uwierzy.” A Pallas...

- Nie wierzę! Nie chcę wierzyć!

Kalpurnia klasnęła w ręce.

- Kleopatro! Narcyzie! Wbiegli oboje i padli mi do nóg.

- Czy mówię prawdę o tym ślubie? - spytała.

Przytaknęli.

- Ale ja wiedziałem o tym - broniłem się słabym głosem. - To nie jest prawdziwy ślub. To tylko żart, który ułożyliśmy do spółki z Messalina. Po obrzędzie nie nastąpią pokładziny. To całkiem niewinny żart.

- Siliusz chwycił w pół Messalinę - odezwał się Narcyz - podniósł jej tunikę i zaczął całować po nagim ciele w obecności całego towarzystwa. Messalina piszczala i śmiała się. Potem zaniósł ją do małżeńskiej sypialni, wyszli stamtąd dopiero po jakiejś godzinie; znowu jedli, pili i tańczyli. To nie jest niewinny żart, Cezarze. Na pewno.

- Jeśli się nie pospieszysz - dorzuciła Kalpurnia - Siliusz zostanie panem Rzymu. Kogo tylko spotkałam, opowiadał mi, że Messalina i Siliusz przysięgli na swoje głowy wskrzesić republikę. Mają za sobą cały senat i większość gwardii.

- Muszę dowiedzieć się wszystkiego - odpowiedziałem. - Nie wiem, czy mam śmiać się, czy płakać. Czy obsypać was złotem, czy kazać tak osmagać, aż mięso odleci od kości.

Opowiedzieli mi więc wszystko. Musiałem jednak wpierw obiecać

Narcyzowi, że mu przebaczę, że tak długo ukrywał występki Messaliny. Kiedy po raz pierwszy dowiedział się o nich, byłem tak szczęśliwy w swojej nieświadomości, że postanowił oszczędzić mi ciężkiego rozczarowania, dopóki występki Messaliny nie zagrożą mojemu życiu i całości ojczyzny. Miał nadzieję, że albo ona się poprawi, albo ja na własną rękę odkryję te zdróżności. Lecz czas upływał. Messalina stawała się coraz bezwstydniejsza i coraz trudniej było otworzyć mi oczy. Zresztą, prawdę mówiąc, nie mógł uwierzyć, żebym nie wiedział o tym, o czym wiedział cały Rzym, wszystkie prowincje i nieprzyjaciele nasi za granicą państwa. Wydawało się niemożliwością, żeby w ciągu dziewięciu lat nie doszła mnie wieść o bezeceństwach, jakich świat przedtem nie widział.

Potworną i groteskową historię opowiedziała mi Kalpurnia. Podczas mego pobytu w Brytanii Messalina posłała wezwanie cechowi prostytutek, proponując, aby wybrał współzawodniczkę, która by stanęła z nią do konkursu na ilość kochanków przyjętych w ciągu jednej nocy. Cech wysłał osławioną Sycylianę Scyllę, której przydomek pochodził od nazwy przepastnego wiru znajdującego się w Cieśninie Mesyńskiej. Konkurs odbył się w pałacu; o świcie Scylla przyjąwszy dwudziestu pięciu mężczyzn musiała uznać się za pokonaną - Messalina z brawurą kontynuowała zawody, aż słońce wzbilo się całkiem wysoko. Co gorsza, na zawody te zaprosiła znaczną część znakomitego towarzystwa rzymskiego, a wielu mężczyzn wzięło w konkursie czynny udział; za namową Messaliny stanęły też do konkursu trzy czy cztery kobiety.

Jak August, kiedy mu przed pięćdziesięciu laty wnukowie Gajusz i Lucjusz opowiedzieli podobną historię o swojej matce Julii, tak i ja teraz siedziałem i płakałem, zasłoniwszy twarz rękoma; i tak jak August zapewniałem, że nie słyszałem nigdy najlżejszej aluzji, że nie powstał we mnie nigdy cień podejrzenia, że bez zastrzeżeń wierzyłem, iż Messalina jest najczystsza kobietą w Rzymie. I podobnie jak August miałem ochotę zamknąć się w samotności na wiele dni i nie oglądać nikogo. Nie pozwoliliby mi jednak

na to. W mózgu dźwięczały mi z bezsensownym natręctwem dwa wiersze komedii muzycznej, którą przed kilku dniami odegrała trupa Mnesterera:

*Żaden płacz tak nie boli, żaden tak nie śmieszy,
Jak gdy płacze mąż stary, że mu żonka grzeszy.*

Zwróciłem się do Narcyza:

- Pierwsze igrzyska, które oglądałem w swoim życiu, odbyły się na cześć mojego ojca. Pamiętasz? Występowałem wtedy razem z Germanikiem jako współprzewodniczący i widziałem hiszpańskiego gladiatora, któremu rękę z tarczą odrąbano od łopatki. Znajdował się blisko mnie i widziałem dokładnie jego twarz. Jakże ogłupiałą miał minę, kiedy spostrzegł, co się stało. Amfiteatr ryczał ze śmiechu. I mnie też wydawało się to bardzo pocieszne... Niech mi bogi wybaczą!...

Rozdział XXIX

Niewiele brakowało, a byłbym zemdlą. W tym momencie wszedł do pokoju Ksenofont i siłą wlał mi do ust jakiś napój. Nie wiem dokładnie, co to było, ale nagle poczułem, że wraca mi jasność myśli, że znów panuję nad sobą, a równocześnie ogarnęła mnie zupełna obojętność na wszystko, co się działo. Miałem wrażenie, że niby jakiś bóg stąпам po obłokach. Napój musiał widać podziałać też na źrenice, gdyż Narcyza, Kalpurnię i Pallasa widziałem stojących w odległości jakich dwudziestu kroków, choć w rzeczywistości stali tuż obok mnie.

- Poślijcie po Turaniasza i Getę - rozkazałem.

Turaniasz był po śmierci Kalona naczelnym dyrektorem urzędu aprowizacyjnego, a Geta, jak już wspomniałem, sprawował do spółki z Kryspinem dowództwo nad gwardią.

Przesłuchałem obydwu, zaręczony wprzód, że mogą bez żadnych obaw wyznać całą prawdę. Potwierdzili wszystko, co słyszałem od Narcyza, Kleopatry i Kalpurnii, i opowiedzieli mi jeszcze więcej. Kiedy zwróciłem się do Gety prosząc, by szczerze powiedział, dlaczego dotychczas milczał, odparł:

- Pozwól, Cezarze, że zacytuję przysłowie, które tak często słyszę z twoich ust: „Bliższa koszula ciału niż suknia.” Czy pamiętasz, jaki los spotkał mego poprzednika Justusa, kiedy chciał ci donieść o tym, co dzieje się w skrzydle pałacowym zamieszkanym przez twoją żonę?

Tak samo odpowiedział na to pytanie Turaniasz. Przypomniał też, jak niedawno zdobywszy się na odwagę przyszedł do mnie ze skargą, że bloki bazaltu, stanowiące własność państwową, które sprowadzono w celu wybrukowania Rynku Bydłęcego, Messalina kazała zabrać i użyć przy budowie nowej kolumnady w ogrodach Lukulla. Z gniewem zapowiedziałem wówczas, żeby nigdy nie ważył się kwestionować prawomocności postępów lub

rozporządzeń Messaliny, wszystko bowiem, co czyni, czyni na moje zlecenie lub przynajmniej za moją zgodą. W przyszłości z tego rodzaju zażaleniami niech zwraca się wprost do cesarzowej.

Turaniusz miał rację. To były moje własne słowa.

Kalpurnia, która podczas przesłuchiwania Gety i Turaniusza kręciła się niespokojnie w głębi pokoju, rzuciła mi teraz błagalne spojrzenie. Zrozumiałem, że chce ze mną mówić w cztery oczy, bezzwłocznie więc poleciłem pozostawić nas samych.

- To na nic się nie zda, mój kochany, wypytywać wciąż różnych ludzi o jedno i to samo - rzekła ze słodką powagą. - Sprawa jest całkiem jasna. Bali się powiedzieć ci przedtem prawdę, gdyż wiedzieli, jak bardzo kochasz Messalinę i jak jej wierzysz, ale przede wszystkim dlatego, że jesteś cesarzem. Byłeś bardzo naiwny i bardzo nieszczęśliwy, ale teraz trzeba myśleć o ratunku. Jeżeli natychmiast nie przystąpisz do działania, wydasz tym samym na nas wszystkich wyrok śmierci. Każda minuta jest cenna. Musisz bezzwłocznie się udać do obozu gwardii i oddać pod opiekę wiernych ci oddziałów. Nie wierzę, żeby gwardziści mieli cię opuścić dla Messaliny i Siliusza. Może przekupiono jednego czy dwu pułkowników lub kapitanów, ale reszta jest ci oddana ciałem i duszą. Wyślij natychmiast konnych posłańców do Rzymu z wiadomością, że jesteś już w drodze, aby ukarać Siliusza i żonę. Wyślij nakazy aresztowania wszystkich uczestników wesela. Prawdopodobnie ten środek wystarczy, aby zażegnać rewolucyjną burzę. Całe towarzystwo będzie zbyt pijane, by mogło być niebezpieczne. Ale śpiesz się!

- O tak! - zawołałem. - Pośpieszę się!

Przywołałem Narcyza.

- Czy masz zaufanie do Gety?

- Prawdę mówiąc, Cezarze, nie całkiem.

- A do tych dwóch kapitanów, których ma tu z sobą?

- Do nich? Owszem. Ale ci ludzie nie grzeszą zbytnią inteligencją. -

Kryspin bawi na urlopie w Bajach. Komuż więc oddać komendę nad gwardią, jeżeli nie możemy ufać Gecie?

- Zaproponowałbym Kalpurnię, gdyby była mężczyzną. Skoro jednak jest kobietą, najlepiej będzie powierzyć dowództwo mnie. Jestem wprawdzie tylko wyzwolencem, ale oficerowie gwardii znają mnie i lubią. Zresztą mianujesz mnie tylko na jeden dzień.

- A więc dobrze, jednodniowy generale Narcyzie. Powiedz Gecie, że z polecenia lekarza ma się na dzisiejszy dzień położyć do łóżka. Daj mi pióro i pergamin. Poczekaj. Którego dziś mamy? Piątego września? Oto pełnomocnictwo. Pokaż je kapitanom. Niech bezzwłocznie ruszą z ludźmi do Rzymu i aresztują całą weselną kompanię. Tylko żadnych gwałtów, zapowiedz im to. Chyba w obronie własnego życia. Gwardię powiadom, że przybywam licząc na jej wierność i że wierność ta nie zostanie bez nagrody.

Z Ostii do Rzymu jest około osiemnastu mil, lecz żołnierze na szybkich dwukołowych wózkach przebyli tę przestrzeń w półtorej godziny. Wesele zostało tuż przed ich przybyciem przerwane. Powód do tego dał niejaki Wetiusz Walens, jeden z poprzednich kochanków Messaliny, wciąż jeszcze cieszący się jej względami. Towarzystwo znajdowało się obecnie w tym stadium, kiedy po pierwszym szale pijaństwa każdy czuje się trochę znużony i nie wie, co z sobą począć. Ogólna uwaga skupiła się na Wetiuszu Walensie, który objąwszy pień dorodnego dębu zaczął rozmawiać z mieszkającą wewnątrz drzewa driadą, która niby to mu odpowiadała niedosłyszalnym dla nikogo innego szeptem. Z rozmowy tej wynikało, że driada zakochała się w Wetiuszu i proponuje mu schadzkę na wierzchołku dębu. Wetiusz zgodził się wreszcie, a przyjaciele utworzyli piramidę, po której miał się wspinać na pierwszy grubszy konar. Piramida dwukrotnie wśród krzyków i śmiechów załamała się, lecz Wetiusz nie dał za wygraną i za trzecim razem siadł okrakiem na konarze. Stamtąd powoli i ostrożnie wspinał się coraz wyżej, aż wreszcie zniknął w gęstym listowiu u wierzchołka drzewa. Weselnicy stali wkoło drzewa i z zadartymi w górę

głowami czekali, co nastąpi. Ciekawość była tym większa, że Wetiusz słynął z aktorskich zdolności. Nasłuchujących doleciał wkrótce niby krzyk rzekomo przerażonej driady, potem odgłos pocałunków i piski. Po chwili nastąpiła cisza. Wreszcie znieczepiliwieni goście zaczęli wołać:

- Hop, hop! Wetiuszu! Co tam robisz?

- Oglądam świat. Stąd rozpościera się przepiękny widok na Rzym. Driada siedzi mi na kolanach i wskazuje miejsca godne uwagi. Nie przeszkadzajcie. Tak, to gmach senatu. Och, co za głuptas z ciebie! O tym przecież wiedziałem. A to Colchester! Co znowu? Zdaje ci się! Z tego drzewa nie widać przecież tak daleko. Myślisz pewnie o obozie gwardii? Nie, dalibóg! To rzeczywiście Colchester. Widzę tablicę, wokół której kręcą się na niebiesko pomalowani Brytowie. Na tablicy jest wypisane czyjeś imię. Co to znaczy? Co oni robią? Nie do wiary! Oddają boską cześć Klaudiuszowi! - (A potem naśladując mój głos:) - Dlaczego? Chciałbym wiedzieć dlaczego? Czy już nie ma nikogo innego, komu można by oddawać cześć boską? Czy inne bóstwa nie chciały przepłynąć Kanału? Nie biorę im tego za złe. Sam dostałem tam strasznej morskiej choroby.

Audytorium było zachwycone. Lecz na górze znów się zrobiło cicho i zaczęto wołać:

- Hop, hop, Wetiuszu! A co teraz robisz?

Wetiusz znowu zaczął naśladować mój głos.

- Przede wszystkim, jeśli nie chcę odpowiadać, to nie będę. Nie możecie mnie do tego zmusić. Jestem wolnym człowiekiem. Może nie? Jestem jednym z najwolniejszych ludzi w Rzymie.

- Powiedz, powiedz, Wetiuszu!

- Patrzcie! Patrzcie! A do tysiąca furii i padalców! Puść mnie, driado, puść mnie zaraz! Nie! Nie! Innym razem. Nie mogę teraz tracić czasu na faramuszkę. Muszę zejść. Driado, weź ręce.

- Co się stało, Wetiuszu?

- Ratuj się, kto żyw! Zobaczyłem okropną rzecz. Stójcie! Trogulu,

Prokulu! Pomóżcie mi najpierw zejść. Reszta niech wieje!

- Co się stało? Co się stało?

- Straszliwa burza nadciąga od Ostii. Ratuj się, kto żyw!

Tłum się rozpierzchnął. Wśród śmiechów i krzyków goście z obłubieńcami na czele wysypali się z ogrodu na ulicę. W parę sekund później przygalopowali moi żołnierze. Messalinie jak również Siliuszowi udało się ująć. Z weselników zaaresztowano bez trudności około dwustu osób, a później złapano jeszcze pięćdziesiąt, chwiejnym krokiem zdążających do domu. Messalinie towarzyszyło początkowo z dwadzieścia lub więcej osób, ale kiedy padł okrzyk: „Gwardia idzie”, zostały zaledwie dwie czy trzy; reszta rozbiegła się pośpiesznie. Messalina przeszła pieszo przez miasto aż do ogrodów Lukulla. Przez ten czas zdołała trochę wytrzeźwieć. Postanowiła bezzwłocznie udać się do Ostii wraz z dziećmi, żeby w razie potrzeby przyszły w sukurs jej błaganiom. Liczyła, że jak tylekroć, tak i tym razem nie oprę się sile jej wdzięków. Była jeszcze wciąż boso i w kostiumie winiarki, toteż biegnąc ulicami zwracała na siebie uwagę przechodniów; goniły za nią gwizdy i docinki. Z ogrodów wysłała do pałacu służącą po dzieci, sandały, trochę biżuterii i czystą suknię. O rodzaju uczucia, jakie istniało między Messalina i Siliuszem, może najlepiej świadczyć fakt, że na pierwszy sygnał grożącego niebezpieczeństwa jedno nie pamiętało o drugim. Messalina postanowiła poświęcić kochanka memu gniewowi, a Siliusz udał się na Rynek do swoich sędziowskich obowiązków, jak gdyby nic nie zaszło. Był do tego stopnia pijany, iż wyobrażał sobie, że będzie mógł udać całkiem niewinnego. Kapitanów, kiedy zjawili się, aby go aresztować, spytał ze zdziwieniem, czego sobie życzą. Czyż nie widzą, że jest zajęty? W odpowiedzi nałożyli mu na ręce kajdanki i zaprowadzili do koszar.

Tymczasem wrócił Witeliusz i mój kolega z okresu drugiego konsulatu, Cecyria. Obydwaj towarzyszyli mi do Ostii i po złożeniu ofiary poszli odwiedzić znajomych mieszkających w drugiej stronie miasta. Opowiedziałem im pokrótce, co zaszło, i oświadczyłem, że bezzwłocznie wracam do Rzymu.

Licząc, dodałem, na ich poparcie i życząc sobie, by byli obecni przy tym, jak będę wymierzał sprawiedliwość, aby mogli zaświadczyć, że wymierzyłem ją bezstronnie, bez względu na stan i stanowisko winnych. Boskie działanie narkotyku trwało w dalszym ciągu. Mówiłem spokojnie, płynnie i jak mi się zdaje, rozsądnie. Witeliusz i Cecyna słuchali, z początku milczeli, a na twarzach ich malowało się osłupienie i niepokój. Kiedy zapytałem ich o zdanie, Witeliusz zdobył się tylko na wykrzykniki pełne zdumienia i przerażenia.

- Doprawdy! Że też odważyli się ci to wszystko opowiadać! Istna potworność! Co za podła zdrada!

Cecyna wtórował mu tylko. Zameldowano, że pojazd gotowy, i równocześnie wszedł do pokoju Narcyz. Poleciałem mu poprzednio opracować akt oskarżenia przeciw Messalinie i do tej chwili zajęty był badaniem świty, aby ustalić możliwie pełną liczbę cudzołożnych stosunków cesarzowej. Zachował się w tej sytuacji, jak przystało na dzielnego człowieka i wiernego sługę.

- Cezarze - rzekł - bądź łaskaw uprzedzić twoich znakomitych przyjaciół, jakie stanowisko zajmuję na dzień dzisiejszy, i pozwól mi zająć miejsce w twoim powozie. Oderwane słowa, jakie wyrzucają z siebie dostojny Witeliusz i dostojny Cecyna, można równie dobrze rozumieć jako potępienie twej małżonki, jak i jej oskarżycieli. Dopóki obaj dostojni panowie nie wypowiedzą jasno i uczciwie swego zdania, moim obowiązkiem jako komendanta gwardii jest zostać przy twoim boku.

Byłem zadowolony, że Narcyz pojechał ze mną. W drodze opowiadałem Witeliuszowi o uroku Messaliny, o tym, jak ją kochałem i jak podle mnie oszukiwała. Westchnął i rzekł:

- Trzeba mieć kamienne serce, żeby nie zmiękło wobec takiej piękności.

Wspomniałem też o dzieciach. Witeliusz i Cecyna wzdychali unisono.

- Biedne, biedne maleństwa! Trzeba im oszczędzić cierpienia.

Wreszcie Witeliusz zdecydował się wyraźniej wypowiedzieć swe zdanie.

- To niemożliwe! - zawołał. - Ktoś, kto miał tyle uwielbienia i szczerego

sentymencie dla Messaliny co ja, nigdy nie uwierzy tym ohydny oskarżeniom. Choćby nawet ich prawdziwość potwierdzało przysięgą tysiąc najwiarygodniejszych świadków.

Cecyna mu przytaknęła i dodała:

- W jakich nikczemnych i smutnych czasach żyjemy!

W tym momencie nowy wypadek pomieszał im szyki. Na drodze ukazały się dwa pojazdy. Pierwszym był powóz państwowy zaprzęgnięty w siwki. Siedziała w nim moja serdeczna przyjaciółka Wibidia, najstarsza i najbardziej czczona z westalek, osoba osiemdziesięcioletnia. Dalej toczył się dwukołowy wózek z wielkim, żółtą farbą wymalowanym L, które zdradzało jego przynależność do taboru ogrodów Lukulla. W wózku tym, którym normalnie zwożono ziemię lub śmiecie, siedziała teraz Messalina z dziećmi. Narcyzowi, który miał lepszy wzrok ode mnie, wystarczył jeden rzut oka, by zorientować się w sytuacji.

- Westalka Wibidia nadjeżdża na twoje spotkanie, Cezarze - rzekł zatrzymując nasz powóz. - Będzie się na pewno wstawiać za Messalina. Ta poczciwina ma złote serce i niech jej bogi dadzą wszystko najlepsze, ale na miłość boską, nie czyn, Cezarze, żadnych przedwczesnych obietnic. Pamiętaj, jak potwornie zostałeś oszukany, i pamiętaj, że Messalina z Siliuszem zdradzili Rzym. Oczywiście, bądź uprzejmy dla Wibidii, ale niczego nie obiecuj. Patrz, oto akt oskarżenia. Przeczytaj nazwiska. Tutaj, jedenaste od góry - Mnester. Czy wybaczysz to? A tu Cezoninusz. Co powiesz o Cezoninuszu? Co powiesz o kobiecie, która zadaje się z tego rodzaju kreaturą?

Wziąłem pergamin, a Narcyz wychodząc z powozu szepnął coś do ucha Witeliuszowi. Nie dosłyszałem słów, ale skutek był taki, że Witeliusz przez cały czas nieobecności Narcyza milczał jak zaklęty. Podczas gdy przy świetle latarni czytałem akt oskarżenia, Narcyz pobiegł na spotkanie Wibidii i Messaliny, która też wysiadła z wózka i podążyła ku niemu. Messalina zdążyła już jako tako wytrzeźwieć.

- Hop, hop! Klaudiuszu! - zaczęła wołać z daleka. - Żebyś ty wiedział, jaki ze mnie głuptas! Nigdy byś temu nie uwierzył.

Po raz pierwszy w życiu głuchota oddała mi przysługę. Nie usłyszałem tych słów i nie poznałem jej głosu. Narcyz tymczasem przywitał uprzejmie Wibidię, nie chciał jednak pozwolić Messalinie podejść bliżej. Messalina zaczęła wymyślać, plunęła mu w twarz i usiłowała przedostać się do mnie. Narcyz zawołał wtedy dwu sierzantów z mojej świty i kazał im odwieźć Messalinę z powrotem do stolicy. Messalina krzyczała, jakby ją mordowano lub gwałcono. Tym razem doleciał mnie jej krzyk: podniosłem głowę znad pergaminu i spytałem, co się stało.

- Jakaś kobieta z tłumu krzyknęła - rzekł Witeliusz. - Chwyciły ją, zdaje się, bóle porodowe.

Wibidia z wolna zbliżała się do naszego pojazdu; za nią pośpieszał zdyszany Narcyz. Zdążył mnie już wyręczyć i wytłumaczyć Wibidii, że wobec jawnej i bezprzykładnej rozpusty, jaką uprawiała Messalina, wstawiennictwo świątobliwej i poważnej westalki staje się niedopuszczalne; że ośmieszyłaby się tylko prosząc, żebym darował życie tej rozpustnicy i zdrajczynie w jednej osobie.

- Przecież wy, westalki, nie chcecie chyba, aby pałac stał się znowu jak za czasów Kaliguli zamtuzem? - argumentował. - Nie pochwalacie chyba występków, jakich w łożu arcykapłana dopuszczają się tancerze i gladiatorzy przy czynnym współudziale żony tegoż arcykapłana?

Te słowa zaniepokoiły Wibidię. Messalina przyznała się jej tylko do „niedyskretnej poufałości” z Siliuszem.

- Nic o tym nie wiedziałam - odrzekła. - Muszę jednak nalegać, żeby arcykapłan nie powziął zbyt pośpiesznie jakiejś decyzji, nie rozlał krwi niewinnych i nie potępił nikogo, nie dając mu możliwości obrony; żeby wziął pod uwagę honor swego domu i swoje obowiązki względem bogów...

- Wibidio, Wibidio - przerwałem jej. - Droga, kochana przyjaciółko! Postąpię z Messalina tak, jak każe sprawiedliwość. Możesz na to liczyć.

- To nie ulega wątpliwości - wtrącił Narcyz. - Całe niebezpieczeństwo polega na tym, żeby arcykapłan nie okazał swej byłej małżonce pobłażliwości, na jaką nie zasłużyła. Niełatwo mu osądzić tę sprawę z bezstronnością, jaka przystoi jego urzędowemu stanowisku. Nie utrudniaj mi, proszę, jeszcze bardziej sytuacji. Czy wolno, czcigodna Wibidio, najuprzejmiej zaproponować, abyś pożegnała nas i pośpieszyła wziąć udział w nabożeństwie ku czci Wenerzy? Tak pięknie potrafisz je urządzać.

Wibidia pożegnała się i ruszyliśmy dalej. Jak mi opowiadano później, Messalina w pobliżu miasta powtórnie usiłowała się zobaczyć ze mną, lecz przeszkodzili jej sierżanci. Próbowwała też wysłać Brytanika i małą Oktawie, by się wstawili za nią, lecz Narcyz zobaczył dzieci z daleka i dał im znak ręką, żeby zawróciły. Dumiałem w milczeniu nad listą kochanków Messaliny. Narcyz zatytułował ją: „Tymczasowy i niezupełny spis jawnych cudzołóstw Walerii Messaliny od pierwszego roku jej małżeństwa z Tyberiuszem Klaudiuszem Augustem Germanikiem Brytanikiem, Ojcem Ojczyzny, Arcykapłanem itd., itd. aż do dnia dzisiejszego.” Spis ten zawierał czterdzieści cztery nazwiska. Później liczba ich doszła do stu pięćdziesięciu sześciu.

Narcyz pchnął gońca z rozkazem, aby wózek z Messalina skierować z powrotem do ogrodów Lukulla; przepisy ruchu zabraniały tego rodzaju pojazdom kursować o tej porze po ulicach. Messalina zrozumiała, że jest pobita, i pozwoliła zawieźć się do ogrodów. Dzieci odesłano do pałacu. Matka Messaliny, Domicja Lepida, chociaż w ostatnich czasach stosunki między obiema kobietami wyraźnie ochłodziły, miała odwagę przybyć i towarzyszyć córce na wózku.

Narcyz polecił naszemu woźnicy zajechać przed dom Siliusza. Kiedy powóz zatrzymał się, spytałem zdziwiony:

- Przecież to chyba nie tutaj? To dom rodziny Azyniuszów.

- Po wygnaniu Azyniusza Gallusa Messalina zakupiła go i podarowała w prezencie ślubnym Siliuszowi - wyjaśnił Narcyz. - Wejdzmy, a przekonasz się

na własne oczy.

Weszliśmy. Panujący nieporządek świadczył o odbytym weselu. Wszędzie zwieszały się girlandy winorośli, stały kadzie i prasy do wina; na stołach znajdowały się resztki uczty, na podłodze pełno było płatków róż, wieńców i skór lamparcich; wszystko obryzgane winem. W domu znaleźliśmy tylko starego odźwiernego i do nieprzytomności spitą parkę, spoczywającą w czułym uścisku na łożu w małżeńskiej sypialni. Kazałem oboje aresztować. Mężczyzną był porucznik sztabu nazwiskiem Montan, kobieta okazała się siostrzenicą Narcyza; była to młoda mężatka, matka dwojga dzieci. Najboleśniej zaskoczył mnie fakt, że w domu znajdowało się mnóstwo sprzętów z pałacu, i to nie tylko stanowiących część wyprawy Messaliny, ale także i takich, które należały do mnie i były spuścizną po dawnych Klaudiuszach i Juliuszach. Między innymi posągi przodków, maski rodowe, srebra i tak dalej. Trudno było o lepszy dowód właściwych zamiarów Messaliny! Wsiedliśmy z powrotem do powozu i ruszyliśmy do koszar gwardii. Narcyz, który swą siostrzenicę bardzo kochał, jechał chmurny i przygnębiony. Witeliusz i Cecyna natomiast, doszedłszy do przekonania, że bezpieczniej będzie uwierzyć temu, co widzieli na własne oczy, zaczęli mnie obecnie podjudzać do zemsty. Gdy dojechaliliśmy do obozu, cała dywizja zgodnie z rozkazem Narcyza stała w ordynku naokoło mównicy. Było już całkiem ciemno i tylko mównicę oświetlało kilka smolnych pochodni. Wyszedłszy na podwyższenie wygłosiłem krótką mowę. Głos mój brzmiał wyraźnie, ale dobywał się jakby nie ze mnie, a z jakiejś dali.

- Żołnierze gwardii! Przyjaciele! Zmarły król Herod Agryppa, który pierwszy polecił mnie wam na cesarza i nakłonił senat, aby wybór wasz potwierdził, przestrzegał mnie w ostatniej rozmowie, którą z nim miałem, a później w ostatnim liście, który odeń otrzymałem, bym nikomu nie wierzył; nikt bowiem nie jest godny mego zaufania. Nie wziąłem tej przestrogi dosłownie do serca. Nie przestałem pokładać zupełnego zaufania w żonie mej Walerii Messalinie. Dzisiaj wiem, że była rozpustnicą, że kłamała, kradła, mordowała,

że zdradzała Rzym. Nie znaczy to jednak, że i wam już przestałem ufać, żołnierze gwardii. Jesteście jedynymi ludźmi, którym w dalszym ciągu ufam. Jesteście żołnierzami i obowiązek wasz pełnicie bez wahania. Wierzę, że i obecnie staniecie po mojej stronie i pomożecie mi zgnieść spisek, który pod pozorem wskrzeszenia Rzeczypospolitej zawiązała moja była żona Messalina do spółki ze swym gachem, konsulem wybranym, Gajuszem Siliuszem. Czerw sprzysiężenia przedostał się już do senatu, który zrobaczywał tak jak wnętrzności barana, złożonego dziś przeze mnie na ofiarę boskiemu Augustowi. Nigdy chyba nie widzieliście bardziej złowróźbnej ofiary. Płonę ze wstydu opowiadając wam o tych sprawach, a przecież mówię tylko prawdę. Pomóżcie mi uporać się z moimi, a raczej naszymi nieprzyjaciółmi... A jeśli po śmierci Messaliny ożenię się jeszcze raz, możecie mnie rozsiekać na kawałki i głową moją zabawić się w piłkę, jak głową Sejana. Trzy razy żonaty, trzy razy nieszczęśliwie. No cóż, chłopcy? Powiedzcie otwarcie swe zdanie, gdy go inni moi przyjaciele nie chcą wypowiedzieć.

- Zabij ich, Cezarze! Bez pardonu! Udusić sukę! Na pohybel im wszystkim! My z tobą, Cezarze! Dostyc już tej wspaniałomyślności! Oćwiczyć ich!

Gwardia wyraziła swój pogląd w sposób nie nasuwający najmniejszych wątpliwości.

Kazałem więc przyprowadzić mężczyzn i kobiety, których poprzednio zamknięto w obozie, a ponadto aresztować stu dziesięciu mężczyzn wymienionych w akcie oskarżenia jako kochankowie Messaliny i cztery kobiety możnego stanu, które z namowy Messaliny prostytuowały się podczas owej osławionej pałacowej orgii. Proces zakończył się w trzy godziny. Było to możliwe dzięki temu, że z trzystu sześćdziesięciu oskarżonych wszyscy, z wyjątkiem trzydziestu czterech, przyznali się do zarzuconych im występków. Tych, których jedynym przewinieniem było wzięcie udziału w weselu, skazałem na wygnanie. Dwudziestu rycerzy, sześciu senatorów i pułkownik gwardii,

którzy przyznali się albo do cudzołóstwa, albo do udziału w spisku, prosili mnie o natychmiastową śmierć. Prośbę ich spełniłem. Wetiusz Walens chciał okupić swoje życie podaniem nazwisk przywódców spisku. Odpowiedziałem, że obędę się bez jego pomocy, i kazałem zaprowadzić go na miejsce kaźni. Montan, którego nazwisko znajdowało się na liście Narcyza, dowodził, że Messalina, pokazując rozkaz z moim podpisem i pieczęcią, zmusiła go do spędzenia z sobą jednej nocy, po której zresztą już jej się znudził. Messalina widać musiała wyłudzić ode mnie podpis odczytując całkiem co innego, niż było napisane w rozkazie. „Tylko by oszczędzić twój wzrok, kochanie” - jak miała zwyczaj mówić. Zwróciłem Montanowi uwagę, że w każdym razie nie dostał ode mnie rozkazu uczestniczenia w weselu ani popełnienia cudzołóstwa z siostrzenicą Narcyza, i porucznik powędrował na stracenie.

W nocy piętnaście osób, które widać obawiały się aresztowania, popełniło samobójstwo. Wśród nich było trzech moich bliskich przyjaciół: rycerze Trogus, Kotta i Fabiusz. Przypuszczam, że Narcyz wiedział o ich winie, lecz ze względu na przyjaźń nie zamieścił nazwisk na liście, ograniczając się tylko do przesłania ostrzeżenia.

Mnester nie przyznał się do winy i przypominał mi moje własne słowa. Kazałem mu przecież, mówił, być we wszystkim posłusznym Messalinie. Musiał więc jej słuchać, choć czynił to wyraźnie wbrew woli. Zsunąwszy szatę pokazał na plecach pręgi od bicia.

- Oto jak mnie potraktowała, Cezarze, tylko dlatego, że wrodzona wstydlivość nie pozwalała mi spełniać twych rozkazów z taką gorliwością, jakiej sobie życzyła.

Żał mi było Mnestera. Swego czasu ocalił zebranych w teatrze widzów, wśród których żołnierze niemieccy sprawiliby potworną rzeź. A zresztą czego się można spodziewać po aktorze? Ale Narcyz przerwał moje wahanie.

- Nie oszczędzaj go, Cezarze - rzekł. - Przypatrz się dokładnie tym pręgom. Skóra wcale nie została przecięta. Każdy, kto trzeźwo patrzy, orientuje

się, że razy nie miały wyrządzić istotnej krzywdy, to wchodziło w zakres ich występnych praktyk.

Mnester złożył pełen wdzięku ukłon, swój ostatni ukłon w życiu, i wypowiedział zdanie, którym zwykle kończył przedstawienie:

- Jeżeli zabawiłem was, czuję się tym samym wynagrodzony, jeżeli uraziłem, raczcie wybaczyć.

W milczeniu wyprowadzono aktora na śmierć. Z wyjątkiem tych, których niewinność rzucała się w oczy, dwóm tylko ludziom okazałem łaskę: Lateranowi i Cezoninuszowi. Pierwszy, oskarżony o przynależność do spisku, nie przyznał się do niczego. Ponieważ dowody winy okazały się wątpliwe, a Lateran był siostrzeńcem Aulusa Plaucjusza, pozwoliłem mu skorzystać z przywileju wątpliwości. Cezoninusz, chociaż pochodził z dobrej rodziny, za czasów Kaliguli prostytuował się jak zwykła dziewczka i był tak obmierzłą kreaturą, że stracenie go wraz z innymi gachami byłoby zbyt wielką dla nich obelgą. Darowałem mu życie. Co się stało z nim później, nie wiem, w każdym razie w Rzymie więcej się już nie pokazał. Umorzyłem też sprawę przeciw siostrzenicy Narcyza; wuj rzetelnie zasłużył sobie na te względy.

Bachantki, wciąż jeszcze odziane tylko w lamparcie skóry, kazałem powiesić. Zacytowałem przy tej sposobności słowa Ulissesa z Odysei, kiedy zabierał się do ukarania nikczemnych służebnic Penelopy:

O, zaprawdę miecza ani ruszę!

Zbyt on czysty na brudne tych wszetecznic dusze,

Co mnie i matce mojej umknęły dość sławy,

A z gachami trzymały sojusz tak nieprawy!

Powieszono je w stylu homeryckim; dwanaście w jednym rzędzie na grubej linie okrętowej, naciągniętej za pomocą kołowrotu między dwoma drzewami. Nogi ich zwisały tuż nad ziemią. Kiedy skonały, zacytowałem:

Coś nogami zadrgały w powietrzu, lecz krótko.

A Siliusz? A Messalina? Siliusz nie usiłował się bronić. Zapytany, przyznał się do winy i w krótkich słowach opowiedział, jak go uwiodła Messalina.

- Ale dlaczego? - nalegałem. - Dlaczego? Chcę wiedzieć. Czy rzeczywiście kochałeś się w niej? Czy rzeczywiście uważałeś mnie za tyrana? Czy rzeczywiście zamierzałeś wskrzesić Rzeczpospolitą, czy po prostu na moje miejsce zostać cesarzem?

- Nie potrafię tego wyjaśnić, Cezarze - odparł. - Może to były czary. Wmówiła we mnie, że jesteś tyranem. Nie miałem zdecydowanego planu. Z wieloma przyjaciółmi rozmawiałem o wolności. A wiesz, jak to bywa: kiedy się rozmawia o wolności, wszystko się wydaje tak cudownie proste. Wszystkie bramy stoją otworem, wszystkie przeszkody walą się, wszystkie głosy wydają okrzyki radości.

- Czy pragniesz żyć? Czy chcesz, żebym cię oddał pod kuratelę rodziny jako niepoczytalnego wariata?

- Chcę umrzeć.

Messalina przysłała mi z ogrodów list. Pisała, że mnie kocha jak zawsze i ma nadzieję, że nie wezmę jej wybryku zbyt poważnie do serca; przecież właśnie wystrychnęła Siliusza na dudka, tak jak to wspólnie ułożyliśmy. Doprawdy, nie ma sensu gniewać się lub być zazdrosnym, jeśli pijana do nieprzytomności przekroczyła trochę granice żartu. „Nic nie czyni mężczyzny tak obmierzłym w oczach kobiety jak zazdrość.”

List doręczono mi w czasie rozprawy. Narcyz jednak nie chciał, żebym odpowiadał przed końcem procesu. Mogę co najwyżej potwierdzić formalnie odbiór, odpisując na przykład: „List pani otrzymałem. W odpowiednim czasie poświęcimy mu miłościwie naszą cesarską uwagę.” Twierdził, że dopóki przewód sądowy nie wykaże winy w całej rozciągłości, będzie lepiej nie zobowiązywać się do niczego na piśmie. Nie powinienem podtrzymywać w

Messalinie nadziei, że uda się jej uniknąć śmierci i że wszystko skończy się tylko na wygnaniu na jakąś małą wyspę.

W odpowiedzi na potwierdzenie odbioru poprzedniego listu Messalina przysłała sążnistą epistołę gęsto zroszoną łzami. Czyniła mi wymówki, że jej pełne miłości słowa spotkały się z tak chłodnym przyjęciem. Spowiadała się teraz ze swoich, jak je nazywała, „głupstw”; w żadnym jednak wypadku nie przyznawała się do cudzołóstwa. Zaklinała mnie na dzieci, abym jej przebaczył i pozwolił na nowo rozpocząć życie jako wiernej i sumiennej żonie; obiecywała być dla wszystkich kobiet przyszłych wieków wzorem matrony rzymskiej. List podpisany był pieszczotliwym zdrobnieniem. Doręczono mi go w czasie, kiedy przesłuchiwałem Siliusza.

Narczyz dostrzegł w moich oczach łzy.

- Cezarze, nie ustępuj! - przestrzegał. - Kto się urodził kurwą, kurwą pozostanie. Takiej kobiety nic nie poprawi. Ona nie postępuje z tobą uczciwie nawet w tym liście.

- Nie - oświadczyłem. - Nie ustąpię. Człowiek nie może dwukrotnie umrzeć na tę samą chorobę.

Odpisałem znowu: „List pani odebrano. We właściwym czasie poświęcimy mu miłościwie naszą uwagę.”

Ostatnie już głowy spadały, kiedy przyszedł trzeci list, pełen irytacji i pogroźek. Messalina pisała, że daje mi sposobność załatwienia całej sprawy przyzwoicie i z godnością. Jeżeli natychmiast nie przeproszę jej za zuchwałość, brak serca i niewdzięczność, z jaką ją potraktowałem, poniosę tego konsekwencje. Cierpliwość jej jest już na wyczerpaniu. Wszyscy oficerowie gwardii, wszyscy wyzwolenicy z wyjątkiem Narcyza i większość senatu stoi skrycie po jej stronie. Wystarczy jednego słowa, a zostanę aresztowany i wydany na pastwę jej zemsty. Narcyz przeczytawszy ten list roześmiał się serdecznie.

- Stwierdza przynajmniej, że jestem ci wierny, Cezarze. Ale teraz

ruszajmy do pałacu. Musisz chyba konać z głodu. Od śniadania nie miałaś nic w ustach.

- Ale przecież muszę odpisać...

- Ten list nie zasługuje na odpowiedź.

Wróciliśmy tedy do pałacu, gdzie czekał na nas doskonały posiłek. Wermut (polecany przez Ksenofonta jako środek uspokajający), ostrygi, gęś pieczona z moimi ulubionymi grzybami i sosem cebulowym (wedle przepisu, który moja matka dostała od matki Heroda, Bereniki), duszona cielęcina z chrzanem, bukiet z jarzyn, placek z jabłkami przyprawiony miodem i goździkami, a wreszcie afrykańskie melony. Jadłem żarłocznie, a kiedy skończyłem, poczułem, że ogarnia mnie senność.

- Mózg mój odmawia już posłuszeństwa - odezwałem się do Narcyza. - Jestem do cna wyczerpany. Zastąpisz mnie do rana. Mam wrażenie, że powinienem uprzedzić tę nędznicę, że ma się tu jutro stawić i oczyścić z zarzutów. Przyrzekłem Wibidii, że Messalina odpowiadać będzie przed prawomocnym sądem.

Narcyza nic na to nie odrzekł, a kiedy w chwilę potem zasnąłem na sofie, skinął na pułkownika gwardii.

- Rozkaz cesarski - rzekł. - Udasz się z sześcioma ludźmi do pawilonu w ogrodach Lukulla i wykonasz tam wyrok śmierci na Waleni Messalinie, żonie cesarza.

Następnie polecił Euodowi wyprzedzić gwardię i oznajmić Messalinie o przyjsciu żołnierzy, aby mogła popełnić samobójstwo. Jeśli, jak należało się spodziewać, skorzysta z tej sposobności, mógłbym nie wiedzieć, że rozkaz stracenia wydano bez mego upoważnienia. Euod zastał Messalinę leżącą krzyżem na podłodze i szlochającą. Obok klęczała matka.

- Och, kochany Klaudiuszu! - zawołała Messalina nie podnosząc głowy. - Jestem taka nieszczęśliwa i tak mi strasznie wstyd.

Euod zaśmiał się.

- Omyłka, łaskawa pani. Cesarz śpi w pałacu i kazał, by go nie budzono. Przed udaniem się na spoczynek polecił pułkownikowi gwardii odciąć ci tę piękną głowę. To własne słowa jego cesarskiej mości. „Utnij tę piękną głowę, pułkowniku, i przynieś mi ją na włóczni” - powiedział. Usłyszawszy to pobiegłem, żeby cię uprzedzić. Jeżeli jesteś równie odważna, jak piękna, radzę ci skończyć z sobą, nim zjawią się żołnierze. Przyniosłem sztylet, na wypadek gdybyś nie miała broni pod ręką.

- Nie ma już żadnej nadziei, moje biedne dziecko - odezwała się Domicja Lepida. - Nic cię już nie ocali. Jedyne, co ci zostało, to zakończyć życie z godnością. Weź sztylet i zabij się.

- To nieprawda - łkała Messalina. - Klaudiusz nigdy by się nie ważył pozbyć się mnie w ten sposób. To pomysł Narcyza. Och, ten podły, wstrętny Narcyz! Dawno powinnam go była usunąć.

Na chodniku przed domem załomotały ciężkie, miarowe kroki. „Pluuuton, stać! Do nogi broń!” Drzwi rozwarły się gwałtownie i w progu, na tle nocnego nieba, zarysowała się sylwetka pułkownika. Stał z założonymi rękoma, nie mówiąc ani słowa.

Messalina krzyknęła na ten widok i chwyciła sztylet. Lękliwie przesunęła palcem po ostrzu.

- Czyż może żołnierze mają zaczekać, aż pójde po oselkę i naostrzę go? - zapytał ironicznie Euod.

- Odwagi, dziecko - zachęcała Domicja Lepida. - To nie będzie bolało, tylko wbij szybko.

Pułkownik z wolna rozkrzyżował ramiona, prawa jego ręka spoczęła na rękojeści miecza. Messalina przyłożyła sztylet najpierw do szyi, później do piersi.

- Nie mogę, matko, nie mogę... Boję się!

W ręku pułkownika zamigotała stal: postąpił trzy długie kroki naprzód. Miecz przeszył pierś Messaliny.

Rozdział XXX

Tuż przed zaśnięciem dostałem od Ksenofonta nową porcję „olimpijskiej mikstury” i upajające podniecenie, które zaczęło słabnąć w czasie kolacji, ogarnęło mnie z powrotem. Jakiś nieostrożny niewolnik upuścił stos talerzy; na ten hałas zerwałem się nagle, głośno ziewnąłem i przeprosiłem towarzystwo za swoje niegrzeczne zachowanie.

- Nie ma o czym mówić, Cezarze! - odkrzyknięto chórem. Przyszło mi na myśl, że mają przerażone miny. Strach zdradza nieczyste sumienie, pomyślałem.

- Czy mi kto przypadkiem nie dosypał do wina trucizny? - zażartowałem.

- Cóż znowu! - zaprotestowali.

- Co miał znaczyć ten żart Wetiusza Walensa na temat Colchester? - spytałem Narcyza. - Że niby Brytowie oddają mi cześć boską, czy jak?

- To wcale nie był żart, Cezarze. Wiesz dobrze, że w Colchester miała stanąć świątynia boga Klaudiusza. Oddają ci tam cześć już od początku lata, ale dopiero niedawno dowiedziałem się o tym.

- A więc to dlatego tak dziwnie się czuję. Po prostu przemieniłem się w boga. Ale jak to się mogło stać? Pamiętam przecież treść listu wysłanego do Ostoriusza; pisałem, że zgadzam się na poświęcenie w Colchester świątyni boskiego Augusta, jako dziękczynnego wotum za zwycięstwo, którego użyczył orężowi rzymskiemu w Brytanii.

- Ostoriusz popełnił widać dość naturalną pomyłkę i zrozumiał, że August znaczy ty sam, zwłaszcza iż wspomniałeś o zwycięstwie oręża rzymskiego w Brytanii. Boski August uznał Kanał za granicę imperium i dla Brytów imię jego w porównaniu z twoim nie posiada żadnego znaczenia. Tubyłcy, jak mnie informowano, odzywają się obecnie o tobie z największą, bogobojną czcią. Powstały już całe poematy o twoich grzmotach i błyskawicach, o mgle czarodziejskiej, o czarnych diabłach i potworach, z których jedne mają garby, a

drugie węże zamiast nosów. Z punktu widzenia polityki Ostoriusz postąpił zupełnie słusznie poświęcając ci świątynię. Szkoda tylko wielka, że uczynił to bez twojej zgody, a nawet, jak przypuszczam, wbrew twojej woli.

- A więc jestem obecnie bogiem, co? Herod Agryppa zawsze mi przepowiadał, że na tym skończę, a ja mu zawsze mówiłem, że gada głupstwa. Mam wrażenie, że pomyłka nie da się już naprawić. Jak sądzisz, Narcyzie?

- Wywarłoby to na mieszkańcach prowincji bardzo złe wrażenie.

- Mniejsza z tym. W tym stanie ducha nic mnie to nie obchodzi. A cóż byście powiedzieli, gdybym kazał tej nędzniczcy stawić się tutaj na sąd, i to natychmiast? Czuję się wolny od wszelkich marnych ludzkich namiętności. Mógłbym jej nawet przebaczyć.

- Ona już nie żyje - rzekł Narcyz cichym głosem. - Kazałeś sam, żeby przestała żyć.

- Nalej mi - rzekłem podstawiając kubek. - Nie pamiętam, żebym wydał taki rozkaz. Ale w tej chwili wszystko mi jedno. Ciekawym, jakiego rodzaju bogiem jestem. Stary Atenodor wykładał mi kiedyś stoicką naukę o bogu; bóg wedle stoików stanowi doskonałą, okrągłą całość nie podlegającą żadnym zdarzeniom ani przypadkom. Zawsze przedstawiałem sobie boga jako olbrzymią dynię. Cha! Cha! Cha! Jeżeli będę w dalszym ciągu jadł tę gęs i pił wino, zostanę udyniony. Więc Messalina nie żyje! Piękna kobieta, przyjaciele, ale zła. Co?

- Tak jest, Cezarze. Piękna, ale zła.

- Zanieście mnie do łóżka i pozwólcie zasnąć błogosławionym snem bogów. Wszak jestem teraz bogiem, co?

Położyli mnie do łóżka. Leżałem aż do południa następnego dnia. Tymczasem odbyło się posiedzenie senatu, na którym uchwalono: po pierwsze - złożyć mi powinszowanie z powodu stłumienia rewolty; po drugie - imię Messaliny usunąć ze wszystkich znajdujących się w archiwum dokumentów i ze wszystkich napisów na budynkach publicznych, a posągi jej zniszczyć. Po

południu wstałem i zabrałem się do zwykłej pracy. Wszyscy byli niezmiernie uniżeni i grzeczni, a kiedy udałem się na posiedzenie sądu, nikt po raz pierwszy od lat nie próbował mi przeszkadzać ani zapędzać w kozi róg. Raz dwa uporałem się ze sprawami.

Następnego dnia zacząłem rozwijać niebywałe plany podboju Niemiec. Narcyz słysząc, że gadam od rzeczy, domyślił się, że to skutek zaaplikowanego mi przez Ksenofonta lekarstwa. Ponieważ zaś chodziło tylko o to, abym spokojnie zniósł wiadomość o śmierci Messaliny, przestrzegł lekarza, żeby nie ponawiał dawki. Olimpijski nastrój stopniowo przeminął i poczułem się znów tragicznie zwykłym śmiertelnikiem. Pierwszego ranka, kiedy się obudziłem wolny od działania narkotyku i zszedłem na śniadanie, spytałem:

- A gdzie jest moja żona? Gdzie Messalina? Przecież zawsze jada ze mną śniadanie, chyba że ma „migrenę”.

- Messalina nie żyje już, Cezarze - odpowiedział Euod. - Zginęła przed paru dniami na twój rozkaz.

- Nie wiedziałem o tym - rzekłem słabym głosem. - To znaczy, zapomniałem.

A potem nagle zalała mnie fala wstydu, smutku, grozy; załamane się całkowicie. Zacząłem coś bredzić o mojej drogiej, najdroższej Messalinie, oskarżałem siebie o jej zamordowanie, twierdziłem, że cała wina leżała po mojej stronie, jednym słowem, zachowywałem się jak skończony wariat. Wreszcie, opanowawszy się trochę, kazałem przygotować lektykę.

- Do ogrodów Lukulla - zawołałem i tragarze zanieśli mnie tam.

Usiadłem na ławce pod cedrem. Przed oczyma miałem gładką, zieloną powierzchnię murawy, a dalej w dół szeroką bukową aleję. W krąg nie było żywej duszy, z wyjątkiem niewidocznych zresztą posterunków straży niemieckiej, porozstawianych w gąszczu. Rozpostarłszy na kolanach długi zwój papiirusu i ująwszy pióro zacząłem z namaszczeniem pisać. Mam ten zwój teraz pod ręką i przepisuję dokładnie swoją „spowiedź”, ujętą, już sam nie wiem

dlaczego, w formę „tercetów”, jakich tradycyjnie używają brytyjscy druidzi w poematach dydaktycznych.

*Miłuję wolność, tyranii nienawidzę,
Zawszem był dobrym rzymskim patriotą,
A Rzymu duch jest duchem republiki.*

*Jestem - ironio losu! - cesarzem
I władzę dzisiaj sprawuję monarszą.
Od trzech pokoleń nie ma republiki.*

*W domowych wojnach szczyła republika.
August wprowadził monarchiczny ustrój.
Ustrój, co miał być złem tylko przejściowym.*

*August już nie mógł złożyć później władzy.
W myślach Augusta zwałem hipokrytą
I pozostałem republikaninem.*

*Tyberiusz został cesarzem. Wbrew woli?
Czy bał się, aby wróg nie schwycił władzy?
Może go Liwia do rządów zmusiła?*

*Za jego rządów żyłem na uboczu,
Krwiożerczym dla mnie mój stryj był tyranem
I pozostałem republikaninem.*

*Wtem Kaligula czyni mnie konsulem.
Pragnąłem tylko do ksiąg swych powrócić.*

Z despotów wschodnich brał wzór Kaligula.

*Że byłem dobrym rzymskim patriotą,
Więc powinienem zabić Kaligulę.
A grałem błazna, by ocalić skórę.*

*Kasjusz - ten może i był patriotą.
Złamał przysięgę, zabił Kaligulę.
Przynajmniej pragnął wskrzesić republikę.*

*Nie przywrócono rzeczypospolitej.
Nowego tylko wybrano cesarza,
Był nim Tyberiusz Klaudiusz - ja byłem.*

*Gdybym odmówił, zabito by mnie.
Odmową wojnę wznieciłbym domową.
Było to tylko koniecznością chwili.*

*Skazałem na śmierć Kasjusza Chereę,
Nie mogłem władzy raz przyjętej złożyć,
Zostałem drugim Augustem.*

*Jak August, ciężko, ciężko pracowałem,
Jak August, państwu wzmacnił i rozszerzył,
Jak August, byłem absolutnym władcą.*

*Świadomie nigdy nie był hipokrytą.
Łudziłem się, że działałem w dobrej myśli,
W tym roku chciałem wskrzesić republikę.*

Augusta pokonała hańba Julii.

„Obym bezzenny umarł i bezdzietny!”

A Messalina była karą dla mnie.

Trza było raczej paść niżeli rządzić.

I raczej umrzeć niżli słuchać namów.

W najlepszych chęciach zostałem tyranem.

Na Messaliny podłość byłem ślepy,

W moim imieniu niewinnych traciła.

Wszak nieświadomość zbrodni nie tłumaczy.

Lecz czyż ja jeden tylko byłem winny?

Czyli nie zgrzeszył równie cały naród,

Co o cesarską mą zabiegał łaskę?

Jeśli szlachetny plan wprowadzę w życie,

Jeżeli wskrzeszę teraz republikę,

Czyż rzeczywiście Rzym mi będzie wdzięczny?

„Wiesz, jak to jest, gdy mowa o wolności.

Wszystko się wtedy zda cudownie proste.

I wszystkie bramy zdają się otwarte.”

Z wyjątkiem tych, co sami pragną rządzić

Zadowoleni są wszyscy z mych rządów.

Nikt nie chce wskrzesić rzeczypospolitej.

*O, jakąż słuszność miał Azyniusz Pollion:
„Musi być gorzej, nim może być lepiej.”
Postanowiłem, że wyrzeknę się planu.*

*Żaby w sadzawce chciały raz mieć króla.
Jowisz im przeto zesłał króla Kija.
Byłem tak ślepy i głuchy jak patyk.*

*Żaby w sadzawce chciały znów mieć króla.
Jowisz im zesłał tym razem bociana.
Zbyt krótko żył bociani Kaligula.*

*A jam był zbyt dobry i łaskawy.
Ja naprawiłem błędy poprzedników
I pogodziłem Rzym i świat z monarchią.*

*Rzym musi znów się korzyć przed Cezarem
Szalonym, krwawym, kapryśnym, rozpustnym.
Król musi znowu być bocianim królem.*

*Ziem zrobił ostrze stępując tyranii,
Pomyłka moja wymaga naprawy,
Gwałtownych środków gwałtowne zło żąda.*

*Lecz jam jest przecie starym królem Kijem,
Pływam bezwładnie po wodzie sadzawki,
Niech muł jad swojej zgnilizny wyzionie.*

Dotrzymałem postanowienia. Od tamtej chwili sumiennie go

dotrzymywałem.

Nie pozwoliłem na nic, co by mu się sprzeciwiało. Początkowo było to bardzo bolesne. Wspomniałem Narcyzowi, że czuję się jak ów gladiator hiszpański, któremu odrąbane ramię nagle razem z tarczą upadło na arenę. Ale ów Hiszpan umarł z tej rany, a ja żyję. Słyszeliście może, że ludzie, którzy utracili rękę lub nogę, skarżą się czasami w chłodny wilgotny dzień na ból w członku, którego już nie mają. Może to być ból całkiem określony, jak na przykład ostre rwanie w wielkim palcu lub tępy ból w kolanie. Bardzo często czuję coś podobnego. Niepokoję się tym, co Messalina powie o jakiejś mojej decyzji, albo martwię się, że znudzi ją długa i nieciekawa sztuka w teatrze. Kiedy zagrzmie, przypominam sobie, jak lękała się grzmotów.

Najbardziej bolesne było - może domyśliliście się - podejrzenie, że Brytanik i Oktawia nie są moimi dziećmi. Co do Oktawii, to byłem przekonany, że nie jest moim dzieckiem. Nawet cienia podobieństwa do rodziny Klaudiuszów nie można się było w niej dopatrzeć. Po tysiąc razy przyglądałem się dziewczynce, aż nagle zrozumiałem, kto mógł być jej ojcem - komendant straży niemieckiej z czasów Kaliguli. W rok po amnestii skompromitował się do tego stopnia, iż stracił stanowisko i staczając się coraz niżej, został wreszcie gladiatorem. Przypominam sobie teraz, że Messalina wyblągała życie dla tego nikczemnika, gdy leżał na arenie mając przytknięty do gardła trójząb sieciarza, który go pokonał. Cała widownia domagała się jego śmierci. Ludzie gwizdali i wyli, a wszystkie kciuki skierowane były ku ziemi. Darowałem mu życie, gdyż Messalina mówiła, że odmowa może ujemnie wpłynąć na stan jej zdrowia. Było to tuż przed przyjściem na świat Oktawii. W kilka miesięcy później łotrowi wypadło walczyć z tym samym sieciarzem i zginął na miejscu.

Brytanik był rasowym chłopcem i Klaudiuszem w każdym calu. Przyszła mi jednak do głowy przerażająca myśl, że zbyt przypomina Germanika. Czyżby jego ojcem był Kaligula? Nie miał nic z usposobienia Kaliguli, lecz przecież cechy dziedziczne przeskakują czasem jedno pokolenie. Myśl ta prześladowała

mnie długi czas. O ile mogłem, unikałem widoku chłopca, choć równocześnie wystrzegałem się wszystkiego, co by pozwoliło przypuszczać, iż nie uważam go za syna. Oboje z Oktawia musieli się niemało nacierpieć w tym czasie. Byli bardzo przywiązani do matki, o której występkach zakazałem w ich obecności wspominać. Mieli wiedzieć tylko, że matka nie żyje. Wkrótce jednak dowiedzieli się, że stracono ją na mój rozkaz, i oczywiście czuli do mnie dziecięcą niechęć. Nie czułem się na siłach, aby opowiedzieć im całą prawdę.

Wspomniałem już, że wyzwoleńcy moi tworzyli silnie zorganizowany związek i że obraza jednego z nich była uważana za obrazę wszystkich, a kogo jeden z nich wziął pod swą opiekę, ten był popierany przez wszystkich. Dawali pod tym względem dobry przykład senatowi, ale senat nie chciał pójść w ich ślady; dzielił się na różne stronnictwa, które łączyła tylko wspólna służalczość w stosunku do mnie. Toteż teraz, w trzy miesiące po śmierci Messaliny, kiedy trzech moi główni ministrowie, Narcyz, Pallas i Kalist, zaczęli między sobą współzawodniczyć, z góry się umówili, że ten, któremu uda się zyskać moje uznanie, nie wykorzysta swej silniejszej pozycji dla pogwałcenia dwu pozostałych. Nigdy byście się nawet nie domyślili, co było przedmiotem tego współzawodnictwa. Chodziło o wyszukanie dla mnie żony! „Lecz przecież - zawołacie - upoważniłeś gwardzistów do rozsiekania cię w kawałki, jeśli jeszcze raz się ożenisz.” Tak jest. Uczyniłem to, lecz wówczas nie myślałem jeszcze o brzemiennej w skutki decyzji, którą powziąłem pod cedrem w ogrodach Lukulla. Teraz więc zmieniłem pierwotny zamiar, a kiedy raz coś postanowię, nie cofam się nigdy.

Wyzwoleńcom pozwoliłem zgadywać, kto może być obiektem moich matrymonialnych zamiarów. Zrobiłem to dla zabawy, gdyż w rzeczywistości o wyborze tej szczęśliwej już zadecydowałem. Skierowałem ich na tę drogę, mówiąc pewnego wieczora przy kolacji:

- Wypadałoby pomyśleć trochę o Oktawii, a nie zostawiać jej pod opieką żon wyzwoleńców. Biedne dziecko. Kazałem powiesić wszystkie służebne,

które znały ją od niemowlęctwa i umiały się z nią obchodzić. A trudno wymagać, żeby zajęła się nią moja córka. Antonia od śmierci własnego dziecka czuje się bardzo kiepsko.

- Oktawia potrzebuje matki - stwierdził Witeliusz. - Brytanik również. Choć niewątpliwie chłopiec łatwiej sobie sam daje radę niż dziewczynka.

Nic na to nie odpowiedziałem, więc wszyscy domyślili się, że planuję ponowne małżeństwo. A ponieważ wiadano, jak łatwo Messalina dawała sobie ze mną radę, każdy pomyślał, że gdyby udało mu się znaleźć dla mnie żonę, przyszłość miałby zapewnioną. Kolejno tedy Narcyz, Pallas i Kalist, kiedy nadarzyła się sposobność porozmawiania ze mną w cztery oczy, przedstawiali mi każdy swoją kandydatkę. Z prawdziwym zainteresowaniem obserwowałem, jak ta trójka wyteżala cały swój dowcip, żeby natrafić na właściwą kobietę. Kalist przypomniał sobie, że ktoś kiedyś na jakiejś uczcie za czasów Kaliguli oświadczył, iż najpiękniejszą kobietą cesarstwa jest żona namiestnika Grecji Lolia Paulina. Kaligula zmusił wtedy jej męża do rozwodu i sam ożenił się z Lolią. Odtwarzając w pamięci tę historię, Kalist przypomniał sobie wreszcie, że tym, który zwrócił uwagę cesarza na Lolię, byłem ja sam. A ponieważ w ciągu dziesięciu lat uroda Lolie nie poniosła żadnego uszczerbku, lecz przeciwnie, stała się może jeszcze doskonalsza, uważał, że nie zaryzykuje wiele proponując mi Lolię za żonę. Uczynił to zaraz następnego dnia. Uśmiechnąłem się tylko i przyrzekłem dokładniej zastanowić się nad tym projektem.

Z kolei Narcyz przystąpił do dzieła. Spytał mnie najpierw, kogo proponował Kalist, a gdy dowiedział się o Lolie Paulinie, zapewnił, że to kobieta zupełnie nieodpowiednia dla mnie. Nic ją nie obchodzi poza klejnotami.

- Nie wyjdzie nigdy z domu - mówił - nie mając na szyi szmaragdów, pereł, rubinów o wartości co najmniej trzydziestu tysięcy. I nigdy nie włoży dwa razy tej samej szmaty. A głupia jest i uparta jak młynarski muł. Jedyna, Cezarze, dla ciebie kobieta to Kalpurnia. Oczywiście nie możesz żenić się z prostytutką. To by wywarło złe wrażenie. Proponuję, żebyś dla formy ożenił się z jakąś

niewiastą wysokiego rodu, a w rzeczywistości żył z Kalpurnia, tak jak dawniej, i spędził w szczęściu resztę życia.

- A kto miałby być moją oficjalną żoną?

- Elia Petina. Jak pamiętasz, po rozwodzie z tobą wyszła powtórnie za mąż. Niedawno umarł jej mąż i pozostała w bardzo ciężkich warunkach. Ożenić się z nią byłoby prawdziwie dobrym uczynkiem.

- Ale jej język, Narcyzie!

- Nieszczęścia go poskromiły. Zaręczam, że tego języka, który by przyniósł zaszczyt największemu szczekaczowi sądowemu, nie usłyszysz więcej. Ostrzegę ją przed posługiwaniem się narzędziem mowy i przedstawię warunki małżeństwa. Jako twoja żona i matka twojej córki Antonii będzie traktowana z należyтым szacunkiem i otrzyma odpowiednio wysokie apanaże, musi jednak podpisać kontrakt, że w twojej obecności będzie się zachowywała jak głuchoniema i nie będzie zazdrosna o Kalpurnię. Cóż ty na to, Cezarze?

- Rozważę tę sprawę dokładnie, kochany Narcyzie.

Dopiero Pallas utrafił należycie, składając tym samym dowód albo niezwyklej głupoty, albo niezwyklej chytryści. Jak bowiem mógł przypuścić, że wpadłem na tak potworny pomysł jak ożenienie się z własną bratanicą, Agryppinillą! Po pierwsze, związek ten równał się kazirodztwu; po drugie, była matką Lucjusza Domicjusza, którego nie cierpiałem z całej duszy; po trzecie, po śmierci Messaliny Agryppinillą mogła śmiało pretendować do tytułu najgorszej kobiety w Rzymie. Nawet za życia Messaliny był to bardzo subtelny do rozstrzygnięcia dylemat, która z tych dwu kobiet jest gorsza. Obydwie były równie występne, a jeśli Messalina częściej zmieniała kochanków, nie popełniła przecież kazirodztwa z własnym bratem, jak to w moich własnych oczach czyniła Agryppinilla. Lecz Agryppinilla miała jedną wielką cnotę: była bardzo dzielna. W przeciwieństwie do Messaliny, która, jak to widzieliśmy, była tchórzem, Agryppinilla posiadała sporo odwagi. Pallas uczynił to samo zastrzeżenie co Narcyz: małżeństwo miało być tylko dla formy; poza tym

mógłbym mieć jaką chcę kochankę. Agryppinilla, twierdził, jest jedyną w Rzymie kobietą zdolną kontynuować polityczne dzieło Messaliny i okazać mi rzeczywistą pomoc.

Przyrzekłem dokładnie rozważyć tę sprawę.

Dałem swym wyzwolencom czas do wybadania, czy kandydatki ich byłyby skłonne ubiegać się o stanowisko cesarzowej, a następnie po paru dniach urządziłem całkiem formalne zebranie dyskusyjne, na które zaprosiłem prócz Kalista, Narcyza i Pallasa także Witeliusza w charakterze superarbitra. Narcyz popierając kandydaturę Elii podkreślał, że okaże się ona na pewno dobrą matką dla Oktawii i Brytanika, z którymi zresztą była spowinowacona, jako matka ich przyrodniej siostry, Antonii, a równocześnie do rodziny nie wejdzie nikt nowy.

Kalist zwrócił uwagę Narcyzowi, że Elia już bardzo dawno rozwiodła się ze mną; że gdybym się z nią powtórnie ożenił, wbiłaby się nadmiernie w pychę i prawdopodobnie usiłowałaby mścić się potajemnie na dzieciach Messaliny. Lolia przedstawia, jego zdaniem, znacznie odpowiedniejszy materiał na żonę; nie można zaprzeczyć, że jest to najpiękniejsza kobieta na świecie, a do tego również cnotliwa.

Pallas przeciwstawiał się obu. Elia, jego zdaniem, to stara megiera, a Lolia to pusta lalka, wyglądająca jak sklep jubilerski; każdego rana będzie chciała dostać nowy garnitur błyskotek na koszt skarbu. Nie. Jedyną możliwą kandydatką jest Agryppina („Agryppinilla” zwałem ją wedle dawnego przyzwyczajenia już tylko ja). Wraz z nią wejdzie w mój dom wnuk Germanika, który pod każdym względem zasługiwał na cesarską fortunę. Również pod względem politycznym ważne było nie dopuścić, aby kobieta młoda jeszcze, która, jak się okazało, może mieć dzieci, wyszła za mąż za kogoś innego i obcy dom uświetniła chwałą Cezarów.

Biedny Witeliusz pocił się potężnie, usiłując z moich oczu odgadnąć, która z trzech kandydatek przypada mi do gustu, i nie będąc pewny, czy przypadkiem nie byłoby lepiej zaproponować samemu jeszcze jakąś czwartą.

Przecież w końcu odgadł, a może naprowadził go na to porządek, w jakim udzieliłem głosu wyzwolencom. Odetchnął więc głęboko i rzekł:

- Pomiedzy trzema tak pięknymi, mądrymi, szlachetnie urodzonymi i pełnymi zalet kandydatkami wybór jest doprawdy trudny. Czuję się jak trojański pasterz, Parys, który miał wybrać między Junoną, Wenerą a Minerwą. Pozwólcie, że pozostanę przy tej trafnej analogii. Elia Petina to Junoną. Była już żoną cesarza i miała z nim dziecko, lecz jak Jowisz był niezadowolony z Junony, choć została matką Heby, gdyż dał mu się we znaki jej dokuczliwy język, tak cesarzowi sprzykrzyła się Elia Petina, ma dość już domowych swarów w tym naszym ziemskim niebie. Lolię Pauline okrzyknięto drugą Wenerą; Wenerze Parys przyznał nagrodę, racja. Ale Parys był młodym, naiwnym, łatwo dającym sobą powodować chłopcem, a piękność, która nie idzie w parze z inteligencją, nie przedstawia wielkiej wartości dla dojrzałego władcy, posiadającego równie wielkie doświadczenie w dziedzinie małżeństwa, jak rządów. Agryppinillę ze względu na jej mądrość można przyrównać do Minerwy. Urodą nie ustępuje, a przynajmniej niewiele, Lolii. Cesarzowa powinna zarówno pięknie wyglądać, jak odznaczać się wybitną inteligencją. Głosuję za Agryppinilla.

Udając, że dopiero teraz biorę pod uwagę tę kandydaturę, zawołałem:

- Ale przecie Agryppinilla jest moją bratanicą! Czyż mogę zaślubić bratanicę!

- Jeżeli życzysz sobie, Cezarze, bym poczynił pewne kroki w senacie, to podejmuję się uzyskać jego zgodę na to małżeństwo. Jest ono wprawdzie sprzeczne z przepisami, ale spróbuję posłużyć się podobną argumentacją, jakiej użyłeś swego czasu popierając wniosek o nadanie praw obywatelskich Autun. Wykażę, że rzymskie prawo małżeńskie stawało się z biegiem czasu coraz bardziej giętkie. Przed stu laty na przykład małżeństwa między ciotecznym czy stryjecznym rodzeństwem uważano za coś wręcz potwornego, obecnie związki takie są na porządku dziennym w najlepszych rodzinach. Dlaczegoż by stryj nie

mógł ożenić się z bratanicą? Żenią się tak Partowie, a przecież to kraj posiadający starą cywilizację. W rodzinie Herodów było więcej małżeństw między stryjami i bratanicami niż jakichkolwiek innych.

- Racja - rzekłem - Herodiada wyszła za mąż za swego stryja Filipa i uciekła później od niego z drugim stryjem. A córka Heroda Agryppy, Berenika, wyszła za mąż za swego stryja Heroda Polliona, króla Chalcydy, i teraz podobno utrzymuje kazirodcze stosunki ze swym bratem, młodym Agryppą. Dlaczego by Cezarowie mieli być bardziej krępowani niż Herodowie?

Witeliusz spojrział ze zdumieniem, lecz odpowiedział całkiem poważnie:

- Kazirodztwo między bratem i siostrą to całkiem inna sprawa.

Nie podjąłbym się jej bronić. Lecz możliwe, że w zaraniu naszych dziejów małżeństwa stryjów z bratanicami były dopuszczalne, gdyż w dawniejszej klasycznej literaturze nie spotykamy się nigdzie z oburzeniem z powodu małżeństwa Plutona z Prozerpiną.

- Pluton był bogiem - zauważyłem. - Ale, o ile się nie mylę, i ja obecnie jestem bogiem. A powiedz mi, Pallasie, co myśli o tym projekcie Agryppinilla.

- Będzie to dla niej wielki zaszczyt i wielka radość, Cezarze - odparł Pallas z trudem hamując zadowolenie. - Gotowa jest uroczyście przysiąc, że do końca swego życia będzie wierną i oddaną służącą cesarza, jego dzieci i Imperium Rzymskiego.

- Przyrowadź ją.

Sprowadzona Agryppinilla padła mi do nóg. Kazałem jej wstać i oświadczyłem, że jeśli tego pragnie, gotów jestem ją poślubić. Zamiast odpowiedzi uściskała mnie z całych sił i zapewniła, że jest to najszczęśliwszy moment jej życia. Uwierzyłem. Dlaczego bym nie miał wierzyć? Przecież przeze mnie będzie teraz mogła rządzić całym światem.

Agryppinilla nie była Messaliną. Messalina ulegała całkowicie zmysłom. Tę właściwość odziedziczyła po swym pradziadku Marku Antoniuszu. Agryppinilla była typem zupełnie odmiennym. Wdała się w swoją prababkę

Liwie - chodziło jej tylko o władzę. Wyzuta, jak już wspomniałem, z wszelkich zasad etyki seksualnej, nie szafowała bynajmniej swymi względami. Do łóżka brała tylko tych mężczyzn, którzy mogli się okazać użyteczni w jej planach politycznych. Tak na przykład mam wszelkie dane, aby przypuścić, że wynagrodziła Witeliuszowi rycerskie wystąpienie w jej obronie, i jestem głęboko przekonany (choć nic jej o tym nie powiedziałem), że Pallas był jej kochankiem. Sprawuje przecież nadzór nad prywatną szkatułą cesarza.

Witeliusz, urządziwszy wpierw przed senatem wielką demonstrację tłumy, wygłosił mowę. Oświadczył, że kiedy zaproponował mi wstąpienie w nowe związki małżeńskie, podzieliłem jego pogląd na polityczną konieczność tego kroku, wahałem się jednak z powzięciem ostatecznej decyzji, chcąc wpierw usłyszeć zdanie senatu i ludu. Przemówienie Witeliusza utrzymane było w staroświeckim stylu.

...I nie potrzeba długo szukać, ojcowie, aby przyjść do przekonania, że splendorem rodu Agryppina przyćmiewa wszystkie rzymskie białogłowy. A poza tym, czyż nie dała niewątpliwych dowodów swej płodności? Czyż zaletami ciała i duszy nie czyni zadość waszym wymaganiom, czyż ich nawet nie przewyższa? Jest to doprawdy niezwykle szczęśliwa okoliczność, że za sprawą bogów nieśmiertelnych ta idealna kobieta jest wdową i że bez trudności może wstąpić w związki małżeńskie z najmiłościvszym oblubieńcem, który zawsze był przykładem małżeńskich cnót.”

49 r. n.e.

Możecie się chyba domyślić, jak przyjęto owo przemówienie. Bez jednego głosu sprzeciwu senat uchwalił wniosek. Oczywiście nie z sympatii do Agryppiny, lecz z obawy, by się jej nie narazić, gdyż było już pewne, że zostanie moją żoną. Kilku senatorów w nadmiarze gorliwości oświadczyło nawet, że gdyby zachodziła potrzeba, są gotowi skłonić mnie do ugięcia się przed jednomyślną wolą całego kraju. Przyjąwszy na Rynku powitania i gratulacje udałem się do senatu, gdzie wystąpiłem z wnioskiem o przyjęcie

prawa dopuszczającego związki małżeńskie stryjów z bratanicami. Prawo uchwalono i na Nowy Rok wziąłem ślub z Agryppinillą. Jediną osobą, która poza mną skorzystała z nowego prawa, był pewien kapitan gwardii. Agryppinilla dobrze mu za to zapłaciła.

Złożyłem w senacie sprawozdanie dotyczące wzniesionej ku mej czci świątyni w Brytanii. Wyjaśniłem, że deifikacja mojej osoby nastąpiła przez pomyłkę, za którą moich współobywateli gorąco przepraszam. Może jednak będą łaskawi darować mi ten błąd i teraz ją zalegalizować. Sprostowanie bowiem i odwołanie byłoby ze względów politycznych niewskazane.

- Brytania - mówiłem z lekką ironią - leży tak daleko, a świątynia jest tak mała. Taka skromna wiejska świątynka z podłogą z ubitej gliny i słomianym dachem, podobna do tych, w których żyli rzymscy bogowie za republikańskich czasów, nim boski August przesiedlił ich do wspaniałych pałaców, które obecnie zajmują. Nie będziecie, mam nadzieję, mieć mi za złe tej świątynki, znajdującej się tak daleko; tego jednego czy dwu kapłanów starszków i skromnej od czasu do czasu ofiary. Nigdy doprawdy nie zamierzałem zostać bogiem. I daję wam słowo, że to tylko ten jeden, jedyny raz. - Zdaje się, że nikt z powodu tej świątyni na mnie nie sarkał.

Po ukończeniu spisu ludności nie przyjąłem już powtórnie urzędu cenzora, lecz mianowałem na to stanowisko Witeliusza. Była to przygrywka do zamierzonego wskrzeszenia Rzeczypospolitej. Po raz pierwszy od stu lat kontrola nad obyczajnością publiczną wymknęła się, z rąk Cezarów. Jednym z pierwszych czynów Witeliusza po załatwieniu sprawy mojego małżeństwa było usunięcie z senatu mego zięcia, młodego Sylanusa. Jako przyczynę podał kazirodztwo, którego dopuścił się Sylanus z własną siostrą, a rozwiedzioną żoną młodego Witeliusza, Kalwina. Syn jego, twierdził Witeliusz, zastał kiedyś oboje w łóżku i opowiedział mu o tym fakcie, wzięwszy wprzód słowo, że nikomu nie zdradzi tajemnicy. Obecnie jednak, gdy został cenzorem, sumienie nie pozwala mu dłużej milczeć. Zbadałem sprawę osobiście. Sylanus i Kalwina do winy się

nie przyznali, udowodniono ją jednak w sposób nie nasuwający wątpliwości. Rozwiązałem więc małżeństwo między Sylanusem a moją (czy raczej Messaliny) córką Oktawią i kazałem mu ustąpić z urzędu. Wprawdzie termin jego urzędowania kończył się za dwadzieścia cztery godziny, chcąc jednak dać wyraz swemu oburzeniu, na ten jeden dzień mianowałem kogoś innego. Oczywiście gdyby nie Agryppinilla, Witeliusz nigdy by się nie odważył wystąpić z oskarżeniem. Sylanus stał na drodze ambitnych planów Agryppinilli, która chciała, żeby jej syn Lucjusz został moim zięciem. Serdecznie lubiłem Sylanusa; był przecież potomkiem boskiego Augusta, odroczyłem więc sprawę dając tym samym do zrozumienia, iż spodziewam się, że popełni samobójstwo. Zwlekał przez pewien czas i ostatecznie do pożegnania ze światem wybrał dzień mojego ślubu. Wybór, trzeba przyznać, dość trafny. Kalwinę skazałem na wygnanie, a kolegium arcykapłanów poleciłem złożyć ofiary oczyszczalne w grocie Diany, wskrzeszając w ten sposób malowniczy obrzęd ustanowiony przez trzeciego króla rzymskiego, Tullusa Hostiliusza.

Baba i Auguryn cieszyli się w tym czasie wielkim powodzeniem. Parodiowali wszystko, co robiłem. Baba wprowadził do alfabetu trzy nowe litery: jedna zastępowała chrząknięcie, druga głośne cmokanie, trzecia wreszcie nieokreślony dźwięk samogłoskowy, pośredni między czkawką a pierdnięciem. Rozwiódł się z olbrzymią Murzynką, która odgrywała dotychczas rolę Messaliny, i wziął za żonę zezowatą albinoskę, swoją rzekomą siostrzenicę. Przeprowadził spis żebraków, złodziei i włóczęgów i usunął wszystkich, którzy splamili się w życiu choć raz uczciwą pracą. Jednym z następnych jego kawałów było zrezygnowanie z „cenzury” i oddanie tego „urzędu” do końca terminu Augurynowi. Termin upływał dokładnie za godzinę. Auguryn chełpił się, jakie to wspaniałe uczynki spełni przez tę godzinę, ponieważ jednak, jak twierdził, zegar Baby źle funkcjonuje, musi pójść po swój, który wskazuje godziny trzy razy dłuższe. Ale Baba naśladowując mój głos i gesty zacytował zdanie, które wypowiedziałem niedawno na posiedzeniu senatu i z którego

zresztą byłem dumny: „Łatwiej o zgodę między filozofami niż między zegarami” - i nie pozwolił towarzyszowi się oddalić. Auguryń twierdził z uporem, że Baba postępuje z nim nieuczciwie. Jeżeli ma być cenzorem, potrzeba mu na to pełnej godziny. Gwałtowna dyskusja trwała tak długo, że termin urzędowania upłynął i Auguryń nic nie zdołał uczynić.

- Wsadzę cię do kotła z wrzącą smołą, a potem będę smażyć cal po calu, zgodnie z przepisami malowniczego obrzędu ustanowionego przez króla Tullusa Hostiliusza - odgrażał się Auguryń.

Na moje życzenie Baba i Auguryń cieszyli się zupełną swobodą i mogli mnie przedrzeźniać do woli. Przedstawienia, które dawali za świątynią Merkurego, patrona złodziei i kuglarzy, cieszyły się wielkim powodzeniem. Agryppinilla czuła się bardzo dotknięta małżeństwem Baby z albinoską. Ku jej zdziwieniu powiedziałem stanowczo:

- Dopóki ja żyję, nikomu nie wolno nastawać na życie Baby. Zrozumiałaś? I Auguryńa również.

- Dopóki żyjesz. Dokładnie co do godziny - odpowiedziała Agryppinilla najbardziej niemiłym tonem, na jaki mogła się zdobyć.

W tym roku ogromnie rozmnożyły się zmije. Opublikowałem edykt, w którym zawiadamiałem ludność, że niezawodnym środkiem na ukąszenie zmił jest sok cisu. Auguryń i Baba skopiowali to rozporządzenie, dodając „i na odwrót”. Jest to podobno jedno z moich stałych powiedzonek.

Rozdział XXXI

Zbliżam się już do końca swej długiej opowieści. Pięć lat upływa od ślubu z Agryppinillą, lecz były to lata stosunkowo ubogie w zdarzenia i nie będę o nich bardziej szczegółowo pisał. Pozwoliłem rządzić Agryppinilli i wyzwoleńcom. Otwieram i zamykam usta, poruszam rękoma tak jak małe marionetki wyrabiane na Sycylii, ale głos nie jest moim głosem ani ruchy nie są moimi ruchami. Zacznę od razu od tego, że Agryppinilla okazała się wybitnie zdolną władczynią z tendencją do tyranii. Kiedy wchodzi do pokoju, gdzie znajduje się gromadka dygnitarzy, każdy się podrywa jak za naciśnięciem sprężyny i myśli, jak by się jej przypodobać. Nie potrzebuje udawać, że mnie kocha. Od razu dałem do zrozumienia, że ożeniłem się z nią tylko ze względów politycznych i że fizycznie jest dla mnie raczej odrażająca. Byłem całkiem otwarty.

- Chodzi o to - oświadczyłem - że jestem już zmęczony rządzeniem. Ożeniłem się z tobą mając na uwadze nie twoje serce, lecz głowę. Potrzeba kobiety, żeby kierować takim państwem. Nie mamy powodu do odgrywania względem siebie miłosnej komedii.

- To mi dogadza - przyznała. - Nie należysz do wymarzonych kochanków.

- Ty też, moja droga, nie jesteś tą Agryppinillą, która przed dwudziestu dwu laty po raz pierwszy wychodziła za mąż. Zakonserwujesz się jednak trochę dłużej, jeżeli w dalszym ciągu będziesz uprawiać masaż twarzy i brać kąpiele mleczne. Witeliusz twierdzi, że jesteś najpiękniejszą kobietą w Rzymie.

- I ty może się zakonserwujesz, jeśli nie będziesz doprowadzał do rozpaczki ludzi, od których jesteś zależny.

- Tak. Oboje przeżyliśmy resztę rodziny. Nie wiem doprawdy, jak to się stało. Uważam, że zamiast się kłócić, powinniśmy sobie wzajemnie wieszować.

- Powód do kłótni zawsze dajesz ty przez tę swoją, jak ją nazywasz,

„uczciwość”.

Agryppinilla nie mogła mnie zrozumieć, ale prędko doszła do wniosku, że chcąc postawić na swoim, nie potrzebuje się uciekać ani do pochlebstw, ani do kłamstwa, ani do straszenia mnie. Prawie każdą jej propozycję przyjmowałem. Ledwie mogła uwierzyć własnemu szczęściu, kiedy zgodziłem się zaręczyć Lucjusza z Oktawią; знаła przecież opinię, jaką miałem o jej synu. Nie mogła odgadnąć, dlaczego się tak łatwo zgodziłem. W każdym razie ośmieliło ją to i zaproponowała, żebym go adoptował. I to leżało w moich zamiarach. Najpierw wysłała Pallasę, żeby mnie wybadała. Pallas wywiązał się z misji bardzo taktownie. Zaczai w serdecznym tonie opowiadać o moim bracie Germaniku, o tym, jak stryj Tyberiusz adoptował go na żądanie Augusta, choć miał własnego syna Kastora. Rozwodził się szerzej nad braterską miłością, która zrodziła się później między Germanikiem i Kastorem, i nad rycerską opieką, jaką Kastor otoczył wdowę i dzieci po śmierci Germanika. Wiedziałem, do czego Pallas zmierza, i przyznałem, że lepiej mieć dwóch kochających synów niż jednego.

- Ale pamiętaj - zauważyłem - że to nie koniec historii. Germanika i Kastora zamordowano, a stryj Tyberiusz na starość, tak może jak ja to zrobię, mianował swymi dziedzicami inną kochającą się parę braci - Kaligulę i Gemellusa. Kaligula miał to szczęście, że był starszy. Kiedy stary cesarz umarł, objął sam władzę i zamordował Gemellusa.

Pallas na chwilę zapomniał języka w gębie. Kiedy usiłując z innej trochę strony podejść do tematu, zaczął mi opowiadać o serdecznej przyjaźni, jaka łączy obecnie Brytanika z Lucjuszem, przerwałem mu.

- Czy wiesz - zauważyłem, jakby całkiem bez związku - że rodzina Klaudiuszów, od Appiusza w prostej, męskiej linii, bez adopcji dożyła dzisiejszych czasów. Całe pięć pokoleń. Żaden inny ród w Rzymie nie może się tym pochlubić.

- Tak, Cezarze. W naszym zmiennym świecie tradycja rodu klaudyjskiego należy do najmniej zmiennych rzeczy. Lecz jak sam kiedyś mądrze

powiedziałeś, „wszystko ulega przeobrażeniu”.

- Dość tego owijania w bawełnę. Powiedz Agryppinilli, że jeśli życzysz sobie, bym Lucjusza mianował swym następcą razem z Brytanikiem, gotów jestem uczynić zadość temu życzeniu. A co się tyczy zmienności rzeczy tego świata, to na starość stałem się istotnie miękki jak wosk, możesz mnie ugniatać jak ciasto, nadziać, czym ci się żywnie podoba, upiec i podać jako placek cesarski.

50 r. n.e.

Adoptowałem Lucjusza. Używa teraz imienia Nerona. Niedawno ożeniłem go z Oktawią. Jednak na wszelki wypadek, aby uniknąć formalnego kazirodztwa, kazałem Witeliuszowi zaadoptować ją przedtem. W noc weselną całe niebo zdawało się płonąć. Lucjusz (albo Neron, jak się zwie teraz) robi, co może, żeby pozyskać sobie przyjaźń Brytanika. Ale Brytanik zdaje się go nie dostrzegać i wyniośle odrzuca wszelkie uprzejmości Nerona. Początkowo nie chciał nawet używać jego nowego imienia i zwał brata jak dawniej Lucjuszem Domicjuszem. Wmieszała się w to Agryppinilla i kazała mu przeprosić Nerona.

- Przeproszę, jeśli mi ojciec każe - odparł.

Kazałem mu przeprosić. W dalszym ciągu bardzo mało widuję Brytanika. Zwalczyłem już chorobliwe obawy i nie podejrzewam, żeby był bękartem Kaliguli; kocham go tak samo jak dawniej, ale ukrywam prawdziwe uczucia. Postanowiłem być starym królem Kijem i nic nie może stanąć na przeszkodzie temu postanowieniu. Opiekunem mego syna jest w dalszym ciągu Sosibiusz. Brytanik jada najprostsze potrawy i śpi na twardym żołnierskim łożku. Jazda konna, szermierka, inżynieria wojskowa i dawna historia Rzymu stanowią główne przedmioty jego nauki. Homera, Eniusza, Liwiusza zna jednak równie dobrze jak ja, a może nawet lepiej. Na wakacje Sosibiusz zabiera go do mego majątku pod Kapuą i tam uczy bartnictwa, hodowli bydła i rolnictwa. Na studiowanie retoryki i filozofii greckiej nie pozwoliłem.

- Starożytni Persowie uczyli swych synów celnie strzelać i mówić prawdę

- oświadczyłem Sosibiuszowi. - Naucz tego samego mego syna.

Narczyż kiedyś odważył się poddać krytyce ten system wychowania.

- Tego rodzaju wychowanie, Cezarze - rzekł - było dobre w owych dawnych czasach, o których lubisz cytować ten dwuwiersz:

*Pod dębem siedząc Romul
ze smakiem brukiew jadł.*

Albo jeszcze nawet w paręset lat później, kiedy

*Wezwany, by ojczyzny gromić wroga,
Cyncynat ruszył od pluga na bój.*

Lecz w naszym nowym, dziewiątym okresie rzymskiej historii podobne metody pedagogiczne są przestarzałe.

- Wiem co robię, Narczyzie - odparłem krótko.

Zupełnie inaczej chowany był Neron. Starłem się dlań o najodpowiedniejszego nauczyciela, jakiego tylko można było znaleźć na całym świecie. Musiałem po to cudo posłać na Korsykę. Domyślcie się. już prawdopodobnie nazwiska tego niezwykłego męża? Był nim Lucjusz Anneusz Seneka, stoik, pompatyczny mówca, bezwstydnym pochlebca, rozwiązywał erotoman i zboczeniec. Sam prosiłem w senacie o ułaskawienie go i przyzwanie do kraju. Mówiłem o tym, jak bez słowa skargi znosił cierpliwie ośmioletnie wygnanie, o surowym, trybie życia, który dobrowolnie sobie obrał, i o jego niezmiennym głębokiej lojalności wobec cesarskiego domu. Zdumienie Seneki musiało być tym większe, że niedawno popełnił dwa bardzo niezręczne kroki: wkrótce po opublikowaniu Pocieszenia Polibiusza Polibiusz został oskarżony i stracony. Seneka usiłował wtedy naprawić swój błąd i napisał panegiryk na cześć Messaliny. W kilka dni po opublikowaniu tego utworu równie haniebny

los spotkał Messalinę. Panegiryk trzeba było na gwałt wycofać. Agryppinilla chętnie przyjęła Senekę. Ceniła go jako nauczyciela retoryki i wzięła na siebie całą zasługę ulaskawienia.

Neron boi się matki. Słucha jej we wszystkim. Ona traktuje go z wielką surowością. Jest pewna, że po mojej śmierci będzie przez niego tak rządzić państwem, jak rządziła Liwia najpierw przez Augusta, a potem przez Tyberiusza. Patrząc dalej w przyszłość niż Agryppinilla. Pamiętam wyrocznie Sybilli:

*Czupryny Szósty, by ujarzmić państwo,
Da strach Rzymowi, muzykę i ogień,
Lecz splami rękę czerwoną krwią matki.
Żaden czupryny po nim nie nastąpi,
Krew z jego grobu potokiem wytryśnie.*

Neron zabije swoją matkę. Miał to przepowiedziane przy urodzeniu. Przepowiedział mu sam Barbil, a Barbil nigdy się nie myli. Mówił przecież prawdę nawet wtedy, gdy przepowiedział śmierć męża Messaliny. Agryppinilla jako kobieta nie może dowodzić armią rzymską ani występować w senacie. Potrzebuje mężczyzny, który by ją w tym zastąpił. Kiedy się z nią żeniłem, wiedziałem, że dopóki Neron jest zbyt młody, by zająć moje stanowisko, będę mógł się nie obawiać o życie.

Agryppinilla prosiła mnie, abym skłonił senat do przyznania jej tytułu Augusty. Nie przypuszczała, że zrobię dla niej to, czego nie chciałem zrobić dla Messaliny. Tymczasem właśnie zrobiłem. Uzyskała też wiele innych niebywałych zaszczytów. Zasiada obok mnie w sądach i na rydwanie udaje się na Kapitol. Na miejsce Gety i Kryspina mianowała nowego komendanta gwardii, Burrusa, który oddany jest jej ciałem i duszą. Brał on udział w bitwie pod Brentwood, gdzie stracił trzy palce u prawej ręki. Nowa Augusta nie ma

rywalek. Elia Petina nie żyje. Może ją otruto. Nie wiem. Lolię Pauline po śmierci jej protektora Kalista również usunięto. Nikt z wyzwolenców nie zaprotestował. Oskarżono ją o czary i o rozpowszechnianie astrologicznej broszurki przepowiadającej, że z małżeństwa mego z Agryppinilla wynikną dla kraju wielkie nieszczęścia. Żal mi było Lolii, więc w przemówieniu do senatu proponowałem skazać ją tylko na wygnanie. Agryppinilla nie dała się ułagodzić. Posłała do domu Lolii pułkownika gwardii, który postarał się, żeby obwiniona popełniła samobójstwo. Zameldował następnie służbowo o śmierci rywalki, lecz Agryppinilli to nie wystarczyło.

- Przynieś mi jej głowę - rozkazała.

Przyniesiono tedy głowę Lolii do pałacu. Agryppinilla wzięła ją za włosy i podszedłszy do okna otworzyła trupowi usta. W tym momencie właśnie wszedłem do pokoju.

- Tak. To głowa Lolii - zwróciła się do mnie z zadowoleniem. - To są te złote zęby, które kazała sobie wstawić Aleksandryjskiemu dentyście, żeby się jej lewy policzek nie zapadał. Jakie grube ma włosy. Jak u kuca. Wynieś to - zwróciła się do niewolnika - i dywan też. Te plamy krwi trzeba usunąć.

Agryppinilla pozbyła się też swojej szwagierki Domicji Lepidy, matki Messaliny. Domicja Lepida okazywała teraz Neronowi wiele czułości, zapraszała go często do siebie, pieściła, schlebiała mu, gościła i przypominała wszystko, co zrobiła dlań, kiedy był sierotą bez majątku. W rzeczywistości opiekowała się nim od czasu do czasu, kiedy jej siostra wyjeżdżała z miasta i ze względu na zbyt ni kłopot nie chciała chłopca zabierać z sobą. Agryppinilla doszła do przekonania, że Domicja Lepida przez swą ciotczyną pobłażliwość podkopuje jej własny, oparty na surowości autorytet. Oskarżyła ją tedy o rzucenie klątwy na moje małżeństwo i o to, że nie przedsięwzięła środków, które by zapobiegły wybuchowi buntu niewolników w jej posiadłości w Kalabrii. Paru oficjalistów usiłujących przywrócić porządek pobito, a Domicja Lepida zamknęła się w domu i nie reagowała zupełnie. Na podstawie tych dwu

oskarżeń (z których pierwsze prawdopodobnie było sfingowane) skazano ją na śmierć. Dopuściłem do wydania wyroku, gdyż zorientowałem się teraz, że pomagała Messalinie oszukiwać mnie zarówno w sprawie Appiusza Sylana, jak w innych wypadkach.

Jeden tylko czyn Agryppinilli zamącił mój filozoficzny spokój. Kiedy dowiedziałem się o nim, łzy mi nabiegły do oczu. Lecz przecież byłoby nonsensem, żeby stary król Kij zmieniał swe postanowienie, ruszył się i zemścił. Zemsta nie wraca życia umarłym. Tym czynem, który wycisnął mi łzy, było zamordowanie mojej biednej Kalpurnii i jej przyjaciółki Kleopatry. Ktoś w nocy podłożył ogień pod dom i obie zaskoczone we śnie kobiety się spaliły. Wyglądało to na wypadek, lecz było niewątpliwie morderstwem. Pallas, który mi pierwszy o tym doniósł, okazał się na tyle bezczelny, że usiłował skierować podejrzenie na któregoś z przyjaciół Messaliny, który dowiedział się, jaką rolę odegrała Kalpurnia w zdemaskowaniu rozpustnicy. W stosunku do Kalpurnii okazałem się bardzo niewdzięczny. Od owego strasznego popołudnia nie odwiedziłem jej ani razu. Na mój rozkaz na miejscu spalonej willi stanął piękny marmurowy grobowiec, na którym umieściłem grecki epigram. Był to pierwszy wiersz, który ułożyłem w swoim życiu, pomijając szkolne ćwiczenia. Czułem, że muszę zrobić coś całkiem niezwykłego, aby wyrazić wielki smutek, który wzbudziła w mym sercu śmierć Kalpurnii, i prawdziwą wdzięczność za miłość i przywiązanie, którymi mnie zawsze darzyła. Napisałem:

„Lafirynda kocha - lafirynda łże” -

Któż tych starych przysłów słuchać dzisiaj chce -

Bo Kalpurnii serce, wierzcie - mówię wam,

Czystsze jest niż serca najzacniejszych dam.

Przeszłego roku, roku ślubu Nerona z Oktawią, zbiory na całym świecie nie dopisały, co opróżniło nasze spichrze. W tym roku, chociaż port ostyjski jest

już ukończony, silny wiatr z północnego wschodu, który wiał przez kilka tygodni z rzędu, nie dopuścił do brzegu statków z egipskim i afrykańskim zbożem. W Italii zbiory zapowiadały się nieźle, lecz do żniw było jeszcze daleko, a w spichrzach zboża starczyło ledwie na dwa tygodnie. Musiałem obniżyć racje do minimum i zaczęto mnie nagle uważać za wroga ludu. Tak jakbym nigdy nic nie zrobił dla nakarmienia swoich współobywateli; jakbym wbrew ogólnemu sceptycyzmowi nie zbudował portu i niezorganizował dostawy świeżych jarzyn. Ilekroć pokazałem się publicznie, lud szemrał i huczał, a parę razy obrzucono mnie kamieniami, błotem i skorupami. Raz tłum złożony z trzystu osób zaatakował moich liktorów, wyrwał im pęki różeg i połamał je na ich własnych grzbietach. Z trudem tylko udało mi się uniknąć jakichś poważniejszych następstw. Tylną bramą znajdującą się niedaleko Rzymu dostałem się do pałacu, skąd wyskoczył mi na pomoc oddział zbrojnych gwardzistów. Dawniej byłbym taki wypadek wziął sobie bardzo do serca. Teraz uśmiechnąłem się tylko do siebie. „Żaby za wysoko skaczą” - pomyślałem.

W rok po adoptowaniu Neron przywdział męską togę. Za moim pozwoleniem senat uchwalił dlań konsulat, z chwilą kiedy skończy dwadzieścia dwa lata. Tak więc w siedemnastym roku życia był desygnowany na konsula. Przyznałem mu honorowe insygnia triumfalne i mianowałem przywódcą junaków, jak August swych wnuków, Gajusza i Lucjusza. Podczas świąt latyńskich, kiedy konsulowie i inni urzędnicy opuszczają miasto, zrobiłem Nerona prefektem. Podobnie postąpił August ze swoimi wnukami; był to ich pierwszy urząd. Chociaż nie było w zwyczaju z ważniejszymi sprawami zwracać się do prefekta miasta, lecz odkładano je do powrotu urzędników, Neron załatwił wiele skomplikowanych spraw, które by wymagały doświadczenia najwytrawniejszych jurystów. A rozstrzygnął je z tak niezwykłą bystrością umysłu, że zdobył sobie ogólny podziw. Kiedy mi o tym doniesiono, domyśliłem się od razu, że całą historię zaaranżował Seneka. Nie znaczy to, żeby sprawy były fikcyjne, ale Seneka starannie przejrzał je uprzednio, umówił

się z adwokatami, co mają powiedzieć, wyuczył Nerona, jak ma pytać świadków, jak ująć przedmiot sporu i ułożyć wyrok. Brytanik jeszcze nie był pełnoletni. Trzymałem go z daleka od towarzystwa dobrze urodzonych rówieśników. Spotykał się z nimi tylko pod okiem swych wychowawców. Nie chciałem, żeby się zaraził cesarskością, na co umyślnie narażałem Nerona. Rozpuściłem pogłoskę, że cierpi na epilepsję. Toteż wszyscy nadskakiwali tylko Neronowi. Agryppinilla była zachwycona. Myślała, że ze względu na matkę nienawidzę Brytanika.

W związku ze sprzedażą chleba powstały wielkie rozruchy. Była to całkiem zbyteczna manifestacja, zaaranżowana, mam wrażenie, przez Agryppinillę. Tak też twierdził Narcyz, który jej nienawidził i ku swemu zdumieniu był w tej nienawiści przeze mnie utwierdzany. Przeziębłem się właśnie i leżałem w łóżku. Agryppinilla przysłała do mnie i zażądała, żebym w celu uspokojenia ludności ogłosił edykt, że zdrowiu mojemu nie zagraża żadne poważniejsze niebezpieczeństwo, gdyby zaś nawet stan mój miał się pogorszyć i choroba okazała się śmiertelną, Neron potrafi pod kierunkiem matki sprawować rządu. Roześmiałem się na tę propozycję.

- Proponujesz, kochanie, żebym podpisał wyrok śmierci na samego siebie? Chodź tu bliżej i podaj mi pióro. Podpiszę. Kiedy ma być pogrzeb?

- Jeżeli sobie nie życzysz, nie nalegam.

- A więc w takim razie istotnie nie życzą sobie. Zbadam sprawę rozruchów i zobaczę, kto naprawdę dał do nich hasło.

Wyszła zirytowana. Przywołałem ją z powrotem.

- Żartowałem sobie tylko - rzekłem. - W rzeczywistości jestem gotów podpisać. Ale, ale... Czy Seneka nauczył już Nerona mowy pogrzebowej? Jeszcze nie? Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym ją najpierw usłyszeć.

Witeliusz umarł na apopleksję. Jakiś senator, nie wiem, czy w przystępie szału, czy po pijanemu, oskarżył go przed senatem o dążenie do jedynowładztwa. Oskarżenie było właściwie skierowane pod adresem

Agryppinilli. Oczywiście nikt się nie odważył podtrzymywać zarzutów, choć Agryppinilla była znienawidzona, oskarżyciela więc pozbawiono praw obywatelskich. Witeliusz jednak tak się przejął tą sprawą, że nazajutrz dostał ataku apoplektycznego. Kiedy go odwiedziłem, konał. Nie mógł ruszyć palcem, ale mówił całkiem do rzeczy. Zadałem mu pytanie, które od dawna pragnąłem zadać.

- Witeliuszu - rzekłem - w lepszych czasach byłbyś jednym z najcnotliwszych mężów. Jak twoja szlachetna natura mogła się nagiąć do odgrywania przez całe życie roli dworaka?

- To okazało się nie do uniknięcia w monarchicznym państwie nawet przy najlepszym władcy. Dawna cnota zanikła. Niezależność i otwartość przestały popłacać. Największą z wszystkich cnót stało się usłużne uprzedzanie życzeń władcy. Trzeba było być albo dobrym władcą jak ty, albo dobrym dworakiem jak ja. Władcą lub idiotą.

- Sądzisz, że ludzi, którzy chcą być cnotliwi w dawnym znaczeniu tego słowa, czeka w takich czasach jak nasze nieunikniona porażka?

- Pies Femona miał rację - odrzekł. Były to jego ostatnie słowa. Popadł w sen, z którego się już nie przebudził.

Dopóty szperałem w bibliotece, aż wreszcie znalazłem wyjaśnienie tych słów. Okazało się, że filozof Femon miał pieska, który codziennie przynosił mu od rzeźnika kawałek mięsa w koszyku na obiad. Uczciwe zwierzę nigdy bez pozwolenia pana nie ruszyło ani odrobiny. Pewnego dnia gromada kundli napadła na psa. Rabusie wyrwały mu z pyska koszyk, poszarpały mięso na kawałki i zaczęły żarłocznie połykać. Femon, który przyglądał się tej scenie z okna, zauważył, że jego piesek zastanowił się chwilę, co robić. O odebraniu kundlom zdobyczy nie mógł nawet marzyć: byłyby go zagryzły na śmierć. Piesek wmieszał się więc w gromadę i wziął udział w uczcie, a ponieważ był i śmielszy, i chytrzejszy od innych psów, więc zjadł najwięcej.

Senat uczcił Witeliusza pogrzebem na koszt państwa i posągiem na

Rynku. Umieszczony na cokole napis głosi:

LUCJUSZ WITELIUSZ, DWAKROC KONSUL,
CENZOR,
NIEZŁOMNY W SWEJ WIERNOŚCI DLA CESARZA
NAMIESTNIK SYRII

53 r. n.e.

Muszę jeszcze opowiedzieć o Jeziorze Fucyńskim. Przestałem się już teraz nim interesować, gdy pewnego dnia Narcyz, który miał pieczę na tą sprawą, zawiadomił mnie, że przedsiębiorcy donieśli mu o ukończeniu robót. Kanał przez wzgórze przekopano. Wystarczy tylko podnieść śluzy, wypuścić wodę, a całe jezioro zmieni się w szmat suchej ziemi. Trzydzieści tysięcy ludzi przez trzynaście lat bez przerwy pracowało nad tym dziełem!

- Uczymy to godnie, Narcyzie - odrzekłem.

Urządziłem naumachię, jakiej świat nie widział. Ten rodzaj widowisk wprowadził do Rzymu dokładnie przed stu laty Juliusz Cezar. Kazał on wykopać na Polu Marsowym wielki basen i napełnić go wodą z Tybru, po czym urządził bitwę morską między „flotą tyryjską”, złożoną z ośmiu okrętów, a tyleż statków liczącą „flotą egipską”. W bitwie tej poza wioślarzami wzięło udział dwa tysiące żołnierzy. Miałem osiem lat, kiedy podobne widowisko urządził August w stałym basenie znajdującym się po drugiej stronie Tybru. Basen ten mierzył tysiąc dwieście na osiemset stóp i otaczały go wkoło rzędy kamiennych ław, jak w amfiteatrze. Bitwę tym razem stoczyli „Ateńczycy” i „Persowie”; każda ze stron rozporządzała dwunastoma okrętami. Walczyło z sobą ogółem trzy tysiące ludzi. Moja naumachia na Jeziorze Fucyńskim miała zaćmić obie poprzednie. Na oszczędności zupełnie mi już teraz nie zależało. Chciałem zobaczyć wreszcie rzeczywiście wspaniałe widowisko. Za Juliusza i Augusta w naumachii brały udział tylko lekkie jednostki pływające; tym razem kazałem

zbudować dwadzieścia cztery prawdziwe trójrzędowe okręty wojenne i dwadzieścia sześć mniejszych statków. Opróżniłem więzienia, zbierając tysiąc dziewięciuset zdolnych do boju zbrodniarzy, którzy mieli walczyć pod komendą doświadczonych gladiatorów. Z flot, z których każda liczyła po dwadzieścia sześć okrętów, jedna otrzymała nazwę „rodyjskiej”, druga „sycylijskiej”. Pagórki naokoło jeziora tworzyły doskonale amfiteatralne wzniesienia, a choć jezioro leżało daleko od Rzymu, byłem pewien, że na widowisko ściągnie przynajmniej z dwieście tysięcy ludzi. Na afiszach kazałem zaznaczyć, że należy przynieść ze sobą prowianty. Ponieważ tysiąc dziewięciuset uzbrojonych kryminalistów przedstawia poważne niebezpieczeństwo, zabrałem z sobą całą dywizję gwardii. Część żołnierzy umieściłem na brzegu, resztę na tratwach, które tworząc półkole odcinały południowozachodnią część jeziora; w ten sposób powstał właściwy basen przeznaczony dla naumachii. (Całe jezioro było dla tego celu zbyt rozległe, liczyło bowiem dwieście mil kwadratowych.) Żołnierze na tratwach mieli katapulty i balisty, aby w razie potrzeby zatopić każdy statek, który by usiłował przepłynąć wyznaczoną granicę.

Wreszcie nadeszła wielka chwila. Ogłosiłem dziesięciodniowe święto. Pogoda dopisywała, a liczba widzów bliższa była pół miliona niż dwustu tysięcy. Ściągnęli z całej Italii i trzeba przyznać, że wszyscy przywdziali porządną odzież i porządnie się zachowywali. Aby uniknąć tłoku, podzieliłem brzeg na „kolonie”. Na czele każdej stał specjalny urzędnik, do którego obowiązków należało poczynienie przygotowań do wspólnego przyrządzenia posiłku i dbałość o stan sanitarny. Na wybrzeżu kazałem urządzić wielki szpital polowy dla rannych w bitwie i ofiar wypadku. W szpitalu tym przyszło na świat piętnaścioro dzieci, otrzymały one dodatkowe imię Fucina albo Fucinus.

W dzień widowiska wszyscy o dziesiątej byli już na swoich miejscach. Obydwie floty płynęły równolegle do siebie, kierując się w stronę przewodniczącego, to jest mnie, siedzącego na wysokim tronie. Przywdziałem na tę uroczystość pozłocistą zbroję, a na nią zarzuciłem purpurowy płaszcz.

Tron wzniesiono w miejscu, gdzie brzeg wcina się w jezioro; stąd rozpościerał się najszerszy widok. Kiedy obydwie okręty admirałskie znajdowały się już całkiem blisko, załoga podniosła krzyk:

- Witaj, Cezarze, idący na śmierć pozdrawiają ciebie.

Miałem na to powitanie odpowiedzieć poważnym skinieniem głowy, lecz że tego rana byłem w szczególnie wesołym usposobieniu, odkrzyknąłem:

- Nawzajem, przyjaciele!

Łotry zrozumiały to jako obietnicę ułaskawienia.

- Żyj długo, Cezarze! - huknęli. W pierwszej chwili nie rozumiałem, o co chodzi. Tymczasem obydwie floty wśród gromkich wiwatów przepłynęły obok siebie i zaczęły się ustawiać: „Rodyjczycy” na zachodnim, „Sycylijczycy” na wschodnim brzegu. Przycisnąłem dźwignię - z głębi jeziora wypłynął nagle srebrny tryton i zadał w złotą trąbę. Był to sygnał do rozpoczęcia bitwy. Na widzach ten zręczny automat wywarł ogromne wrażenie. Floty się spotkały; pół miliona ludzi zastygło w oczekiwaniu. A wtedy... Zgadnijcie, co się wtedy stało. Okręty przepłynęły obok siebie pośród wzajemnych wiwatów. Ogarnął mnie gniew. Zeskoczyłem z tronu i ruszyłem wzdłuż wybrzeża krzycząc i klnąc:

- O draby, o łajdaki, o hołoto, o skurwysyny! Co wy sobie myślicie? Po to was tutaj sprowadziłem, żebyście się całowali i wiwatowali na moją cześć? To mogliście równie dobrze robić na więziennym podwórku. Strach was obleciał i nie chcecie walczyć, co? Wolicie, żeby was rzucić na pożarcie dzikim bestiom? Jeżeli nie rozpoczniecie bitwy, to, dalibóg, gwardii każę urządzić widowisko. Każę im z machin oblężniczych zatopić wszystkie statki i powybijać do ostatniego wszystkich, którzy przyplyną do brzegu.

Jak już wspominałem, mam słabe nogi, a do tego jedną krótszą, toteż nie bardzo wprawnie się poruszam, zwłaszcza teraz na starość, kiedy utylem. A że ponadto miałem na sobie ciężki pancerz, a teren był wyboisty, możecie sobie wyobrazić, jak pokracznie wyglądałem, kuśtykając wzdłuż wybrzeża, przewracając się raz po raz i krzycząc swym mało melodyjnym głosem, aż mi z

gniewu i wysiłku krew nabiegła do twarzy. Na domiar wszystkiego zacząłem się potwornie jąkać. Zmusiłem jednak łotrów do walki i zyskałem sobie poklask widzów.

- Brawo, Cezar! - ryczeli. - Byczo biega!

Odzyskałem dobry humor i zacząłem się śmiać z samego siebie. Trzeba było widzieć zabójcze spojrzenia, jakie słała mi Agryppinilla. Kiedy wreszcie wdrapałem się z powrotem na swój tron, mruknęła:

- Och, ty chamie! Ty głupi chamie! Trzeba nie mieć szczypty godności, żeby się tak zachować. I ty chcesz, żeby cię ludzie szanowali?

- Dlaczego nie? - odpowiedziałem grzecznie. - Oczywiście jako twojego męża, kochanie, i jako teścia Nerona.

Dwie floty znowu spotkały się z sobą. Nie będę opisywał bitwy szczegółowo, lecz muszę stwierdzić, że obydwie strony spisały się wspaniale. „Sycylijczycy” przedziurawili i zatopili dziewięć wielkich „rodyjskich” okrętów, tracąc sami tylko trzy. Resztki floty nieprzyjacielskiej zapędzili blisko miejsca, gdzie się znajdowaliśmy, i zdobywali kolejno statek za statkiem. Raz i drugi „Rodyjczycy” ich odparli. Pokłady stały się śliskie od krwi. Wreszcie „Rodyjczycy” zostali pobici; koło trzeciej flaga „sycylijska” powiała z ostatniego ich statku. Lazaret był przepełniony. Koło pięciu tysięcy rannych wyniesiono na brzeg. Ocalałym darowałem życie, z wyjątkiem załogi trzech wielkich okrętów „rodyjskich” i sześciu lekkich statków „sycylijskich”. Na pierwszych ludzie zaczęli naprawdę walczyć, dopiero gdy wróg przedziurawił kadłuby; ostatnie uparczywie unikały bitwy. Trzy tysiące ludzi zostało zabitych lub utonęło. Kiedy byłem małym chłopcem, nie mogłem znieść widoku krwi. Teraz nie wzrusza mnie wcale; z całym zainteresowaniem przyglądałem się walce.

Doszedłem do przekonania, że przed spuszczeniem wody jeziora dobrze będzie się przekonać, czy kanał jest dość głęboki, by ją odprowadzić. Kazałem wysondować dokładnie środek jeziora i dowiedziałem się, że kanał powinien

być co najmniej o metr głębszy. W przeciwnym razie pozostanie tu jeszcze jezioro wielkości jednej czwartej obecnego. Tak więc całe widowisko odbyło się na próżno. Agryppinilla miała pretensje do Narcyza i oskarżała go o oszustwo. Narcyz zwał winę na inżynierów, którzy, jak mówił, przekupieni widać przez przedsiębiorców, złożyli fałszywe sprawozdania. Zaklinał się, że Agryppinilla krzywdzi go podejrzeniami.

Śmiałem się. Sprawa nie była ważna. Byliśmy świadkami wspaniałego widowiska, a kanał można było pogłębić w ciągu kilku miesięcy. O niczyjej winie mowy być nie może, oświadczyłem. Prawdopodobnie nastąpiło naturalne obniżenie się dna: wróciliśmy wszyscy do Rzymu i po czterech miesiącach znów wybraliśmy się nad jezioro. Ponieważ nie rozporządzałem już dostateczną liczbą przestępców, aby urządzić nową naumachię, a nie chciałem, by widowisko wypadło skromniej niż poprzednie, wpadłem na inny pomysł. Kazałem zbudować na jeziorze długi i szeroki most pontonowy, na którym miały się potykać z sobą dwa bataliony: jeden „Etrusków”, drugi „Samnitów”, w odpowiednich strojach i uzbrojeniu. Przy dźwiękach wojskowego marsza oddziały te wyruszyły z dwu przeciwległych stron, a spotkawszy się w środku mostu, gdzie rozszerzał się on na jakieś sto metrów, stoczyły z sobą zaciętą bitwę. „Samnici” dwa razy stawali się panami placu i dwukrotnie zostali wyparci kontratakami „Etrusków”. Wreszcie rzucili się do ucieczki. Straty ponieśli ciężkie. Niejeden padł, przeszyty brązową lancą etruską lub z głową rozrąbaną etruskim dwusiecznym toporem; niejeden, strącony z mostu, utonął. Walczącym zakazałem ratować się ucieczką na brzeg. Jeżeli któryś wpadł do wody, musiał albo iść na dno, albo z powrotem wdrapać się na most: zwycięscy „Etruskowie” wnieśli ze zdobytej broni trofeum. Zwycięzców i kilku „Samnitów”, którzy szczególnie dzielnie walczyli, obdarzyłem wolnością.

Wreszcie nadeszła chwila, kiedy miano spuścić wodę z jeziora. Tuż koło śluzy wzniesiono wielką drewnianą jadalnię, gdzie przygotowano wspaniałe śniadanie. Udział w nim wziąć mieli senatorowie i przedstawiciele rycerstwa z

rodzinami oraz starsi oficerowie gwardii. Szum spadającej wody miał nam zastąpić przy posiłku muzykę.

- Czy jesteś pewien, że kanał jest dostatecznie głęboki? - spytałem Narcyza.

- Tak, Cezarze. Sam przeprowadziłem badania.

Podszedłem do śluzy, złożyłem ofiarę, zmówiłem parę modlitw, przepraszając nimfę jeziora za wyrządzoną jej przykrość i prosząc, aby od tej chwili zaopiekowała się rolnikami, którzy będą uprawiać odzyskaną ziemię, a wreszcie położyłem rękę na korbie kołowrotu, przy którym stało kilku Niemców z mej przybocznej straży, i dałem rozkaz:

- W górę!

Zastawy śluzy podniosły się i woda z hukiem wpadła do kanału. Zagrzmiały wiwaty. Staliśmy parę minut i przyglądaliśmy się.

- Winszuję ci, kochany Narcyzie - rzekłem. - Trzydzieści lat pracy i trzydzieści tysięcy...

Przerwał mi huk podobny do grzmotu i krzyk przerażenia.

- Co się stało? - zawołałem.

Narczyz chwycił mnie bez ceremonii za ramię i pociągnął na wzgórze.

- Szybciej, szybciej - piszczał.

Obejrzałem się. Wielka brunatnobiała ściana wody, wiele stóp wysoka, podobna do tych, które widziałem na Severn w Brytanii, pędziła w górę kanału. Zwróćcie na to uwagę - w górę! Po chwili dopiero zrozumiałem, co się stało. Po otwarciu śluzy woda, przepłynąwszy kanałem spory odcinek, wylała tworząc w zagłębieniu wzgórz ogromne jezioro. Podmyte zbocza wzgórze, setki tysięcy bloków skalnych runęło nagle do jeziora, całkowicie je wypełniając i wypychając równocześnie z potworną siłą wodę.

Prawie wszystkim nam udało się ująć niebezpieczeństwu. Skończyło się tylko na przemoczeniu nóg. Utonęło nie więcej niż z dwadzieścia osób. Ale z jadalni naszej nie pozostało śladu: stoły, ławy, potrawy, girlandy kwiatów -

wszystko to spłynęło do jeziora. Och, Agryppinilla była wściekła. Napadła na Narcyza, oskarżając go, że umyślnie przygotował katastrofę, chcąc ukryć fakt, iż kanał w dalszym ciągu był nie dość głęboki. Zarzucała mu, że całe miliony państwowych pieniędzy powędrowały do jego kieszeni, i bóg wie co jeszcze.

Narcyza, którego nerwy dłużej nie wytrzymały, stracił cierpliwość i ze swej strony napadł na Agryppinillę. Za kogo siebie uważa, pytał. Za królową Semiramidę czy może Junonę? A może za głównodowodzącego armią rzymską?

- Nie wtykaj nosa, gdzie nie trzeba! - krzyczał.

Ubawiłem się tym wszystkim setnie.

- Przestańcie się kłócić - rzekłem wreszcie - kłótnia nie zwróci nam obiadu.

Wpadłem w jeszcze lepszy humor, gdy inżynierowie donieśli mi, że trzeba będzie dwu lat pracy, aby przekopać nową przeszkodę.

- Obawiam się, że nie ominie mnie okazja urzędzenia na tych wodach nowej naumachii - odrzekłem poważnie.

Cała ta historia wydawała mi się bardzo pięknym symbolem pracy, która poszła na marne, jak na marne poszedł mój trud pierwszych lat panowania, poświęcenia się sprawie niegodnego senatu i ludu. Widok potężnej fali nappełnił mnie głębokim zadowoleniem. To było piękniejsze niż wszystkie naumachie czy bitwy na moście.

Agryppinilla skarżyła się, że woda zabrała piękny złoty serwis. Ocalało zaledwie kilka sztuk; reszta leży na dnie jeziora.

- Nie ma się czym martwić - pocieszałem ją drwiąco. - Posłuchaj! Zdejm te piękne złotem przetykane szaty - dopilnuję, żeby Narcyz ich nie ukradł - gwardzistom każę cofnąć tłum nieco wstecz, a ty dasz nam specjalne widowisko: skok do wody ze śluzy. Uciechy będzie co niemiara. Ludzie nigdy nie bawią się tak doskonale, jak kiedy mogą stwierdzić, że ich władcy są ostatecznie też istotami ludzkimi... Co, co? Nie chcesz? Dlaczego? Tylko nie wpadaj zaraz we wściekłość. Jeżeli mogłaś nurkować za gąbkami, dlaczego nie

miałabyś tego zrobić za złotymi półmiskami? Patrz, tam pewnie jeden z nich leży. Przebłyskuje przez wodę. Całkiem łatwo można go dostać. O, widzisz? Tam, gdzie rzucam kamykiem.

Aby pocieszyć Agryppinillę, ofiarowałem jej w kilka dni później bardzo cenny prezent, białego jak śnieg słowika. Był to pierwszy okaz tego rodzaju. Narcyz chcąc ją przeprosić za swe szorstkie słowa ofiarował jej gadającego kosa. Kos wymawiał słowa równie dobrze jak papuga, a słowik śpiewał nie gorzej niż jego brunatni krewniacy. Agryppinilla nie ukrywała zadowolenia. Mówiąc nawiasem, rodzina nasza miała zawsze słabość do zwierząt faworytów. August miał swego psa Tyfona, Tyberiusz swego jaszczura, Kaligula konia Incitata, siostra moja Liwilla hodowała złośliwą i lubiącą kraść małpkę, Germanik miał czarną wiewiórkę, a matka moja ulubionego wielkiego karpia. Karp ten nazywał się Lewiatan i na wołanie przy pływał ze swego schronienia wśród lili wodnych, dawał się matce karmić i głaskać. Dostała go w prezencie od Heroda Agryppy, który ofiarowując tę rybę przyczepił jej do skrzeli wysadzane klejnotami kolczyki. Matka twierdziła, że karp rozmawia z nią, otwierając i zamykając pyszczek, i że ona doskonale rozumie, co jej chce powiedzieć. Nie miałem nigdy żadnego tego rodzaju faworyta. Uważałem, że w takich wypadkach zawsze się więcej daje, niż otrzymuje, i że człowiek mimo woli skłonny jest uważać takie zwierzę za bardziej przywiązane i inteligentne, niż jest w rzeczywistości.

Rozdział XXXII

54 r. n.e.

Mamy teraz wrzesień czternastego roku mego panowania. Barbil stawiał mi ostatnio horoskop: obawia się, że umrę w połowie przyszłego miesiąca. Swego czasu Trazyl przepowiedział mi dokładnie datę śmierci. Powiedział, że będę żył sześćdziesiąt trzy lata, sześćdziesiąt trzy dni, sześćdziesiąt trzy noce i sześćdziesiąt trzy godziny. Trazyl był bardziej kategoryczny niż Barbil. Pamiętam też, że mi wieszował tej kombinacji iloczynów siódemki i dziewiątki. Było to bardzo szczególne, powiedział. W każdym razie jestem gotów umrzeć. Dziś z rana w sądzie prosiłem adwokatów, żeby mieli więcej względów dla starego człowieka. Za rok, powiedziałem, już mnie nie będzie, niechże sobie traktują mego następcę, jak im się podoba. Innym razem w związku ze sprawą pewnej niewiasty możnego rodu oskarżonej o cudzołóstwo, zauważyłem, że byłem kilkakrotnie żonaty i że każda z moich żon okazała się złą kobietą. Przez pewien czas traktowałem je pobłaźliwie - ale niedługo; toteż trzy razy się już rozwiodłem. Te moja słowa powtórzono z pewnością Agryppinilli.

Neron ma siedemnaście lat. Obnosi na pokaz udaną skromność kurtyzany wysokiej klasy lub filozofa, od czasu do czasu odgarnia z czoła woniejące olejkami pukle; przystaje zadumany w gronie podziwiających go młodych nobilów, wysuwa prawą nogę naprzód, pochyla głowę, lewą rękę zwiesza niedbale, prawą podnosi, przytyka palec do czoła, jakby stamtąd chciał wydobyć myśl, i popisuje się nagle dowcipnym epigramem, zgrabnym wierszem lub głęboką sentencją, nie swego oczywiście autorstwa. Seneka darmo chleba nie je. Pragnę, aby Neron stał się pociechą dla swych przyjaciół. I dla Rzymu. I dla Agryppinilli. I dla Seneki. Od siostry Seneki (skrytej przyjaciółki Na: ozya, której zawdzięczamy całe mnóstwo informacji o obecnym ulubieńcu narodu) słyszałem, że w noc przed otrzymaniem mego rozkazu, przywołującego go z

Korsyki do Rzymu, Senece śniło się, iż został nauczycielem Kaliguli. Uważam to za wróżbę.

Na Nowy Rok przyzwałem do siebie Ksenofonta i podziękowałem mu, że mnie tak długo utrzymywał przy życiu. A choć nie minął jeszcze wyznaczony termin piętnastu lat, spełniłem dane przyrzeczenie i otrzymałem od senatu dla rodzinnej wyspy Ksenofonta przywilej zwalniający jego współrodaków od podatków i obowiązku służby wojskowej. W przemówieniu, które wygłosiłem w senacie, przedstawiłem życie i czyny wielu sławnych lekarzy z Kos, wywodzących się od boga Eskulapa. Zakończyłem na ojcu Ksenofonta, który był chirurgiem polowym mego ojca podczas walk z Niemcami, i na samym Ksenofoncie, którego szczególnie wychwalałem. W parę dni później Ksenofont prosił, żeby mu wolno było pozostać przy mojej osobie jeszcze kilka lat. I pomyślcie tylko, co za dziwny, wyzbyty uczuciowości człowiek. Prośby swej nie umotywował wdzięcznością czy przywiązaniem, lecz oświadczył, iż pragnie pozostać, praktyka pałacowa dostarcza mu bowiem ciekawego materiału do jego lekarskich studiów.

Jeżeli wyświadczyłem Ksenofontowi ten zaszczyt, to głównie dlatego, że liczyłem na jego pomoc w wykonaniu planu, który wymagał szczególnej dyskrecji. Zamierzałem ocalić Brytanika. Było to moim obowiązkiem wobec samego siebie i wobec moich przodków. Przyszedł teraz czas, abym wyjaśnił, dlaczego rozmyślnie dawałem Neronowi pierwszeństwo, dlaczego wychowałem syna wedle staroświeckiego obyczaju, dlaczego tak go strzegłem przed dworską zarazą, przed zetknięciem z występkiem i pochlebstwem. Wiedziałem przede wszystkim, iż los przeznaczył Nerona na mego następcę, aby dopełnił przekłętą dzieła monarchii, udręczył Rzym, zyskał sobie wieczystą nienawiść i był ostatnim z rzędu szalonych Cezarów. Tak, my, Cezarowie, wszyscy przecież byliśmy szaleńcami. Zaczynaliśmy jako zdrowi ludzie. Zdrowym był August i Tyberiusz, a nawet Kaligula, choć miał nikczemny charakter. Monarchia przewracała nam w głowie. Po śmierci Nerona, mówiłem sobie,

republika zostanie na pewno wskrzeszona, i pragnieniem moim było, by do wskrzeszenia jej przyczynił się Brytanik. Lecz co uczynić, by Brytanik przeżył panowanie Nerona? Jeśli zostanie w Rzymie, Neron na pewno go uśmierci, tak jak Kaligula uśmiercił Gemellusa. Postanowiłem ukryć Brytanika w bezpiecznym miejscu; niech tam dorasta cnotliwy i szlachetny, niby któryś ze starych Klaudiuszów; niech w sercu jego goreje nieustannie miłość prawdziwej wolności.

Lecz przecież cały świat, myślałem, z wyjątkiem Niemiec, Wschodu, scytyjskich stepów na północ od Morza Czarnego, nie zbadanej Afryki i dalszych części Brytanii, należy do Rzymu. Gdzież więc można bezpiecznie ukryć Brytanika? Nie w Partii i nie w Arabii - trudno byłoby o gorszy wybór. Nie w Niemczech - nigdy nie lubiłem Niemców. Są to nasi naturalni wrogowie, wraz ze swymi wszystkimi barbarzyńskimi cnotami. O Afryce i Scytii niewiele wiedziałem. Tak, dla Brytanika jest tylko jedno miejsce na ziemi - Brytania. Północni Bryganci są z nami rasowo spokrewnieni. Królowa Brygantów Kartymandua jest moją sojuzniczką. Jest to szlachetna, mądra monarchini, która pozostawia w spokoju moją prowincję na południu Brytanii. Jej rycerze są dzielni i szlachetni. Jej młody pasierb i następca ma przybyć do nas w maju w towarzystwie rówieśników i rówieśnic ze znakomitych rodów i zamieszka jako mój gość w pałacu; Brytanik wystąpi w roli gospodarza. Postaram się następnie, aby obaj chłopcy zawarli z sobą pobratymstwo wedle brytyjskiego obrządku. Bryganci mają pozostać u nas całe lato. Kiedy będą wracali (wysłę ich od razu morzem wprost z Ostii do Humber), pojedzie z nimi Brytanik w przebraniu. Twarz i ciało pomaluje mu się na niebiesko, ubierze go się w czerwoną koszulę i spodnie w kratę, jak młodego panka brytyjskiego, na szyi zawiesi sobie złoty łańcuch. Nikt go nie pozna. Księcia bryganckiego obsypię podarkami i zwiążę najświętszą ze wszystkich świętych przysięgą, że cało i zdrowo dostawi Brytanika na dwór Kartymandui, nie zdradzając przed nikim z wyjątkiem królowej jego incognito. Na dworze bryganckim Brytanik zostanie

przedstawiony jako młody Grek znakomitego pochodzenia, który po śmierci rodziców, zostawszy bez grosza przy duszy, przyjechał do Brytanii szukać szczęścia. Żeby umotywić w Rzymie jego nieobecność, rozgłoszę najpierw, że jest chory. Dopomogą mi w tym Narcyz i Ksenofont. Nagle okaże się, że umarł. Ksenofont otrzyma ode mnie pisemne upoważnienie przyznające mu prawo zabierania zwłok niewolników zmarłych w szpitalu na wyspie Eskulapa, ponieważ będzie przeprowadzał ich sekcję. Píše właśnie jakiś traktat o mięśniach serca. Z łatwością przyjdzie mu wynaleźć zwłoki nieboszczyka, które się podstawia na miejsce rzekomych zwłok Brytanika. A Brytanik tymczasem będzie się chował na dworze Kartymandui i uczył Brygantów różnych pożytecznych rzeczy, w których usiłowałem go wyszkolić. Jeżeli będzie skromny, nie zabraknie mu tam przyjaciół. Kartymandua pozwoli mu oddawać cześć bogom rzymskim. Towarzystwa Rzymian będzie unikał. Po śmierci Nerona wyjawia, kim jest, i powróci jako zbawca ojczyzny do Rzymu.

Plan był doskonały i przygotowałem już wszystko, by wprowadzić go w życie. Brytanik w roli gospodarza przyjmował bryganckiego królewicza i zawarł z nim przyjaźń. Jeden drugiego uczył swego ojczystego języka i władania swą narodową bronią. Pracowali i bawili się z sobą całe lato. Bez żadnej inicjatywy z mej strony zawarli pobratymstwo i wymienili podarki. Z radością śledziłem pomyślny rozwój wypadków. Ksenofonta i Narcyza wtajemniczyłem w swój plan. Obaj przyrzekli mi pomagać i wszystko już ze swojej strony przygotowali. Stało się jednak coś zgoła nieprzewidzianego. Cały mój chytry pomysł spalił na panewce.

Przed trzema dniami wczesnym rankiem, gdy wszyscy w pałacu spali, Narcyz przeprowadził mnie do Brytanika. Uściskałem syna z czułością, jakiej mu od lat nie okazywałem. Wy tłumaczyłem, dlaczego go dotąd tak chłodno traktowałem. Nie nieczułość ani obojętność dyktowała mi to postępowanie, powiedziałem, lecz właśnie miłość. Zacytowałem przy tym słowa Augusta, w których na krótko przed śmiercią zwrócił się do mnie: „Kto cię zranił, ten cię

uleczy.” Wspomniałem o przepowiedni Sybilli. Najgorętszym moim pragnieniem, mówiłem, jest z grożącej Rzymowi katastrofy ocalić człowieka, którego najbardziej kocham - mojego syna. Przypomniałem mu nieszczęsną historię naszej rodziny i błagałem, żeby zgodził się na plan będący jedyną rękojmnią ocalenia mu życia.

Słuchał uważnie, a w końcu wybuchnął:

- Nie, ojcze! Nigdy! Przyznaję, że od śmierci matki nienawidziłem cię. Myślałem o tobie jak najgorzej. Byłeś dla mnie suchym pedantem, tchórzem i głupcem. Wstydzilem się, że jestem twym synem. Widzę, że byłem w błędzie, i błagam cię o przebaczenie. Nie mogę jednak uczynić tego, czego ode mnie żadasz. To jest poniżające! Potomek Klaudiuszów nie będzie malował swej twarzy na niebiesko i krył się wśród barbarzyńców. Nie boję się Nerona. To tchórz. Pozwól mi na Nowy Rok przywdziać męską togę. Będę miał dopiero trzynaście lat, ale ten jeden rok możesz mi darować. Jestem dość duży i silny na swój wiek. Kiedy zostanę oficjalnie uznany za mężczyznę, zrównam się z Neronem pomimo przywilejów, które mu przyznałeś, i pomimo jego matki. Uczyn nas współdziedzicami, a zobaczysz, kto będzie górą. Mam prawo tego żądać jako twój syn. A zresztą nie wierzę w republikę. Nie można zawrócić biegu historii. Tak twierdziła moja prababka Liwia i miała rację. Kocham te dawne dobre czasy podobnie jak ty, ojcze, ale nie ślepą miłością. Republika umarła. Żyje chyba w kilku ludziach staroświeckiego pokroju, jak ty lub Sosibiusz. Rzym jest obecnie cesarstwem i wybierać może tylko między dobrym a złym cesarzem. Uczyn mnie swym następcą wraz z Neronem, a zadam kłam wyroczeni. Pożyj jeszcze kilka lat dla mnie. A kiedy umrzesz, przywdzieję twoją purpurę i będę uczciwie rządził Rzymem. Gwardia mnie kocha i wierzy mi. Geta i Kryspin powiedzieli, że po twojej śmierci postarają się, żebym ja został cesarzem, nie Neron. Będę dobrym cesarzem, jak ty nim byłeś, zanim ożeniłeś się z moją macochą. Daj mi odpowiednich nauczycieli. Obecni są do niczego. Chcę studiować, chcę studiować retorykę, chcę się orientować w skarbowości i

prawie, chcę się uczyć, jak być cesarzem.

Nie pomogły żadne perswazje ani nawet łzy. Straciłem całą nadzieję uratowania chłopca. Żaden lekarz nie ocali pacjenta, który chce umrzeć. Spełniłem natomiast, jak pobłażliwy ojciec, wszystkie prośby syna. Oddaliłem Sosibiusza i innych nauczycieli, a mianowałem na ich miejsce nowych. Zgodziłem się upelnoletnić Brytanika na Nowy Rok i zmieniłem na jego korzyść testament; w poprzednim prawie nie było mowy o nim. Dzisiaj wygłosiłem pożegnalną mowę w senacie i poleciłem jego opiece Nerona i Brytanika, po czym zwróciłem się do obu chłopców z poważnym napomnieniem, by kochali się zawsze po bratersku i żyli ze sobą w zgodzie. Jakaż ironia kryła się w tych słowach! Było dla mnie jasne jak słońce, że sprawa Brytanika jest przegrana i że to ja sam wydaję go na śmierć. Że ja sam, stary głupiec, łamię ten ostatni szczep wyrastający ze starego pnia klaudyjskiego.

Wzrok słabnie coraz bardziej, a ręka trzęsie się tak, że z trudem kreślę litery. Niezwykłe znaki ukazały się ostatnio. Wielka kometa, podobna do tej, która przepowiedziała śmierć Juliusza Cezara, od szeregu dni ukazuje się na niebie. Z Egiptu przysłała wieść o pokazaniu się feniksa. Leciał jak zawsze z Arabii, a za nim chmara podziwiałego go ptactwa. Trudno mi uwierzyć, żeby to był prawdziwy feniks, zjawia się on bowiem tylko raz na tysiąc czterysta sześćdziesiąt jeden lat, a minęło dopiero dwieście pięćdziesiąt od czasu, jak wedle wiarogodnej wiadomości miał się pokazać w Heliopolis za panowania Ptolemeusza Trzeciego. Obecny jednak musi niewątpliwie być jakąś odmianą feniksa. A jakby nie starczyło komety i feniksa, w Tesalii przyszedł na świat centaur, którego mi przysłano do Rzymu drogą przez Aleksandrię, gdzie go badali tamtejsi lekarze. Żył tylko jeden dzień i przysłano mi go zakonserwowanego w miodzie, nie ulega jednak wątpliwości, że był to centaur, i to z wyższego gatunku, który ma tułów konia, nie osła. Dotykałem go własnymi rękoma. Kometa, feniks, centaur, rój pszczeli, który osiadł wśród orłów pułkowych w obozie gwardii, prosię, które przyszło na świat z sokolimi

szponami, i piorun, który uderzył w posąg mego ojca - tyle wróżb chyba wystarczy.

Nie pisz już więcej, Tyberiuszu Klaudiuszu, bogu brytyjski, nie pisz już więcej.

TRZY RELACJE O ŚMIERCI KLAUDIUSZA

I

XLIV. Niedługo potem napisał także testament i opatrzyć go kazał pieczęciami wszystkich urzędników. Zanim jednak powziął dalsze kroki, uprzedziła go Agryppina, którą nie tylko te zarządzenia podawały w podejrzenie, lecz także wręcz oskarżali o liczne zbrodnie donosiciele. Również własne sumienie spokoju nie dawało. Ustalono, żeby Klaudiusza usunąć przez truciznę. Zachodzi spór, gdzie i przez kogo ją dano. Niektórzy twierdzą, że została mu podana w czasie uczty z kapłanami na zamku przez eunucha Halota, który pełnił urząd kosztującego potrawy. Inni, że w czasie obiadu domowego, przez samą Agryppinę. Ona podała mu zatrute grzyby borowiki, na którą to potrawę szczególnie był łąsy. W związku z tym, co się stało potem, również zachodzi rozbieżność zdań. Wielu głosi, że po zażyciu trucizny natychmiast stracił mowę oraz że udręczony bólami, trwającymi całą noc, skonał wreszcie przed świtem. Jeszcze inni podają, że początkowo zasnął, później z nadmiaru jedzenia wszystko zwrócił; wtedy powtórnie zastosowano truciznę. Nie wiadomo, czy podano ją w zacierce, gdyż jakoby nieco osłabiony musiał się znowu wzmocnić jedzeniem, czy wpuszczono przez lewatywę, którą mu zastosowano, aby ulżyć niby tego rodzaju wypróżnieniem organizmowi obciążonemu nadmiarem pokarmów.

XLV. Śmierć jego trzymano w tajemnicy do chwili, aż zarządzono wszystko odnośnie następcy. Podjęto modły jak gdyby jeszcze za chorego i zaproszono dla pozorów aktorów komediowych, aby go zabawiali, jakoby na własne jego życzenie. Zmarł trzeciego dnia przed Idami października, za konsulatu Azyniusza Marcella i Acyliusza Awioli, w sześćdziesiątym czwartym roku życia, w czternastym panowania. Pochowany został ze zwykłym przepychem, należnym pryncypom, oraz zaliczony w poczet bogów. Kult jego osoby zniósł i unieważnił Neron, lecz Wespazjan wkrótce przywrócił.

XLVI. Oto szczególne znaki wróżące jego śmierć: ukazanie się gwiazdy z warkoczem, którą nazywają kometą, uderzenie pioruna w pomnik jego ojca, Druzusa, oraz jeszcze ta okoliczność, że w tym samym roku zmarło bardzo wielu wszelkiego rodzaju urzędników. Jednak zdaje się, że on sam dobrze wiedział ani też nie ukrywał, że wie o zbliżającym się końcu swego życia. Liczne są tego dowody. Oto wyznaczając konsulów żadnego z nich nie wyznaczył poza miesiąc, w którym umarł. W senacie, kiedy był tam po raz ostatni, wielokrotnie zachęcał swych synów do zgody. Potem usilnie i pokornie polecił młodość obydwu opiece senatorów. W czasie ostatniej rozprawy sądowej, jaką prowadził, zapowiedział z wysokości swego trybunału, że „doszedł już kresu swego ziemskiego żywota”. Chociaż słuchacze się obruszyli na tę wróżbę, wypowiedział ją głośno raz i drugi.

Swetoniusz, Boski Klaudiusz, r. 44-46, Ossolineum, 1960

Przełożyła Janina Pliszczyńska

II

Pod tak wielkim brzemieniem trosk popadł Klaudiusz w chorobę, udał się więc do Synuessy, aby łagodnością tamtejszego klimatu i zdrowotnością wód pokrzepić swe siły. Wtedy Agryppina, zdecydowana od dawna na zbrodnię, a teraz rwąc się do nadarzonej sposobności, zwłaszcza że jej pomocników nie brakło, zastanawiała się tylko nad rodzajem trucizny, żeby nagle działającym i gwałtownym jadem nie wydała się zbrodnia; gdyby zaś obrała powolną i trawiącą truciznę, żeby bliski końca Klaudiusz nie domyślił się zdrady i nie zwrócił znowu swych uczuć ku synowi. Dogadzał jej jakiś wyrafinowany środek, który by mu rozum pomieszał i śmierć opóźnił. Wybrano mistrzynię w takich praktykach, niejaka Lokustę, która niedawno została skazana za trucicielstwo, ale długo jako narzędzie rządów służyła. Dzięki pomysłowości tej kobiety przyrządzono truciznę; miał mu ją podać jeden z rzezańców, Halotus, który zwykł był potrawy wnosić i uprzednim kosztowaniem badać.

Wkrótce wszystkie szczegóły tej zbrodni stały się tak głośne, że już współcześni pisarze podali, iż truciznę wiano do smacznej potrawy z grzybów, a działanie tego środka, czy to z powodu tępoty Klaudiusza, czy że był pijany, nie zaraz dało się poznać; równocześnie, jak się zdawało, pomogło mu wypróżnienie żołądka. Agryppina więc przeraziła się, a ponieważ groziła jej ostateczność, nie zważa na chwilowe zgorzenie, lecz zwraca się do przezornie już przedtem wtajemniczonego lekarza Ksenofonta. Ten pod pozorem, że chce pomóc wysiłkom wymiotującego, miał mu zapuścić do gardła pióro pomazane gwałtowną trucizną, gdyż dobrze wiedział, że największe zbrodnie zaczyna się w niebezpieczeństwie, a kończy za wynagrodzeniem.

Tymczasem zwoływano senat; konsulowie i kapłani ogłaszali śluby za życie cesarza, którego już martwego okrywano kocami i okładami, podczas gdy zarządza się wszystko, aby Neronowi zapewnić panowanie. Z początku Agryppina, niby złamana bólem i szukająca pociechy, trzyma w swych objęciach Brytanika, nazywa go żywym ojca wizerunkiem i różnymi zabawia fortelami, aby z pokoju nie wychodził. Także jego siostry, Antonię i Oktawie, zatrzymała, a wszystkie wejścia obstawiała strażami i nieustannie rozpowszechniała wieści, że cesarz ma się lepiej na zdrowiu, aby żołnierz dobrą żywił nadzieję i aby nadeszła chwila wedle wskazówek Chaldejczyków pomyślna.

Wówczas w południe, trzynastego października, otwierają się nagle bramy pałacu i Neron w towarzystwie Burrusa wychodzi przed kohortę, która stosownie do zwyczaju służbowego straż odbywa. Tu na zachętę prefekta przyjęto go wśród okrzyków pomyślności i wsadzono do lektyki. Powiadają, że niektórzy żołnierze wahali się, oglądając i zapytując, gdzie jest Brytanik; wkrótce jednak, ponieważ nikt nie dawał hasła do sprzeciwu, poszli za tym, co się nastęrczało. Tak więc Neron, wniesiony do obozu, wygłosił stosowną do okoliczności przemowę, obiecał na wzór ojcowskiej darowizny gratyfikację i został pozdrowiony jako imperator. Za oświadczeniem żołnierzy poszły w ślad

uchwały senatu, a także w prowincjach nie było wahania. Klaudiuszowi przyznano cześć boską i wyprawiono taki sam uroczysty pogrzeb jak boskiemu Augustowi, ponieważ Agryppina rywalizowała w okazałości ze swą prababką Liwią. Testamentu jednak nie odczytano wskutek obawy, aby pierwszeństwo oddane pasierbowi przed synem z powodu swej niesprawiedliwości i ohydy gminu nie wzburzyło.

Tacyt, Roczniki, ks. XII, r. 66-69, Ossolineum, 1953

Przełożył Seweryn Hammer

III

Klaudiusza gniewało postępowanie Agryppiny, z którego zdawał sobie teraz sprawę, i starał się zbliżyć do swego syna Brytanika. Agryppina celowo usuwała Brytanika przed oczu ojca, robiła bowiem wszystko, co tylko mogła, by zapewnić tron Neronowi (był on bowiem synem jej i Domicjusza), ale Klaudiusz okazywał zawsze Brytanikowi wiele czułości. Klaudiusz nie mógł już dłużej znieść postępów Agryppiny i chciał ukrócić jej władzę, założyć Brytanikowi toga virilis i oświadczyć, że on jest dziedzicem - tronu. Agryppina dowiedziawszy się o tym przeraziła się i zapragnęła czym prędzej zapobiec temu przez otrucie Klaudiusza. Lecz ponieważ pił dużo wina i w ogóle prowadził taki tryb życia, jaki zwykle prowadzą cesarze dla swego bezpieczeństwa, niełatwo było dokonać na niego zamachu. Agryppina posłała więc po znaną trucicielkę, Lokustę, którą niedawno skazano za takąż właśnie zbrodnię, i z jej pomocą przyrządziła niezawodną w skutkach truciznę, i dodała ją do grzybów. Sama jadła co innego, a męża częstowała grzybami jako najsmakowitszą z potraw. Ofiarę spisku wyniesiono z uczty, rzekomo całkiem obezwładnioną zbytnią ilością trunków, co zdarzało się nieraz; w ciągu nocy jednak trucizna podziałała skutecznie i Klaudiusz zmarł, nie usłyszawszy już nic i nie wymówiwszy słowa. Działo się to trzynastego października: żył sześćdziesiąt trzy lata, dwa miesiące i trzynaście dni, a cesarzem był przez lat

trzydzieści, miesiące osiem i dni dwadzieścia.

Agryppina mogła dokonać tego czynu dzięki temu, że wysłała Narcyza do Kampanii pod pretekstem, że musiał tam pić wody na swoją podagrę. Narcyz bowiem tak pilnie strzegł swego pana, że gdyby był obecny w Rzymie, Agryppina nigdy nie zdołałaby przeprowadzić swego planu. Śmierć Narcyza nastąpiła jednak wkrótce po śmierci Klaudiusza. Zabito go przy grobie Messaliny, co było dziełem przypadku, choć zdawało się, że to ona się na nim zemściła.

Taki był koniec Klaudiusza. Zdarzenie to przepowiedziała kometa, którą widziano od dłuższego czasu, krwawa ulewa, piorun, który uderzył w sztandar pretorianów, samorzutne rozwarcie się podwoi świątyni Jupitera, rój pszczeli, który osiadł w obozie gwardii, i to, że w każdym urzędzie zmarł jeden beneficjent.

Cesarza pochowano z całą państwową pompą i honorami, które przyznano ongiś Augustowi. Agryppina i Neron udawali, że rozpaczają po człowieku, którego zabili, i wzniesli na niebiosa tego, którego wynieśli na noszach z uczty. Lucjusz Juniusz Galio, brat Seneki, wypowiedział na ten temat dowcipną uwagę. Seneka napisał dzieło pod tytułem Udynienie - przez analogię do słowa: ubóstwienie - a bratu jego przypisują jedno krótkie, ale brzemiennie w treść zdanie. Ponieważ kaci ciągnęli zwykle hakami ciała straconych w więzieniu ludzi na Forum i stamtąd rzucali je do rzeki, Lucjusz Juniusz powiedział, że Klaudiusza wciągnięto do nieba na haku. Neron również jest autorem powiedzenia godnego uwagi. Oświadczył on, że grzyby są pokarmem bogów i że Klaudiusz za pośrednictwem grzybów stał się bogiem.

Po śmierci Klaudiusza słusznym i sprawiedliwym było, żeby rządy objął Brytanik, legalny syn Klaudiusza, fizycznie ponad wiek rozwinięty, ale według prawa władza należała również do Nerona z tytułu adopcji. Lecz nie ma argumentu mocniejszego od siły zbrojnej; wydaje się zawsze, że ten, kto posiada większą siłę, ma też i większą słuszość po swojej stronie, cokolwiek by mówił

czy robił. Toteż Neron zniszczywszy testament Klaudiusza stał się jego następcą, panem całego imperium i usunął Brytanika i jego siostry. Dlaczegoż więc mielibyśmy opłakiwać niedole innych jeszcze ofiar?

Dio Kasjusz, ks. LXI

Przełożyła Maria Wańkowiczowa

Lucjusz Anneusz Seneka

APOCOLOCYNTHOSIS, CZYLI UDYNIENIE BOSKIEGO
KLAUDIUSZA

I

Co działo się w niebie trzynastego października pierwszego roku, na progu najszcześniejszego stulecia, chcę przekazać pamięci potomnych. Będę się wystrzegał wszelkiej niechęci i stronnictwa. Tak być powinno, nieprawdaż? Gdyby mnie ktoś zapytał, skąd zaczerpnąłem wiadomości, to przede wszystkim, jeśli nie zechcę, nie odpowiem. Bo i kto mnie zmusi do tego? Jestem wolnym człowiekiem. Wolny stałem się w chwili, gdy przyszedł kres na powszechnie znanego człowieka, który dowiódł prawdy przysłowia, że „albo królem, albo głupcem rodzić się trzeba” *.[* Oczywiście po to, żeby - jak Klaudiusz - bezkarnie deptać prawa. Komentator Horacego Pomponiusz Porphyrio przytacza analogiczne przysłowie greckie: „Dla głupiego i króla nie istnieje żadne prawo pisane”] Lecz jeśli spодoba mi się odpowiedzieć, mówić będę, co mi tylko na język przyjdzie. Kto bowiem i kiedy żądał od dziejopisa przysięgłych świadków? Jeśli już jednak koniecznie trzeba postawić świadka, pytajcie się męża,*[Senatora Liwiusza Geminiusza, który pod przysięgą zezna), że widział Druzyllę, siostrę Kaliguli, wstępującą do nieba. Tego rodzaju potwierdzenie faktu przez „naoczny” świadka było wymagane przy akcie konsekracji na boga.] który widział Druzyllę wstępującą do nieba. On również zaręczy, że widział Klaudiusza tamże zdążającego „nierównym krokiem”.

Chce tego czy nie chce, musi on wszystko oglądać, co w niebie się dzieje, jest przecież dozorcą Drogi Appijskiej, którą, jak wiadomo, August i Tyberiusz Cezar powędrowali do bogów*.[* Obydwaj zmarli w Kampanii, więc ciała ich przewieziono Drogą Appijską do Rzymu.] Jego, jeśli spytacie, odpowiadać będzie na osobności; przy świadkach - nawet z ust pary nie puści. Bo odkąd

poprzysiągł w senacie, że widział Druzyllę wstępującą do nieba, a nikt w zamian nie uwierzył w tę zbyt pomyślną nowinę, uroczyście zapewnił, że nie złoży doniesienia, nawet gdyby ujrzał człowieka utrupionego na środku Rynku. Co więc swego czasu słyszałem od niego, to - jak pragnę dla niego szczęścia i zdrowia! - powtarzam jako świętą i niewzruszoną prawdę.

II

*Już Febus krótszą drogą przemierzał krąg ziemi,
Cynthia królestwa swego rozszerza granice,
Zima berło wydziera bogatej jesieni,
Mgły się snują, w śnie dłuższym świat tulą ciemnice.*

*Bachus starzeć się musi,
Pora mocno spóźniona,
Wyszedł wieśniak na pole,
Zrywa rzadkie już grona.*

No, ale każdy chyba łatwiej zrozumie, jeżeli powiem po prostu: Było to w październiku, w dniu trzynastym tegoż miesiąca. Godziny dokładnie oznaczyć nie mogę, gdyż łatwiej o zgodę między filozofami niż między zegarami, ale gdzieś tak około dwunastej czy pierwszej w południe.*[W rzeczywistości Klaudiusz zmarł w godzinach rannych, dopiero jednakże w południe zgon jego ogłoszono publicznie (Swet. Nero 8).] „Zbyt banalne określenie - odpowiesz. - Przecież żaden poeta nie poprzestaje na opisach zachodu i wschodu słońca, lecz znoi się nadto, żeby opiewać również południe. A ty ot, tak zwyczajnie wspominasz tę nastrojową porę?” - Dobrze:

*Już Febus minął zenit i po niebios skłonie
Zbliżał się w stronę nocy, a zmęczone konie*

Ciął biczem, skośnym szlakiem ogniste śląc blaski -

III

...kiedy Klaudiusz zapadł w agonię i nie mógł ducha wyzionąć. Wtedy Merkury, który zawsze się rozkoszował jego dowcipem, wziął jedną z trzech Parek na stronę i rzekł do niej: „Czemuż, dziewo najokrutniejsza, pozwalasz, żeby się męczył człowiek nieszczęsny? Czyż nigdy nie dozna ulgi w takich cierpieniach? Sześćdziesiąty czwarty rok mija, jak się pasuje ze śmiercią. Czemuś taka na niego i państwo rzymskie zawzięta? Spraw, niechaj raz wreszcie gwiazdździarze powiedzą prawdę, gdyż odkąd został cesarzem, każdego roku, każdego miesiąca kładą go na marach. Chociaż nic w tym dziwnego, że się mylą i że nikt nie przewidział jego godziny, bo też nikt nie wie, kiedy on się właściwie urodził. Czyń, co ci czynić należy:

Tnij mu łeb! A po jego zgonie

Niech ktoś lepszy panuje na zwolnionym tronie.

Na to Kioto: „A ja właśnie chciałam mu dodać jeszcze parę lat życia, aby obdarzył obywatelstwem tych, nielicznych już wprawdzie, barbarzyńców, którzy go jeszcze nie otrzymali. Od dawna bowiem pragnie on ujrzeć wszystkich Greków, Galów, Hiszpanów, Brytonów przybranych w togi.*[* Klaudiusz hojną ręką rozdawał obywatelstwo rzymskie.] Ale ponieważ jest rzeczą wskazaną, żeby choć kilku barbarzyńców zostawić na rozmnożenie, ty zaś każesz, by tak się stało: niechaj się stanie!”

To rzekłszy otwiera szkatułę i wydobywa z niej trzy wrzeciona: jedno Auguryna, drugie Baby, trzecie Klaudiusza.** A(uguryń) - B(aba) - C(laudius) - ABC głupców wierutnych i zatraconych.] „Tym trzem - rzeczce - jednego roku w krótkich odstępach czasu po sobie każę umrzeć. Nie chcę pozbawić Klaudiusza towarzystwa. Nie przystoi bowiem, żeby on, który niedawno widział

wiele tysięcy ludzi idących za nim, wiele tysięcy idących przed nim, wiele tysięcy gromadzących się wokół niego, nagle został osamotniony. Na razie niech się zadowala towarzystwem tych dwóch kompanów.”

IV

Rzekła, nawija nici na szkaradne wrzeciono, przecina wążek życia głupiego władcy. Tymczasem Lachezis, z przepaską na głowie, z utrefionymi włosami, laurem Muz wieńczy skronie i loki, snuje jasną przędzę ze srebrnego runa i wije nici szczęśliwą ręką. Nabierają one nowego koloru. Przędza wprawia siostry w zdumienie: zwyczajna wełna zmienia się w drogi kruszec, z czarownej nici spływają wieki, złote, bez końca. Parki przędą cudowne runo, z radością napełniają nim dłonie. Rozkoszna przędza. Już samo przez się, bez trudu, spełnia się dzieło, wiotkie nici zwisają z wirującego wrzeciona. Dłuższe od lat Tytona, dłuższe od lat Nestora. Febus jest obecny przy pracy, wspomaga pieśnią. Radością napawa go przyszłość. W podniosłym nastroju raz w struny uderza, raz przędzę podaje, urzeka melodią Parki, gmatwa im pracę. I kiedy z zachwytem wielbią śpiew brata i dźwięki lutni, więcej niż zazwyczaj naprzedły ich ręce. Wspaniałe pasmo przerasta losem określoną miarę ludzkiego wieku. Rzekł Febus: „Nic nie ujmujcie z długości, siostry! Niechaj zwycięsko przekroczy granicę śmiertelnego istnienia on, który jest do mnie podobny postawą, podobny wdziękiem; nie gorszy grą, nie gorszy pieśnią. On znużonym ludziom przywróci wiek złoty, do życia wskrzesi moc prawa.

*Jak Jutrzenka rozprasza gasnących gwiazd krocie,
Które sprowadza Zorza w purpury pozłocie,
Jak płonie Brzask różany, wieszcząc Dnia nastanie,
Mrok pierzcha, Słońce wjeżdża na złotym rydwaniu:*

Takim jawi się Neron, takiego Cezara

Wkrótce Rzym ujrzy: z twarzy łagodny mu bije

Blask boski, bujne włosy spływają na szyję.”

[Jest to, niestety, pochwała własnego ucznia, przyszłego cesarza Nerona.]

Tak mówił Apollo. Lachezis zaś, która i sama sprzyjała urodziwemu nad podziw młodzianowi, hojną ręką spełniła życzenie i jeszcze od siebie dodała Neronowi lat wiele. Klaudiusza natomiast wszyscy rozkazują Z radością i bez zlorzeczeń wysłać z domostwa.

On zaś rzeczywiście wyzionął ducha i przestał wreszcie czynić złudzenie, że żyje. Skonał w chwili, gdy słuchał aktorów komicznych.*[* Których wprowadzono do komnaty już zmarłego Klaudiusza, niby na jego własne życzenie, żeby go zabawiali, w rzeczywistości dla ukrycia zgonu, zob. Swet. Boski Klaud. XLV i obj. 5.] Mówię o tym, byście wiedzieli, że nie bez racji lęk czuję przed nimi. Jego ostatnie słowa słyszano pomiędzy ludźmi, kiedy potężniejszy grzmot wydał tą częścią ciała, którą zazwyczaj najłatwiej było mu mówić. Brzmiały one: „Biadaż mi, biada! Myślę, zem się zafajdał”. Czy mu się rzeczywiście tak przytrafiło, nie wiem. To pewne, że wszystko, cokolwiek czynił, zafajdał.

V

Co się potem działo na ziemi, zbyt czarna się chyba nad tym rozwodzić. Sami najlepiej wiecie i nie ma obawy, by się zatarło w pamięci to, co utrwałała w niej radość powszechna. Nikt nie zapomina swej szczęsnej doli.

Co się natomiast działo w niebiosach, posłuchajcie; za wiarygodność sam rękę:

Oznajmiono Jowiszowi, że przyszedł ktoś o tęgiej budowie ciała, dobrze już osiwały, i nie wiadomo, czym się właściwie odgraża, bo bez przerwy głową obraca; prawą nogą powłóczy. Zapytany, do jakiej należy narodowości, lichowię, co odpowiedział łamanym głosem i niezrozumiałym językiem. Z jego mowy nie można było ustalić, czy jest on Grekiem, czy Rzymianinem, czy

jakiejś innej znanej narodowości. Wtedy Jowisz Herkulesowi, który, jak wiadomo, w swych wędrówkach przemierzył cały glob ziemski i poznał wszystkie narody, kazał iść i dowiedzieć się, z jakich stron świata tamten przybywa.

Na pierwsze wejrzenie Herkules przeraził się srodze, on, który przed żadną stwora nie doznał trwogi. Gdy tylko ujrzał nowego rodzaju potwora, niespotykany sposób chodzenia i głos chrapliwy i bełkoczący, jakiego nie wydaje żadna bestia na ziemi, a jaki jest właściwy poczwarom morskim, był przekonany, że przyszła kolej na wykonanie trzynastej pracy. Kiedy jednak pilniej prześwidrował go oczami, wydał mu się niby człowiekiem. Podszedł zatem do niego i przemówił ulubionym pytaniem Greka:

Coś zasz? Kto cię rodził? Gdzie twój gród ojczysty?

Uradował się Klaudiusz, że są tutaj ludzie uczeni, i już nadzieja w nim rosła, iż w niebie znajdzie się gdzieś zakątek dla jego dzieł historycznych. A przeto i sam odpowiedział wierszem Homera, dając do zrozumienia, że jest cesarzem:

Z sławnego Ilionu Wiatr mię przygnał przez morze do kraju Cykonów.

Więcej jednakże byłby prawdy wyraził następnym zaraz wierszem Homera:

Tam ci ja miastom zburzył, mężów w pień wysiękiem.

VI

I już byłby w błąd wprowadził Herkulesa, nie grzeszącego zbytnio rozumem, gdyby nie była przy tym obecna bogini Febra, która opuściwszy swoją świątynię,*[* Miała ta bogini aż trzy świątynie w Rzymie (Cic. De not. dear. III 25, 63; Val. Max. 2, 5, 6). Największą na Wzgórzu Kapitołińskim, gdzie również stał pałac cesarski, w którym życia dokonał Klaudiusz. Febra męczyła go przez całe życie, ona też jedna nie opuszcza go nawet po śmierci.] sama jedna z nim przyszła, wszystkich innych bogów pozostawiając w Rzymie.

„On - rzecze - kłamie jak najęty. Ja, która przez tyle lat razem z nim żyłam, powiadam ci: na świat przyszedł w Lyonie, współrodakiem jest Marka, urodził się w odległości szesnastu mil od Wienny. Gał czystej wody i jak przystało na Gala, Rzym zdobył. Słowo najświętsze ci daję, że on się urodził w Lyonie, tam, gdzie przez długie lata rządy sprawował Licynus.*[* Wyzwoleniec Cezara, za Augusta znienawidzony namiestnik Galii, dorobił się iście królewskiej fortuny.] Ty zaś, któryś więcej krajów zwędrował niż zawodowy poganiacz mułów, musisz wiedzieć, że od Ksantu do Rodanu wiele tysięcy mil drogi.” W tym momencie gniewem zakipiął Klaudiusz i na całą gardziel wrzasnął z wściekłości. Nikt jednak nie zrozumiał, co chciał powiedzieć. On zaś rozkazał wieść Febrę na stracenie.

Owym zwyczajnym sobie ruchem trzęsącej się ręki - lecz dostatecznie silnej do tego, żeby znak dawać do ścinania ludzi - kazał odrąbać jej głowę.

Ze sposobu wykonania jego rozkazu mógłbyś wnioskować, że wszyscy są jego wyzwolencami”,*[* Klaudiusz najchętniej otaczał się wyzwolencami (zob. Swet. Boski Klaud. 28, 29), którym „powierzył w zarząd swe sprawy majątkowe i zrównał ich z sobą i prawami”. Tac. Roczniki. XII 60.] tak bardzo każdy go lekceważył.

VII

Rzekł wtedy Herkules: „Słuchaj no, przestań pleść brednie. Przyszedłeś na miejsce, gdzie myszy gryzą żelazo.*[* Czyli, przybyłeś do krainy, gdzie panują z gruntu odmienne obyczaje. O myszach gryzących żelazo na wyspie Gyaros relacjonuje Pliniusz H.N. VIII 104, 222. Poza tym bajka ta rozpowszechniona jest w literaturach narodów Wschodu i Zachodu.] Mówże mi prawdę, a prędzej, żebym ci tej głupoty nie przegnał z głowy”. I aby stać się jeszcze groźniejszym, przybrał ton tragiczny i powiedział:

„Wyjawn natychmiast, gdzieś się rodził, jakie tve miano, bo jak cię macnę tą pałą, to trupem padniesz na ziemię! Ta maczuga już nieraz uśmiercała

zuchwałych królów. Co to takiego tam mamrzesz gmatwaną mową? Jaki kraj, jaki naród wydał tę głowę, którą w tę i we w tę obracasz? Wyłuszczonej dokładnie! Kiedym zdążył do dalekiego królestwa trójkształtnego Geriona, skąd przez Morze Hesperyjskie uprowadziłem do Argos wspaniałe woły, ujrzałem.

*Między dwiema rzekami, szczyt góry wysoki
Zawsze patrzy w krąg słońca, sięga pod obłoki,
Tam Arar nie jest pewny, gdzie zwrócić wód biegi,
Płynie cicho, spokojnie i podmywa brzegi;
Rodanu bystre nurty grzmią nawałą wielką,
Mówże: Ta ziemia była twoją karmicielką?”*

Mówił to z ożywieniem i siłą, niemniej jednak nie panował nad sobą i bał się „ciosu z ręki głupiego”.[* Parodia powiedzenia, często u tragiczków greckich, o „karze z ręki Boga”, np. Sof. Al. 137.] Gdy Klaudiusz ujrzał przed sobą mocarza, głupstwa wywiały mu z głowy i zrozumiał, że tutaj jego słowa nie mają bynajmniej tej samej siły przekonywania, co w Rzymie. Bo kogut tylko na własnej mierzwie jest wielkim zuchem. A zatem, jeśli go w ogóle można było zrozumieć, jął mówić, jak się zdaje, następująco: „Miałem nadzieję, że ty, Herkulesie, najpotężniejszy z bogów, będziesz moim orędownikiem u innych. I gdyby ktoś zażądał ode mnie rzecznika obrony, ciebie byłbym na niego powołał, jako że znasz mnie najlepiej. Bo jeśli sięgniesz pamięcią w przeszłość, to ja właśnie w Tyburze przed twoją świątynią całymi dniami odbywałem sądy w miesiącach lipcu i sierpniu.[* ulubionym zajęciem Klaudiusza było spełnianie funkcji sędziowskich (zob. Swet. Boski Klaud. 14 n., Dio Kasjusz LX 4, 5). Nie odstraszała go nawet, jak widać, kanikuła srożąca się w lipcu i sierpniu.] Ty wiesz, ile tam męki zaznałem słuchając kauzyperdów we dnie i w nocy. I gdybyś z nimi się zetknął - to chociaż wydaje ci się, żeś wielki mocarz, wolałbyś stokroć oczyszczać stajnie Augiasza. Bo jam jeszcze więcej wyprzątnął gnoju.

Ale ponieważ chcę

(W oryginale luka. Miejsce nie zachowane. Przypuszczalnie grupa bogów rozmawia ze sobą i zwraca się do Herkulesa, który siłą wprowadza Klaudiusza do kurii niebieskiej.)

VIII

To i nie dziwo, żeś siłą wtargnął do kurii niebieskiej. Dla ciebie nie ma żadnej bariery. Powiedz nam tylko, jakim chcesz, żeby on został bogiem. Nie może być bogiem epikurejskim, bo ten „ani sam nie ma zmartwień, ani nie sprawia ich innym”. Stoickim? Jakimż sposobem może być „cały okrągły”[* Powód, dlaczego wyobrażano sobie boga w postaci okrągłej jak kula, podaje Cynceron ten mianowicie, że, za Platonem (Tim. p. 33 B), taki właśnie kształt uważano za najidealniej doskonały (Cf. Cic. De not. dear. I 10, 24). Toż o tym trzymał również Pitagoras (Diog. Laert. VIII 105).] - jak uczy Warron - bez głowy, bez organów płciowych? Chociaż jest w nim coś trochę ze stoickiego boga, owszem, już widzę: nie ma on ni serca, ni głowy. Zaiste, gdyby o dobrodziejstwo apoteozy prosił nawet samego Saturna, którego święto nie w jednym miesiącu,*[* Grudniu.] ale przez cały rok obchodzi ten saturnijski władca, nie wyjednałby tego, a cóż dopiero od Jowisza, którego, gdyby to tylko leżało w jego mocy, byłby potępił za kazirodztwo. Zięcia bowiem swego Sylana zamordował z tego powodu, że siostrę swoją, najurodziwszą ze wszystkich dziewcząt, którą wszyscy nazywali Wenerą, wołał nazywać Junoną. „Dlaczego - mówił, no, dlaczego, chcę dociec, nazywa tak siostrę swoją? - Ucz się, głupcze, rozumu: W Atenach wolno z siostrą przyrodnią, w Aleksandrii z rodzoną.*[* w Atenach dozwolone były małżeństwa z siostrą przyrodnią, w Egipcie w rodzinach faraonów i Ptolemeuszów - z rodzoną. Poniżej: myszy... liżą... - powiedzenie o bliżej nie ustalonej treści. Jedna z interpretacji: w Rzymie dzieje się to samo co i wszędzie indziej na świecie, panują podobne zwyczaje i obyczaje.] - A bo - jak mówisz - «w Rzymie myszy mąkę liżą z kamieni

młyńskich.» Ten w nas naprawi nieprawość? Co począć we własnej łożnicy, nie wie, a już «bada strefy nieba»? Chce zostać bogiem, ale czyż mało mu tego, że ma w Brytanii świątynię,*[* „Jakby widomy znak wiecznej tyranii” (Tac. Roczniki XIV 31).] że cześć mu oddają barbarzyńcy i jak do boga zanoszą modły:

 Miłościw bądź, głupcze, i szczęście nam zdarz!”*[Parodia greckiej formuły modlitewnej.]

IX

W końcu Jowiszowi przyszło do głowy, że skoro w senacie przebywają prywatne osoby, nie wolno jest senatorom wypowiadać zdania ani prowadzić dyskusji.*[* Zgodnie z obowiązującym w senacie regulaminem.] „Ja - mówi - ojcowie, dozwoliłem wam stawiać pytania, a wy rej wiedziecie jak pastuchy w namiocie. Rozkazuję, żebyście przestrzegali dyscypliny obowiązującej w kurii. Kimkolwiek jest ten przybysz, co sobie o nas pomyśli?” Po wyprowadzeniu na stronę Klaudiusza, pierwszego pytają o zdanie boga Janusa. On był wyznaczony popołudniowym konsulem*[* Za cesarstwa znaczenie konsulów spadło do zera. Godność ta, prawie że nominalna i tytułarna, była piastowana nie przez okres jednego roku, ale zaledwie przez parę miesięcy, niekiedy nawet przez parę dni.] na dzień pierwszego lipca przyszłego roku. Człek szczwany nad wyraz, a zawsze patrzący „naprzód i w tył zarazem”. Mówił bardzo wiele i składnie, bo na Rynku miał swoją świątynię. Mowy jednakże jego nie zdążył protokolant zapisać i dlatego nie przytaczam jej tutaj, żeby innymi słowami nie podał tego, co on powiedział. Rozwodził się szeroko nad wielkością bogów i nad tym, że nie należy na lewo i prawo szafować tą godnością. „Dawniej - powiada - wielka rzecz była zostać bogiem. Obecnie z chwały uczyniliście błazeńską igraszkę. A przeto, aby się komuś nie wydawało, że występuję przeciw osobie lub przeciw wnioskowi, wyrażam zdanie, że od jutra począwszy bogiem nie może zostać nikt spośród tych, którzy «spożywają owoce roli», albo z tych, których karmi

«chlebodajna rola».*[* Wyrażenie Homera, II. II 548; Od. III 3.] Kto by wbrew tej uchwale senatu był bogiem wybrany, nazywany i malowany, tego radziłbym wydać Larwom i na najbliższych widowiskach publicznych różgami wysmagać między świeżo powołanymi gladiatorami.”*[* Którzy przechodzili zaprawę różeg.]

Z kolei zapytano o zdanie Diespitera, syna Wiki Poty.*[* Vica Pota - bogini zwycięstwa (od vinco - zwyciężam, i potlor - zawładam).] On również był konsulem wyznaczonym na rok następny. Z zawodu lichwiarz, najspokojniej w świecie sprzedawał obywatelstwa rzymskie, a i niezgorzej żył sobie z tego frymarku. Do niego bardzo grzecznie podszedł Herkules i coś mu tam szepnął do ucha. Ten z miejsca wygłasza swe zdanie w następujących słowach: „Skoro boskiego Klaudiusza z boskim Augustem łączą związki krwi i skoro tenże również boską Augustę, swą babkę, kazał zaliczyć w poczet bogiń, skoro wszystkich śmiertelnych o niebo przewyższa mądrością, w interesie zaś rzeczypospolitej leży, aby ktoś z Romulusem mógł razem «pożerać gotującą się rzepę», zgłaszam wniosek, żeby z dniem dzisiejszym boski Klaudiusz został bogiem, podobnie jak każdy inny, który przed nim w pełni prawa sobie na to zasłużył, i żeby rzecz tę zamieścić w Przemianach Owidiusza.” Podzielone były zdania i już wydawało się, że Klaudiusz odniesie zwycięstwo. Herkules bowiem wiedząc, że jego żelazo praży się w ogniu, ganiał to do jednego, to do drugiego i mówił: „Nie bądź mi wrogiem! O moją sprawę tu chodzi, a jeśli kiedyś ty czego zechcesz ode mnie, wywzajemnię się tobie. Ręka rękę myje.”

X

Wtedy podniósł się boski August, aby w kolejności wypowiedzieć swe zdanie, i z najwytworniejszą swadą wygłosił następującą mowę: „Ja, ojcowie, was sobie biorę na świadków, że odkąd zostałem bogiem, z nim słowa nie pisnął. Zawsze czynię tylko tyle, ile do mnie należy. Wszelako nie zdzierzę już dłużej być obłudnikiem ani utrzymać w szrankach boleści, którą hańba pomnaża. W

tym celu ustanowiłem pokój na lądzie i morzu? Dlatego zażegnał wojny domowe? Po tom Rzym utwierdził w posadach prawa? Po tom go przyozdobił gmachami, żeby... - no i sam nie wiem, co dalej mówić, ojcowie. Bo też i żadne słowa nie są sposobne wyrazić ogromu oburzenia. Posłużyć tedy muszę się tutaj owym powiedzeniem znakomitego mówcy, Messali Korwina”,*[* Messala Korwin po kilku dniach zrzekł się urzędu prefekta miasta, podając jako powód odrazę do sprawowania władzy (Swet. De orat. VI. 61) czy też nieumiejętność rządzenia (Tac. Rocznthł VI 11).] który po kilku dniach zrezygnował z powierzonego mu urzędu prefekta miasta, mówiąc: «Mierzi mnie władza». Czuję podobnie patrząc, jak nadużywa się ustanowionej przeze mnie władzy, i wstydę się, że kiedykolwiek ją sprawowałem. Ten Klaudiusz, ojcowie, który, jakby to wam się mogło wydawać, nie byłby zdolny dokuczyć musze, ten Klaudiusz zajmował moje miejsce, używał mojego imienia i mordował ludzi z taką łatwością, jak pies przykuca. Wszelako co ja właściwie mam do powiedzenia o tyłu i tak znakomitych mężach? Nie czas oplakiwać klęski publicznie, kiedy się widzi nieszczęścia domowe. O nich więc opowiem, albowiem jeśli nawet rzodkiew nie rozumie po grecku, ja rozumiem jedno greckie przysłowie: «Kolano bliższe goleni».*[* Czyli: Bliższa koszula ciała. Arystot. Nic. 9, 8, 2.] Ten szalbierz, ten pseudo-August taką mi wyświadczył przysługę, że zgładził dwie moje praprawnuczki: Lesbię mieczem, Helenę głodem. I jednego praprawnuka, Lucjusza Sylana - tutaj to już sam rozpatrz, Jowiszu, czy za złą, bo z całą pewnością za twoją sprawę, jeżeli chcesz być sprawiedliwy. Odpowiedz no mi, boski Klaudiuszu, dlaczego każdego i każdą z tych, których zamordowałeś, skazałeś na śmierć, zanim zbadałeś sprawę, zanim ich wysłuchałeś? I gdzie to, gdzie takie bezprawie się dzieje? W niebie na pewno się nie dzieje.

XI

Oto Jowisz, od tyłu wieków miłościwie nam panujący, zaledwie jednemu

Wulkanowi złamał piszczel, kiedy go porwał za nogę i rzucił z niebieskiego dachu, a innym razem, zażęgłszy się gniewem na żonę, wziął ją i zawiesił w obłokach. No i co? Zabił ją może? A tyś zabił żonę swą Messalinę, dla której ja, równie jak i dla ciebie, byłem wujem. «Nie wiem» - powiadasz. Niechże cię bogi skarżą! To twoje «Nie wiem» jest jeszcze większą hańbą niż to, żeś zabijał. A Gajusza Kaligulę toś i po śmierci naśladował. Tamten zabił teścia, ten zięcia w dodatku. Tamten syna Krassusa zakazał nazywać Wielkim, ten dał mu imię, a zabrał głowę. Wymordował w jednej rodzinie Krassusa, Wielkiego Pompejusza, Skrybonię, Tristonie, Asariona. Wszyscy szlachetni rodem, Krassus ponadto na tyle głupi, że śmiało mógł być cesarzem. I z niego boga chcecie teraz uczynić? Patrzcie na to jego ciało, z gniewu bogów zrodzone. W ostateczności, jeżeli za jednym zamachem wypowie trzy słowa, niechaj mnie bierze za swego niewolnika. I kto go będzie czcić jako boga? I kto będzie weń wierzyć? Jeżeli takich zbrodniarzy zrobicie bogami, was samych nikt nie będzie uznawał za bogów. Streszczam się, ojcowie, i jeśli w waszym gronie szlachetnie się sprawowałem, jeżeli nikomu nie udzieliłem zbyt jasnych odpowiedzi, pomścijcież me krzywdy! Ja zaś zgodnie ze swym przekonaniem stawiam następujący wniosek” tu zaczął czytać ze swoich zapisków”:

„Biorąc pod uwagę, że boski Klaudiusz zabił swojego teścia Appiusza Sylana, dwóch zięciów - Pompejusza Wielkiego i Lucjusza Sylana: teścia swej córki, Krassusa Frugi, człowieka tak podobnego do siebie jak jajo do jaja; Skrybonię, świekrę swej córki; żonę swą Messalinę i wielu innych, których liczbę jest niepodobieństwem ustalić - uważam za słuszne pociągnąć go do odpowiedzialności według rygorów prawa i ani na chwilę nie przewlekać postępowania karnego, lecz w trybie doraźnym skazać go na wygnanie: z nieba, w terminie do dni trzydziestu, z Olimpu - do trzydziestu godzin.” Wniosek przyjęto jednogłośnie.

Natychmiast Merkury za kark go krzepko ucapił i powlókł z nieba do piekła,

Tam, skąd nie jest dane powrócić nikomu.

XII

Kiedy schodzili drogą Świętą, zapytał Merkury, co by takiego miało znaczyć owo tak wielkie zgromadzenie narodu. Miałaby to być pogrzeb Klaudiusza? Był to w rzeczywistości pogrzeb najokazalszy ze wszystkich. Nie szczędzono kosztu ni trudu, aby nikt zgoła nie miał wątpliwości, że boga niosą do grobu: tak wielka rzesza była grających na surmach, na krzywułach i wszelkiego rodzaju trębaczy, tak niebosięźnie rozchodziły się pienia, że nawet Klaudiusz mógł to usłyszeć. Wszyscy w radosnym i podniosłym nastroju. Rzymianie kroczyli dumnie jak naród wolny. Agaton i kilku kauzyperdów płakało, i to z głębi duszy płakało. Prawnicy natomiast z prawdziwego zdarzenia wychodzili ostrożnie z mrocznych kryjówek. Bładzi, wychudli, ledwie już, ledwie dyszący, jak gdyby przed chwilą z grobu powstali. Jeden z nich, ujrawszy grupę kauzyperdów współczujących sobie nawzajem, zbliżył się do nich i powiedział: „A mówiłem wam: Nie wiecznie trwać będą święta Saturna!” Gdy Klaudiusz zobaczył swój własny pogrzeb, zrozumiał w końcu, że umarł faktycznie. Bo właśnie potężny chór głosów zawodził pieśń pogrzebową:

Płaczcie, ach, płaczcie, jęczcie cymbały,
Niech głos się smutku po mieście niesie,
Legł człek waleczny na polu chwały,
Największy mocarz na całym świecie.

On chyżym krokiem
Zwycięstwo sławił
Nad szybkim gońcem,

A krwi potokiem

Bunt Persów zdławił,
Jak nikt pod słońcem.

Fartów lekkimi grotami tropił,
Łuk pewną ręką władany,
W uciekających wrogach miecz topił,
Lecz lekkie zadawał rany.

W grzbiet malowany żgał Medów tchórzliwych,
Wyspiarskich Brytów zwyciężył,
Strzaskał Brygantów tarcze bławe, żywych -
Jarzmem niewoli ciemięzył.

Nowych praw rozbrzmiał pean
Rzymskich różg i toporów,
Zadrzał w głębiach ocean
Grozą krwawych upiorów.

Płaczcie, ach, płaczcie męża, co tyle
Spraw dziennie w sądzie rozstrzygał
Jak żaden inny sędzia i byle
Kto mu się z rąk nie wymigał.

Raz tylko jednej, raz ani jednej strony
Nie słuchał. - Kto teraz? No i
Kto zechce się krągły rok parać kanony
I kto zań w sądzie obstoi?

Minos porzuci swoją stolicę,

Gdzie sędzi ludy w krainie cieni,
Berło stu grodów da mu w prawicę:
Nic się nie zmieni!

Płaczcie, ach, płaczcie i szaty drzyjcie:
Brać kauzyperdów, na grosz łapczywa,
Wy, wierszoroby, z bólu się wijcie,
I wy, szulery, zgrajo parszywa!

Wy przede wszystkim płaczcie Klaudiusza:
Koniec szacherkom! - Już się nie rusza.

XIII

Aż się rozplęwał z radości Klaudiusz słysząc tyle o sobie pochwał i chciał jeszcze dłużej przyglądać się widowisku, ale go Merkury, posłaniec bogów, za kark uchwycił i powlókł przez Pole Marsowe z osłoniętą głową, aby nikt nie mógł go poznać, i pomiędzy Tybrem a Drogą Krytą zstąpił z nim do podziemia. Wyprzedził go tam już na przełaj wyzwoleniec Narcyz, aby przywitać swego pana, a kiedy tenże nadszedł, lśniący czystością, jakby wyszedł z kąpieli, wybiegł naprzeciw i zawołał: „Po cóż bogowie zstępują do ludzi?” - „Ruszaj szybciej - odrzekł Merkury - i oznajmij nasze przybycie!” Narcyz pomknął chyżej niż strzała. Spadzista jest każda droga do piekła i łatwo się po niej zstępuje. Choć więc był podagryk, w okamgnieniu już stanął przed bramą boga podziemia, gdzie leżał Cerber albo jak Horacy go zowie: „stugłowa bestia”. Coś trochę strwożył się Narcyz - przyzwyczał się bowiem zabawiać z białawą suką - a tu zobaczył czarnego i kudłatego brytana, jakiego nikt by sobie nie życzył spotkać w ciemnościach. Wielkim głosem zawołał: „Klaudiusz nadchodzi!” Gromada duchów ruszyła naprzeciw, bijąc oklaski i nucąc piosenkę:

Zawitał nam, radujmy się![* Słowa czcicieli Izydy. witających jej

małżonka Ozyrysa w czasie świata Odnalezienia.]

A byli tam wpośród nich: Gajusz Siliusz, konsul wybrany; Junkus, dawny pretor; Sekstus Traulus, Marek Helwiusz, Trogus, Kotta, Wetiusz Walens, wszystko rycerze rzymscy, których Narcyz stracić kazał. W środku tej rozśpiewanej gromady szedł Mnester, aktor mimiczny, którego Klaudiusz, niby dla zachowania przyzwoitości, skrócił o głowę. Do Messaliny - bo wieść o przybyciu Klaudiusza rozniosła się błyskawicznie - zbiegają się zewsząd, najpierwsi z wszystkich wyzwoleńców - Polibiusz, Myron, Harpokras, Amfeusz, Feronakt. Ich wszystkich Klaudiusz powysyłał naprzód, aby nigdzie nie być bez świty. Następnie dwaj prefekci pretorianów - Justus Katoniusz i Rufriusz Polio. Następnie przyjaciele - Saturnin Lucjusz, Pedo Pompejusz, Lupus i Celer Azyniusz, dawni konsulowie. Na końcu bratanice, siostrzenice, zięciowie, teściowie, świekra i wszyscy najbliżsi krewni. Ustawili się w procesji i wyszli naprzeciw Klaudiuszowi. Widząc ich Klaudiusz zawołał: „Wszystko pełne przyjaciół!”*[* Parafraza w różnych wariantach powtarzającego się powiedzenia filozoficznego... Wszystko pełne jest bogów.” (Płat. Eptn. 991 D, Arystot. De mundo c. 6).] Jakim sposobem przybyliście tutaj?” Na to Pedo Pompejusz: „Co mówisz, człowieku najokrutniejszy? Pytasz - jakim sposobem? Któż bowiem inny wysłał nas tutaj, jeśli nie ty, morderco wszystkich przyjaciół? Do sądu z nim! Już ja ci pokażę, gdzie ławy sędziowskie!”

XIV

Prowadził go przed trybunał Eaka. Ten rozpatrywał sprawę w świetle ustawy Korneliusza o skrytobójcach. Pompejusz zażądał, by Eak przyjął akt oskarżenia. Podjął listę z wykazem.

Zamordowanych senatorów -35

rycerzy rzymskich - 221

innych - trudno dokładnie zliczyć.

Nie znalazł Klaudiusz obrońcy. Wreszcie wystąpił Publiusz Petroniusz, jego stary towarzysz biesiadny, człowiek władający biegle językiem Klaudiusza, i zażądał odroczenia rozprawy. Eak odmówił. Oskarżał Pedo Pompejusz przy wtórze gromkich okrzyków. Już chciał obrońca głos zabrać i odparować zarzuty, lecz Eak, sędzia najsprawiedliwszy, zabronił i wysłuchawszy jednej tylko strony wydał wyrok na Klaudiusza, i powiedział:

Sąd sprawiedliwy zakończony godnie:

Niech cierpi karę za spełnione zbrodnie!

Zapadło głębokie milczenie. Zdumieli się wszyscy, zaskoczeni nowością procedury sądowej, i twierdzili, że coś podobnego jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Jedyne Klaudiuszowi rzecz ta wydała się bardziej niesłuszna niż nowa.

Długo się naradzano nad rodzajem kary, jaką by Klaudiusz winien ponieść. Niektórzy mówili, że Syzyf dostatecznie już długo toczy swą skałę; że Tantal zginie z pragnienia, jeżeli mu się nie przyjdzie z pomocą; że już wreszcie trzeba zatrzymać koło torturujące biednego Iksjona. Nie zgodzono się jednak na uwolnienie któregośkolwiek z dawnych skazańców, by również Klaudiusz nie spodziewał się kiedyś podobnej łaski. Uznano za konieczne ustanowić nową karę, wymyślić jakiś trud nadaremny i jakąś marę żądzy - bez spełnienia. Wtedy rozkazał Eak, by Klaudiusz bawił się kostkami w puszcze bez dna. I od razu jął Klaudiusz zbierać wiecznie wypadające kostki, by nigdy nie dopiąć celu.

XV

Gdy bowiem kostki wrzuci do puszek, przez dziury wypadają z dźwiękiem, a gdy już wszystkie pozbiera i z pasją zapamiętałego szulera*[* Klaudiusz był namiętym graczem w kości. Napisał nawet rozprawą na ten temat (Swet. Boski Klaud. 33).] znowu do puszek je wkłada, znowu cały wysiłek

idzie na marne! Zwodnicza kostka wciąż z rąk sit; wymyka. Podobnie jak skała, która kiedy już ją Syzyf na szczyt góry wytacza, ciężarem swoim na kark mu się zwala, a trud płonny rozwiewa nadzieję.

Nagle zjawił się Kaligula i zażądał zwrotu swego niewolnika. Postawił świadków, którzy widzieli, jak smagał Klaudiusza biczami, różgami i okładał kułakami.*[* Podobną karę odbierali jedynie niewolnicy z ręki swych panów.] Zasądził go Kaliguli. Kaligula oddał go Eakowi. Eak przekazał go swemu wyzwolńcowi Menandrowi,*[* A więc jak za życia, tak i po śmierci ma Klaudiusz pozostać „nie władcą, lecz sługą wyzwolńców”.] który wyznaczył mu zadanie sprawowania pieczy nad rejestrami sądowymi.

Przełożył Leon Joachimowicz

UZUPEŁNIENIE

Seneka zmuszony był popełnić samobójstwo na rozkaz Nerona w 65 r. n.e. Przeżył większość postaci występujących w tym opowiadaniu. Brytanika otruto w 55 r. n.e. Pallas, Burrus, Domicja pozostali przy życiu, Sylanusowie, Oktawia, Antonia, Faustus Sulla - wszyscy zginęli gwałtowną śmiercią. Agryppinilla straciła wpływ na Nerona po dwu latach jego panowania, ale zezwoliwszy na kazirodczy stosunek, który z nią nawiązał, odzyskała ten wpływ na jakiś czas. Następnie usiłował ją zamordować wysyłając w morską podróż na uszkodzonym okręcie, który się rozpadł na dwoje dość daleko od lądu. Agryppinilla dopłynęła szczęśliwie do brzegu. W końcu przysłał żołnierzy, którzy mieli ją zabić. Umierała odważnie, rozkazawszy, by zadali jej cios w brzuch, w którym nosiła niegdyś tak potwornego syna. Kiedy w 68 r. n.e. senat ogłosił, że Neron jest wrogiem ojczyzny, i kiedy został on zabity na własną prośbę przez sługę, nie było już nikogo z cesarskiej rodziny, który by mógł zostać jego następcą. W 69 r. n.e., roku anarchii i wojny domowej, panowało kolejno czterech cesarzy: Galba, Otho, Aulus Witeliusz i Wespazjan. Wespazjan rządził sprawiedliwie i założył dynastię Flawiuszów. Republiki nigdy nie wskrzeszono.

STARA ZBRODNIA W NOWYM ŚWIETLE

Pisząc dwadzieścia pięć lat temu dwutomową powieść o imperatorze Klaudiuszu w formie pseudoautobiografii, musiałem przerwać wątek fabularny tuż przed śmiercią mojego bohatera. Żeby jednak dać czytelnikom jakąś satysfakcję, zamieściłem w epilogu trzy klasyczne komentarze na temat zamordowania Klaudiusza pióra Swetoniusza, Tacyta i Dio Kasjusza. Dla równowagi dodałem jeszcze satyrę przypisywaną nauczycielowi Nerona, hiszpańskiemu filozofowi i dramaturgowi Senece, zatytułowaną Apocolocynthis Klaudiusza.

Apocolocynthis uważano zawsze za żartobliwe złożenie powstałe z połączenia dwóch słów: apotheosis (ubóstwienie), jako że deifikowano Klaudiusza natychmiast po jego śmierci, i colocynthos (dynia) - przypuszczalnie stąd, że Seneka uważał Klaudiusza za głupca o dyniastej głowie. Przyjętym tłumaczeniem tego złożenia było słowo „udynienie” i nigdy nie przychodziło mi na myśl, iż wyraz ten może oznaczać co innego.

Morderstwo popełnione na Klaudiuszu przygotowała jego żona Agryppina. Klaudiusz właśnie zaadoptował był Nerona, siedemnastoletniego syna Agryppiny z pierwszego małżeństwa, i ogłosił go współdziedzicem imperium. Władzę sprawować miał Neron razem z dwunastoletnim Brytanikiem, synem Klaudiusza i Messaliny. Agryppina postanowiła pozbawić Brytanika dziedzictwa. Spodziewała się, że Neron, wdzięczny za uczynienie go jedynym imperatorem, zapewni jej największą władzę za kulisami tronu. Tymczasem robiła wszystko, co możliwe, by Klaudiusza podburzyć przeciwko Brytanikowi, i trzymała ich obu jak najdalej od siebie. W końcu obawiając się, że Klaudiusz podejrzewa ją o zdradę i niewierność, postanowiła z nim skończyć.

W 1949 r. doktor Walentyna Wasson, lekarka z Nowego Jorku, zwróciła się do mnie z zapytaniem, czy mam dokładniejsze wiadomości o

okolicznościach zbrodni popełnionej na Klaudiuszu, którą ona i jej mąż, pan R. Gordon Wasson, wiceprezes firmy J. P. Morgan i Sp., badają od strony mikologicznej. Raz jeszcze przejrzałem materiały źródłowe: komentarze Swetoniusza i Tacyta oraz Dio Kasjusza, który potwierdza to, co powiedzieli jego poprzednicy, ale niczego więcej nie dodaje.

Tymczasem państwo Wassonowie zrobili poważne postępy w rozwiązywaniu nurtującej ich zagadki. Stwierdzili mianowicie, że grzyby, o których nikt nie pisał, iż same w sobie były trujące, pochodziły prawie na pewno z gatunku jadalnych i bardzo smacznych *amanita caesarea*, nazwanych tak na cześć Klaudiusza. Mają one pomarańczowoczerwone kapelusze, blaszki oraz trzonki o bladożółtej barwie pierwiosnka i pojawiają się w dużej obfitości w całej Południowej Europie właśnie w październiku, to jest w miesiącu śmierci Klaudiusza. Zdaniem państwa Wassonów, zaangażowana przez Agryppinę zawodowa trucicielka Lokusta kazała Halotusowi, z urzędu kosztującemu potrawy, zaprawić grzyby, które miał podać Klaudiuszowi, sokiem innych grzybów z tej samej rodziny - trujących *amanita phalloides*. *Amanita phalloides*, czyli bedłka sromotnikowa, ma żółtobiały, lekko nakrapiany kapelusz, białe blaszki i trzonek, a rośnie obficie w pobliżu Rzymu w tym samym okresie, co i *caesarea*.

Wydaje się, że rodzinie i przyjaciołom Klaudiusza nałożono na talerze grzyby z jednego wielkiego półmiska. Że tamci pozostali przy życiu, można by wytłumaczyć przypuszczeniem, iż Klaudiusz miał pecha i zjadł jedną trującą bedłkę, która przez nieuwagę zaplątała się pomiędzy grzyby jadalne. Nie było również żadnej szansy, aby Klaudiusz mógł po smaku rozpoznać truciznę, na którą zresztą ani wówczas nie było, ani dzisiaj nie ma żadnego lekarstwa.

Wszyscy ci nieszczęśnicy, którym zdarzyło się zjeść *amanita phalloides*, zgodnie stwierdzają (oczywiście przed śmiercią), że mają one nadzwyczajny smak. A pozostaje im dość czasu na tego rodzaju obserwacje, ponieważ objawy chorobowe występują rzadko przed upływem sześciu godzin (czasem dopiero po

dwudziestu godzinach) od chwili spożycia bedłek. Gdy jednak trucizna zaczęła już działać na dobre, jej ofiara doznaje straszliwych bólów żołądka, wśród których powoli dogorywa.

Państwo Wassonowie wydedukowali z listu Seneki, pisanego do przyjaciela Luciliusa Stoika dziewięć lat później, iż znał on owe szczególne właściwości grzybów z gatunku *amanita phalloides*. Potępiając obzarstwo Klaudiusza, Seneka woła retorycznie: „Dobrzy bogowie, iluż to ludzi pozostaje na usługach jednego brzucha! Ale czybyś uwierzył, iż smakowita trucizna zawarta w owych grzybach nie działa potajemnie, jeśli nawet objawy chorobowe nie występują od razu?”

Wzmianka ta stanowi, moim zdaniem, wystarczający dowód współudziału Seneki w tej zbrodni, a jednocześnie wyjaśnia, jak plan uknuty przez Lokustę, zdawałoby się bez zarzutu, jednak zawiódł. Klaudiuszowiomal że nie uratowało życia jego ordynarne przyzwyczajenie, które Swetoniusz notuje w innym miejscu: „pił za dużo, a potem nadwyżkę oddawał.” Najprawdopodobniej, kiedy go wyniesiono od stołu pijanego jak bela, Klaudiusz wymiotował część spożytego pokarmu, co oczywiście postawiło Agryppinę w niezwykle przykrych sytuacji. (Stwierdzenie Tacyty: „Jak się zdawało, pomogło mu wypróżnienie żołądka” - nie ma sensu i może odnosić się jedynie do wymiotów.)

Agryppina nie miała możliwości sprawdzić, ile trucizny pozostało w żołądku męża. Nie mogła też widocznie przygotować tej samej potrawy po raz drugi, nawet jeśli by Klaudiusz dał się namówić i spróbował ponownie ją przełknąć.

Tymczasem dojrzewały plany zmierzające do obwołania Nerona jedynowładcą. Gdyby więc Klaudiusz miał wyzdrowieć, wieść o planowanym zamachu mogłaby się przedostać do wiadomości publicznej, a wówczas najprawdopodobniej naznaczyłby Brytanika (który - według Swetoniusza - był już wtedy oficjalnie pełnoletni) swoim współimperatorem, Nerona zaś i ja samą

zamordował bez sądu.

Agryppina i jej pomocnicy działali szybko. Największą szansę na uratowanie własnej skóry dałoby im wzmocnienie działania tej ilości trucizny, która pozostała jeszcze w organizmie Klaudiusza, przez podanie innej, podobnej w skutkach. Sekcja zwłok mogłaby wówczas wykazać, że śmierć Klaudiusza nastąpiła wskutek niefortunnego zjedzenia tego jednego trującego grzyba.

Przekupili przeto lub zmusili cesarskiego lekarza Ksenofonta, by zgładził swego pana. Według Tacyta, Ksenofont wprowadził Klaudiuszowi do gardła piórko pomazane trucizną. Przedsięwzięcie tego rodzaju byłoby jednak zbyt trudne i zbyt niebezpieczne. Wassonowie opowiadają się raczej za mniej melodramatycznym komentarzem Swetoniusza, według którego truciznę wprowadzono robiąc Klaudiuszowi lewatywę. Pozostałoby więc jeszcze stwierdzić dokładnie, jaką truciznę Ksenofont mógł wybrać i zdobyć w krótkim terminie, by uzyskać upragniony rezultat.

Przyszło mi na myśl, że colocynthos oznacza nie tylko „dynię”. Słowem tym określa się również tykwę, czyli ośli ogórek (kolokwint) wspomniany w tym interesującym wersecie biblijnym (Księgi Królewskie II, IV 3841), gdzie mowa jest o prorokach, którzy obierając jarzyny do wspólnego garnka - zbyt późno odkryli, że jakiś ignoramus wkroił tam ośli ogórek. „Śmierć w garncu, Mężu boży” - wołali w cierpieniach do swego mistrza Eliszy. Kolokwint, choć w minimalnych dawkach działa jako skuteczny środek przeczyszczający i znany był jako aktywny składnik potężnie działającej pigułki nr 9 używanej przez lekarzy wojskowych do leczenia symulantów w czasie pierwszej wojny światowej, jest jednak jadowitą alkaloidową trucizną.

Skryboniusz Largus, aptekarz, w cennym zbiorze recept lekarskich wydanych około 45 roku n.e. zamieszcza wyrazy uznania i wdzięczności za receptę kolokwintową swemu nie żyjącemu już wówczas przyjacielowi Pacciuszowi z Antiochii. Pacciuszowska pigułka nr 9 stała się wkrótce bardzo popularna wśród rzymskich patrycjuszy, których większość (jak dawniej, tak i

dziś) jadła za wiele, spała za mało i miała za mało ruchu. Lecz choćby i Ksenofont mógł bez trudu zdobyć kolokwint nie wzbudzając żadnych podejrzeń - smak jego jest tak niesamowicie gorzki, że nie sposób byłoby skłonić Klaudiusza do spożycia odpowiednio dużej porcji kleiku (jak to, zdaje się, sugerowała Agryppina). Ksenofont znalazł jednak bardzo pomysłowe wyjście z tej sytuacji. Pod pozorem wywołania u pacjenta dobrego wypróżnienia - wpuścił mu truciznę robiąc lewatywę, co okazało się bardzo skuteczne.

Stąd wzięło się następnie u Seneki złożenie apocolocynthis oznaczające ubóstwienie za pomocą kolokwintu, czyli „utykwienie”. Seneka uczcił to ponure morderstwo płochą satyrą o fizycznych i duchowych wadach Klaudiusza. Trudno mu też wybaczyć zamieszczony w niej żart na temat ostatnich nieszczęsnych słów Klaudiusza: *Vae me, puto me concacavi* - „Biadaż mi, biada, myślę, żem się zafajdał.”

Farsę, jaką było udawanie przez kilka godzin po jego zgonie, że Klaudiusz jeszcze żyje i zabawia się występami zespołu estradowego, podyktowała, zdaje się, zmiana trucizny. Klaudiusz spożył swój ostatni posiłek 12 października 54 r. n.e., około godziny drugiej trzydzieści po południu. Pierwsze kurcze wywołane zatruciem *amanita phalloides* powinny były wystąpić pomiędzy dziewiątą wieczór a północą, ale „opóźnionej katastrofy” można było oczekiwać dopiero następnego wieczora. Kolokwint zastosowany przez Ksenofonta podziałał znacznie szybciej. Klaudiusz umarł przed nastaniem ranka i Agryppina wobec przyśpieszenia oczekiwanego efektu znalazła się w kropce.

Wydaje się, że obwołanie Nerona imperatorem uzgodniono z dowódcą gwardii, który obejmował służbę w południe, gdyż Neron dopiero o tej porze opuścił pałac, aby przyjąć hołd od żołnierzy. Agryppina tłumaczyła później tę zwłokę względami natury astrologicznej. Nie wiadomo, ile sam Neron wiedział o spisku. Przy jakiejś okazji cytował, śmiejąc się, greckie przysłowie: „grzyby są potrawą bogów”, i dodał, że w rzeczy samej grzyby uczyniły bogiem jego

poprzednika.

Agryppina przekonała się o skuteczności bedłki Lokusty, kiedy (według Dio Kasjusza) uśmierciła swego wroga Marka Juliusza Syllanusa podobną dozą trucizny, jaką ongiś przygotowano dla Klaudiusza, co zresztą nie było jej ostatnim tego rodzaju wyczynem. Tacyt podaje, że Anneusz Serenus, dowódca gwardii przybocznej Nerona (którego poznajemy gdzie indziej jako oddanego przyjaciela Seneki), pomagał Neronowi w nawiązaniu sekretne go związku z niewolnicą imieniem Acte i że Neron zwrócił się do Seneki o pomoc, gdy Agryppina wpadła na trop jego przygody. O zemście Agryppiny na Serenusie wspomina Pliniusz:

„Grzyby zwane suilli nadają się doskonale do celów trucicielskich. Ostatnio ofiarą ich padło nie tylko kilka rodzin, ale i wszyscy goście na pewnej uczcie. Na przykład Anneusz Serenus, dowódca gwardii Nerona, wraz z wszystkimi trybunami i centurionami.”

Przypuszczam, że Pliniuszowi chodziło o to, iż grzyby z gatunku *amanita phalloides* łatwo można przemycić do niewinnej potrawy z grzybów *amanita caesarea*, bez obawy przed natychmiastowym wykryciem. Rezultat jest bardzo efektywny, szczególnie jeśli sprawca nie dba o to, ile osób poza zamierzonymi ofiarami umrze straszliwą śmiercią.

Monumentalną pracę pp. Wassonów o grzybach opublikowało w ubiegłym roku w ograniczonym nakładzie wydawnictwo Pantheon Books (Nowy Jork).

Robert Graves - maj 1958

Przełożyła Zdzisława Lewikowa